PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK XLIX. Tom 196.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1932

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Adolf Hitler i jego program.

Syn drobnego urzędnika celnego z Austrji górnej o wykształceniu paroklasowem, niefortunny kandydat do akademji sztuk pięknych, z zawodu malarz pokojowy i rysownik, podczas wojny żołnierz bawarski, oto zasadnicze rysy z życia A. Hitlera, obecnego bożyszcza połowy blisko Niemiec, leadera najliczniejszej narodowo-socjalistycznej partji i byłego pretendenta na stanowisko prezydenta państwa. Człowiek ten, tak bliski pochwycenia władzy w ręce, zdobył podczas wyborów do parlamentu Rzeszy dn. 31 lipca b. r. około 40% mandatów, jest przekonany, że władza prędzej czy później nie minie go. Poglądy jego muszą interesować Europę, ale przedewszystkiem muszą najżywiej obejść Polaków. Bo chociaż zamierzenia Hitlera nie są dla nas nowością, nową jest brutalna otwartość, z którą przedstawia on program germańskiego pochodu na wschód po nowe podboje. Mówi on szczerze to, co większość Niemców chowa w głębi nienawidzących nas serc i ta szczerość jest pożądana. Chodzi tu bowiem nietylko o nasze prawo do bytu, jako naród i państwo, lecz jeszcze więcej, bo o prawo do bytowania na świecie wogóle jako ludzie, czego Hitler nam odmawia.

W dalszym ciągu podaję w możliwie skróconej postaci poglądy i projekty Hitlera, tak jak je zebrał przywódca niemieckiej robotniczej partji socjal.-narodowej w swej książce. [1]) Usiłuję możliwie wiernie zachować charakterystyczny język, styl i sposób wyrażania się autora i dlatego muszę prosić czytelników o pewną wyrozumiałość. Książka Hitlera liczy

[1]) A. Hitler, *Mein Kampf*, XII wydanie, 1932.

bowiem 781 str. drobnego gotyckiego druku, autor pisze rozwlekle, ustawicznie wpada w patos lub szał, nie szczędząc wyrazów ordynarnych. Czytelnik zauważy powtarzanie się, tak jednakże być musi, jeżeli obfitość słów nie odpowiada bogactwu treści. Dlatego to Hitler ożywia swe wylewy wymyślaniem i gminnemi wyrażeniami. Nie jest on zwolennikiem słowa pisanego tylko żywego. Książkę swą pisał w więzieniu, powodzenie swe zawdzięcza wiecom i zebraniom. Jest aktorem doskonałym; przemawiając do Niemców umie im pochlebiać, poza tem, towarzysze partyjni zawsze są gotowi popierać argumenty wodza pałką i nożem.

Ojciec A. Hitlera po spensjonowaniu powrócił na rolę, skąd za młodu, chłopski syn, poszedł w świat. Jako urzędnik państwowy chciał na tę drogę skierować syna. Lecz dwunastoletni Adolf sprzeciwia się życzeniom ojca bezwzględnie i postanawia zostać artystą malarzem. Spór ten trwa, młody Hitler uczęszcza do szkoły realnej, uczy się źle, jest krnąbrnym, interesują go wyłącznie rysunki, jako podstawa przyszłej karjery artystycznej, oraz historja. Jest już wtedy „nacjonalistą i rewolucjonistą". Śmierć ojca i choroba płucna powodują zabranie go ze szkoły realnej, matka nie jest przeciwna karjerze artystycznej, Hitler przygotowuje się do akademji malarskiej w Wiedniu. Niebawem po ciężkiej chorobie umiera matka, młody człowiek wyrusza do Wiednia sam, zaopatrzony tylko w szczupłą pensję sierocą po ojcu. W Wiedniu zgłasza się do egzaminu do akademji malarskiej, przedkłada swoje prace rysunkowe w przekonaniu, że będą przyjęte z zachwytem i, grom z jasnego nieba, jego kandydatura zostaje odrzucona. Rektor akademji oświadcza, że nie znaleziono w nim żadnego talentu artystycznego i malarskiego, że powinien skierować się na architekturę i budownictwo. Do tego niezbędna była jednakże matura, o tem Hitler w obecnych warunkach marzyć nie mógł. Dla chleba bierze się do pracy fizycznej, zostaje pomocnikiem malarskim, w biedzie i niedostatku spędza w Wiedniu lat pięć.

Pięć lat spędzonych w Wiedniu wpływają decydująco na ukształtowanie się światopoglądu nacjonalistycznego działacza. Był to teren niezmiernie pouczający. Trzeba tylko

cofnąć się myślą do owych czasów, gdy Wiedeń był stolicą Austro-Węgier, siedzibą Habsburgów i polem parlamentarnych zmagań się wiecznie skłóconych ludów czarnożółtej monarchji. Hitler obserwuje socjalne i polityczne walki w stolicy. Związki zawodowe usiłują wciągnąć go do swej organizacji. Narazie odmawia i śledzi zbliska ich działalność. To, co widziałem, pisze o sobie, nie pociągało mnie wcale do partji socjalno-demokratycznej. Wszystko było tam bowiem negacją. Narodowość była wymysłem kapitalistycznym, ojczyzna instrumentem w rękach burżuazji dla wyzysku robotników, prawo — środkiem ucisku proletarjatu, szkoła — instytucją wychowawczą niewolników, religja — środkiem do ogłupiania wyzyskiwanego ludu, moralność — oznaką głupoty. Kiedy pewnego dnia uzbrojony w argumenty wszczął podczas pracy dysputę ze swemi towarzyszami, ci postawili mi ultimatum, albo wynosić się z pracy, albo będę zrzucony z rusztowania. Wówczas, pisze Hitler, poznałem środek, który najłatwiej zwycięża rozum, mianowicie terror. W przyszłości, pouczony, stosuje ten środek walki przeciw wszystkim swoim przeciwnikom. Zastanawiając się nad swemi przeżyciami, dochodzi do wniosków, że psychice szerokich mas nie odpowiada nigdy połowiczność i słabość. Podobnie jak kobieta, chętnie ugina się przed silnym, niż panuje nad słabym — podobnie i masy idą za władcą, a nie za proszącym. Chcąc walczyć z socjal-demokracją trzeba jej przeciwstawić program równie brutalny i bezwzględny i dopiero wtedy można mieć szanse w ciężkiej walce o władzę. Na terror trzeba odpowiedzieć terrorem. Związki zawodowe pod kierownictwem socjalistów przestały być organizacją w celu polepszenia bytu klasy robotniczej, lecz stały się taranem, którym posługują się inni dla walki z narodem i państwem. Walka ta jest prowadzona z matematyczną ścisłością, oparta jest ona na nienawiści, egoizmie i wogóle najniższych instynktach, dąży zaś do zguby ludzkości. Dla jej zrozumienia jest konieczna znajomość dokładna duszy żydowskiej, gdyż partja socjal-demokratyczna jest prowadzona przez żydostwo i pracuje dla jego celów. Marksizm, opanowany przez żydów, odrzuca naturalną arystokratyczną zasadę, a na miejsce rasowej siły

i mocy stawia liczbę i martwą masę. W ten sposób zaprzecza się wartości jednostki, odmawia znaczenia lepszej rasie i pozbawia ludzkość głównych składników twórczych jej kultury. Gdyby zasady żydosko-marksoskie zwyciężyły — byłoby to końcem ludzkości, bo natura mści się gorzko za przekroczenie jej praw. Broniąc się przed Judą, woła dalej Hitler, będę walczył za dzieło Pana.

W sprawach politycznych urabia sobie Hitler następujące poglądy. Demokracja zachodnio-europejska jest sługą i poprzednikiem marksizmu i stanowi znakomitą odżywkę, na której dojrzewa bakcyl światowej zarazy. Polityk parlamentarny jest to człowiek, którego jedyną przewodnią myślą jest bezmyślność, połączona z bezczelnością i bezwstydnie rozwiniętą sztuką kłamania. Parlament to zbiorowisko pluskiew parlamentarnych, trzymających się kurczowo i za każdą cenę wygrzanych foteli. Za każdą, nawet najgorszą ustawę parlamentarną nikt żadnej odpowiedzialności nie ponosi, bo nie można pociągnąć do odpowiedzialności chwiejnej i chwilowej większości. Najgenjalniejszy mąż stanu musi tracić swą energję i wiedzę dla przekonywania stada owiec w celu zdobycia ich głosów. Czy na tem ma polegać umiejętność rządzenia państwem, pyta Hitler, aby umieć przekonywać puste głowy? Czy koniecznie dla przeprowadzenia najgenjalniejszych i najlepszych projektów, mąż stanu musi uciekać się do schlebiania lub przekupstwa? W ten sposób zasada większości parlamentarnej dąży do zniweczenia wszelkiej idei twórczej i odpowiedzialności za swoje czyny, odmawiając autorytetu jednostkom i stawiając na ich miejsce nieuchwytną większość. Parlament nie jest zebraniem mędrców, lecz gromadą duchowych zer, które są jak marjonetki kierowane z zewnątrz, a właściwy pociągacz sznurków jest nieuchwytny, niewidzialny i nieosiągalny. Jest to zbiorowisko gadułów, instrument w rękach żydostwa, chowającego się zawsze przed odpowiedzialnością, jak też przed prawdą i słońcem. Tylko ta rasa może chwalić instytucję parlamentu, która jest równie brudna i fałszywa jak ona.

Cóż przeciwstawia Hitler parlamentowi?

„Prawdziwą germańską demokrację z wolnym wybo-

rem przewódcy, który będzie ponosić odpowiedzialność za wszelkie czyny i postępki. Nie może być głosowania i poszukiwania większości. Decyduje postanowienie jednostki, odpowiadającej za swą działalność życiem i majątkiem. Jeżeli ktoś sądzi, że w tych warunkach trudno będzie o jednostkę gotową do poświęcenia się podobnie ryzykownej działalności, wówczas odpowiem, „Bogu dzięki", w tem leży sens germańskiej demokracji, że nie każden niegodny i niemoralny osobnik dążyć może krętemi drogami do władzy. Gdyby zaś jaki niegodny usiłował się wkręcić, wtedy łatwo go odszukamy i przepędzimy okrzykami: precz tchórzliwy łotrze, odejdź, ty brudzisz stopnie panteonu historji, który nie jest dla paskarzy lecz dla bohaterów!"

Piękny program i godny jego, równie piękny język.

Na gruncie wiedeńskim ścierały się przed wojną wśród niemieckiego społeczeństwa dwa obozy polityczne, wszechniemiecki i chrześcijańsko-społeczny. Hitler sercem należy do pierwszego, ale widzi, że akcja jego skazana jest zgóry na niepowodzenie, gdyż opiera się on na warstwach mieszczańskich i nie porusza zagadnień socjalnych, które mogłyby przyciągnąć masy. Austrjaccy wszechniemcy weszli do parlamentu i zaczęli tam swą działalność, która nie dała wyników. Przeciwnicy idei wszechniemieckiej, będący w większości, zakrzyczeli ich, prasa przekręcała ich mowy lub całkiem przemilczała. Masy niemieckie zostały bierne a posłowie przejęli wszystkie nałogi austrjackiego parlamentaryzmu, stali się partyjką, walczącą „duchową" bronią, t. j. gadali i paktowali. Nie poszli z ideą wszechniemiecką do ludu i ruch ten tracił na znaczeniu szybko; tembardziej, że równocześnie dwór Habsburgów postanowił monarchję austro-węgierską przemienić na państwo o charakterze słowiańskim, używając do tego celu całego aparatu rządowego, oraz Kościoła katolickiego i szkoły.

Ta „słowianofilska", w opinji Hitlera, polityka Habsburgów była przyczyną nienawiści jego do monarchji i dynastji. Ta państwowa mozaika, woła, czekała od lat na cios, aby rozlecieć się w kawałki. Dynastja Habsburgów dla swoich ciasnych celów zdradziła niemieckość. Jako Niemiec, który nie miał szczęścia urodzić się w państwie Bismarka

i pod władzą Hohenzolernów, z niecierpliwością oczekiwałem na nieuchronny upadek Austrji. Uważano ją w Niemczech za państwo niemieckie — kiedy w rzeczywistości stawała się ona coraz bardziej słowiańska. Utrzymywała się jako mocarstwo dzięki austrjackim Niemcom, którzy robili to z głupoty, w przekonaniu, że służą trójprzymierzu i Niemcom. Rzesza niemiecka nie rozumiała również ówczesnej sytuacji politycznej, gdyż było jasne, że Austrja i Italja nigdy nie będą walczyć po tej samej stronie, zbyt dużo bowiem dom Habsburgów nagrzeszył w ubiegłem stuleciu przeciw wolności Italji. Zawarła ona pakt porozumienia z Austrją tylko poto, aby uśpić jej czujność i lepiej przysposobić się do wojny.

Przedwojenna polityka Niemiec była, zdaniem Hitlera, z gruntu fałszywa i musiała doprowadzić do katastrofy. Wobec przyrostu ludności ok. miljona rocznie trzeba było szukać możliwości wyżywienia. Różne istniały po temu drogi. Można było np. wzorem narodu francuskiego sztucznie ograniczyć naturalny przyrost. Ten sposób prowadzi jednakże do zwyrodnienia rasy i taki naród musi upaść, gdyż idzie wbrew naturze. Można było popierać kolonizację wewnętrzną, osiedlać ludność na roli kosztem wielkiej własności rolnej. Ale i ten sposób był ograniczony i prowadził do głodowania. Natura nie zna granic politycznych, usadziła ludzkość na globie ziemskim i dała jej wolne ręce, kto silniejszy, ten jest jej ukochanem dzieckiem. Ludzkość wyrosła w wiecznej walce, w wiecznym pokoju zginie. Zwyciężają nie narody kulturalniejsze, lecz bezwzględniejsze i brutalniejsze w pędzie do samozachowania. Kolonizacja wewnętrzna nie mogła Niemcom wystarczyć, a dla pomieszczenia i wyżywienia przybywających miljonów powinny one były szukać ziemi nazewnątrz.

Tymczasem Niemcy, zdaniem Hitlera, poszły zupełnie inną drogą. Ekspansje niemieckiego handlu i przemysłu, przekształcenie kraju w przemysłowo-handlowy, miały dać wszystkim Niemcom chleb i dobrobyt, tę drogę obrała Rzesza niemiecka dla miłości pokoju i postąpiła z gruntu fałszywie.

Niemcy potrzebowały bowiem dla siebie ziemi i nie

mogły szukać jej w Kamerunie, ale musiały znaleźć ją w Europie. Trzeba otwarcie zawołać, wrzeszczy Hitler, że polityczne granice nie stanowią przeszkody dla odwiecznego pędu do życia narodu. Prawo samozachowania (!) pozwala tam, gdzie nie udaje się otrzymać po dobroci, użyć pięści. Gdyby nasi germańscy przodkowie przejmowali się swego czasu dzisiejszemi głupstwami pacyfistycznemi, to zaledwie jedna trzecia obecnego obszaru byłaby naszą. Tylko naturalnemu popędowi naszych przodków do walki i podboju zawdzięczamy obie marchje wschodnie, oraz wogóle nasze państwo i narodowość. Dla przyszłości Niemiec wogóle nie było innej drogi, jak poszukiwanie i zdobywanie nowych terenów w Europie i ku temu celowi winna była być skierowana cała polityka Reichu. Wiadomem też było, że nie zdobędzie się w Europie nowych terenów drogą pokojową. Dlatego należało wzmocnić armję lądową, a nie flotę z urojonemi widokami ku przyszłości Niemiec na morzu. Trzeba było iść śladami Krzyżaków, gdzie niemiecki miecz wyrąbał drogę niemieckiemu narodowi, a praca niemieckiego pługa dała chleb. Polityka niemiecka przedwojenna musiała kierować się przeciw Rosji i mogła znaleźć jednego tylko sojusznika — Anglję. Anglja pokryłaby wówczas tyły Niemcom — a germański pochód mógł ruszyć na wschód po podboje. Mieliśmy po temu takie same prawo, jak nasi krzyżaccy przodkowie, a żaden z dzisiejszych demokratów i pacyfistów nie waha się jeść chleba ze wschodnio-pruskich prowincyj, chociaż pierwszym pługiem na tych polach był miecz.

Nie było dosyć dużych ofiar, jakich nie należałoby ponieść dla zapewnienia zgody Anglji na taką politykę. Trzeba było zrezygnować z kolonij, floty i handlu światowego, tworząc tylko armję lądową. Chwilowo należało znieść wszelkie ograniczenia, bo przyszłość Niemiec leży na wschodzie Europy i mogły nie szukać jej tam za zgodą Anglji; prowadząc zaś politykę wszechświatową i morską, musiały wejść z Anglją w kolizje. Należało wykorzystać rok 1904 i podczas wojny japońskiej zabrać Rosji odpowiednie tereny. Nie doszłoby wówczas do wojny światowej w r. 1914

i jakże inną byłaby dzisiejsza sytuacja i stanowisko Niemiec! W tej polityce sojusz z Austrją był przeszkodą. Ta mumja państwowa sprzymierzyła się z Rzeszą niemiecką nie dla wojny, ale dla zachowania wiecznego pokoju i utrzymania swego dynastycznego, coraz bardziej słowiańskiego państwa.

Niemcy dla celów pokojowych budowały flotę i marzyły o pokojowem gospodarczem podbiciu świata. Obawiano się wojny, aby być do niej zmuszonym w najnieodpowiedniejszej chwili. Bawiono się w marzenia o światowym pokoju — było się przymuszonym do światowej wojny. Nasze pokojowo-handlowe zapędy, biada demagog, spotkały się z egoizmem angielskim. Zamiast z Anglją przeciw Rosji, albo Rosją przeciw Anglji, Niemcy musiały walczyć z oboma przeciwnikami. Winę ponosi przedewszystkiem Austrja, należało ją zostawić własnemu jej losowi, pamiętając tylko o dziesięciu miljonach austrjackich Niemców.

Sprzymierzenie się z Austrją i wojnę na wszystkich frontach spowodowali żydzi i socjaliści. Sojusz z Austrją pozwalał przeciwnikom widzieć w niej ponętny objekt do rozbioru, dzięki któremu dyplomacja angielska wciągnęła do wojny wszystkich jej sąsiadów. W ten sposób doszła do skutku koalicja przeciwniemiecka. Zawsze podczas wojny, pisze Hitler, byłem zdania, że trzeba czemprędzej monarchję habsburgską, naszego sojusznika, oddać wrogom, bo wojna toczy się nie o utrzymanie zdegenerowanej dynastji, lecz o zbawienie niemieckiego ludu.

Niemcy przedwojenne, według Hitlera, chciały ze wszelkich sił pokoju i to było największym błędem. Prusy zawdzięczają swą wielkość i powstanie bohaterskim wyczynom przodków, a nie machinacjom handlarskim, również i cesarstwo niemieckie jest dziełem męstwa niemieckiego żołnierza. Dlaczego, dziwi się Hitler, uległ naród niemiecki przed wojną „psychozie pokojowej?" Czy trucizna, jaka wsiąkła w krew i ciało dawnych bohaterów germańskich i zatamowała zdrowy i naturalny pęd do samozachowania rasy i nowych podbojów? Tak, to żydostwo i marksizm zatruły organizm germański, spowodowały rozkład rasy niemieckiej, a jej upadek rozpoczął się jeszcze przed wojną.

Wybuch wojny zastaje Hitlera w Monachjum. Na wieść o zamachu sarajewskim wyraża przypuszczenie, że to studenci wszechniemieccy zabili austrjackiego następcę tronu jako przyjaciela Słowian. Była to zemsta losu, że ten „słowianofil" i jego żona, słowianka, padli z ręki słowiańskiego fanatyka. Wobec tego austrjackie ultimatum dla Serbji nie było zbyt brutalne, jak chcą niektórzy, ale jeszcze zbyt względne. Kto twierdzi inaczej, jest głupcem lub półgłówkiem. Wojna była konieczna i przez masy pożądana (!), nie narzucona. Ja sam padłem na kolana, dziękując niebiosom z wezbranem wdzięcznością sercem, że żyję w tych czasach, kiedy następuje walka, nie o Austrję, lecz o być albo nie być niemieckiego narodu. Tak często śpiewałem „Deutschland über alles", że uważałem za największą łaskę występować jako świadek na „boskim sądzie wiecznego Sędziego" (Gottesgericht des ewigen Richters) przy obwieszczeniu tej prawdy. Nikt nie myślał, ale dodaje za chwilę ten komedjant, że potrwa to tak długo, każden przypuszczał, że na zimę powróci do domu, do swego pokojowego zajęcia.

Hitler zgłasza się jako ochotnik do bawarskiego pułku (gdyby tego nie zrobił, musiałby iść do wojska austrjackiego jako nieochotnik, ochota była więc pod przymusem). Nie chciał walczyć za tron Habsburgów, po przyjęciu do wojska bawarskiego radość i wdzięczność jego „nie miały granic", jedyna dręczy go obawa, czy zdąży na czas na front, czy weźmie udział w bojach bohaterskich, każde zwycięstwo na froncie jest zaprawione kroplą goryczy — czy nie będzie zapóźno. Nareszcie wyjeżdżają, jadą przez Ren, śpiewają „Wacht am Rhein", będą bronić ten niemiecki strumień przed pożądliwością wrogów.

Tymczasem przechodzą miesiące i lata przeciągającej się i coraz cięższej wojny. Początkowe triumfy bledną i gasną. Niezależna prasa zaczyna snuć refleksje na temat osamotnienia Niemiec, nikłych widoków pokoju i zwycięstwa. Hitler wpada znowu w szał. Trzeba było, wrzeszczy, takiego rycerza kałamarza wziąść na postronek. Wojna nie była naszym zamiarem, została nam narzucona (!?). Zawsze jesteśmy gotowi do pogodzenia się z ludzkością pod warunkami, że nasze bohaterstwo i zwycięstwa zostaną ocenione. To

marksizm, który dąży do zniszczenia wszystkich państw narodowych, widząc w lipcu 1914 r., że masy niemieckie uchodzą z pod jego wpływów i stają w szeregach dla służby ojczyźnie, zaczyna znowu podnosić głowę. Należało ich odrazu nielitościwie zniszczyć, jak pasożytów. Pozamykać prowodyrów, rozwiązać partje, parlament uśmierzyć bagnetami. Tymczasem „jego wysokość cesarz" wspaniałomyślnie wyciągnął rękę ku tym zbrodniarzom.

Hitler nie ma wątpliwości, że samym gwałtem i terrorem idei zniszczyć i zabić nie można. Trzeba jednakże idei, którą się zwalcza, przeciwstawić drugą i poprzeć ją siłą i terrorem. W walce dwóch idei zwycięża zawsze ta, która pierwsza zaatakuje, walczy bezwzględniej i gwałtowniej. Rząd niemiecki ówczesny nie rozumiał tego, nie stosował wobec marksizmu terroru, przypuszczał chyba, że międzynarodowi fanatycy przejdą do partji burżuazyjnych, bo szerokiego ludowego programu i idei też nie miał.

Walczyliśmy, pisze Hitler, o najwyższe ideały narodowe, o wyżywienie i bezpieczeństwo naszego ludu i o jego honor. Wszystkie środki były dobre dla osiągnięcia naszych celów. Etyka, humanitaryzm to są czcze wymysły ludzkiej fantazji i w walce narodu o byt nie wchodzą w rachubę. Najokropniejsza broń jest humanitarna, jeżeli przyspieszy nasze zwycięstwo; każda metoda walki piękna, jeżeli da wolność narodowi. Niemcy źle używali propagandy wojennej, w czem celowali ich przeciwnicy. Propaganda wojenna nie powinna być objektywna i szukać prawdy lub zważać na przepisy prawa, ona powinna zawsze i wyłączne służyć własnym potrzebom. Tak np. w kwestji winy za wywołanie wojny, było błędem tłumaczyć się, że nie wyłącznie Niemcy są jej winne, należało wyłącznie i całkowicie przypisać winę przeciwnikom — chociaż możeby to prawdziwemu przebiegowi zdarzeń nie odpowiadało. To, co trafia bowiem do umysłów mas, musi być mocne i twarde, zasięg rozumowania mas jest bowiem ograniczony, a łatwość zapomnienia wielka. Przedwojenne rządy w Niemczech były we wszystkich poczynaniach niezdecydowane i połowiczne. Parlament działał burząco. Polityka względem Polaków była chwiejna, podniecano ich tylko i drażniono, zamiast wziąść się do nich po-

ważnie. W wyniku nie osiągnięto zwycięstwa niemieckości, ani zgody z Polakami, tylko wrogość Rosji. Tak samo w kwestji Alzacji i Lotaryngji, — zamiast raz na zawsze urwać brutalną pięścią łeb francuskiej hydrze, a Alzatczykom przyznać równe prawa, wyhodowano w centrum parlamentu największego zdrajcę, pana Wetterle. Ale najstraszliwszej zbrodni dokonał parlament przez swój stosunek do armji. Wołając na cały świat o rzekomym „militaryzmie", przeszkadzał należytemu wyszkoleniu całego narodu do walki i dlatego na wojnę poszła młodzież napół tylko przysposobiona, ginąc tysiącami z powodu łajdackiej polityki przedwojennych przedstawicieli ludu. Również połowiczna była polityka morska niemiecka, jeżeli Anglicy budowali okręty z działami 30-sto centymetrowemi, trzeba było na niemieckich ustawiać działa 42 centymetrowe. Tymczasem używano dział najwyżej 28 centymetrowych. Gdyby flota niemiecka pod Skagerrakiem była równa angielskiej pod względem tonażu, uzbrojenia i szybkości, wówczas w huraganie niemieckich granatów znalazłaby tam cała flota angielska swój wilgotny grób. Czy nie przypomina to czytelnikowi polskiego powiedzenia: gdyby ciocia miała wąsy?

Jeden Ludendorff, pieni się dalej Hitler, walczył z tą zbrodniczą słabością i połowicznością niemieckiej polityki, jaką prowadził parlament wraz z nędznym kanclerzem Bethmann-Hollwegiem. Tym kreaturom zawdzięcza lud niemiecki swoje cierpienia, nędze i ofiary. Nie można inaczej ich nazwać, jak łotry, oszusty, łajdaki, złoczyńcy, gdyż dla kogo istniałyby podobne określenia w potocznej mowie? Naród niemiecki wszystko zawdzięcza swej armji i dlatego przeciw armji zwróciła się nienawiść łupieżców wersalskich. Armja uczyła Niemców oddania się ojczyźnie, ofiarności i męstwa, a przedewszystkiem wpajała w nich przekonanie, że przyszłość narodu nie leży w kłamliwych frazesach o międzynarodowem braterstwie z murzynami, francuzami, anglikami i chińczykami, lecz we własnej odwadze i przedsiębiorczości. Armja niemiecka była najlepszą ostoją niemieckiej wolności i przyszłości. Niemcy były najlepiej zorganizowanym i zarządzanym krajem w świecie, który był zupełnie niezależny od zmieniających się rządów i polityków,

a zawdzięcza to swemu korpusowi urzędniczemu. Z armji i biurokracji razem wynikała siła dawnych niemców, a przyczyną przegranej wojny stało się niedocenianie problemu rasowego.

Upadek rasy narodu niemieckiego spowodowany był przez prasę, literaturę, parlament, choroby weneryczne i zmaterjalizowanie. Niemiecka prasa liberalna podawała ludności truciznę w postaci najgorszego pacyfizmu, który ją opętał. Usiłowano całą bezmyślność zachodniej demokracji, ubraną we wzniosłe wyrazy, wpoić ludowi niemieckiemu, osłabiając jego narodowe państwo. W ten sposób prasa liberalna stała się grabarzem niemieckiego ludu i państwa, przez swoje kłamstwa, bez których nie mogłaby istnieć, złamała ludowi narodowy kręgosłup (nationale Rückgrat) i oddała go w niewolę międzynarodowego kapitału i jego panów, żydów. Rząd nie doceniał niebezpieczeństwa, okazywał tchórzliwość, wołającą o pomstę do nieba. Czasami zamknął kilku dziennikarzy na krótki czas, ale nie niszczył gniazda żmij, gdy należało działać radykalnie. My to uczynimy. Napewno podniesie się krzyk, gdy łajdactwom prasowym położymy koniec i ta tak niezmiernie ważna placówka propagandowa zostanie odebrana wrogom ludu. Nic to nie szkodzi; jeden granat 30 centymetrowy syczy głośniej, niż tysiące żydowskich pismaków, niech tymczasem jeszcze syczą.

Rząd nie walczył z rozpustą, nierządem i wynikającemi z nich chorobami, które doprowadziły do upadku rasy. W stosunkach małżeńskich panowało „zażydzenie"; każda zbogacona żydówka była dobra na żonę i matkę sfer arystokratycznych; decydowała o wszystkiem mamona. Grzech przeciwko czystości rasy i krwi jest dziedzicznym grzechem dzisiejszego świata i gotuje zagładę ludzkości. Trzeba całą uwagę skierować na ten punkt, jakgdyby od niego zależało wszystko. Trzeba oczyścić teatr, sztukę, literaturę, kino, prasę od wyziewów gnijącego świata i poddać je państwowej kontroli kulturalnej. Prawo wolności osobistej trzeba podporządkować obowiązkowi utrzymania rasy. Aby uzdrowić ciało i duszę, trzeba ludzi chorych bez litości odosobnić i uniemożliwić im mieć potomstwo. Będzie to środek barbarzyński względem nich, lecz błogosławieństwo dla przy-

szłości. O ile brakuje narodowi sił do walki o swoje zdrowie, to traci on wogóle prawo do życia na tym świecie wojującym.

Każde skrzyżowanie dwóch nierównych ras daje mieszańca o średniej inteligencji. Zczasem więc krzyżująca się wyższa rasa musi upaść, wydając na świat coraz mniej wartościowe potomstwo. Jest to sprzeczność i grzech przeciw prawom natury, która dąży do uszlachetnienia gatunku. Silniejszy ma panować i nie wolno mu krzyżować się ze słabszym. W walce o byt i chleb codzienny wszystko słabsze musi paść, a każda walka podnosi i rozwija zdrowie, siłę i przedsiębiorczość gatunku, prowadząc go na wyższy szczebel rozwoju. Natura sama niszczy i usuwa słabsze jednostki dla polepszenia rasy, człowiek nie może iść wbrew naturze, gdyż byłaby to droga do zwyrodnienia. Krzyżowanie się i upadek rasy były powodem kultury. Narody nie giną od przegranych wojen, lecz przez stratę swej odporności i upadek rasy, które leżą w czystości krwi.

Ludzie niższej rasy są jednakże potrzebni na świecie, ale muszą oni służyć rasom wyższym. Pierwszy pług, zanim zaprzągnięto do niego konia, ciągnęli zdobyci niewolnicy i pracowali w ten sposób dla swego pana wyższej rasy. Dlatego tam rozwijała się najszybciej kultura, gdzie aryjczycy podbijali niżej kulturalnie stojące narody. Mimo to Niemcy są narodem pacyfistów, ze zniknięciem z ziemi ostatniego niemca, zniknie z niej ostatni pacyfista. Kto życzy zwycięstwa idei pokojowej, musi życzyć zwycięstwa Niemcom, oni bowiem na tem wyszli najgorzej i najgoręcej ze wszystkich wierzą w to bezsensowne głupstwo. Idea wiecznego pokoju wtedy będzie urzeczywistniona, gdy jeden najwyżej postawiony władca podbije całą ziemię. W każdym razie najpierw musi nastąpić walka, zwycięstwo najsilniejszego i najlepszego, potem wieczny pokój. W przeciwnym razie zapanuje barbarzyństwo i koniec ludzkości. Może to się wydawać śmieszne, niechże jednak wszyscy wiedzą, że planeta nasza krążyła miljony lat bez ludzi przez eter kosmiczny i może znowu tak krążyć, gdy ludzie zapomną, że ich bytowanie zależy nie od pomysłów zwarjowanych

ideologów, lecz od bezwzględnego stosowania uznanych praw natury.

Zasadę zachowania czystości krwi i rasy zrozumieli najlepiej żydzi, tworząc swoje państwo w państwie i rozmnażając się tylko tam, podobnie do pasożytów, gdzie znaleźli odpowiednią pożywkę. Ale gdzie oni występują, zamiera powoli naród twórczy. Żydzi są mistrzami kłamstwa, ukrywając się za parawanem gminy religijnej, co im umożliwia życie pasożytnicze na ciele i duszy narodu. Ich religja jest środkiem do interesów. Dla osłabienia narodowości popierają wszędzie międzynarodowość, aż do wymyślenia międzynarodowego języka. Dla osłabienia państwa popierają parlamentaryzm i demokrację, zamiast wybitnej jednostki wysuwają większość i zbiorowość, co oznacza głupotę, niedołęstwo i tchórzostwo. W dążeniu do władzy nad światem najpierw popierali mieszczaństwo przeciw feudalizmowi, tak jak teraz popierają świat robotniczy przeciw mieszczańskiemu, aby wreszcie zapanować nad robotnikami. Dzisiejszy robotnik walczy nieświadomie za żydów. Wskazując na ciężką dolę robotniczą żydzi wzbudzają litość i pozyskują zaufanie mas. Ale nie kieruje nimi wcale chęć dopomożenia klasie pracowniczej, jest to tylko broń w walce o władzę nad światem i o zniszczenie ludów aryjskich. Żydzi kierują dzisiaj socjal-demokracją i związkami zawodowemi, nie szczędzą obietnic, złudnych obrazów, nie krępują się moralnością. Walczą w ten sposób z gospodarstwem narodowem i podważają je. Kto przed żydostwem się nie ugnie, jest ich wrogiem, kto ich poznał i opiera się im, tego nienawidzą i solidarnie zwalczają kłamstwem i oszczerstwem, bez skrupułów. Żydzi wstrząsają gospodarczem życiem kraju, dopóki go nie opanują, politycznie podważają podstawy obrony państwa, fałszują historję, kulturalnie zarażają sztuki piękne, ośmieszają religijność, moralność i obyczajność — dopóki nie obalą narodowego państwa. A kiedy nastąpi rewolucja, żydzi niszczą przewódców narodu i z demokratów stają się tyranami ujarzmionego niewolniczo ludu.

Czy Rosja obecna nie jest typowym przykładem jak garstka żydowskich giełdziarzy i agitatorów zadręcza lud? Ale muszą oni zginąć, bo gdy zginie ofiara, zginąć musi

i wampir. Nasze klęski 1918 r., woła Hitler, byłyby do powetowania, bo były one niewspółmierne (?) ze zwycięstwami lat poprzednich. Nie one nas złamały, tylko ukryta potęga, która przygotowała naszą klęskę, odbierając narodowi jego wolę, siłę i zdrowy instynkt samozachowawczy. Ale siły i zdrowie mogą wrócić, jeżeli krew pozostanie czysta, a klęski są do powetowania.

* * *

W sierpniu 1916 r. Hitler jest ranny i po dwuletnim pobycie na froncie wraca do szpitala pod Berlinem. Co za zmiany w życiu i nastrojach kraju! W szpitalu otwarte rozmowy żołnierzy o wykręcaniu się od frontu i rozmyślne kaleczenia się. Wszędzie zawiść, gniew i wymyślania. Kancelarje wojskowe pełne żydów, każden pisarz żydem, każden żyd pisarzem. Podobnie w handlu i życiu gospodarczem — wszędzie żydzi, wyzyskujący lud i wymyślający na Prusaków. Widziałem jak pracują żydzi nad skłóceniem Prus z Bawarją i przygotowaniem rewolucji, która miała rozbić oba te kraje.

Następuje upadek caratu w Rosji, potem przerwanie frontu w Italji. Nadzieja zwycięstwa wstępuje w serca. Ale świat międzynarodowy postanowił, że Niemcy nie mają zwyciężyć i organizuje strajk amunicyjny. W ten sposób kapitał chce zapewnić zwycięstwo koalicji, gdyż to był cel socjaldemokratycznego oszustwa ludów, Rosja była już złamana ostatecznie, zwycięstwo było bliskie. Zwycięska końcowa ofenzywa bohaterskich bataljonów szła na Paryż, ostatnie instrukcje sztabów były wydane, ostatnie wysiłki, gdy wtem zdrada, w Niemczech strajk generalny i rewolucja. Na wieść o tem wstrzymują się prący naprzód bohaterowie — zamiast ofensywy następuje desperacka obrona. Zwycięstwo byłoby nasze, zapewnia Hitler, ale sprzymierzeni poświęcili olbrzymie środki na propagandę rozkładową wewnątrz Niemiec i ta międzynarodowa propaganda zgubiła kraj. Ci sami przewódcy marksizmu, do których cesarz Wilhelm wyciągnął rękę do zgody, ci łotrzy, ściskając prawicę jego cesarskiej wysokości, w swojej mieli ukryty sztylet, a w umysłach knuli zdradę. Niema paktów z żydostwem, pieni się Hitler,

albo my, albo oni; postanawia wówczas, że zostanie w przyszłości politykiem.

Po wojnie Hitler przebywa w Monachjum i wstępuje do organizującej się narodowej niemieckiej partji robotniczej. Partja ta, pisze, liczyła wówczas siedmiu członków i miała w kasie 7·5 Mk majątku. Hitler obejmuje referat propagandy i rozpoczyna ją szeregiem odczytów i przemówień wiecowych, najpierw na małych, potem na coraz to większych zgromadzeniach. Powoli krystalizuje program partji. Nie będzie ona organizacją sytych i zadowolonych, lecz cierpiących, niespokojnych, nieszczęśliwych i skrzywdzonych. Zapuści jak najgłębiej korzenie w lud i rozbudzi ducha nacjonalistycznego tak silnie, że lud mimo bezstronności znajdzie tysiące sposobów uzbroić się. Lud niemiecki musi odzyskać swe utracone pozycje. Narazie poniesie się ofiary natury socjalnej i gospodarczej. Trzeba rozbudzić w ludzie świadomość, że silniejszy w życiu zwycięża słabszego, zniszczy go, lub weźmie w jarzmo. Spokojnych i cichych obywateli niemieckich trzeba zmienić w głodne wilki. Trzeba dalej rozbudzić świadomość o znaczeniu rasy i czystości krwi, pogłębić znajomość kwestji żydowskiej, bez czego podniesienie narodu jest niemożliwe. Trzeba niemieckiego robotnika oderwać od międzynarodówki; stan robotniczy będzie dla partji zbiornikiem, z którego ona ma czerpać materjał ludzki. Wszelkie środki i metody prowadzące do tego celu będą dobre, a jedynym sędzią będzie powodzenie. Kto zechce być przewódcą musi być bohaterem. Partja z zasady będzie antyparlamentarna, a jej działalność w parlamencie zdążać będzie do rozbicia i zniweczenia tej instytucji, której ludzkość zawdzięcza swój upadek. Postęp i kultura nie są dziełem większości lecz jednostek. Członkowie partji będą urabiani w tym duchu, że nie wolno usuwać się im od walki — lecz należy jej szukać, na terror odpowiedzieć terrorem. Opozycja na zebraniach nie ma prawa głosu, jeżeli wszczyna tumult lub dysputę, przez specjalne oddziały zostaje z rozbitemi głowami zrzucona ze schodów.

Program ruchu narodowo-socjalistycznego nie prze-

widuje specjalnej formy rządu i charakteru państwa, republika czy monarchja. Jednakże Hitler, pisząc o Wilhelmie II i wogóle o Hohenzollernach, wyraża się z największym szacunkiem „seine Majestät", wręcz przeciwnie niż o Habsburgach. Niewątpliwie postać ostatniego kaisera dałby mogła dużo pola do popisu demagogicznym instynktom Hitlera, — lecz najwyraźniej wstrzymuje się on pisząc np.: „szczęście posiadania wielkiego człowieka na monarchę jest rzadko udziałem narodu, trzeba być zadowolonym, jeżeli los pozwala na uniknięcie w tym wypadku wręcz najgorszego niepowodzenia". Widać więc niewątpliwie, że Hitler pracuje dla przyszłej monarchji i z całą pewnością jest przez sfery monarchistyczne finansowo popierany. Tymczasem jednakże trudno otwarcie popierać cesarza, który uciekł od swego narodu i tylekroć okrył się śmiesznością, pozornie więc sprawa pozostaje otwarta, a Hitler „rozpala ogień, w którego żarze kuje się miecz dla niemieckiego Zygfryda, który przyniesie wolność niemieckiemu narodowi".

Nie mamy zamiaru germanizować Słowian, twierdzi Hitler skromnie, gdyż nie Słowianie są nam potrzebni, lecz ich ziemie. Germanizować trzeba ziemię, nie ludzi, gdyż zepsulibyśmy przez to krew i rasę. Dlatego dawna polityka względem Polaków była błędna; obca i mniej wartościowa rasa i krew obniżyłyby poziom i godność naszego ludu, gdyby polski element miał tylko zmienić swój język na niemiecki. Dla nas ma wartość tylko germanizacja ziemi, zdobytej mieczem przez naszych przodków, na której osadzono niemieckich chłopów. Otwarte granice i częste wojny spowodowały niestety zatarcie rasowej krwi germańskiej, której dużo jeszcze pozostaje poza granicami Reichu. Ale musimy ich objąć w jednem niemieckiem państwie i to nie przy pomocy skarżących się, łzawych, pokojowych listków palmowych, lecz przy pomocy zwycięskiego miecza na służbie wyższej kultury. To jest zadanie i misja niemieckiego ludu, który, jako „Herrenvolk", utworzy germańskie państwo o najszlachetniejszych zadaniach i celach i obejmie całą ludzkość! Dążąc ku tym celom nie idziemy w okres zamarłego pokoju — lecz wojny. Niemcom dotychczas brakowało w polityce aktywności w połączeniu z brutalną wolą

i wielką polityczną ideą. Bez idei musi zabraknąć sił do walki. Fanatyczna wiara w zwycięstwo i przekonanie, że dążymy do stworzenia nowego porządku na świecie, skłonią naród do chwycenia za każdą, najbrutalniejszą nawet broń. Nie uczynią tego jednak nigdy partje burżuazyjne a tylko nasza partja pielęgnuje ideały duchowe, dla przeprowadzenia których gotowa jest na wszystko.

Hitler nie mówi dużo, jak będzie powstawało i funkcjonowało to rasowe społeczeństwo i idealne ludowe państwo, a to, co mówi, jest również demagogją najgorszego rodzaju, polegającą na wskazywaniu na ogólno znane niedomagania ludzkiej natury i niedoskonałości wszelkich ludzkich poczynań. Wszystko to ma poprawić partja narodowo-socjalistyczna. Dawniej było lepiej, gdyż dawna monarchja dozwalała na wolność wewnętrzną i wykazywała siłę nazewnątrz, gdy dzisiejsza republika jest słabą nazewnątrz, wewnętrznie zaś uciska swych obywateli. Nasze norodowo-socjalistyczne ludowe państwo nie będzie potrzebowało dużego prawodawstwa wewnętrznego, bo będzie się opierało na miłości swych obywateli, gdy międzynarodowa republika niewolników rządzi gwałtem. Obecna republika niemiecka nie ma obywateli, lecz niewolników kolonjalnych obcego kapitału. My to zmienimy! Przedewszystkiem zobowiążemy naszych obywateli do dążenia do poprawy i uszlachetnienia rasy. Małżeństwo podniesiemy z obecnego upadku; musi ono wydawać na świat ludzi na obraz i podobieństwo boskie, a nie mieszańców pośrednich pomiędzy człowiekiem a małpą. Winę tutaj ponosi Kościół, który mówi ciągle o sprawach ducha, zaś nosicielom tegoż, ludziom, pozwala na degenerację. Kościół patrzy obojętnie na fizyczny i cielesny upadek rasy, starając się zato dla spraw ducha pozyskać nowych wyznawców pomiędzy dzikimi. Misjonarze wędrują do Afryki centralnej i nawracają tam zdrowych, choć prymitywnych dzikusów — dopóki ci nie uraczą się „wyższą kulturą" i się nie zdegenerują. Nasz program narodowo-socjalistyczny, woła Hitler, zmierza do tego, aby ludzie mniej się troszczyli o rasowe psy, konie i koty, a więcej o rasę ludzi. Żądamy, aby specjalne komisje ra-

sowe wydawały świadectwa czystości rasowej i tylko ludzie czystej rasy utworzą kolonje na peryferjach państwa dla zatamowania przenikania obcej krwi z zewnątrz. Rząd nasz będzie działał w tym kierunku z najgłębszą bezwzględnością, ze zgodą czy wbrew zgodzie zainteresowanych. Dzisiaj wszystkie państwa postępują wręcz przeciwnie. Ogłasza się publicznie np., że murzyn został adwokatem lub profesorem i wyprowadza z tego wniosek, że rasy biała i czarna są równorzędne. Hitler uważa, że kształcenie murzynów jest tresurą, podobną do tresury małpy lub pudla, które można również wykształcić w różnych sztuczkach, natomiast jest to przeciwne z wolą Stwórcy, że gdy miljony ludzi białych giną z braku chleba, jednego dzikusa uczy się na adwokata kosztem wielkich wysiłków. Upadek Niemiec nastąpił też również i z tego powodu, że na czele państwa stali ludzie za bardzo uczeni i uduchowieni. Gdyby na miejscu Bethmann-Hollwega stanął zdrowy człowiek z ludu, bohaterska krew naszych grenadjerów, woła agitator, nie płynęłaby daremnie. Warstwy niemieckiej arystokracji i inteligencji są duchowo chore i przeumysłowione, dziedzicząc to w coraz silniejszym stopniu z pokolenia w pokolenie. Trzeba je odświeżyć, władzę oddać nowym siłom z ludu. Doskonałym przykładem może być Kościół rzymsko-katolicki, którego władze, na skutek celibatu duchowieństwa, otrzymują ciągle dopływ świeżej krwi i nowych sił z szerokich warstw ludowych. Dlatego to ta wiekowa instytucja jest zawsze młoda. Czy tylko to, zapytać można, jest powodem, że instytucja Kościoła rzymsko-katolickiego trwa poprzez wszystkie burze dziejowe, jest wiecznie świeża i młoda? Czy może raczej to, że czerpie swą naukę z pobudek boskich a nie ludzkich?

Hitler czerpie zaś swoje wskazówki z najniższych instynktów ludzkich. Gdy dojdzie do władzy może zaprowadzić celibat swoich urzędników i oficerów, aby umożliwić „ciągły dopływ świeżej krwi ludowej" do warstw rządzących. Może też, wzorem bolszewików, umożliwić kształcenie się w wyższych szkołach tylko dzieciom „rodowego proletarjatu", na trwałość głoszonych przez niego haseł nie będzie to miało wpływu.

* * *

Odnośnie przyszłej niemieckiej polityki zewnętrznej, oświadcza Hitler, że bez względu na jakiekolwiek okoliczności, musi ona kierować się na wschód po nowe tereny i ziemie. Program pozostaje mniej więcej ten sam jak i przed wojną, z tą tylko różnicą, że przedewszystkiem muszą wrócić ludowi utracone siły, a państwo powinno odzyskać swe dawne stanowisko mocarstwowe, co da praktyczne możliwości przeprowadzenia polityki zagranicznej, niezbędnej dla rozwoju i wyżywienia narodu. Odzyskanie utraconych terenów nie nastąpi jako skutek wypowiadanych życzeń, lub łzawych protestów, lecz wyłącznie przez użycie siły potężnego kraju macierzystego. Zadecyduje tutaj miecz, narodowo-socjalistyczna polityka wewnętrzna będzie kuć ten miecz, a zewnętrzna poszuka sprzymierzeńców w przyszłej walce. Sprzymierzeńcami mogą być tylko Anglja i Włochy, gdyż te państwa wchodzą w kolizję ze wzrastającą potęgą Francji, jako najsilniejszego mocarstwa kontynentu europejskiego i nie mają interesu w tem, aby Niemcy upadły ostatecznie. Raczej odwrotnie, Niemcy są tym państwom pożądane jako sojusznik silny dla przeciwstawienia się Francji w jej dążeniach rabunkowych. Polityka W. Brytanji w Europie polegała zawsze na niedopuszczaniu do zbytniego wzrostu potęgi jednego państwa, dąży ona jakby do „zbałkanizowania" Europy, gdy tymczasem Francja dąży do rozbicia niemieckiego państwa na drobne, bezsilne, skłócone pomiędzy sobą państewka, aby nad niemi zapanować i zająć trwale lewy brzeg Renu. Anglja obawia się Niemiec jako mocarstwa światowego, Francja natomiast nie życzy sobie wogóle Niemiec jako państwa. Podobnie Włochy w swej polityce śródziemno-morskiej natrafiają na Francję jako przeciwnika i zawsze ich polityka będzie zmierzała do osłabienia Francji. W stosunkach niemiecko-włoskich wyłania się wprawdzie kwestja południowego Tyrolu, ale trzeba być politykiem realnym, skoro 7 miljonów Niemców pozostało poza granicami Reichu, to dla 200 tysięcy Tyrolczyków nie można wyrzekać się sprzymierzeńca i popadać w błędy przedwojenne, gdy Niemcy walczyli sami za siebie i swych niedołężnych sojuszników. Obecnie trzeba poznać przedewszystkiem najniebezpieczniejszego przeciwnika i zebrać siły dla jego pokona-

nia, potomność wybaczy nam, skoro tego dokonamy, opuszczenia południowych Tyrolczyków.

Tymczasem międzynarodowe żydostwo judzi świat przeciw Niemcom, dążąc do ich zniszczenia przy pomocy marksizmu i giełdy. W Anglji i Włoszech rzuca się w oczy wyraźna różnica poglądów prawdziwej miejscowej racji stanu i żydowskiego giełdziarstwa. Tylko we Francji istnieje harmonja giełdy z rządem i w tem leży niebezpieczeństwo dla Niemiec. Dlatego Francja będzie naszym najstraszniejszym wrogiem, pieni się Hitler. Ten upadający rasowo naród w połączeniu z żydowstwem stanowi niebezpieczeństwo dla białej rasy w Europie. To, co Francja wyczynia z murzynami, jest grzechem przeciw białej ludności i kiedyś zemści się okrutnie na tym narodzie. My Niemcy jesteśmy powołani, aby temu położyć koniec. Traktaty pokojowe, których postanowienia smagają narody jakby biczem, równocześnie grają alarm do powstania. W odpowiedzi na sadystyczny traktat wersalski będziemy my, narodowi-socjaliści, tak długo podniecali 60 miljonowy niemiecki naród, aż z nienawiści i wstydu powstanie morze płomieni, w którego żarze wykuje się stalowa wola w okrzyku: my chcemy broni! Dzisiaj jeszcze inne narody widzą w nas posłuszne psy, liżące rękę, która je obiła. Z takiem państwem nikt przymierza zawrzeć nie zechce.

Niemcy nie mają prawa jeszcze teraz występować ze skargami na inne narody, dopóki nie pociągnęły do odpowiedzialności własnych zbrodniarzy, którzy byli na żołdzie wrogiej propagandy i sprzedali państwo za 30 srebrników. Najpierw zabierzemy się do nich. Potem nie będziemy rozpraszali sił na drobniejsze sprawy, ale skoncentrujemy całą naszą wolę i siły fizyczne, aby zadać cios prosto w serce najgorszego przeciwnika. Nie powtórzymy starych błędów, znajdziemy sobie sprzymierzeńców. To głupcy mówią: Anglja wzięła nasze kolonje, Włochy Tyrol południowy, Francja Alzację, z Polską lub Czechosłowacją — niemożliwe, niema wobec tego dla nas sojuszników w Europie. Dlatego powtarzam, woła Hitler, że naszymi sojusznikami mogą i muszą być Anglja i Włochy, narazie zrezygnujemy ze stanowiska wszechświatowego, politykę swą skierujemy przeciw Francji

i w kierunku zdobywania ziem na wschodzie. Tylko wielkie przestrzenie ziemi, które możemy pozyskać na wschodzie, zapewnić mogą swobodny rozwój i istnienie niemieckiemu ludowi. Stosunek ludności do zajmowanego obszaru jest w Niemczech bardzo niekorzystny i narazie nie są Niemcy wcale mocarstwem światowem. Posiadłości wielkobrytyjskie zajmują prawie $^1/_4$ świata, Rosja, Chiny i Stany Zjednoczone stanowią kolosy wielokrotnie większe od Niemiec obecnych. Francja również musi być uważana za mocarstwo światowe, dzięki swym kolonjom, chociaż upada rasowo i staje się coraz bardziej afrykańskiem państwem w Europie, narazie nie może być porównywana z Niemcami, ale za 200—300 lat będzie ona państwem mulatów i wypełni ziemie od „Kongo do Renu", zwyrodniałą rasą.

Partja narodowo-socjalistyczna po dojściu do władzy z całą energją dążyć będzie do powiększenia obszarów i terenów niemieckich. Zdobycie takowych będzie celem polityki zewnętrznej. Wysuwanie żądania powrotu do granic z 1914 roku jest głupstwem, prawie zbrodnią względem ludu. Te granice nie były logiczne, gdyż były one dziełem przypadkowych kombinacyj. Tylko u ograniczonych niemieckich polityków horyzont nie sięga poza te granice, gadają oni dużo o tem i prowokują w ten sposób państwa, które ciągną zyski z upadku Niemiec do antyniemieckiej koalicji. W rzeczywistości granice 1914 r. nie odpowiadają przyszłości narodu niemieckiego ani politycznie, ani pod względem wyżywienia, ani bezpieczeństwa. Dla odzyskania granic 1914 roku byłoby szkoda krwi naszego ludu. Granice państw potworzyli ludzie i ludzie je zmieniają. Tak jak przodkowie nasi ziemie, na których obecnie siedzimy, nie otrzymali jako dar nieba, lecz je wywalczyli, tak samo i nam zwycięski miecz zapewnić musi ziemie i wyżywienie. Obowiązek zdobywania ziemi jest naszem prawem, gdyż inaczej naród niemiecki zginie. Nie chodzi tu przecież o murzyński narodek, lecz o germańską macierz całego życia (dosłownie „germanische Mutter all des Lebens"), która dzisiejszemu światu nadała jego kulturalną postać!

W ten sposób my, narodowi socjaliści, przekreślamy naszą politykę przedwojenną zagraniczną i stajemy tam,

gdzie byliśmy przed sześciuset laty. Zatrzymujemy nasz pochód na zachód i południe i kierujemy wzrok na wschód. Zamykamy okres polityki kolonjalnej i handlowej, przechodząc do polityki przyszłości na roli ku wschodowi. Kto dzisiaj myśli o nowych terenach w Europie, musi zwrócić się na wschód ku Rosji i jej podległym (?) państwom kresowym. Los sprzyja nam, bolszewizm wyniszczył bowiem w Rosji całkowicie inteligencję, która prowadziła to państwo i gwarantowała jego niepodległość. Cała państwowość rosyjska nie była dowodem umiejętności Słowian do rządzenia państwem, lecz przedziwnym przykładem organizacyjnej i twórczej działalności germańskiego elementu nad niższą rasą. Niżej stojące narody z germańskimi organizatorami jako panami i kierownikami na czele tworzyły często potężne państwa, które trwały tak długo, dopóki zdrowy był rasowy rdzeń rasy twórczej. Od setek lat pobierała Rosja z germańskiego rdzenia kierowników nawy państwowej, dzisiaj niema już ich, na kierowników przyszli żydzi. Kraj ten nie może otrząsnąć się z żydowskiego jarzma, żydzi natomiast nie mogą państwa zorganizować, gdyż nie są elementem twórczym, lecz fermentem rozkładającym. Olbrzymie państwo na wschodzie dojrzewa do upadku, koniec panowania żydów w Sowietach będzie końcem Rosji jako państwa. Jeszcze będziemy świadkami załamania tego komunistycznego systemu, co będzie potwierdzeniem teorji o wartości i znaczeniu rasy. Wówczas niemiecki miecz przysporzy ziemi niemieckiemu pługowi!

Podobna polityka zewnętrzna, głoszona przez narodowych socjalistów, pisze Hitler, ma wielu przeciwników, powołujących się przedewszystkiem na Bismarka, który zawsze żądał od Niemiec bezwzględnie dobrych stosunków z Rosją. Tylko że obecna Rosja nie jest dawną Rosją i dzisiaj Bismark myślałby inaczej, napewno nie ważyłby się on na sojusz z państwem, które po utraceniu swych germańskich przewodników zdąża ku zagładzie. Sojusz wojskowy bolszewicko-niemiecki byłby sojuszem przeciw całej zachodniej Europie. Stałby się on bardzo prędko dla Niemiec katastrofą. Walka toczyłaby się prawdopodobnie na zachodnich ziemiach niemieckich, a rejon przemysłowy nadreński byłby przedmio-

tem ataków i podbojów przeciwników. Wszak pomiędzy Niemcami i Rosją leży państwo polskie, znajdujące się całkowicie w rękach Francji; aby choć jeden żołnierz rosyjski mógł przybyć na pomoc, najpierw musiałaby być pokonana Polska. Niemcy musiałyby wspomagać Rosję, tak jak wspomagały w wojnie światowej swych byłych sojuszników, ale dzisiaj nie są w stanie tego czynić.

Dlatego dla sojuszu bolszewicko-niemieckiego niema podstaw, a wojna podobna przeciw zachodowi stałaby się końcem Niemiec. Zawierać zaś sojusz, który nie prowadzi do wojny, niema najmniejszego celu i nie posiada on żadnej realnej wartości. Poza tem, nie zawiera się sojuszu ze złoczyńcami, którzy wymordowali miejscową inteligencję, przedstawiają system rządzenia bestjalstwem i kłamstwem, łupiestwem i rabunkiem, zmierzają do narzucenia światu swej tyrańskiej władzy a Niemcy wytknęli sobie jako najbliższą zdobycz.

Dawne Niemcy chciały za wszelką cenę zachować pokój światowy i ich ustępliwość względem Rosji była chorobliwa i pełna trwogi. Wzamian zato Niemcy były ciągle narażone na bezczelne wszechsłowiańskie prowokacje, pełne nienawiści względem Reichu i ludu niemieckiego. Pomimo to wówczas można było jeszcze prowadzić politykę zgody z Rosją, dzisiaj już tego czynić nie można.

Staje się jasne wobec powyższego, że sprzymierzeńcami Niemiec mogą być tylko Anglja i Włochy. Sojusz ten nie zmienia w niczem zasadniczej orjentacji niemieckiej na wschód, nie oznacza on jeszcze niebezpieczeństwa wojny, pozwoli jednak w spokoju poczynić przygotowania w ramach takiej koalicji do ostatecznego rozrachunku z Francją, tak albo inaczej. Rozbije się w ten sposób koalicję z wielkiej wojny, która nam zgotowała tyle nieszczęść, pociesza się Hitler, i zizoluje naszego śmiertelnego wroga, Francję. Wówczas otworzy się pole do działania przed trójprzymierzem angielsko-niemiecko-włoskiem i za jednym zamachem Niemcy wydobędą się ze swego poniżonego i nieznośnego stanu. To, co udało się Edwardowi VII pomimo sprzecznych (?) interesów poszczególnych państw, musi udać się nam również. Za każdą cenę musimy zniszczyć francuską

hegemonję w Europie i każde państwo, które, podobnie jak nas, dusi francuska żądza panowania na kontynencie europejskim, będzie naszym sprzymierzeńcem. Wyrzeczemy się wszystkiego, aby powalić nienawistnego wroga, ale po zdobycze pójdziemy na wschód.

W tem miejscu Hitler ogłasza uroczyście i z patosem „testament" niemiecko-narodowy dla polityki zewnętrznej, który *in extenso* podajemy:

„Nigdy nie dopuszczajcie do powstania dwóch mocarstw kontynentalnych w Europie. Każdą próbę utworzenia na granicach niemieckich państwa wojskowego uważajcie za napad na Niemcy i miejcie za swój obowiązek, nawet gdyby musiało przyjść do wojny, przeszkodzić powstaniu takiego państwa, jeżeli zaś już powstało, zniszczcie go. Nie uważajcie niemieckiego Reichu za zabezpieczony, dopóki każdej latorośli naszego ludu nie daje kawałka ziemi i gruntu. Na podstawę naszego bytu nie żądajcie kolonij, lecz ziem europejskich. Nie zapominajcie, że najświętszem prawem na tym świecie jest prawo na ziemię, którą się chce uprawiać a najświętszą ofiarą krew, którą trzeba przelać, aby tę ziemię posiąść".

Po wygłoszeniu tego bluźnierczego aktu bezbrzeżnej pychy i zaborczości, Hitler bez zająknienia twierdzi, że odwieczny konflikt francusko-niemiecki ma formę obrony przed napaściami francuskiemi. Dlatego, woła, dopóki Niemcy nie zrozumieją, że ich pasywna obrona prowadzi do ciągłego cofania się i nie doprowadza do aktywnego starcia z Francją, ten wiekowy spór zakończyć się nie może. Może on zakończyć się dopiero wtedy, gdy Francja będzie złamana, a Niemcy dostaną możność rozwoju na wschodzie. Niedawno jeszcze, woła Hitler, los dawał Niemcom okazję do podniesienia się. Było to wtedy, gdy w 1923 r. Francja na własną rękę, wbrew Anglji i Włochom, zajęła obszar Ruhry. Przez fakt, że największe w Europie kopalnie węgla i żelaza znalazły się w rękach francuskich, wszyscy dawni sojusznicy poczuli się zagrożeni. Dyplomacja i narody protestowały. Była to chwila, że dawni sprzymierzeni, podobnie jak to było po wojnie bałkańskiej, stali się wrogami. Gdyby rząd niemiecki potrafił wykorzystać tę chwilę i ten konflikt

pomiędzy aljantami, wejście Francuzów do Ruhry łatwo stać się mogło równoznaczne z wejściem Napoleona do Moskwy.

Tymczasem ówczesny rząd niemiecki dr. Cuno, zamiast pozwolić działać siłom narodowym, wzywał do porządku i spokoju, organizując bierny opór w kopalniach. Przypuszczał on zapewne po kupiecku, że skoro okupacja Ruhry okaże się złym interesem, to Francuzi z niej odejdą. Zamiast poza biernym oporem i strajkiem zbudować czynny front bojowy i wystąpić przeciw okupantom, czerwone związki zawodowe napełniły swoje kasy zapomogowemi pieniądzmi rządowemi, a bierny opór przeistoczył się w powszechne próżnowanie i patrjotyczną gadaninę. Czerwone hieny znowu oszukały patrjotyczne owce. Gadaniem nie podźwigną się Niemcy, nie odzyskają swego stanowiska w świecie, nie przyłączą oddzielonych braci jednej krwi, nie zdobędą nowych ziem. Obecne państwo niemieckie podeptało podstawy wiary i zaufania, wyzuło swych obywateli z praw, okradło wszystkich z ostatniego grosza, nie może ono niczego od nich się spodziewać prócz nienawiści. Nasza nienawiść względem zbrodniarzy przeciw ojczyźnie i ludowi znajdzie niebawem swe ujście!

Kończę na tem referat z przydługiego wylewu szału nacjonalistycznego Hitlera. Wspomniałem, że nam Polakom, nie przynosi on dużo nowego, uprzytamnia tylko to, co już przed tysiącem lat działo się na granicach polsko-niemieckich. Polityka „ausrotten" jest stara, znalazły się swego czasu siły, aby ją powstrzymać, znajdą się i na przyszłość. Publikacja Hitlera w swej brutalnej szczerości może nam pod tym względem oddać nieocenione usługi.

Dyskutować z Hitlerem nie można, tak jak nie można dyskutować z rabusiem, pragnącym cudzego dobra, lub ludożercą, który w myśl hitlerowskiego prawa „samozachowania" chce pożreć bliźniego. Takie bowiem zamiary względem nas żywi Hitler i jego towarzysze, nic innego, tylko zetrzeć z miejsca zajmowanego obecnie na kontynencie europejskim. Przypuszczalnie będziemy i my mieli wówczas coś do powiedzenia, tymczasem wskazać można na dużo faktów,

gdzie Hitler świadomie czy nieświadomie, a raczej to pierwsze, mija się z historyczną prawdą.

Niemcy nigdy nie były apostołem pokoju, lecz jego burzycielami. Bismark prowadził trzy zaborcze wojny, zakończone rabunkiem cudzych terenów. Również w r. 1914 poszły Niemcy po nowe zdobycze i podboje, czując się na to dosyć silne, aby walczyć na dwa fronty. Austro-Węgry nie prowadziły polityki słowiańskiej, lecz niemiecką, dyktowaną wprost z Berlina. Armja niemiecka nie załamała się naskutek rewolucji w kraju, lecz po szeregu klęsk na froncie zachodnim była pokonana. Miała ona decydujące sukcesy w walce z Rosją i Rumunją, nie miała takowych na froncie zachodnim. Była pobita już w r. 1914 w pierwszem wielkiem spotkaniu nad Marną, gdy została odrzucona od Paryża; pobita była znowu w tymże roku w dwutygodniowej walce nad Iserą, w t. zw. wyścigu do morza, zamierzając zająć przeprawy w kanale la Manche. Pobita była w wielomiesięcznej bitwie pod Verdun. Ostatecznie złamana jesienią 1918 r. była już bita i cofała się od kilku miesięcy na całym froncie, rozpadła się i zdemoralizowała po tych klęskach, a wódz jej naczelny, cesarz niemiecki, uciekł zagranicę jak dezerter. Za taki postępek kara śmierci czekała każdego landszturmistę, o tem feldfebel Hitler nie może nie wiedzieć.

Sprzymierzeni postąpili względem Niemców zbyt wielkodusznie. Nie weszli oni jak Niemcy w r. 1871 do stolicy pobitego kraju, gdyż chcieli dać ludowi niemieckiemu swobodę decyzji w sprawach wewnętrznych, wierząc, że lud ten szczerze wyrzeknie się hohenzollernowskiej i pruskiej polityki napaści na sąsiadów. Omylili się. Sukcesy polityczne Hitlera świadczą, niestety, inaczej, ale i świat teraz będzie na to patrzył inaczej, niż przed rokiem 1914.

Traktat wersalski oparty został na zasadach, które nie są jeszcze dostępne umysłowości podoficerów. Jest to zasada samostanowienia wyzwolonych mniejszych narodów. Dopóki Niemcy tej zasady nie zrozumieją i nie uznają, spotkają się zawsze z koalicją złączonych przeciw nim narodów. Tak samo i poglądy Hitlera na parlamentaryzm są słuszne tam tylko, gdzie lud do parlamentaryzmu jeszcze

nie dorósł. Bo parlamentaryzm ma wady, lecz nikt lepszego systemu rządu dotychczas nie wynalazł i nie uczyni tego Hitler swą „germańską" demokracją, czemś w rodzaju satrapji. Natomiast fakt, że wielką wojnę przetrzymały republiki i konstytucyjne monarchje, zaś trzy cesarstwa absolutne lub półabsolutne upadły, mówi wyraźnie sam za siebie, ale tylko do umysłów światłych. Klęska wojenna podziałała na Niemców nie otrzeźwiająco i pouczająco, lecz oszałamiająco, jak upadek na głowę z większej wysokości. Dumni i pyszni, nie bojąc się na świecie nikogo, poszli w 1914 r. po nowe zdobycze i panowanie nad światem — tymczasem spotkali się z nieprzewidywanym oporem i wojna zakończyła się olbrzymią ich klęską. Zostali zmuszeni do oddania dawnych wojennych zdobyczy. Równocześnie nastąpił wewnętrzny przewrót rewolucyjny, potem katastrofa finansowa, głównie dobrowolna, wreszcie dotkliwy i przewlekły kryzys gospodarczy, który trwa dotychczas. Teraz krzyczą histerycznie na cały świat, że dzieje im się krzywda. Skutki tych wszystkich nieszczęść wyrażają się w atakach szału, ich miano: hitleryzm. Ta nacjonalistyczna furja to dalszy smutny objaw coraz głębszego staczania się niemieckiego narodu, który istotnych przyczyn upadku swego nie umie zrozumieć, lecz jak dawniej zmierza do napaści na sąsiadów. Tylko, że dzisiaj brakuje mu po temu niezbędnych sił, pobite Niemcy są zubożałe, skłócone i opuszczone przez wszystkich. Umizgi w stronę Włoch i Anglji są śmieszne i pionek niemiecki może służyć tylko do szachowania Francji w drobnych sprzeczkach. Jeżeli naród niemiecki tego nie zrozumie i nie zaprzestanie polityki zaborczej, tem gorzej dla niego. Świat cywilizowany nie pozwoli na zapanowanie Hitlera, byłoby to bowiem jego zagładą. Przedtem Niemcy, prócz Boga, nie bali się nikogo, gdyby ich barbarzyńskie zamiary miały się urzeczywistnić choć w części, prawdopodobnie przestaliby się bać i Boga.

S. M.

Hitleryzm a religja.

I.

Hitleryzm jest bezsprzecznie najsilniejszym z prądów politycznych współczesnych Niemiec. Wie o tem świat cały, ale czy wszystkim wiadomo, czem jest ten ruch polityczny, który umiał sobie zyskać tak licznych zwolenników we wszystkich środowiskach społecznych? Jakie jest jego podstawowe założenie? Jakie cele? W jaki sposób mógł osiągnąć tak szybko powodzenie? Szukając odpowiedzi na te pytania, łatwo stwierdzamy jedno: hitleryzm jest nietylko ruchem politycznym, jego istota nie ogranicza się jedynie do dziedziny polityki.

Czemże więc jest? Światopoglądem? Filozofją? Może religją?

Chcąc dać na to odpowiedź, jesteśmy w kłopocie: wszakże kierunek ten tak wiele miejsca poświęca polityce: polityka na pierwszym w nim występuje planie. Jakże więc ruch, który umiał rozentuzjazmować dla polityki 15-to, 10-cio letnich chłopców, nie miałby być kierunkiem politycznym?

A jednak takie twierdzenie nie zadowalnia w zupełności! Może więc w prądzie tym kryją się różne myśli, „światopoglądy", „filozofje", których wspólną cechą charakterystyczną było to, że ośrodkiem ich koncepcyj nie są walory duchowe — „filozofja", która właściwie rezygnuje z filozofji, bo jej istota polegałaby na obniżeniu wartości istotnych, na zaprzeczeniu teoretycznem czy praktycznem czynnika duchowego.

To burzenie hierarchji istotnych wartości czyż nie może uchodzić za rys charakterystyczny czasów obecnych? Jest to

znamieniem ogólnem naszej epoki, że czynnik duchowy stracił swą wartość. A jednak mimo to w przyszłości historycy czasów dzisiejszych będą czynili próby, by dać obraz życia duchowego naszej epoki.

Obraz ten jednak nie będzie prawdopodobnie pochlebny dla naszego wieku, stwierdzi bowiem, że przeważna część dzisiejszych ludzi z większem zainteresowaniem odnosi się do auta, zapasów sportowych, foot-ballu, do kwestyj ekonomicznych i technicznych, niż do wieczystych walorów religji. Więc „życie duchowe" — bez ducha.

Obraz ten wykaże, mimo pozorów może zewnętrznie lecz złudnie lepszych, że istotne tradycje życia duchowego i kulturalnego kontynuuje dziś jedynie mniejszość, która nie wyciska swego piętna na współczesnej epoce, że życie prawdziwie duchowe naszych czasów ogranicza się do pewnego rodzaju ukrycia się dobrowolnego czy przymusowego, a może nawet odwrócenia się od prądów aktualnych, i że duch czasu, jego znamiona i tendencje zasadnicze to raczej negacja życia wewnętrznego, albo przynajmniej cechy, które nie mają nic wspólnego z tem, co nosi miano „duchowości".

Przyszłość nazwie nasz wiek „schyłkiem kultury", a najbardziej charakterystycznym symptomem tego obniżenia może być fakt, że nawet mieszkańcy wsi, tego dawnego źródła życia społecznego, rozpadają się w masę martwą, bezduszną i niema wątpliwości, że proces w tym kierunku postępuje. Dowodem tego jest rozpolitykowanie się wieśniaków, czego świadkami jesteśmy w Niemczech: niema już „ludu", „organizmu narodowego", naród rozkłada się. Trudno znaleźć nazwę na oznaczenie tego procesu — jego wyrazem zanik narodu, powstawanie zaś trzody, hordy.

A narodowy socjalizm czyż nie jest prawdopodobnie zewnętrznym wyrazem tego zjawiska, które się spełnia dzięki jakiemuś fatalizmowi, czy niezwalczonemu quasi-fatalizmowi?

Jakaś religja polityczna — wszak wiele jest dziś religij bez Boga — czy światopogląd, który umieszcza politykę w centrum i sercu swych spraw? lub paralela do bolszewizmu rosyjskiego?

Dla marksizmu bolszewickiego jedynie czynnik ekonomiczny ma znaczenie, wszystkiemu innemu zaprzecza on,

ekonomja jest dlań absolutem i miarą wszystkiego. Prymat ekonomji, techniki, pierwszeństwo polityki, to tylko pojedyncze odcienie jednej wielkiej herezji ogólnej, która jest chorobą naszego wieku.

Wartości nie zasługujące na uznanie albo błędne uznane za absolut, podczas gdy w słusznym porządku rzeczy nie może być inaczej, tylko pierwszeństwo trzeba oddać czynnikowi duchowemu: *prima anima.*

Lecz właśnie ta teza, tak jasna i istotna, doznaje zaprzeczenia i wzgardy. Powstaje zupełny chaos w hierarchji walorów, dzięki wysunięciu wartości drugo- lub trzeciorzędnych, a nawet czynników bezwartościowych na miejsce pierwsze i absolutne. A możliwe to jest tylko w epoce, w której panuje zamęt pojęć, zubożenie i upadek duchowy.

Pragnienie wciśnięcia tego ruchu narodowego socjalizmu w ramy ogólniejsze prądów i pojęć kulturalnych zmusza nas do zbyt długiego może wyjaśniania jego istoty. Łatwo spostrzec, że trudno posługiwać się w objaśnianiu tych pojęć nazwami sprecyzowanemi już i określonemi w dotychczasowym tradycyjnym sposobie — wszystkie przyjęte terminy okazują się mniej lub więcej niedokładne.

Przypatrzmy się rzeczy bliżej.

Powyżej powiedzieliśmy, że dla narodowego socjalizmu wszystkie walory stają się czynnikami służącemi polityce. Kierunek to może najbardziej skrajny, opowiadający się za socjalizmem państwowym. Państwo jest wszystkiem, jednostka sama w sobie nie ma żadnego znaczenia: oto ewangelja, głoszona otwarcie przez hitleryzm. Możnaby tu mówić o kulcie, o uwielbieniu państwa — ono jest źródłem prawa i wszelkiego obowiązku. Mieści się w takiem określeniu absolutne i zupełne zaprzeczenie wszelkiego prawa naturalnego i bożego. I narodowi socjaliści nie ukrywają wcale tego bałwochwalczego kultu pogańskiego dla państwa; wszechpotęga państwa ubóstwianego to pierwszy artykuł *creda* hitlerowskiego.

Nietrudno znaleźć źródło tej nieludzkiej koncepcji: tkwi ono w doktrynie Hegla.

A przecież nie państwo jako takie otaczają hitlerowcy kultem bożym — nie państwo, poza różnemi partjami poli-

tycznemi, państwo jako wcielenie całego narodu, ale państwo pojęte jako zespół ich zwolenników. Są oni najbardziej zaciekłymi wrogami państwa istniejącego, dzisiejszego, które uznaje równość wszystkich obywateli wobec prawa; ich państwo, państwo, które chcieliby stworzyć, ich *drittes Reich* byłoby utożsamieniem zupełnem państwa z ich partją.

Nie byłoby to państwo w pojęciu tradycyjnem, musiałoby ono ustąpić miejsca nowej strukturze: partji narodowo-socjalnej. Byłaby to zupełna analogja z Rosją bolszewicką; Niemcy podzieliłyby się na dwie kategorje: wszyscy niehitlerowcy znaleźliby się poza prawem, jak „burżuje" w Rosji bolszewickiej. Komu się to wydaje dziwne, nieprawdopodobne, niech sięgnie do programu konstytucyjnego partji narodowych socjalistów! Słowa tam nieco inne niż powyżej przytoczone, lecz kto potrafi je zrozumieć, wyczyta z nich sens jasny.

W tem „trzeciem państwie" wolność będzie w praktyce zniesiona. Państwo to rości sobie pretensje do tego, by być jedynym wychowawcą narodu: dzieci nie należą już do rodziców, ale do państwa. Będzie jedynie szkoła państwowa, szkoły prywatne i religijne będą zniesione i zabronione.[1])

Zrzeszenie narodowo-socjalnych nauczycieli *Nationalsozialistische Lehrerbund* opublikowało program szkolny — zbiór wytycznych dla organizowania nauki publicznej. Jest to konsekwentne zastosowanie centralnego dogmatu tego kierunku, a zawiera zasadnicze i świadome przeciwieństwo pod każdym względem do tych norm, których domaga się Kościół dla wychowania publicznego, wyrażonych w encyklice Ojca św. o wychowaniu chrześcijańskiem.

Więc wszechwładztwo zupełne państwa; państwo równa się partji hitlerowskiej. Nietrudno dostrzec, że w praktyce ten system niesie ze sobą tyranję pretorjanów Hitlera.

Narzuca się pytanie: jak się to dzieje, że tak wielka część narodu niemieckiego samorzutnie pragnie takiego kierunku?

Przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności może się prąd taki ustalić w narodzie wbrew jego woli, jak się to stało

---

[1]) *Nationalsozial. Lehrerzeitung*, 1930 nr. 4

w nieszczęśliwej Rosji. Dla narodów jednak przyzwyczajonych do tradycyj chrystjanizmu i pojęć wolności, urobionych przez chrześcijanizm, podobny kierunek myślenia jest właściwie niezrozumiały. Możliwość przyjęcia go w Niemczech da się chyba wytłumaczyć istnieniem ducha właściwego Prusakom, a napiętnowanego tak bezlitośnie przez wielkiego biskupa Kettelera. Prusacy umieli zaszczepić w swych poddanych ducha absolutnego podporządkowania się — instynktownego przekonania o prymacie państwa nad jednostkami.

Prawdą jest także, że burżuazja „liberalna" niemiecka (nie mówię o burżuazji katolickiej w krajach reńsko-westfalskich, o południowych Niemcach, które są zawsze bardzo wierne Kościołowi) była zawsze pozbawiona godności i jej poczucia, jej liberalizm nie miał nic wspólnego z pojęciem *libertas*, od którego to słowo pochodzi, jej wolność ograniczała się do nienawiści papieża, którą Luter zaszczepił w swych zwolennikach i która była jedynem dziedzictwem wiernie przekazywanem po herezjarsze z Wittenbergi.

Była to ta sama burżuazja, która gloryfikowała Bismarka, umożliwiała jego dzieło, a następnie ubóstwiała w sposób bałwochwalczy Wilhelma II. Ona to wznosiła pomniki, zbyt wymownie świadczące o zubożeniu i barbarzyńskości umysłów — budowle zbytkowne i olbrzymie, które tworzą nowe dzielnice miast niemieckich i wywołują przerażające zdumienie obcokrajowców, którzy je po raz pierwszy oglądają, tak brak im wszelkiego stylu i gustu, a imponują jedynie swoją kolosalnością.

Tradycje więc polityczne, społeczne i kulturalne burżuazji niemieckiej uległy w znacznej mierze rozkładowi i to tłumaczy wiele. Jest rzeczą niemal tragiczną, że właśnie ten naród, który w wiekach minionych posiadał tradycje może najsilniej wszczepione wolności, naród, w którym wolne miasta były ojczyzną mieszczaństwa, dając mu poczucie dumy i świadomość własnej godności, że ten właśnie naród mógł ulec takim bolesnym kataklizmom duchowym i kulturalnym. Burżuazja niemiecka nie umiała się oprzeć wpływom, idącym od wschodu Łaby. Tam, we właściwych Prusiech był rodzaj ludzi, predestynowanych, jeśli tak można

powiedzieć, do przyjęcia doktryny takiej jak hitleryzm. Hitleryzm wykazuje dowodnie, że burżuazja niemiecka, przynajmniej znaczna jej część upodabnia się w sposób znamienny do umysłowości pruskiej, którą tak często wyszydzali obcy, a niemniej także w krajach niepruskich samych Niemiec.

Można więc określić hitleryzm, jako samobójstwo polityczne, społeczne, moralne i kulturalne burżuazji niemieckiej. Zbiorowe to samobójstwo; burżuazja jako taka przestaje istnieć; — stając się hitlerjańską sama świadczy o swej śmierci.

Lecz jak to jest możliwe?

Rewolucja z roku 1918 odebrała drobnemu mieszczaństwu razem z najwyższym szefem wojny, „Allerhöchster Kriegsherr" (pojęcie trudne do oddania w innych językach, bo termin niemiecki wyraża niby jakieś zrównanie naczelnika spraw wojskowych z Bogiem) służalczą uległość wobec władzy wojskowej. Możnaby przypuszczać, że naród zatęskni w takiej chwili do odzyskania swych praw i szczęścia wolności. Rewolucja dała mu możność samodzielnego pokierowania swym losem, — lecz, gdy się widziało, jak naród niemiecki dążył do tego, by się tej samodzielności pozbyć, można było pomyśleć, że nie wiedział, co z nią począć. I jesteśmy świadkami widowiska opłakanego: demokracja sama siebie obala, całkiem zresztą legalnie.

Zapewne ta opłakana przemiana umysłowości burżuazji niemieckiej i tradycje społeczne i kulturalne pruskie tłumaczą w znacznej mierze, że teren był przygotowany do przyjęcia doktryny, która w praktyce schodzi do zupełnego zaprzeczenia wolności. Życie organiczne narodu rozkłada się — pozostaje jedynie gatunek „człowieka stadowego", który przeczuciem prymitywnem instynktownie wiedziony odkrywa łatwo i szybko podobieństwo swej umysłowości z doktryną i kierunkiem hitleryzmu.

Lecz to jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego. Prusy to nie Niemcy całe — Prusy właściwe to mniej więcej piąta lub czwarta część Niemiec — a antypatja do Prus była bardzo silna i wyraźna, zwłaszcza w Dolnej Saksonji, t. zn. w Hanowerze (protestanckim ale antypruskim), nad Renem

i w Westfalji, na południu Niemiec, nawet w Szlezwig-Holstein i w miastach hanzeatyckich, w Hesji, w Saksonji; w tych ostatnich krajach przynajmniej w środowiskach licznych zresztą i wpływowych, które pozostały wierne dawnym tradycjom, podczas gdy w powyżej wymienionych wrogi stosunek do Prus był prawie ogólny.

Faktem jest jednak, że socjalizm narodowy umiał zgrupować około swej idei zwolenników także w tych krajach i w tych środowiskach, które dawniej były mniej lub więcej oporne na zgubne wpływy pruskie.

Postaramy się wyjaśnić jak się to stało.

Nie chcemy tu uwypuklać licznych przyczyn zewnętrznych powodzenia hitleryzmu. Dla wielu przyłączenie się do tego kierunku nie było niczem innem, tylko aktem rozpaczy. Wielkie środowiska burżuazji średniej i małej zostały ekonomicznie zniszczone, państwo może nie dało im dostatecznej pomocy i to było w każdym razie okolicznością pomyślną dla propagandy radykalnego prądu.

Lecz nie w tem jeszcze istotny kryje się powód jego rozwoju. Trzeba nadto wyjaśnić warunki wewnętrzne, które umożliwiły powodzenie doktryny, obniżającej znaczenie jednostki, a ubóstwiającej państwo.

Czyż „Państwo" nie jest czemś martwem, sztucznem, biurokratycznem, mechanicznem, czemś, co trudno otoczyć aureolą mistyczną? Hegel ubóstwił wprawdzie państwo, ale nie potrafił dla tej myśli rozentuzjazmować mas, jego panteizm państwowy nie zyskał wyznawców wśród drobnych mieszczan, pracowników sklepowych i t. p. A to właśnie musimy podkreślić w hitleryzmie: w jego pojęciu państwo-bożyszcze ma znamię całkiem specjalne — jest ono oparte na rasie.

Wracamy do punktu zasadniczego, z któregośmy wyszli: hitleryzm to jedna z licznych form religji, pozbawionej pierwiastka bożego.

Zobaczymy to wkrótce dokładniej.

II.

Spróbujmy sformułować zasadniczy dogmat tej religji: jest nim ubóstwienie rasy „nordyckiej" czy germańskiej.

Rasa jest więc — jak okazuje ścisła analiza tego kierunku — wartością zasadniczą, absolutną, której wszystko inne się podporządkowuje. Naturalnie w praktyce schodzi do tego, że państwo jest czynnikiem górującym, bo rasa jako taka nie może nic czynić, nie może podbijać i zwyciężać jednostek, nie może wydzierać wychowania dzieci rodzicom i Kościołowi: widzialnem i dotykalnem jej narzędziem jest państwo. Uważamy, że tkwi w tem głęboka ironja, że właśnie w imię tej rasy, która jest może najbardziej indywidualizująca ze wszystkich, państwo-potwór bierze górę: państwo-niszczyciel wszelkiej wolności indywidualnej.

Byłby to może dowód — jak powyżej zaznaczono — że pionierzy hitleryzmu to nie germanie czystej krwi, ale mieszańcy germańsko-słowiańsko-mongolscy. Na to naprowadza studjum fizjognomji niejednego z nich!

Nie przesadziliśmy mówiąc, że narodowy socjalizm to światopogląd, religja (lub raczej namiastka religji). Jedno z pism o charakterze dogmatycznym, traktujące o tej religji: *Wesen, Grundsätze und Ziele der N. S. D. A. P.* (str. 43) oświadcza w sposób stanowczy, że narodowo-socjalizm chce być światopoglądem — hitleryzm więc sam ogłasza i rości sobie pretensje do tego, by być czemś więcej, niż ruchem czysto politycznym.

Wedle niego jedynie rasa północna ma istotne prawo do przyznania sobie przymiotu: „ludzkiej", inne, więc także śródziemnomorska, składają się z jednostek niżej od człowieka stojących. Wszystkie wielkie wartości duchowe, artystyczne, filozoficzne, jakiemi się cieszy ród ludzki, są — zdaniem hitleryzmu — wytworem ludzi północy. Pozostałe rasy nie mają siły twórczej, są *unschöpferisch*. Wszystkich wielkich ludzi całej ludzkości przywłaszcza sobie rasa germańska, naprz. Dantego. Podobne śmieszności czyta się na każdej stronie biblji narodowego socjalizmu p. t. *Mit XX wieku* Alfreda Rosenberga, nieomylnego proroka herezji i naczelnego redaktora monachijskiego organu samego Hitlera.

Filozofja narodowego socjalizmu jest więc kultem rasy, najskrajniejszym w swej formie, bo przyjmuje wszystkie konsekwencje, jakie stąd wynikają. Ludzkość jest w pojęciu tego prądu czystą abstrakcją. Rasy nie mogą się między

sobą zrozumieć, niema prawdy bezwzględnej — niema absolutu, któryby był miarodajny zawsze i wszędzie dla całej ludzkości. Relatywizm teoretyczny i praktyczny jest następstwem tych założeń, choć ukrywa się dosyć niezręcznie pod formą mniemanej wartości, absolutnej i niezniszczalnej walorów rasy północnej. Religja, obyczaje, zagadnienia społeczne, prawo, normy etyczne, ideał dobra, piękna, doskonałości, wszystko to pojęcia względne, wszystko jest wyrazem funkcji krwi. Na pierwszym planie ród — reszta od tego uzależniona. Nowa to odmiana dawnego dogmatu materjalistycznego: duch jest funkcją krwi. Wszystko tą drogą się wyjaśnia, wszystko układa się wedle praw dziedziczności biologicznej.

Nazwaliśmy narodowy socjalizm szczególnym objawem tych pseudo-religij, które opierają się na przewartościowaniu wartości. Centralną rzeczywistością religji narodowego socjalizmu jest nie Bóg, ale człowiek, pojęty nie jako jednostka i członek ludzkości, ale jako członek jednej jedynej rasy.

Gdy się zważy, że istota niereligijności nowoczesnej polega na zaprzeczeniu pierwiastka nadnaturalnego, a wyniesieniu czynnika ludzkiego, gdy się widzi, że poprzez wieki ostatnie snuje się kontrast między religją, t. zn. czcią dla Boga z jednej strony, a kultem ludzkości z drugiej, rasowość przedstawia się jako jedna z możliwości ubóstwienia człowieczeństwa — w każdym razie jest ona achrześcijańską, antychrześcijańską, pogańską, w specjalnem tego słowa znaczeniu „humanistyczną", naturalistyczną. Można ubóstwiać jednostkę (indywidualizm), można ubóstwiać ludzkość (humanitaryzm); „rasyzm religijny" narodowych socjalistów jest trzecim rodzajem tej teofobji.

Zanim przejdziemy dalej, chcielibyśmy podkreślić jedną z najbardziej znamiennych konsekwencyj, do których wiedzie uznanie rasy jako waloru absolutnego.

Czytelnik polski zaledwie zdoła temu uwierzyć: narodowi-socjaliści są zwolennikami poligamji. Bezwątpienia oni sami oburzyliby się bardzo na takie sformułowanie rzeczy, ale istotnie to, co chcą zrealizować równa się wielożeństwu. Rosenberg w swem dziele cytowanem (str. 558) proponuje

w sposób całkiem otwarty wprowadzenie wielożeństwa, lecz naturalnie prawo pojmowania kilku żon będzie zastrzeżone jednostkom zdolnym do przekazania swym potomkom cech wartościowych (Träger wertvoller Erbanlagen"), byliby to więc może naczelnicy partji hitlerowskiej, którzyby zakładali haremy germańskie.

A jednak mówi się też o ogólnym doborze naturalnym, jak to jest w świecie zwierzęcym, by tą drogą przyczyniać się do stwarzania jednostek genjalnych. Rasy mniejszej wartości, które żyją w Niemczech, nie będą miały prawa rozwoju — różne środki mają służyć temu celowi. Dla rozprzestrzenienia zaś rasy północnej wszystkie środki będą użyte. Będzie równość bezwzględna między dziećmi prawnemi i nieprawnemi, dla kobiety nieślubnej nie będzie ujmą mieć dziecko lub dzieci — przeciwnie będzie ona miała prawo do wdzięczności ze strony narodu, [1]) tymczasem kobieta bezdzietna, zamężna, czy nie, będzie uchodziła za członka mniej wartościowego w społeczeństwie.

Piękne perspektywy! Lecz są jeszcze inne. Hitler sam jest propagatorem zabijania masowego dzieci. Na kongresie w Norymberdze powiedział dosłownie: „gdyby Niemcy miały rocznie miljon dzieci i gdyby się z pośród nich usunęło 700.000 do 800.000 najsłabszych, w rezultacie byłoby to zwiększeniem sił narodu".[2]) Również sam Hitler jest szerzycielem idei obowiązkowego samobójstwa słabych i chorych — nawet ciężko okaleczeni inwalidzi wojenni mają prawo położyć kres swemu już nieużytecznemu życiu. [3])

Sądzimy, że te przykłady dobrze rzecz ilustrują, zresztą Hitler i Rosenberg są tylko konsekwentni w swych rozumowaniach, bo gdy się twierdzi, że wartość ma tylko rasa, a nie jednostka, dochodzi się praktycznie do podobnych wniosków. Niema wątpliwości co do tego, że ruch hitlerowski ma charakter nietylko antychrześcijański, ale wogóle głęboko antyreligijny. „Mit krwi" jest specjalnym odcieniem

---

[1]) Rosenberg, *op. cit.*, str. 558.
[2]) *Völkischer Beobachter*, str. 181 z 7 sierpnia 1929.
[3]) Hitler, *Mein Kampf* str. 45 i nn.

materjalizmu. Błędnie się chlubi hitleryzm, że stanął ponad materjalistyczną koncepcją marksizmu. Prawda, że to już nie „mit maszyny i techniki" — miejsce mechanizmu martwego i warunków ekonomicznych zajął żywy człowiek — to pewna zasługa — lecz nie bierze się tu pod uwagę człowieka całego. Człowiek składa się z duszy i ciała — teorja rasy zaś nic innego nie czyni, tylko stawia, obok materjalizmu, który dzieje ludzkości pojmuje jako wytwór mechanizmu, inny materjalizm, bardziej subtelny wprawdzie i głębszy, materjalizm organiczny, który opiera się na biologji i antropologji. Żaden z tych kierunków czysto materjalistycznych nie potrafi zrozumieć w całej pełni prawdy historycznej ani kulturalnej.

Smutny to rezultat, który się stwierdza, przerzucając karty książki Rosenberga, „tego wielkiego katechizmu" hitlerowskiego. Jest więc ten kierunek czemś o wiele znaczniejszem, niż zwykły ruch polityczny — jest filozofją, która szuka odpowiedzi na wszystkie zagadnienia życiowe. Ponieważ kierunki niereligijne, które negują pierwiastek nadprzyrodzony, należą do dziedziny historji religij, socjalizm narodowy może kiedyś bardziej zainteresuje historyków myśli religijnej, niż historyków ruchów politycznych.

Istotnie to nowa religja, która się sroży przeciw religjom istniejącym i bez przesady można powiedzieć, że hitleryzm chce wprowadzić nową religję, która ma zastąpić chrystjanizm. Możnaby określić tę nową religję jako odrodzenie „wotanizmu", opartego na bezbożnej filozofji.

By się o tem przekonać, dość przerzucić podstawowe dzieła pionierów hitleryzmu: pisma samego Hitlera (choć ten jest nieco bardziej umiarkowany), Rosenberga, Bangerta, Lõpelmanna, Röventlov'a. Wszyscy podają projekty utworzenia nowego kościoła niemieckiego narodowego, bez dogmatów, — kościoła, który ma być odrodzeniem starożytnego kultu pogańskiego Wotana. Czasem, zwłaszcza gdy hitlerowcy propagują swą naukę w okolicach katolickich, starają się temu wszystkiemu zaprzeczać. Lecz „księgi święte" i oficjalne tej partji są aż nazbyt jasne i wyraźne. Najjaśniej wypowiada się Rosenberg, „prawa ręka Hitlera", w swem wielkiem dziele *Mit XX wieku*. Ten arcyprorok

nowej herezji oświadcza, że panowanie religji krzyża, wprowadzone niegdyż do Europy przez „histeryczną żonę Klodwiga", należy do rzeczy przeżytych (str. 638). „Katolicyzm, protestantyzm, judaizm powinny ustąpić miejsca nowemu poglądowi tak, by dawne religje poszły w zupełne zapomnienie, jak gaśnie kaganek, gdy nad górami zabłyśnie słońce poranku". [1])

Sercem nowej religji będzie Wotan, „obraz wieczny sił psychicznych człowieka północy, niemniej żywotny teraz, jak 5.000 lat temu. W nim kryje się pojęcie honoru i heroizmu — początek śpiewu (!!!), t. j. sztuki, trwałości prawa i nieustannego poszukiwania mądrości (więc jedynie poszukiwania!). Jako wieczny wędrowiec jest on symbolem duszy północnej, która szuka i wystarczając samej sobie, nigdy nie potrafi powrócić do Jehowy lub jego następcy". [2])

Program oficjalny i nieodwołalny partji narodowego socjalizmu, którego artykuł 24 odmawia formalnie prawnej wolności wszelkim „wyznaniom religijnym, które zagrażają państwu, albo sprzeciwiają się poczuciu moralnemu rasy germańskiej", został opublikowany w jednej i tej samej broszurze z urzędowym komentarzem pióra Gotfryda Federa. On to wyjaśnił istotny program, który nie pozostawia żadnych wątpliwości. Jest tam mowa o zagadnieniach, nadziejach, pragnieniach narodu niemieckiego, który kiedyś znajdzie nową formę dla poznania i wyczucia Boga („Gotterkentnis und Gotterlebniss").

Program, poprzednio wydany, był jeszcze silniejszy; czytamy w nim: „Bezwątpienia naród niemiecki znajdzie w przyszłości wyraz dla swej intuicji Boga — swe życie boże, tak, jak się go domaga krew północna. Bezwątpienia trójca krwi, wiary i państwa będzie doskonała". Niema potrzeby podkreślać podobnego bluźnierstwa. A jednak łatwo zgadnąć motyw, dla którego to straszne wyrażenie złagodzono później. Są bowiem starania, by zyskać dla hitleryzmu także te środowiska, które nie chcą opuścić Kościoła;

---

[1]) Rosenberg, cytowany w Gardemann-Winfried, *Christenkreuz oder Hakenkreuz?* Kolonja 1931 r.

[2]) Rosenberg, *loc. cit.* str. 637.

powyższe zaś wypowiedzenie się odsłoniłoby przedwcześnie ukryte myśli i intencje prądu. By więc nie zrazić tych środowisk, hitlerowcy oświadczają, że uznają „chrystjanizm pozytywny" — jest im to potrzebne, by zyskać dzielne jednostki, zbyt jednak łatwowierne. — Gdy te raz się opowiedzą jako zwolennicy, używa się środków, by ich sfanatyzować i wpoić im przekonanie narodowego socjalizmu w ten sposób, że i oni świadomie naginają swe dawne przekonania i zmieniają swe uczucia religijne.

Istnieje wiele stopni wprowadzania katechumenów narodowego socjalizmu do związku. Zaczyna się od postępowania w myśl pozytywnego chrystjanizmu, oświadczając, że narodowo-socjalizm będzie najlepszą zaporą przeciw komunizmowi i bolszewizmowi.

Pierwszą kartą, którą się potem śmiało pokazuje, a nawet z pośpiechem rzuca, znając całą doniosłość jej wpływu — to antysemityzm. Z powodzeniem piętnuje się potęgę ekonomiczną, wielki wpływ, jaki na rozkład kultury wywierają w społeczeństwie Żydzi. Lecz zamiast doszukiwać się źródła tego w pierwszym rzędzie w wynarodowieniu się i utracie religji Żyda nowoczesnego, potępia się Żydów jako rasę. Jest to zresztą bezpośrednią konsekwencją podkreślania „rasyzmu". Następny etap to obalenie Starego Testamentu, to też tylko konsekwencja — bo „dusza narodu, funkcja krwi rasy *(die rassengebündene Volksseele)* jest miarą wszystkich naszych myśli, pragnień, czynów — ostatnią miarą naszych wartości" [1]) Stary zaś testament nie jest wytworem duszy północnej, więc... Hitler sam dość jasno się wyraża: judaizm nie był nigdy prawdziwą religją, ale narodem o zdecydowanych rasowych właściwościach. Żądza jednak zysku sprawiła, że szukał on już w najdawniejszych czasach środka, by odwrócić uwagę niepożądaną od członków swego narodu. Jakiż środek mógł być skuteczniejszy od wysunięcia na pierwszy plan koncepcji zapożyczonej od społeczności religijnej? — w niej bowiem wszystko jest pożyczone, lepiej mówiąc ukradzione. Religja żydowska jest w pierwszym rzędzie zbiorem przepisów, ułożonych dla utrzymania

[1]) Rosenberg, *loc. cit.* str. 655.

czystości narodowej krwi, również dla unormowania stosunków w wielkiej mierze między samymi Żydami, niż między nimi a światem nie-żydowskim. Lecz i pod tym względem chodzi nietyle o problemy etyczne, ile o bardzo proste zagadnienia ekonomiczne. Są szczegółowe studja o wartości moralnej przepisów religji żydowskiej, które pozwalają w niej dostrzec religję niepokojącą i zgubną dla naszych koncepcyj aryjskich.[1]) Jehowa jest „bogiem-tyranem", demonem wyniesionym ponad Boga — istnym szatanem.[2]) Państwo narodowo-socjalne zniszczy Stary Testament: „Zginąć musi raz na zawsze t. zw. Stary Testament".[3]) Stanowisko, jakie państwo zajmie wobec różnych zrzeszeń religijnych, zależeć będzie od ich ustosunkowania się do Starego Testamentu, popierać zaś będzie i zasilać finansowo nową religję germańską.[4]) Ze szczególną nienawiścią zwracają się autorowie narodowego socjalizmu do św. Pawła apostoła, twierdząc, że on doktrynie Chrystusowej nadał piętno żydowskie.

Lecz pocóż zatrzymywać się na tym szczególe, skoro całe morze nienawiści i złości widnieje w pismach przeciw wszystkiemu, co należy do Kościoła katolickiego. Niczego nie oszczędzono: chrystjanizm pierwotny jest produktem błota zepsutych narodów syro-afrykańsko-romańskich, religją zacofania, która pochodząc ze wschodu wytworzyła sobie podkład wschodni, zachowując kulty magiczne.[5])

Poczucie grzechu jest oznaką zepsucia fizycznego,[6]) nauka o grzechu pierworodnym byłaby nie do pojęcia dla narodu o rasie niezepsutej.[7]) Wiara katolicka jest przeżytkiem wszystkich zabobonów syro-etruskich *(op. cit. passim)*, sakramenta są czarodziejskiemi zabobonami, natchnionemi przez „materjalizm magiczny".[8]) Papież jest wcieleniem nowoczesnym maga Etrusków.[9]) Papiestwo byłoby nie do

[1]) A. Hitler, *Mein Kampf*, str. 335 i nast.
[2]) Rosenberg, *l. cit.* str. 233.
[3]) Tamże, str. 566.
[4]) Tamże, str. 566.
[5]) Tamże, str. 230 i nstp.
[6]) Tamże, str. 73.
[7]) Tamże, str. 72.
[8]) Tamże, str. 157.
[9]) Tamże, str. 166, 371.

pomyślenia, gdyby nie utrzymały się przeżytki oddawna już martwych religij magicznych starożytności. Zwycięstwo chrystjanizmu ma oznaczać, że kasta księży panuje nad gromadą ludzi bez rasy, bez roli, która pojmuje swe życie jako dar boży, otrzymany za pośrednictwem wszystko mogącego Znachora. Przywódcy hitlerowców zebrali skrzętnie w wielkiem dziele wszystko błoto i truciznę, którą wylewały całe pokolenia heretyków na stolicę św. Piotra, nawet nie wzgardzili atakami nieudolnemi i kalumnjami po sto razy odpartemi, gdy się im wydały możliwe do spotęgowania ich nienawiści przeciw wiecznemu miastu. Soborowi watykańskiemu zawdzięczamy, według nich, dokument, najbardziej ubliżający ludzkości, mianowicie ogłoszenie dogmatu nieomylności papieża.[1])

Nic też dziwnego, że pionierzy hitleryzmu żywią szczególną nienawiść do zakonu Jezuitów. Według Rosenberga są oni awangardą Rzymu i zmierzają do zniszczenia jednostek autonomicznych i do unicestwienia osobowości. Niema absolutnie nic w religji katolickiej, coby uszło nienawiści hitlerowców. Odpusty, modlitwy za zmarłych, sakramenta, są wedle nich, czynnikami deprawującemi charakter i duszę.[2])

Jasną jest rzeczą, że ci, którzy ubóstwiają rasę germańską, muszą z nienawiścią odnosić się do uniwersalizmu Kościoła. Równość wobec Boga jest czemś okropnem dla tych, którzy rasy kolorowe stawiają narówni z małpami i odmawiają im nazwy ludzi. Z pogardą brutalną mówi Rosenberg o dwu biskupach murzynach, którzy celebrowali mszę św. na Kongresie eucharystycznym w Chicago.[3]) Hitler stara się wzbudzić pogardę dla dzieła misyjnego w Kościele.[4])

Hitleryzm jest również zdecydowanym wrogiem idei miłości chrześcijańskiej, nie chce wogóle słyszeć o etyce współczucia. Prawo miłości ma być zastąpione przez interes rasy, który nie uznaje współczucia dla cierpiącego; miłość bliźniego będzie obalona przez imperatyw demokratyczny. Chorzy i bezsilni są jednostkami bez wartości *(minderwertig)*,

[1]) Rosenberg, str. 173, 573.
[2]) Tamże, str. 564.
[3]) Tamże, str. 162.
[4]) Hitler, *Mein Kampf*, str. 445.

nie godzi się ich bytu podtrzymywać, trzeba pozwolić im zginąć.[1]) Miłość zniszczyła świat, jest ona doktryną, która spowodowała rozkład wszelkiego życia narodów i państw.[2]) Trzeba być ślepym, by nie dostrzec, jakie konsekwencje płyną z podobnych teoryj dla życia praktycznego. Nar.-socjalizm jest zupełnie konsekwentny, gdy widzi w Kościele największego swego, jeśli nie jedynego wroga. To, co kierunek ten chciałby zrealizować, byłoby obaleniem kompletnem Kościoła i zastąpieniem go przez państwo.

Nie będąc nawet prorokiem, śmiało można powiedzieć, że jeśli hitleryzm dojdzie do władzy, to podejmie nową i zaciętą walkę z Kościołem. Zresztą sam Hitler już ją zapowiedział. Jego słowa, rzucone na zebraniu pionierów partji w Weimarze: „gdy dojdę do władzy, Kościół katolicki w Niemczech nie będzie miał nic do powiedzenia, lecz, by cel swój osiągnąć, nie mogę się bez niego obejść", ogłoszone przez exhitlerowca Artura Dintera, nie zostały ani cofnięte, ani odwołane. Narodowy socjalizm dąży do tego, by przyśpieszyć epokę, w której urzeczywistnianie idei politycznych i kulturalnych katolicyzmu będzie uważane przez cały naród za zdradę stanu. Nie dziwmy się więc, że wielki prorok Hitlera szuka też w ten sposób usprawiedliwienia prześladowań chrześcijaństwa w starożytnem państwie rzymskiem. Uważa je za słuszne, gdyż wymierzone były przeciw instytucji, która zagrażała państwu[3]). Dwojaki więc będzie powód przyszłego „kulturkampfu". Kościół będzie przedmiotem ataków jako groźny przeciwnik idei wszechpotęgi państwa, powtóre jako główna przeszkoda przeciw wprowadzeniu nowej herezji: „neo-wotanizmu", nazwanego kościołem narodowym niemieckim. Słyszy się o niebywałych metodach tej przyszłej walki, ogłaszanych z cyniczną jawnością. Rosenberg już zapowiada, że w naszych miasteczkach statuy Najśw. Panny będą zastąpione przez pomniki żołnierza pruskiego.[4])

Nic więc też dziwnego, że już teraz mnożą się z dnia

[1]) Rosenberg, *op. cit.* str. 163 i n.
[2]) Tamże.
[3]) Tamże, str. 738.
[4]) Tamże, str. 578.

na dzień bandy narodowo-socjalistów, działające w duchu Rosenberga, napadające na księży katolickich.[1])

* * *

Jaki los spotka Niemcy w latach najbliższych, nie wiemy jeszcze. Groźne niebezpieczeństwo kryje się w tem, że ludzie, którzy reprezentują idee polityczne, kulturalne, społeczne, religijne prądu, przez nas scharakteryzowanego, sięgają po władzę. Najbliższa przyszłość będzie dla Niemiec prawdopodobnie epoką wielkich doświadczeń i strasznych przejść. Możliwe jest nawet, że Kościół katolicki w Niemczech stanie się wkrótce Kościołem męczenników. Pionierzy hitlerowcy nie ukrywają tego wcale, że mają wielką ochotę naśladować Neronów, Decjuszów i Callesów. Katolicy niemieccy jednak gotują się na przyjęcie tej walki i wierzą w ostateczne zwycięstwo chrześcijaństwa.

---

[1]) Długi spis podobnych zajść ogłosił N ö t g e s S. I., *Nationalsozialismus und Katholizismus*, str. 166—170.

A. van Dyle.

Nad głębiami „Wesela"

(Tragedja rzeczywistości polskiej).

1. Interpretacja pozytywistyczna.

Dziwne są losy tego utworu. Niema chyba w literaturze polskiej dzieła, któreby mu dorównywało potęgą dramatycznego wyrazu. Niema również takiego, któreby, podobnie jak *Wesele,* od lat 30 w 100 pracach drukowanych komentowano, by rozwiązać zagadkę jego myśli przewodniej. I mimo tak olbrzymiego badawczego wysiłku zagadka ta nadal pozostaje zamknięta. Czyżby dlatego, że posiada styczność z tajemnicą bytu narodowego, lub może nawet bytu ludzkiego wogóle? W każdym bądź razie bardzo na czasie wznowił dyskusję w sprawie *Symboliki Wesela* (w pracy tak właśnie zatytułowanej) prof. dr. Stanisław Cywiński. Na czasie nietylko ze względu na formalną okazję 25 rocznicy zgonu Wyspiańskiego, lecz bodaj także dlatego, że zagadka bytu narodowego, a nawet bytu całej cywilizowanej ludzkości, staje się w naszych czasach szczególnie piekącą. Warta jest przeto myślowego wysiłku i dociekań, choćby w zakresie tego jej literackiego odzwierciedlenia, jakie stanowi *Wesele.*

Praca prof. Cywińskiego jest cenna jako przejrzysta reasumcja obecnego stanu wiedzy o *Weselu* włącznie z własnemi do niej przyczynkami autora. Nietylko jednak (jakby tego autor może pragnął) nie zamyka ona dyskusji na „weselny" temat, lecz, przeciwnie, toruje jej drogę, wygładza pole, wyzywa do niej — wyraziście formułując pewną tezę, mającą w obecnem stadjum badawczem, pozór przewagi nad innemi. Jest to teza pozytywistyczno - antyromantyczna, która

symbolu dodatniego doszukuje się w Chochole, ujemnego zaś w Złotym Rogu.

Metoda, przy pomocy której prof. Cywiński tę tezę przeprowadza, znajduje się w tak bliskiem z nią pokrewieństwie, że wywołuje wrażenie, jakoby to ona głównie, owa „trzeźwa", archiwalno-erudycyjna metoda, pomimo całego swego objektywizmu, stała się subjektywną rodzicielką tezy.

Zaszczyt macierzyństwa pozytywistycznej interpretacji *Wesela* przypada zresztą nietylko prof. Cywińskiemu, ale zbiorowo całej grupie krytyków. Jak dalece jednostronna to metoda i duchowi utworu Wyspiańskiego przeciwstawna, o tem przekona się łatwo każdy estetycznie wrażliwszy czytelnik, jeśli po przeżyciu dramatycznej i plastycznej wspaniałości *Wesela* spróbuje bezpośrednio zanurzyć się w traktat prof. Cywińskiego. Bez złośliwości, lecz najzupełniej ściśle stwierdzić wypada, że się wtedy doznaje tak silnych wrażeń, jakby „z uniesienia w równe nogi skoczyć w studnię". Dzieło wielkiej sztuki to nie jest rozprawa naukowa czy publicystyczna, by do niej podchodzić można było od strony wyłącznie pojęciowego śledztwa. Tą drogą nie da się wyjaśnić pojęciowej treści, ukrytej pod tajemną mową symbolów. Pojęciowa treść symbolów pozostaje w najściślejszym organicznym związku z tychże symbolów, jakoteż obrazów plastycznych, erupcyj słownych, sytuacyj dramatycznych, potężną wymową wrażeniowo-wzruszeniową. Jeśli się zatem pragnie dotrzeć do ideowego jądra takiego wulkanu nastrojów i wizyj, jak *Wesele*, to żadną miarą nie można się ograniczyć do wyłuskiwania zeń samego tylko żwiru myśli, lecz analizę pojęciową należy kojarzyć z danemi analizy estetycznej.

Zresztą i w obrębie przyjętej przez się metody jednostronnego śledztwa pojęciowego prof. Cywiński staje się jeszcze powtórnie, w kwadracie, jednostronnym pod względem ilościowym. W pracy bowiem o *Symbolice Wesela* z pośród całego zespołu tajemnych znaków tej sztuki, (tak do szpiku kości ezoterycznej, że niektóre jej obrazy czynią wrażenie szyfrowego pisma, iluminowanego barwnym przepychem fantazji twórczej) w pracy o takiej sztuce prof. Cywiński wyrywa poprostu z symfonji symbolów dwa najbardziej uderzające, Złoty Róg i Chochoła, i usiłuje je poddać

sekcji analitycznej bez żadnego związku z całą symfonją. Wogóle jednak nieproporcjonalnie mało poświęca uwagi samemu *Weselu*. Zaprzątnięty jest rekonstrukcją światopoglądu Wyspiańskiego, dochodzeniem jego źródeł, oraz wytropieniem domniemanej w tym dramacie intencji czy tendencji twórcy. Jest to metoda ryzykowna także i dlatego, że w psychicznym procesie twórczym akty estetycznego odczucia i dramatycznego porywu mogą się niekiedy intensyfikować powyżej stanów świadomości intelektualnej. Wtedy powstają dzieła w rodzaju *Improwizacji* Konrada, czy *Widzenia ks. Piotra*, o których autor wie, równie jak słuchacze, że są estetycznie wspaniałe, ale o których znaczeniu symbolicznem mówić nie lubi... Wogóle podświadomość często towarzyszy aktom jasnowidztwa. Z drugiej strony nieraz dopiero potomni, po wielu latach, mogą na podstawie faktów stwierdzić, czy jasnowidztwo w danym razie miało istotnie miejsce.

Wyniki absolutnie pozaestetycznej metody prof. Cywińskiego są interesujące, o ile chodzi o rodowód i charakterystykę świata myśli Wyspiańskiego. Trudno się nie zgodzić z autorem, kiedy stwierdza, że Wyspiański był przedstawicielem pokolenia zawieszonego w próżni pomiędzy ostatniemi porywami powstańczemi a nową Polską, tą, która miała zostać przywrócona do niepodległości; że zapatrywał się krytycznie na wartość tego pokolenia jako ogniwa, które powinno być czynem, dobytym z rzeczywistości, nawiązywać łączność pomiędzy dodatniem dziedzictwem czasów minionych, a ową właśnie Polską nową, wyzwoloną; że pragnął wiązać ze sobą to, co było twórczego w dorobku romantyzmu i realizmu, odrzucając ich strony ujemne i t. d. Powyższa jednak charakterystyka Wyspiańskiego, źródłowo w pewnych kierunkach uzasadniona (Norwid — Teka Stańczyka), nie jest pełna. Ponadto prof. Cywiński nie wyciąga z niej dostatecznych wniosków przy analizie samego *Wesela*, jak rzekłem, zbyt pobieżnej. Dlatego wywód jego jest dość przekonywujący, o ile chodzi o prolegomena, trafny względnie, gdy określa budowę kompozycyjną dramatu, powierzchowny już przy interpretacji aktu pierwszego, a zawodzi najzupełniej gdy — pominąwszy podstawową, niezmiernie dla orjentacji w dramacie ważną, scenę z rycerzem w akcie

drugim — przechodzi do Wernyhory i Złotego Rogu. Wniosek wreszcie ostateczny, wbrew najpotężniejszej literackiej i plastycznej wymowie aktów drugiego i trzeciego, degraduje *Wesele* do rzędu bajecznie kolorowej fantazji z szarym morałem pozytywistycznym na końcu.

Wniosek ten, stanowiący swego rodzaju bluźnierstwo, nie znajduje dostatecznego uzasadnienia w bliższej analizie dramatu ani pod względem pojęciowym, ani estetycznym. Wniosek ten wcale też nie jest potrzebny dla harmonijnego rozwinięcia danych, dostarczonych przez prolegomena prof. Cywińskiego; aczkolwiek harmonizuje on dobrze z tem nastawieniem umysłowem autora, które zdradza obrana przezeń metoda. Metoda duchowo pokrewna owej pedagogice, co w szkołach średnich podobno naucza literatury pięknej zapomocą wykresów temperatury uczuć u bohaterów arcydzieł powieściowych. Metoda wyrosła z tego samego pseudoracjonalizmu, który Renanowi pozwalał ze sceptycznym uśmiechem przeczyć prawdzie stygmatów św. Franciszka; a który to racjonalizm łudzi obecnie swoich adeptów, że pierwiastek wieszczy naszej wielkiej poezji romantycznej został już roztrzaskany na szczątki.

2. Wyspiański i Matejko.

Wyspiański był naturą tyleż bogatą, ile złożoną, tak w zakresie uzdolnień artystycznych, jak skłonności umysłowych. Złożone było również środowisko i epoka, których wpływom podlegał. Twórca *Wesela* poświęcił się muzie teatru dlatego, że ona w równej potędze kojarzy ze sobą sztukę słowa i sztukę wzroku, literaturę i plastykę. Wyspiański był malarzem i poetą, a trudno orzec, czem więcej. W każdym razie do swej poezji wprowadzał bardzo silnie pierwiastek malarski. Jako malarz, był, podobnie do Matejki, zarazem realistą i dekoratorem, mniej jednak od mistrza swego dramatycznym w realizmie, a bardziej teatralnym w dekoracyjności. Matejko w malarstwie wyraził całą tragedję dziejów narodu, przyodzianą w dekoracyjny przepych bohaterskiego patosu. Dwoista, malarsko-literacka natura artystyczna Wyspiańskiego tragedję skoncentrowała w sztuce słowa,

przyodziewając je w świetny patos dekoracyjny plastycznej, malarskiej wizji teatru.

Jako uczeń i poniekąd duchowe dziecko Matejki, nie mógł Wyspiański nie być porwanym wichrową siłą jego realistycznych zjaw wielkiego dziejowego czynu i wielkich, dziejowych postaci. Na tem tle tytanicznej miary, na tle piorunowem, jak *Kazanie Skargi*, a najjaśniejszem, jak słońce chwały Batorego, jakże przyziemnem musiało mu się wydać oblicze duchowe otaczającej go współczesności! Swojemi oczyma malarza-realisty, dramaturga-obserwatora oglądał ją i odczuwał z przeraźliwie bolesną ścisłością. Sam ani na chwilę nie poddał się zatrutym wyziewom psychiki tego środowiska, niewolą i materjalizmem schorzałej, pod maską przekwitowego wyrafinowania, kryjącej nicość duchową i żądzę użycia. Przeciwnie, całym żarem artystycznej swej duszy znienawidził Wyspiański tę zniewoloną psychikę, niegodną wielkiej matejkowskiej przeszłości, psychikę pokolenia, w którem żył. Na takiem dopiero zkolei tle trafić mógł Wyspiańskiemu w pewnej mierze do przekonania również pozytywistyczny sceptycyzm szkoły krakowskiej, a zwłaszcza jego nastroje krytyczne wobec współczesności. Według prof. Cywińskiego zaczerpnąć je miał Wyspiański z artykułu Szujskiego *Poetyczni młodzieńce* z r. 1860. — Tu warto przypomnieć, że *Stańczyk* Matejki powstał w r. 1862, *Kazanie Skargi* w r. 1864, *Rejtan* w r. 1866, zaś *Teka Stańczyka* dopiero w 1869. Wielka poezja romantyczna, z trzecią częścią *Dziadów* na czele, to był okrzyk ugodzonej klęską listopadową duszy narodu, okrzyk nawspak rzeczywistości głoszący jej nieśmiertelność i zmartwychpowstanie. Był to zarazem najwznioślejszy protest wobec gwałtu, oraz świadectwo takiej głębi duchowej i takiej mocy twórczej w narodzie, że nieomal sam przez się ten wulkaniczny wybuch natchnienia kompensował polityczne nieszczęście.

Wielkie malarstwo Matejki z *Kazaniem Skargi* u szczytu, a *Batorym pod Pskowem* (1871) oraz *Wernyhorą* (1875) w doraźnym epilogu, było takim samym, jak wielka poezja romantyczna, buntem siły twórczej polskiego życia przeciwko drugiej zrzędu klęsce powstaniowej; buntem artystycznie i duchowo pierwszemu równorzędnym i niemal kompensu-

jącym polityczne nieszczęście. Ów piewszy w dziejach bohaterski zew duszy polskiej w malarstwie sięgnął może nawet głębiej ku istocie polskiej tragedji, bo musiał skojarzyć wstrząsający ton kasandryczny w wizjach przeszłości z równoczesną w nich i równoległą apoteozą wielkiego czynu i wielkich dziejowych postaci. W całokształcie twórczości Matejki ów ton tragicznie dodatni, ton podziwu, miłości i uwielbienia dla tego, co było wielkie, a wiary i nadziei wobec tego, co ma nadejść wielkie, ton kulminujący w *Baforym* i w *Wernyhorze* — bezwzględnie przeważa.

Tak odzwierciedliła się klęska 1863 r. w twórczym duchu Matejki, a jego zkolei twórczość nie mogła nie wywołać ech pokrewnych w duszy Wyspiańskiego. Ich obu jednak, Matejki i Wyspiańskiego, krytycyzm wobec przeszłości jest zupełnie innego rodzaju i miary, niźli (również z klęski powstaniowej, a pod wpływem tragicznych malarskich wizyj Matejki zrodzony) krytycyzm *Teki Stańczyka* oraz historycznej szkoły krakowskiej. W duszach współczesnego obu wielkim twórcom pokolenia, w duszach nawet nieprzeciętnych, jak Szujskiego, znalazło się tylko zbyt szczupłe, jednostronne miejsce dla wielkiej tragedji Polski. Ujęcie przeszłości przez szkołę krakowską odpowiadało nastrojom głównie kasandrycznym, pierwszych wielkich arcydzieł Matejki. Wobec wstrząsającej, ale i porywającej wymowy tych tragicznych widzeń szkoła historyczna krakowska zajęła stanowisko przedewszystkiem goryczy z powodu niepowrotności chwały minionej, stanowisko pozbawione mocy ducha, któraby się ośmieliła powrotu owej chwały pragnąć i do niej dążyć. Wręcz przeciwnie: trójlojalistyczna, skrajnie ugodowa, reakcja przeciwko szaleństwu powstań, stanowiła kamień węgielny stańczykowskiego światopoglądu. Smutny, zatruty kwiat pseudo-trzeźwości, powstały z nieprawego stosunku słabych dusz niewolnego Krakowa do matejkowskiej wizji majestatu dziejów. Trudno wątpić, że Wyspiański nie podzielał tej strony poglądów stańczykowskich. W *Weselu* stańczykowski przemożny ton niechęci do zmarłych winowajców niewoli, oraz niewiary w wyzwolenie, włożył w usta, z niewątpliwą kwalifikacją ujemną dziennikarzom w dialogu z widmem Stańczyka oraz innemu jeszcze z zdruzgotanych

moralnie inteligentów, panu młodemu, w scenie z widmem Hetmana:

Hetmaniłeś ty hetmanie...
a my dzisiaj w psiej niewoli...
przecz już nic nas nie ocali...
dzisiaj to mój dzień miłości...

W stosunku do przeszłości jako artysta wielkiej miary, duchowo pokrewny Matejce, nie mógł Wyspiański zachować się tak, jak stańczycy. Od Matejki oni wzięli tylko zwątpienie, on zaś przeciwnie, obok nienawiści do starych grzechów, powziął żywiołową tęsknotę za ideałem swego mistrza, za wielkim, twórczym dziejowym czynem. Zapragnął ów czyn niejako przesiedlić w teraźniejszość, by mógł posłużyć za pomost, łączący chwałę, która minęła, z chwałą zmartwychpowstania.

Nie wydał mu się godnem źródłem duchowem takiego czynu ów duch oszalałej rozpaczy, z którego wyrosły klęski listopada i stycznia. Tem samem musiał Wyspiański stać się wrogiem p o w i e r z c h o w n e g o kultu powstań i zwyrodniałej na tem tle pseudo-romantycznej, pseudo-patrjotycznej, pseudo-politycznej „tromtadracji". Tu zatem powstała styczność pomiędzy poglądami Wyspiańskiego, a stańczyków. Sięgnęła ona dalej we wspólnej Wyspiańskiemu i stańczykom niechęci przeciwko egzaltowanej, sentymentalnej czci już nietylko dla powstań, lecz wogóle dla przeszłości. Tylko, że u stańczyków ta postawa wywodziła się z pretensji do zmarłych, że się załamali w swoim wielkim dziejowym czynie i spowodowali beznadziejną niewolę: u stańczyków wiodła ta postawa do trójlojalizmu. U Wyspiańskiego natomiast ta postawa wyrażała również głęboki ton jego duszy, jednak to był ton wobec stańczykowskiego raczej odwrotny. Ponad nienawiścią do starych win, ponad boleścią nad dziedzicznem przez nie obciążeniem życia polskiego górował w duszy twórcy *Wesela* żal do żywych, iż — nieodrodni dziedzice grzechów przeszłości — jej mocy twórczej sprostać nie są godni i zdolni. Tęsknota za wielkim, świadomym czynem dziejowym, oraz za zdolnością żywego polskiego pokolenia do podjęcia takiego czynu panuje nad uczuciową, patrjotyczną i artystyczną indywidualnością Wyspiańskiego.

Prawda, że towarzyszy jej niewiara w tę zdolność, zdająca się znowu ściślej spokrewniać duszę wielkiego dramaturga z kasandrycznym tonem *Kazania Skargi* i *Rejtana*, oraz sceptycyzmem historycznej szkoły krakowskiej. Mimo to jednak pomiędzy temi trzema łożyskami reakcji duchowej polskiej wobec styczniowego powstania, pomiędzy Matejką, stańczykami i Wyspiańskim, zachodzą doniosłe różnice. Matejko, zapatrzony głównie w przeszłość, wkrótce zarzuca swój przepotężny początkowy kasandryzm, a podejmuje wielkie epos chwały, czerpiąc z niego wiarę w przyszłość. Stańczycy, zapatrzeni głównie w teraźniejszość, toną w ujemnej jednostronności krytycyzmu historycznego, trójlojalizmu politycznego i zwątpienia w przyszłość. Wreszcie Wyspiański, w poglądzie na przeszłość zbliżony więcej do Matejki niż do stańczyków, teraźniejszością gardzi, wzrok ma zwrócony najbardziej w przyszłość, a ze swej niewiary w żyjące pokolenie polskie wysnuwa pewnego rodzaju tragiczny, bojujący pesymizm czynny. Możnaby go skoncentrować w pytaniu: czy naród sprosta świtowi wolności przez Cud Zmartwychpowstania?

3. Wyspiański i sztuka.

Niezależnie zresztą od tego swego zasadniczego tonu uczuciowego i wypływających z niego trzeźwych, pod adresem żywej współczesności, pretensyj, sam Wyspiański jako artysta, w swojem nastawieniu twórczem, pozostał w dużej mierze „pogrobowcem romantyzmu". O bogactwie jego indywidualności, przerastającej Matejkę pod tym względem, świadczy fakt, że równolegle potrafił być posągowym klasykiem w dramatach greckich, lub w ilustracjach do *Iljady*. W *Nocy Listopadowej* zaś postawił przed oczy widzów przedziwny, jedyny w swoim rodzaju stop organiczny klasycyzmu z romantyzmem; a zarazem tragiczny obraz niedorośnięcia do wielkich zadań dziejowych generacji ówczesnej.

Wiele również miał Wyspiański do zarzucenia swoim współczesnym w zakresie ich stosunku do sztuki. Uważał, że jest on równie fałszywy, zgubny i naganny, jak stosunek do przeszłości i do teraźniejszości politycznej. Dzieje sztuki dowodzą, że, podobnie jak kult przodków, może ona żywić

ducha i tworzyć cywilizacje, albo też przeciwnie truć je i niszczyć. W bliskiem sąsiedztwie epok pierwotnych, o potężnej i wszechstronnie rozwiniętej sile żywotnej, w pośród wielkiego napięcia twórczości we wszystkich podstawowych dziedzinach życia, sztuka wzbija się w błękitne niebo Apollina, albo pod gwiaździsty tron Madonny i porywa człowieczeństwo na wyżyny wiecznotrwałych objawień Istoty Bytu. Tak klasycyzm grecki objawił duszę ludzką jako dziecię natury, gotyk zaś — jako dziecię Boga. Taką sztukę Wyspiański sam praktykował i czcił w Matejce i w sobie. Istnieje jednak również sztuka inna, nawet wielka, ale zgoła odmienna. Sztuka czarownego, zachwyconego umierania. Sztuka rozkosznej perwersji, wyrafinowanej deprawacji, „wzniosłego" kultu, „czyniącego światłość" ducha ciemności. Sztuka *des Fleurs du mal* Beaudelaire'a, Verlaine'a, Maeterlincka, Przybyszewskiego, nawet Tetmajera. Sztuka cywilizacyj i ras, które kończą swoją dziejową rolę, które się chylą do upadku. Sztuka narkotyzująca jak opium. Sztuka bezwładnego oddawania się w niewolę żądzy przedśmiertnego użycia pod hasłem *„après nous le deluge!"* Tej sztuce towarzyszy zawsze nagminny duchowy sybarytyzm egzaltacji estetycznej. Towarzyszy nagminna jego i jej ucieczka pod lucyferyczne skrzydła rozkoszy od wszystkiego, co w życiu jest twarde, co wymaga mocy i walki, a z czego jedynie powstawać może twórczość duchowa. Takiej właśnie sztuki i takiego do niej stosunku widział Wyspiański wiele naokół siebie i nienawidził ich ze wszystkich sił, bo niosły truciznę duszy polskiej i rasie polskiej.

Krótko mówiąc, Wyspiański kochał głęboko swój kraj i właśnie dlatego nienawidził fałszywego, blaszanego (Orły, kosy, szable, godła wszystko było maska podła!!!) tromtadrackiego *quasi* patrjotyzmu, czy „narodowego bałamuctwa" swoich współczesnych. Kochał, wielbił, lub bolał nad wielką narodową przeszłością, lecz właśnie dlatego nienawidził u współczesnych fałszywego stosunku do tejże przeszłości, przybierającego formę „kultu grobów" przy równoczesnej upartej kultywacji starych grzechów. Wreszcie Wyspiański kochał i wielbił wielką sztukę, przeto właśnie przyprawiało go o rozpacz dekadenckie, antytwórcze rozestety-

zowanie społeczeństwa, oraz sztuka je podtrzymująca. Z tego „trójliścia" zasadniczych skłonności duchowych Wyspiańskiego wynika jasno motyw przewodni jego ujemnego stosunku do nastrojów intelektualnych pokolenia, w którem żył, ale tylko w ograniczonej mierze do samych przedmiotów, ku którym się owe nastroje zwracały. „Przedmiotowa" niechęć Wyspiańskiego dotyczyła ujemnych stron rzeczywistości minionej, oraz dziedzicznego przez nie obciążenia pokoleń niewolnych. W dziedzinie sztuki zaś — jej objawów lucyferycznych.

O tem pożytecznie jest pamiętać przy czytaniu *Wesela,* jak również o tem, że Wyspiański był zawsze klasycznym wielbicielem twórczej mocy życia, oraz katolikiem. Stąd podwójna wiara w triumf życia nad śmiercią w znaczeniu doczesno-wegetacyjnem, oraz metafizyczno-religijnem. Jedna i druga z tych wiar niosła Wyspiańskiemu pociechę w jego pesymizmie wobec duchowej nędzy niewolnego pokolenia. Wszelako między wiarami temi zachodzi taka różnica, jak pomiędzy złocistym zachwytem chrześcijańskiej wiekuistej światłości, a beznadziejną szarzyzną klasycznych elizejskich, asfodelowych pól. I taka jeszcze różnica, jak pomiędzy realistyczną, matejkowską wizją wielkich potęg twórczych rzeczywistości dziejowej, a tą rzeczywistością nędzną, zakłamaną wobec samej siebie, wobec przeszłości i przyszłości, w jaką przyoblekło się współczesne Wyspiańskiemu życie. Tem niemniej, chociaż Wyspiański całą duszą wyrywa się ku takiemu właśnie realistycznemu ideałowi triumfującej, żywej potęgi twórczej, jaka spływała nań od matejkowskich olbrzymów ducha, to jednak nie zapomina on, iż owe szpetne, skarlone, nienaturalne, odrażające właściwości życia współczesnego, są jednak bądź co bądź właściwościami życia. A przeto wierzy, iż ono wyzwolone być może własną swą odrodzeńczą mocą za jakiejś przyszłej upragnionej wiosny.

Jest to dla Wyspiańskiego smutna „pociecha", pokorna wobec fatum, pełna poczucia, że tak być musi, a inaczej być nie może. Z drugiej strony nie jest wolna ta „pociecha" od niepewności, czy moc witalistyczna sama przez się starczy dla zastąpienia chrześcijańskiego cudu zmartwychwstania na żywot wiekuisty ducha poprzez wielki twórczy, rze-

czywisty, trzeźwy i świadomy, jak arcydzieła Matejki, czyn dziejowy.

Pomiędzy temi biegunami wiary chrześcijańskiej i wiary witalistycznej miota się w różnych utworach dwoista, romantyczno-klasyczna dusza Wyspiańskiego. W pesymizmie wobec mocy twórczej swoich współczesnych, w niewierze, by z padołów moralnego bezwładu zdołali się podnieść na wyżyny Cudu Zmartwychwstania, Wyspiański, zwłaszcza w *Weselu* i *Wyzwoleniu*, uderza potężnie w ton rozpaczy, zanim wreszcie smutną swą, wieszczą głowę złoży na asfodelach nadziei witalistycznej.

Jako katolik więc i podświadomy artystyczny „pogrobowiec romantyzmu", nie mógł i nie chciał twórca *Wesela* odmawiać Bogu prawa czynienia cudów także z narodem polskim. Natomiast domniemany i przewidywany stosunek współczesnego pokolenia do owego Cudu przedstawiał się Wyspiańskiemu i przedstawiony został przezeń jako synteza wszystkich tych rozkładowych nastawień wobec patrjotyzmu, wobec przeszłości i wobec sztuki, które tak gorąco potępiał w swojem środowisku.

Dla każdego jakkolwiek bądź trzeźwiejszego, a tem bardziej częściowo „stańczykującego" umysłu było zawsze jasnem, że Polska niepodległości wyłącznie o własnych tylko siłach odzyskać nie może, że zatem współdziałanie politycznego „cudu" jest wręcz nieodzowne. Tem bardziej jednak tragicznie zarysowywać się musiało na takiem tle pytanie: czy Polacy, Wyspiańskiemu współcześni, zdołają równie cudownie zmartwychpowstać w duchu, by w godny sposób związać czynem na miarę grunwaldzką Grunwald przeszłości z nadchodzącym nowym świtem? I jakby się też oni wogóle wobec takiego nowego świtu zachowali?

Negatywem kompozycyjnym *Wesela* jest społeczeństwo Wyspiańskiemu współczesne, pozytywem — trojaka rzeczywistość: teraźniejsza (wesele w Bronowicach), miniona (matejkowe i mickiewiczowskie wizje aktu drugiego), oraz przyszła (Wernyhora i cud zmartwychwstania w akcie drugim i trzecim). Pomiędzy tym negatywem i pozytywem rozwija się stosunek tragicznego starcia. Społeczeństwo nie jest zdolne godnie stanąć na poziomie wymagań twórczych tro-

jakiej rzeczywistości: ani teraźniejszej (zbliżenie stanów na weselu), ani minionej (Grunwald), ani przyszłej (Złoty Róg — wici na zmartwychwstanie wielkiego narodowego ducha i wielkiego narodowego czynu).

Na tem tle osnuty został dramat, tak wstrząsający, jakiemu równego — może poza *Wyzwoleniem* — nie zna literatura nasza.

4. Wesele w Bronowicach.

Akt pierwszy *Wesela*, jak powszechnie wiadomo, jest obrazem polskiej rzeczywistości. Rzeczywistość to dnia ówczesnego, z której wynurzył się właśnie fakt, w zasadzie wielki, zawierał bowiem możliwość istotnego zespolenia, zbratania i współdziałania stanów w służbie sprawy narodowej.

Polskie pokolenie współczesne, tak po stronie inteligencji, jak ludu, zajmuje wobec tego faktu stanowisko ujemne, egoistyczne. W szczegółach zarysowuje się tu wzajemny stosunek obu stanów, który stanowi w aktach następnych wtórny motyw przewodni dramatu, określający motyw naczelny, t. j. postawę duchową całego pokolenia wobec trojakiej rzeczywistości. Rysunek postaci, oraz scen w akcie pierwszym, jak zresztą w całym dramacie, jest realistycznie wyrazisty, ale i realistycznie, po malarsku, objektywny. Niema w nim akcentacji karykaturalnej, która mogłaby ułatwić widzom dostrzeganie cech i orjentację w ich wymowie; ten objektywizm (żywo przypominający portrety i studja figuralne Wyspiańskiego) wymaga od czytelnika pewnej specyficznej wrażliwości odczucia. Skutecznie przeto maskuje on tajemny sens *Wesela* wobec szerszego ogółu, a nawet literatów-nieplastyków.

Ze względu na brak miejsca nie mogę niestety i ja również poświęcić analizie *Wesela* tyle własnej i czytelnika uwagi, ileby należało. Należałoby właściwie przeinterpretować każdą scenę i każdy niemal ustęp, wprost bowiem niema między niemi takich, któreby nie dostarczały mniej lub więcej charakterystycznego materjału budowie dramatu. Ograniczę się do najznamienniejszych oraz najmniej dotąd wyjaśnionych. Odrazu we wstępnej scenie Czepca z dzien-

nikarzem ostro, wyraziście zarysowany został wybitnie nienormalny stosunek pomiędzy ludem, a inteligencją. Czepiec, najbardziej dodatnia z pośród cieleśnie żywych postaci dramatu, przedstawiciel starszego pokolenia chłopskiego, należy do tej części ludu, która istotnie miała jeszcze w sobie coś z Piasta, była „potęgą i basta". Czepiec garnie się do wiedzy i czynu, a od inteligenta domaga się natarczywie, ażeby go prowadził do jednego i drugiego. Zarazem stwierdza z wyrzutem, że inteligent tego nie chce i nie potrafi.

Pon się boją we wsi ruchu,
pon nos obśmiwajom w duchu. —
Z takich, jak my, był Głowacki...
A, jak myślę, ze panowie
duza by juz mogli mieć,
ino oni nie chcom chcieć!

Inteligencja zstępuje do ludu w chacie weselnej pod zupełnie innemi, a zupełnie jasnemi hasłami:

Raz dokoła, raz dokoła!...
Niech się stopi, niech się spali,
byle ładnie grajcy grali,
byle grali na wesele...
życie było zbyt zawiłe,
miło snami uciec z życia...
trzaby mieć ogromną siłę,
siłę jakąś tytaniczną,
żeby być czemś na tej wadze...
Spać, muzyka, granie, bajka...
to mi się do duszy nada...

Stopić się i spalić ma wielka sprawa zespolenia żywiołowej energji ludowej (Czepiec) ze światłą myślą kierowniczą inteligencji, jedynie zdolna doprowadzić naród do zmartwychwstania w duchu i w ciele. Stopić się ma w ogniu pogoni za osobistem użyciem weselników inteligentów i nieinteligentów. Albowiem i wśród ludu nie wszyscy są tego samego pokroju, co starsze pokolenie krakusów-kosynierów (Czepiec). Przeciwnie, młodsze pokolenie jest zupełnie odmienne. Panna młoda (chłopka), podobnie jak pan młody (inteligent), szuka w rodzinnem zbliżeniu z „panem" głównie osobistego szczęścia, choć nie obce jej jest również poczucie stanowego podniesienia. W każdym razie wykazuje

w tym kierunku żywy temperament, gdy mowa o pelerynce kanonickiej dla księdza, który „jest z chłopów"

Choć co dadzom:
ino te ciarachy twarde
trzaby stać i walić w morde...

Ksiądz aczkolwiek również wykazuje rozwinięte poczucie własnego interesu, jednak próbuje wskazywać młodej parze także jakąś wyższą, ponad dążenia osobiste, mającą z nich i ponad nie wyrastać, — „wielką rzecz". Spotyka się z żywym sprzeciwem pana młodego i kończy ostrzeżeniem: „A jak kto ręką sięgnie po co, a nie dostanie?..."

Szczególnie wyraziście już w pierwszym akcie zarysowuje się egoizm stanowy u męskiego przedstawiciela młodych włościan, ważnej w dramacie figury, drużby-Jaśka. W głowie ma tylko stanowe wyniesienie przez kontakt z „panami", naprzód towarzyski na weselu:

Ja bo się panienką pieszcze,
jak jakim świętym obrazkiem.

albo też nawet zgoła inaczej i o wiele poważniej. Stwierdziwszy że „te panny to z nas ino kpiom", śpiewa Jasiek, niezmiernie doniosłą w budowie dramatycznej *Wesela*, taką piosenkę:

Zdobyłem se pawich piór...
pawie pióra ładne,
pawie pióra kradne:
postawie se pański dwór!

Zdobędę se pański dwór,
wywleke se złota wór:
złoty wór wysypie
ludziskom przed ślipie:
nakupie se pawich piór!

Tutaj asystujemy przy narodzinach jednego z najważniejszych symbolów *Wesela*. „Pawie pióra" — to bynajmniej nietylko ogólno-ludzka próżność i błyskotliwość. To zarazem próżność, ale przedewszystkiem konkretny, egoistyczny interes osobisty, oraz stanowy, w pierwszej linji chłopów młodych, a także i szlachty.

Wobec tak ponuro, egoistycznie zarysowanego na weselu bronowickiem wzajemnego stosunku stanów, kryjącego

tragiczną sprzeczność interesów i dążeń, Wyspiański wysuwa pod obopólnym owych stanów adresem jakby sygnał ostrzegawczy. Ów sygnał zostaje nadany przez rzeczywistość niemniej realną niż współczesna, ale już minioną. Rzeczywistość to straszliwa: wspomnienie rzezi galicyjskiej, dokonanej w r. 1846 na szlachcie przez chłopów pod przewodem Szeli. Starszy chłop, ojciec, odżegnywa się od złego wspomnienia dziadowskiego w sposób dwuznaczny: „Nie wódź nas na pokuszenie, Panie Jezusie" i bodaj głównie dlatego, że i dla chłopów wynikła stąd „strasno podobno cholera". Ale dziad „kracze", iż

Hań kreślicie krzyż daremno!
Na czołach, jakby znaczone,
plamy czarne i plamy czerwone.
Odbywało się w czas zapust.

Tożsamo wspomnienie nawiedza potem weselników inteligentnych, gospodarza i pana młodego, niespodzianie wynurzając się z pośród osobistej ich weselnej uciechy:

Stroimy się w pawie pióra...
Myśmy wszystko zapomnieli
o tych mękach, nędzach...

Dziennikarz i poeta reprezentują w budowie dramatu intelekt, oraz uczucie twórcze współczesnego pokolenia polskiej inteligencji. Dlatego ważne są w pierwszym akcie zarówno ich wynurzenia wzajemne, jak z gospodarzem i panem młodym, oraz zetknięcie z Czepcem. Nie mam niestety możności zagłębiać się tu bliżej w charakterystykę tych postaci. Zaznaczę tylko, że dziennikarz i poeta mają stosunkowo wysoki ton duchowy, który jednak stanowczo nie dorasta do zadań, jakie wielka sprawa narodowa wysunęła na tle rodzinnego zbliżenia stanów w weselnej chacie. Poeta, aczkolwiek z natury mniej sceptyczny od dziennikarza, podchodzi do podstawowych zagadnień narodowych od strony fantazji literackiej:

Taki mi się snuje dramat
groźny, szumny, posuwisty,
jak polonez...
Bohater w zbrojej, skalisty,
przytem historja wesoła
a ogromnie przez to smutna.

„Wesołość" weselników w *Weselu* jest istotnie tragiczna... Poeta marzy nawet o bohaterstwie i ofierze, ale w stylu półfałszywego klasycyzmu, koturnowego, melodramatyzującego patosu (Corneille, Racine, albo Alma Tadeusza, Kotarbiński, ale nie śmierć Petronjusza w *Quo Vadis*). Toteż koniec końców, określa się poeta, jako: Pan żórawiec...

Zlatam, jak się ma na lato;
buduję se gniazdo z róż,
ciułam słomę z waszych strzech...
rozpatruję okolice:
daleko, czy blisko burz? —
Rośnie wtedy wszystko u mnie,
jak na próchnie, jak na trumnie,
pełno wszelakiego ziela,
które słońca żar aż spopiela...

Oczywiście mowa tu o trującej dekadenckiej sztuce. Na sąsiedniej zaś stronnicy słyszy poeta od Czepca słynne *verba veritatis*:

Ptok ptakowi nie jednaki...
Nie polezie orzeł w...., —
pon jest taki, a ja taki...

Żydzi w akcie pierwszym reprezentują z jednej strony pierwiastek trzeźwej obserwacji, z drugiej zaś jeszcze dalej niż u Polaków posuniętą praktyczną interesowność w ich współudziale w rzeczywistem życiu polskiem. Jako obserwator tedy, żyd karczmarz, ojciec Racheli, bez ogródek pali panu młodemu taką prawdę:

Jak będzie każdy patrzeć przed nos swój,
może co z tego będzie na inkszy raz...
No, pan się narodowo bałamuci...
Pan to przecie jutro zruci — ?

Jednym z najważniejszych momentów dramatu jest duchowy konkubinat poety z Rachelą. Z tego bowiem nieprawego związku poezji z utylitaryzmem, zawartego pod lucyferycznem błogosławieństwem estetyzujących żądz, powstaje ów najosobliwszy, realistyczno-poetycki, romantyczno-pozytywistyczny, trzeźwo-czarodziejski, ujemno-dodatni płód, zwierciadło i prawda życia polskiego, jeden z dwóch naczelnych symbolów *Wesela* — Chochoł.

Rachela wprowadza w skłóconą, poetyzującą, a zarazem

egoistycznie przyziemną atmosferę duchową *Wesela* ton, jeszcze namiętniej wyzyskujący nastroje poetyckie dla osobistego użycia, zwłaszcza zmysłowego:

I czegóż pani życzy?
Miodu, rozkoszy, słodyczy
miłości, roznamiętnienia
i szczęścia...
A gdyby tak szczęście łaskawsze
pożaliło się jej biedy?
Przestałabym marzyć wtedy...

Dodajmy: „bo demoniczne marzenie narodziłoby się wtedy ze mnie jako rzeczywistość". Jaskrawiej, niż ktokolwiek z pośród cieleśnie żywych postaci *Wesela*, kojarzy ta żydówka w swojej kakofonji psychicznej egoizm, utylitaryzm, zmysłowość, trafne poczucie rzeczywistości i literacką wyobraźnię. Taki bigos cech psychobiologicznych przedstawia na tle rzeczywistości polskiej wysoką potęgę witalistyczną, czynnik wzmagający odporność żywiołu życia w walce o byt. Poeta przyjmuje od narzucającej mu się na miłośnicę Racheli „list i klucz" i łączy swój wysoki, poetycki żórawi lot z jej żądzą zmysłowo-estetyzująco-trzeźwo-utylitarystyczną. Poeta kojarzy się z Rachelą słowami:

A włócz się poezjo, włócz,
od komory, do komory,
od ogrodu róż
do sadu tych śpiących drzew...

„Poczęcie" owego pomiotu staje się w słowach poety:

Jak pójdzie panienka...
to jej tęsknota i żal
udzieli się przyciętej słomie,
a z krzaka smutek i cień
udzieli się nieświadomie
panience...

Poczem następuje, dialog godny zalotów królowej Saby z Salomonem. Poeta mówi:

Ujrzę panią rad,
błądzącą przez mroczny sad...
pochyloną nad chochołem...
gdy ja będę w cieple stać

Na co Rachela odpowiada:

No, nie trza się o mnie bać;
nie przeziębi najgorszy mróz,
jeźli kto ma zapach róż:
owiną go w słomę zbóż,
A na wiosnę go odwiążą
i sam odkwitnie.

Oto są w *Weselu* — narodziny Chochoła. Z nich jasno wynika, że w samej Racheli, jako najbliższej rzeczywistości i najbardziej żywiołowej przedstawicielce estetyzującego pokolenia inteligencji, tkwi pierwiastek dodatni „zapach róż", pozwalający mieć nadzieję odkwitnięcia, jeżeli jednak znajdzie się ktoś, kto krzak róży „na wiosnę" odwiąże... Wartości witalistyczne dodatnie przejawiają się też w innych cieleśnie żywych postaciach *Wesela*. W tę wszakże ciemną i zimną noc dziejową niewoli muszą być spowite w szpetne chochoły nienawistnych Wyspiańskiemu i utrudniających wyzwolenie nastawień psychicznych społeczeństwa.

Te cechy są koniecznością ujemną, wypływającą z faktu niewoli, faktu współżycia z cywilizacją wielkomieszczańską XIX stulecia, oraz z faktu dziedzicznego obciążenia grzechami przeszłości, ale zarazem w pełnej mierze stanowią one wyraz przystosowania do trudnych i wrogich warunków niewolnego istnienia. O tyle też, z wielkiemi zastrzeżeniami, przyznaćby im można rolę pałuby słomianej, która w Chochole chroni jego część istotną i bezwzględnie dodatnią — róży krzak. Zatem złożony chochołowy symbol posiada charakter dodatni, głównie, jeśli nie wyłącznie, przez ów chroniony ale i skrępowany — róży krzak. Do pałuby, w danych warunkach historycznych koniecznej i nieuniknionej, zaliczyćby można owe cechy ujemne społeczeństwa weselnego, które najsilniej paraliżują jego zdolność świadomego, dodatniego dziejowego czynu. A więc dekadentyzm duchowy wobec teraźniejszości, wobec przeszłości, oraz wobec sztuki. Także egoizm stanowy i osobisty, dziedzictwo grzechów przeszłości historycznej. „Róży krzak" natomiast obejmowałby w pierwszym rzędzie i jako rdzeń najistotniejszy, choć najpierwotniejszy — moc biologiczną obu zasadniczych instynktów żywiołu życia: instynktu samozachowawczego

i zachowania gatunku; w drugim rzędzie pozytywistyczny realizm życiowy, w trzecim - duchową moc twórczą, taką jaka spływa na naród od dodatniej strony matejkowskiej rzeczywistości minionej. W „róży krzaku" z czasu niewoli te dodatnie pierwiastki bytu narodowego, oprócz najpierwotniejszych, pozostają uśpione snem zimowym.

W całości swej wzięty Chochoł istotnie odpowiada rzeczywistości polskiej w „noc ponurych wichrów łkań", która go na świat wydała. Rzeczywistość ta wprawdzie zawiera w sobie żywy rdzeń nadziei, ale zarazem wypełnia niepokojem, trwogą, męką i walką duszę Wyspiańskiego o to, kto i jak zdolnym mógłby się okazać do odegrania „na wiosnę", wobec chochoła polskiej rzeczywistości niewolnej, roli gospodarza, który z pod słomy uwolnił „róży krzak"? Kto mógłby wielkim świadomym czynem wyzwolić uśpioną, podświadomą moc dziejowo - twórczą narodu? Że to jest konieczne, to już w chwili „poczęcia" stwierdza chochołowa rodzicielka — Rachel. Inaczej bowiem spowicie, czasu zimy dziejowej nieuniknione, lecz nie zdjęte „na wiosnę", mogłoby zadusić „róży krzak", mimo całej jego mocy witalistycznej.

Tyle narazie o najistotniejszej stronie chochołowego symbolu. Wszakże ów żydowsko - poetycki, zmysłowo - estetyzujący, trzeźwo - fantastyczny, ujemno - dodatni, nadziejnopesymistyczny płód „nocy ponurych wichrów łkań" doniosłą odgrywa rolę jako *dramatis persona* również w innem jeszcze znaczeniu. Zrodzony podczas włóczęgi po komorach osobistego użycia poety z żydówką, nadaje się szczególnie jako narzędzie praktycznego wyzyskania artystycznej wyobraźni. Jego to mocą weselna rzeczywistość bronowicka podniesiona zostaje w akcie drugim na poziom wizji fantastycznej. Natomiast istotnie fantastycznej wizji nadana zostaje tak potężna realistyczna wyrazistość i dotykalność przejawów, że powstaje stąd nowa specyficzna płaszczyzna duchowa, na której twarzą w twarz, jako bezwzględnie sobie prawdą życiową równe, stanąć mogą teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Taka czarodziejska moc przekształcająca konieczna była w dramacie na to, ażeby, stwierdziwszy ujemny stosunek pokolenia współczesnego do współczesnej rzeczywistości, jego niemoc twórczą wobec wielkich

widoków, zawartych w bronowickiem weselu, — zkolei skonfrontować duchowo toż pokolenie z rzeczywistością minioną, oraz tą przyszłą, oczekiwaną i upragnioną. Chodziło Wyspiańskiemu o artystyczny eksperyment, któryby stwierdził, że współczesne mu pokolenie, niezdolne do podjęcia wielkich zadań w teraźniejszości, nie mogłoby również okazać się godnem wielkiej przeszłości i wielkiej przyszłości, nie mogłoby zatem skutecznie związać ich pomiędzy sobą. Zamiar ten wprowadza artysta w czyn mocą organicznego stopu wyobraźni z realną prawdą bytu — w chochole. Przedstawia postawę duchową współczesnych w jej całokształcie wobec rzeczywistości trojakiej: bieżącej, minionej i przyszłej.

5. Grunwaldzkie duchowe starcie.

Akt drugi otwiera, jak wiadomo, Chochoł oraz Isia, dziecko, które go nie rozumie i wypędza. Chochoł wyczarowuje na scenę rzeczywistość minioną. Naprzód zgodnie z naturą weselników przedewszystkiem ściśle osobistą — zmarłego narzeczonego Marysi. Następnie zaś kilka monumentalnych postaci dziejowych, psychicznie symetrycznych wobec szczytów społeczeństwa weselnego.

Są to postacie dodatnie oraz ujemne. Wszelako zarówno sam fakt ich wprowadzenia na scenę przez witalistycznie dodatnią siłę symboliczną Chochoła, jak niemniej ich własny, plastyczny i dramatyczny charakter, wyłączają dla nich rolę kompozycyjnego negatywu w dramacie. To nie są „chorobliwe fantasmagorje romantycznej wyobraźni", jak chce wielu pozytywistycznych interpretatorów *Wesela*. To matejkowska realistyczna wizja przeszłości i przyszłości w całej potędze swojego tragicznego majestatu staje twarzą w twarz z pokoleniem Wyspiańskiemu współczesnem, pozywa je na sąd Boży, na wielką próbę hartu i miary duchowej. Wszystko, co w tych scenach odnaleźć można jako rodem pochodzące np. z *Teki Stańczyka,* lub *Poetycznych młodzieńców* Szujskiego, służy jedynie dla zdruzgotania i zmiażdżenia postaci cieleśnie żywych przez potęgę duchową postaci wskrzeszonych. Taka jest myśl przewodnia owych scen.

Nikt bodaj z interpretatorów *Wesela* nie utrzymuje, że w jego kompozycyjnej budowie rolę ujemną „chorobliwej

fantasmagorji" odgrywa Stańczyk. Nietylko dlatego, że na wesele zstąpił on żywcem z płótna Matejki, na którem postać ma taką, że wszelką ujemną kwalifikację wyłącza, tak w ogólności, jak zwłaszcza u Wyspiańskiego. Ale niemniej również dlatego, że on to w pierwszem i najbardziej w oczy się rzucającem starciu ideowem z czołowym przedstawicielem polskiego współczesnego intelektu, z dziennikarzem, ściera go na miazgę i obraca w proch. W usta Stańczyka, „zawodowo" zgryźliwe i sarkastyczne, włożył Wyspiański zasadniczy pozytyw ideowy w stosunku do rozkładowego sceptycyzmu dziennikarza. Ów pozytyw dosięga szczytu we wspaniałej inkrustacji plastycznej, temiż samemi „błazeńskiemi" usty wstawionej w tęż samą scenę: w poetyckiej reprodukcji złocisto - purpurowego *Dzwonu Zygmuntowskiego* Matejki. Wobec niego negatyw stanowi, przepiękna również w pesymistycznych kirach, czarno - purpurowa elegja niewoli dusz polskich: „Moja krew, moja krew..." Obie partje tej sceny, intelekt rzeczywistości współczesnej, oraz intelekt rzeczywistości minionej, wyposażone zostały w tak wstrząsającą potęgę dramatycznego wyrazu, iż wykluczona jest pomiędzy niemi estetycznie i logicznie, jakakolwiek nierównorzędność pochodzenia, jakiekolwiek zasadnicze upośledzenie rzeczywistości wizyjnej wobec rzeczywistości realnej. Tem bardziej wobec wielkiej przewagi Stańczyka, wobec jego najwyższego zakazu, aby

Świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były!

Wobec ostatnich wreszcie stańczykowych, jak puginały w pierś polskiego naczelnego inteligenta wbitych morderczych słów:

Mąć tę narodową kadź,
serce truj, głowę trać!
Na Wesele! Na Wesele!

Nie dziw, że dziennikarz czuje się zdruzgotany:

Och w okropnej jestem poniewierce
po torturach mię duchowych włóczą...

Herezji pozytywistycznej o „fantasmagorjach chorobliwej wyobraźni" najwięcej fałszywego pokarmu dostarczyła może następna scena, drugie zrzędu starcie bojowe duchów

rzeczywistości cieleśnie żywej z duchem rzeczywistości minionej, lecz wskrzeszonej. Scena ta bowiem, pomiędzy rycerzem a poetą kończy się zdemaskowaniem rycerza, jako okrytego zbroją kościotrupa śmierci. Stąd zbyt prostolinijny wniosek, że przeszłość to śmierć, zabójcze tchnienie grobów.

Gruntownie błędnej interpretacji powyższej Wyspiański nie jest winien. Jego obraz jest w swoim realizmie wizyjnym równie wyrazisty, jasny, potężny i wymowny, jak *Grunwald* Matejki, z którego na scenę *Wesela* zstąpił ów rycerz pod przyłbicą. Ujemny stosunek autora do wizyjnej rzeczywistości Grunwaldu, jako wielkiego dziejowego czynu jest równie wyłączony, jak do wielkiej myśli dziejowej w osobie Stańczyka. Przypuszczenie, że rycerz grunwaldzki może być dla Wyspiańskiego „chorobliwą fantasmagorją" jest takim samym absurdem, jakgdyby ktoś chciał utrzymywać, że Matejko w *Bitwie pod Grunwaldem* kierował się tendencją, pokrewną tej, z którą Cerwantes pisał *Don Kichota*. Obraz Wyspiańskiego jest od obrazu Matejki tylko o tyle bardziej złożony i mniej jasny, o ile na jego akcję wpływ decydujący wywiera rzeczywistość współczesna w osobie poety.

Proszę tylko, należycie frazując, odczytać pierwszą partję sceny z rycerzem, a nikt ani na chwilę nie będzie wątpił, że to ziemia drży i ugina się pod kopytami ogromnych rumaków bojowych, niosących na grzbietach zastępy posągów z żelaza, że to uderzył nam w twarz wielki wicher twórczy dziejów, że to naprawdę

... grom,
zatrząsnął się cały dom.
Upomina się o swoje Umarła.
Szumem, gwarnością, zawrotem,
idzie ku nam z powrotem...

Że to naprawdę przed obliczem poety stanęła „umarłej zmartwychpowstała, a więc żywa Moc" i poetę, serce rzeczywistości współczesnej, wzywa, by z oną Mocą stał się jedno, by wraz z nią, jako jej równy i godny, przyodział pancerne blachy i „pochwycił kopiję i przeszedł"... Owa Moc bowiem to zarazem Zwiastun Świtu, co mówi:

wracam do dom w noc szczęśliwą,
w noc ponurych wichrów łkań.

Niosę dań, orężną dań...
przeparłem trumniska wieko,
czas bym wstał, czas bym wstał...

Tak więc w tej scenie w obliczu poety staje bynajmniej nie śmierć, lecz życie, minione, a wskrzeszone. Lub raczej takie życie, co pragnie, pożąda być wskrzeszonem o świcie zmartwychwstania i połączonem z przyszłością poprzez twórczą moc teraźniejszości. Życie minione na miarę olbrzymów mogłoby zostać wskrzeszone i wcielone w rzeczywistość jedynie przez duchy współczesne równej dawnym miary.

I tu właśnie spoczywa węzeł tragiczny tej sceny. Poeta, serce teraźniejszości, jest wprawdzie ptakiem wysokiego lotu, lubiącym i patrzeć daleko i kwilić tęsknie nad bólem własnym. Poeta lubi bohaterską pozę, poeta śni w pierwszym akcie i taką śmierć, któraby rodziła Moc i takiego dawnego rycerza

w pełnej zbroi,
co niczego się nie lęka...
a serce mu z bolów pęka
a on, z takiem sercem w zbroi,
zaklęty, u źródła stoi
i do mętów studni patrzy
i przegląda się we studni.
A gdy wody czerpnie ręką,
to mu woda się zabrudni...
więc mętów czerpa ze studni...

Jednak poeta, choć ptak wysokiego lotu, nie jest, jak z tych jego skłonności widać, orłem, co to nie polezie w... byle co... Poeta sam stwierdza, że jest tylko wątłym żórawiem. Toteż, gdy rzeczywistość Grunwaldu mocą chochołowego skojarzenia fantazji twórczej z realną koniecznością życia wskrzesza wobec poety naprawdę, gdy to już nie „taki mu się snuje dramat, groźny, szumny, posuwisty" ze skalistym bohaterem w zbrojej, ale rzeczywisty olbrzym pancerny przysunął się do poety twarzą w twarz i żąda odeń, bu mu i duchem i potęgą prawicy dorósł, to wówczas w odpowiedzi daje się słyszeć tylko żałosny klekot ptaka żórawia:

Łzy mnie pieką, łzy mnie pieką,
czemże bym ja tam być miał?

Serce poety okazuje się tą mętów pełną studnią, z której

rycerz w męce zaczerpnąć pragnie, ale zaczerpnąć nowego życia nie może, bo tam są właśnie tylko męty.

W całem *Weselu* niemasz sceny, w którejby wielkie zadanie powiązania wielkiego życia minionego z wielkiem życiem przyszłem poprzez wielkie życie teraźniejsze, załamało się tak rozpaczliwie w psychice współczesnego polskiego pokolenia, jak w scenie pomiędzy rycerzem a poetą. Poeta trzepoce się ze strachu, jak kurczak przychwycony żelazną ręką rycerza. Nie dziw, że to przerażone serce kurczęcia, lub choćby żórawia nie jest w stanie ożywić Ducha i Mocy Grunwaldu. Natomiast łatwo oddaje mu się to słabe serce w niewolę, pozwala się związać, chociaż go nie ożywia. A Grunwald, nieożywiony duchową z nim równorzędnością jego wielbicieli to właśnie tylko kult grobów... śmierć.

Jak nigdzie w całem *Weselu*, tak wyraźnie w tej scenie zarysowana została rozstrzygająca doniosłość postawy duchowej współczesnego pokolenia dla twórczego, lub nietwórczego stosunku do przeszłości. Można z niej czerpać moc życia, albo martwotę śmierci, zależnie od tego, z jaką się do niej własną duchową przystępuje siłą.

6. U jądra gęstwiny.

Dziennikarz jest mózgiem kanclerskim cieleśnie żywej rzeczywistości polskiej. Wyspiański nie zaszczyca go rozmową z Janem Zamojskim, lecz ze Stańczykiem — królewskim wprawdzie — ale bądź co bądź, błaznem. Stańczyk to sam drwiąco w początku rozmowy podkreśla. Poeta winienby być wielkim hetmanem serc cieleśnie żywej rzeczywistości polskiej. Wyspiański nie zaszczyca go rozmową z Zyndramem z Maszkowic, ani z Zawiszą z Garbowa, lecz tylko z szeregowym, choć pasowanyn, towarzyszem grunwaldzkiej mocy tworzenia dziejów przez wielki świadomy, narodowy czyn.

Gdy, mimo tej nierównorzędności osobistej pomiędzy przedstawicielami życia, które minęło, oraz rzeczywistości, która trwa, kanclerski mózg dziennikarza wychodzi ze starcia zdruzgotany, a hetmańskie serce poety, nie dotrzymawszy ciosu kopji, strącone z wysokiego łęku, na arkan

schwytane, zduszone i zdeptane, zapadło we „Śmierć i Noc" — wówczas w weselnej tragedji ponownie

padł grom,
zatrząsnął się cały dom,
Upomina się o swoje Umarła!...

Ino, że już nie poto, by z „szumem, gwarnością, zawrotem iść z powrotem" ku życiu, lecz poto, ażeby ono nędzne życie współczesne pochłonąć i pociągnąć ku sobie w grób. Gorzej nawet, bo w chrześcijańską „śmierć wiekuistą". Oto zniewolonego, strąconego przez impet grunwaldzkiej zmartwychpowstałej mocy ptaka żórawia, wielkiego hetmana serc Polski niewolnej, luzuje niejako hetman polny, inny poeta, jeszcze słabszego lotu — pan młody. A temu rzeczywistość miniona ukazuje już wręcz maskę potępieńczą, podjętą z samego dna starych zbrodni, maskę Hetmana o nazwisku Branecki... Zawitał teraz do weselnej chaty, jako do domu swego:

Piekielna mnie dziś gospoda...
Potańcujemy w gospodzie...

Na krzyk pana młodego: Jezu! odzyskuje piekielny Hetman chwilę wytchnienia od rzeszy szatanów, która go szarpie i może zaofiarować panu młodemu palące piekielne złoto, zapłatę za zdradę kraju. Piekielny dar nie zostaje wprawdzie przyjęty. W odpowiedzi pan młody uderza w ton stańczykowskiego urągowiska zbrodni minionej, poczem osuwa się w bezwład zwątpienia, oraz odwraca ku egotyzmowi: Dzisiaj to mój dzień miłości! Na to Hetman:

Polski nie żałuj,
jesteś szlachcic, to się z nami pocałuj,
jesteś wolny!

Interes stanowy i osobisty wynosi zatem ponad interes kraju. A ponieważ na weselu to się rzeczywiście w wielkiej mierze już stało, przeto w moment później powracający do „piekielnej gospody" w weselnej chacie szatański chór próbuje ogłosić Hetmana jej władcą:

Złoty pan, weselny pan,
pójdź-że w tan, dalej w tan:
na Weselu hula Śmierć?...

Pan młody, którego uratowało nieprzyjęcie piekielnego złota, ucieka z chaty weselnej zaczerpnąć powietrza, tchu. Luzuje go dziad, chłop stary, któremu piekło zkolei nasyła krwawego upiora Szeli, zdobnego w austrjackie ordery. I ten woła, że zdobył prawo obywatelstwa na weselu:

Ja weselny, ja weselny...
„A stało się to w zapusty"...

Dziad odżegnywa się, ale napróżno, bo upiór wyraźnie szydzi:

Gadu, gadu, stary dziadu...
podź tańcować, bośma braćl...

Roztańczona, pijana żądza osobistego zysku i użycia, chata weselna zesunęła się w tym momencie tragedji od wskazywanych jej przez Stańczyka i Rycerza wyżyn chrześcijańskiej duchowej mocy twórczej bezpośrednio poprzed wrota piekieł.

Zdawałoby się, że już nic jej nie powstrzyma od jednego jeszcze kroku dalej, po którym *lasciate ogni speranza!* Śmierć doczesna i wiekuista ciała i duszy narodu. W tej jednak chwili najstraszliwszej zjawia się na scenie Jasiek, Kasper i Kasia. Jest to naga, dzika, zwierzęca, amoralna, sobótkowo-poliandryczna, brutalna chuć płciowa. Jest to nieświadomy, ślepy, ale przepotężny żywioł życia doczesnego, który się przeciwstawia śmierci doczesnej, a tem samem pośrednio i wiecznej. Ta pierwotna, pogańska, chłopska chuć, staje się znowu ową studnią, pełną mętów, z której wprawdzie grunwaldzka duchowa moc twórcza życia nowego zaczerpnąć nie może, ale która posłuży jako ożywcze źródło mocy, przetrwania, jako ratunek przed śmiercią doczesną w grzechu, wiodącą do śmierci wiecznej. Przez tę chuć wydziera się życie całego towarzystwa weselnego z objęć zatracenia, odradza się z niej, jak młode pędy z głęboko zakorzenionego w ziemi pnia. W bezpośredniem sąsiedztwie moralnego poziomu sceny chutnej znalazł się wprawdzie naprzód Nos-Przybyszewski (sztuka dekadencka), ale głównie od strony chuci pijackiej. Po nim zaś piętrzą się jedna na drugiej sceny erotyczne o poziomie coraz wyższym, weselnego szczęścia państwa młodych, lekkiego flirtu „w stylu skrzydełkowym" pomiędzy dziennikarzem a Zosią. „Hetman

polny" (pan młody) oraz kanclerz (dziennikarz) czerpią z tych źródełek orzeźwienie po cięgach transcendentalnych przed chwilą doznanych... Otrzepują się jak psy, strącone znienacka do wody, którym się udało na brzeg wydostać. Odżywa wreszcie z tego samego pnia i sam wielki hetman serc weselnych, strącony z żórawiego pegaza w „grunwaldzkiem duchowem starciu" — poeta.

Jawi mu się ponownie Chochołowa mać — Rachel „jak płomieniste widziadło..."

Byłam w ten szal owita cała
i w świetle ode drzwi, ot tak...

Jaskrawy szal — dźwiękowo i wzrokowo, natura zaś zmysłowa Racheli — rzeczowo, narzucają tu czytelnikowi wizję rudowłosej, nagiej amazonki wspaniałego *Szału* Podkowińskiego. Z właściwem sobie trafnem odczuciem rzeczywistości Rachel już zauważyła, „Że się tu zaczyna coś dziać..." i dlatego do chaty weselnej powraca. Co się właściwie dzieje, z tego Rachel narazie niedokładnie zdaje sobie sprawę: „Tak bardzo ciemno! ...Ktoś wyrwał krzew różany... Ktoś połamał chochoła?.." I polska rzeczywistość żywa i sama siła żywotna polskości pogrążone są w odmęcie wielkich przełomów.

Odbywa się wielkie darcie
piór wszelijakiego drobiu:
grunwaldzkie duchowe starcie,
lecą pióra orle, pawie, gęsie,
wnet ujrzymy husarję i króla...

Tak mówi poeta, a Rachel, znowu z trafnem odczuciem rzeczywistości, przyznaje wprawdzie, że „Chata stała się rozkochana w polskości..." Ale zarazem utrzymuje, że to jest tylko „atmosferyczna zmiana... Żar, co się na powietrzu spala, jak garść lnu..." Przyznaje zresztą potem Rachel, że w każdym razie, w owej przynajmniej chwili, do chaty weselnej nadciągać się zdaje „przedziwna, przedziwna Moc..."

Ta ponowna kopulacja dusz naturalnych rodziców Chochoła (polskiej rzeczywistości niewolnej) na poziomie przezeń wyniesionym do równi z rzeczywistością minioną (co właśnie spowodowało fatalne grunwaldzkie starcie duchów),

to ponowne skojarzenie wyobraźni twórczej z utylitaryzmem na podłożu zmysłowej siły witalistycznej, znowu otwiera chatę weselną (co już się przekształcała w „piekielną gospodę“) na przyjęcie „husarji i króla“. Bezpośrednio po rozmowie poety z Rachelą obwieszcza Kuba:

Jakiś pon, jakiś pon,
zsiadają z siwka w podwórzu;
koń ogromniec...
A pon musi wielgi być:
ubiory na nim czerwone,
(purpura królewska Ducha narodu).

W tym głębokim ośrodku tragedji ujawnia się wyraźniej niż gdziekolwiek natura, sposób, oraz zakres działania tych sił, które w Chochole (albo raczej w „róży krzaku“) zawarte, mogą chronić i ocalić byt narodu, a które szczególnie nie do zastąpienia były podczas dziejowej „nocy ponurych wichrów łkań“. Najistotniejszą pośród nich stanowi sam niepożyty, przemożny żywioł życia, instynkt zachowania gatunku. Jego funkcja jest ograniczona. Może on ocalać raczej tylko biernie. Wyzwolenie i rozkwit wszechstronny istoty ludzkiej i narodowej może przez te siły pierwotne być poprzedzany i przygotowany. Ale przeprowadzony bez twórczej mocy ducha być nie może. Aby ją zaś w krzaku róży z pod chochołowego spowicia wyzwolić, na to konieczny jest „na wiosnę“ gospodarski władczy i świadomy czyn.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Stanisław Szczutowski.

Logika a logika tradycyjna i logika matematyczna.

(Dokończenie).

II.

W obecnej epoce rozwoju logiki symboliczno-matematycznej przyzwyczajono się nazywać logiką tradycyjną tę logikę, którą znano i według tradycji szkół uprawiano od początku dziejów tej nauki aż do czasów najnowszych panowania i świetnego rozwoju logiki matematycznej.

Ta przeto logika „tradycyjna" prawie że nakrywa się obszarem swoich tematów z treścią tego klasycznego średniowiecznego podręcznika logiki, jaki stanowią *Summulae Logicales* Petri Hispani (późniejszego papieża Jana XXI, 1276—1277). A zatem w skład logiki tradycyjnej wchodzi tak t. zw. *Logica Antiqua* ze swemi dwoma działami, *Logica Vetus* i *Logica Nova*, jak t. zw. *Logica Modernorum* (Parva Logicalia).[1])

Logika tradycyjna była i jest logiką urzędową w szkołach filozofji perypatetyczno-tomistycznej. Logika tradycyjna to logika nieomal jedyna, powszechna, bezkonkurencyjna, panująca po szkołach i uniwersytetach aż prawie do połowy XIX wieku.

---

[1]) Logica Antiqua (logika arystotelesowo-boecjuszowa) zawierała rozdziały: *de enuntiatione, de universalibus, de praedicamentis, de syllogismo, de locis dialecticis, de fallaciis.* Logica Modernorum zawierała traktat *de proprietatibus terminorum.*

Potrzebę nowej logiki, ulepszonej przez nową, uniwersalną symbolikę, odczuwał już Leibniz, ale na poważny początek urzeczywistniania płodnych jego w tym względzie idej trzeba było czekać prawie dwa wieki. Dopiero prace Boole'a [1]) w historji naszej nauki stanowią znamienny przełom. Odtąd obok logiki tradycyjnej zaczyna być przez uczonych i po uniwersytetach uprawiana równorzędnie logika nowa, zwykle nazywana logiką matematyczną. Tej logice matematycznej poświęcę ostatni rozdział moich obecnych krótkich uwag. Tutaj chciałbym tylko zupełnie ogólnie zaznaczyć, że związek między logiką tradycyjną a logiką matematyczną podobny jest do związku, jaki zachodzi między teorją matematyczną liczb całkowitych i ułamkowych a teorją matematyczną, obejmującą tak liczby całkowite i ułamkowe, jak i liczby niewymierne i t. zw. urojone czy zespolone, jak i liczby algebraiczne, jak i funkcje najogólniej już brane.

Jeżeli logikę wogóle podzielimy na trzy wielkie działy, logikę klas, logikę twierdzeń (propozycyj, zdań) i logikę relacyj, to na logikę tradycyjną przypada ledwie cząstka logicznej teorji klas, cała zaś ogólna teorja klas, jak i ogólna teorja twierdzeń, jak i ogólna teorja logiczna relacyj przypadła na logikę matematyczną.

Logika tradycyjna zapóźniła się niejako w naturalnym swym rozwoju, poczęści z winy przesądu filozofów, logikę uprawiających, przesądu, jakoby logika Arystotelesa już była ostatniem słowem logiki wogóle, końcowym szczytem jej rozwoju.

Jednak nie zdaje mi się, aby zupełnie słuszne były zarzuty przeciw logice tradycyjnej, jakie spotykamy u prof. Łukasiewicza, na str. 15—24 jego „Elementów". Pozwolę sobie na szczegółowe omówienie tych zarzutów i na ich, o ile potrafię, odprawę, bo sądzę ta mała dyskusja ułatwi zdanie sobie sprawy ze związku, jaki jest między logiką tradycyjną a logiką wogóle.

Szan. autor zaczyna swoje zarzuty przeciw logice tra-

---

[1]) George Boole, *The Mathematical Analysis of Logic*, 1846 i *An Investigation of the Laws of Thought*, 1854.

dycyjnej od zestawienia sylogizmu, który nazywa sylogizmem tradycyjnym, sylogizmu

I
Każde M jest P
Każde S jest M
A więc każde S jest P

z sylogizmem Arystotelesa

II
Jeśli każde M jest P
i każde S jest M
to każde S jest P

i powiada: „Wszyscy niemal historycy logiki nie umieją dopatrzyć się różnicy między formami sylogizmu I i II i cytują sylogizm Arystotelesa w postaci I... Różnica między obiema podanemi formami sylogizmu jest bardzo istotna. Sylogizm Arystotelesa (II) jest to okres warunkowy, posiadający poprzednik i następnik: poprzednik znajduje się między wyrazami „jeśli" i „to" i składa się z dwóch zdań połączonych wyrazem „i", następnik znajduje się po wyrazie „to". Cały sylogizm stanowi zatem jedno zdanie, zdanie złożone. Sylogizm tradycyjny (I) natomiast nie stanowi jednego zdania, jest to zbiór trzech zdań: pierwsze dwa zdania nie są spojone wyrazem „i" w jedną całość, wyrażenie „a więc" nie łączy, tak jak słówko „jeśli... to", dwóch zdań w jedno zdanie główne. Jaka jest różnica między wyrażeniem „a więc" i słówkiem „jeśli... to"? Wyrażeniem „a więc" posługujemy się wtedy, gdy wnioskujemy. W podanym wyżej przykładzie [1]) sylogizmu I i ze zdań „Każdy człowiek jest śmiertelny" i „Każdy Polak jest człowiekiem" wyprowadzamy zdanie „Każdy Polak jest śmiertelny". Wnioskowanie uważamy za poprawne tylko wtedy, gdy zdania, z których wychodzimy, przesłanki wnioskowania, uważamy za prawdziwe... Chcąc nadać sens sylogizmowi I, sformułowanemu przy pomocy zmiennych, należy go traktować jako schemat wnioskowania, wyrażający następującą regułę: „Ktokolwiek uznaje zdania typu „Każde M jest P" i „Każde S jest M", ten ma

[1]) Przykład jest (podany na str. 16):
Każdy człowiek jest śmiertelny.
Każdy Polak jest człowiekiem.
A więc każdy Polak jest śmiertelny.

prawo uznać także zdanie typu „Każde *S* jest *P*“ (strona 17—19).

Teraz moje uwagi krytyczne. Zacznę od tej reguły wnioskowania: „Ktokolwiek uznaje...“ Ośmielę się zapytać: czy naprawdę potrzebna jest ona? Czy słuszność lub niesłuszność, poprawność czy niepoprawność argumentacji, której formą jest sylogizm I, zależy od tego, czy kto uznaje czy nie uznaje przesłanki czy konkluzję czy nawet relację konsekwencji zachodzącą między przesłankami a konkluzją? W razie zaś, gdyby ktoś uznał obie przesłanki, czy tylko ma prawo uznać konkluzję, czy raczej może ma obowiązek (logiczny) przyznać się do tego, że przesłanki zawierają już *(implicite)* konkluzję, że ta konkluzja z przesłanek (tautologicznie) wynika. Ale wolałbym całą tę kwestję uznawalności przez kogoś i jego uprawnień do wyrażania takich czy innych opinij całkowicie usunąć z badań nad logicznością związku między przesłankami tego czy innego sylogizmu a jego konkluzją. I zdaje mi się, logika tradycyjna w interesie czystości i formalności swych badań logicznych nie wprowadza podobnej reguły wnioskowania.

To, co ja uznaję za zaletę logiki tradycyjnej, to właśnie prof. Łukasiewicz uważa za jej winę, jak to widać z następującego ustępu (str. 21—21): „Nasz sposób rozumienia sylogizmu I pozwala nam bliżej wyjaśnić różnicę między twierdzeniem logicznem a regułą wnioskowania. W sformułowaniu reguły wnioskowania występują wyrażenia, które nie mają znaczenia logicznego; są to wyrażenia: „ktokolwiek uznaje“, „ten ma prawo“. Wyrażenia te dotyczą sposobu postępowania osoby, która przeprowadza jakieś wnioskowanie. W sylogizmie II, który jest twierdzeniem logicznem, żadne tego rodzaju wyrażenia nie występują. Jeżeli słuszny jest nasz sposób rozumienia sylogizmu tradycyjnego, to musimy stwierdzić, że jego sformułowanie podane pod I jest bardzo niejasne i bynajmniej nie nasuwa czytelnikowi jego istotnej treści. Logika tradycyjna nie znała zupełnie różnicy między twierdzeniem logicznem a regułą wnioskowania“.

Zdaje mi się, że nietrudne jest uzgodnienie sylogizmu I z sylogizmem II. Sylogizm II jest raczej, jak słusznie

utrzymuje prof. Łukasiewicz, twierdzeniem logicznem, wyrażającem proste stwierdzenie związku, jaki zachodzi między racją „Każde *M* jest *P* i każde *S* jest *M*" a następstwem „Każde *S* jest *P*", wyraża więc prawo ogólne logiczne. To prawo obowiązuje (logicznie) zawsze, kiedykolwiekby się wypowiadało zestawienie twierdzeń „Każde *M* jest *P*" i „Każde *S* jest *M*", zawsze wtedy tem samem implicite i tautologicznie wypowiadałoby się twierdzenie „Każde *S* jest *P*", choćby explicite i słownie to trzecie twierdzenie nie było wypowiedziane. Sylogizm I jest znów raczej logicznem zastosowaniem sylogizmu II, logicznie więc od niego jest późniejszy, ale zawsze jest on tylko logiczną formułą, nie jest dowodem prawdziwości konkluzji.

Jeśli sylogizm I figuruje w logice tradycyjnej jako ogólny typ rozumowania formy *Barbara*, to należy nań patrzeć pod kątem widzenia fikcji logicznej takiej mniej więcej osnowy: jeśli się powie, że każde *M* jest *P* i że każde *S* jest M, to wtedy tautologicznie, choćby tylko implicite, wypowiada się jednocześnie, że konsekwentnie każde *S* byłoby *P*, czy inaczej: z fikcji logicznej „Każde *M* jest *P* i Każde *S* jest *M*" wynika fikcja logiczna: „A więc każde *S* jest *P*".

Pod kątem widzenia fikcji logicznej wzięty sylogizm I, tautologicznie implikuje sylogizm II, a sylogizm II implikuje tak wzięty sylogizm I, czyli relacja implikacyjna I do II jest symetryczna, równoważne są przeto ze sobą sylogizmy I i II.

Dla ilustracji zestawmy teraz z sobą sylogizmy:

I
Każdy człowiek jest śmiertelny.
Każdy Polak jest człowiekiem.

A więc każdy Polak jest śmiertelny.

i

II
Jeśli każdy człowiek jest śmiertelny
i każdy Polak jest człowiekiem,
to każdy Polak jest śmiertelny.

Logicznie wcześniejszy jest sylogizm II. Wykazuje on jedynie relację konsekwencji zachodzącej między fikcją logiczną „Każdy człowiek jest śmiertelny" i „Każdy Polak jest człowiekiem" a fikcją logiczną „Każdy Polak jest śmiertelny".

Zanalizujmy teraz sylogizm I. Wmyślmy się w sytuację: na początku logicznej teorji sylogizmu podaje się przykład łatwy i typowy sylogistycznego rozumowania; a więc nie traktuje się przesłanek inaczej jak tylko „jeśli, gdy, skoro", czyli pod kątem fikcji logicznej; tak samo trzeba patrzeć i na konkluzję. Przecież logikowi, posługującemu się przykładem typu I dla ilustracji typowo logicznego rozumowania, nie o to idzie, aby udowadniać twierdzenia jakieś o śmiertelności czy nieśmiertelności tej czy innej klasy ludzi. Dla niego, logika formalnego, jest obojętną prawdziwość czy nieprawdziwość takich czy podobnych twierdzeń; dla niego, jako logika formalnego, ważne jest tu tylko to, czy podobnie zbudowany sylogizm jest poprawny co do formy.

Dobrze będzie tutaj przytoczyć świadectwo takiego pierwszorzędnego logika, logika matematycznego, jakim jest The Honorabl Bertrand Russell z jego *Wstępu do filozofji matematycznej*[1]) (str. 197): „Logika tradycyjna powiada: „Wszyscy ludzie są śmiertelni, Sokrates jest jednym z ludzi, przeto Sokrates jest śmiertelny". Otóż jasnem jest, że to, co zrazu mamy na myśli to twierdząc, to to, że przesłanki implikują konkluzję, nie to, że przesłanki i konkluzja są rzeczywiście prawdziwe; nawet najtradycyjniejsza logika zaznacza, że rzeczywista prawdziwość przesłanek jest obojętna (czy: bez znaczenia) dla logiki".

Powiada prof. Łukasiewicz (na str. 21 „Elementów"): „Najprawdopodobniej właśnie pod wpływem sylogizmu stoickiego logika tradycyjna formułowała sylogizmy Arystotelesa jako schematy wnioskowania i zapomniała o pierwotnej formie sylogizmu u samego Arystotelesa".

Sylogizmem stoickim autor nazywa takie rozumowanie:

III
Jeśli p, to q.
Otóż p.

A więc q.

[1]) *Introduction to Mathematical Philosophy.* Second Edition 1920. — P. 197: Traditional logic says: „All men are mortal, Socrates is a man, therefore Socrates is mortal". Now it is clear that what we *mean* to assert to begin with, is only that the premisses imply the conclusion, most traditional logic points out that the actual truth of the premisses is irrelevant to logic.

Jaki jest związek sylogizmu III z sylogizmem I i sylogizmu II z sylogizmem III?

Sylogizm III (który nie jest sylogizmem, o ile przez sylogizm rozumiałoby się owo typowe rozumowanie w trzech terminach) jest właściwie wnioskowaniem, sprowadzalnem formalnie do takiej implikacji

Jeśli [(jeśli p, to q) i jeśli p], to q.

W tej implikacji już nie ma się do czynienia z a l o g i c z n e m i twierdzeniami, głoszącemi rzeczywistość czy prawdziwość twierdzeń *p* i *q*. Ona dopiero daje się porównać z sylogizmem I, sprowadzonym do formy

„Jeśli [Każde *M* jest *P* i każde *S* jest *M*], to *S* jest *P*"

formy nie różniącej się już od sylogizmu II.

Stąd, myślę, widać, że sylogizm III jest logicznie wcześniejszy od sylogizmu II, tem bardziej od sylogizmu I, o ile będzie się przez sylogizm III rozumiało już, powyżej podaną, czystą jego formę logiczną.

O ile sylogizmu III nie sprowadzi się do tej jego czysto logicznej formy, lecz bierze się go w postaci III, jak ją podaje autor, to w stosunku do sylogizmu II jest on raczej logicznie późniejszy, bo zawiera pierwiastki alogiczne: „Otóż p" i „A więc q", od jakich wolnym jest czystologiczny sylogizm II.

O ileby kto na sylogizmy III i I patrzał pod kątem prawdziwości czy uznawalności przesłanek i konkluzyj, to wyprowadzałby schematy III i I poza ramy czystej logiki formalnej, robiłby z nich schematy logiki stosowanej czy schematy rozumowań właściwych tym naukom, do którychby należały twierdzenia wyrażone w owych uznanych czy uznawalnych przesłankach i konkluzjach.

Autor podaje r e g u ł ę w n i o s k o w a n i a, którego schematem jest sylogizm III, brzmiećby ona miała w sposób następujący: „Ktokolwiek uznaje zdania typu „Jeśli *p*, to *q*", ten ma prawo także uznać zdanie typu *q*" (str. 22).

Wyznaję, że, kiedykolwiek spotykam się w pracach z dziedziny logiki czystej formalnej z jakiemś „uznawaniem", „prawem do uznawania", z jakiemś wyróżnianiem w toku logicznego rozumowania z pośród innych twierdzeń takich

twierdzeń, w których prawdziwość wiarę się swoją zapowiada, kiedykolwiek w takich pracach napotykam zaznaczanie specjalne twierdzeń „aserowanych", zawsze wtedy doznaję pewnego niesmaku i lęku pewnego o czystość logiczną wywodów logicznych autora, zawsze wtedy przeszkodą dla mnie w ocenianiu ścisłości takich wywodów czy dowodów jest liczenie się z psychicznemi nastawieniami i przekonaniami dowodzącego.

Zdaje mi się, że podobnego niesmaku w pewnej mierze doznaje sam Bertrand Russell, największy bodaj winowajca „a s e r c y j n y", zwłaszcza w *Principia Mathematica*; objawem tego niesmaku jest choćby następujący ustęp z wyżej wymienionego już „Wstępu" (str. 149):

„Jeżeli wiemy, że p jest prawdziwe i że p implikuje q, to możemy przystąpić do aserowania q. Zawsze jest nieuniknienie c o ś psychologicznego we wnioskowaniu: wnioskowanie jest metodą, przez którą dochodzimy do nowego poznania, i co nie jest w niej psychologicznego to jest relacja, pozwalająca nam wnioskować poprawnie; ale rzeczywiste przejścia od asercji p do asercji q jest to przebieg psychologiczny". [1])

Naturalnie, że wszelkie wnoszenie w metody l o g i c z n e elementów i czynników pozalogicznych zniekształca te metody, odbierając im charakter czysto-logiczny, charakter właściwy czystej logiki formalnej.

Nie myślę, żeby naprzykład logika formalnego pouczało o czemś nowem (nowem w zakresie logiki formalnej) takie zastosowanie powyższej reguły:

„Jeśli dziś jest piątek, to jutro jest sobota,
Otóż dziś jest piątek.
A więc jutro jest sobota" (str. 22).

Ten schemat tu przytoczony nietylko nic nowego (nowego pod kątem widzenia logiki formalnej czy jak przed-

[1]) „If we know that p is true and that p implies q, we can proceed to assert q. There is always inavoidably *something* prychological about inference: inference is a method by which we arrive at new knowledge, and what is not psychological about it is the relation which allows us to infer correctly; but the actual passage from the assertion of p to the assertion of q is a psychological process".

tem się wyrażałem, pod kątem widzenia fikcji logicznej) nie wnosi, lecz nawet raczej zacieśnia logiczną ogólność prawa, na które się ten schemat powołuje, prawa, mianowicie, następowania soboty po piątku w szeregu dni tygodnia.

Równą ochotę miałbym usunąć z zakresu logiki formalnej wszelkie wciąganie w grę (logiczną) odwoływań się do przekonań, mniemań, osądzań, czy t. p. czysto psychicznych. W logice formalnej jest i powinno chyba być zupełnie obojętnem, czy kto takie czy inne ma przekonania, zdania, opinje, nie jest tu (t. j. w logice czystej formalnej) jedynie obojętne to, czy należycie (poprawnie) stwierdzane są (udowadniane) logiczne prawa czy relacje.

I w logicznej nauce o dedukcji i w każdej szanującej się teorji dedukcji wypadałoby usilnie wystrzegać się owych wykraczań poza teren czystej logiki formalnej. Pod tym względem zawiniło z pewnością wielu autorów logiki tradycyjnej, ale czy więcej od autorów nowej logiki? W podręcznikach scholastycznej logiki tradycyjnej, o ile trochę je znam, naogół przeważa raczej tendencja wystrzegania się owych wykraczań przez odsyłanie czynników pozalogicznych na tereny im właściwe, a zwłaszcza przez przekazanie logice t. zw. materjalnej, krytyce poznania, czy noetyce, takich tematów, jak: prawda i fałsz, prawdziwość i błąd, pewność, niepewność, uznawanie, wątpienie, prawdopodobieństwa, mniemania, opinje, etc.

Takie stanowisko wobec logiki zajmuje ten klasyczny przedstawiciel logiki tradycyjnej, jakim był De Morgan, który wyraźnie powiada o logice, że nie ma ona nic do czynienia z prawdziwością faktów, opinij, czy założeń, z których wnioskowanie się wyprowadza". [1])

---

[1]) Pozwolę sobie w całości tu przytoczyć cały kontekst, z którego wziąłem tekst powyższy:

„What we here mean by Logic, is the examination of that part of reasoniny which depends upon the manner in which inferences are formed, and the investigation of general maxims and rules for constructing arguments, so that the conclusion may contain no inaccuracy which was not previously asserted in the premises. It has nothing to do with the truth of the facts, opinions, or presumptions, from which an inference is derived; but simply takes care that the inference shall certainly be true,

III.

Logika matematyczna! Ta nazwa logiki w najnowszem obecnem stadjum jej rozwoju najlepiej może i najtreściwiej charakteryzuje wielką ideę, dominującą na obszarze nauki, nazwą tą obecnie obejmowanej. Idea ta to idea ścisłego i najściślejszego pokrewieństwa między matematyką (czystą) a (czystą) logiką.

Ta relacja matematyki do logiki i logiki do matematyki, przeczuwana przez wybitniejsze umysły uczonych dawnych pokoleń, odczuwana przez algebraików logiki drugiej połowy XIX wieku, w triumfie swego piękna zostaje odkryta przez logicyzujących matematyków w ostatnich dwu dziesiątkach lat ubiegłego i w pierwszych dziesiątkach lat obecnego stulecia. W umysłach tych wielkich odkrywców owa idea wzrasta do potęgi utożsamienia matematyki z logiką, a estetyczne wczucie się w nią, w jej piękno doprowadza entuzjastów do takich triumfalnych okrzyków, jak naprz. Bertr. Russell'a: „Fakt, że cała matematyka jest logiką symboliczną jest jednem z największych odkryć naszego wieku". [1])

Dla każdego, kto — jak piszący ten artykuł — na logikę patrzy jako na naukę o prawach czy relacjach, zachodzących między fikcjami logicznemi, a na liczby, funkcje matematyczne i koncepcje geometryczne jako na fikcje logiczne, ta relacja równoważności między matematyką i logiką jest tak niezawodnym faktem, że raczej dziwićby się należało, czemu tak późno do jego odkrycia dochodzi ludzkość w rozwoju swego umysłu logiczno-matematycznego.

---

if the premises be true. Thus, when we say that all men will die, and that all men are rational beings, and thus infer that some rational beings will die, the logical truth of this sentence is the same whather it be true or false that men are mortal and rational. This logical truth depends upon the structure of the sentence, and on the particular matter spoken of". Wstęp do rozprawy p. t.:

First Notion of Logic (Preparatory to the Study of Geometry) by Augustus Morgan, of Trinity College, Cambridge, Professor of Mathematics in University College, London MDCCCXXXIX.

[1]) *Principles of Mathematics*, p. 5: „The fact that all Mathematics is Symbolic Logic is one of the greatest discoveries of our age".

Za przełomową datę tego odkrycia możnaby przyjąć dzień 17 lipca roku 1885, kiedy na posiedzeniu Jenajskiego Towarzystwa lekarsko-przyrodniczego otrzymuje od przewodniczącego głos dla wygłoszenia swego referatu „O formalnych teorjach arytmetyki" młody naówczas (37-letni) profesor matematyki uniwersytetu jenajskiego, Dr. Gottlob Frege: „Zuerst spricht Herr Frege".[1]) Wtedy m. i. padają znamienne słowa: pomiędzy logiką a arytmetyką nie da się przeprowadzić linji demarkacyjnej, obie te nauki jedną stanowią naukę.[2])

Długo jednak trzeba było czekać na należyte ocenienie i podjęcie systematycznych prac nad zrealizowaniem programowych idej Fregego. Prawie bez oddźwięku, zwłaszcza w literaturze matematycznej, przechodzą prace Fregego i *Begriffsschrift* (1879) i *Grundlagen der Arithmetik* (1884) i nawet *Grundgesetze der Arithmetik* (I Band 1893). Żali się na to sam Frege, a największy bodaj żal ma właśnie do matematyków, mniejszy do filozofów. Dopiero Bertrand Russell w r. 1901 wydobył z zapomnienia prace Fregego, zwrócił na nie uwagę świata naukowego matematyczno-logicznego.

Główną bodaj przeszkodą szerszego zainteresowania się w tym świecie pracami Fregego była swoista jego symbolika ideograficzna. Dla ilustracji przytoczę ten fakt: kiedy w trzydzieści kilka lat po ukazaniu się w druku pierwszego tomu *Grundgesetze*, a w dwadzieścia kilka lat po ukazaniu się w druku (1903) drugiego ich tomu, zabrałem się do bardzo żmudnej pracy nad temi dziełami w takiej pracowni bibljotecznej o niezmiernej frekwencji osób na polu naukowem pracujących, jaką jest czytelnia British Museum, to oba te tomy *Grundgesetze* (oprawne w ten sposób, że dopiero czytający kartki książki rozcina) były jeszcze prawie zupełnie nieporozcinane! Przez pietyzm dla autora rzetelnie

---

[1]) Sitzungberichte der Jenaischen Gesellschaft für Medicin und Naturwissenschaft für das Jahr 1885, str. 94—104, „Über formale Theorien der Arithmetik".

[2]) „Es is keine scharfe Grenze zwischen Logik und Arithmetik zu ziehen; vom wissenschaftlichen Gesichtpunkte aus betrachtet sind beide eine einheitliche Wissenschaft".

wszystkie kartki obu tomów porozcinałem sam, choć nie zdobyłem się na heroizm, wyznaję ze wstydem, przedarcia się systematycznego przez cały gąszcz ideograficzny tych książek, lecz tylko przez gąszcz pewnych ich części.

Dziś symbolika logistyczna Peano-Russell'owska niezmiernie ułatwia przerabianie tez i dowodów, dawanych przez spółczesnych logików matematycznych. Z tą symboliką może współzawodniczyć symbolika prof. Łukasiewicza, której główną cechę wyróżnającą i główną może zaletę stanowi pisanie znaku implikacji (u niego: C) przed symbolami twierdzeń (p q), nie zaś — jak u Russell'a (znaku ⊃) pomiędzy temi symbolami, a więc: *Cpq* zamiast *p⊃q* (słowami byłoby jedno i drugie: jeśli p, to q).

W miarę usiłowań upodobniania matematyki z logiką a logiki z matematyką wzrastało dążenie do takiego zsymbolizowania logiki, aby w logicznych wywodach i dowodach, założeniach i rozumowaniach dało się obyć zupełnie lub prawie zupełnie bez słów tego czy innego języka. Stąd nazwa tej nowej, matematyzującej, logiki: logika symboliczna. Jeszcze w pierwszym dziesiątku obecnego stulecia używano tej nazwy równorzędnie z nazwą logistyki zamiast, dziś powszechniejszej, nazwy logiki matematycznej (przez Hilberta znów świeżo nazwanej logiką teoretyczną).

Dla lepszego wniknięcia w to, czem dzisiaj jest ta logika matematyczna tak w stosunku do logiki wogóle jak w stosunku zwłaszcza do matematyki, dobrze będzie uprzytomnić sobie te linje wytyczne, po których szedł rozwój historyczny idei najściślejszego pokrewieństwa, czy raczej może związku tożsamości, między logiką a matematyką.

Otóż relacja matematyki do logiki i logiki do matematyki historycznie tak była ujmowana naogół w starożytności i w średniowieczu, że brano ją za niesymetryczną ze znacznem uprzywilejowaniem matematyki. Dowodem tego uprzywilejowania i jego podstawą historyczną jest ten fakt, że naukowe opracowania matematyki na wiele wieków wyprzedziły naukowe opracowania logiki, tak iż logiczne wywody światło swoje i moc ścisłości dowodowej ilustrują na tych skąpych wywodach matematycznych, na jakie zdążył się zdo-

być ówczesny rozwój matematyki. Mam tu na myśli wszystkim dobrze znane fakty historyczne. Ale może mniej znaną jest powszechnie teza Rogera Bacona, niejednokrotnie i nie bez pewnej uroczystości tonu wypowiedziana przez tego niezwykłego mnicha w traktatach - memorjałach do papieża Klemensa IV, teza: „Ani podstawowe zasady dowodzenia ani konkluzje ani przedmiot nauki nie może być jasno poznany, jak tylko w dziedzinie matematyki... Przeto logika z konieczności zawisła od matematyki". (O. M. P. IV. D. 1. C. 2), czy też w krótkiem wysłowieniu (ib. c. 3) „Cała dostojność *(excellentia)* logiki zależy od matematyki". [1])

Wyższość i pierwszeństwo matematyki przed logiką, choć może nie tak dobitnie jak przez Rogera Bacona, to jednak powszechnie była uznawana i wyznawana, o ile szło o wskazanie wzoru i ideału ścisłości i mocy dowodowej w rozumowaniach. Nie w logice, lecz właśnie w matematyce szukano tych wzorów i na nie się powoływano. Tak było chyba aż do Kanta, do jego psychologistycznego ujmowania matematycznych prawd i dowodów.

Chcę wskazać na główne walory logiczne, których wysokości matematyka zawdzięcza swe wybitne dostojeństwo i pierwszeństwo swoje w stosunku do logiki przedmatematycznej.

Zacznę od najistotniejszej cechy typowych dowodów matematycznych, które symbolicznie oznaczę

$$z\ R\ t$$

gdzie litera z jest symbolem t. zw. założenia, litera t symbolem t. zw. twierdzenia, teorematu udowadnianego, litera R symbolem relacji zachodzącej między założeniem a twierdzeniem, relacji, której stwierdzenie stanowi właśnie dowód twierdzenia t. Referens z relacji R obejmuje w sobie: wszelkie definicje terminów, jakieby w dowodzeniu zachodziły, wszelkie aksjomaty, przyjmowane uprzednio do dowodzenia, wreszcie wszelkie twierdzenia poprzednio już udowodnione, na których stwierdzanie relacji R

[1]) W tych traktatach, papieżowi Klemensowi IV-mu przesłanych (Opus Maius, Opus Minus, Opus Tertium), niejednokrotnie powtarza się myśl: „Sine mathematica nihil sciri potest".

się opiera. Stwierdzanie relacji R polega na takiem powiązaniu ze sobą tych trzech składników referensu z, definicji, aksjomatów i twierdzeń udowodnionych, ażeby relacja R okazała się relacją implikacyjną $(z \supset t)$, a ta relacja implikacyjna stała się relacją tautologicznie implikującą relatum t. O to więc w pierwszej linji idzie, aby stwierdzić to, że: jeżeli z, to t.

Zmienna z, tak rozumiana, jak wyżej podano, jest przesłanką dedukcji, której konkluzja jest zmienna. Ta nazwa zmiennej z jako przesłanki dedukcji jest skrótem słownym, zastępującym dłuższe powiedzenie wyliczające wszystko to, co do założenia tak jak wyżej rozumianego wchodzi, wszystko to, bez czego dowód konkluzji t nie byłby zupełny. Konkluzja przeto nigdy nie może być ogólniejszą od przesłanki z, bo inaczej nie byłaby wysnutą z dowodu, opartego jedynie na założeniu z, a więc nie byłaby udowodnioną.

Jeśli implikowanie konkluzji t przez przesłankę dowodu jej z wypowiemy w formie „jeśli z, to t", to udatnie dajemy wyraz myślowemu ujmowaniu założenia z jako fikcji logicznej; tautologiczność zachodząca między z a t pozwala nam czy nakazuje patrzeć na twierdzenie t także jako na fikcję logiczną. Dowód twierdzenia t jest stwierdzeniem rzeczywistości związku czy relacji R, zachodzącej między fikcjami logicznemi z i t.

Bliższa analiza fikcji logicznej z wskaże nam inne walory logiczne typowych rozumowań matematycznych. I tak: opieranie się w dowodzie twierdzenia t na innych twierdzeniach, poprzednio udowodnionych a w skład założenia z wchodzących, narzuca zaraz pytanie udowadnialności tych innych twierdzeń i udowadnialności znów pierwotniejszych twierdzeń, na których dowód tych innych twierdzeń się opiera, a ostateczna odpowiedź na to pytanie wskaże na konieczność (logiczną) dojścia do takich najpierwotniejszych twierdzeń, które implikowane będą przez założenia już nie obejmujące twierdzeń uprzednio udowodnionych, lecz tylko definicje i aksjomaty. Owe bowiem najpierwotniejsze twierdzenia staną się t. zw. twierdzeniami pierwotnemi,

aksjomatami, czyli właśnie takiemi twierdzeniami, które już tylko się przyjmuje.

Bez jakichś aksjomatów czy jakichś aksjomatycznie branych t. zw. postulatów [1]) niema dowodu matematycznego, niema matematycznej dedukcji.

Ale bez czego przedewszystkiem niema matematycznego dowodu, rozumowań matematycznych, matematycznych teoryj, bez czego niema matematyki, to bez tego wszystkiego, co pod jedno wspólne podciągam miano definicyj. Tutaj dopiero otwiera się pole genjalnej twórczości matematyków, matematykę budujących; tutaj dopiero otwierają się niezmierzone i nieograniczone obszary królestwa tej królowej nauk. Dopiero przez definicje prawo obywatelstwa w tem królestwie nabywają wszelkie liczby, wszelkie funkcje matematyczne, wszelkie koncepcje i konstrukcje matematyczne, wszelkie wogóle przedmioty tej nauki i tej nauce właściwe. Dopiero przez definicje nowe dochodzi się do nowych pojęć matematycznych i do nowych coraz to dalszych ich uogólnień. To jest główny czy istotny warunek dopiero nowych teoryj matematycznych i nowych, teorjom tym właściwych, twierdzeń matematycznych.

Definicje matematyczne i tworzą i ustalają te fikcje logiczne, które są przedmiotami właściwemi matematyki (Frege nazywa je przedmiotami logicznemi). [2]) Jako fikcje logiczne są te przedmioty, przez definicje ustalone, nierzeczywistemi, lecz związki między niemi, relacje, prawa są rzeczywiste, niezmienne, niestwarzalne. Fikcje matematyczno-logiczne są produktami mniej lub więcej genjalnej myśli matematyka, od niego, od jego twórczej wyobraźni i estetyczno-naukowego poczucia zależne, ale nie są już od niego zależne relacje między temi fikcjami, prawa je wiążące. Rzeczą matematyka jest umieć te prawa odkryć, wyśledzić, zwrócić na nie uwagę, stwierdzić je, poznać, ale największy

---

[1]) Aksjomatycznie brane postulaty to — naturalnie — nie są postulaty ironicznie wyśmiane przez B. Russell'a w dowcipne' jego uwadze w Introd. p. 71; „The method of „postulating" what we want has many advantages; they are the same as the advantages of theft over honest toil. Let us leave tham to others and proceed with our honest toil".

[2]) M. i. *Grundgesetze*, I B. Str. 153.

genjusz matematyczny praw tych nie stworzy. Tylko bardzo naiwny umysł prostaczka filozoficznego, jeszcze bardzo po dziecinnemu orjentującego się w elementach matematyki, siebie i drugich trapić będzie wątpliwościami w rodzaju pytania: a może gdyby ewolucja biologiczna ludzkości innemi szła torami, to może dla niej byłoby dwa razy dwa równe pięciu?

Dla ilustracji podam krótką analizę (matematyczną czy matematyczno-logiczną) prawa matematycznego: dwa razy dwa równa się czterem:

W zamierzchłej przeszłości genjusz matematyczny stworzył koncepcję czy zbudował fikcję (logiczną) liczby d w a, nie koncepcję pary jabłek czy pary ludzi etc., lecz koncepcję czegoś takiego, co charakteryzuje wszelką parę czy wszelkie pary, wszelkie amba czy dwójki jakichś indywiduów, czegoś takiego, co jest p o d o b n e do każdej z klas par czy amb czy dwójek indywiduów; tworzy się k l a s ę k l a s dwójek czy par (choćby tak precyzyjnie nie ujmował jeszcze istoty swojej koncepcji liczby d w a), do nich p o d o b n ą,[1]) a tę klasę klas nazwał liczbą d w a. Tę fikcję logiczną liczby 2 zestawiono z fikcją logiczną liczby 1 i z fikcją logiczną liczby 3, i z innemi takiemi liczbami, jak 4, 5, 6... (klasami klas jednostek, trójek, czwórek indywiduów, i t. d.) W kolei wieków zestawiono te liczby 2, 1, 3 i t. d. w ten sposób jedną obok drugiej, że zaczęto je wypisywać w takim rzędzie:

1, 2, 3, 4, 6...

Te liczby tego rzędu już w późnej kolei wieków uzupełniono fikcją logiczną liczby, bezpośrednio poprzedzającej liczbę 1, umówiono się dać jej symbol 0. W ten sposób genjusz matematyczny wprowadził (przez szereg definicyj) do nauki t. zw. szereg liczb naturalny.

0, 1, 2, 3, 4, 5, . . .

i ustalił go w niej definitywnie przez ujęcie go w karby definicyjno-aksjomatycznej zasady t. zw. i n d u k c j i m a t e m a t y c z n e j.

---

[1]) Klasa jedna podobną jest do innej, kiedy zachodzi relacja jednojednoznaczna, której obszarem jest jedna z nich, a druga odwrotnym jej obszarem. Na mocy tej definicji każde ambo jest podobne do innego amba, a wszelkie ambo jest podobne do klasy amb, czyli do liczby 2.

Liczby szeregu naturalnego (liczby i n d u k t y w n e), tak zdefinjowane, są w najrozliczniejsze sposoby ze sobą powiązane, podlegają przeto najrozliczniejszym prawom, i m p l i k u j ą c m. i. tak całą t. zw. teorję liczb, jak wszelkie najrozliczniejsze sposoby porządkowania i szeregowania tych liczb, wszelkie inne szeregi tych liczb induktywnych czy z pośród nich wybranych, jak naprzykład:

0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, ...
1, 3, 5, 7, 9, 11, 13, 15, ...
0.2, 1.2, 2.2, 3.2, 4.2, 5.2, 6.2, 7.2, 8.2 ...
0^2, 1^2, 2^2, 3^2, 4^2, ...
i t. d. i t. d.

Co najważniejsze, to to, że te wszelkie inne szeregi i ich prawa już n i e są dziełem genjusza matematycznego, nie są zależne od jego myśli twórczej, lecz s ą tem samem, że j u ż s ą liczby induktywne, przez genjusz matematyczny stworzone. [1])

Otóż założenie, że mamy do czynienia z liczbami 2 i 4 należącemi do szeregu liczb naturalnego, że dalej te liczby podlegają wszelkim prawom liczb tego szeregu, że dalej zdefinjowane zostało dodawanie i mnożenie liczb tego szeregu, to założenie t a u t o l o g i c z n i e i m p l i k u j e m. i. twierdzenie

$$2 + 2 = 2 . 2.$$

czyli implikuje twierdzenie:

$$2 . 2 = 2 + 2 = 4, \text{ q . e . d.}$$

Walor logiczny dowodu tego najprostszego twierdzenia

[1]) Por. klasyczny tekst B. Russell'a, w Introd. na str. 30, niżej tu przytoczony, na str. 21 przytoczony. Genjalny umysł autora stwierdza, że wszelkie nasze porządkowania i szeregowania liczb induktywnych polegają na zwróceniu jedynie naszej u w a g i na te różne relacje między liczbami, te różne szeregowania implikujące: tworzyć tych szeregowań zarówno nie możemy, jak nie możemy tworzyć porządku, w jakim jest niebo usiane gwiazdami. We canno more arrange „the natural numbers than we can the starry heavens; but just as we may notice among the fixed stars either their order of brightness or their distribution in the sky, so there are various relation among numbers wihch may le obserwed, and which gire rire to various different orders among numbers, all equally legitimate".

arytmetycznego polega na tem samem prawie (logicznem), na jakiem polega walor logiczny dowodu jakiegokolwiek twierdzenia matematycznego, na wykazaniu tautologicznej implikacji pomiędzy założeniem - przesłanką, a twierdzeniem - konkluzją.

Ta tautologiczność dowodów matematycznych zaczyna bodaj coraz więcej być uznawana przez logicyzujących matematyków i matematycznych logików. Dla ilustracji charakteryzującej ten pożądany objaw przytoczę fakt następujący. Kiedy Bertrand Russell w roku 1920 robił drugie wydanie swego „Wstępu" (Introduction to Mathematical Philosophy) i jeszcze z pewnym cieniem niedowierzania tak się wyraża (na str. 205): „Ważność „tautologji" dla definicji matematyki wykazywał mi mój dawny uczeń Ludwik Wittgestein, który nad tem zagadnieniem pracował. Nie wiem czy je rozwiązał, ani nawet czy żyje czy umarł",[1]) — to w dwa lata później tenże Bertrand Russell temuż Ludwikowi Wittgesteinowi wystawia jak najbardziej pochlebne świadectwo, pisząc wstęp czy przedmowę do angielsko - niemieckiego wydania jego książki.[2]) A znamienne jest i to, że, chociaż Wittgestein w swoim genjalnie - paradoksalnym traktacie niejednokrotnie zwalcza logiczne pomysły russellowskie, mimo to Russell uważa ten traktat za dzieło logiczne pierwszorzędnej ważności, którego żaden poważny filozof nie może pominąć obojętnie.[3])

Co do innych walorów logicznych, które z matematyki przejęła i dzięki którym ukonstytuowała się logika matematyczna, poprzestanę na samem wymienieniu najgłówniejszych bodaj. Należą tu: symbolizm matematyczny, pojęcie zmien-

---

[1]) The importance of „tautology" for a definition of mathematics was pointed out to me by my former pupil Ludwig Wittgestein, who was working on the problem. I do not know whether he has solved it, or even whether he is alive or dead.

[2]) *Tractatus Logico - Philosophicus*, by Ludwig Wittgestein. With Introduction by Bertrand Russell, F. R. S. London 1922.

[3]) „To hawe construeted a theory of logic which is not at any point obviously wrong is to hawe achieved a work of extraordinary difficulty and importace. This merit, in my opinion, belongs to Mr. Wittgenstein's book and makes it one which no serious philosopher cau afford to neglect" (Ib. p. 23).

nej i stałej, pojęcie funkcji i funkcjonalności, pojęcie niezmienności (inwarjancyjności) matematycznej, wreszcie tak nawskroś matematyczne dążenie do coraz to dalszego uogólniania koncepcyj matematycznych, doprowadzającego do najwyższych szczytów matematycznej abstrakcyjności.

Wzamian jakby za te walory od matematyki dziedziczone logika, już matematyczna, wlewa w matematykę nowego ducha, ducha, który może być nazwany logicyzacją matematyki. Ten właśnie duch i jego powiew pobudza myśl matematyczną do krytycznego badania samych podstaw matematyki, do uprawiania tak zwanej filozofji matematyki.

S. A. Kobyłecki.

Sygryda Undset na tle literatury Norwegji.

(Dokończenie).

W tę ciężką atmosferę zaczęły wdzierać się rzeźwiejsze powiewy. W Danji Johannes Jörgenson już w 1896 roku przyjął katolicyzm. Zaprowadziła go tam długa droga: od naturalizmu do estetyzmu Huysmanowskiego przez okultyzm i mistykę dotarł wreszcie do portu, wrócił do prawdziwego Kościoła, dając przepiękne książki o św. Franciszku z Asyżu, o bł. Janie Bosko i in. Książka Emilji Fogelklou o św. Brygidzie (1919) zwróciła uwagę Skandynawji na katolickie średniowiecze. I w tymże 1919 roku nawróciła się na katolicyzm autorka wszechświatowej sławy, laureatka Nobla — Sygryda Undset. *Krystyna córka Lawransa* (Kristin Lavransdatter) ukazała się w latach 1920—1922. Dla wszystkich Norwegów była ta książka dziełem historycznem, wzorowanem na sagach, wskrzeszającem z niemałą erudycją wiek XIV w Norwegji. Ale niewątpliwie dla niejednego czytelnika była ta książka, głosząca chwałę i czyny Kościoła katolickiego w średniowieczu, rewelacją, punktem wyjścia dla głębszych przeżyć, artystycznym argumentem, odpowiedzią, nawet na zagadnienia współczesne.

Ponieważ dzieło ważniejsze jest od autora, biografja, zwłaszcza ludzi żyjących, powinna pozostać poza nawiasem rozważań literackich. Mylnym też jest pogląd, że znalezieniem przyczynowości dzieła jest związanie z niem przeżyć osobistych autora. Jednakże, kiedy chodzi o autora-konwertytę, którego życie staje się przez dramatyczną walkę idei i szukanie prawdy jednem z jego dzieł twórczych, intere-

sują nas niezmiernie szczegóły jego życia. Tutaj możemy je przytoczyć tem swobodniej, że Sygryda Undset w dzienniku norweskim *Aftenposten,* w fejletonach pełnych wdzięku, nakreśliła obraz swego dzieciństwa i młodości.

Ojciec autorki, Ingwald Undset, był wybitnym archeologiem. Napisał pracę *Początek okresu żelaznego w Europie Północnej* i książkę wspomnień i wrażeń: *Od Akershus do Akropolu.* Dr. Undset pochodził ze starej rodziny norweskiej z Rendalen, ale żona jego była Dunką — nazwisko jej panieńskie brzmiało Anna Marja Gyth. Była córką radcy, mieszkającego w małem miasteczku duńskiem Kallundborg. Rodzina Gyth była szkockiego pochodzenia. Dr. Undset podróżował po całej Europie, czyniąc poszukiwania archeologiczne. Wtedy pani Undset przebywała u swych rodziców w Kallundborg i tam urodziła się Sygryda w roku 1882. W Kallundborg mieszkała jedna ciotka, która opowiadała dzieciom baśnie. Wywarły one wpływ na wyobraźnię małej Sygrydy. Potem rodzina Undset przeniosła się do Oslo. Z początku mieszkano w willi za miastem w Vestre Aker. Wrażenia swe z tej dzielnicy opisuje Sygryda Undset w „Harriet Waage".

„Zawsze nienawidziłam tych głupich, wypuczonych, zadowolonych z siebie, zamożnych willi. Jak brzydko wyglądają te pojedyncze świerki i sosny wyrosłe w lesie, a pozostawione w ogrodach koło domów, kiedy las został wyrąbany".

Kiedy później rodzina przeniosła się do śródmieścia, dzielnica ta wywarła na wyobraźnię dziecinną jeszcze cięższe wrażenie. Opisuje je w *Wiośnie.*

„Stukot kół na ulicy boleśnie raził uszy dziecka wsi. Pobiegł do okna, aby zobaczyć ulicę, której oczekiwał z takiem napięciem. Prawie wprost naprzeciw, po drugiej stronie ujrzał wielki brudno-szary budynek o mnogich oknach. A chociaż za wielu szybami widniały kwiaty, uznał Torkild, że dom wygląda tak, jak sobie wyobrażał więzienie. Wyjrzał na brukowane podwórze, na którem stał jeszcze bardziej szary i jeszcze ohydniejszy dom, niż ten, w którym mieszkali. Powietrze uciskało mu piersi".

Porównanie do więzienia nasunęło się Sygryd Undset

nietylko dlatego, że miasto robi wogóle wrażenie miejsca bez powietrza i swobody. Jest to wspomnienie dzieciństwa. Rodzina wraz z małą Sygrydą niejednokrotnie wyjeżdżała w okolice Trondhjem, gdzie dziad jej, ojciec Ingwalda, był dyrektorem więzienia. W jego domu służąca Karolina opowiadała dzieciom baśnie ludowe. Były to nieraz historje przerażające o duchach i strachach. Może wówczas poznała wtedy Sygryda uczucie okropnego lęku, które nieraz opisała w swoich powieściach średniowiecznych. Później te ludowe gadki uzupełniła nasza autorka, czytając zbiór pieśni ludowych Grundtviga *Danemarks gamle Folkeviser.*

W Oslo Sygryda uczęszczała do szkoły i tu straciła ojca, mając lat jedenaście. Matka jej została bez środków. Sygryda została po skończeniu szkoły biuralistką. Tu w długie dni suchej i niezajmującej pracy marzyła o własnej twóczości. W r. 1907 wydała pierwszą książkę *Fru Marta Oulie.* Zachęcano ją do dalszej pracy. Otrzymała stypendjum i oddała się literaturze. W 1912 roku wyszła zamąż za malarza Svarsstad'a i miała z nim kilkoro dzieci. Ale potem wzięła z nim separację i mieszka z dziećmi w posiadłości swej „Bjerkeboek" koło Lillehammer w Norwegji. Konwersja Sygrydy nastąpiła pod wpływem Dominikanów francuskich.

Cała twórczość Sygrydy przed *Krystyną córką Lawransa* nie znalazła wielkiego oddźwięku poza Norwegją. Ośrodkiem jej jest kobieta i życie rodziny. Ale przed konwersją maluje Sygryda Undset typy smutne, wykolejone, spragnione szczęścia, a nie umiejące go znaleźć. Jest to świat kobiet i młodzieńców z rodzin zubożałych, rozbitych, wykolejonych, młodzieży zarobkującej niechętnie, buntującej się przeciw szarzyźnie, z której nie przychodzi wyrwać człowiek wymarzony.

Sygryda Undset najczęściej patrzy od strony kobiety. Ale nie jest ona podobna do autorek nowoczesnych, dla których pisać o kobiecie znaczy żądać swobody wyżycia się i rozbicia małżeństwa. Z niewielu wyjątkami powieści jej demonstrują krzywizny małżeństwa współczesnego. I stosunek jej do kobiety i domu jest nawskroś tem, co nazywają

„reakcyjnem". Poglądy swoje na zadania kobiety sformułowała ona nawet w książce *Kvindesynspunkt* (Z punktu widzenia kobiety), która wywołała oburzenie ludzi przeciwnego światopoglądu. Sygryda Undset zwróciła zresztą na nie mało uwagi i łatwo pogodziła się z nazwą reakcjonistki. W książce tej pisze:

„Dawniej nie było ucisku, bo sobie tego nie uświadamiano. Teraz jest ucisk kobiety i robotnika. Kobieta może swobodniej wybierać męża, gdy ma zawód. Ale prawo głosu nie zmienia właściwie nic".

Zwraca ona uwagę na osłabienie instynktu macierzyństwa: „Kiedy my, kobiety, będziemy uważały nasze prawa za nasze obowiązki, wtedy tylko odzyskamy poziom kultury naszych przodków z przed wieku".

W *Czwartem przykazaniu* gani autorka rodziców współczesnych, którzy nie mają autorytetu, ani woli zabraniać tego, co szkodliwe, ani też karać za wykroczenia dla dobra samych dzieci. Dziecko podług niej jest darem Boga i nie należy do rodziców. Powinno być wychowane dla chwały Bożej.

Już pierwsza książka Sygrydy Undset *Pani Marta Oulie* zawierała tragedję grzechu przeciwko małżeństwu. Jest to dziennik autobjograficzny kobiety, która zdradziła męża. Pisany jest w formie podobnej, jak *Pan* Hamsuna. Pani Oulie ma męża dobrego, ale ograniczonego, bez polotu. Zdradziła go, a teraz zapadł on na suchoty. Pani Oulie robi sobie wyrzuty, sumienie nie daje jej spokoju. Mąż umiera, a wtedy idealizuje go i zachowuje w pamięci.

Już w tej książce jest ta ogromna powaga, która cechuje pisarzy północnych. Sygryda Undset nie zna prawie satyry i humoru — dwóch wybitnych cech pisarzy angielskich. Na portrecie jej, malowanym przez Aage Remfeldla patrzy na nas twarz bez cienia uśmiechu, niezamącenie poważna. Taka kobieta nie mogła napisać igrającego romansu hedonistycznego w stylu francuskim. Mówi ta twarz: „mnie tam chodziło o wszystko". Surowo patrzy w życie, sądzi bezwzględnie i nieubłaganie, nazywa nieustraszenie każdą małość po imieniu. Twarz to istoty, walczącej o prawdę, potykającej się mężnie i hartownie.

Pokolenie „bez dogmatu" wychodzi na scenę i w następnej książce *Den Lykkelige Alder* (Wiek szczęśliwy). Zieje tu w duszach młodzieży przeraźliwa pustka i zniechęcenie. Ostatecznem słowem jest albo samobójstwo, albo rezygnacja. Karolina Hedels ma piękne ognisko domowe, matka ją uwielbia. A jednak jest z życia niezadowolona, wypaliło się w niej wszystko przedwcześnie, nie żyje dla żadnej prawdy, nie zna jej i odbiera sobie życie. Swoboda, z której niby to korzysta, jest dla niej tylko zatratą.

Druga bohaterka powieści, Uni Hirsch, która wystąpi w innej powieści jako Pani Hjelde, tęskni za pięknem i miłością. Odmówiło jej tego życie. Zaręcza się z biednym młodzieńcem, który zbyt długo każe jej czekać na ślub. Tymczasem próbuje szczęścia na scenie. Wydaje się jej, że ma talent. Ale i tu spotyka ją rozczarowanie. Wkońcu wychodzi za poczciwego, ciężko pracującego Chrystjana Hjelde. W powieści *Pani Hjelde* widzimy ją, jak rodzi i chowa w męczarniach dzieci bez końca, dochodząc do zupełnego wyczerpania i samozatraty. Dola kobiety, mającej dużo dzieci, jest przedstawiona realistycznie, bez obsłon, z całą sumą cierpienia i trudu. Ale jednocześnie oddana jest miłość i szczęście macierzyństwa.

Cóż cięższego — brzemię jarzemne trudu i szarzyzny! I kobieta — Uni Hjelde — chce z niej się wyrwać. Szuka w romansie, niedoprowadzonym zresztą do końca, trochę odświętnej poezji, piękna, rozrywki. Ale głos obowiązku, głos dobroci przywołuje ją nanowo do ogniska.

Za czasów ibsenowskich w modzie było malować tragizm uczuć zerwanych, które nie dadzą się już naprawić. Struna pękła — nie da się jej nawiązać. Sygryda Undset pokazuje, że przy dobrej woli i zasadniczej uczciwości ludzi mogą oni nanowo ożywić przywiązanie, odbudować ognisko może nawet na lepszych podstawach po chwilowem zachwianiu się. Niema rzeczy bezpowrotnych. Tylko nie trzeba powiększać i rozdmuchiwać czynnika zazdrości zwierzęcej, która tak silną rolę od czasów naturalizmu i Zoli odgrywa w literaturze francuskiej. I u naszego Żeromskiego. Niezdrowy erotyzm francuski, traktowanie trójkąta małżeńskiego, jako rzeczy samej przez się zrozumiałej, poza-

etycznej, niekwestjonowanej jako przestępstwo, oddziałało na opinję społeczeństwa.

Po odrzuceniu bezpowrotności, ukazanie możliwości przebaczenia i nie poddania się zazdrości jest wspaniałem odkryciem w dziedzinie tematów literackich Sygrydy Undset.

Zwalcza ona odkobiecenie kobiety, jej kapryśny hedonizm. Harriet Waage (w powieści pod tymże tytułem) porzuca jednego męża dla drugiego. I w chwili, gdy już ma iść z nim do ślubu, gdy już skończył się rozwód i ten nielegalny stosunek można uprawomocnić, Harriet Waage widzi, że właściwie nic nie zyskała na zamianie. Nie potrafiła kochać bez egoizmu ani pierwszego, ani drugiego męża. I oto u progu nowego życia siedzi wśród kufrów przygotowanych do podróży poślubnej i płacze. Zamiana nic jej nie dała, gdyż smutek życia leżał w niej samej, w braku poświęcenia i myśli o innych.

Surowy jest sąd Sygrydy Undset nad kobietą współczesną. Szuka ona szczęścia, nie myśląc o innych — nie łącząc go z celem życiowym. Edele Hammer w *Cudzoziemcu* wyrywa się z pospolitości swego otoczenia, dusząc się i szarpiąc między biurem a pensjonatem. Samotność kobiety pracującej, życie monotonne i bez powabu ciąży coraz bardziej Edele. Szuka miłości w pierwszym napotkanym mężczyźnie, rozczarowuje się, wychodzi zamąż za innego i po wielu tarciach i walkach wewnętrznych osiąga równowagę życia. Ciężką atmosferę książki wyjaśniają opisy wycieczek narciarskich wśród wzgórz i lasów, które spotykamy również w *Wiośnie*.

W tej książce (wydana 1914) również mamy rozbitą rodzinę, na tle której wyrastają dzieci smutne, bez ostoi moralnej, bez wiary w Boga i życie. Miłość Torkilda i Róży rozwija się ciężko, gmatwa, traci całą jasność i radość. Róża rozwodzi się z mężem, ale tęskni za domem, który on jej stworzył i wkońcu wraca do niego. Na końcu jest nuta brzmiąca bardziej optymistycznie, niż dotychczas.

Środowisko ludzi o zupełnej pustce moralnej, bez zasad, bez prawdy wewnętrznej, bohemy artystycznej o luźnych obyczajach wprowadza Sygryda Undset w *Jenny* (1911).

Młoda malarka zaręcza się z Gramem, potem porzuca go i zwraca się do jego ojca, z którym ma dziecko. Wkońcu odbiera sobie życie, zagmatwawszy się dzięki swej bezwoli w sytuacji bez wyjścia.

W *Jenny* opisuje Sygryda Undset pobyt w Rzymie, mszę ranną i pasterkę w kościołach rzymskich. Widać, że już wtedy uderzyło jej wyobraźnię i uczucie piękno katolicyzmu. Sama atoli książka posępna i bezideowa zostawia wrażenie przytłaczającego zaduchu, z którego niema wyzwolenia. Swobodne traktowanie miłości nie przynosi ani szczęścia, ani zadowolenia. Rola ojca, odbierającego narzeczoną synowi i to pokryjomu, jest ohydna.

W *Futtige skrjaebner* (Biedne losy, 1912) Sygryda Undset okazała się dobrą nowelistką, a w noweli *Simonsen*, historji nieudolnego ciemięgi, lecz dobroduszneg o i wesołego człowieka, jest nawet ironja i humor, dziwne u istoty, która wcale się uśmiechać nie umie, która nic nie potrafi brać lekko. Ogarnia ją pasja sprawiedliwości. Ale w świecie bezbożnym nie ma jej i nikt nie przychodzi pomóc urzeczywistnić snów o lepszem życiu. Echa Ibsena i Nietzsche'go słychać w wierszu ze zbiorku *Ungdom* (Młodość, 1910)

> Żaden bóg nic nie zmieni w mym losie,
> Sama udźwignę ciężar mi dany,
> Ale poco poniżać się, żebrać, jęczeć napróżno?

Jak to dalekie od uczuć Krystyny córki Lawransa, która po szarpaninie i cierpieniach całego życia znalazła nareszcie spokój w klasztorze w Rein!

Sprawiedliwości, uczciwości nie względem siebie, a innych żąda Sygryda Undset i w innych książkach: *Splinten av Troldspeilet* (Odłamek lustra zaczarowanego), *Pani Hjelde, De kloge Jomfruer* (Panny mądre, 1918). A niema prawie książki, w którejby dużego miejsca nie oddała najważniejszej stronie życia kobiecego — macierzyństwu.

Opisuje matki i dzieci. W *Wiośnie* dużo miejsca poświęca psychologji dzieci, które mają swój własny świat przeżyć. Wnętrza domów i całe otoczenie opisuje z punktu widzenia dziecka i przypomina w tem Andersena. Tak samo opis przedmiotów, intymnie związanych z przeżyciami czło-

wieka, żyjących jakby własnem życiem, jest zaiste Andersenowski. Np. *(Wiosna)*:

„Nie bawił się prawie nigdy z Różą i Doris, które w sypialni, gdzie stały dwa wielkie mahoniowe łóżka, bawiły się lalkami, albo przebrane w długie suknie i obrusy „grały teatr". Zwykle siedział sam w mieszkalnym pokoju, czytał i oglądał obrazki lub grał na starym fortepianie. Skrzynia, obciągnięta przez panią Wegner barwnym kretonem, pełna była nut. Były tam stare duńskie piosenki, ale także tomy Mozarta, Bacha, Glucka i sonaty Haydna w staroświeckiem wydaniu na zielonkawym papierze, włóknistym i grudkowatym z rozkosznemi sztychami na okładce".

Dzieci bywają najczęściej przytłoczone tragedją domową — smutne dzieci z chorych rodzin, gdzie wygasła miłość rodziców, albo gdzie są zbyt znękani, aby być rozdawcami radości. Rzadko ukazuje się wesoła gromadka w rodzaju dzieci Betsy w powieści *Wiosna*.

Sygryda Undset pojmuje nawet miłość do cudzego dziecka, która jest tylko manifestacją niezniszczalnej potrzeby macierzyństwa w kobiecie. W opowieści *Macierzyństwo* opisuje kobietę, która wzięła cudze dziecko na wychowanie i przywiązała się do niego. Strata tego dziecka jest dla niej straszliwym dramatem. W powietrzu wisi pytanie: któraż matka ma większe prawa — ta, co urodziła, czy ta, co chowała z poświęceniem? Autorka wydobyła tu tony niemniej głębokie, jak w fińskiej powieści *Niedziela*, gdzie opisane są dzieje dziecka adoptowanego.

Kobiety wykolejone nawet, które przeszły przez gehennę życia, jak Doris lub Jenny, mają jeszcze to najwyższe — miłość dziecka. Dziecko zajmuje u Sygrydy Undset niezmiernie dużo miejsca. Losy dzieci splatają się z losami rodziców i jasnem się staje, jak grzechy i upadki rodziców łamią dzieciom życie, robią z nich nieufnych melancholików, przedwcześnie bezsilnych i niewierzących w radość na ziemi. Sygryda Undset opisuje całe życie domowe, wszystkie szczegóły, dotyczące matki i dziecka. Widzimy, jak dzieci są ubrane, jak kąpią się, jedzą, grymaszą, chorują, bawią się i jaką radość ma z nich matka. Te drobne fakty życiowe, podpatrzenia realnej zjawy, w których tak celuje Karin

Michaelis i nasza Zapolska, mają szczególne znaczenie w życiu północy. Dotąd rodzina jest tam silnie scementowaną komórką, dotąd w odludnych osiedlach albo domach miejskich zubożałych ludzi jest takie ubóstwo zdarzeń i przeżyć, że każdy drobiazg urasta do rozmiarów wielkiej przygody. Niektórzy pisarze północni (Gustaf af Geijerstam w *Książce o braciszku*) potrafili, opisując drobiazgi życia codziennego, nadać im czar i urok, które one mają w życiu, gdzie intronizowana jest miłość.

Sygryda Undset szczegóły życia podaje nie od strony niezdrowej sensacji, brutalnego zdzierania zasłon z życia, aby dotrzeć do najniższych i najbrudniejszych jego stron, ale od strony cierpienia. Chropawość i szorstkość życia, z całym bólem doli kobiecej, z całym ogromem ofiary, którą trzeba podjąć dla dziecka odraża wielu w książkach Sygrydy Undset i jest często ciężka w czytaniu. Niektóre momenty są straszne, np. kiedy pani Hjelde karmi dziecko albo Krystyna opatruje zaropione oczy Bjørgulfa. A jednak opis porodu lub choroby, opis cierpienia nie do wytrzymania, przechodzącego, zda się, granice możliwości ludzkiej, nie robi wrażenia zbytecznego studjum klinicznego, jak u Zoli.

To przedstawienie bezmiaru ludzkiej niedoli, niedoli duszy i ciała nie jest bez wyjścia. Jest gwiezdne niebo nad nami...

Ale otwiera je nam nad głową autorka dopiero w swojem głównem dziele. Przedtem książki jej są ciężkie, bez tchu wyzwolenia. Ukazuje ona rany w rodzinie współczesnej, w życiu kobiety. Wolna miłość, grzechy rodziców, rozwodnictwo, wszystko to jest zmorą w przedstawieniu Sygrydy Undset, zmorą, którą chciałoby się zrzucić z piersi. Zmaga się ona sama z beztreściwością życia, szuka sama w osobie swych bohaterek, goniących za efemerycznem szczęściem ludzkiem — szczęścia niezmiennego, które nie zawodzi.

Sąd nad współczesnością i sobą czyni autorka również w powieściach współczesnych *Gymnadenia*, *Krzak płonący*.

Wyżynę swej twórczości osiągnęła Sygryda Undset w *Krystynie córce Lawransa*. Ta powieść z w. XIV nie była niespodzianką w jej twórczości. Jak wszyscy prawie pisarze

skandynawscy, czerpała ona z nieprzebranej skarbnicy sag. Już w roku 1909 napisała sagę z czasów wikingów *Viga Ljot i Vigdis*, która jest dość umiejętnem naśladowaniem oryginałów. Potem odtworzyła cykl króla Artura w opowieści *Król Artur i okrągły stół*. Prócz tego tłumaczyła sagi i pisała o nich.

Sagi były historją rodów. Porównajmy początek sagi o Gudrun w przekładzie Artura Górskiego:

„Mąż pewien zwał się Oswifr; był synem Helga, a ten synem Ottara, a ten synem Bjoerna ze Wschodu, a ten synem Ketila Płaskinosa, syna Bjarna Buna. Matka zasię Oswifra zwała się Nidbjoerg, a jej matką była Radlin, córka Hrolfa Piechura, a ten był synem Torira Wołu. Torir Wół był możnym władyką na wschodzie, we Wik; przezwisko jego poszło stąd, że miał trzy wyspy, a na każdej po osiemdziesiąt wołów".

Krystyna córka Lawransa tak się zaczyna:

„Lawrans pochodził z rodu zwanego w kraju synami Langmanria. Ci przybyli ze Szwecji z owym Laurencjuszem Oestgoetalagmannem, który uprowadził z klasztoru Vreta siostrę Bjelbo - Jarla, dziewicę Bengtę i wraz z nią schronił się do Norwegji. Pan Laurencjusz został przy królu Haakonie Starszym, ceniony bardzo przez niego; król darował mu dwór Skog i t. d."

A oto uczta w sadze o Gunnlaugu „żądło wężowe".

„Illugi i jego synowie otrzymali pierwsze przednie siedzenie, Torstein Egilson i jego zięć Hrafn tudzież druhowie młodego pana drugie przednie siedzenia naprzeciw Illugiego. Niewiasty zajęły miejsce na ławach wewnętrznych, piękna Helga siedziała obok panny młodej".

Zaś na Husaby w domu Erlenda syna Mikołaja:

„Zasiedli do stołu. Dla gości położono aksamitne poduszki na ścienną ławę po obu stronach poczesnego miejsca. Czeladź siedziała na zewnętrznej ławie. Ulf, syn Haldora w środku naprzeciwko Erlenda".

Opisy, które w sagach są zwięzłe i szematyczne, u Sygrydy Undset mają soczystość i koloryt. Taka jest między niemi różnica, jak pomiędzy rysunkiem wydłubanym na kawałku kości a malowidłem realistycznem. Sagi pełne są

rozrzuconych szczegółów z dawnej kultury i obyczajów, ale Sygryda Undset potrafiła je złożyć, tchnąć w nie taką plastykę i życie, że zostajemy przeniesieni w owe dawne czasy. Bo też są w ludziach starej Norwegji te wieczne pierwiastki, które znajdujemy i w nas. *Krystyna* to i powieść o nas samych i baśń, z której wiemy o zalotach rycerza, o pięknych włosach narzeczonej, o czynach męstwa i odwagi, o ciężkich perypetjach miłujących się ludzi.

Są momenty, w których naprawdę spełniają się sny ludzkie, jak w baśni, np. kiedy Erlend przyjeżdża na ślub do Krystyny. Ale potem znowu czujemy bezlitosne brzemię doli, które gniecie człowieka.

Plastyka, bryłowatość, materjalność, ciężar opowieści o Krystynie córce Lawransa jest tak wielki, że nie przezwyciężyły go przeżycia religijne; są one w tej książce nader prymitywne. Najpełniejsza uroku, najeteryczniejsza jest scena w gospodzie dla pielgrzymów w cz. II (*Pani na Husaby*, po polsku nie wiedzieć dlaczego nazwana *Żona*), kiedy mnich Edwin, zmarły w odorze świętości, ukazuje się Krystynie i wiesza rękawicę na księżycowym promieniu.

Religja, pojmowanie obrzędów Kościoła katolickiego, odczucia Boga i świętych są antropomorficzne, mało uduchowione. A jednak ileż miłości dusz mieli ci ludzie średniowiecza, którzy z ciała wyróść nie zdołali! Ofiary Lawransa dla Krystyny, Szymona Darre dla narzeczonej, Gunulfa, idącego na północ nawracać pogan w okropnych warunkach, mnichów i mniszek, ratujących ludzi podczas dżumy — i ta ostatnia ofiara Krystyny dla nędznej kobiety, zmarłej od zarazy i jej dziecka — wszakże to wszystko dla Chrystusa!

Widzimy siłę i władzę Kościoła, który umiał tych ludzi zadzierzystych, krwistych, gotowych zawsze do gwałtów i zwady zmusić do pokuty, poruszyć do przebaczenia, obudzić w nich dobro. Kościół wlewał olbrzymiemi potokami światło Boże w życie; wszystkie zdarzenia błogosławił, dawał oświatę, uczył i strzegł moralności, pielęgnował chorych, dawał schronienie podróżnym, szerzył piękno

przez okazałość kościołów, utrzymywał w karbach życie społeczne, był jedyną wówczas instytucją opieki społecznej.

W chwilach rozterki i cierpienia rzucał ukojenie, jak chłodne płótno na ranę. Przepiękny jest obraz, kiedy Lawrans, zbolały na duchu, dotknięty w najgłębszych uczuciach wychodzi w pole. Przejeżdża ksiądz do chorego.

„Audun przeszedł ze światłem i dzwonkiem w rękach, dźwięczącym w mroźnem powietrzu łagodnym, wysokim tonem. Za nim jechał na koniu Sira Ejryk. Kiedy znalazł się obok klęczącego człowieka, podniósł w górę Przenajświętszy Sakrament i nie patrząc w bok, cicho przejechał. A Lawrans skłonił głowę i wyciągnął ręce na powitanie swego Zbawiciela. Owo nocne spotkanie z Bogiem pocieszyło go mimo wszystko i skrzepiło na duchu".

Grzech idzie śladami człowieka i kala go brudem i krwią. Kościół cudownie odradza pokutą i przebaczeniem; łaską kary, której teraz już nie otrzymuje i nie wypełnia nikt; chociaż grzechy zmalały i spowszedniały, ale nabrały szczególnej perwersyjności i bezwstydu. A ulga nie przychodzi, bo zbytnia łagodność, obawiająca się odstraszyć słabych i wciąż łatwych do zachwiania nie hartuje i nie pomaga duszom do zbawienia.

Pokutna pielgrzymka Krystyny do św. Olafa jest obrazem tej odradzającej mocy Kościoła. Widzimy też jak na duszę Krystyny, Orma, Lawransa, Ragnfrydy stałe oddziaływanie nauk księży i służba Boża wywiera wpływ, nakłania do czynienia dobra.

Wśród tych ludzi, często cnotliwych, lecz prymitywnych, jak prymitywną bardzo jest sama autorka, wyróżnia się święty mnich Edwin: „Ja jednak miłowałem szerokie gościńce — mówi do Krystyny — nie kochałem ja małych rzeczy tej ziemi, ale świat cały".

Tęsknota za bezgrzesznością, walka o zdobycie odkupienia i przeszkadzający w tem czynnik najbardziej żywiołowy i amoralny — czynnik erotyczny oto stałe wątki u Sygrydy Undset. Co może uratować? Miłość Boża. Mnich Gunulf mówi:

„Zrozumiałem, że owa męka miłości boskiej nie skończy się dopotąd, dopokąd rodzą się na ziemi mężczyźni

i dziewice i dopokąd Bóg cierpieć musi nad tem, że straci ich dusze — dopokąd dzień w dzień oddaje On swoje ciało i swoją krew przy tysiącach ołtarzy — i dopokąd istnieją ludzie, którzy tą ofiarą gardzą".

Obraz tych losów splątanych, tych rodów kłócących się i jednających, urósł w epopeję prawdziwą, w ogromną historję w rodzaju *Sagi rodu Forsytów* lub ogromnych tomów Prousťa. Są to dzieje niewinności, upadku, odrodzenia, grzechu zawziętości i ostatecznego oczyszczenia się przed śmiercią Krystyny córki Lawransa.

Następne wielkie dzieło rodowe — *Olav Audunsson w Hestviken* (1925) i *Olav Audunsson i jego dzieci* (1927) jest bledszem powtórzeniem *Krystyny*. I tu są dzieje upadku młodej dziewczyny. Chce sobie odebrać życie. Ale narzeczony jej chce razem z nią dźwigać hańbę, aby pomóc jej się odrodzić. Droga mężczyzny, przepastne możliwości jego duszy, pokutę i oczyszczenie ukazuje autorka w tej drugiej powieści. I tutaj z nieubłaganem okrucieństwem, jakie miał w swej twórczości Żeromski, zbliża nas do rzeczywistości, że staje się żywą i dotykalną. Żaden z pisarzy katolickich przed Sygrydą Undset nie opisywał tak realistycznie życia, nie obnażył tak nędzy i męczarni człowieka w dociskach duszy i ciała. Ale przez to słowa o Bogu nie są abstrakcyjnem moralizatorstwem, lecz prawdą żywą, ociekającą krwią, która zamienia się w wino ofiarne.

Ta twórczość opromieniona ideą katolicką, oparta na starych sagach północnych, wyprowadzająca charaktery potężne, opanowane, umiejące milczeć i nie ustępować wnosi nowy pierwiastek do katolickiej literatury wszechświatowej. Katolicyzm po reformacji był najsilniejszy w krajach południowych. Wyznawcy jego zbyt wiele mieli miękkości, kompromisowości, powierzchowności wesołych ludów, żyjących beztrosko w słońcu. Bezwzględna surowość prawdy, nieustępliwość, niepaktowanie ze złem, stanie przy wierze aż do samozatraty oto pierwiastki, które może wnieść do katolicyzmu charakter nordycki. Należy się cieszyć, że katolicyzm odradza się w Skandynawji, gdzie powstał cały szereg twórców, tak bezwzględnie pojmujących prawdę Chrystusa. Do ogólno-światowego ruchu katolickiego wniosą

cechy, których mu nieraz brakuje. Wystąpią przeciwko ugodowości sumień, słabości rozgrzeszającej się, opieszałości i bezwoli, łączeniu interesów egoistycznych z nakazami ofiary, bez której niema prawdziwych wyznawców Chrystusa.

W twórczości Sygrydy Undset witamy pierwiastek nordycki w katolicyźmie.

Anna Zahorska.

W zeszycie wrześniowym *Przeglądu Powszechnego* w artykule: „Sygryda Unset na tle literatury Norwegji", nap. Anna Zahorska, zakradły się przeważnie w nazwiskach obcokrajowych błędy drukarskie, które niniejszem prostujemy:

str.	wiersz	wydrukowano	ma być
262	6 od dołu	Posner-Garfeiowa	Posner-Garfeinowa
263	11 z góry	Wabowskiego	Wapowskiego
„	13 „	Taxo Grammaticus	Saxo Grammaticus
„	15 od dołu	Kunta Hamsuna	Knuta Hamsuna
„	14 „	Stründberga	Strindberga
„	10 „	„Sagi o Gisîûm"	„Sagi o Gislim"
264	14 „	Hilma Borelnis	Hilma Borelius
266	5 z góry	Srerdrup	Sverdrup
„	12 „	Srerdrup	Sverdrup
267	1 „	von Heidenslam	von Heidenstam
„	15 „	*Olaf Andnusson*	*Olaf Audunsson*
268	6 od dołu	rodzimego	rodzinnego
269	8 z góry	Snarre Sturlasson	Snorre Sturlasson
271	4 „	Biunorieo Biunorie	Binnorie o Binnorie
273	7 „	pobudki	polemiki
274	17 od dołu	Gnorre	Snorre
275	15 z góry	*od Uwagi*	*od Uwag*
„	18 od dołu	Soren Kirkegaard	Soren Kierkegaard
276	7 „	chcąc paktować	chcącą paktować
„	4 „	„komedji miłości"	„Komedji miłości"
277	14 z góry	René'go, Chateaubrianda	René'ego Chateaubriand'a
281	18 „	zjednoczoną	zjedzoną
282	11 „	atamowanie	otamowanie
„	7 od dołu	Kunt	Knut
283	12 z góry	włóczęgarstwo-	włóczęgowsko-
„	18 „	kartofji	kartofli
284	9 „	Gunniar	Gunnar
„	3 od dołu	Ola Hasunem	Ola Hansonem

Udział duchowieństwa katolickiego w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce.

(Dokończenie).

II.

W dalszym ciągu tego szkicu podamy pokrótce zasługi pracowników naukowych z duchowieństwa — w botanice.

Prawie wszyscy byli już cytowani poprzednio: pozostałoby przeto jedynie uzupełnić ich zasługi.

Ks. Marcin z Urzędowa († 1573 r.) opracował pierwszy zielnik Polski (wydany w 1595 r.) i dzieło jego (raczej lekarskie niż botaniczne) jest prawdziwie renesansowe.

Następnie ks. Gabrjel Rzączyński z Towarzystwa Jezusowego w swojej *Historia naturalis curiosa R. P. 1721* i w *Actuarium 1742* przedstawia sporo wiadomości o ziołach, kwiatach i drzewach, lecz dzieło jego jest właściwie kompilacją.

To samo można powiedzieć o autorze alfabetycznie ułożonej *Historia naturalis 1785* księdzu Ładowskim.

Zato niezwykle wartościowem jest dzieło ks. Michała Bożka z Towarzystwa Jezusowego p. t. *Flora Sidensis 1659,* przyswojone naszej skromnej literaturze naukowej.

Największą jednak zasługą w dziedzinie rozwoju botaniki polskiej ma bezsprzecznie ks. Krzysztof Kluk, którego słusznie nazywa J. Rostafiński „chwałą Polski XVIII wieku".

Ks. Kluk, będąc proboszczem w odległym zakątku Podlasia w Ciechanowcu, dzięki zamiłowaniu do nauk przyrodniczych, a botaniki w szczególności, oraz umiejętności pracy systematycznej, drogą samouctwa doszedł do znacznej biegłości w znajomości

roślin krajowych i jego właściwie pierwsza flora polska, wydana w 3-ch tomach w r. 1781—1785 p. t. *Dykcjonarz roślinny*, stoi na wysokim poziomie naukowym. Dzieło to jest podstawą rozwoju naszej florystyki w linneuszowskim duchu. Chociaż pracy takiej ks. Kluk nie mógłby wykonać, gdyby nie miał pomocy w postaci bogatej bibljoteki w Siemiatyczach, gdzie właścicielka Anna z Sapiehów Jabłonowska nagromadziła wiele cennych okazów naukowych. Na *Dykcjonarzu* tym kształciło się parę pokoleń w Polsce. Trzeba również podnieść zasługi pijara, ks. S. B. Jundziłła († 1847 r.), który wydał pierwszą *Florę Litwy 1791* i dołożył wiele starań około założenia ogrodu botanicznego w Wilnie, pozostawiając go w r. 1824 z 6.595 gatunkami roślin.[1])

Możemy także przytoczyć niezwykle piękny przykład pracownika naukowego z duchowieństwa z pierwszej połowy XIX w. Jest to ksiądz Jerzy Pabreż, zwany O. Ambrożym w klasztorze Bernardynów w Kretyndze na Żmujdzi (ur. 1771 r. † 1849 r.) Studja przyrodnicze i medyczne ukończył on w Akademji Wileńskiej w roku 1794; młodość jego sięga więc jeszcze w czasy dawnej Rzeczypospolitej. W roku 1816 wstąpił do wspomnianego wyżej klasztoru, gdzie był nauczycielem utrzymywanej przez zakon szkoły średniej. Oprócz tego zajmował się lecznictwem i w szerokiej okolicy był uważany za cudotwórcę; pisywał także kazania i nauki duchowne dla ludu litewskiego. Przedewszystkiem zaś poświęcił się botanice, nad którą pracę zaczął od przeróbki *Zielnika Syremiana z XVI wieku,* zapewne ze względu na cenne wiadomości lecznicze. Największą pracą jego życia było zebranie, oznaczenie i ułożenie według systemu Linneusza zielnika flory żmujdzkiej, głównie oczywiście okolic Kretyngi, w latach 1820-1838. Zadanie swoje traktował nadzwyczaj sumiennie, stojąc całkowicie na poziomie wiedzy ówczesnej. Jego oznaczenia roślin są prawie bez błędu, są więc cennem świadectwem stanu szaty roślinnej Żmujdzi przed stu laty. Posiadał wszystko, co tylko wydano o florze Litwy do jego czasów, a nadto takie podstawowe rzeczy, jak dzieła K. Linneusza i inne. W uniwersytecie był uczniem prof. J. Jundziłła.[2]).

[1]) *Botanika* cz. II, t. VII *Poradnika dla samouków* 1931 art. prof. B. Hryniewieckiego p. t. *Historja botaniki w Polsce.*

[2]) Tenże: *Ksiądz Jerzy Pabreż* (O. Ambroży), *zasłużony badacz flory Żmujdzi* we *Wszechświecie*, Warszawa 1914 i odbitka.

Z dziedziny zoologji możemy podać niestety tylko jeden fakt udziału w rozwoju tej nauki przez duchownego, a mianowicie w połowie ubiegłego wieku ksiądz Grzegorz Bobek, proboszcz w Bochni, zbierał i opisywał owady oraz niektóre ssaki polne. Przepięknym jest jego *Życiorys chomika czyli szczura polowego 1858.*

W uzupełnieniu niniejszej pracy nie od rzeczy będzie podanie zasług duchowieństwa śląskiego w rozwoju wiedzy ścisłej w Polsce.

Wszakże już w wiekach XII—XIV-ym, a nawet XV-ym kultura śląska była czołem kultury polskiej! I tak w roku 1404 dziekanami artystów byli zarówno Jan z Kluczborga, jak Piotr Brandys.

Ks. Jan z Kluczborga objaśnia 1410 r. Pismo św. W tymże roku ma mowę na cześć zwycięstwa pod Grunwaldem. W 1413 wykłada sentencje Lombardusa oraz jak czytamy w Chodynieckiego *Dykcjonarzu uczonych Polaków* [1]) pracuje nad podstawami matematycznemi teologji; w 1423 r. osiąga jako pierwszy doktorat teologiczny w Krakowie.

Ks. Piotra Brandysa znajdujemy w 1401 r. jeszcze w Pradze; 1402 r. jest profesorem w Krakowie, 1404 r. dziekanem, od 1408 do 1410 r. znów wykłada w Pradze, a później w Krakowie w wolnych chwilach zajmuje się, jak to podaje Chodyniecki, miernictwem. Wybitnym teologiem, filozofem, astronomem i matematykiem był ks. Jan z Głogowa. Sława jego uczoności ściągnęła wielu Słowian i obcokrajowców do Krakowa.

Kazimierz Jagiellończyk wyznaczył go na nauczyciela księcia litewskiego Gastołda. Własnym kosztem założył nową bursę dla cudzoziemców i miejscowych studentów. Napisał m. i. sławne dzieło *De causis matrimonii*, najdawniejsze pismo w materji polskiego prawa kanonicznego. Zmarł w 1501 r. W 1484 r. zapisał się na wszechnicę krakowską Wawrzyn Bartłomiej Corvinus z Nowego Targu pod Wrocławiem. Wykładał następnie Arystotelesa, Piotra Hiszpana i Boecjusza. Napisał: *Cosmographia* i *Carminum structura.* Michał z Wrocławia, jeden z najsłynniejszych profesorów akademji, słynął jako astronom i wydał m. i. *Computus novus totius astronomiae 1506; Introductorium astronomiae*

[1]) Chodyniecki: *Dykcjonarz uczonych Polaków*, Lwów 1833 tomów 3.

Cracoviense elucidans Almanach 1507, oraz kilka poważnych dzieł teologicznych i filozoficznych. [1])

Ze szkicu prof. L. Birkenmajera dowiadujemy się o niezwykłej wprost ofiarności duchowieństwa na cele nauki. [2])

Wierni tradycjom swoich poprzedników, Zbigniewa Oleśnickiego Starszego, Andrzeja z Bnina i innych, biskupi nasi, zwłaszcza wieków XVI i XVII-go najczęściej rozumieli wartość nauki, posiadali otwarty wzrok, serce i szkatułę na jej wielorakie potrzeby.

Niepodobna pominąć nazwiska osobistości czcigodnej, jaką był niezawodnie ks. Maciej z Miechowa († 1523 r.), doktor medycyny, profesor Akademji Jagiellońskiej i kilkakrotnie jej rektor, a przytem kanonik-medyk kapituły krakowskiej. Zasługi tego uczonego jako: lekarza, astronoma, geografa i historyka są niepomierne; do tego dochodzi wręcz niezwykła filantropja na cele wiedzy. [3])

Właśnie w tym czasie przykład ks. Macieja z Miechowa pobudził biskupa Piotra Tomickiego (na stolcu biskupim od 1523—35 r.) do popierania wszystkiego, co tylko z wiedzą miało wspólnego.

Sam niezwykle wykształcony, gromadzi dokoła siebie różnych uczonych i artystów, powołuje do życia nowe katedry, a jego na stolicy krakowskiej następca ks. Jan Chojeński łoży niemało, choć cicho i nierozgłośnie, na kształcenie zagranicą licznych scholarów, wiedzy spragnionych. Najstarsze w Polsce biskupstwo, poznańskie, nie pozostało wówczas, nie mogło pozostać poza krakowskiem w ofiarności, zapobiegliwości o krzewienie u nas nauki i wiedzy. Istniejącą w Poznaniu, już dobrze gdzieś jeszcze w połowie XV-ego stulecia, skromną kolonję szkoły Jagiellońskiej przekształca a raczej z gruntu wznosi i hojnie uposaża rozległemi dobrami obok Stawiszyna pod Kaliszem Jan Lubrański, zrazu biskup płocki, a następnie poznański († 1520). Sam doktór prawa i filozofji, wykształcony wszechstronnie, duchem współczesnego

---

[1]) Ks. J. Gawlina: *Zasługi Ślązaków około starej Polski.* Roczn. Śl. T. P. N. 1931 r.

[2]) L. Birkenmajer: *Urywki z dziejów organizacji Nauki Polskiej ofiarności na jej rzecz w Polsce.* Nauka Polska t. V. str. 205 r. 1825.

[3]) *Album studiosorum.* T. 1. p. 288,

humanizmu w pełni owiany, a przytem temperamentu krewkiego i ustawicznie czynny, przebudował i przyozdobił starożytną katedrę w Poznaniu, w rodzinnym Lubrańcu (pow. włocławski) osadził kanoników regularnych i do prowadzenia szkoły miejcowej zobowiązał. Kongregacja ta, w połowie tylko zakonna, pod względem uprawiania nauk i gromadzenia ksiąg, nietylko liturgicznych, ale i naukowych, dobrą posiada tradycję w Polsce.

Na rok przed śmiercią ks. Lubrański wzniósł w Poznaniu osobny na tę szkołę budynek, już przez współczesnych Collegium Lubranscianum nazywany; posiadał według aktu fundacji przeznaczenie szkoły wyższej, a więc niejako Akademji. Szlachetny jej założyciel, wdzięcznie pamiętny na szkołę Jagiellońską, w której sam niegdyś się kształcił, związał ufundowany przez się zakład trwale z Uniwersytetem krakowskim jako jego kolonją, której Uniwersytet miał dostarczać — i rzeczywiście dostarczał — rektorów dla niej i profesorów. Pomiędzy tymi ostatnimi nie brakło osobistości wybitniejszych, jak np. Joannes Lamchonius, medycyny doktór i profesor matematyki tamże, jak ks. Stanisław Pudłowski już cytowany, wielki miłośnik astronomji, fizyki i wogóle nauk matematycznych.

Wielce przychylny naukom, ofiarny i szczodry ich protektor ks. Filip Padniewski, biskup krakowski od 1560 r. znany jest z popierania naukowych prac matematycznych Stanisława Grzebskiego. W dwa wieki później zarejestrujemy po kronikarsku obydwu biskupów Załuskich, którzy zbiory bezcenne zbierali, dwaj bracia dostojni z postanowionym i wykonanym zamiarem złożenia na własność narodu tych wielkich zasobów duchowego bogactwa. Drugie zkolei obserwatorjum astronomiczne powstało z darów, wykołatanych zewsząd przez uczonego i obrotnego jezuitę ks. Józefa Rogalińskiego około 1765 roku w Poznaniu przy tamtejszem kolegjum jezuickiem. W okresie współzawodnictwa jezuitów z pijarami, sufragan lwowski ks. Samuel Głowiński, wielki zwolennik pijarów, zawarł w roku 1756 ze swoim przyjacielem Stanisławem Konarskim układ, na mocy którego darował, celem wybudowania instytutu dla synów szlachty (pod kierownictwem pijarskiem), grunta na przedmieściu łyczakowskiem, dalej dobra Winniki i Podbereżce. I jeszcze ku rychlejszemu wystawieniu gmachu dołożył 60 000 złotych pol. w gotowiźnie. Fakt ten zasługuje na podkreślenie, chociaż ks. sufraganowi przewodziła myśl zaćmienia akademji je-

zuickiej we Lwowie, wzbogaconej tymczasem przez jezuitę Hieronima Sierakowskiego nowem obserwatorjum astronomicznem z wszelkiemi niezbędnemi przyrządami.[1]) I w rozwoju wiedzy ścisłej na Litwie duchowieństwo katolickie ma swoją piękną kartę. Fundacje dominikańskie i bernardyńskie, później jezuickie, pijarskie, karmelickie i kamedulskie, obok jedynego zakonu unickiego bazyljanów — w wielkiem ks. litewskiem i wogóle na całym obszarze półn.-wschod. Rzplitej, przy tego obszaru ogólnej a znanej młodszości cywilizacyjnej, od wieku XV poczynając, odgrywały rolę nie ważniejszą niż ta, którą grały tamte we wczesnem średniowieczu polskiem.[2]) Cokolwiek dałoby się powiedzieć o ich poziomie umysłowym, przyznać należy, że fundatorowie ich i uposażyciele walnie się przyczynili do założenia podwalin cywilizacji i wykształcenia w kraju.[3]) Na polu szkolnictwa najgorliwiej działali jezuici, dominikanie, pijarzy i bazyljanie.

Ku posłannictwu na Litwie — Rusi zwrócone są oczy mistrzów szkoły krakowskiej, a usymbolizowaniem jego jest wybór drugiego zaraz rektora Wszechnicy Jagiellońskiej, którym został Jan ks. Drohiczyński z rodu Gedymina, wnuk Kiejstuta, wielkiego bohatera i obrońcy starej Litwy, dawny hajduk, syn Bułanta Henryka Kiejstutowicza, niegdyś zbiegły potajemnie pod opieką dziada, obecnie kustosz i kanonik krakowski. W drugiej połowie XVI wieku zachodzi fakt wiekopomny: staraniem i kosztem ks. Walerjana Protasewicza Szuszkowskiego, biskupa wileńskiego, w 1570 roku powstaje przy kościele św. Jana w Wilnie pierwsze na Litwie kolegjum jezuickie. Stefan Batory podźwignął kolegjum wileńskie na stopień Akademji z trzema wydziałami: teologicznym, filozoficznym, i sztuk wyzwolonych.[4]) I jeżeli założenie tej nowej, drugiej po Akademji krakowskiej Almae-Matris, jest zasługą króla Stefana, to zasługa rzucenia pierwszych materjalnych podwalin pod gmach nowej uczelni, należy niemal wyłącznie do Protasewicza, który przez to w dziejach kultury i nauki na wieczną zasłużył sobie pamięć. W kilkadziesiąt lat później, Abraham Wojna, biskup wileński, złożył fundusz na dwu

[1]) A. Fischer: *Lwów w Nauce*, 1925 r.

[2]) S. Kościałkowski: *Z dziejów nauczania na Litwie.* Nauka Polska t. V str. 244.

[3]) Ks. J. Fijałek: *Uchrześcijanienie Litwy przez Polskę* str. 122-126.

[4]) Baliński: *Dawna Akademja Wileńska*, str. 57—227.

świeckich prof. medycyny, co się stać miało zapoczątkowaniem wydziału lekarskiego uczelni wileńskiej.[1]) Tuż przed rozbiorami Polski, biskupi, Józef Sapieha oraz Ignacy Massalski ofiarowali teleskopy i narzędzia do czynienia spostrzeżeń astronomicznych.[2]) Ks. kanonik Jan Wichert ofiarował Wszechnicy wileńskiej w 1791 r. rzadkie i niemałej ceny minerały: jaspisy, agaty, kryształy górskie, okazy metali i różne produkty morza.

Jak widzimy z tej niezupełnie gruntownej pracy, to prawie cała wiedza ścisła w Polsce aż do połowy XIX wieku przedstawia się nam przeważnie, jako dzieje twórczych wysiłków duchowieństwa katolickiego.

Duchowieństwo katolickie właśnie dążyło do jaknajwiększego rozszerzenia pola wyjaśnień przyczynowych, a to zarówno ze względów teoretycznych — gdyż wykrycie praw przyczynowych pozwoliło podporządkować nieograniczoną ilość powtarzalnych procesów nielicznym pojęciom ogólnym wiedzy ścisłej — jako też z powodów praktycznych, gdyż dopiero owe przyczynowe ujęcie pozwoliło na skuteczną walkę z ciemnotą i zabobonem, będącemi wrogami samego pojęcia religji.

---

[1]) Bieliński: *Uniwersytet Wileński*, str. 273—8.

[2]) W. Dziewulski: *Historja astronomji w Uniwersytecie Wileńskim*. Roczn. T. P. N. w Wilnie, t. VII, str. 141.

Dr. Ludwik Łakomy.

Przegląd piśmiennictwa.

Powieści.

Zygmunt Nowakowski: Kucharz doskonały (Gebethner). — Michał Rusinek: Burza nad brukiem (Gebethner). — Henryk Glass: Na szlaku chudego wilka (św. Wojciech). — Jerzy Braun: Cień Parakleta (Hoesick). — Elżbieta Szemplińska: Narodziny człowieka (Bibljoteka groszowa). — Marza Ostrawicka: Uśmiech Tatr (Gebethner). — Mieczysław Guranowski: Kobiety biblijne (Gebethner). — Mieczysław Smolarski: Przygoda jednej nocy (nakł. Książnicy społeczno-samorządowej). — Artur Schroeder: Światła na wodzie (Rój).

„Kucharz doskonały" Zygmunta Nowakowskiego przypomina towarzystwo ludzi, z których rozmowy dowiadujemy się nietyko rzeczy ciekawych i nowych, ale którzy przez żywość i dynamiczność swego umysłu wprawiają w ruch i nasz umysł i każą także i nam patrzeć, widzieć, wzruszać się i zastanawiać. Towarzystwo takich ludzi i książek czarujące, ale dość rzadkie — to też gdy się nadarzy należy je wykorzystać.

Feljetony zebrane w tym liljowym tomiku zna już wiele osób, ale czyż miłego człowieka nie zaprasza się chętnie drugi i trzeci raz do domu? Gazetę czyta się inaczej jak książkę, czyta się ją prędko i pobieżnie. Nowakowski jest znany i powszechnie ceniony za swój zawsze świeży, zawsze zabawny dowcip, to też w niedzielnym feljetonie I. K. C. szuka się przedewszystkiem tego dowcipu, bo się wszyscy przyzwyczaili do tego, że w niedzielę rano czytając Nowakowskiego należy się śmiać — a któż się śmiać nie lubi? W książce uwypuklają się lepiej inne poważne, a jakież wielkie walory tych feljetonów. Poprostu czytając je, rozmawia się z człowiekiem inteligentnym i wysoce kulturalnym o wszystkich ważnych kwestjach życia bieżącego, o sztuce, teatrze, literaturze, szkolnictwie, czasem potrąci się o politykę i kwestje społeczne. A nigdy na nudno, zawsze na wesoło.

W tym tomie często bardzo porusza Nowakowski kwestję szkolnictwa, jego reformy, sposobu uczenia zwłaszcza literatury, kwestję poziomu spotykanego w społeczeństwie wykształcenia i t. d.

A trzeba przyznać, że jeśli nawet w tych kwestjach nie jest fachowy, to w każdym razie jest on kompetentny. Wykształcenie jego i oczytanie w literaturze i historji jest wprost zdumiewające.

Dziś wykształcenie straciło wiele na uroku. Często się słyszy, że wykształcenie a inteligencja to rzeczy zupełnie różne. Oczywiście są wypadki, że człowiek obdarzony wrodzoną inteligencją nie ma wykształcenia, a wykształcić może się z biedą i osioł. Ale w pierwszym wypadku inteligencja nie może dać swej pełnej miary, a w drugim wykształcenie jest jakby dobrem narzędziem, danem w rękę ślepemu. Myśl z przyrodzenia bystra i twórcza tem świetniej i wydajniej funkcjonuje, im większym i szerszym może się posługiwać materjałem i tylko połączenie wrodzonej inteligencji z gruntownem wykształceniem daje pełną miarę ludzkiego umysłu. To połączenie wrodzonej inteligencji i wykształcenia spotykamy u Nowakowskiego w najszczęśliwszych proporcjach. Nic z tego co wie — a wie bardzo wiele — nie jest w jego umyśle martwym balastem, wszystko jest myślą żywą prześwietlone i na wartości czynne i twórcze przerobione i dlatego jego wiedza nigdy czytelnikowi nie ciąży, nigdy go nie nuży i nie nudzi. To wykształcenie Nowakowskiego, nietylko nabyte, ale niejako na użytek własny przerobione i przyswojone, daje w rezultacie rzecz tak niestety w literaturze naszej rzadką: kulturę. Kulturalność książki Nowakowskiego, kulturalność jego myśli, poglądów, ujęć i zamiłowań jest może najbardziej frapującą cechą tego pisarza, a szerzenie tej kultury w sposób tak przystępny i miły jest wielką jego zasługą społeczną.

Gdy się czyta dzieła młodych autorów, dziwnie miło jest konstatować ich rozwój i postęp. Tę właśnie przyjemność mamy czytając „Burzę nad brukiem" Michała Rusinka. Postęp jest tu wprost zdumiewający. Po powieściach zupełnie przeciętnych „Burza nad brukiem" jest wysiłkiem prawdziwie artystycznym i twórczym. Jest to jedna z tych książek, którym można robić wiele zarzutów, ale których przeczytanie raz na zawsze każe nam się interesować autorem i wiele się po nim spodziewać.

„Burza nad brukiem" przypomina (wyraźnie mówię przypomina a nie naśladuje) dalekiem echem sławną książkę Finka „Jestem głodny", gdyż tak jak i tamta daje nam obraz życia najbiedniejszego proletarjatu, ale mojem zdaniem ma jakąś nutę szczerszą, prawdziwszą i sympatyczniejszą od książki Finka, i o ile książka Finka była ogólnie uważana za wzruszający obraz miłości synowskiej, za hołd złożony matce — to takim hołdem dla matki i wyrazem miłości do niej jest książka Rusinka w stopniu o wiele wyższym i bardziej przekonywującym. Matka z powieści Rusinka, biedna stróżka, nietylko pracuje na swego syna, nietylko dla niego się poświęca i wyniszcza, ale ma wpływ decydujący na całe

jego dalsze życie moralne i etyczne, a jej napomnienie „żebyś miał zawsze czyste ręce" — zadecyduje o całej duchowej linji Piotrusia. Ten Piotr Ożeluch jest może postacią trochę szablonowo wyidealizowaną. Nie wiem czy nie jest zbytnim optymizmem co do natury ludzkiej przypuszczenie, że chłopak w skrajnej nędzy, patrzący na konającą a ukochaną matkę, odda uczciwie znalezione w koszu pieniądze, za które marzył ulżyć trochę doli tej matki, że uratuje odważnie człowieka, który go skrzywdził, że zawsze, w każdej okoliczności swego biednego życia pójdzie po linji najszlachetniejszej a nawet i najrozsądniejszej. Ale nawet choć ten charakter wydaje nam się zbyt idealny, to jednak postać Piotrusia jest żywa i wzruszająca, a opis jego nędzy, głodu, tułaczki i osamotnienia jest prawdziwie wstrząsający, a co więcej jest w gruncie bardzo prawdziwy. Jest to jedna z tych książek, która łączy w sposób szczęśliwy fikcyjną fabułę z nutą głębokiej prawdy życiowej. Autorowi powieściowemu wolno fabułę „dohaftowywać", o ile umie nas do niej przekonać, a zwłaszcza o ile poprzez nawet mniej prawdopodobne sytuacje umie przedstawić nam głęboką i istotną prawdę życia czy człowieka. To właśnie robi Rusinek i dlatego książka jego, choć może nie całkiem prawdopodobna w szczegółach sytuacyjnych czy psychologicznych, daje nam jednak wrażenie głębokiej i rzeczywiście „prawdziwej prawdy".

Za błąd tej książki, za błąd zresztą czysto formalny, uważaćby można zachodzącą w połowie tomu zmianę zainteresowań autora. Pierwsza część, zgodnie z zapowiedzią zawartą w tytule, jest historją miasta pogrążonego w zamęcie ostatnich dni wojny. Sceny zbiorowe takie, jak opis „ogonka" czekającego na chleb, rozbrajanie austrjackich oficerów i t. d. należą do najbardziej udanych. W drugiej połowie tomu, ten wątek, który nazwaćby można społecznym czy zbiorowym, załamuje się i autor zajmuje się już wyłącznie prywatnem życiem swego bohatera. Pięknem tłem całej powieści jest z miłością i znawstwem opisywany Kraków.

Kilka scen zbyt brutalnych sprawia, że książkę tę o szlachetnym tonie polecić można tylko z daleko idącemi zastrzeżeniami i to wyłącznie ludziom zupełnie dojrzałym.

Tytuł książki Henryka Glassa „Na szlaku chudego wilka" sugeruje myśl, że jest to książka dla młodzieży. Tytuł ten ma w sobie coś londonowskiego i zdaje się zapowiadać historję o awanturniczych przygodach grzecznego i dzielnego chłopczyka. To wrażenie o tyle tylko odpowiada prawdzie, że książka ta istotnie jest znakomitą lekturą także i dla młodzieży i że rzeczywiście, choć nie w formie powieści, lecz w o ileż bardziej przekonywującej i bezpośredniej formie pamiętnika — opowiada niezwykłe, choć prawdziwe przygody autora, wybitnego działacza harcerskiego. Ale jest czemś więcej, niż tytuł zapowiada. Jest

dobrą, ciekawą lekturą dla każdego, jest autentycznym, wzruszającym przyczynkiem do dziejów polskiej martyrologji, a raczej polskiego bohaterstwa i patrjotyzmu — jest jednym więcej pomnikiem dzielności, hartu, przedwczesnej dojrzałości naszej młodzieży.

Chudy wilk to pseudonim harcerski autora, zamieszkałego w Kijowie. Jeszcze przed wojną, jako gimnazjalista, bierze autor czynny udział we wszystkich polskich organizacjach, w pracy narodowej i oświatowej. Z myślą o wywalczeniu niepodległości, z myślą o dostarczeniu kiedyś ojczyźnie zdrowych, dzielnych, karnych i oświeconych obywateli organizuje się młodzież w hufce harcerskie. Ta idea harcerstwa polskiego jest w książce Glassa nadzwyczaj pięknie i pociągająco przedstawiona.

Harcerze i harcerki dzielnie ba nawet bohatersko pełnią swoją służbę podczas wojny, oni i ich rodziny przechodzą całą gehennę bolszewicką, ukraińską i niemiecką. Wielu z nich ginie, inni przedarłszy się do Polski wstąpili do polskiej armji i pełnili w niej służbę nieraz najtrudniejszą, choć najmniej efektowną, najbardziej eksponowane zajmowali placówki. Dzisiaj są to już ludzie dorośli, żonaci, na stanowiskach, ale młodzieńczego swego ideału harcerskiego nie zarzucili i dalej biorą czynny udział w pracy z młodzieżą i dla młodzieży.

Autor, który z okazji tragicznej historji tworzenia polskich armij na wszystkich walczących frontach, z powodu splątania i zawikłania t. zw. orjentacyj wojennych — dotyka różnych politycznych bolączek i swoje o nich zdanie wypowiada — musiał z konieczności zająć wyraźnie określone stanowisko polityczne. Pod koniec książki mówi, że może te zapatrywania nie wszystkim będą się podobać. Tu się myli. Może nie wszyscy jego pogląd na różne sprawy podzielą, może wielu na innych drogach ku odbudowaniu Polski dążyło i inne taktyczne środki za skuteczne uważało. Ale stanowisko polityczne autora jest tak szlachetne, tak wolne od zawziętości i ciasnoty, że przez każdego — jeśli nie podzielone — to uznane i uszanowane być musi. Gdyby wszyscy zajmowali tak umiarkowane i pełne godności stanowisko, byłyby w Polsce tak jak być muszą partje, nie byłoby jednak „partyjnictwa".

Ta zewszechmiar ciekawa i szlachetna książka, pisana jest żywo, zajmująco, poprostu z humorem, bez żadnych literackich pretensyj i właśnie dlatego i po literacku wypadła dodatnio.

Powieść Jerzego Brauna „Cień Parakleta", której część pierwsza „Wiktor" pojawiła się niedawno, chce być powieścią nawskroś filozoficzną. O takiej książce, której celem nie jest ani oddanie pewnego środowiska, ani oświetlenie problemów psychologicznych, ale wyłącznie historja myślowych przemian bohatera — trudno jest zazwyczaj mówić przed jej zupełnem ukoń-

czeniem. Dopiero kres, do którego autor doprowadzi swego bohatera poprzez ewolucję myślową, rzuci decydujące światło na stanowisko autora, na jego filozofję i światopogląd. A chodzi oczywiście tylko o to; fabuła powieściowa jest pretekstem — a Wiktor w swych ewolucjach i rozmyślaniach jest wyraźnym „porte-parolem" J. Brauna.

Rozmyślania jego i rozumowania są bezsprzecznie ciekawe i wykazują dużą głębokość myśli i szlachetny wysiłek ku prawdzie autora. Ponieważ jednak autor życzy sobie przemawiać jako Wiktor, ulegnijmy jego woli. Wiktor już jako dziecko marzy o wielkiej wieży świata i umie ją na niezłomnych prawach matematycznych z kart wznosić. Jako młody człowiek pozostanie wierny tej wizji i tym marzeniom o prawdzie i ładzie. Z heroicznym wysiłkiem szuka prawdy. Prawdę wywodzi od „prawo dać", prawo życia wspiera się na prawdzie, a prawda na prawie. Te wysiłki intelektualne Wiktora przerywane są spotkaniami jego z kobietami. Przesuwa się przez powieść Brauna cała galerja kobiet zepsutych i wyuzdanych, a spotkania z niemi Wiktora opisane są w szeregu brutalnych i zmysłowych scen. Te fluktuacje bohatera między życiem zmysłowem a wysiłkiem intelektualnym mają przedstawiać walkę życia niskiego i łatwego z dążeniami do najwyższych umysłowych szczytów. Z orgji i bachanalji, którym się Wiktor przypatruje (a których szczegółowego opisu autor nam nie oszczędził), wychodzi on obrzydzony i tem skłonniejszy do wyłącznego zajmowania się spekulacją umysłową. Ale te zetknięcia z kobietami nie są wyłącznie przeszkodą: mają też w sobie jakiś odcień pogańskich misterjów, szukania tajemnicy prawdy poprzez tajemnicę kobiety i miłości, mają w sobie coś z okultystycznych doktryn Mereżkowskiego.

Oprócz z kobietami spotyka się Wiktor na swej drodze ku prawdzie z całym szeregiem ludzi: spotyka się z fanatykami socjalizmu, którzy chcą go wciągnąć w akcję polityczną i społeczną, z mało sympatycznie przedstawionym ks. Damianem, ze skrajnym materjalistą pr. Domańskim, z prosto i żywo wierzącym suchotnikiem Arturem, tęskniącym za „Chlebem żywota". Żaden ze spotkanych światopoglądów nie odpowiada Wiktorowi. Stosunkowo największy wpływ ma na niego pobożny Artur, który zwraca do Boga jego skłonną do mistycyzmu myśl. Wiktor zaczyna szukać mądrości w książkach. Podziwia Platona, odrzuca definitywnie materjalizm i pozytywizm i pod koniec książki opiera swój światopogląd na kartezjańskiem „cogito" i na kantowskim subjektywiźmie. Obraca się jeszcze bezradnie w problemie zawiłego stosunku wiary do wiedzy, w bezowocnem jak dotąd szukaniu kryterjów prawdy objektywnej. Rozumowania doprowadzają go do Konradowego buntu, ale niewidoma ręka dotyka go, ukazuje mu aniołów i tajemniczy głos zapytuje: „Czyż nie masz Boga w sercu?" Wiktor narazie jest od wiary myślowo daleki,

pełen tylko jakichś mistycznych aspiracyj i mesjanistycznych tęsknot za epoką Ducha, w której nadejście wierzy. Czy dojdzie kiedyś do zharmonizowania nadprzyrodzonych tęsknot z postulatami rozumu, czy w myśl zasad chrześcijańskich oprze swą wiarę nadprzyrodzoną na przyrodzonych przesłankach myśli filozoficznej — niewiadomo.

Drugą bardzo ciekawą stroną książki Brauna, odnoszącą się już raczej do strony literackiej niż filozoficznej, jest jego ustawiczny wysiłek do wizji syntetycznej świata, ziemi, miast i epok, do ogarnięcia jednym rzutem oka współczesnych sobie zjawisk, zachodzących w pewnej zbiorowości, którą ujmuje jako całość. Takie syntetyczne obrazy Warszawy, Krakowa, a nawet całej kuli ziemskiej mają w sobie niezaprzeczalną wielkość. Zwłaszcza opis Krakowa, „Akropolu ogrzanego nadludzkiem sercem Wyspiańskiego", jest bardzo piękny.

Książka młodziutkiej autorki Elżbiety Szemplińskiej „Narodziny człowieka" jest napewno książką wybitną i ciekawą. Jest to jedna z tak licznych dziś historyj o dzieciach. Ale nie jest do żadnej z dotąd istniejących podobna. To właściwie historja nie dzieci, ale całej rodziny mieszczańskiej, zwykłej, trochę śmiesznej, trochę tragicznej rodziny o dziwacznem nazwisku Alelujów. Autorka mówi, że jej bohaterką jest mała Alda, córeczka Katarzyny i Kaliksta Alelujów. Jest to dziecko prawie że nienormalne, przez swoją wrażliwość, nieokiełznaną fantazję, przez swój brak prostoty i dziecinności. Wybranie na bohaterkę tego typu dziecka mogłoby nawet być poczytane za błąd tej ciekawej powieści. Autorka chce nam pokazać jak w dziecku istnieją już wszystkie zarodki przyszłego człowieka i jak ten człowiek jest wypadkową swych dziedziczności, epoki i środowiska. Myślę, że słuszna ta teza byłaby bardziej przekonywująca, gdyby ją nam autorka ilustrowała właśnie na innym typie dziecka, choć może to ilustrowanie byłoby i trudniejsze i mniej jaskrawe.

Ale choć E. Szemplińska tę przewrażliwioną Aldę mianuje swoją bohaterką, to jednak mamy wrażenie, że najlepsza część soków twórczych autorki krąży raczej w postaciach rodziców, w odmalowywaniu środowiska. To zajęcie się w powieści o dziecku nie wyłącznie dzieckiem, ale jego rodziną i otoczeniem pozwala autorce z rzadką siłą i plastycznością podkreślić dramatyczny konflikt nieporozumień, zachodzący od wieków między dziećmi a rodzicami, tę jakąś dziwną niemożność „dogadania się", płynącą z trwożnej nieśmiałości dziecka i z braku domyślności i wyrozumiałości rodziców. Autorka zajmuje w tym konflikcie stanowisko bardzo neutralne, nie oskarża nikogo, konstatuje tylko fakty.

Ten konflikt między pokoleniami, a raczej tragiczna niemożność porozumienia i zrozumienia się (odwieczny dramat ludzki, tem boleśniejszy, gdy zachodzi między bezbronnem dziec-

kiem a mającymi go wychować dorosłymi) występuje bardziej jeszcze jaskrawie i dramatycznie w epizodzie wplecionym zupełnie luźnie do powieści o Alelujach. Epizod ten nie tłumaczy się zupełnie konstrukcyjnie (może będzie miał architektoniczne wytłumaczenie w zapowiedzianej części drugiej), ale trzeba przyznać, że jest najlepszą i najsilniejszą częścią książki. Jest to historja młodego chłopca, Andrzeja, złodzieja, kłamcy, oszusta, chłopca z najbiedniejszego proletarjatu, żyjącego w najgorszych warunkach materjalnych i moralnych — i stosunku do niego dobrej i mądrej nauczycielki Olimpji, która wbrew wszystkim chłopca tego kocha, wierzy w jego poprawę i opiekuje się nim z niezmierną, a jednak jak się okazuje, niedostateczną cierpliwością i wyrozumiałością. Przemożny popęd do zła przy szlachetnych i dobrych odruchach Andrzeja jest przedstawiony z dziwną siłą i ma w sobie zakrój jakiejś niesamowitej opowieści o Arymanie i Ormuzdzie, wyrywających sobie biedną słabą duszę. Myślę, że byłoby małą przesadą nazwać tę tragiczną i wstrząsającą opowieść o Andrzeju i Olimpji nowelą wprost doskonałą. Reszta powieści, choć ciekawa, nie zbliża się nawet do dramatycznego napięcia tego wplecionego epizodu.

W książce, poruszającej kwestję zła i dobra, ich walk i źródeł, opisującej budzenie się do życia młodych dusz i działających na nie wpływów, postawa moralna i estetyczna autora wysuwa się z konieczności na plan pierwszy i o ujemnej lub dodatniej wartości książki decyduje. I pod tym względem E. Szemplińska zachowuje jakby neutralność, w każdym razie wielką powściągliwość. Jej książka jest dziwnie, zwłaszcza jak na tak młodą autorkę, objektywna i nietendencyjna. W każdym razie nie wydaje się, aby kwestja etyki religijnej i wogóle religja wchodziła w zakres jej zainteresowań i miała jakikolwiek wpływ na jej światopogląd. Takie zupełne pominięcie elementu religijnego w traktowaniu tego rodzaju kwestji musi być odczute przez każdego człowieka wierzącego jako przykra luka. Człowiek jednak, nawet wierzący, uznać musi, że choć stanowisko autorki nie jest jego własnem, to jednak nie uraża w zasadniczych linjach jego poglądów i jest raczej zgodne z zasadami t. zw. etyki przyrodzonej.

Na bene autorki trzeba też zapisać, że nie uległa tak powszechnemu dziś, zwłaszcza w powieściach o dzieciach, prądowi freudyzmu. Kwestji budzenia się u dzieci popędów erotycznych nie pominęła, ale mówiąc o niej swobodnie, nie uczyniła z niej jednak (jak kilka autorek doby ostatniej) jedynej osi ich psychologji i naznaczyła tej kwestji nie przesadne miejsce w psychice i rozwoju dziecka. Te raczej bierne walory etyczne i moralne książki E. Szemplińskiej sprawiają, że choć może nawet z pożytkiem być czytana przez wytrawnych wychowawców, to jednak osobom mniej wyrobionym, a zwłaszcza młodym poleconą być nie może.

„Uśmiech Tatr" określa autorka Marza Ostrawicka w podtytule jako „cykl fragmentów powieściowych na tle zdarzeń prawdziwych". Właściwie mała ta, ale w treść bogata książeczka składa się z trzech części. Pierwsza to rodzaj powieści, pisanej w pierwszej osobie. Bohaterka jej Ewa opisuje życie swoje i swoich dwóch córek, zapalonych taterniczek, które giną tragicznie podczas wyprawy na Zamarłą Turnię. Wątek tego prostego, ale niezwykle wzruszającego opowiadania, zaczerpnięty jest z życia. Jest to historja dwóch młodych panienek, Marzeny i Lidy Skotnicównych, które trzy lata temu zginęły w Tatrach. Część druga to autentyczne zapiski tychże dwóch panienek. Część trzecia to rodzaj legendy tatrzańskiej, wysnutej z tej śmierci tragicznej, legenda o „Marzeniu Tatr" i o „Uśmiechu skał", jak były przez przyjaciół nazywane śmiałe taterniczki. Tą legendą, która niejako przedłuża i transponuje życie Marzeny i Lidy, pociesza się po ich stracie zrozpaczona matka.

Takie jest sprawozdanie z formalnej strony książki M. Ostrawickiej. Trudniej jest zdać sprawę z jej treści wewnętrznej. Treść ta jest pulsująca prawdą życia i bogata. Może za bogata. Trochę ma się wrażenie, że autorka, raz już pisząc książkę, chciała w niej powiedzieć wszystko, co myśli o życiu, urządzeniach społecznych, miłości, sztuce i t. d. Mówi o tem inteligentnie, ale czytelnik, szukający zawsze w książce pewnej jedności, jest trochę zdezorjentowany, tracąc co chwila nić przewodnią i rozpraszając się na zbytnią ilość poruszonych tematów. Z licznych poruszonych przez autorkę kwestyj na uwagę zasługuje jej mądry i szlachetny patrjotyzm, rzadko w tej formie wyzutej z nienawiści w powieściach naszych spotykany.

Nad wszystkiemi jadnak walorami myślowemi i błędami konstrukcyjnemi góruje w książce M. Ostrawickiej przemożny i fascynujący urok Tatr. Pisanie o Tatrach jest rzeczą delikatną. Do poezji, w jaką przybrali granitowe wierchy Tetmajer i Pawlikowski (w swojej prześlicznej a tak krzywdząco przez krytykę przemilczanej książce „Bajda o Niemrawcu") — trudno jest coś dorzucić, a tak bardzo łatwo zepsuć i zatruć czar, który płynie z samej ewokacji Tatr i z wyliczania ich śpiewnych i sugestywnych nazw — przez mdłe i pseudo-literackie opisy. Marza Ostrawicka wyszła z tego problemu zwycięsko. Wstrzymała się od wszelkich literackich opisów, a potrafiła jednak dać fascynację, którą ono wywiera na młodych, potrafiła niejako samem stwierdzeniem faktów zapełnić swoją książkę niebieskością regli, zapachem górskiego słońca, potrafiła rozśpiewać ją hukiem potoków i wyciem halnego wiatru. Nie mamy wrażenia, że czytamy o Tatrach, ale że w nich jesteśmy; nie myślimy o książce, myślimy o szpiczastym Kościelcu, o ponurym Mnichu, o łagodnym skłonie Liljowego... Poprzez czytane karty działa na nas bezpośrednio jedyny swoisty a zawsze upajający, zawsze zawrotny czar Tatr.

Gdy z tego wrażenia ochłoniemy, musimy jednak przyznać, że tak żywa i sugestywna ewokacja miejsca i nastroju jest niepoślednim triumfem literackim.

Dlatego to głównie ładną książeczkę Marzy Ostrawickiej można szczerze pochwalić.

M. Guranowski w swoich „Kobietach biblijnych" daje nam szereg szkiców czy nowel z życia wielkich kobiet Starego Testamentu. Tragiczne postacie Judyty, Estery, Debory, Agary były częstem źródłem natchnienia artystów. Ich heroiczne a często tajemnicze dzieje, zawarte w księgach Starego Testamentu, pobudzały zawsze fantazję pisarzy, zwłaszcza, że surowy, oszczędny a dosadny styl ksiąg świętych pozwalał zawsze na różne domysły psychologiczne.

Dzisiejszy prąd rewizjonizmu historji i chęć tłumaczenia psychologją współczesną poczynań ludzi dawnych, skłoniły Guranowskiego do dość swobodnego interpretowania psychologji córIzraela. Psychologja ta wydaje się nam, ludziom współczesnym, dość trafna i prawdopodobna, ale czy jest historycznie prawdziwa, to inne pytanie. W każdym razie przyznać trzeba, że zwłaszcza niektóre ze szkiców Guranowskiego są prawdziwie wstrząsające swą tragicznością i piękne jakąś odwieczną namiętną tęsknotą Izraela i hieratycznością rysunku.

Nie myślę, żeby pewne dowolne i może fantastyczne oświetlenie epizodów starozakonnych w celach artystycznych było rzeczą złą, czy uwłaczającą powadze Pisma św. Natomiast nieprzyjemna jest w książce Guranowskiego bardzo wyraźna, często brutalna, nuta zmysłowa. Zapewne, że księgi Starego Testamentu mówią o sprawach stosunku mężczyzny i kobiety bardzo otwarcie i bez obsłonek, ale całkiem co innego jest gdy się o tych rzeczach mówi otwarcie i poważnie, a całkiem co innego, gdy się je maluje z lubością w szeregu plastycznych, sugestywnych i drażniących obrazów, jak to właśnie czyni autor „Kobiet biblijnych". Najbardziej razi pierwszy szkic o Ewie, a także ciągłe używanie cytatów z „Pieśni nad Pieśniami" w interpretacji zgoła innej, jaką jej daje Kościół.

„Przygoda jednej nocy" Mieczysława Smolarskiego polega na tem, że p. Twardowski, wiszący na księżycu od 350 lat, spada zpowrotem na ziemię. W ślad za nim spada djabeł Rokicki i wierny sługa Twardowskiego Fafuła. Tak więc ująwszy odwieczny w polskiej literaturze temat p. Twardowskiego, nie użył go Smolarski, jak zwykle czyniono, ani za pretekst do powieści obyczajowo-historycznej, ani okultystycznej, ani Faustowsko-filozoficznej, ani nawet jako motywu fantastyczno-legendar-

nego. Postać p. Twardowskiego odegrała nową dla siebie rolę w literaturze: stała się bohaterem powieści współczesnej.

Oczy spadłego z księżyca człowieka mogą dostrzec wiele rysów i zjawisk, które uchodzą uwagi ludzi od urodzenia chodzących po ziemskiej planecie. Człowiek taki może w sposób zupełnie nowy i niespodziewany komentować przejawy życia współczesnego. Trzeba przyznać, że wolelibyśmy, żeby uwagi mędrca Twardowskiego były głębsze i bardziej istotne i żeby zdumienie jego nie wyczerpywało się prawie całkowicie nad zjawiskami dzwonków elektrycznych, wind hotelowych i czarnej kawy. Także środowisko, w które zaświatowy przybysz się dostał, środowisko gwiazd filmowych, reporterów dziennikarskich i pokątnych uczonych — choć jest może dla XX wieku typowe — nie przedstawia większego interesu. Przychodzi na myśl, że dla powieści o królowej piękności, o cowboyu i kinowym aktorze nie warto było aż z księżyca bohatera sprowadzać. Jakkolwiek możemy zarzucić autorowi niedostatecznie i niedość pogłębione wyzyskanie dobrego pomysłu, to przyznać jednak trzeba, że powieść jego jest żywa i pogodna i że się ją czyta łatwo i lekko.

Artur Schroeder w swoich „Światłach na wodzie" okazał się urodzonym nowelistą. Umie z życia wyłamać jeden fakt, jedną chwilę, jeden nastrój i w prostej, a często wzruszającej formie go przedstawić. — Takie opowiadania, jak „Ważne zamówienie", „Czar marszałka", „Wizyta u Matki Boskiej" mają w sobie coś z prostych, może trochę sentymentalnych, ale prawdziwie rzewnych nastrojów dobrej, starej, polskiej noweli. Opowieści dłuższe, które przekraczają ramy „noweli czystej" a zakrawają na szkic powieściowy, są artystycznie mniej wykończone. Zasługą Schroedera jest, że nie ulega żadnej modzie, nie chce być ani nowożytny, ani oryginalny (pogoń za oryginalnością to straszna choroba), umie i śmie być poprostu sobą. Dlatego to cokolwiek zawodowa i fachowa krytyka mogłaby jego dziełu zarzucić, znajdzie ono zawsze wielu wdzięcznych czytelników, zwłaszcza, że jak najszerszym kołom można tę porządną, miłą i dobrą książkę polecić.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Podziemna dyktatura, wojna alkoholowa w Stanach Zjednoczonych A. P. Z niemieckiego oryginału p. Omma tłumaczył Aleksander Wat; przedmowa Adolfa Nowaczyńskiego. Nakł. Gebethnera.

Amerykę zdaje się po raz drugi odkrywać, tym razem nie Kolumb, ale literatura. Zdumiewająca jest wprost ilość (zwłaszcza w literaturze francuskiej) dzieł o Ameryce, a ściślej mówiąc o tem, co w mowie potocznej Ameryką nazywamy, t. j. o Stanach Zjednoczonych. Sądziłby można, że ta Ameryka, tak nam dziś bliska komunikacyjnie a jednak tak daleka psychiką i kulturą, interesuje ludzi niemniej niż ponure eksperymenty życiowe

w Rosji Sowieckiej. Może to badanie społeczeństw o zupełnie różnej strukturze, zwyczajach i dążeniach jest podświadomym odruchem starej Europy, która wedle wielu pisarzy kończy swój byt w jego dotychczasowej formie i instynktownie za nowemi formami życia się rozgląda. Jakiekolwiek są powody tego rozkwitu literatury o Ameryce, temat jest widocznie ciekawy, bo każda nowa książka o krainie dolara i drapaczów nieba jest chciwie czytana. To też napewno książka już nie żadnego badacza ani turysty, ale współpracownika i towarzysza słynnego Al Capone wzbudzi jaknajżywsze zaciekawienie. Ma ona bowiem wartość nietylko opisową, ale raczej wartość dokumentu i rewelacji. Rzeczy, które autor opowiada, choć są prawdziwe — wydają się wprost nieprawdopodobne; przechodzą one wszystkie najfantastyczniejsze pomysły różnych Conan Doylów i autorów powieści sensacyjnych.

Jest rzeczą wprost nie do wiary, aby w XX wieku, w kraju mającym pretensje do przodującego stanowiska w cywilizowanym świecie, bandy najzwyklejszych opryszków stanowiły istne potęgi, które trzęsą całemi miastami, teroryzują społeczeństwo, urągają policji, rozstawiają sobie po ulicach karabiny maszynowe, aby walczyć ze swymi wrogami, posiadają pancerne auta, zorganizowane giełdy, wywiady, pułki obronne i t. d. Jak historje z 1001 nocy czyta się opowiadanie o ich hersztach, żyjących w marmurowych pałacach, otoczonych legendą sławy a nawet sympatją, rzucających miljonami i wykonujących faktyczną dyktaturę. Wszyscy wiedzą o ich zbrodniach, władze jednak nie są w stanie niczego im udowodnić. Te władze zresztą wychodzą w świetle dość smutnem z opowiadań swych przeciwników; są w wielkiej części przekupione i steroryzowane i to począwszy od prostych policjantów aż do najwyższych dygnitarzy. W kraju czczącym dolara — dolar ten jest potęgą wszechwładną; za dolara kupuje się prawo spokojnego zabijania ludzi, nieliczenia się z obowiązującem prawodawstwem, szantażowania i wogóle życia poza dosięgiem władz. Właściwie najmniej interesowni są sami bandyci: zebrawszy nieraz olbrzymie majątki prowadzą nadal swój proceder dla sportu, dla fanfaronady, z chęci sławy i władzy.

Jak wychodzi z niniejszej książki, podłożem, na którem rozwinęło się to królowanie bandytyzmu, korupcji i wszelkich zbrodni, jest prohibicja. Ta chęć umoralnienia społeczeństwa drogą „nakazu" wydała opłakane skutki. Historja zorganizowanego na wielką skalę przemytnictwa wraz z wszelkiemi konsekwencjami takiej organizacji jest główną osnową opowiadań jednego z członków tegoż przedsiębiorstwa. Czytamy te opowiadania z najwyższem zainteresowaniem i z coraz rosnącem zdumieniem, a właściwie i radością, że mimo wszystko żyjemy w poczciwej starej Europie!

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Dr Antoni Peretiatkowicz: Wstęp do nauk prawnych. Wyd. 2 przejrzane i poprawione. Poznań 1932, str. 79.

Zaletami prac prof. Peretiatkowicza, przeznaczonych dla adeptów nauk prawnych, są krótkość i jasność, dzięki którym nadają się one także do samouctwa, tak potrzebnego w dziedzinie prawa dla każdego obywatela. Przedewszystkiem dla zachęty nie-studentów do zaznajomienia się z tą niewielką książeczką wyliczę przedmioty i pojęcia, jakie ona wyjaśnia. Pojęcie prawa; prawo a moralność i zwyczaje; źródła prawa; rodzaje prawa; stosunek prawny; zadania nauk prawnych; literatura polska prawnicza. Musimy zauważyć, że w jednem autor odchyla się od sposobu mówienia, przyjętego w szkołach katolickich, w scholastycznej nauce; mianowicie pojęcie „prawa" zacieśnia on do prawa pozytywnego, pochodzącego od państwa i opatrzonego jego sankcją, podczas gdy to, co scholastyka nazywa „prawem naturalnem", autor oznacza nazwą „norm etycznych". Jakieś zaznaczenie w książeczce stanowiska scholastycznej teorji prawa byłoby pożądane.

J. U.

Marjan Zdziechowski: Chateaubriand i Napoleon. Wilno 1932, Bibljoteka „Źródeł Mocy" nr. 4, str. XI+229.

Myliłby się, ktoby przypuszczał, że książka ta powstała z czystego naukowego zainteresowania się dwiema wielkiemi postaciami Francji z czasów przełomu jej reżymu i umysłowości. Chateaubriand i Napoleon — te dwa fenomeny, jeden w polityce, drugi w literaturze francuskiej, ich wzajemny do siebie stosunek, zbliżanie się i oddalanie od siebie, zasługują zaiste same przez się na zainteresowanie czysto historyczne nawet ze strony polskiego badacza i polskiego czytelnika. Atoli czcigodny senior wileńskiej profesury, Marjan Zdziechowski, włożył w książkę o tych dwóch fenomenach wielką część swojej duszy, to jest tego, czem on sam żyje w obecnych dniach, co jest przedmiotem, wywołującym w nim zgrozę i w czem widzi świt lepszych dni. A wiadomo — choćby z licznych przemów rektorskich do młodzieży na wszechnicy Batorowej — co jest zmorą tłoczącą jego piersi: triumf bolszewizmu barbarzyńskiego nad chrześcijańską kulturą — i jeszcze bardziej obojętność i bierność na ten triumf tych, którzy niby reprezentują kulturę europejską: mężów stanu, publicystów, pisarzy. W pesymizm głęboki pogrąża go zapoznanie form etycznych w polityce współczesnej państw niebolszewickich — czemu dał wyraz w znanym liście do p. prezydenta Rzeczypospolitej, sam wymieniany przedtem wśród kandydatów na tę najwyższą godność w państwie. W tym pesymiźmie swoim zwraca się ku znamieniu Tego, który odnowił świat. *O crux ave, spes unica!* zamykając temi słowy książkę.

Zająć się postaciami Napoleona i Chateaubrianda w ich wzajemnym do siebie stosunku uważał autor za rzecz niezmiernie aktualną. Napoleon dla niego symbolizuje politykę w wielkim stylu, ale narażoną na pokusę wyzwalania się z pod norm etycznych; Chateaubriand to sumienie, nie znające kompromisu z nią wobec kategorycznych norm odwiecznej moralności. Wielki pisarz nie daruje wielkiemu politykowi śmierci księcia d'Enghien — i tu się rozchodzą na zawsze drogi dwóch wielkich ludzi.

Chateaubriand, wielki pisarz i herold moralności publicznej, ma niestety swoje osobiste braki i ułomności moralne — w innej dziedzinie. Autor je wszystkie przypomina, umie je wyrozumieć, ale nie usprawiedliwia ich. Dlatego jego książka należy do tych, które czytelnika nie ściągają w dół, ale czynią go lepszym.

Jako apologeta i poeta chrześcijaństwa wobec ateizmu Wielkiej Rewolucji, Chateaubriand mimo doktrynalnych nieścisłości, historycznych błędów i licencyj — posiada dotąd niemałe znaczenie w obliczu nowej fali ateizmu, jaki przedstawia rosyjski i nierosyjski bolszewizm i socjalizm. Tylko punkt ciężkości w apologetyce jest dzisiaj przesunięty: główny akcent spoczywa nie na estetycznych walorach chrystjanizmu, które z niego wydobył Chateaubriand, lecz na metafizycznej jego prawdzie i społecznych wartościach.

Ks. Jan Urban.

Otto Forst de Battaglia: Das Geheimnis des Blutes. Mit 20 Bildertafeln. Wien—Leipzig 1932, Reinhold-Verlag. Str. 128 (2.80 Mk).

Jednym ze środków, jakiemi posługuje się eugenika w celu zbadanie nieznanych jeszcze dostatecznie praw dziedziczności u człowieka, są tablice genealogiczne (tablice przodków), Wobec niemożności robienia z człowiekiem doświadczeń podobnych jak na zwierzętach, jest to jedyna prawie droga, trudna zresztą i już w przygotowawczem swem stadjum niezmiernie mozolna, gdyż wymaga dokładnego zestawienia przodków danej osoby, oraz wybitniejszych ich cech, co w praktyce natrafia często na niepokonalne przeszkody. Owszem nawet w razie przezwyciężenia tychże może się zdarzyć to samo, co spotkało jedno z wielkich amerykańskich Towarzystw eugenicznych, że nagromadziło tak olbrzymi materjał osobowy, iż nie było potem w stanie go opracować. Trudności są więc olbrzymie, z jednej i z drugiej strony, tak, że można z dużym sceptycyzmem spoglądać na obietnice tych eugenistów, którzy sądzą, że tą drogą uda im się dojść do poznania praw, niezbędnych do rozbudowania eugeniki pozytywnej; w najlepszym nawet wypadku jest to muzyka dalekiej przyszłości.

Ta niepewność nie powinna jednak zniechęcać do tego ro-

dzaju badań, które niezależnie od ostatecznych wyników mogą przynieść wiele korzyści dla nauki. Wymieniona powyżej książka *das Geheimnis des Blutes* jest tego wymownym przykładem. O. Forst de Battaglia, wybitny i znany szeroko ze swych prac, także Czytelnikom *Przeglądu Powsz.*, krytyk literacki, zajmował się również naukowo od lat 30 badaniami na polu genealogji i wiążącej się z nią kwestji dziedziczności. Zdaje on sobie sprawę z trudności rzeczy i nagromadziwszy ogromny materjał tablic genealogicznych różnych najwybitniejszych, zwłaszcza panujących, rodów europejskich, nie wdaje się w wysnuwanie praw dziedziczności, pozostawiając tę rzecz specjalistom, lecz oświadcza, że chce wyjaśnić jedną tylko stronę tego kompleksu zagadnień, jakie się tu nasuwają — a jednak w tej jednej części dochodzi już do niezwykle ciekawych spostrzeżeń i wniosków, sięgających w dziedzinę nauki ścisłej i życia, splatających się z niektóremi z aktualnych dziś problemów i haseł. Streszczać ich, kiedy cała praca niniejsza jest już streszczeniem, niepodobna, można tylko każdemu radzić jej przeczytanie. Byłoby do życzenia, żeby praca ta, wciągająca w swą orbitę także polskie rody, natchnęła naszych uczonych do podobnych badań w celu porównania, czy wyniki ich zejdą się z wnioskami Dra Forsta de Battaglii.

Ks. Stanisław Podoleński.

Ks. Dr. Karol Milik: Życie żołnierza. Poznań 1931 „Ostoja" (ul. Pocztowa 15). Str. 175 (2.90 zł.)

Nowym a szczęśliwym był pomysł — dania młodemu człowiekowi książki, która przed pójściem do wojska przygotowałaby go do dobrego spędzenia i należytego wykorzystania tego czasu. Autor, były kapelan wojsk polskich, jest doskonale obznajomiony z tem życiem i położeniem żołnierza, zna jego jasne i ciemne strony. Sam, widać to z jego sposobu przemawiania, ceni i kocha życie żołnierskie, toteż przemawia do czytelnika z zapałem, każe mu sumiennie i z radością spełniać obowiązki służby wojskowej, wskazuje na ważność jej dla narodu. Z drugiej strony wie dobrze, jakie niebezpieczeństwa kryje w sobie to życie, przestrzega więc przed niemi młodzieńca, wskazuje środki potrzebne, poleca męstwo i pielęgnowanie ideałów religijnych. Dodać wreszcie należy, że książka zawiera szereg praktycznych wskazówek, przytacza przepisy prawne i podaje wzory podań i pism potrzebnych żołnierzowi. Książkę więc niniejszą należy gorąco polecić rodzicom i P. T. Duchowieństwu do rozpowszechniania między wiejską i miejską młodzieżą, zwłaszcza w okresie przedpoborowym.

S.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Zygmunt Falkowski: Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida. Wilno, wyd. St. Merło, 1933, str. 119.

Henryk Ignacy Łubieński: Droga na wschód Rzymu. Nakł. autora, Warszawa 1932, str. 131.

Pamiętnik Kursu Społeczno-Duszpasterskiego, urządzonego przez Związek Kapłanów „Unitas" w Katowicach 20 i 21 kwietnia 1932 r. Katowice 1932, str. 71.

Ludwik Łakomy: Święta Barbara i Skarbnik Zabrzeski. Katowice 1931, str. 20.

Tenże: Prace polskich techników i ekonomistów nad Zjednoczeniem Górn. Śląska z Rzeczpospolitą. Katowice 1932, str. 25.

Tenże: Na dziewiątej pochylni. Opowieść z podziemi. Dąbrowa Górnicza 1932, str. 45.

Tenże: Słonko jasne. Rapsod powstańczy. Będzin 1932, str. 88.

W poszukiwaniu nowych metod pracy oświatowej. Wychowanie obywatelskie przez korespondencję. Opracowali Dr A. Hertz i Łucja Kipowa. Powszechny Uniwersytet korespondencyjny. Warszawa 1932, str. 131.

Ks. Dr. Antoni Roszkowski: Korporacjonizm katolicki. (Poznańskie prace ekonomiczne pod red. prof. E. Taylora N. 18). Poznań 1932, str. VII+303. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha.

Bożena Stelmachowska: Stosunek Kaszub do Polski. (Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego) Toruń 1932, str. 34. Skład główny; Kasa im. Mianowskiego. Warszawa,

Dzieła św. Dionizyusza Areopagity. Przetłumaczył, przedmową i wstępem zaopatrzył Emanuel Bułhak. Kraków 1932, nakładem autora, str. CCLXXXVIII+284.

Wanda Brzeska: Mitropa. Poezje z włóczęgi. Poznań 1932, str. 84.

Stanislaus Łukasik: La France et la Pologne á travers les siècles jusqu'a la grande révolution. Paris. Gebethner et Wolff 1933, str. 109.

Jim Poker: Panna Wodna. Powieść morska. Warszawa 1932, Główna Księgarnia Wojskowa, str. 288.

Adam Gubatkta: Zarys gry w golfa. Warszawa 1932, Główna Księgarnia Wojskowa, str. 72.

Marja Wicherkiewiczowa: Łódź na Purpurze. Powieść. Bibljoteka *Dziennika Pozn.* Poznań 1932, 2 tomy, stron 268.

Ludwik Starowieyski: Europa na rozdrożu. Kraków, Nakł. Towarzystwa Ekonomicznego, 1932, str. 52.

Janusz Pajewski: Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku. (1540—1571) Nakł. Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków 1932, str. 242.

Dr. Seweryn Wysłouch: Ziemia oszmiańska na rubieży dwóch kultur. Wilno 1922, str. 62.

O. Rommerskirchen: Obrazki misyjne z kraju Basutosów. Wydawn. OO. Oblatów M. N., Poznań str. 152.

Edward Montier: L'idéal Fiancé. Edit. Mariage et Famille, Paris 1932, str. 135.

Tenże: L'ideale Fiancée. Wyd. jak wyżej, str. 143.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rozbudowa Uniwersytetu Gregorjańskiego w Rzymie. — Nowe ataki na akcję unijną i Najwyższa jej obrona. — Trzecia Konferencja pińska.

Między wyższemi zakładami teologicznemi w Kościele katolickim zarówno liczbą swych słuchaczy, jak i zasięgiem swych wpływów na pierwszem miejscu stoi papieski Uniwersytet Gregorjański w Rzymie. Z powodu świeżej jego rozbudowy, zarówno materjalnej jak naukowej, chcemy podzielić się z naszymi czytelnikami garścią dat z jego historji i organizacji.

Początek tej uczelni trzeba odnieść do r. 1551, kiedy to założyciel Towarzystwa Jezusowego, św. Ignacy Loyola przy materjalnej pomocy innego świętego, podówczas księcia Gandji, a potem trzeciego generała zakonu, Franciszka Borgjasza, powołał do życia w stolicy chrześcijaństwa kolegjum zrazu z wykładami ówczesnej humanistyki, niebawem jednak z kursami filozofji i teologji nietylko dla młodzieży zakonnej, ale i z poza zakonu. Szkoła, znana w historji pod nazwą Collegium Romanum, już w drugim roku swego istnienia otrzymała od Juljusza III papieża prawo nadawania stopni akademickich. Wielkim mecenasem uczelni okazał się papież Grzegorz XIII, który z niezwykłą hojnością uposażył Kolegjum, budując dlań okazały gmach (między latami 1578—1584) i rozszerzając jego przywileje. Od imienia tego dobroczyńcy, w którym słusznie widziano jakby drugiego „fundatora i ojca" zakładu, Collegium Romanum poczęto nazywać także Uniwersytetem Gregorjańskim, lub łącząc obie nazwy pisano: *Pontificia Universitas Gregoriana Collegii Romani.* Pozostając całkowicie w rękach Towarzystwa Jezusowego, które swymi członkami obsadzało wszystkie katedry, *Gregorianum* ściągało ze wszystkich krajów

Europy młodzież, pragnącą zaczerpnąć „wiedzy świętej" niejako u samych jej zródeł pod bokiem Najwyższego Nauczyciela Kościoła.

W roku 1773 bullą Klemensa XIV Towarzystwo Jezusowe zostało rozwiązane i uczelnia przeszła w ręce kleru świeckiego; przechodziła ona niebawem ciężki kryzys i z powodu przewrotów politycznych, związanych z „epopeją" napoleońską. Po przywróceniu do życia Zakonu Jezuitów, także Kolegjum rzymskie zostało im zwrócone przez papieża Leona XII w r. 1824 z dawnemi prawami i przywilejami, w pół wieku wszakże później, po zaborze Rzymu przez Włochów, odebrano mu najpierw prawa prowadzenia kursów publicznych w zakresie szkół średnich, a w latach 1873 i 1874 zostało ono wyrzucone z własnego gmachu, pozbawione bibljoteki i urządzeń naukowych i odtąd, ograniczając się do wydziałów teologji i filozofji, zmuszone było gnieździć się w ciasnym budynku, niegodnym tak wzniosłego przeznaczenia. Od roku wszakże 1876 do poprzednich dwóch wydziałów przybył trzeci wydział prawa kanonicznego. Liczba słuchaczów, napływających ze wszystkich krajów, wzrastała aż do wojny światowej, świadcząc o wziętości uczelni w świecie katolickim.

Nowy rozrost „Gregorjany", który zaćmił swym rozmachem dawne jej dzieje, datuje się właśnie od ukończenia wielkiej wojny, a zwłaszcza od objęcia katedry św. Piotra przez Piusa XI. Przypada on całkowicie na rządy generalskie Polaka, O. Włodzimierza Ledóchowskiego. Rozrost szedł w dwóch kierunkach: po pierwsze naukowej rozbudowy uczelni, powtóre stworzenia materjalnych warunków, odpowiadających wielkiemu przeznaczeniu uczelni. Już w r. 1918, za Benedykta XV, ofiarnością pewnego kartuza narodowości francuskiej, przybywa do dawnych katedr teologicznych nowa katedra teologji ascetycznej i mistycznej. Nieporównanie większy rozmach rozbudowy Gregorjany przyniósł pontyfikat Piusa XI. W roku 1922 powstają przy wydziałach teologicznym i filozoficznych tak zwane *Cursus magisterii,* trwające dwa lata (stąd krótko: *biennium*), przeznaczone dla tych ukończonych filozofów i teologów, którzy pragną się przygotować do objęcia profesury w zakładach teologicznych. W r. 1924 Pius XI powołał do życia przy uniwersytecie „Szkołę języka i literatury łacińskiej", w roku zaś 1927 istniejący już od kilku lat „Instytut wyższej kultury religijnej dla świeckich" przemianował na „Instytut wyższej kultury religijnej dla członków Akcji katolickiej", wiążąc tym sposobem z Gregorjaną dzieło tak sobie drogie przygotowania „apostolstwa świeckiego". Jeszcze rok później, w r. 1928, połączył Pius XI organicznie z Uniwersyte-

tem Gregorjańskim dwa wyższe instytuty, istniejące od czasów Piusa X i Benedykta XV, a pozostające pod kierunkiem Towarzystwa Jezusowego, mianowicie „Instytut Biblijny" i „Instytut Wschodni", które tym sposobem stały się jakby „wydziałami" Gregorjany, pozostającemi wszakże na osobnych prawach, bo posiadają własnych rektorów.

W r. 1931 wyszła konstytucja papieska *Deus scientiarum Dominus*, określająca organizację wszystkich wyższych uczelni kościelnych, posiadających prawo nadawania stopni akademickich. Przed Uniwersytetem Gregorjańskim, który też jeden z pierwszych pospieszył wyrazić z tego powodu hołd Ojcu św. i oświadczyć się z gotowością zastosowania się do jego wskazań, otwarła się nowa droga rozwoju. W wykonaniu nowych przepisów otrzymał Uniwersytet, mocą dekretu z dnia 21 czerwca r. b., wielkiego kanclerza, którym ma być każdorazowy kardynał prefekt Kongregacji Seminarjów i studjów uniwersyteckich (obecnie jest nim kardynał Bisleti). Lecz, co ważniejsze, dekretem rzeczonej Kongregacji z dnia 7 sierpnia r. b. zostały utworzone przy Uniwersytecie Gregorjańskim dwa nowe wydziały, mianowicie „Wydział Historji Kościelnej" i „Wydział Misjologji", nadto innym dekretem tejże daty w Instytucie Biblijnym został powołany do życia osobny „Wydział badań Starożytnego Wschodu". Każdy z tych nowych wydziałów będzie posiadał szereg katedr profesorskich. Tym sposobem obecna Gregorjana składać się będzie jakby z dziewięciu odrębnych wydziałów (*biennium*, wydział teologji, wydział filozofji, wydział prawa kanonicznego, wydział historji kościelnej, wydział misjologji, Instytut biblijny, wydział badań starożytnego wschodu, wreszcie Instytut Wschodni). Do tego dodać należy „szkołę literatury łacińskiej", „Instytut wyższej kultury religijnej dla Akcji katolickiej" i utrzymywaną przez Instytut Biblijny stację naukową w Jerozolimie, a będziemy mieli obraz wewnętrznej organizacji Uniwersytetu.

Jaką wziętością cieszył się Uniwersytet Gregorjański w katolickim świecie mogą służyć cyfry słuchaczy, zestawione latami począwszy od r. 1869. Zaczynamy cyfrą 711, poczem w latach zaboru Rzymu cyfra ta spada do 193 (najniższa jaka była), potem stópniowo idzie wgórę aż do 1107 w roku bezpośrednio poprzedzającym wielką wojnę. Wojna światowa znacznie ją obniża aż do 369 w roku 1917—1918, poczem znowu stale idzie wgórę aż do 1698 w r. 1930 na 1931. Dodamy, że ta ostatnia liczba obejmuje słuchaczów z 49 krajów (wszystkich części świata), w tem z Polski 61 słuchaczów. Ciało profesorskie Gregorjany, łącznie z Instytutami Biblijnym i Wschodnim, w roku szkolnym 1930 na 1931 składało się z 88 osób, pochodzących

z rozmaitych narodowości (w tem 6 Polaków); obecnie w związku z założeniem nowych wydziałów liczba ta znacznie wzrosła. Gregorjana, łącznie ze swemi dependencjami, wydaje kilka czasopism naukowych (jak *Gregorianum, Biblica, Verbum Domini, Orientalia Christiana* i inne); prace w nich są ogłaszane w rozmaitych językach. Nadto Uniwersytet rozwija bardzo wielką ruchliwość wydawniczą w zakresie źródeł, podręczników dla słuchaczy i osobnych rozpraw i artykułów.

Równolegle z tą naukową rozbudową Gregorjany postępowała i jej rozbudowa materjalna. Dzięki hojności papieży i świeckich mecenasów pierwszy Instytut Biblijny pozyskał godną siebie siedzibę w zakupionym pałacu na Piazza Pilotta, potem Instytut Wschodni otrzymał dogodny gmach w pobliżu bazyliki S. Maria Maggiore, wreszcie właściwy Uniwersytet ukończył w r. 1931 budowę wspaniałego gmachu także przy Piazza Pilotta. Wszystkie te części jednej wielkiej całości zostały zaopatrzone w bogate bibljoteki, urządzone nowocześnie, z czytelniami dostępnemi także dla badaczy z poza uniwersytetu.

Zakończmy naszą notatkę dwoma nie obojętnemi dla nas szczegółami: 1^0 stopnie nadawane przez Uniwersytet Gregorjański są ważne i w Polsce wobec prawa państwowego; 2^0 na czele Gregorjany stoi obecnie, jako rektor, wielki przyjaciel Polski, O. Ferdynand Willaert T. J., który, chociaż Belgijczyk, podczas rocznego wśród nas pobytu nauczył się doskonale po polsku, przełożył na język francuski *Wieczory nad Lemanem* O. Morawskiego i dotąd językiem naszym chętnie się posługuje.

O akcji unijnej na kresach wschodnich, a właściwie o atakach na nią, pisaliśmy ostatni raz w zeszycie czerwcowym *Przeglądu*. Darują nasi czytelnicy, że wciąż do tej sprawy powracamy, uważamy ją jednak za tak ważną, że w takiem czy innem ustosunkowaniu się do niej upatrujemy poniekąd sprawdzian tego, co się nazywa *sentire cum Ecclesia*. Że to nie przesada dowiemy się niżej z ust nieskończenie poważniejszych.

Ostatnie miesiące przyniosły dwie publikacje na ten temat: broszurę ks. Piotra Tabińskiego p. t. *Akcja unijna a krytyka polska* i broszurę Henryka Łubieńskiego *Droga na wschód Rzymu*.

Ks. Tabiński, b. rektor prawosławnego seminarjum duchownego w Krzemieńcu a niespełna od roku katolik, występuje w obronie akcji unijnej, polemizując z wileńskimi publicystami, przedewszystkiem z p. W. Piotrowiczem. Wykazuje, że niebezpieczeństwo rusyfikacji grozi kresowej lu-

dności nie od akcji unijnej, lecz od prawosławia i że ze stanowiska „polskiej racji stanu" chyba dążenie do jedności kościelnej jest bardziej pożądane, niż konserwowanie organizacji cerkiewnej, odwiecznie orjentującej się na Moskwę.

Lecz właśnie ze stanowiska polskiej racji stanu wystąpił przeciwko akcji unijnej Henryk Łubieński. Od wielu poprzednich ataków na tę akcję, zwłaszcza od notowanych dawniej przez nas wystąpień p. Jeśmana, Ziemian Słonimskich, *Gazety Warszawskiej* i innych, broszura Łubieńskiego wyróżnia się korzystnie tem, że autor odgradza się od obozu nacjonalistycznego, domagającego się, by Kościół katolicki na kresach stał się narzędziem polonizacji inoplemiennej ludności. Według zdania Łubieńskiego Kościołowi tej roli narzucać nie można i nawet Kościół łaciński musi się liczyć ze słusznemi uprawnieniami innych języków, oprócz polskiego. Drugą rzecz na pochwałę Łubieńskiego trzeba powiedzieć, mianowicie, że w odróżnieniu od swych poprzedników nie przedstawia sprawy tak, jakoby akcję unijną prowadziła na własną rękę garstka Jezuitów lub jakaś inna samozwańcza grupa misjonarzy, na którą można się poskarżyć przed wyższą władzą duchowną, jak to czyniły memorjały Związku Obrony Kresów i Ziemian Słonimskich. Łubieński nie udaje, że nie wie gdzie jest akcji unijnej motor, lecz lojalnie składa ją na odpowiedzialność Stolicy Świętej, Watykanu, jak lubi się wyrażać. Na historji Unji Brzeskiej wykazuje, iż pozyskanie schizmatyckiego Wschodu, a zwłaszcza Rosji było odwiecznem dążeniem Rzymu, a do tego zawsze było uważane za konieczne zachowanie obrządku wschodniego.

Pomimo to Łubieński ostro atakuje akcję unijną u nas jako szkodliwą dla Polski. Dowodzeń jego przytaczać nie będziemy, są bowiem powtórzeniem tylko zarzutów przez innych polemistów podnoszonych, z któremi już nieraz rozprawialiśmy się. Zarzut rusyfikacji, tyle razy odparty, powraca nanowo. Nowością jest wzgląd na prawosławną cerkiew, „lojalnego kontrahenta rządu", której rząd nie może drażnić i zdradzać nawet choćby tylko neutralnem zachowaniem się wobec akcji unijnej. Z tego wynika, że rząd do tej akcji winien ustosunkować się wrogo. Przez dziwną niekonsekwencję autor oświadcza się za akcją szerzenia obrządku łacińskiego wśród ludności prawosławnej, według projektu ks. kan. Lubiańca, w przekonaniu, że taka akcja mniej przykrą będzie dla prawosławnej cerkwi. W końcu broszury czyni autor jakby krok wstecz, pozwalając łaskawie na p r z y j m o w a n i e przez prawosławnych katolicyzmu we wschodnim obrządku, żąda natomiast zabronienia p r o p a-

gandy tego obrządku, nie objaśniając bliżej jak te dwie rzeczy pogodzić.

Przeczyszczenie atmosfery zgęszczonej nad akcją unijną w Polsce powinny sprawić świeże słowa Piusa XI. Mianowicie na konferencji w Pińsku w dn. 30 sierpnia zakomunikował J. E. ks. biskup Przeździecki o swojem posłuchaniu u Ojca Świętego, na którem właśnie była omawiana akcja unijna w Polsce. Wyraziwszy uznanie dla ks. biskupa za jego list w obronie tej akcji, Jego Świątobliwość sprostował pewne nieścisłości, jakie do owego listu się zakradły, poczem narzekał na to, że tylko w Polsce akcja unijna jest przedmiotem takiej niechęci i wypowiedział przytem brzemienne znaczeniem zdanie, że „nie są katolikami ci, co tę akcję zwalczają". Wobec powtarzanego w Polsce przekonania jakoby dalsza egzystencja rzeczonej akcji zależała od układów Kościoła z rządem, zaznaczył papież, że o podobnych układach nie może być mowy w tem znaczeniu jakoby od nich zależało to, co jest istotnem posłannictwem Kościoła, przez Chrystusa mu zleconem.

Te wypowiedzenia Głowy Kościoła powinny zamknąć usta owym ludziom, którzy zwalczając akcję unijną wśród prawosławnych w formie, w jakiej ją Kościół prowadzi, czynili to rzekomo dla dobra samego katolicyzmu. O tych *plus catholiques que le pape* papież twardo się wyraża: „nie są katolikami". I oto ustosunkowanie się do tej akcji urasta do wartości kryterjum tego czy ktoś „czuje z Kościołem" czy nie.

Wagę wypowiedzenia się papieża snać odczuły redakcje tych dzienników, które najbardziej zaciekle walczyły przeciwko akcji unijnej, a chciały uchodzić za katolickie. Widoczne zakłopotanie ich zdradziło się w milczeniu, jakiem pominęły trzecią Konferencję pińską, podczas której słowa Piusa XI zostały ogłoszone. Sprawozdania o tej konferencji napróżno szukaliśmy w całym szeregu dzienników, którym wszakże przebieg konferencji musiał być znany z komunikatu Kat. Agencji Prasowej. W szczególności zamilkło wileńskie *Słowo*. *Gazeta Warszawska* odezwała się jeszcze raz (7 września) w postaci notatki o broszurze O. Wł. Piątkiewicza „Prawda o Albertynie". Widocznie był to strzał spóźniony, ale przygotowany już przed konferencją pińską. Po niej solidaryzowanie się z p. Jeśmanem a przeciw Stolicy Św. chyba nie byłoby możliwe dla organu, stale występującego w roli obrońcy spraw Kościoła. Milczenie naszej „prasy katolickiej" o sądzie Piusa XI w danej kwestji (słowa papieża zareferował lojalnie *Czas* krakowski) jest zupełnie zrozumiałe i do wytłumaczenia. Zbyt daleko zapędzono się w zwalczaniu sprawy, którą prowadzi Kościół, by tak odrazu móc zmienić kierunek. Lepiej może przeczekać, zanim czy-

telnicy nie zapomną o tem, co się poprzednio pisało lub o tem, co powiedział papież, by móc przychylnie się ustosunkować do akcji, którą się zwalczało, lub też... podjąć dalszą z nią walkę.

Trzecia Konferencja pińska, odbyta w dniach 30 i 31 sierpnia i 1 września r. b., zgromadziła znacznie większą ilość uczestników, niż dwie poprzednie. Z episkopatu wzięli w niej udział II. EE. ks. metropolita mohylewski Ropp, ks. arcybiskup Jałbrzykowski z Wilna, ks. biskup podlaski Przeździecki, wizytator apostolski dla katolików wschodniego obrządku Czarnecki i gospodarz i kierownik konferencji nowy biskup piński, Ks. Kazimierz Bukraba. O rosnącem wciąż zainteresowaniu konferencjami i o sympatjach dla ich prac wśród duchowieństwa świeckiego i zakonnego świadczy fakt, że na tegoroczną konferencję przybyli przedstawiciele kleru świeckiego z odległych nawet diecezyj (jak naprz. lwowskiej obrz. łac.) i członkowie różnych zakonów, jak OO. Kapucyni, Dominikanie, Studyci i inni, którzy w poprzednich konferencjach udziału nie brali.

Zjazdy unijne w Pińsku dochodziły do skutku dzięki życzliwości dla sprawy nieodżałowanej pamięci ks. biskupa Łozińskiego. Wielu żywiło obawę, że ulegną one zawieszeniu z chwilą jego śmierci. Obawa ta została rozproszona przez jego następcę, Ks. biskupa Bukrabę, który z całym pietyzmem dla swego świątobliwego poprzednika, u wstępu swych rządów biskupich, konferencję ugościł i z taką umiejętnością i miłością nią pokierował, że jednomyślnie uchwalono zjazdy podobne odbywać nadal corocznie w Pińsku.

Szczegółów przebiegu obrad podawać nie będziemy. Referaty *in extenso* znane będą interesującym się akcją unijną po wydaniu „Pamiętnika" zjazdu.[1]) Przyjęte rezolucje podane zostały przez K. A. P. Wśród nich wyróżnia się rezolucja, dotycząca „bizantynizmu", przyjęta w następującem brzmieniu: „W dyskusjach nad kwestją bizantynizmu odróżniać to, co w bizantynizmie, jako formie kulturalnej, jest dodatniego, od tego, co pod tą nazwą niekiedy bywa mylnie rozumiane, przedewszystkiem system cezaropapizmu, który Konferencja potępia i odrzuca". Wyrażono także życzenie, aby zagadnienie „bizantynizmu" zostało obszerniej omówione na najbliższej przyszłej konferencji. Wszechstronne studjum nad pojęciem bizantynizmu jest u nas z tego względu konieczne, że straszakiem „bizantynizmu" posługuje się często polemika, skierowana przeciwko akcji unij-

[1]) Pamiętniki Konferencyj z lat 1930 i 1931 są do nabycia w Pińsku u kierownika Konferencyj, Ks. Dr. K. Kułaka, prof. seminarjum.

nej. Już w tym roku ustalono i potępiono jedno ze znaczeń bizantynizmu, mianowicie cezaropapizm, t. j. dążenie czynników państwowych do ingerencji w sprawy kościelne. Taka ingerencja cechowała stosunek rządów rosyjskich do prawosławia, takąż ingerencję niejednokrotnie w ciągu historji usiłowały narzucić nawet Kościołowi katolickiemu państwa zachodnie, od podobnych zakusów nie są wolne także rządy państw współczesnych, nawet demokratycznych i republikańskich. Kościół katolicki wszakże, bez względu na swój obrządek, musi walczyć i walczy przeciwko tego rodzaju zakusom. W tem znaczeniu akcja unijna nietylko nie utrwala „bizantynizmu", ale od niego wyzwala.

Ks. Jan Urban T. J.

„Politique Familiale" Francji.

Gwałtowne zmniejszenie się liczby urodzeń, jakie dokonało się w ostatnich kilkunastu latach w różnych państwach europejskich, zwłaszcza w Niemczech i w Anglji, nie odbiło się tak widocznie na Francji. W tym „klasycznym kraju spadku urodzeń" proces ten dojrzał już dawniej, a o możliwości „samobójczej śmierci narodu" mówiono głośno. Pomijając nawet okres niedawnej wojny światowej, oraz dawniejszej z r. 1870/71, miano tu przecież lata jak 1890—92, 1895, 1900, 1907, 1911 i 1929, w których roczny bilans ludnościowy wykazywał deficyt, bo liczba zgonów przewyższała cyfrę urodzeń. Lecz i poza temi latami klęski przyrost był stale bardzo szczupły. Wystarczy uprzytomnić sobie, że w r. 1870/71 Francja miała 36·1 miljonów ludności, Niemcy zaś 41·1 milj., a tymczasem w r. 1930 okrojone Niemcy liczyły 65 milj., podczas gdy zwycięska i powiększona o Alzację i Lotaryngję Francja doprowadziła zaledwie do 41·4 milj. mieszkańców.

Ten stan rzeczy napełniał też oddawna poważną troską głębiej myślących Francuzów i w obliczu „niebezpieczeństwa narodowego" kazał im szukać ratunku przed grożącem stopniowem wyludnieniem kraju. Uciekano się więc do rozmaitych pomysłów, pomiędzy któremi nie brakło także miejsca dla praktykowanego do dziś dnia przerabiania na Francuzów licznych *étranger'ów* (w r. 1931 było ich tam 2.891 tys.) których pozbawione rąk roboczych przemysł i rolnictwo francuskie sprowadzały z zagranicy. zwłaszcza z Polski, Włoch i Hiszpanji.

Główne jednakże wysiłki zmierzały do ratowania rodzimego stanu posiadania przez podniesienie rodziny francuskiej i jej rozrodczości. Doprowadziły one stopniowo do stworzenia osobnej

„polityki rodzinnej" *politique familiale*, która, zapoczątkowana jeszcze z końcem ubiegłego stulecia, została zorganizowana planowo tuż przed rozpoczęciem wojny światowej. Osią jej przewodnią jest myśl, że należy podnieść sytuację gospodarczą rodziny wogóle, a licznej w szczególności, ponieważ ciężkie warunki ekonomiczne przyczyniają się w wysokim stopniu do spadku liczby urodzeń. Opierając się na tem założeniu rozbudowano zczasem cały system praw i urządzeń, rzeczywiście ciekawy i w niejednym punkcie godny naśladowania. W streszczeniu go, jakie poniżej podajemy, korzystamy ze źródeł francuskich, lecz głównie opieramy się na najlepszem, jakie znaleźliśmy, zestawieniu tej rzeczy przez Dra Alojzego Egger'a. [1])

Im więcej dzieci, tem większe wydatki. Chcąc więc dopomóc licznej rodzinie, należy dążyć do zmiejszenia jej wydatków, a podniesienia dochodów. W tych dwóch kierunkach idzie też cała akcja francuskiej „polityki rodzinnej".

Przypatrzmy się naprzód, co zrobiono w celu zwiększenia dochodów rodziny, zwłaszcza licznej?

Przedewszystkiem państwo stara się o to (szczególnie od r. 1924), ażeby wysokość poborów urzędników, robotników i innych funkcjonarjuszów, zajętych dłuższy czas w służbie państwowej, uzależnić od liczby dzieci. Do zasadniczej pensji czy płacy dolicza się im mianowicie dodatek, który przy pierwszem dziecku wynosi 604 franków, przy drugiem 806 fr., przy trzeciem 1208 fr., przy czwartem i każdem następnem 1411 fr. rocznie. Dodatki te wypłaca się aż do 16 roku życia dziecka, a o ile się ono kształci, do 18 względnie do 21 roku. Nadto ojcowie licznych rodzin są uprzywilejowani przy awansach, przeniesieniach i w razie wstrzymania pracy. Podobnemi względami otaczają swych pracowników także samorządy, departamenty i gminy.

Również w dziale ubezpieczeń społecznych znajduje liczna rodzina pomoc w postaci ochrony macierzyństwa, zasiłków w okresie połogu i na wypadek choroby lub zgonu; ubezpieczonym na starość podwyższa się rentę, jeżeli wychowali więcej niż troje dzieci do 16 roku życia; podobnie daje się większą rentę wdowom, które miały więcej dzieci, oraz udziela specjalnych zapomóg tym ostatnim. Środki potrzebne na te cele, czerpie się z kas ubezpieczeniowych, uzupełnianych w dużej mierze przez państwo i z innych funduszów publicznych.

Poza wymienionemi powyżej regularnemi dodatkami dla osób, zajętych w służbie państwowej, udziela się doraźnych lub stałych zapomóg także wszelkim innym, licznym a znajdującym się w trudnych warunkach materjalnych, rodzinom. Sprawę tę uregulowano osobną ustawą o *l'assistance aux familles nombreuses*

---

[1]) Dr. Alois Egger: „Die kinderreichen Familien in Frankreich". *Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik*, Jena, 1932 zesz. 5 str. 749.

z dn. 14 lipca 1913 r., która przyznaje zasiłki na czwarte i każde następne dziecko aż do 13 roku życia, a jeśli się kształci, jeszcze dłużej. Owszem zapomogi takie wypłaca się już przy trzeciem dziecku, jeżeli na samego ojca, a przy drugiem, jeśli na samą matkę spadła troska o utrzymanie dzieci. Zasiłki te, które z początku wahały się w granicach od 60—90 fr., wynoszą od r. 1926 rocznie na dziecko najmniej 270 fr.

Liczba rodzin, korzystających z powyższych zapomóg zaczęła jednak szybko spadać od r. 1924, ponieważ większość obywateli wolała korzystać z innego prawa, które dawało im większe i sympatyczniej umotywowane zasiłki. Ustawa ta o *l'encouragement national aux familles nombreuses* z dn. 22 lipca 1923 r., wychodziła z tego założenia, że troska o liczną rodzinę nie jest żadnym podarunkiem ani jałmużną, lecz spełnieniem obowiązku ze strony państwa; przyznawała ona każdej rodzinie francuskiej i zamieszkałej we Francji zasiłek 90 fr., a od r. 1927 rocznie 360 fr. na czwarte i każde następne dziecko (względnie już na trzecie lub drugie, o ile troska o dzieci spoczywała na samym ojcu lub matce) aż do 13 roku życia albo i dłużej, jeśli tego wymagały studja lub zły stan zdrowia. Oczywiście podwyżka taka obciążyła silnie skarb państwa, który w r. 1926 wydał na wspomniane zapomogi $8^1/_2$ milj. fr., a w r. 1928 już $118^1/_2$ milj. fr. Załączona poniżej tablica uwidacznia malejącą liczbę rodzin, które pobierały zasiłki na podstawie ustawy z r. 1913, oraz odwrotny proces w korzystaniu z dobrodziejstw ustawy z r. 1923:

rok	ustawa z r. 1913		ustawa z r. 1923	
	liczba rodzin wspieranych	liczba zasiłków	liczba rodzin wspieranych	liczba zasiłków
31. XII. 1924	190.759	311.740	30.013	46.598
„ „ 1926	172.136	278.331	43.797	66.608
„ „ 1927	60.559	93.599	182.513	292.285
„ „ 1928	51.417	79 619	224.414	359.907

Celom popierania rodziny służą również urządzenia i przepisy prawne, dotyczące ochrony macierzyństwa. Tu należą ustawy z dn. 17 czerwca 1913 r. *sur le repos des femmes en couches* i z dn. 24 października 1919 r. *Loi assurant la protection des femmes qui allaitent leurs enfants;* zabezpieczają one pracującym matkom odpowiednie zasiłki (o ile ich potrzebują i o ile zachowują ściśle przepisy higjeny koła dziecka), kilkotygodniowy urlop przed i po rozwiązaniu, oraz możność karmienia dzieci w godzinach pracy. — Na wzmiankę zasługują również specjalne „premje" *Primes à la natalité,* jakie w razie przyjścia na świat trzeciego i każdego następnego dziecka wypłaca się wszystkim rodzinom, mającym obywatelstwo francuskie, bez względu na ich zamożność.

Zaprowadzenie tych premij zależy od uchwały gminy — w r. 1928 wprowadziło je już 30.358 gmin na ogólną liczbę 37.981 — które muszą postarać się o potrzebne fundusze, podczas gdy państwo dopłaca ze swej strony pewną sumę, o ile premja, udzielona przez gminę, wynosi nie mniej niż 300 fr., a nie więcej od 1.000 fr.

Wszystkie dotychczasowe sposoby pomocy rodzinie mają charakter publiczny i finansowane są z funduszów publicznych; szereg dalszych zawdzięcza swe powstanie i byt inicjatywie prywatnej sfer posiadających, zwłaszcza przemysłowych, które do tego kroku skłoniło niebezpieczeństwo, grożące im z powodu rosnącego ubytku rąk do pracy.

Akcja ta rozwijała się zwolna i przechodziła różne koleje. Początkowo usiłowano wprowadzić t. zw. „płace familijne", czyli dostosowane w swej wysokości do liczby dzieci, lecz system ten zarzucono, gdyż okazał się szkodliwym zarówno dla przedsiębiorców — zmniejszał bowiem ich zdolność konkurencyjną w stosunku do innych, którzy nie zaprowadzili takich płac — jak dla samych robotników, ci bowiem z nich, którzy mieli dzieci, trudniej znajdowali zajęcie. Systemem, zainicjowanym w r. 1919 i przyjętym dziś we Francji, są specjalne Kasy *Caisses de compensation*, w rodzaju ubezpieczeniowych, których fundusze pochodzą z kieszeni przedsiębiorców i składane są podług określonego klucza.

Kasy te jeszcze nie wszędzie istnieją, a istniejące są rozmaicie zorganizowane, najlepiej w przemyśle i handlu, słabiej w rolnictwie. W r. 1930 było ich 230 i obejmowały 25.000 przedsiębiorstw, a w nich 1·9 milj. osób.[1]) Działalność ich polega na udzielaniu doraźnych wsparć w okresie macierzyństwa, oraz regularnych zasiłków dla rodzin, zależnie od liczby dzieci. Przeciętna suma tych ostatnich wynosiła w przemyśle (w handlu mniej, a w rolnictwie jeszcze mniej) tygodniowo na rodzinę z jednem dzieckiem — 27·15 fr., z 2 dzieci — 66·41 fr., z 3 — 115·22 fr., z 4 — 180·87 fr., z 5 — 249·35 fr., z 6 — 320·71 fr. Zasiłki te wypłaca się zasadniczo do 13 roku życia dziecka (w niektórych Kasach do 14 lub 15 r.), a o ile się kształci, dłużej. Dodać należy, że od początku r. 1931 zobowiązano ustawowo wszystkich pracodawców do udzielania zasiłków familijnych ich pracownikom, bez względu na narodowość tychże (pod warunkiem wszakże, że dzieci znajdują się we Francji); do woli pozostawiono im tylko, czy zechcą czynić to bezpośrednio, jak robią dotychczas pewne największe przedsiębiorstwa, czy też przez przystąpienie do wspomnianych *Caisses de compensation*.

---

[1]) W r. 1931 — podług *Schönere Zukunft* (Wien) z dn. 18 września b. r. — liczba Kas wzrosła do 245, a ogólna suma wypłaconych przez nie zasiłków wyniosła 380 milj. fr. Obecny kryzys ekonomiczny odbił się jednak ujemnie także na tej instytucji.

Cała dotychczas przedstawiona akcja zmierza do podniesienia dochodów licznej rodziny; równolegle z nią idzie druga, mająca na celu obniżenie wydatków, jakie pociąga za sobą wychowanie dzieci.

Jednym jej działem jest polityka mieszkaniowa, obliczona na dostarczenie licznym rodzinom mieszkań tanich (w proporcjonalnej zależności od liczby dzieci) i zdrowych. Należy tu więc finansowe poparcie budowy domów, obniżenie ciężarów podatkowych tym przedsiębiorcom, którzy pod określonemi warunkami zobowiążą się wynajmować mieszkania licznym rodzinom, ułatwianie tym ostatnim zdobycie własnego domu i t. d. Z programem tym łączy się ustawa *loi Loucheur* z dnia 13 lipca 1928 r., podług której w okresie od r. 1928—1933 ma być corocznie budowanych 200.000 tanich mieszkań; do wykonania tego planu ma się przyczynić państwo przez udzielanie nisko oprocentowanych pożyczek, w łącznej sumie 2·4 miljarda franków.

Na szczególniejszą jednak uwagę zasługują ulgi, przyznane rodzinom, zwłaszcza licznym, w dziedzinie podatkowej. Już przez samo zawarcie małżeństwa przesuwa się granice dochodu, wolnego od podatku dochodowego (7.000 fr.), o 3.000 fr., o taką samą sumę posuwa się je potem kolejno naprzód przy pierwszem i drugiem dziecku, a o 4.000 fr. przy trzeciem i każdem następnem dziecku; przy większej ogólnej liczbie dzieci przewidziane są inne jeszcze ulgi. Obok tego najważniejszego przywileju korzystają liczne rodziny także z ulg w innych rodzajach podatków, a nadto otrzymują zwolnienie od opłat szkolnych, znaczne, bo do 70% sięgające, zniżki kolejowe, płacą mniejsze wstępy do muzeów i t. d. Dla wyrównania zaś ubytku, jaki z powyższych przyczyn powstaje w dochodach państwa, przerzuca się pewną jego część na tych obywateli, którzy nie zakładają rodziny lub mimo założenia nie mają dzieci. Osoba, w wieku powyżej 30 lat, podlegająca obowiązkowi płacenia podatków i żyjąca w stanie bezżennym lub rozwiedziona, płaci podatek dochodowy o 25% wyższy ponad zwyczajną normę; o 10% zaś podwyższa się tenże podatek osobie, która mając ponad 30 lat życia i będąc już przeszło dwa lata w stanie małżeńskim, nie ma wcale dzieci. W obu wspomnianych wypadkach kasuje się jednak nadwyżkę podatku, jeśli dana osoba ma kogoś na utrzymaniu, dzieci lub dorosłych.

Rzucając teraz okiem na całość „polityki rodzinnej" we Francji, musimy przyznać, że na odcinku gospodarczym zrobiono tu bardzo wiele dla ułatwienia egzystencji licznym rodzinom i dla zachęcenia do ich zakładania. Ponieważ zaś dotychczas sytuacja finansowa licznej rodziny przedstawiała się zawsze gorzej w porównaniu z bezdzietną lub z osobami wolnego stanu, przeto „wyrównano" do pewnego stopnia obie te kategorje obywateli, podnosząc dochody i zmniejszając wydatki jednej, a prze-

nosząc część przynajmniej wynikłych stąd ciężarów na drugą. Resztę potrzebnych do tego funduszów łoży państwo i społeczeństwo. Sumy te są ogromne, widać to z paru przytoczonych przykładów, lecz Francja, stanąwszy pod względem ludnościowym nad brzegiem przepaści, zrozumiała wreszcie znaczenie rodziny i nie cofa się przed wielkiemi ofiarami dla jej ratowania.

Czy ofiary te wystarczą? — Na to niech odpowie rzeczywistość.

Bezwątpienia materjalna strona — odczuwamy to dziś doskonale u nas w Polsce — jest niezmiernie ważną dla rodziny i w wielu wypadkach ona rozstrzyga o możności założenia i powiększenia ogniska domowego. Lecz same pieniądze nie wystarczą, owszem są czemś drugorzędnem wobec czynnika moralnego. Francja stara się wprawdzie o oddziaływanie na opinję i psychikę swych obywateli i osiągnęła pewne wyniki na tem polu; dziś liczne rodziny otacza tam poszanowanie, podczas gdy do niedawna spotykało je politowanie, drwiny i niechęć. Lecz te liczniejsze, obecnie istniejące rodziny, nie są wynikiem owej akcji, niedawno zresztą rozwiniętej, lecz zawdzięczają swój byt wierności zasadom chrześcijańskim. Wśród olbrzymiej części społeczeństwa francuskiego zasady te jednak zaginęły — a pracowały nad tem od wielu lat usilnie same czynniki państwowe przez walkę z religją, usunięcie jej ze szkoły i wychowania, przez rozwody i podkopanie rodziny. W tym więc kierunku należałoby dziś działać, tymczasem tego sfery rządzące Francją nie robią i robić nie chcą.

Toteż i rzeczywistość kształtuje się odpowiednio. Co potrafiły osiągnąć owe zdumienie budzące wysiłki materjalne Francji? Czy przyczyniły się do rozbudzenia życia rodzinnego i wzmogły liczbę urodzeń? — Tu i ówdzie tak, choć niewiele; w niektórych okolicach ilość urodzeń podniosła się o 50%. Ale jeśli chodzi o całość kraju, sytuacja nietylko nie polepszyła się, lecz cofnęła się jeszcze bardziej. Jak widzimy na załączonej poniżej tablicy, podającej urzędowe dane statystyczne z ruchu ludnościowego Francji, liczba urodzeń, pomijając pewne wahania, zmniejszała się ciągle. Na 10.000 mieszkańców przypadało w r. 1923 — 191 urodzeń żywych, a w r. 1930 aż o 10 mniej (w r. 1929 nawet o 14 mniej)!

na 10.000 mieszkańców			
rok	urodzeń żywych	rok	urodzeń żywych
1923	191	1927	182
1924	187	1928	183
1925	190	1929*	177
1926	188	1930*	181

*) Dane tymczasowe.

Dr. A. Egger ma więc głęboką słuszność, kiedy polecając pod koniec swego artykułu naśladowanie francuskiej „polityki rodzinnej“ (choć nie we wszystkiem), dołącza uwagę: „Najważniejszą rzeczą jest wzmocnienie etycznych podstaw rodziny, wzmocnienie poczucia odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń“, a tylko „koniecznem uzupełnieniem“ tego jest stworzenie warunków gospodarczych potrzebnych dla pomyślnego rozwoju rodziny.

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 września 1932.

Nowoczesny kapitalizm.

Istniała kiedyś legenda o kamieniu mądrości. Kto go posiadał, umiał wszystkie cierpienia ukoić, zapewniał dotkniętym przezeń wieczną młodość i piękność. Posiadacz kamienia tego był tylko jeden i uznawany był z natury rzeczy za najpotężniejszego cudotwórcę i czarodzieja.

Dziś, mimo że żyjemy w epoce arcytrzeźwości, żąda się, by taką czarodziejką była przystępna dla wszystkich nauka ekonomji społecznej, a jeśli ona formułki na żadne cudy nie podaje, rozczarowanie dyktuje słowa przykre i niesprawiedliwe. Jest źle, a więc ktoś musi być temu winien. Rozumie się, nie rządy, które inflacyjnemi pomysłami przyczyniły się do zrujnowania majątku społeczeństw, nie spekulanci wszelakiego autoramentu, kupujący i sprzedający na giełdach świata fikcyjne wartości, nie bałwochwalcy, bijący pokłony przed złotym cielcem a uznający pieniądz za jedynego władcę i wystawiający na pośmiewisko i pogardę żądanie uczciwości w obrocie, nie głosiciele hasła „tanio kupować a drogo sprzedawać", którego ofiarą padać musi druga połowa ludzkości, zmuszona wbrew owemu hasłu tanio sprzedawać a drogo kupować, aby pierwsza mogła zarobić — ale winna nauka, która nie zdołała na poczekaniu, na rozkaz, wyszłe z więzów etyki i rozpadające się państwa i społeczeństwa doprowadzić za dotknięciem różdżki czarodziejskiej do wymarzonego ładu i dobrobytu.

Nie piszcie książek, mówi się nam, nie jesteśmy ciekawi waszych pomysłów i teoryj. Chcemy mieć odpowiedź na dziś, w jaki sposób załagodzić przesilenie, co uczynić, aby kasy państwowe były pełne, pensje i ceny wysokie a bezrobocia nie było. Proszę nam powiedzieć, czy dolar się za-

łamie, czy też będzie dalej pierwszą walutą w Polsce — ale powiedzieć szybko, abyśmy zdążyli wydać jeszcze dziś polecenie do naszego bankiera; nadto zaś powiedzcie, w którym kraju i w jakiej walucie najlepiej lokować majątek nasz, w Polsce zdobyty. Tylko bez teoretycznych wywodów i bez nudnych pouczeń, bo nie mamy czasu na czytanie. Jeśli nie potraficie dać bezzwłocznej odpowiedzi na te pytania, to widocznie cała wasza nauka niewiele warta.

Biorąc pod uwagę zachowanie się niektórych reprezentantów ekonomiki społecznej, istotnie trudno oprzeć się ujemnemu o nich sądowi, który potem rozciąga się wzorem innych błędnych uogólnień na wszystkich jej przedstawicieli i co gorsza na całą naukę.

Należy o tem pamiętać, że szczególnie w ekonomice społecznej obok nauki prawdziwej, głosicielki prawdy, noszącej światło przed spragnioną jej ludzkością, istnieje i nauka fałszywa, naciągająca fakty do programów zgóry wytkniętych, prostytuująca metody naukowe przez oddanie ich w nikczemną służbę interesów gospodarczych garstki uprzywilejowanych. I należy dobrze odróżnić reprezentantów obu tych nauk.

Przedstawiciele tej drugiej nauki czynią wszystko, aby nie stracić zdobytego dla siebie zaufania, a dla dotychczasowych władców świata utrzymania ich przewagi. Dalecy od przyznania się do doszczętnej przegranej w świecie powojennym, czego dowodzi choćby przebieg i rozmiary obecnego przesilenia, jużto przemilczają niewygodne im fakty, jużteż je przeinaczają lub bagatelizują. Wiadomo, że nie fałsze, ale półprawdy przez pozory jasności i pozory kontaktu ich z życiem są właśnie najniebezpieczniejsze dla ogółu. Otóż owe półprawdy podaje się dotąd na różnych kongresach aż po ostatni berliński z maja 1932 r. z takim tupetem i niezwykłą pewnością siebie, że większość ludzi ugina się przed mądrością ich rzeczników, wyposażonych wszak w tytuły i dyplomy uniwersyteckie, ale nie służących faktycznie nauce i prawdzie. Krytyczniejsza zaś mniejszość, widząc w czyjej służbie istotnie pozostają owi oportunistyczni emisarjusze fałszywej nauki, czyni kozłem ofiarnym samą naukę a nie zuchwałych jej uzurpatorów.

Prawdziwej nauce odpowiadać może tylko stanowcze potępienie zarówno bezwstydnego hasła siły przed prawem, głoszonego od Macchiavellego po Wilhelma II, jak i programu wolnego wyzysku gospodarczego, głoszonego od Ricarda po Cassela i Misesa, twierdzących kłamliwie, jakoby w życiu publicznem czy gospodarczem etyka nie obowiązywała. Za twórcami tych wygodnych haseł powtarzali je wszyscy, z których korzyścią to było i którzy chcieli uchodzić za polityków realnych, darząc wszystkich innych mianem fantastów. Rzekomy ów realizm, a faktycznie bezprzykładna ciasnota pojęć, ignorująca przyczyny i skutki zjawisk, doprowadziła dziś do szeregu katastrof, którym podobne rozmiarami nieznane są w dziejach.

Współczesna jednak generacja ani pod wpływem miljonowych ofiar w ludziach jako rezultatu wojny światowej, ani niedostatku i bezrobocia miljonów jako rezultatu przesilenia nie nauczyła się samoistnie myśleć i zachowała nadal krótką pamięć i ciasne pole widzenia.

W czem tkwi jej błąd logiczny i błąd jej dotychczasowych kierowników?

Twierdzą przedewszystkiem, że kapitalizm jest jedyną możliwą formą ustroju społecznego w okresie nowoczesnej kultury i że inna nie da się wprost pomyśleć. Gdy słyszę podobne twierdzenia, przypominam sobie fakt następujący: W pierwszej połowie XIX wieku fakultet lekarski w Erlangen wydał orzeczenie, zalecające zakaz podróżowania przy pomocy parowozów; szybki ruch bowiem niewątpliwie wywołać musi choroby mózgu; ponieważ zaś ten sam skutek pociągnąć mógłby nawet widok pędzącego pociągu, należy po obu stronach toru wznieść ściany z desek do wysokości pięciu stóp. Najlepszym sposobem komunikacji jest, było i będzie wedle fakultetu podróżowanie dyliżansem.

Wiemy dziś, że zacni owi uczeni byli w błędzie. Troskliwość ich o dobro ludzkości zapewnić im wszakże winna była bodaj wdzięczne uznanie ich chwalebnych intencyj. Ale cóż? ludzie są niewdzięczni: nietylko krytykują, jeszcze się śmieją.

Fakt, że przed ustrojem kapitalistycznym istniał a w różnych częściach kuli ziemskiej istnieje dziś jeszcze ustrój

własności prywatnej, nie mającej nic wspólnego z ustrojem kapitalistycznym, trudno wprawdzie całkowicie zataić, ale się go przynajmniej przemilcza lub zohydza. Czasem przyznaje się łaskawie, że obecny ustrój jest niedoskonały, posiada pewne błędy i luki; cóż kiedy niema lepszego. I tym argumentem łatwo przecina się dalszą dyskusję, zwłaszcza gdy za rozmówcę ma się dyletanta, któremu łatwo zaimponować byle frazesem.

Panowanie pieniądza, co więcej jego wszechwładza stanowi szczytowy triumf racjonalizmu. Nie uznaje się duszy, niema różnic jakościowych między ludźmi, wszystko jest i wszyscy są do kupienia. Trafnie mówi Egon Friedell w dziele o historji kultury nowoczesnej,[1]) że pieniądz musiał stać się symbolem ludzkości, która sama niczem nie jest a przystosowuje się do wszystkiego, wszystko bada a niczego nie kocha, wszystko wie a w nic nie wierzy. Pieniądz dla swoich wyznawców stał się najwyższą instancją, polarną gwiazdą, tłumaczy sens ich istnienia. Jest to bałwochwalstwo o wysokiem napięciu. „W miastach powstają na cześć nowego bożka świątynie: giełdy i banki, w których rozbrzmiewają modlitwy ku wszechpotężnemu; wrzekomo wtajemniczeni kapłani (najczęściej ignoranci lub oszuści) głoszą jego wolę; rozliczni wierni znoszą cały swój dobytek, szepcąc niezrozumiałe ogółowi formułki zaklęcia (l. c. str. 99)". Fryderyk Nietzsche, człowiek zupełnie nie wierzący, pisał w dziele *Fröhliche Wissenschaft*: „Pojmowanie świata, ograniczone do rachunku i liczby, ważenia, oglądania, dotykania i niczego więcej, jest płytkością i naiwnością, jeśli nie jest chorobą umysłową czy idjotyzmem". To zdanie, podzielane zresztą przez największych filozofów świata, nie przekonało jednak bałwochwalców pieniądza, t. j. ogółu przeciętnych ludzi. Nie interesują się wcale filozofją. W epoce „specjalistów" uporczywe dążenie do zostania wprawniejszym od innych rzemieślnikiem swego zawodu nie zostawia ani chwili wolnej do przyswajania sobie wiadomości, nie zamienialnych bezpośrednio na gotówkę.

Ale nie mówmy o spustoszeniach, dokonywanych w du-

[1]) T. III, str. 98 i n. München, Beck 1931.

szach ludzkich przez tyranję pieniądza, dusza bowiem nie jest notowana na giełdzie a zasady moralności człowiek „oświecony" XX wieku przeznacza jedynie dla dzieci i dla ludu. Mówmy tylko o interesie gospodarczym, o rządach kapitalizmu dla kieszeni jego wyznawców. Tu obrońcy jego dokonują zazwyczaj niedopuszczalnej wolty, przesuwając dyskusję na kwestję zgoła odrębną: kwestję własności prywatnej. Jest ona istotnie nieodłączną cechą i warunkiem wszelkiej kultury, a tam gdzie ją zniesiono, jak w Rosji sowieckiej, zadając gwałt naturze ludzkiej, zapanowała powszecha niewola i powszechny niedostatek.

Czy jednak własność prywatna nie istniała tysiące lat bez kapitalizmu? Czyż na to, aby istniała, potrzeba koniecznie panowania kapitalizmu, t. j. nietylko skupienia olbrzymich majątków w niewielkiej ilości rąk, ale i panowania ich właścicieli w dziedzinie polityki, wpływania przez nich na decyzje rządów i parlamentów, uzależniania każdego kroku państwa w dziedzinie politycznej, gospodarczej czy społecznej od aprobaty lub dezaprobaty tajnych konwentyklów karteli i wielkich finansów?

„Żądamy tylko wolnej gry sił gospodarczych — powiadają zwolennicy kapitalizmu — to, co jest tęgie i do życia zdolne, pozostanie na wierzchu; co jest słabe, to zginie. Takie jest nieubłagane prawo życia. Inaczej być nie może. A przytem tak jest najlepiej i dla państwa. Zginą niedołęgi a pozostaną na placu ci tylko, którzy dadzą gwarancję, że w walce o byt zwyciężą i cenne swe przymioty przekażą potomstwu".

Hasło to jednak nie jest konsekwentnie przestrzegane; wielki przemysł bowiem sam domaga się na każdym kroku przeważnie słusznie ingerencji państwa, czyli tak zwanego etatyzmu, gdy idzie o cła ochronne, taryfy kolejowe, premje eksportowe, zakazy dowozu, tanie kredyty lub zamówienia ze strony państwa, a tylko jest niezadowolony, gdy odrobiny opieki dla siebie domagają się także inne warstwy, a przedewszystkiem robotnicy.

Ale poza tem dumny ten program mocno traci na wartości, gdy uprzytomnimy sobie, że wolna gra sił gospodarczych poświęca z natury rzeczy przeważającą większość,

stawiającą dopiero pierwsze kroki w życiu gospodarczem, na rzecz sprytniejszej mniejszości, tudzież że cel: tłumienia w naszym narodzie przymiotów niegospodarczych, jak poświęcenia, entuzjazmu, bezinteresowności, których nietylko pamięć z wielkiej naszej przeszłości do naszych przedostała się czasów, ale której liczne objawy widzieliśmy w czasie wojny światowej i wojny rosyjskiej w 1920 r., a zastąpienia ich oportunizmem, lawirowaniem i sprytnem dorabianiem się na zakupnie dolarów czy nieruchomości w czasie inflacji pod grozą zepchnięcia w niziny niedostatku, wydać się musi chyba mocno wątpliwym.

Czy świat kapitalistyczny żąda naprawdę dziś jeszcze wolnej gry sił gospodarczych? I czy mógłby naprawdę żądać jej w czasię, gdy faktycznie rządzą kartele, syndykaty i trusty, oznaczając swobodnie ceny a niekiedy i płacę, przekształcając według swego uznania rynek? „Wolnej gry" żąda jedynie o tyle, aby państwo, normujące wszak ceny koniecznych środków żywności i biorące udział w drodze arbitrażu w normowaniu płac, wystrzegało się jednak oznaczania cen wyrobów fabrycznych, walut czy dewiz. Byłoby to bowiem skrajnym i szkodliwym etatyzmem. Oznaczanie cen chleba, mięsa, zwłaszcza zaś płac robotniczych takim etatyzmem nie jest. Kontrolę cen wykonuje kartel w interesie przedsiębiorców i to jest dobrze, ale wara państwu od kontrolowania cen w interesie publicznym, byłoby to gwałtem i nadużyciem.

Są i tu, jak we wszystkiem, dwie miary, któremi mierzy się zjawiska świata zewnętrznego. A raczej jest ukryta potęga, która fałszuje te miary: interes osobisty prawdziwych monarchów współczesnych, wielkorządców karteli i trustów.

Twierdzenie maltuzjanizmu i neomaltuzjanizmu o nadmiarze ludzi na kuli ziemskiej i żądanie wstrzemięźliwości płciowej ze strony tych, którzy mniejsze posiadają dochody albo używania sztucznych środków, zapobiegających rozrodczości, żądanie tak zgodne ze stanowiskiem kapitalizmu, okazało się w świetle badań naukowych pozbawionem wszelkiej podstawy faktycznej. Wedle badań Fawcetta i Pencka zmieściłoby się na kuli ziemskiej okrągło 9 mil-

jardów ludzi, gdy dziś mamy ich niespełna 2 miljardy. Na kuli ziemskiej znajdują się ogromne obszary, nadające się do zamieszkania i uprawy roli a zupełnie dotąd niezamieszkałe. Tam nawet, gdzie uprawa ta ma miejsce, daleką jest od wyzyskania sił przyrody, ulepszenia techniczne i sztuczne nawozy, stosuje się dziś jeszcze w minimalnych rozmiarach. W miarę postępu cywilizacji przyrost ludności jest o wiele powolniejszy niż dawniej, wzrosła ona bowiem wedle obliczeń Zierhoffera w ostatnich 50 latach zaledwie o 43% a natomiast produkcja pokarmów roślinnych o 70%, bawełny o 140%, rudy żelaznej o 330%, i nafty o 400%.

Nie może być jedyną drogą ku powszechnej pomyślności inicjatywa prywatna. Jeśli inicjatywa kojarzy szczęśliwie dążenie do własnego wzbogacenia się z interesem publicznym i tem samem nie wchodzi w kolizję z interesem współobywateli, należy uznać ją jako czynnik dodatni. Tam natomiast, gdzie społeczeństwo nie doszło jeszcze do pełnej dojrzałości i równowagi, gdzie istnieje, jak u nas, powszechna niechęć do szczerego i pełnego przyznania dochodów wobec władz skarbowych państwa, któremu z drugiej strony stawia się coraz wyższe wymagania, coraz rozleglejsze zakreśla się obowiązki, wychowanie społeczeństwa w tych kierunkach, oddziaływanie na nie w drodze celowej a przyjaznej kontroli jest nieodzowne.

Położenie klas ubogich jest dziś tak rozpaczliwe, jak nie było nigdy przedtem. Wysoki stopień oświaty powszechnej pogorszył jeszcze wielokrotnie, bo uświadomił proletarjatowi tę jego sytuację. Jeśli na kuli ziemskiej jest dziś około 25 miljonów rejestrowanych bezrobotnych, to znaczy, że jest na niej przeszło 100 miljonów ludzi, cierpiących skrajny niedostatek, licząc razem owych bezrobotnych i ich rodziny. A równocześnie produkcja wszelakich zbóż, bydła, bawełny, ryżu, trzciny cukrowej, żelaza, stali, bardzo znacznie przewyższa zapotrzebowanie. Gdyby owi nędzarze mieli fundusze na zakupno potrzebnych im towarów, nie zabrakłoby żywności ani odzieży dla nikogo. Cierpią więc niedostatek nie z powodu rzekomo szybszego rozmnażania się ludności, niż środków żywności, ale dlatego, że nie mają ani pieniędzy ani sposobności pracy.

Ustrój, który taką wywołał katastrofę, winien występować z o wiele mniejszym tupetem, niż to ma w istocie miejsce.

Jedynym sposobem wyjścia z tej sytuacji może być tylko teza, że celem gospodarstwa społecznego nie może być przysparzanie zysków p e w n y m tylko jednostkom, ale zaspokojenie potrzeb w s z y s t k i c h; gospodarstwo bowiem jest dlatego społecznem, bo jest dla społeczeństwa. Wszelkie pożycie gromadne ludzi istnieć może tylko na podkładzie e t y c z n y m. Kto nie uznaje etyki jako podstawy gromadnego życia ludzkości, neguje możność samego życia. Życie gospodarcze nie może wyłamać się z tej ogólnej zasady. I ono podlegać musi etyce. A jednak etykę, jako podstawę gospodarstwa społecznego, neguje nietylko prawowierny marxizm (*vide:* teorja materjalizmu dziejowego), ale i pozujący na „wolnomyślny" i faktycznie obojętny na postulat dobrego i złego wielki kapitał, którego rzecznicy odmawiają etyce prawa zabierania głosu w sprawach gospodarczych w imię zarówno suwerenności ekonomiki jak i wrzekomej niestałości i zmienności pojęć dobrego i złego.[1])

Wszelka zmiana stosunków wymagałaby atoli pewnego uszczerbku klas posiadających, a w szczególności dążenia do słusznych cen nietylko w dziedzinie przedmiotów pierwszej potrzeby i płac robotniczych, ale wogóle wyższego poziomu moralności podatkowej, pewnych ograniczeń prawa własności w interesie publicznego dobra, kontroli karteli i trustów przez państwo oraz tworzenia korporacyj zawodowych. Każdy z tych pomysłów byłby atoli, zdaniem obrońców kapitalizmu, naruszeniem zasad praworządności. A cokolwiek mogłoby się powiedzieć przeciw kapitalizmowi, należy mu jednak ich zdaniem przyznać, że stoi on na stanowisku nienaruszalności a nawet świętości własności prywatnej.

Czy tak jest w istocie? I jakiem prawem narzucają się na obrońców własności prywatnej ludzie, którzy jednocześnie zalecają niepłacenie długów państwom wierzycielskim? Czyliż własność prywatna Ameryki lub Francji, mających do żą-

[1]) Por. obszerne uzasadnienie w moim *Solidaryźmie*, str. 94—189.

dania miljardowe wartości, pierwsza od całej Europy, druga od mocarstw centralnych, nie zasługuje na taką samą ochronę jak własność wielkich przemysłów i wielkich banków?

A poza tem, co dzieje się faktycznie w stosunkach prawno-prywatnych w dziedzinie wielkiego kapitału i pod jego rządami? Wyjątek dziś stanowią firmy, płacące dywidendę, myślące nietylko o dyrektorach i członkach rad nadzorczych, ale także o małych akcjonarjuszach, robotnikach i konsumentach. W wielu wypadkach odbywa się w naszych oczach i odbywało w ostatnich latach 14-tu po wojnie światowej polowanie na cudzą własność, tak pełne krwawych walk, nikczemnych podstępów i oszustw, że niczego podobnego nie widziała żadna epoka przeszłości. Kto czytał dwutomowe dzieło Myersa o początku majątków amerykańskich a w Europie śledził głośne w prasie powojennej interesy wielkich bankierów, jak Oustrica czy Marty Hanau w Paryżu, Löwensteina w Belgji, Kutiskera, Barmatów, Bosla, Castiglioniego, Straussa, Goldschmidta, braci Petschków, braci Sklarków w Niemczech i Austrji, Ivara Kreugera w Szwecji oraz wielu innych, ten wie, że wszyscy oni wykonywali systematycznie i z niezwykłą maestrją szereg umiejętnych zamachów na cudzą własność. Grę na giełdzie można określić jako wyzyskanie wiadomości zdobytych przez jednych a zatajonych przed innymi, a więc jako korzystanie z błędu i niewiadomości partnera dla własnej korzyści. Na co wychodziła cała inflacja, jeśli nie na krzywdę jednych z korzyścią drugich? Przyniosła ona faktycznie duże straty skarbowi państwa, dając mu dochody w walucie zdeprecjonowanej atoli bez uszczuplenia obowiązku płacenia zagranicy rat dłużnych, płatnych w złocie, wzbogacając natomiast spekulantów i kupców, pobierających za wywożone towary równowartość w złocie a płacących za surowiec i pracę w kraju coraz mniej wartającym pieniądzem papierowym.

Inflację naprzód praktykowano w państwach zwyciężonych, potem zastosowano ją i w państwach sukcesyjnych, sprzymierzonych ze zwycięskiemi, które nie miały najmniejszej potrzeby inflacji, skoro powstały, jak Polska, niemal bez grosza długów. Ale inflacja leżała w interesie tych, którzy pragnęli nabywać za zdewaluowany pieniądz cudze

nieruchomości lub spłacać długi hipoteczne lub wekslowe drobnemi sumami, niszcząc tem samem wierzycieli. Do wyższych rzędów społeczeństwa wtargnęły zastępy nowobogackich. Zrujnowani natomiast, których jedyną winą było zaufanie do „kombinatorów" inflacyjnych, zepchnięci zostali w odmęty proletarjatu. Czy i ten zamach na cudzą własność dowodzi szacunku pewnego odłamu — oczywiście nie całego — wielkiego kapitału dla idei własności prywatnej?

Można twierdzić, że spekulacja jest teoretycznie równie uprawnionym czynnikiem tworzenia bogactwa, jak oszczędność i praca. Jest to kwestja zapatrywania. Ale nie wolno mówić, jakoby źródłem bogactwa nie mogło być nic innego, tylko praca i oszczędność; nie wolno zmyślać dla usprawiedliwienia początku własnych miljonów fałszywej tarczy herbowej, skoro głównem źródłem miljonowych majątków, zdobytych przez ruchomy kapitał, bywa o wiele częściej pomyślna konjunktura, aniżeli praca i oszczędność.

Kto widział orgje nieprawości, jakie działy się w dziedzinie spekulacji w całej Europie powojennej, nabrać musiał najgłębszego dla spekulacji owej wstrętu. Powstała olbrzymia moc spółek przemysłowych i bankowych. Ogół nieświadomy rzeczy zaklinano w imię najświętszych haseł patrjotycznych, by dopomagał kupowaniem akcyj do powstania rodzimego przemysłu, następnie zaś wyznaczano olbrzymie pensje dyrektorom i niesłychane tantjemy członkom rad nadzorczych, poczem przeszacowano w górę majątki spółek, aby uzasadnić wydawanie nowych emisyj akcyj, obiecując obrócić gotówkę, w ten sposób uzyskaną, na nowe inwestycje.

Program ten jednak wykonywano niezawsze i niezupełnie. Akcjonarjusze nie otrzymywali dywidend, zyski ukrywano w bilansie w najrozmaitszy sposób, aby tylko nie płacić od nich podatków, a gdy państwo chciało wglądnąć w te ciemne sprawy, podnoszono protesty, posługując się popularnemi hasłami popierania inicjatywy prywatnej, walki z etatyzmem i t. p. Rozpowszechnione w całej Europie defraudacje cłowe, fałszywe fasje podatkowe, usprawiedliwiano przesadnym indywidualizmem, oburzającym się niby na kontrolę państwową, szykanami ze strony władz skarbowych,

krzywdzącemi ustawami podatkowemi. Co państwo robiło dla sąsiada z przeciwka, nazwano pochopnie początkiem bolszewizmu, — czego żądano dla siebie — zawsze pod warunkiem braku jakiejkolwiek kontroli — określano jako należny sposób popierania kapitału prywatnego, którego stan pomyślny, a nie pomyślność ogółu obywateli, przedstawiano jako warunek rozwoju całego społeczeństwa. A na każdą krytykę odpowiadano, że trąci sympatjami dla porządków sowieckich.

Powstała w ten sposób w społeczeństwach, wprowadzanych w błąd i samym wyrazem „liberalizm" i okazywaną przezeń sympatją dla parlamentaryzmu anonimowa potęga, nieodpowiedzialna przed nikim, unikająca jakiejkolwiek kontroli: absolutne rządy międzynarodowych karteli i trustów, mające na swe usługi duży zastęp parlamentarzystów i uczonych, a prześladujące, spotwarzające lub przemilczające bez pardonu wszystkich, choćby najzasłużeńszych, którzy śmieli domagać się nad niemi choćby cienia kontroli. Stwierdził to niedawno Benito Mussolini [1]) i rzecz szczególna, ci sami, którzy użalają się na dyktatury i kryptodyktatury europejskie, znoszą równie pogodnie jak bezmyślnie niekontrolowaną przez nikogo dyktaturę plutokracji!

Musiała więc wystąpić w tej sytuacji krytyka kapitalizmu, nie utożsamiająca się jednak bynajmniej z marxizmem ani z bolszewizmem, owszem potępiająca te kierunki bezwzględnie i wykazująca ich fałszywy a zgodny w tym względzie z liberalizmem punkt wyjścia: wiarę w jedynie zbawczy interes osobisty. Kierunkiem nowym był solidaryzm. Wówczas zaczęto zapytywać o szczegóły i oświadczono, podobnie jak ów systematyk niemiecki, który wzbraniał się wejść do wody, póki nie nauczy się pływać. Innemi słowy postanowiono zażądać od reprezentantów solidaryzmu i kierunków pokrewnych opracowania we wszystkich szczegółach planów przyszłego gospodarstwa społecznego, by w ten sposób przenieść teren dyskusji z krytyki kapitalizmu na krytykę nowych pomysłów. Życie jednak nie czeka i zanim ten program zostanie w sposób zadawalniający wielki kapitał opra-

[1]) Por. *Ilustr. Kur. Codz.* z 20 VI 1932, nr. 169.

cowany we wszystkich szczegółach, może nastąpić potop. Pływać bowiem nauczyć się można tylko w wodzie.

Solidaryzm widzi w społeczeństwie nie ogół gospodarstw indywidualnych, pozostających ze sobą w stosunkach tylko gwoli dobru każdego zosobna, ale żywy organizm, w którym każdy nasz czyn, każde zaniechanie oddziaływa na innych i wywołuje nieodzowną z ich strony reakcję, a tem samem podkreśla współzależność wszystkich ludzi od siebie, wobec czego domaga się takiego postępowania wobec innych członków społeczeństwa, któreby o tej prawdzie ani na chwilę nie zapomniało.[1])

Podczas gdy liberalizm zaleca, by każdy dbał tylko o dobro własne, a „całość sama się złoży", solidaryzm podkreśla dobro publiczne jako cel zasadniczy, obowiązujący choćby z uszczerbkiem własnym każdego członka społeczeństwa.

Gdy liberalizm woła: miejsca dla silnych, nie ma na myśli najdzielniejszych fizycznie czy duchowo, ale najsprytniejszych i najprzebieglejszych w gonitwie za zyskiem. Solidaryzm natomiast twierdzi, że każdy człowiek ma prawo do minimum egzystencji i że tem samem należy mu się opieka ze strony władz państwowych, w razie, gdyby groził mu wyzysk lub krzywda — tem samem zaś przeciwdziała i zapobiega zupełnemu rozstrojowi i zagładzie cywilizacji.

W miejsce ujarzmienia pracy przez kapitał, będącego cechą liberalizmu gospodarczego, w miejsce ciągłego współzawodnictwa i nieustannej walki wszystkich przeciw wszystkim, solidaryzm proklamuje współdziałanie, widząc w niem najlepszą gwarancję pomyślnego rozwoju społeczeństw.

Jedyne prawo ekonomiczne, które uznaje i głosi solidaryzm, to prawo zwiększającego się dochodu w miarę przestrzegania jego zasad, prawo, które działa zawsze, we wszystkich okolicznościach i we wszystkich gałęziach produkcji.

Zarówno liberalizm jak i marxizm prześlizgują się po powierzchni życia, poczytując pobudki gospodarcze za pod-

---

[1]) Caro, *Solidaryzm*, str. 6.

stawowe w życiu społeczeństw a wszystkie inne: duchowe i moralne li za „nadbudowę". Z tego założenia błędnego i ciasnego płyną ich wszystkie niepowodzenia. Droga solidaryzmu natomiast umożliwia zapłodnienie ekonomiki nowemi myślami i stwarza możność wielkich rezultatów.

Solidaryzm sięga wgłąb duszy ludzkiej, traktuje ekonomikę jako naukę opartą na etyce, rozumie, że człowiek myślący, działający i gospodarujący nie dadzą się od siebie odłączyć, i że każdy człowiek, uznający samoistny i wyższy cel życia, działa i gospodaruje zarazem z tych wyższych pobudek, w których tkwi rękojmia spełnienia się posłannictwa całej ludzkości.[1])

Kto twierdzi, że ekonomika społeczna winna poprzestawać na konstatowaniu koniecznych związków i następstw zjawisk a nie wydawać sądów o tem, co być powinno, nie wytykać żadnych celów ani programów, ten nie zdaje sobie z tego sprawy, że gospodarstwo społeczne jest tylko jednym z objawów życia społeczeństwa, które bez etyki zupełnieby się rozprzęgło.

Indywidualizm przesadny, niedbający o społeczeństwo, doprowadzić musi do anarchji. Narody, które cechował w przeszłości przerost indywidualizmu, muszą go ująć w karby i poddać dobru całości, w przeciwnym bowiem razie naraziłyby się bądź na utratę niezawisłości, bądź też na objęcie rządów przez proletarjat, nie mający tradycji rozkazodawstwa ani nieodzownej jego cechy — umiaru.

Wszelki postęp pochodzi od indywiduum. Fakt ten wyzyskał dla siebie kapitalizm międzynarodowy, twierdząc bezzasadnie: „wszystko przez jednostkę a więc i wszystko dla jednostki". Kolektywizm widzi jaskrawą krzywdę wyrządzoną tą drogą ogółowi i pragnąc osiągnąć rezultat, dla niego z pewnością pożądany, głosi równie błędny i jednostronny punkt wyjścia, wypisując na sztandarze swym zasadę: „wszystko przez masę i wszystko dla masy".[2])

Otóż pytam, czy nie dałoby się usunąć jednostronności zarówno kapitalizmu jak i kolektywizmu, głosząc godniejsze

---

[1]) Caro, *Solidaryzm* str. 10.
[2]) Caro, *Solidaryzm* str. 13.

z rzeczywistym stanem rzeczy hasło: „wszystko przez jednostki wybrane i wszystko dla ogółu"? Wszystko przez jednostkę, przez dziejowy jej wysiłek, wyprzedzający wszelki zbiorowy, zorganizowany czyn i wszystko dla dobra publicznego w celu zabezpieczenia warunków najwyższego rozwoju jednostek.

W epoce, w której związek między ludźmi stał się — wedle wyrażenia Carlyle'a — związkiem czysto gotówkowym, pragniemy z trzech haseł wielkiej rewolucji francuskiej: wolności, równości i braterstwa, urzeczywistnić ostatnie jedyne prawdziwe, a jednak dotąd pomiatane i zepchnięte w ciemny kąt: hasło braterstwa.

Naukę solidarności głosi praktycznie w pierwszym rzędzie spółdzielczość, a apostołami i szerzycielami jej winni być przedewszystkiem członkowie warstw wykształconych, t. j. ci z pośród wszystkich warstw społeczeństwa pochodzący obywatele, którym należą się rządy nie z tytułu ich liczby albo bogactwa, ale z tytułu wiedzy i którym bądź nie wystarczały zasługi przodków, bądź którzy własnym wysiłkiem wśród najcięższych warunków wydostali się z ostatnich do przednich szeregów. Jedni i drudzy, ożywieni solidarnością narodową, zapatrzeni w gwiazdę przewodnią dobra publicznego, i dlatego w pierwszym rzędzie powołani są do torowania drogi wielkiej idei solidaryzmu.

Spółdzielczość tam, gdzie weszła w krew i mózg społeczeństwa, nietylko podniosła zamożność powszechną na nieznane gdzieindziej wyżyny, ona wprost zmieniła jego fizjognomję, wysubtelniła i rozszerzyła jego duszę. Gdy osłabło echo wskazań Chrystusowych, gdy spowszedniały ataki klasowe socjalizmu, potężny głos spółdzielczości zwrócił się do godziwego interesu całego ogółu wychowanych w poglądach liberalizmu gospodarczego obywateli i dzięki temu mimo zobojętnienia sceptycznej ludzkości dla szczytnych ideałów, mimo przyziemnego i krótkowidzącego samolubstwa doprowadzić musi zgnębione społeczeństwo poprzez przepaści chronicznych przesileń i klęsk ustawicznych ku nieprzewidzianej zgoła pomyślności. Organizacji karteli spółdzielczość przeciwstawia zagranicą a przedewszystkiem w Wielkiej Brytanji międzynarodową wspólną organizację

zakupu i rozdziału towarów, jakoteż pogłębienie związków między spółdzielniami w różnych państwach, posługując się nowoczesnemi metodami produkcji i zbytu w interesie ogółu tak samo, jak to czynią przedsiębiorstwa kapitalistyczne w interesie jednostki, dążącej do zysku.

W ten sposób spółdzielczość wyzwala państwo z zależności od wielkich trustów międzynarodowych, a poszczególnych konsumentów chroni przed monopolicznemi cenami, dyktowanemi przez kartele. W szczególności spółdzielczość tam, gdzie doszła do pełnego rozkwitu, usuwa sprzeczność interesów między konsumentami a producentami rolnymi, zbliżając do siebie spółdzielnie rolnicze i spożywcze, przysparzając tem samem jednym i drugim w drodze usuwania zbędnego pośrednictwa, uniezależnienia ich od banków kapitalistycznych oraz obniżenia kosztów administracyjnych olbrzymie korzyści.

Łańcuch spółdzielczości opasał dziś całą kulę ziemską. W 40 państwach posiadała ona do sierpnia 1930 r. przeszło 55,000.000 członków, zorganizowanych w 104 związkach narodowych, a w 100.000 towarzystwach. W 33 państwach wychodziło w roku 1930 około 1.000 czasopism spółdzielczych o łącznej liczbie 8,750.000 abonentów czyli o co najmniej 10-ciokrotnej liczbie czytelników, stanowiących uświadomioną elitę społeczną, siewców lepszej przyszłości. Elita ta wstrząsa dziś zmurszałą skutkiem szeregu katastrof budową ustroju wielkokapitalistycznego, stawiając pozytywny program działania i wskazując, co należy czynić. Przemiana ustroju staje się w ten sposób nie skokiem w ciemność, ale ewolucyjnem i pokojowem przekształceniem.

Nikt rozważny nie zaleca ani uchylenia własności prywatnej ani zniesienia pieniądza, opartego na kruszcu. Bez pierwszej rychło znikłby dorobek cywilizacyjny ludzkości, bez drugiego w miejsce niezupełnie stałego miernika wartości otrzymalibyśmy zapewne miernik jeszcze o wiele chwiejniejszy i mniej pewny. Ale słuszniejszem jest i mamy prawo się domagać, aby kapitał ruchomy, który dziś jest właściwym panem całej kuli ziemskiej, poddającym interes publiczny własnej komendzie, stał się w zespole, ożywionym ideałami solidarystycznemi, jego sługą, a pieniądz, który

był dotąd celem życia miljonów, poprzestał na roli środka umożliwiającego pomyślny rozwój społeczeństw jak i zaspokojenie potrzeb jednostek. Jak trafnie powiedział C. H. Burmell, przewodniczący spółdzielczego poolu pszenicznego w Manitobie, dnia 5 czerwca 1928 r.: „Dalecy jesteśmy od tego, by wydrzeć innym to, co do nich prawnie należy. Pragniemy jedynie sprawiedliwszego niż dotąd rozdziału dóbr doczesnych".

Prof. Dr. Leopold Caro.

O życie nienarodzonych.

Wskazania lekarskie.

Z zabijaniem życia, kiełkującego dopiero w łonie matki, spotykamy się już w zamierzchłej starożytności. Musiało ono już wtedy być gdzieniegdzie zjawiskiem częstszem, kiedy szereg postanowień prawnych o niem zastajemy w babilońskim kodeksie Hammurabi'ego (około 2.100 prz. Chr.), a słynny lekarz grecki Hippokrates (od połowy 5 do połowy 4 wieku prz. Chr.) przestrzegał kobiety przed temi praktykami, ze względu na towarzyszące im niebezpieczeństwo dla ich zdrowia i życia. Z Grecji przeniesiono owe praktyki do Rzymu, gdzie za czasów cesarstwa przyjęły się we wszystkich warstwach społeczeństwa, tak że mówiono o nich na ulicy i w teatrze jako o rzeczy zwyczajnej; a chociaż później wprowadzono surowe kary przeciw poronieniom sztucznym, sądy naogół kar tych nie stosowały, gdyż nadużycia działy się wszędzie, nie wyjmując pałaców cesarskich. Dopiero chrześcijaństwo stanęło bezwzględnie w obronie życia dziecka, choć wieki upłynęły, zanim wpływ jego zdołał objąć szersze sfery i przeniknąć do prawodawstwa.

W ostatnich czasach cofnięto się znacznie wstecz. Już nie wśród ludów dzikich (zwłaszcza niektórych szczepów murzyńskich), ale wśród wszystkich narodów cywilizowanych liczba poronień sztucznych rośnie ciągle. Jaka jest dziś rzeczywista ich liczba, tego nikt nie zdoła stwierdzić. Statystyki, podawane przez poszczególne kliniki i instytucje lecznicze, uważane są za bezwartościowe, gdyż dotyczą tylko bardzo ograniczonej liczby wypadków ciężkich i powikłanych; ogromnie przeważająca ich część nie dochodzi do wiadomości kompetentnych czynników, ponieważ kobiety

starają się utrzymać je możliwie w ukryciu. W każdym razie ogół fachowców zgadza się, że wzrost liczby poronień sztucznych jest olbrzymi, niektórzy mówią o „straszliwie obecnie grasującej ich epidemji". Że w tych słowach niema żadnej przesady, świadczą te przypuszczalne obliczenia statystyczne, jakie drogą porównawczą porobiono na podstawie danych, zebranych w poszczególnych środowiskach. Przypatrzmy się tym z pośród nich, które są dziś ogólnie przyjmowane w świecie naukowym.

Są one rzeczywiście przerażające. Liczba sztucznych poronień przybrała nieznane dawniej rozmiary, tak że Hans Harmsen na ich widok woła: „Nazwano nasz wiek XX-y dumnie „wiekiem dziecka", a tymczasem już dziś musimy powiedzieć, że stoi on, bardziej niż którykolwiek inny, pod znakiem dzieciobójstwa".[1]) W Niemczech przyjmuje się, że przeciętnie 500.000 dzieci ginie rok rocznie nie ujrzawszy światła dziennego,[2]) przyczem procentowo największa liczba wypadków przypada na wielkie miasta. We Francji, mimo surowych jej praw i wysiłków polityki ludnościowej, stosunki panują takie same. Liczbę poronień sztucznych oceniają tam również na pół miljona rocznie (Lacassagne, Bertillon), a inni znacznie wyżej; w samym Paryżu ma ich być 80—100.000 rocznie, a w Lyonie, podług dra Lacassagne, przewyższyły liczbę urodzeń. Cyfry powyższe nabierają tem wyrazistszego znaczenia, kiedy uwzględnimy, że ogólna liczba urodzeń żywych wynosiła w Niemczech w r. 1928 około 1.183 tys., a we Francji w r. 1930 niecałe 749 tys. W Stanach Zjedn. Am. Pn., gdzie zabieg ten należy do szczególnie częstych i reklamowanych, obliczają liczbę poronień do $2^1/_2$ miljona rocznie. O Rosji Sow. nie wspominamy narazie, ponieważ zajmiemy się nią później osobno.

A jak przedstawia się sprawa u nas w Polsce? —

[1]) Hans Harmsen: Geburtenregelung. Das europäische Bevölkerungsproblem. *Volk und Reich. Politische Monatshefte.* R. 1928 zesz. 1 str. 7.

[2]) Szczegółowiej: 400—600.000; tak Bumm, Lennhof, Vollmann, Muckermann, Walthard i in.; niektórzy podnoszą tę cyfrę do 800.000 (J. Wolf, Clément), inni nawet do miljona (Liepman, Heinemann) poronień wogóle, w czem 90—95% sztucznych, choć wielu uważa to za przesadę.

Zdaje się, że niewiele lepiej. Już przed kilku laty dr. Kazimierz Bocheński, opierając się na materjale statystycznym kliniki położniczej lwowskiej, przestrzegał, że kiedy cyfra urodzeń u nas maleje, to „niestosunkowo duża liczba poronień stale i szybko wzrasta" w sposób zastraszający i każący obawiać się smutnych następstw dla kraju.[1]) O bardziej szczegółowe cyfry jednak trudno. Skąpe dane, jakiemi rozporządzają nasze kliniki, oraz stosunkowo małe zainteresowanie, jakie ze strony świata lekarskiego poświęcano dotychczas tej sprawie, nie pozwalają nam wyrobić sobie dokładniejszego pojęcia o właściwym stanie rzeczy. Dr. H. Kłuszyński w swej broszurze „Regulacja urodzeń" (Warszawa 1932, str. 20—21) pisze, że podług sporządzonego przez niego zestawienia było w naszych Kasach Chorych w r. 1928 — 22.071 poronień; sądzi więc, że jeśli się tę cyfrę weźmie za podstawę obliczeń, należałoby przypuścić w całej Polsce w tym okresie 100—130.000 poronień.

Przedłożona powyżej statystyka, zaczerpnięta z paru wysoko kulturalnie stojących krajów, jest rzeczywiście ponurem świadectwem dla nich i dla naszych czasów, smutniejszem może niż obficie dziś rejestrowane statystyki wypadków kryminalnych. Te miljony niewinnych istot, którym rok w rok przedwcześnie przecina się życie, to prawdziwa tragedja — przyznają to i obrońcy niekaralności przerywania ciąży — czarna plama na naszej cywilizacji! Ani wojna światowa nie pochłaniała rocznie tyle ofiar, nie mówiąc już o tem, że ogółowi prawie tychże przyświecał jakiś ideał, a poległym towarzyszyła chwała — gdy tu o jednem ani o drugiem mowy niema. Dodajmy wreszcie, że bilans powyższy nie wyczerpuje całej grozy nieszczęścia. Jak słusznie zwraca uwagę dr. Bocheński, podaje on tylko stronę ilościową i to jeszcze najprawdopodobniej poniżej rzeczywistego stanu rzeczy, a nie daje wyobrażenia o jakościowej szkodzie, jaką ponosi stąd społeczeństwo. Nie mówi: ile kobiet ginie, jakie mnóstwo ich cierpi, kaleczeje i nabywa różnych przewlekłych chorób z tego powodu.

[1]) *Zdrowie*, organ warszawskiego Tstwa Higjenicznego; r. 1924 zesz. 3—4 str. 56; ten sam temat poruszał autor przedtem w czasop. *Ginekologja Polska*, Warszawa r. 1922 zesz. 2.

A jednak, rzecz zastanawiająca, ani owa grozę budząca tragedja młodych istnień, ani lęk o własne zdrowie i życie, ani obawa cierpienia czy sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, nie są w stanie odstraszyć tych tysięcy i tysięcy kobiet, owszem liczba poddających się zabiegom rośnie ciągle. Zachodzą tu widocznie jakieś głębsze przyczyny, które potrafią tak potężnie wpłynąć na psychikę kobiety, że w danej chwili zapomina o wszystkiem i nawet potężny instynkt macierzyński nie zdoła jej powstrzymać od zamordowania najbliższej sobie istoty. Owszem, co niemniej dziwne, w czynie tym znajduje wspólników nietylko wśród jednostek zbrodniczych, gotowych dla zysku na wszystko, ale także u ludzi nauki i kierujących się poczuciem odpowiedzialności, wielu lekarzy i prawników.

Stoimy więc przed zagadnieniem poważnem, które, choć teoretycznie rozstrzygnięte, okazuje się jednak w praktyce życiowej niezmiernie trudnem i stąd tak często niepomyślnie bywa rozwiązywanem. Przyczyny tego są różnorodne i skomplikowane. Które zaś z nich działają najsilniej, trudno powiedzieć, gdyż pomiędzy fachowcami niema co do tego zgody. Podług jednych (u nas dr. Wiktor Grzywo-Dąbrowski) główną przyczyną obecnego wzrostu sztucznych poronień są czynniki społeczne i gospodarcze: niezamożność rodziny, obarczonej już pewną liczbą dzieci i nie chcącej mieć więcej; ciasnota mieszkaniowa; praca zawodowa kobiety, zwłaszcza w przemyśle i handlu, oraz obawa utracenia posady w razie posiadania dziecka; chęć utrzymania wyższej stopy życiowej i zapewnienia jej dzieciom — wszystkie te i pokrewne przyczyny wiodą do ograniczenia liczby dzieci, a niekiedy i zupełnego ich unikania. W tym celu stosuje się środki zapobiegawcze, a gdy te zawiodą, ucieka do przerwania ciąży.

Czynniki psychologiczne działają również często, zwłaszcza lęk przed cierpieniem lub możliwemi komplikacjami przy porodzie; niestety tu winę ponoszą nietylko znajome, ale i ci lekarze, którzy przesadnie malują te możliwości i stosują „wskazania". Dzisiejszy postęp techniki operacyjnej, łatwość i względnie duże bezpieczeństwo zabiegu, przyczyniły się także u bardzo wielu kobiet do poddawania się

mu; niektórzy (dr. A. Grotjahn, prof. Paul Bureau) zaliczają je do głównych przyczyn dzisiejszego wzrostu poronień. Za decydującą również jego przyczynę uważa liczny zastęp lekarzy (u nas prof. Adam Czyżewicz), prawników i socjologów obniżenie pojęć etycznych, zwłaszcza w dziedzinie płciowej, i religijnych,[1]) rozpowszechnienie się poglądów materjalistycznych i chęć użycia, wraz z budzącą się na tem tle „niechęcią do dziecka". Przedtem poziom obyczajowy oraz poszanowanie dla matki były wyższe, przynajmniej nazewnątrz, opinja publiczna reagowała silniej na te rzeczy; dziś sytuacja zmieniła się znacznie na gorsze, tem bardziej że kobieta widzi, iż lekarze, prawnicy i inne wpływowe osoby ujmują się jawnie za jej niekaralnością, owszem swobodą w tym względzie. Osobno dodać wypada, że pewna liczba poronień sztucznych rodzi się na tle prawnej i społecznej sytuacji matki nieślubnej.

Z powyższego pobieżnego przeglądu przyczyn widzimy więc, że sprawa zabijania życia w łonie matki, tak aktualna dziś w krajach cywilizowanych, nie jest zjawiskiem odosobnionem, lecz wiąże się z szeregiem innych zagadnień natury moralnej i religijnej, społecznej i gospodarczej, zdrowotnej i ludnościowej; w nich znajduje częściowo swe źródło lub przynajmniej silny impuls, i na nie drogą reakcji oddziaływa. Przedstawiciele różnych gałęzi wiedzy mają tu więc prawo głosu, jakkolwiek zasadnicza dyskusja odbywa się dziś najczęściej w świecie lekarskim i prawniczym, jako teoretycznie i czynnie w tej materji najbardziej interesowanym. Przebiegiem i dotychczasowemi jej wynikami pragniemy właśnie zająć się w niniejszym artykule, pozostawiając na boku religijno-kościelną stronę zagadnienia, oświetloną już przed dwoma laty na łamach naszego pisma przez prof. Uniwersytetu Jag., ks. Dra Władysława Wichra.[2])

[1]) Nawet socjalista, dr. Alfred Grotjahn, wśród paru „głównych przyczyn" wymienia na pierwszem miejscu „coraz mniejsze krępowanie się przepisami kościelnemi". Higjena ludzkiego rozrodu. Warszawa 1930, str. 275.

[2]) Por. *Przegląd Powszechny*, wrzesień 1930 r., str. 261. — Por. nadto: Ks. Dr. Antoni Szymański: Ograniczanie urodzin i karalność przerywania ciąży. Lublin 1930, Bibljoteka *Prądu*. Ks. Dr. Zygmunt Kozubski: Problem potomstwa. Warszawa 1930.

Wyjaśnienie rzeczowe tej sprawy staje się dziś palącą koniecznością wobec nieprzebierającej w metodach i obliczonej na nieuświadomione masy agitacji za niekaralnością, a właściwie za swobodą przerywania ciąży, jaką prowadzi się dziś u nas w Polsce. Rozpoczęta przed kilku laty przez grono lekarzy i społeczników wśród kobiet - socjalistek PPS, została następnie wprowadzona na forum publiczne przez Tadeusza Boy - Żeleńskiego.[1]) Kampanja ich jest zresztą echem tego, co dzieje się w innych krajach Europy, gdzieniegdzie, jak naprz. w Niemczech, (głośny „Fall Wolf" w r. 1930), w namiętny nawet sposób.

Ta właśnie propaganda, idąca wpoprzek interesom ludzkości i przyczyniająca się do spotęgowania trapiących ją nieszczęść, stała się powodem, że i strona przeciwna ujrzała się zmuszoną do wyjścia z dotychczasowej rezerwy, jaką dyktowała sama natura zagadnienia. Zarówno na tem polu, jak i w wielu innych drażliwych sprawach minęła już, a w każdym razie uległa grubej modyfikacji, epoka „rzeczy, o których się nie mówi". Konieczność ratowania osób, niedostatecznie uświadomionych, zwłaszcza młodzieży, zmusza dziś do przedkładania im tych rzeczy w zdrowem oświetleniu i do publicznego piętnowania rozsiewanych błędów. Milczeniem nie rozwiąże się tych zagadnień — mówił we wstępie do swego obszernego odczytu o poronieniach dr. J. Combes, na VIII Kongresie Narodowym francuskiego *L'Association du Mariage Chrétien,* odbytego w Marsylji w 1930 roku.

Z wyżyn Stolicy Piotrowej idzie zresztą podobna wskazówka. Papież Pius XI w swej Encyklice *Casti connubii* o małżeństwie chrześcijańskiem, porusza stosunkowo obszernie i dokładnie różne drażliwe zagadnienia, a między niemi także sprawę zamachu na życie dziecka w łonie matki i każe biskupom i kapłanom pouczać wiernych „słowem i pismem"

---

[2]) Głównie w feljetonach, ogłaszanych w r. 1929 w warszawskim *Kurjerze Czerwonym* i przedrukowanych potem w broszurze „Piekło kobiet" (Warszawa 1930); poza tem do dziś dnia, dziwnym trafem, w *Wiadomościach Literackich.*

i „w każdy godziwy sposób błędom przeciwstawiać prawdę".[1]) A prawie dziesięć lat przedtem nasi Najprz. Księża Biskupi w zbiorowym *Liście pasterskim o małżeństwie* z dn. 20 października 1921 r., poruszyli również tę sprawę. „Wolelibyśmy — pisali — nie mówić o tem... Mimo wszystko dotknąć rany tej musimy, bo wiemy, że zło nie jest u nas już tylko czemś wyjątkowem, ale że jak rak zapuściło swoje zatrute korzenie także w zdrowe jeszcze do niedawna warstwy ludowe".

Jakie stanowisko zajmuje w tej sprawie świat lekarski? — Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, musimy naprzód sprecyzować ściśle samo zagadnienie i wyjaśnić niektóre podstawowe pojęcia.

Jeżeli płód, rozwijający się dopiero w łonie matki, zostanie z niego usunięty, chociaż jeszcze nie jest zdolny do samodzielnego życia, wtedy mówimy o poronieniu. Musi więc ono zajść przed 28-ym tygodniem ciąży, po tym bowiem okresie dziecko, choć przedwcześnie przyjdzie na świat, może jednak przy troskliwej opiece utrzymać się przy życiu i dlatego mówimy wówczas o porodzie przyśpieszonym.[2]) Poronienie nastąpić może albo samo z siebie, jako następstwo stanów chorobowych lub wypadku, i wtedy jest samodzielnem, patologicznem — albo też zostało spowodowane świadomie i celowo, a wówczas nazywa się poronieniem sztucznem, które znowu może być dwojakie: albo zostało wykonane przez lekarza i na podstawie t. zw. wskazań lekarskich i wtedy nazywamy je „przerwaniem ciąży"; albo zostało wywołane przez kogokolwiek bez tychże wskazań i wówczas nosi miano „spędzenia płodu" lub poronienia zbrodniczego.

Otóż przedmiotu spornego nie stanowią poronienia samodzielne, patologiczne, gdyż są tylko nieszczęśliwym wypadkiem, w którym lekarz interwenjuje w celu ratowania

[1]) Por. polskie tłumaczenie Enc. *Casti connubii*, Kraków, wyd. Ks. Jezuitów, str. 35—37, 61—62.

[2]) O ile chodzi o prawo, granice tego okresu wahają się pomiędzy skończonym 6-ym miesiącem ciąży (tak wyznacza je prawo francuskie i włoskie) a skończonym 7-ym miesiącem (prawo angielskie i niemieckie).

matki. Nie jest nim również spędzenie płodu, ponieważ lekarze potępiają je jednomyślnie bez względu na to, czy zostało dokonane przez matkę, czy lekarza, czy osoby postronne. Nie podlega wreszcie dyskusji z niczyjej strony wypadek stwierdzonego z całą pewnością obumarcia płodu w łonie matki,[1]) oczywistem jest bowiem, że lekarz ma wtedy obowiązek usunąć go jak najprędzej. Trudność — mówimy teraz wyłącznie ze stanowiska medycyny, a nie etyki ani prawa — rozpoczyna się dopiero przy właściwem przerwaniu ciąży i streszcza się w następującem pytaniu: jeżeli podług zasad wiedzy lekarskiej, w razie dalszego trwania ciąży lub w razie porodu grozi matce niezawodnie śmierć albo ciężka szkoda na zdrowiu, czy wtedy — czyli w wypadku t. zw. „wskazań lekarskich" — wolno poświęcić płód dla ocalenia życia, względnie zdrowia matki i przerwać jej ciążę?

Na pytanie powyższe ogromna większość lekarzy odpowiada dziś twierdząco; różnią się tylko między sobą w pewnych szczegółach, w stopniu pewności, w bliższem określeniu wskazań i warunków. „Wskazania lekarskie" są dla nich decydujące, sądzą, że byle trzymali się ich ściśle, zadośćczynią wymogom wiedzy i etyki. Kiedy w r. 1927 Warszawskie Towarzystwo Ginekologiczne poświęciło kilka specjalnych posiedzeń tym zagadnieniom i oświadczyło się za uznaniem znacznej liczby wskazań lekarskich do przerywania ciąży, które następnie ogłosiło drukiem — to prezes Tstwa w słowie wstępnem podkreślił, że ten spis wskazówek „jest konieczny dla tych najlepszych (lekarzy), co chcą być spokojni w swem sumieniu".[2])

Nie trzeba jednak sądzić, że jakiekolwiek wytyczne do przerywania ciąży są czemś niewzruszonem. Pomijając bowiem dużą rozbieżność zdań, jaka w tej materji panuje wśród lekarzy, ulegają one ciągłym zmianom z postępem medycyny, co pewien czas usuwa się jedne, a wprowadza lub modyfikuje drugie. Sprawdziło się to i na wspomnia-

[1]) O ile śmierć jego nie nastąpiła wskutek zabiegu, świadomie i umyślnie w tym celu skierowanego; wówczas bowiem mamy do czynienia z wypadkiem spędzenia płodu względnie przerwania ciąży.

[2]) *Ginekologja Polska*, r. 1927 zesz. 10—12 str. 1104.

nych powyżej wnioskach Warsz. Tstwa Ginekologicznego, które już w parę lat później poddano w niektórych punktach rewizji i które przez inne polskie Tstwa Ginekologiczne wogóle nie zostały potwierdzone.

Przemiany, jakie dokonywują się w zakresie wskazań lekarskich — chociaż ulegają różnym wahaniom i mają czasem charakter lokalny — nie są jednak chaotyczne. Opierają się na doświadczeniu i rzetelnej pracy, a kieruje niemi ta sama przewodnia myśl, która zawsze i wszędzie każe lekarzowi ratować i leczyć, a nie zabijać i szkodzić. Że zaś te dążenia nie są bezowocne, dowodzi najlepiej fakt, że obecna linja rozwoju zmierza wyraźnie ku coraz większemu ograniczeniu liczby wskazań, a w dalszej perspektywie, zdaniem najwybitniejszych lekarzy, ku całkowitemu ich wyrugowaniu.

Na czem opierają się te dążenia?

Przedewszystkiem — wbrew niedawnym, a w popularnej agitacyjnej i pseudonaukowej literaturze do dziś dnia pokutującym poglądom — na stwierdzeniu, że sztuczne przerywanie ciąży jest z a b i e g i e m z a w s z e s z k o d l i w y m. A więc nietylko spędzanie płodu, które fatalnie odbija się na zdrowiu i życiu kobiet (obok wielkiej liczby poważnych zachorzeń i stosunkowo częstej bezpłodności, wysoki odsetek śmiertelności), ale także zabiegi wykonane przez lekarzy fachowców z uwzględnieniem wskazań lekarskich i zachowaniem wszelkich przepisów ostrożności. Najwybitniejsi przedstawiciele świata lekarskiego, u nas i zagranicą, są pod tym względem zgodni.[1]) Stąd, jakkolwiek przerywanie ciąży praktykuje się jeszcze dość szeroko, nie nosi ono charakteru zabiegu leczniczego, tylko środka ratunku i to nie przez wszystkich uznanego. O ile bowiem poród prawidłowy uważać należy za fakt fizjologiczny — powiada prof. dr. Adam Czyżewicz (Warszawa), o tyle „każde poronienie, samoistne czy sztuczne, jest zawsze chorobą, która nierzadko może mieć poważne następstwa, daleko sięgające

[1]) Jeżeli w dalszym ciągu artykułu przytaczamy głównie zdania polskich lekarzy, czynimy to celowo dla zapoznania Czytelników z poglądami naszego świata lekarskiego i dla wykazania, że nie stoimy pod tym względem poza innemi krajami Zachodu.

i niedające się przewidzieć"; i nawet jeśli zostało dokonane przez specjalistę lekarza, „pozostawia głębokie ślady w organiźmie kobiety". [1])

Następstwa te, które można zawsze przewidywać, ale przed któremi nie zdoła nieraz zabezpieczyć ani fachowa wiedza ani wzorowa staranność wykonawcy, są liczne i tak różnorodne, że niepodobna ich szczegółowo wyliczać. Obejmują one niekiedy poważne wypadki, jak obszerny dział zapaleń miejscowych, ciężkie zakażenia ogólne, krwotoki, poważne czasem uszkodzenia (przebicia) narządów wewnętrznych, a w dalszej perspektywie różnego rodzaju powikłania chorobowe lub przy następnej ciąży, zmiany położenia i różne niedomagania narządów rodnych, niepłodność, osłabienie odporności organizmu i t. d. Poza temi zaś wypadkami, jakie należą do rzadszych, istnieje szereg innych ujemnych następstw, odkrytych stosunkowo niedawno, a które towarzyszą ogólnie przerwaniu ciąży.

Ciąża mianowicie — objaśnia nam tę rzecz prof. A. Czyżewicz — wywołuje już sama z siebie daleko sięgające zaburzenia układu gruczołów dokrewnych i zaburzenia w układzie nerwowym. Zaburzenia te ustępują w drugiej połowie ciąży i dlatego nie wyrządzają organizmowi żadnej szkody, o ile dojdzie do czasowego porodu. Jeżeli jednak przerwie się ciążę, to „wystąpią tem większe zaburzenia w układzie hormonalnym i nerwowym, im bliżej od początku ciąży przerwano ją". A ponieważ zabieg ten wykonuje się właśnie w pierwszej połowie ciąży, przeto „wyrządza on organizmowi kobiety dużo szkód, nietylko w sensie łatwego zakażenia i możliwości różnych powikłań zapalnych, ale i w sensie wstrząsów psychicznych i zaburzeń w korelacji gruczołów dokrewnych". [2]) Także prof. dr. Kazimierz Orzechowski (Warszawa) zwracał już przedtem uwagę, że każde poronienie, nawet przebiegające bez żadnych powikłań, „wywołuje u kobiet normalnych, a częściej u neuropatek, wcale często stany długotrwałego wyczerpania nerwowego, depresji, wogóle różne nerwice, wśród tych zwłaszcza stany psychasteniczne";

[1]) *Czasopismo Sądowo-Lekarskie*, Warszawa, r. 1929 zesz. 4 str. 201. *Ginekologja Polska* r. 1927 zesz. 10—12 str. 1218—19.

[2]) *Ginekologja Polska* r. 1930, zesz. 4—6, str. 347—48.

i dodaje, że „wśród tych okoliczności mogą pośrednio pogarszać się po poronieniach także cierpienia organiczne". [1])

Nie żadną „drobnostką", jak się to słyszy nieraz, jest zatem przerwanie ciąży, ale — podług zdania sumiennych lekarzy — poważnym, czasem nawet ryzykownym zabiegiem. A. Grotjahn uważa je nawet w najprostszej, początkowej jego formie (skrobanka) za „krwawą i nieobojętną operację". Toteż dr. Władysław Dering (klinika położniczo-ginekologiczna uniwersytetu warszawskiego) wyraża zdziwienie, że wielu lekarzy „obojętnie tę sprawę traktuje albo nawet przychylnie się do niej odnosi", gdy tymczasem „ze stanowiska czysto lekarskiego liczyć się musi ze szkodliwemi i nieobliczalnemi następstwami zabiegu". [2])

Tym z pośród lekarzy, którzy mówią, że pomimo olbrzymiej liczby poronień tych następstw szkodliwych nie widać, owszem sama natura radzi sobie przecież poronieniem — daje prof. A. Czyżewicz następującą odpowiedź: w wypadkach, kiedy sama natura wywołuje poronienie, „nie można mówić o jakiejś celowości w przerwaniu ciąży", ponieważ nie jest to działanie celowe, lecz wypadek spowodowany chorobą; przytem w większości owych wypadków płód jest już nieżywy. Powtóre nawet wtedy, gdy te osoby po poronieniu wyzdrowiały, „nie są bynajmniej zdrowe", pozostaje im bowiem — nie mówiąc o możliwych ciężkich powikłaniach — szereg zaburzeń czynnościowych, hormonalnych i nerwowych, które neurologja stwierdza zarówno po samodzielnych jak sztucznych poronieniach.

Wogóle, ciągnie dalej prof. Czyżewicz, „pomimo rozwoju medycyny, a przedewszystkiem techniki operacyjnej, nie znamy sposobu, któryby pozwolił usunąć niebezpieczeństwo poronień i gwarantował wynik, choćby bezpośredni. Pomimo ostrożności, doprowadzonej do szczytu, nie jesteśmy w stanie wyłączyć ani zakaźnych spraw ogólnych, czy miejscowych, ani przebicia macicy z jego poważnemi następstwami, ani zaburzeń układu nerwowego i układu gruczołów dokrewnych, które na organiźmie, toczonym przez chorobę, mogą się ciężko odbić, ani późniejszych następstw, narazie

[1]) *Ginekologja Polska* r. 1927, zesz. 10—12, str. 1159.
[2]) Tamże r. 1930, zesz. 4—6 str. 343.

ukrytych... Dlatego też niema usprawiedliwienia dla lekarza, który ją lekceważy i nie zdaje sobie sprawy z całokształtu niebezpieczeństwa". Nie trzeba więc łudzić się, że byle usunięto partaczy, wszystko zmieni się na lepsze, ponieważ „niebezpieczeństwo poronień zawsze będzie duże, nawet w najbardziej wyszkolonych rękach i w najlepszych warunkach". [1])

Odkrywanie coraz nowych szkodliwych następstw przerywania ciąży musiało oczywiście uspasabiać świat lekarski coraz nieprzychylniej do tego zabiegu i kazało mu szukać innych sposobów pomocy zagrożonym jakąś chorobą matkom. Coraz częściej podkreślano, że przerwanie ciąży nie jest w każdym razie zabiegiem leczniczym, owszem zaczęto poważnie się zastanawiać na tem, czy wobec naczelnej zasady lekarza — *primum non nocere* — wolno je zatrzymać jako zabieg ratowniczy? Głosy za rewizją i ograniczeniem dotychczasowych wskazań przerywania ciąży poczęły się mnożyć, a w ślad za niemi szły coraz nowe odkrycia stwierdzające, jak bardzo uzasadnionem było to żądanie.

Odkrycia te nie były zresztą zupełną nowością. Sporo lekarzy — kilku z nich przytoczymy później — poczyniło je już dawniej i potrafili w tysiącach wypadków ocalić życie matki, nie uciekając się do zabijania dziecka. Ogół jednak lekarzy zainteresował się bliżej tą sprawą w ostatnich paru dziesiątkach lat, kiedy przekonano się, że cały szereg wskazań, uważanych dawniej za „konieczne", należy obecnie zmodyfikować, a częściowo zupełnie usunąć. Klasycznym tego przykładem są choroby serca. Podług dawnych autorów — pisał prof. dr. Bolesław Kowalski, dyrektor uniwersyteckiej kliniki dla kobiet i Szkoły położnych w Poznaniu — schorzenia serca sprowadzały u matek ciężarnych śmierć w 50—60% wypadków, gdy „dziś wiemy, że co najwyżej 2—5% przypadków kończy się śmiercią". [2])

Podobnie ma się rzecz z gruźlicą. Od czasu IV Międzynarodowego kongresu ginekologów, w Rzymie w r. 1902, panowały w tej dziedzinie dwa przeciwne prądy: jeden, re-

[1]) *Ginekologja Polska* r. 1927, zesz. 10—12 str. 1219—21, 1236—39.
[2]) Czasop. *Nowiny Lekarskie*. Poznań, 1. IX. 1927 r., str. 578.

prezentowany głównie przez szkołę niemiecką, dążył w każdym niemal przypadku gruźlicy do przerywania ciąży, drugi, francuski, szedł w kierunku przeciwnym i radził drogę zachowawczą. Dziś ten ostatni bierze górę. Jeśli chodzi o wczesne stadjum gruźlicy, to przerywanie ciąży z powodu niego nazywa dr. Wład. Dering „działaniem wprost szkodliwem w stosunku do stanu zdrowia chorych". [1]) Dr. K. Morawski (Zakopane), który tę sprawę referował na IV Zjeździe ginekologów polskich, w Krakowie w r. 1931, żąda wprawdzie leczenia sanatoryjnego matki, ale dodaje zarazem, że „nawet ciężko chore na gruźlicę płuc mogą przebyć ciążę i poród bezpiecznie", a przerwanie ciąży u kobiet gruźliczych „nie jest zabiegiem leczniczym".

Z wywodami temi zgadzało się, złożone na tym Zjeździe, oświadczenie dr. Anny Stachórskiej-Kadenowej, że w klinice położniczej i chorób kobiecych w Krakowie „stwierdzono, że o ile przerwanie ciąży w pierwszej połowie nie grozi niebezpieczeństwem pogorszenia i uogólnienia się sprawy (a więc nie mówi o żadnem „polepszeniu" — uw. Red.), o tyle przerwanie ciąży w drugiej połowie może wywołać takie same groźne w następstwach skutki, co poród i połóg". Prof. A. Czyżewicz zastrzegł się zaś w dyskusji „przeciw zapatrywaniom, jakoby zasadniczo należało dążyć do przerwania ciąży u osób, dotkniętych gruźlicą. W ten sposób musiałoby się przerywać ciążę w olbrzymim odsetku wypadków i to zupełnie bezcelowo i niepotrzebnie. Zestawienia jednostronne wyników są zupełnie błędne. Zasadzają się na dziwnem przypuszczeniu, że całe pogorszenie gruźlicy zależy od ciąży, nie bacząc na to, że dzieje się to i bez ciąży, a także i u mężczyzn". [2])

Podobne spostrzeżenia poczyniono również w pozostałych działach wskazań lekarskich. Tak naprz. uporczywe wymioty kobiet ciężarnych *(hyperemesis gravidarum)*, o których jeszcze przed 10-ciu laty mówiono, że medycyna nie ma na nie lekarstwa, leczy się dziś bez przerywania ciąży, jakie stosowano zawsze dawniej, bardzo często zresztą bez żadnego skutku. O wypadkach zwężenia miednicy pisał już

[1]) *Ginekologja Polska*, r. 1930, zesz. 4–6 str. 344.

[2]) Tamże, r. 1932, zesz. 4—6 str. 553—57.

w r. 1922 dr. Fritz Frank, profesor uniw. w Kolonji i dyrektor tamtejszej kliniki położniczo-ginekologicznej, że nie przedstawiają one wcale dla lekarza konieczności przerywania ciąży, gdyż „metody naukowe tak postąpiły, że uratowanie życia dziecka stało się zarazem najlepszą metodą ratowania życia matki" (*Schutzengel oder Würgengel?* Köln, wyd. 3 str. 18). W ciągu 10-ciu poprzedzających lat miał on w swej klinice 1.707 kobiet z silniejszym stopniem zwężenia miednicy; ani w jednym wypadku nie stosował przerywania ciąży, i uratował 87% dzieci i 94% matek, owszem byłby ocalił ich więcej, gdyby niektóre z nich nie próbowały już przedtem innych zabiegów i nie przyszły do kliniki w stanie ostatniego wyczerpania.

Nie naszą jest rzeczą wchodzić tu w szczegóły tych odkryć i nowych metod, które wymagają interwencji lub przynajmniej obecności lekarza, a niekiedy nie obejdą się nawet bez zabiegu operacyjnego. Ale nie będzie nim już przerywanie ciąży, pociągające za sobą nieodłącznie zabicie kiełkującego życia, ale zabieg skierowany do ocalenia życia i dziecku i matce. W trudniejszych wypadkach stosuje się obecnie z powodzeniem, także u nas w Polsce, t. zw. „cięcie cesarskie". Zdyskredytowane przez dłuższy czas z powodu towarzyszącej mu wysokiej śmiertelności, zostało w ostatnich latach doprowadzone do takiej doskonałości, że dziś jest zabiegiem łatwym stosunkowo i bezpiecznym, do którego istnieje ponad 60 wskazań. Na wspomnianym IV Zjeździe ginekologów polskich poświęcono mu parę referatów, a dyskusja była szczególnie ożywiona. Doc. dr. W. St. Mączewski (Lwów) przedstawił to zagadnienie jako interesujące dziś ogół ginekologów i ocenił bardzo optymistycznie. Wyniki cięcia cesarskiego, z warunkiem, że lekarz posiada doskonałą technikę i gruntowną wiedzę położniczą, są dobre i oczekiwać należy coraz lepszych; przebieg po operacji jest „tak korzystny i łagodny, jak po porodzie siłami natury". Jako „zupełnie zadawalające" przedstawił wyniki tej operacji również doc. dr. J. Szymanowicz (Kraków). [1])

W jakim kierunku zmierza ta ewolucja poglądów, jest

[1]) *Ginekologja Polska* r. 1932, zesz. 4—6 str. 491—93, 506—14.

chyba dość widocznem. I jeśli było to pewną nowością, kiedy w r. 1922, na Międzynarodowym kongresie ginekologów w Innsbrucku, dr. Kupferberg (Moguncja), opierając się na swej 30-letniej praktyce oświadczył się za wyrugowaniem przerywania ciąży z praktyki położniczej — to dziś nie zaskoczyło nikogo, że dr. Ernest Pestalozza, profesor uniw. i dyrektor kliniki położniczej w Rzymie, ogłosił ten zabieg za „skazany na zaginięcie". [1]) Wyrok ten, będący protestem przeciw zabijaniu i kaleczeniu przez lekarza, jest zarazem zapowiedzią zbliżającej się realizacji tego, co na IV Zjeździe ginekologów polskich doc. dr. W. St. Mączewski nazwał „ostatecznym celem, jaki ma przed sobą każdy położnik: ratowania matki i dziecka".

Że zaś cel ten da się osiągnąć, przy równoczesnem wyeliminowaniu przerywania ciąży, dowodzą przykłady różnych lekarzy, wybitnych nauką i doświadczeniem. Oprócz wspomnianych poprzednio przytoczymy tu jeszcze paru innych. Prof. dr. Menge oświadczył w r. 1930: „moje stanowisko w tej sprawie wyjaśnia najlepiej fakt, że w klinice chorób kobiecych w Heidelbergu, w której rocznie bywa około 1.200 wypadków położniczych, od 20 lat nie było potrzebnem żadne przedwczesne przerwanie ciąży". [2]) W tym samym duchu postępował jego następca, dr. Eymer. Prof. dr. Ausems (Utrecht) przez 30 lat swej praktyki nie stosował nigdy przerywania ciąży. Wspomniany już prof. dr. Fr. Frank (Kolonja) miał, poza prywatną praktyką, w okresie od r. 1885—1921 w swej klinice blisko 70.000 kobiet, a nie pozwolił nigdy na przerywanie ciąży, gdyż twierdził, że właśnie z powodu tego zabiegu „niejedna matka razem z dzieckiem spoczywa w grobie, choć oboje mogli być uratowani" *(Schutzengel od. Würg.* str. 5, 10).

Niestety mała tylko liczba lekarzy ma odwagę dziś zająć bezwzględnie to stanowisko. Kiedy zaś stanie na niem ogół, trudno powiedzieć; zależeć to będzie w dużej mierze

---

[1]) Por. jego artykuł w *L'Osservatore Romano* r. 1931 nr. 17. — W tym samym duchu pisali i działali lekarze: G. Clément, Alb. Niedermeyer, Fr. Frank i i.

[2]) Cyt. u Dr. Alb. Niedermeyer: *Sexualethik und Medizin.* Hildesheim. Str. 44.

od szybkości dalszego rozwoju medycyny w tej dziedzinie. To jest wszakże pewnem, że w dzisiejszym stanie rzeczy wszystko w niej zmierza — z czysto lekarskiego punktu widzenia, bo o nim wyłącznie dotychczas mówiliśmy — do redukcji wskazań do przerywania ciąży, a w przyszłości do całkowitego ich wyeliminowania.

Dzięki bowiem ciągłym postępom wiedzy i techniki położniczej i chirurgicznej, wypadki, do niedawna uważane za beznadziejne, maleją nieustannie co do liczby. I jeśli nawet, w razie nie przerwania ciąży, zdarzy się nieszczęście i matka umrze, nie wyprowadza się stąd zaraz wniosków za jej koniecznością, ponieważ przy wykonywaniu tego zabiegu przez lekarzy fachowców zachodzą również wypadki śmiertelne, nie mówiąc już o okaleczeniach i innych ujemnych następstwach. Sami zresztą lekarze zgadzają się, że przeciętnie żaden z nich nie potrafi udowodnić w danym wypadku „konieczności" przerwania ciąży, ponieważ nie może wiedzieć, coby się stało w razie nie wykonania tego zabiegu. Sami też uznają, że bezwzględny zakaz przerywania ciąży zmusiłby do szukania innych dróg i przyczynił do postępu położnictwa, a z drugiej strony zapobiegłby temu ogromowi zła, jakie dzieje się dziś z powodu „zbyt hojnego szafowania wskazaniami" — a tem samem szafowania życiem ludzkiem i zdrowiem matki.

I kiedy w ten sposób coraz bardziej topnieją w rękach lekarzy racje za przerywaniem ciąży, mnożą się dowody, że w wypadkach, w których podług teorji poród normalny był wykluczony, odbył się on zupełnie szczęśliwie, jeśli tylko czekano cierpliwie; co więcej odbywał się nieraz siłami samej natury. Toteż jak w zakresie medycyny wewnętrznej już dawno zwyciężyło zapatrywanie, że nie lekarstwo zwalcza chorobę, lecz organizm, a rzeczą lekarza i zabiegów jest wzmacniać ten organizm do walki z czynnikami chorobotwórczemi, podobnie i w położnictwie właściwa droga postępu otwiera się nie przez zabijanie życia i gwałtowne przerywanie biegu natury, lecz przez wspieranie jej i większą ufność w jej siły.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. St. Podoleński T. J.

Nad głębiami „Wesela"

(Tragedja rzeczywistości polskiej).

(Ciąg dalszy).

7. Rozmowa władców.

Przystępując do najzłośliwiej przez pozytywistyczną interpretację wypaczonej postaci Wernyhory, należy przedewszystkiem stwierdzić, że oryginał (wersja I pochodzi z r. 1875, kopja znajduje się według scenarjusza w izbie weselnej) wespół z *Kazaniem Skargi*, oraz *Rejtanem* należy do tej szczytowej grupy arcydzieł Matejki, która w malarstwie polskiem i światowem zajmuje miejsce równorzędne i analogiczne z *Improwizacją Konrada* oraz *Widzeniem księdza Piotra* w poezji.

Wszystkie te trzy utwory, Skarga, Rejtan i Wernyhora, wybiegają z przeszłości w przyszłość. Pierwsze dwa, przez skojarzony w nich z apoteozą wielkiego dziejowego czynu i wielkich dziejowych postaci moment tragicznie ostrzegawczy, Wernyhora zaś przez moment tragicznie dodatni, a ponadludzki, wieszczący już nie klęskę, jak dwa poprzednie, lecz Zmartwychpowstanie narodu. Imputować tedy Wyspiańskiemu, uczniowi Matejki, wielkiemu malarzowi i dramaturgowi, pomysł użycia Wernyhory w *Weselu*, jako postaci kompozycyjnie ujemnej, jako „chorobliwej fantasmagorji romantycznej", której głównem przeznaczeniem miałaby być funkcja *repoussoir*'u dla pozytywistycznych wartości, dających się zrekonstruować z dialogu pomiędzy żywemi postaciami a temi właśnie „fantomami", — imputować coś podobnego Wyspiańskiemu można tylko na podstawie grubego z twórcą *Wesela* nieporozumienia. Nieporozumienie polega na tem,

że się nie odczuwa i nie spostrzega, jak dalece te właśnie „chorobliwe fantasmagorje" druzgocą i obracają w proch moralny postaci cieleśnie żywe. Tem samem dodatkowe jeszcze druzgotanie tychże postaci żywych przez samą z ich strony skłonność czy zdolność do ewokacji „fantomów", które je właśnie ścierają w proch, staje się nietylko kompozycyjnie zbędne, ale wprost szkodliwe, bo przeczyłoby samo sobie.

Wreszcie, co najważniejsze, imputować Wyspiańskiemu chęć parodjowania wielkich postaci dziejowych Matejki z Wernyhorą na czele, znaczyłoby toż samo, co dopuszczać myśl parodji Konrada z III części *Dziadów* przez Ujejskiego, Konopnicką lub Kasprowicza. Namiętne ze strony pozytywistycznych interpretatorów polowanie na „subtelną ironję" w pośród najtragiczniejszych ostępów, najbardziej symbolicznych uroczysk i najekstatyczniejszych wizyj malarskich *Wesela* graniczy z obserwacją estetyczną, zwłaszcza że w artystycznych uzdolnieniach Wyspiańskiego ironja, humor, żart zajmują nie więcej miejsca niż u Matejki.

Malarska postać Wernyhory łącznie z jego koniem, strojem i akcesorjami, to zjawa dekoracyjna pośrednia pomiędzy tragicznym starcem Matejki, a samego Wyspiańskiego teatralnemi, monumentalnemi kreacjami w rodzaju Bolesława Śmiałego. Koń przypomina wspaniałego demona z *Szału* Podkowińskiego, tylko że siwy (bo służy sile dobrej), „czaprak tkany, rozmaity, u siodła pistolców dwoje", lira, delja pąsowa, siwa broda i szerokie bary. Obraz ten jest majestatyczny i równie daleki od satyry, lub karykatury, jak królewsko-siermiężna postać Szczodrego Bolka. Mowa i zachowanie Wernyhory są tak samo „chemicznie czyste" od charakterystyki ujemnej, jak u Stańczyka i Rycerza. I podobnie jak w scenach z nimi, tak w scenie z Wernyhorą, kontrast charakterystyki dodatniej po stronie przedstawiciela rzeczywistości wizyjnej z charakterystyką bezwzględnie ujemną przedstawicieli rzeczywistości realnej — jest potężny, uderzający, krańcowy.

Pomiędzy Stańczykiem a dziennikarzem nastąpiło starcie wielkiej myśli dziejowej ze sceptyczną inteligencją współczesną. Pomiędzy Rycerzem a poetą nastąpiło starcie wiel-

kiego uczucia i czynu dziejowego z żórawimi loty i sercami współczesnych. Pomiędzy wreszcie Wernyhorą a gospodarzem następuje starcie najwyższych przeznaczeń dziejowych narodu ze zdolnością współczesnego pokolenia do czynu dziejowego w ogólności, zwłaszcza zaś i szczególnie do kierownictwa takim czynem narodowym przez inteligencję. Starcie następuje z gospodarzem chaty weselnej dlatego, bo ten inteligent zdawna pośród ludu rodzinnie osiadły, jak nikt inny z weselników, powołany zdaje się być do zsyntetyzowania ludowej mocy żywotnej z kierowniczą myślą twórczą. Za tę syntezę gospodarz jest odpowiedzialny, tę syntezę jako fakt, który powinien już był być dokonany, przypuszcza u gospodarza przybywający do niego Wernyhora. Wernyhora, Duch narodu, jest z ramienia Boskiego wespół z Archaniołem władcą sił dziejowych, rozstrzygających o wyzwoleniu Polski, zwłaszcza tych, które w ogniu i pożodze wojen stwarzają pomyślną, lub niepomyślną konjunkturę historyczną dla sprawy polskiej. Wernyhora łączy krwawe wspomnienie rzezi humańskiej, w której odmętach tonęła Polska przedrozbiorowa, z krwawym świtem nowych wojen, zapowiadanych przez Rycerza, jakoteż samego Wernyhorę historycznego i matejkowskiego. Wojny te zdolne są wywołać świt wolności, ale Cudu Zmartwychwstania duchowej mocy twórczej narodu nie urzeczywistnią bez jego świadomego i celowego współdziałania. Dlatego konieczne jest p r z y m i e r z e pomiędzy Wernyhorą, władcą owych sił dziejowych raczej zewnętrznych, z władcą sił żywych, wewnętrznych narodu. Władcą tym powinien być inteligent skojarzony z ludem, gospodarz chaty weselnej, wódz doczesny żyjącego pokolenia. Owe siły znajdowały się dotąd w bezwładzie z powodu rozterki stanów oraz duchowego skutkiem niej bezkrólewia. „Chwila osobliwa" odpowiednia dla zawarcia przymierza, chwila, w której pora wydać Rozkaz - Słowo, kojarzyć musi ze sobą warunki zewnętrzne:

Słyszysz, wielki deszcz się pluszcze!
Słyszysz, chrzęszczą wielkie drzewa
i jako trzaskają kuszcze:
to tam moja drużba śpiewa,
tysiąc koni grudy bije
ze złotemi podkowami!

oraz wewnętrzne w narodzie pojednanie i uzdolnienie do wielkiego twórczego wysiłku.

Właśnie wesele uznał Wernyhora za taką okazję, w której gospodarz powinienby się stać wodzem i kierownikiem sił żywych narodu. Wzywa tedy Wernyhora gospodarza do karności, ufności, czujności i wydaje mu „trzy zlecenia", których wykonanie nie da się pomyśleć bez objęcia władzy naczelnej w narodzie. Wernyhora powierza gospodarzowi kierownictwo wewnętrznej akcji przygotowawczej do rezurekcyjnego narodowego pogotowia w dwóch pierwszych zleceniach, zakończonych słowami:

niech wszyscy natężą słuch:
czy tententu nie posłyszą
od Krakowskiego gościńca — ?
czy już jadę z Archaniołem — ?

Natomiast zlecenie trzecie dotyczy niewątpliwie wielkiego kierowniczego czynu:

Leć kto pierwszy do Warszawy
z chorągwią i hufcem sprawy,
z ryngrafem Bogarodzicy;
kto zwoła sejmowe stany,
kto na sejmie się pojawi
Sam w stolicy, — ten nas zbawi!

Ażeby spełnić wielki czyn dziejowy i urzeczywistnić Cud Zmartwychwstania wszystkiej duchowej i cielesnej mocy twórczej narodu, konieczne jest nietylko współdziałanie braterskie stanów (chata weselna), lecz również współdziałanie potężnej indywidualności kierowniczej („Sam w stolicy" — przez duże S). Indywidualność ta ma powstać z łona inteligencji, oraz podjąć inicjatywę i przewodnictwo nad ogółem „sejmowych stanów". Potrzebne jest również oddanie się tej indywidualności oraz ofiarne i pełne zapału z nią współdziałanie ze strony narodu. Osiągnąć je powinna potęga twórcza kierowniczego czynu owej indywidualności. Oddaje ją gospodarzowi Wernyhora — Duch Narodu zaklętą w Złotym Rogu:

Na jego rycerny głos
spotężni się Duch,
podejmie Los.
Możesz nim powołać chór.
Bratni zbór.

O jakimże to jednak czynie narodowym tutaj mowa? Rzecz jasna, że tylko o takim najwyższej, matejkowskiej miary dodatnim czynie, który epoki tworzy i dzieli, a zwraca bieg dziejów w nowe łożyska. Takich czynów miniona rzeczywistość polska przyniosła szereg świetny, a jednak w stosunku do przeznaczeń narodu niewystarczający. To Chrobrego twarde, mądre i potężne samowładztwo, to — starcie Biskupa z królem na Skałce, to — Łokietkowe zjednoczenie, Kaźmierzowe odrodzenie, Jadwigowe z Jagiełłą śluby, potomne Grunwaldem i Unją Lubelską... To Psków, to Kłuszyn i Kreml, to Wiedeń... Jedynie przez czyn tak wielkiej miary mógłby naród Świt wolności powitać Cudem Zmartwychwstania w pełni swej mocy twórczej, duchowej i materjalnej. Jedynie taki czyn mógłby „z wiosną" wolności „róży krzak" oswobodzić z pod szpetnego, do czasu nieuniknionego, lecz zczasem coraz niebezpieczniejszego spowicia w słomiany Chochoł. A „róży krzak" to zarazem i siła witalistyczna przyrody w narodzie zawarta i trzeźwy wysiłek pracy i walki i twórcza moc ducha, która „wiosną" powinna zeń wykwitnąć; te siły, zimowym snem niewoli uśpione, czekają wyzwolenia „na wiosnę". W najistotniejszym przeto rdzeniu „krzaku róży", gdzieś na peryferji jego mocy biologicznej, oraz potencjalnej mocy duchowej, powstać musi zbawcza inicjatywa gospodarska świadomego, twórczego, indywidualno-zbiorowego, wyzwoleńczego wysiłku. Związek pożądanej, dodatniej współczyności pomiędzy naczelnemi symbolami *Wesela* możnaby przeto wyrazić następująco: o świcie wolności, lub na wiosnę, po zimie niewoli, gospodarz (inteligent skojarzony z ludem) stać się powinien tym kierowniczym władcą, który z pomocą złotego rogu (wielkiego dziejowotwórczego czynu) uwolni róży krzak z pod chochołowego spowicia, umożliwi zmartwychwstanie i rozkwit.

Bardziej jeszcze zasadniczy, niźli w środkowych scenach piekielnych i erotycznych i wogóle rozstrzygający przełom akcji tragicznej *Wesela* następuje pomiędzy Wernyhorą a Gospodarzem, oraz po odjeździe Wernyhory, pomiędzy

Gospodarzem a Jaśkiem. Na tle bowiem wskazań Ducha narodu, dotyczących przymierza z nim, a w obliczu promiennych widoków przyszłości, ujawnia się ostateczne załamanie psychiczne współczesnego polskiego pokolenia w jego naczelnym reprezentancie-Gospodarzu. Inteligent, skojarzony z ludem, powołany do tego, aby się stać wodzem żyjącej generacji w twórczym wysiłku zmartwychwstania, sprzymierzeńcem wiekuistego Ducha narodu, władcą doczesnym Polski, gospodarz okazuje się do tego posłannictwa tak samo niezdolnym, jak dziennikarz-kanclerz do zrównania się mocą ducha z królewskim mądrym błaznem, a poeta-hetman do wskrzeszenia grunwaldzkiej mocy lękiem swego żórawiego serca. — Gospodarz się naprzód Wernyhory boi i ogląda na żonę. Potem go długo poznać, ani przypomnieć nie może. Wreszcie zlecenie przyjmuje niby radośnie, ale do tego stopnia leni się je wykonać, że ich centralne narzędzie, talizman twórczego czynu, a zarazem własnego stanowiska kierowniczego w narodzie, Złoty Róg, powierza z krańcową, zbrodniczą słabością i lekkomyślnością w ręce Jaśka. Zdaje sobie przytem doskonale sprawę, że ten róg „zsyła jasny Bóg" i że „bez tego złotego dźwięku pójdzie w niwecz cały ruch"... Jaśko zaś, jak wiemy, to w *Weselu* przedstawiciel tego młodego włościaństwa, dla którego bożyszczem jest czapka z pawich piór stanowej korzyści i emulacji z panami. W tym momencie dramatu inteligencja polska abdykuje z kierownictwa ludem i narodem na drodze do niepodległości, pozostawiając lud na pastwę jego własnej ciemnoty, lub pierwotnych instynktów egoistycznych. Od chwili tej centralnej zbrodni rzeczywiście na weselu znów poczyna nieomal „hulać śmierć".

Dla gospodyni cały Wernyhora to wogóle nie był Duch Narodu, ale tylko widmo z piekła, takie samo zatem, jak Branecki lub Szela. Wernyhora, odjeżdżając, zgubił umyślnie złotą podkowę, symbol osobistego szczęścia w wyzwolonej ojczyźnie. Za radą gospodyni symbol ten, na długo jeszcze przed świtem wolności, odruchowo i natychmiast wędruje na dno prywatnej skrzyni, jako najważniejszy rozmowy z Wernyhorą wynik. Nikomu jej — jak złotego rogu nie

przekazano. Potem gospodarz wpada w rodzaj delirium, w którem prawi weselnikom prawdę w oczy:

lalki, szopka, podłe maski...
Nastrój? macie ot nastroje:
w pysk wam mówię litość moję.

8. Krwawy świt.

Nastrojem wyjściowym i zasadniczym aktu trzeciego jest nadranne, pijackie odurzenie po nieprzespanej nocy. Jego tło zamalowuje charakterystycznemi bredniami Nos-Przybyszewski, weselny specjalista od alkoholu. Na tem tle zwolna traci świadomość usypiający Gospodarz. Wkrótce cała obecna na weselu inteligencja polska znajduje się jak tabaka w rogu, wobec nadciągającego (objektywnie i niezależnie od weselników) krwawego Świtu Wolności.

A chłopi? Pannie młodej śni się w sposób znamienny, że ją do Polski wiozą „jacyś biesi w złotej karocy". Nie może ona wyjść z podziwu, że Polskę powinna nosić w sercu. Świt wolności zaskoczyłby weselną chatę, pomimo wieszczych odwiedzin Wernyhory, najzupełniej nieprzygotowaną, niczego nie przewidującą i nie oczekującą, gdyby nie przypadek, dzięki któremu stary Czepiec dowiedział się o Wernyhorze od młodego Kuby. Czepcowi haseł bojowych dwa razy powtarzać nie trzeba. Mobilizuje on wkrótce pokaźną siłę kosynierską miejscową. Stacza następnie homeryckie boje na gębę z inteligencją, ażeby jej wytłumaczyć, o co chodzi i dobić się od niej kierownictwa. Inteligencja jednak, niemal do ostatka, skłonna jest uważać wszystko, co się dzieje naokół, raczej za jakieś zjawisko literackie czy teatralne, a to pomimo ostrych reprymend Czepca. Z największym trudem, niemal w ostatniej dopiero chwili, udaje się do zapitej głowy Gospodarza chaty weselnej, powołanego, a niedoszłego wodza narodu, wprowadzić przypomnienie nocnych odwiedzin i nakazów Wernyhory. Gdy wreszcie we łbie Gospodarza zaświtała świadomość świtu wolności i zapowiedzianego cudu zmartwychwstania, to świt ten już począł wschodzić.

Jego obraz stanowi wspaniałe, malarskie tło dekoracyjne dla tego, co się dzieje na scenie. Zarazem jest to kom-

pozycyjny pozytyw dla tragicznego niedołęstwa weselnej rzeczywistości. Obraz rozwija się stopniowo w dostrzeganych i raportowanych przez weselników szczegółach.

Na liściach skry.
Opalowa rosa spływa;
przesiewa się w dyjamentach
z drzew, jak wiszar w skalnych pętach. —

To z początku widzi i opowiada inteligencja w osobie Pana Młodego. A Czepiec na to:

Pon ino widzisz pchły,
pchły, świecidła, rosę, ćmy
a nie chcesz znać, co som my:
że w nas dnieje, dusa świci,
że nas tu jest ze dwiedzieście
z kosom...
i że to, to nie som sny.

Wkrótce jednak w przyrodzoną piękność świtu wkracza rzeczywistość wizyjna.

Z chmur się stawia jakby tron
i jakieś zjawiska skrzydeł
koło tronu...
Całe pole pod Krakowem
od tych kosisków się roi...

To z królewskich czy wernyhorowych wici, to nie jest „parafjalny sposób zdobywania niepodległości", jak chce jeden z pozytywistycznych krytyków.

Ze Zorzy się zrobiła krew:
taki sznur krwi wydłużony
ponad Kraków, — krwawy pąs,
jakby wieża Zygmuntowska
miała we dwie strony wąs,
Ogromny przyleciał ptak,
hań se na ganecku siad,
taki ci ogromiec kruk.
Potem sie ze skrzydlich wag
uniósł, wzleciał, znowu spad,
potrzaskał gałązki brzóz...
i posed — 1

Dodajmy wizję Grunwaldu w chmurach oraz „na wawelskim, zamkowym tronie Matkę Bożą w koronie, piszącą manifest do kraju, co w nim ma ducha obudzić", a doręczony ma być przez Archanioła z Wernyhorą. To wystarczy,

ażeby zdać sobie sprawę z dekoracyjnego przepychu malarskiej wizji, oraz bogactwa i głębi jej treści symbolicznej. Wszak to jest wizja wojny powszechnej, którą oddawna poczytywano za warunek nieodzowny, za ów cud zewnętrzny, mający umożliwić odbudowanie Polski! Krwawy we dwie strony od Krakowa wąs — to wojna na północy i południu, na zachodzie i wschodzie. Ogromiec kruk, co nałamał brzóz, wahał się, przybywał, cofał i wkońcu poszedł! — to czarny orzeł pruskiej okupacji. Gołębie białe i kruki czarne, stadami polatujące nad ziemią polską, to niewinne ofiary wojny i zbrodnicze hieny, ciągnące z niej zyski. Zarówno treść tej wizji, jak jej dostojna malarska świetność, wreszcie wprowadzenie w obraz motywów religijnych, („świętości nie szargać!..") wyłączają tu bezwzględnie, jak i wobec postaci aktu drugiego, negatywną kwalifikację kompozycyjną. Przeciwnie, jest to kompozycyjny pozytyw, negatyw zaś stanowi, jak i w aktach poprzednich, postawa społeczeństwa wobec tej wizyjnej rzeczywistości.

Tak jak w aktach poprzednich, tę postawę cechuje bezwład. Gospodarz wprawdzie w ostatniej chwili przypomina sobie, że powinienby stanąć na czele narodu, ale jest bezsilny, bowiem nie posiada Złotego Rogu. Całej gromadzie wszechstanowej nic przeto nie pozostaje, jak tylko biernie, pasywistycznie czekać, wyglądać, nasłuchiwać w najwyższem zresztą naprężeniu wszystkich nerwów. Ostatni żywy okrzyk w imieniu tej gromady pada z ust siostry pana młodego, Haneczki, a brzmi: „Gdyby to Archanioł był!..."

Pierwszy wielki, tragiczny wstrząs *Wesela* następuje w chwili, gdy hetman serc żywego pokolenia Polski osuwa się w objęcia namiętnej żydówki, od niej czerpie poczucie rzeczywistości, trzeźwą myśl i silną wolę życia; z niej wreszcie płodzi w dziejową noc niewoli, w „noc ponurych wichrów łkań", pomiot polskiej rzeczywistości niewolnej, odrażające straszydło psychobiologicznego *mimiczy* wobec epoki upadku. Straszydło to, z nieubłaganej konieczności dziejowej, przyjść na świat musiało, przed wichrami niewoli nawet może ochrania, ale zarazem boleśnie więzi — „róży krzak" pełnego życia rasy polskiej, staje wpoprzek jego odżyciu i rozkwitowi.

Drugi wielki, tragiczny wstrząs *Wesela* powstaje wtedy, gdy w wielkiem „grunwaldzkiem duchowem starciu" drugiego aktu, Kanclerz mózgów żywego pokolenia Polski, jako berło swej nad niem duchowej władzy, otrzymuje od królewskiego błazna kaduceus błazeński z szyderczym nakazem: „Mąć nim wody, mąć! Serce truj, głowę trać!..." A jeszcze bardziej wtedy, gdy drugi wódz, hetman serc, jednym chwytem żelaznej prawicy towarzysza z pod Grunwaldu zostaje strącony z pegaza, schwytany na arkan, zdeptany na proch i pogrążony w „Śmierć i Noc". A z onej Śmierci i Nocy uratować go zdolna się okazuje tylko najdziksza, pierwotna, cielesna chuć życia. Ona to, piętrząc się w coraz wyższe i bardziej wyrafinowane postaci, doprowadza hetmana serc do powtórnego jeszcze połączenia z płomienistem widziadłem żydówki. I wespół z niem jedynie zdoła jeszcze hetman serc wywołać rzeczywistość królewskiego Ducha narodu.

A trzeci wielki, tragiczny i najgłębszy wstrząs *Wesela* wytwarza się wtedy, gdy twarzą w twarz z wiekuistym królewskim Duchem narodu postawiony Gospodarz chaty weselnej, szlachcic — mąż chłopki, ojciec potomstwa, które powinno było skojarzyć w sobie piastową żywiołową moc istnienia z husarskim orlim lotem w słońce chwały, gdy ten przewidziany władca dusz i ciał żywego pokolenia Polski, zawarte z jej wiekuistym Duchem we chwili osobliwej przymierze — łamie i zdradza. Łamie i zdradza przez tchórzostwo i lenistwo, nie przez głupotę, bo wie, co w Jaśkowe nieszczęsne ręce oddaje.

A wreszcie czwarty wielki, najtragiczniejszy i najostateczniejszy wstrząs wybucha z wulkanu *Wesela* pod ciśnieniem klęsk, naładowanych weń przez wstrząsy poprzednie. Finalny ten wybuch wywołuje pseudo-rozwiązanie tragedji, tem właśnie najstraszliwsze, że niemal wszystko pogrąża, a prawie niczego nie rozwiązuje.

9. Bez zmartwychwstania.

Tętni!... Jedzie!...
Goni!... Pędzi!... Stanął, wrył!...
Gdyby to Archanioł był!...

Wprawne ucho wodza winno było rozpoznać, czy to cały tabun koni pędzi. A jeśli nie, to jakiego mianowicie konia

tętent dobiega uszu gromady „tężącej słuch". Niestety, ucho wodza nie było wprawne. Na podwórzec wpadł „stanął, wrył" nie ogromny „jak śnieg biały", czerwono-złotą kapą okryty, królewski rumak bojowy Wernyhory. Najjaśniejszy jego jeździec, gestem Zyndrama z Maszkowic, nie poruszył łanu kosisków, co we wschodzącem słońcu, krwawemi lśniąc odblaskami, całe błonie pod Wawelem zaległy. Nie pochyliły się one, wzorem husarskich z pod Wiednia kopij, na Słowo-Rozkaz królewski, nie załomotał pod tysiącami ciężkich butów chłopskich ojczysty grunt ziemi polskiej, nie poczęła pieśnią skandować biegu w nowo-grunwaldzki bój, ani rycerska *Bogurodzica - Dziewica*, ani z chłopskich kapliczek przydrożnych za ludem swym zdążająca, prostoty i łaski pełna *Zdrowaś Maryja*... To wszystko stać się tylko mogło mocą Przymierza narodu z Jasnym Bogiem. To wszystko stać się tylko mogło według manifestu Królowej z Częstochowy, co zstąpiła na Wawelski Dwór. To wszystko przekazane być narodowi mogło tylko za poselstwem Archanioła, doręczonem Wernyhorze, a zaklętem w Złoty Róg. Złoty Róg Przymierza z Bogiem i Mocy nad Losem przekazany został przez Wernyhorę spadkobiercy siermiężnych królów Bolesławów Gospodarzowi chaty weselnej. Lecz on nie zatrąbił w Złoty Róg. Przeto zostało zerwane Przymierze z Bogiem, przeto odstąpił naród Ducha nad Losem moc i z samych piersi narodu duch niemal uleciał pośród krwawych blasków świtu wolności...

Na podwórzec zaś chaty weselnej, miast Archanioła, wpadła i ponad liche siły swoje zgoniona, zaraz padła — szkapina chłopska Jaśka z Bronowic, Jaśka od Pawich Piór, Jaśka z gołą, głupią głową, Jaśka ze słabemi rękoma, Jaśka b e z Pawich Piór i b e z Złotego Rogu. A gdy, porażony martwotą narodu, bezsilny jego władca — Jaśko chwieje się na nogach z przerażenia, tuż za nim wtacza się do chaty weselnej, skąpanej w blaskach świtu wolności, „zaklęte słomiane straszydło", spłodzone z nieczystych sił w dziejową noc niewoli, w „noc ponurych wichrów łkań": to Chochoł zniewolonej Losem rzeczywistości polskiej... I prawi i dopomaga Chochoł - rzeczywistość głupiemu Jaśkowi do wyjaśnienia sobie, jak się to stać mogło, że o świcie wolności, miast Zmar-

twychwstania, opadł na naród taki straszny morderczy bezwład, nieomal śmierci równy:

Copke strasny wicher zwiał...
bez tom wieche z pawich piór;
Tom sie chyloł po te copke,
to mi może sie odwinoł...
Strasy u rozstajnych dróg...
Pod figurą ktosik stał.

Stał chochoł rzeczywistości polskiej i ukradł Złoty Róg Zmartwychwstania w duchu do wielkiego narodowego, twórczego czynu. Mógł zaś ukraść, — jeśli już trzeba tłumaczyć na szarą prozę tę różnobarwną mowę symbolów, — mógł ukraść dzięki przewadze stanowego i osobistego egoizmu nad umiłowaniem sprawy narodowej podczas ciężkich przejść, związanych ze świtem wolności.

Oto właśnie wzbija się na niebiosa ów cudny świt: „Od sadu, od pola, we świetle szafiru, co idzie jak łuna błękitna, głosy się cisną przedrannych ptasich świergotań; niebieskie to Światło wypełnia jakby Czarem izbę, i gra kolorami na ludziach, pochylonych w pół-śnie, pół-zachwycie..." Wobec tego czarownego świtu Jasiek reaguje tem, co w nim jest najlepsze: miłością życia. Wita zatem mistyczną Jutrzenkę wolności hymnem, który wstrząsająco tragiczną istotę położenia tak opiewa:

Juz świtanie, juz świtanie, —
tu trza bydłu pasze nieść,
trza rżnąć sieczki, warzyć jeść; —
jakże ja se rade dam,
oni w śnie, — ja ino sam —?

Ton, w który tutaj uderza Jaśko, dotyczy innej strony życia, niźli ton sceny chutnej w centrum dramatu, ale jest witalistycznie niemniej podstawowy i dodatni jak tamten. I tym przeto razem ów ton, wydany przez najniższe fizjologiczne dno życia, ratuje przed śmiercią. Ów ton znajduje natychmiastowy oddźwięk w chochole rzeczywistości, należy bowiem do ukrytego w nim „krzaka róży", do jego rdzenia bio-wegetacyjnego. W podświadomym pół-śnie, pod ciasną powłoką chochoła to życie, roślinne raczej niż zwierzęce, przetrwało dziejową noc narodu. I do tego życia, koniec

końców, naród strącony na poziom umysłowy Jaśka, w jego osobie zaapelował również o świcie wolności.

Tu właśnie jednak nowa i może najokrutniejsza *incipit tragoedia.* O świcie wolności bowiem, który jest zarazem wiosną wyzwolenia, należałoby „róży krzak" oswobodzić z pod chochołowej osłony egoizmu osobistego i stanowego, dekadentyzmu lub odwrotnie barbarzyństwa. Owa osłona stała się teraz bardziej niż kiedykolwiek szkodliwą. Wstrzymuje rozkwit wyzwolonego narodu, jego pełne w duchu i ciele zmartwychwstanie. Na to jednak rady niema i być nie może. Gospodarz bowiem chaty weselnej, do rozwiązania krzaku róży z pod Chochoła z natury rzeczy przedewszystkiem powołany, Jaśkowi oddał, Jaśko zgubił, Chochoł zaś — rzeczywistość — im obu ukradł narzędzie takiego wielkiego gospodarskiego czynu — Złoty Róg.

Pośród cudownych świateł wielkiego świtu wolności nie dochodzi więc do skutku jedynie ich godne „Przymierze królów" pomiędzy wiekuistym Duchem narodu, a wodzem i władcą jego żyjącego pokolenia. Natomiast z konieczności zawiązuje się przymierze, zgoła innej duchowej miary, pomiędzy Jaśkiem, bez pawich piór i złotego rogu, a chochołem polskiej rzeczywistości. W cudowne światło świtu wnosi on wprawdzie uwięziony w nim „róży krzak" i przez to uratować może naród od doraźnej zguby. Zarazem jednak, w tej właśnie chwili osobliwej, krępuje on „róży krzak", utrzymuje życie narodu, w niewoli własnych żądz i pomimo wolności zewnętrznej może je wkońcu wręcz zadusić!

„Zaklęte słomiane straszydło", spłodzone z nieczystych żądz podczas „nocy ponurych wichrów łkań", wyrasta tedy na zbawcę życia w chacie weselnej, o świcie wolności. Szpetotę swą zanurza w jego błękitnej łunie. Jako weselny pan, wprowadza w nią oszołomioną gromadę w rytmie swej zniewolonej natury. Tłumaczy Jaśkowi Pierwszy Czar. On powstał naskutek wejścia chaty w światło wolności bez złotego rogu, którymby je przyjąć i w duszę narodu przeszczepić można. Powiada Chochoł:

To ich Lęk i Strach tak wzion,
posłyszeli Ducha głos . . .

Ażeby zaś przywrócić zaczarowanemu *Weselu* zdolność do życia, przynajmniej wegetacyjnego, oraz lunatycznego ruchu, chochoł-rzeczywistość, władca świtu wolności polskiej, rozkazuje Jaśkowi rozbroić gromadę z wszelkich narzędzi wielkiego świadomego dziejowego czynu i cisnąć te narzędzia „w piwniczny loch" zapomnienia. Wreszcie rozkazuje Jaśkowi odprawić nad letargikami szydercze gusła i odmówić pacierz wspak, co wyraźnie wskazuje, że chochołowa nad narodem moc duchowo jest ujemna. Jeśli nie wręcz szatańska, to co najmniej pogańska: wiedźmowo-uroczyskowa. Cieszy się Jaśko: „Zniknął czar". Rozczarowuje go weselny pan: „To drugi CZAR". Z rąk Chochoła słyszeć się daje „jakby z atmosfery błękitnej idąca muzyka weselna, cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu a jak źródło krwi żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca, jak rana świeża: — melodyjny dźwięk z polskiej gleby bólem i rozkoszą wykołysany". Odżywa w tej „weselnej muzyce" życie wegetacyjne, podświadome, duchowość usypiające, a zarazem samo skrępowane i cierpiące. Chochoł zachęca Jaśka: „Tańcuj, tańczy cała szopka!" Wobec tego wezwania przypomina się Jaśkowi utracona wiecha z pawich piór. Teraz Chochoł zupełnie już przestaje oszczędzać swego bezsilnego sprzymierzeńca. Przypomina mu po raz wtóry, w znanym refrenie, że zgubił nietylko czapkę z pawich piór, ale z jej powodu także złoty róg, oraz że wobec tego ogołocenia z najwyższego dobra i prywatnego i publicznego „ostał mu się ino sznur".

Sznur — to symbol dwuznaczny. Może ratować, więzić lub zadusić, podobnie, jak chochołowa słomiana powłoka, zależnie od pory, okoliczności i potrzeb „krzaka róży". O świcie wolności wszakże sznur staje się symbolem złym. Zaprzecza jej jeszcze groźniej, niźli chochołowe spowicie, w którem gromada narodowa może jednak wegetować, obracając się jak błędna. Obraca się też nadal, pogrążona w duchowej martwocie. Wtem zapiał kur. Jaśko, ostatni szczątek świadomości, jaki jeszcze w gromadzie pozostał, a którego Chochoł najwidoczniej chce muzyczką uśpić, na sygnał, zalecony mu przez gospodarza do uderzenia w złoty róg, przytomnieje, przypomina sobie, że „bez tego złotego dźwięku

pójdzie w niwecz cały ruch". Jaśko tedy, który tylko co z polecenia Chochoła sam rozbroił całe koło weselne, uderza w rozpaczliwy, rozgłośny aż do zachrypnięcia krzyk:

Jezu! Jezu! zapioł kur! —
Hej, hej bracia, chyćcie koni!
chyćcie broni, chyćcie broni!!
Czeka was WAWELSKI DWÓR!!!

Napróżno. Chochołowa, ciała żywiąca, dusze usypiająca muzyczka niewoli w ciepłem spowiciu rodzimych żądz, już na tę wiosnę niepowrotnie zdołała się podstawić w miejsce złotego dźwięku, co miał spotężnić Ducha i podjąć wielki dziejowy Los. Coraz namiętniej przygrywający Chochoł, przywołuje Jaśka do posłuszeństwa, rymując mu do „Wawelski Dwór": — „Ostał ci się ino sznur!" — Ostatniemi przebłyskami świadomości Jasiek stwierdza jeszcze z przerażeniem, że:

Nic nie słysom, nic nie słysom,
ino granie, ino granie,
jakieś ich chyciło spanie...?!

„Dech mu zapiera Rozpacz, a przestrach i groza obejmują go martwotą; słania się, chyla ku ziemi, potrącany przez zbity krąg tanecznikow, który daremno chciał rozerwać; — a za głuchym dźwiękiem wodzą się sztywno pary taneczne we wieniec uroczysty, powolny, pogodny, — zwartem kołem weselnem".

Weselny pan coraz silniej muzyczką przemaga nad Jaśkiem. Ostatni jego, napół już nieprzytomny krzyk brzmi: „Pieje kur; ha pieje kur..." Toby się rymowało podobnie, jak „Wawelski Dwór" do „Ostał ci się ino sznur!" Wszakże powtórzenie we finale tych słów mogłoby (przy powstałym tutaj układzie symbolów, w którym nieszczęsny Jaśko staje się bezwładnym władcą narodu) oznaczać i zostać zrozumiane jako tegoż narodu powrotna niewola i wręcz dziejowa śmierć. Tego Wyspiański nie chce, bo w Chochole, bądź co bądź, choć skrępowany, zaduszony, półmartwy, jednakże tkwi nadal żywy „róży krzak". Rodzaj, sposób i poziom życia tego „krzaka" uzewnętrznia się, przeniesiony w ludzkie „koło weselne", właśnie w jego podświadomym, wegetacyjno-kataleptycznym tańcu. Jest to pół-śmierć, która w świt wolności materjalnej wnosi i przedłuża dziedzictwo

niewoli dusz, niemoc twórczą ducha narodu. Jest to półśmierć, która żywotną mocą skrępowanego przez nią krzaka róży ratuje naród doraźnie od śmierci całkowitej. W dalszych zaś tego tragicznego położenia następstwach śmiercią całkowitą zagrażać może, ale jej bezwzględnie nie przesądza.

Przechwala się bowiem Chochoł: „Tęgo gram, tęgo gram, będą tańczyć cały rok!" Rok jest to okres wegetacyjny, po którego szczęśliwem przetrwaniu, wykazawszy należytą odporność na chochołową w wolności — niewolę, „róży krzak" doczekać się może i nowej „nocy ponurych wichrów łkań" i nowego krwawego świtu, i nowej wiosny. Wszystko zależy od tego, czy „róży krzak" okaże się zdolnym jeszcze, w warunkach wtórnie przedświtowych, ciężkich zatem i trudnych, wydać ze siebie ową gospodarską świadomą siłę, którąby chochołowi wydarła skradziony przezeń Złoty Róg, rozerwała Drugi Czar, Czar jego śmiertelnej muzyczki, rozcięła szpetną słomianą powłokę, uwolniła w porę moc twórczą „krzaka róży"...

Ostatnie słowa *Wesela,* wbrew rymowi, odcinają przeto Jaśka z dziejowej szubienicy, na którejby mógł zawisnąć przy rymie: „Ostał ci się ino sznur!.." Zamyka tragedję groźne, karzące, ale zarazem i wskazujące stwierdzenie: Miałeś chamie złoty róg!..

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Szczutowski.

Teatr Teofila Trzcińskiego w Krakowie (1931—32)

(Przyczynek do historji teatru w Polsce).

Faktem jest, że Teatr krakowski, któremu patronuje wielkie imię Juljusza Słowackiego, w ubiegłym sezonie (r. 1931—32) wysunął się na czoło teatrów w Polsce, stanął najwyżej z nich, nie wyłączając nawet scen stołecznych. Wysokie stanowisko swoje oparł na trzech fundamentalnych posadach: na repertuarze (t. j. na jakości i ilości sztuk), na inscenizacji i reżyserji niektórych (zwłaszcza wybitnych) dzieł literatury dramatycznej — i wreszcie na grze i solidarnej pracy aktorów. Budowniczym tego gmachu, który Krakowowi kulturalnemu doby współczesnej przynosi chlubę, jest dyrektor naszego teatru, inscenizator i reżyser — Teofil Trzciński.

Aby zanalizować i zrozumieć istotę każdej z przytoczonych przyczyn rozwoju krakowskiego teatru w ubiegłym sezonie, dobrze będzie przyjrzeć się nasamprzód, pokrótce przynajmniej, jak wygląda teatr Teofila Trzcińskiego — ten teatr polski na niewielkim odcinku, objęty klamrą jedenastu lat pracy zawodowej w Krakowie, a czternastu lat — jeśli do tego okresu dodamy pracę w Warszawie, Lwowie i Wilnie.

Przegląd repertuaru z tych lat wykazuje wybitną tendencję Trzcińskiego do t. zw. repertuaru wielkiego, oraz — do repertuaru opartego na sztukach polskich autorów, a w szczególności współczesnych. Czasy powojenne oddaliły publiczność od teatru, [1]) w którym dzisiejsi bywalcy chcą się

[1]) Zastanawiałem się nad tem zagadnieniem w artykule p. t. „Na marginesie przesilenia teatralnego w *Przeglądzie Powsz.*, październik 1931.

raczej bawić w formie najmniej artystycznej, nawet najmniej wybrednej, niźli wespół z autorami, aktorami i reżyserami celebrować na rzecz Sztuki — Poezji — Idei. W takich czasach realizować wielkie wizje poetyckie — to naprawdę bohaterstwo. Za taką śmiałość karze dyrekcję doraźnie widownia i kasa teatralna — pustką i niedoborem...

Otóż w tych nieszczęsnych czasach zmaterjalizowania i zepsucia smaku (począwszy od r. 1918—19) wystawia Trzciński w Krakowie: „Wyzwolenie", „Nieboską komedję" (z dekoracjami Frycza), „Tartuffe'a" i „Przyjaciół" Fredry. W tymże sezonie wprowadza on na scenę B. Katerwę („Urwis"), wystawia Jastrzębca - Zaleskiego, Szukiewicza („Odyss w gościnie" — dekoracje Frycza) i Konczyńskiego („Wygnany Eros"). Następny sezon (1919—20) przynosi już „zwyżkę" w wielkim repertuarze: „Śluby panieńskie", „Makbet", „Dziady" (insc. Wyspiańskiego), „Sędziowie", „Lilla Weneda" (insc. Trzcińskiego) — a z żyjących autorów polskich przemówili ze sceny: Rittner, Zapolska, Kampf, Rostworowski („Miłosierdzie"), Guranowski („Za Króla Sasa", w połączeniu z teatrem w teatrze i operą Walewskiego „Mąż dwóch żon").

Trzy następne sezony (r. 1920—21, 1921—22, 1922—23) są latami najchlubniejszej pracy Trzcińskiego w teatrze krakowskim. Widzimy w tem trzechleciu: „Noc Listopadową", „Dziady", „Wielkiego człowieka do małych interesów", „Teatr cudowności" Cervantesa, „Sługę trzech panów" Goldoniego", „Hamleta", „Rozbitki", „Zemstę" „Salome", „Tragedję florencką", „Klątwę" (pierwszy raz w Krakowie), „Horsztyńskiego" (w nowej inscenizacji Trzcińskiego i w dekoracjach I. Galla), „Mizantropa", „Matkę" (na jubileusz St. Przybyszewskiego), „Odludków i poetę", „Męża i żonę", „Marję Stuart" (Słowackiego), „Judytę" (Hebbel), „Wesele", „Fircyka w zalotach" — i wielką imprezę teatralną na dziedzińcu wawelskim: "Odprawę posłów greckich". W tym okresie zanotować trzeba następujące nazwiska autorów polskich, których Trzciński przypomniał lub wprowadził na scenę: Rittnera, Szukiewicza, Katerwę, St. I. Witkiewicza (debiut sceniczny), Winawera, Wroczyńskiego, Grabińskiego, Rostworowskiego („Straszne dzieci") i Galicę.

Dalszy okres dyrekcji Trzcińskiego (1923—24, 1924—25 i 1925—26) przypada na początki kryzysu gospodarczego w Polsce. Odbija się to przedewszystkiem w teatrach — a więc odbić się musi też w teatrze krakowskim. Przy tem zmienia się psychika widowni, gust publiczności zepsutej artystycznie kinem. Mimo tych trudności i przeciwności wchodzi na scenę krakowską: „Cyd", „Sen nocy letniej", „Świecznik" (Musseta), „Medea" (Eurypidesa), „Kordjan" (pierwszy raz w Polsce grany w całości), „Legjon", „Judasz" (Tetmajera), „Juljusz Caesar", „Skąpiec", „Wiele hałasu o nic", „Intryga i miłość" i cały cykl komedji Fredry. I znowu współcześni polscy pisarze dramatyczni: Jastrzębiec - Zaleski, Zegadłowicz (debiut), Morstin, Rittner, Wandurski (debiut), Halewicz (debiut).

Tak się przedstawia wizerunek sceny krakowskiej za pierwszej (ośmioletniej) dyrekcji Trzcińskiego w Krakowie — ale wizerunek sceny z t. zw. wielkim repertuarem i z obliczem współczesnej twórczości dramatycznej polskiej. Do tego bilansu należy dodać jeszcze pokaźną i wcale ciekawą sumę sztuk zagranicznych, choćby tylko przypomnieć: Strindberga „Adwent" (pierwszy raz w Polsce), Jacinto Benavente („Krąg interesów"), B. Shaw'a („Nawrócenie kpt. Brassbound'a" i „św. Joanna"), Arcybaszewa, Rostanda („Orlątko" — 56 przedstawień!), belgijskiego autora van Zype (pierwszy raz w Polsce jego „Siejba"), J. Kaisera (także pierwszy raz w Polsce), Jewreinowa („To co najważniejsze" — poza Rosją pierwszy teatr krakowski wystawił tę sztukę, tak że można ten spektal nazwać pra-premjerą europejską za granicami Rosji), Pirandella („Sześć postaci..." również prapremjera europejska poza Włochami), Vojnovic'a, Viers Jenssen'a, Galsworthy'ego, Rosso di San Secondo'a, japońskiego No („Kagekijo"), Claudela („Zwiastowanie" pierwszy raz na polskich scenach), Wedekinda, R. Rolland'a („Gra miłości i śmierci"), James Barrie'a („Pocałunek Kopciuszka") i tyle, tyle innych dramatów, komedyj i fars drugiego rzędu, których wyliczanie byłoby zbyt długie...

Jeśli więc chodzi o reprezentacje wielkiej poezji na scenie krakowskiej, to Trzciński w tym ośmioletnim okresie swej pracy szedł po drogach najwyższych, szedł po drogach

najszlachetniejszych ambicyj, na których mogą kierownikom teatrów tylko przyświecać nazwiska nieśmiertelne: Eurypidesa, Szekspira, Kochanowskiego, Corneille'a, Molière'a, F. Schillera, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Musset'a, Hebbla, Fredry, Wyspiańskiego... Tych twórców Trzciński pokazał Krakowowi powojennemu — i pokazał w reżyserji i szacie nowej — zawsze wspaniałej. I na tych drogach nawiązuje wysoko i szeroko rozpiętym łukiem do wielkiej a niezapomnianej tradycji teatru Tadeusza Pawlikowskiego, Józefa Kotarbińskiego i Ludwika Solskiego — zasłużonych włodarzy sceny krakowskiej z jej najświetniejszego okresu. Ten owocny wysiłek Trzcińskiego przypominam tem chętniej, że czasy jego pierwszej dyrekcji, jako powojenne, nie były szczęśliwe, nie sprzyjały rozwojowi teatrów w Europie, a więc i w Polsce — że publiczność zmaterjalizowana, daleka od poezji, a jeszcze dalsza od przeszłości wielkiej poezji, jeśli chodziła do teatru, to jedynie po lekką zabawę i rozrywkę, dla sensacyj zagranicznych — a niekiedy (jeśli mówiło się o eksperymentach formalnych) przez snobizm. W takich warunkach realizować wielki repertuar — to zaiste trzeba być fanatykiem teatru, romantykiem zabłąkanym w czasy więcej niż pozytywne, więcej niż zmaterjalizowane — bo wyprane z wszelkich ambicyj teatralnych, literackich i artystycznych.

W takich to czasach Trzciński utrzymał teatr swój na równej i obowiązującej Polskę wadze z teatrami wielkimi zagranicą — a mając takie silne oparcie, mógł śmiało — jak to już wspomniałem — wprowadzać do Polski: hiszpańskiego dramaturga, Jacinto Benawente, belgijskiego — van Zype, rosyjskiego — Jewreinowa, włoskich — Pirandella, Sem Benelli'ego, Rosso di San Secondo'a, francuskiego — Claudel'a i wreszcie norwegskiego — Viers Jenssen'a. I mógł w tym czasie wyszukiwać talenty polskie i mógł nawet zdobyć się czy też odważyć się na — eksperymenta, choćby wspomnieć tylko nazwiska: St. Ign. Witkiewicza, Wandurskiego i Hulewicza.

Takim był w zasadzie i w ogólnym zarysie repertuar teatru Trzcińskiego od r. 1918 do r. 1926. Ale scena krakowska tego okresu była też pod okiem Trzcińskiego-reży-

sera szkołą młodych aktorów, doskonałą odskocznią dla ich talentów. Tutaj i w tym właśnie czasie odnaleźli swe drogi: Zygmunt Nowakowski (niezapomniany Konrad w „Wyzwoleniu" i Cyrano w Cervantesa „Cyrano de Bergerac"), Tadeusz Białkowski (książe Reichstadt w „Orlątku" Rostanda), J. Guttner, W. Bracki (Makbet), A. Szymański, Krasnowiecki, J. Orwid, R. Niewiarowicz, A. Socha, J. Leliwa — a z artystek: R. Łuszczkiewicz - Gallowa (królowa w „Hamlecie", Roza Weneda w „Lilli Wenedzie"), L. Pancewiczowa (Marja Stuart, Panna młoda w „Weselu"), L. Bracka, J. Żmijewska, A. Kacicka, Ż. Jaroszewska, K. Lubieńska, J. Zaklicka — żeby tylko wspomnieć tych, którzy dziś są filarami i gwiazdami scen polskich w tragedji, komedji lub nawet farsie.

Zapoznawszy się w najogólniejszym zarysie z postawą Teofila Trzcińskiego jako dyrektora teatru w Krakowie od r. 1918 do 1926, — możemy teraz bliżej przyjrzeć się bilansowi repertuaru teatru krakowskiego za ostatni (1931—32) sezon pod jego rządami. Biorę dlatego jedynie ten ostatni rok (w ostatnim trzechleciu dyrekcji Trzcińskiego w Krakowie), gdyż w tymże czasie dopiero miał Trzciński absolutną swobodę i niezależność w kierowaniu (inicjatywa i realizacja) repertuarem. Aby obraz repertuaru teatru krakowskiego był wymowny i przekonywujący, podaję zestawienia repertuaru teatrów dramatycznych tych miast polskich, które w ubiegłym sezonie okazały największą aktywność i powagę artystyczną.

TEATR NARODOWY
w Warszawie
(*dyr. St. Krzywoszewski*)

Leczycki: „Sztuba"
Szaniawski: „Adwokat i róże"
Marchand: „Logika Baltazara"
Kraszewski: „Miód kasztelański"
Szaniawski: „Fortepian"
Schiller: „Don Karlos"
Forzano: „Sto dni"
Skeldon: „Historja dwóch serc"
Pagnol: „Fanny"

TEATR LETNI
w Warszawie

Doillet: „Kłopoty Bourrachona"
Moncey: „Pan naczelnik to ja"
Ellis: „Omal nie noc poślubna"
Przybylski: „Wicek i Wacek"
Rapacki: „Wesoły wspólnik"
Verneuil: „Bank Nemo"
Kiedrzyński: „Życie jest skomplikowane"
Wakefield: „Adwokat w opałach"

TEATR NOWY
w Warszawie

Miłaszewski: „Drugie imię miłości"
Lenz: „Trio"
Mangham: „Święty płomień"
Commasso - Oxilia: „Młodość szumi"
Jewreinow: „Miłość pod mikroskopem"

TEATR POLSKI
w Warszawie:
(dyr. A. Szyfman)

Mangham: „Oto kobieta"
Guitry: „Marietta"
Szekspir: Romeo i Julja"
Bruckner: „Elżbieta, królowa Anglji"
Czyżowski: „Virtuti militari"
Katajew: „Defraudanci"
Siedlecki: „Ich synowa"
Shaw: „Pygmaljon"
Nowaczyński: „Komedja amerykańska"
Shaw: „Zbyt prawdziwe, aby było dobre"

TEATR MAŁY
w Warszawie

Maszyński: „Katastrofa"
Verneuil: „Azais"
Fodor: „Dr. Julja Szabo"
Kiedrzyński: „Szczęście od jutra"
Winawer: „Poprostu truteń"
Kuncewiczowa: „Miłość panieńska"
Morstin: „Dzika pszczoła"
Verneuil: „Orzeł czy reszka"

TEATR ATENEUM
w Warszawie
(dyr. St. Jaracz)

Korczak: „Senat szaleńców"
Romains: „Szkoła obłudy"
Büchner - Szczegłowitow: „Danton"
Fredro: „Damy i huzary"
Zapolska: „Panna Maliczewska"
Porchè: „Car Lenin"
Mihàly: „Mam lat 26"
Afinogenow: „Strach"

TEATR WIELKI I ROZMAITOŚCI
we Lwowie
1. *(dyr. W. Siemaszkowa)*

Niewiarowicz: „I co z takim robić"
Mangham: „Kiedy wrócisz"
Zapolska: „Moralność pani Dulskiej"
Fodor: „Kołysanka"
Melcerowa: „Rozbite marzenia"
Fraccaroli: „Wiedza radosna"
Fijałkowski: „Wierna kochanka"
Leczycki: „Sztuba"
P. Frank: „Grand Hotel"
Sienkiewicz: „Ogniem i mieczem"
Sienkiewicz: „Potop"
Vaszary: „Gramy operetkę"

2. (Zespół Jaskółki: *dyr. J. Starska*)

Niemcewicz: „Powrót posła"
Jastrzębiec-Zalewski: „Burza w szklance wody"
Niccodemi: „Cień"
Wroczyński: „Wywczasy Don Juana"
Rapacki: „Wysoka stawka"
Perzyński: „Szczęście Frania"

3. (od stycznia: *dyr. W. Horzyca*)

Conners: „Roxy"
Rittner: „Wilki w nocy"
Shaw: „Czarna dama z sonetów"
Miłaszewski: „Drugie imię miłości"
Szekspir: „Sen nocy letniej"
V. Baum: „Ludzie w hotelu"
Kiedrzyński: „Szczęście od jutra"
Mickiewicz: „Dziady"

Shaw: „Związek niedobrany"
Nałkowska: „Dzień jego powrotu"
O'Neill: „Czarne Ghetto"
Dodge-Parsyval: „Hau - hau"
Tretjakow: „Krzyczcie Chiny"
Alsberg - Hesse: „Śledztwo"
Doillet: „Kłopoty Bourrachona"
Słowacki: „Sen srebrny Salomei"
Flers i Caillavet: „Papa"

TEATR POLSKI
w Poznaniu
(dyr. B. Szczurkiewicz)

Fredro: „Wielki człowiek do małych interesów"
Conners: „Roxy"
Dickens: „Świerszcz za kominem"
Birabeau: „Lazurowe wybrzeże"
Hertz: „Młody las"
Arnold - Bach: „Hulla di Bulla"
Brandowski: „Serajewo 1914"
Siedlecki: „Ich synowa"
Łopalewski: „Aurelciu nie rób tego"
Földessy: „Bądź moim stryjem"
Verneuil: „Tak się zdobywa kobiety"
Miłaszewski: „Drugie imię miłości"
Zuckmayer: „Kapitan z Köpenick"
Marynowski: „Rozwód"
Katajew: „Miljon udręk"
Szekspir: „Romeo i Julja"
Arnold-Bach: „Hiszpańska mucha"
Fijałkowski - Markiewicz: „Sprawa końcowa"
Ellis: „Omal nie noc poślubna"
Rostworowski: „U mety"
Mary Lucy: „Dziewczyna i hipopotam"
Gignoux-Théry: „Niedojrzały owoc"
Junosza-Przybylski: „Baby"
Engel-Horst: „Raj opryszków"
Krumłowski: „Królowa przedmieścia"

TEATR MIEJSKI IM. J. SŁOWACKIEGO
w Krakowie
(dyr. T. Trzciński)

Kiedrzyński: „Powrót do grzechu"
Słowacki: „Mindowe"
Benavente: „Krąg interesów"

Fodor: „Rabunek u jubilera"
Rice: „Ulica"
Mickiewicz: „Dziady"
Wyspiański: „Wyzwolenie"
Zabłocki: „Fircyk w zalotach"
Achard: „Mistigri"
Ring-Wiśniowski: „Odnalezione serce"
Hertz: „Młody las"
B. Frank: „Burza w szklance wody"
Winawer: „Poprostu truteń"
Rydel: „Betleem polskie"
Mary Lucy: „Dziewczyna i hipopotam"
Zapolska: „Panna Maliczewska"
Madis-Boucard: „X—33"
Marchand: „Baltazar"
Moncey: „Pan naczelnik to ja"
Doillet: „Kłopoty pana Bourrachona"
Euripides: „Ifigenja w Aulis"
Szaniawski: „Fortepian"
Rocca: „Tragedja bez bohatera"
Morstin: „Dzika pszczoła"
Engel-Horst: „Raj opryszków"
Czyżowski: „Virtuti militari"
Goethe: „Egmont"
Andrejew: „Ten, którego biją po twarzy"
Mereżkowski: „Car Paweł"
Bakonyi: „Żółta rękawiczka"
Fredro: „Damy i huzary"
Waśkowski: „Makryna"
Rostworowski: „U mety"
Dodge-Parsyval: „Hau-hau"
Lenz: „Perfumy mojej żony"
Krumłowski: „Królowa przedmieścia"

Powyższe zestawienie daje przedewszystkiem obraz repertuaru naszego pod względem ilości przewyższającego inne repertuary w Polsce. Następnie obraz prapremjer sztuk polskich autorów. Otóż teatr krakowski stoi pod tym względem narówni z poznańskim. Mianowicie: teatry te zdobyły po cztery prapremjery sztuk polskich autorów. Kraków: Józefa Wiśniowskiego (przeróbka z Ringa) „Odnalezione serce", B. Winawera „Poprostu truteń", Ludwika Hieronima Morstina „Dzika pszczoła" i Antoniego Waśkowskiego „Makryna" (debiut), a Poznań — Adama Grzymały

Siedleckiego „Ich synowa", Marynowskiego „Rozwód", Fijałkowskiego-Markiewicza „Sprawa honorowa" i K. H. Rostworowskiego „U mety". Jeśli zestawimy te cyfry ze stanem polskich premjer w innych teatrach, to przekonamy się, że: z warszawskich teatrów najwięcej premjer współczesnych autorów polskich dał Teatr Mały (A. Szyfmana), a więc: Maszyńskiego („Katastrofa"), Kiedrzyńskiego („Szczęście od jutra") i Kuncewiczowej („Miłość panieńska") — później idą: Teatr Polski (Czyżowskiego „Virtuti militari" i Nowaczyńskiego „Komedja amerykańska", Teatr Letni (Rapackiego „Wesoły wspólnik" i Kiedrzyńskiego „Życie jest skomplikowane") — wreszcie: Teatr Narodowy (Szaniawskiego „Fortepian"), Teatr Nowy (Miłaszewskiego „Drugie imię miłości") i Teatr Ateneum (Korczak „Senat szaleńców"). Żaden więc ze stołecznych teatrów nie dorównuje liczbą współczesnych premjer polskich teatrowi Teofila Trzcińskiego. Nie może również stawać do konkursu teatr we Lwowie w tym sezonie, który za dyrekcji Wandy Siemaszkowej dał tylko jedną premjerę sztuki współczesnego autora polskiego (Melcerowej „Rozbite marzenia"), a za dyrekcji J. Starskiej i W. Horzycy — nic.

Jeśli teraz rozejrzymy się wśród prapremjer autorów obcych w Polsce, to znowu teatr krakowski w tym sezonie za dyrekcji Trzcińskiego zajmuje pierwsze miejsce. Widzieliśmy zatem pierwsi na terenie Rzeczypospolitej: „Rabunek u jubilera" Fodora, „Mistigri" Acharda, „Burzę w szklance wody" B. Franka, „Dziewczynę i hipopotama" Mary Lucy, „Tragedję bez bohatera" Rocca i „Raj opryszków" Engela-Horsta. Pod tym względem na drugiem miejscu stoi teatr lwowski za wszystkich trzech dyrekcyj (Fodora „Kołysanka", Vaszary'ego „Gramy operetkę", Shawa „Czarna dama z sonetów", O'Neill'a „Czarne Ghetto" i Tretiakowa „Krzyczcie Chiny"). Dalsze miejsca zajmują: teatr poznański (Arnolda-Bacha „Hulla di Bulla", Feldessy'go „Bądź mi stryjem", Zuckmayera „Kapitan z Köpenick" i Katajewa „Miljon udręk", warszawski teatr Ateneum (Romains'a „Szkoła obłudy", Büchnera-Szczegłowitowa „Danton", Porchè'a „Car Lenin" i Afinogenowa „Strach"), warszawski Teatr Narodowy (Marchanda „Logika Baltazara",

Forzano'a „Sto dni" i Pagnol'a „Fanny"), warszawski Teatr Letni (Doilleť'a „Kłopoty Bourrachona", Ellis'a „Omal że nie noc poślubna" i Verneuill'a „Bank Nemo"), i wreszcie warszawski Teatr Nowy (Commasio'a-Oxilia'a „Młodość szumi"). Na dobro tego teatru trzeba jednak zapisać Jewreinowa „Miłość pod mikroskopem" — którą dyrektor Krzywoszewski wystawił pierwszy poza granicami Rosji, a zaś na dobro Teatru Polskiego — Shaw'a „Zbyt prawdziwe aby było dobre", którą to sztukę znowu pierwsza poza Anglją widziała Warszawa.

Teatr krakowski takich właśnie prapremjer obcych autorów w tym sezonie nie posiada w swoim repertuarze.

Najbardziej jednak interesującem będzie zestawienie nowych inscenizacyj utworów z wielkiego repertuaru. I tutaj znowu Teatr Teofila Trzcińskiego zajmuje naczelne miejsce pod względem ilości sztuk i pod względem wartości artystycznej.

Przyjrzyjmy się nasamprzód statystycznemu porównaniu tych premjer w teatrze krakowskim z premjerami w innych teatrach.

Trzciński wystawił w ostatnim sezonie pięć sztuk z wielkiego repertuaru w zupełnie nowej inscenizacji: „Mindowe" Słowackiego, „Dziady" Mickiewicza, „Wyzwolenie" Wyspiańskiego, „Ifigenję w Aulis" Eurypidesa i „Egmonta" Goethego. Najbliższym na tym froncie będzie mu teatr lwowski (dyr. Horzycy), gdzie wystawiono trzy sztuki: „Sen nocy letniej" Szekspira, „Dziady" Mickiewicza i „Sen srebrny Salomei" Słowackiego. Dalej widzimy teatr poznański (dwie sztuki: „Wielki człowiek do małych interesów" Fredry i „Romeo i Julja" Szekspira) i teatry: Narodowy w Warszawie („Don Karlos" Schillera), Polski w Warszawie („Romeo i Julja" Szekspira) i Ateneum w Warszawie („Damy i husary" Fredry).

Zobaczmy teraz czy i l o ś c i tej, dominującej ponad repertuar wielki innych polskich teatrów, odpowiadają w a r t o ś c i artystyczne nowo inscenizowanych sztuk.

Kiedy Trzciński wystawiał „Mindowego" w krakowskim teatrze, mijało właśnie sto lat, jak powstał ten dramat — jak zabłysła ta pierwsza gwiazda nad kolebką polskiego

dramatu poetyckiego. Zatem teatr krakowski uczcił godnie wielką rocznicę. Słowacki, sto lat temu, przeglądając swój dramat, przyszedł był do przekonania, „że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu". Może więc dlatego Trzciński, inscenizując „Mindowego", kierował się nie tylko względami tematycznemi, ale i artystycznemi.

Chcąc zrozumieć intencje Trzcińskiego, należy przyjrzeć się wszystkim znamionom tego dramatu. „Mindowe" — jest to pierwszy, młodzieńczy utwór sceniczny Słowackiego, jest to obraz historyczny w typie tragedyj Szekspira, dźwigający na sobie ciężar wpływów przedewszystkiem nieśmiertelnego twórcy „Hamleta", a wreszcie Byrona i Mickiewicza.

Wpływy czy naśladownictwa?

Przeczytajmy co w tej sprawie pisze sam poeta:

„Dzisiejsi poeci — pisze Słowacki — muszą również jak dawniejsi, w myślach spotykać się, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowo naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło genjuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza... że wreszcie... krzyk Aldony umierającej w Wallenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Paraziny".

Nie należy zatem doszukiwać się dzisiaj w „Mindowem" wyłącznie wpływów i naśladownictw i — co dla nas ważniejsze — nie wolno inscenizatorowi usuwać z dzieła Słowackiego nic, coby wskazywało na wpływy i naśladownictwa. Takie stanowisko — takie teatralne poprawianie „Mindowego" — rzuciłoby cień na istotne wartości dramatu, idące z ducha i poetyckiej postawy Słowackiego na tle epoki i na tle dnia dzisiejszego.

Jak wyglądają te wartości?

Cała koncepcja i konstrukcja utworu oparta jest na dwu elementach: historycznym i romantycznym. Będą one później — za dodaniem trzeciego, egotycznego — dominantą całej twórczości Słowackiego — dramatycznej, epickiej i lirycznej. W „Mindowem" poeta zupełnie ukrył siebie i własne

uczucia, tem silniej za to uwypuklił pierwiastek dziejowy, jako tło i istotę dramatu, a romantyczny, jako jego nadbudowę literacko-poetycką. Otóż inscenizacja Trzcińskiego musiała rozwijać się po takiej linji, na której znalazłoby się najwięcej punktów stycznych dramatu z dniem dzisiejszym: po linji historji, a raczej historjozofji utworu. Ale aby tak zrealizować szeroki obraz historyczny Słowackiego, trzeba było przyćmić inny, trzeba było skreślić niejedno ze scen romantycznych dramatu — a mianowicie: niejedno ze scen tragicznej kwestji Aldony i męża jej, Dowmunta. To więc, co pozostało na krakowskiej scenie z nieszczęśliwej miłości Aldony — to zaledwie wątła nić, przewijająca się między potężnemi zamysłami Rognedy, Mindowego, Trojnata i Krzyżaków, a zwłaszcza posła papieskiego, Hejdenricha, które to zamysły tem plastyczniej występują na plan pierwszy i tem tragiczniej malują dusze księcia litewskiego, nastroje na dworzyszczu jego i wreszcie potęgę Krzyżactwa. Prawda dziejowa, zamknięta w szereg obrazów, i siła ekspresji, z jaką poeta wypowiada myśl, tworzą wskutek tego szybko w świadomości widza refleksje, ogniwa łączące przeszłość narodu polskiego z dobą dzisiejszą w stosunku do współczesnych Krzyżaków. A zatem także na tle poetyckiego obrazu walk krzyżacko-litewskich rysuje się zdecydowana już postawa Słowackiego jako przyszłego historjozofa.

I oto w dzień premjery „Mindowego", kiedy mijał wiek cały od narodzin naszego dramatu narodowego, gdy oglądaliśmy na scenie realizację pierwszej wizji dramatycznej twórcy „Horsztyńskiego" — łatwo zrozumieliśmy sens wystawienia utworu, na który niejeden z krytyków i historyków literatury patrzy obecnie co najwyżej — pobłażliwie.

Ale obok skreśleń dramatu poczynił Trzciński w swoim układzie scenicznym „Mindowego" także pewne przesunięcia formalne, teatralne. Do najszczęśliwszych pomysłów zaliczę ten z pierwszego aktu, który nakazał reżyserowi wprowadzić przed oblicze Trojnata chór kapłanów litewskich. Jeden z nich podaje królewskiemu synowcowi sztylet. Ta inwencja ilustruje w sposób sceniczny myśl Trojnata, deklamującego monolog. Szczęśliwe też wydaje mi się przesunięcie sceny Aldony z Dowmuntem ze sali zamkowej w II akcie

na dziedziniec zamkowy pod wieżą więzienną do aktu III (scena II). Zyskało się przez to konieczny skrót dramatu, a moment dziejowy wyszedł tem plastyczniej.

Natomiast pewne zastrzeżenia nasuwają się z powodu przesunięcia tekstu Trojnata w ostatniej scenie piątego aktu i ów śpiew Krzyżaków w niemieckim języku, zamykający tragedję. Wobec plastyki i przekonywującej siły innych scen, ten finał malujący potęgę Krzyżactwa wydaje się zbyteczny i nie bardzo harmonizujący ze stylem obrazu historycznego.

Drugą chlubą repertuaru teatru krakowskiego było wystawienie „Dziadów" Mickiewicza w inscenizacji i reżyserji Teofila Trzcińskiego. Od lat trzydziestu oglądaliśmy ten nieśmiertelny poemat w realizacji scenicznej Stanisława Wyspiańskiego. Obecnie nowy pomysł Trzcińskiego zainteresował niemało krakowską publiczność, co odbiło się zaraz na — prawie wypełnionej widowni. Przyczynił się do tego także zawsze entuzjastycznie witany na krakowskiej scenie Juljusz Osterwa.

Na dobro nowej inscenizacji Trzcińskiego trzeba zapisać przedewszystkiem to, że dekoracje, jako ramy i realna podstawa tekstu, zostały skomponowane syntetycznie i pozwoliły reżyserowi poszczególne sceny i obrazy wielkiego poematu przesuwać przed oczyma widza szybko, przy bardzo nieznacznej zmianie, a nawet niektóre sceny wiązać synchronicznie w całość. Syntetyczność dekoracyj polegała mianowicie na wyzyskaniu dla akcji ustawionych ramowo i pogłębionych obu stron sceny, oraz ściany środkowej, t. j. tła, przy czem był tu pomocny system kotarowy.

Drugim szczęśliwym pomysłem reżyserskim było efektowne operowanie światłem, a raczej ciemnością. Prawie wszystkie odsłony, a przedewszystkiem wszystkie momenty, kiedy do głosu przychodził świat nadprzyrodzony, odbywały się w mrokach, a osoby rozgrywające dramat, były oświetlone promieniem w ten sposób, że sylwety czy plamy ich rysowały się wizyjnie na tle i w atmosferze ciemności.

Ale o ile w tym kierunku pomysłowość i inwencja twórcza Trzcińskiego — inscenizatora i reżysera — odniosły sukces, o tyle trudno zgodzić się z tematycznem ujęciem, a raczej skreśleniem końcowych scen.

Tu nasuwają się zastrzeżenia.

„Dziady" składają się z trzech zasadniczych elementów: z osobistego dramatu Gustawa, z obrazu martyrologji narodu polskiego — i wreszcie z emanacji tych potęg, z wyrosłego na tych dwóch bazach prometeizmu Konrada. Artystycznem tłem będzie tu tradycyjny na Litwie obrzęd „Dziadów", który otwiera i zamyka linję kompozycyjną arcydzielnego poematu. Trzciński usunął w swej inscenizacji całą dramatyczną scenę — jedną z najpotężniejszych, jeśli chodzi o teatr Mickiewicza — wielką scenę balu, ową scenę z senatorem, z panią Rollison i księdzem Piotrem, oraz ostatnią scenę, wyobrażającą „Noc Dziadów" na cmentarzu (Guślarz i kobieta) i przez to osłabił podstawę elementu martyrologicznego, prometeizmu Konrada, siłę dramatyczną ks. Piotra i wreszcie: nie zamknął linji kompozycyjnej poematu. W takiej inscenizacji „Dziady" są tematycznie nie rozwiązane, artystycznie — niezamknięte, a zatem: teatralnie nieskończone.

Zresztą skróty w innych scenach zostały naogół pomyślane bardzo szczęśliwie, choć można było — jeśli chodziło o ekonomję czasu na przedstawieniach „Dziadów" — na rzecz wielkiej sceny ze senatorem i panią Rollison opuścić naprzykład (prześlicznie zresztą jako obraz pokazany) monolog Dziewicy, opowiadanie kaprala w celi więziennej, a także częściowo opowiadanie Sobolewskiego i niektóre śpiewy.

Dowód rzadkiej odwagi i dobrej woli pokazał Trzciński, wystawiając w własnej inscenizacji „Ifigenję w Aulis" Eurypidesa. Aby łatwiej zrozumieć głęboki sens wystawienia tej tragedji, aktualność jej literacką i teatralną — spróbuję rzucić kilka ogólnych rysów syntetycznych i charakterystycznych na temat zagadnień tematycznych i artystycznych Eurypidesowej „Ifigenji w Aulis".

Wielkie dzieła sztuki — a więc i poezji — są wieczne, są zawsze aktualne. Wieczystość ich polega przedewszystkiem na prawdzie i mądrości, które są problemem każdego czasu i zawsze obchodzą i zastanawiają każdego myślącego człowieka. Wieczystym problemem „Ifigenji w Aulidzie" Eurypidesa jest idea ofiary — wiara w potrzebę i w sku-

teczność spełnienia jej dla dobra narodu. Poeta grecki uscenizował, udramatyzował tę ideę w formie jaką dopuszczało pogaństwo, na kilkaset lat przed przyjściem Chrystusa, który przez Swoje Boskie posłannictwo i śmierć męczeńską nauczył nas składać ofiarę w miłości i poświęcać się dla drugich. Poeta grecki — pogański — zbliża się więc poniekąd na tej drodze do idei mesjanizmu, który dziś przecież jest — a przynajmniej powinien być — drogowskazem każdego Polaka o ideologji chrześcijańskiej. Dalszemi szczeblami wieczystej prawdy i mądrości „Ifigenji" — to sprawiedliwe pojęcie różnicy między szczęściem jednych, a krzywdą drugich — to poczucie obowiązku rodziny dla sprawy narodu.

Wieczystość wielkiego dzieła sztuki polega dalej na formie, która bynajmniej nie wynika z chwilowych upodobań, to jest — mody, ale rodzi się z nieubłaganych przykazań harmonji i ładu, a nazywa się poprostu — stylem. Artysta — poeta — tworzy sztukę na podwalinach prawdy i piękna, a życie idące w pochodzie wieków jest jej zawsze wiernym i wdzięcznym odbiorcą. I oto odsłania się tajemnica, dlaczego dzieła wielkiej sztuki — wielkiej poezji — są dla każdego wieku i pokolenia aktualnemi, i oto wytłumaczenie sensu wprowadzenia na scenę dzisiejszą tragedji greckiej.

Teatr helleński jako forma jest niezmienny — i jako taki musi pozostać. Tego wymaga jego charakter, tego wymaga jego styl. Ale technika realizacji teatralnej może być uwspółcześnioną. Zasadą teatru greckiego jest dialog, który powstał z pierwiastków epicznych — i chór, który rodowód swój wywodzi z liryki. W tragedjach Eurypidesa dialog doprowadzony jest do mistrzostwa i równocześnie zauważyć się daje pewna dekadencja chóru (później — w komedji nowoattyckiej — odgrywa on rolę kręgów tanecznych, w akcji nie bierze udziału), i dlatego dzisiejsi reżyserzy przy wystawianiu Eurypidesowej tragedji ważą się niekiedy na pomysł usunięcia ze sceny chórów, a pozostawienia jedynie pierwszej wartości bezpośredniej akcji, gry psychologicznej. Próby takich przedstawień Eurypidesa odbywały się już dawniej, przed wybuchem wojny, na zagranicznych scenach (Włochy) —

i taką próbę pokazał nam obecnie Teofil Trzciński w teatrze krakowskim, wystawiając „Ifigenję w Aulis". O ten sposób realizacji tragedji helleńskiej, sposób redukujący chóry — można się spierać. Ma on swoje logiczne i artystyczne uzasadnienia, jeśli zważymy krytycznie znaczenie chóru u Eurypidesa, znajdzie on też i słuszne zarzuty, jeśli będziemy się upierać przy niezmienionym typie tragedji greckiej — przy jej formie — przy jej stylu. Na jednym i na drugim stanowisku musimy przecież liczyć się z psychiką dzisiejszej widowni, która przyjmuje niechętnie wszystko, co na scenie nie jest akcją — co jest jedynie wielkim teatrem słowa. I musimy dziś tę psychikę respektować.

Kwestja do dyskusji otwarta. Co do mnie: bronię konserwacji chórów, bo — mimo wszystko — widzę ich rację, tak jak widział ich tematyczną i artystyczną logikę Eurypides.

Drugim pomysłem inscenizatorskim Trzcińskiego była ilustracja muzyczna (Gluck) tragedji Eurypidesowej. Pomysł szczęśliwy. Ilustracja była dyskretną i była utrzymaną w nastroju. Wypadłaby jeszcze lepiej, gdyby jej nie nadużywano w niektórych scenach (np. początek aktu I, nieliczne sytuacje nieme), oraz gdyby udało się kompozycje Glucka wykonać na instrumentach zbliżonych do tych, których używali starożytni Grecy — wprowadziłoby to może widownię w nastrój dionizyjskiego teatru... Dalej — technika dzisiejszego teatru pozwoliła reżyserowi uwspółcześnić tragedję helleńską przez zastosowanie pewnej optyki — błyskawic, pędzących chmur, nocy gwiaździstej, świtu... oraz akustyki — wichrów, gromów i tym podobnych efektów zapożyczonych z rekwizytorni romantycznej. Pokazało się, że takie efekty nie obciążają piękna i nie mącą spokoju tragedji klasycznej, która mimo wszystko zdradza wiele pierwiastków romantycznych.

Ale co wydaje mi się najważniejszem w reżyserji Trzcińskiego Eurypidesowej „Ifigenji w Aulis", to prowadzenie gry aktorów (przynajmniej tych, którzy grali pierwszoplanowe role) po linji takiej, którąby szła interpretacja współczesnego dramatu psychologicznego, powiedziałbym nawet: kameralnego.

Ludzie tragedji Eurypidesa, to — aczkolwiek mit homerowy — przecież jednak wyjęci są z życia codziennego, w zaletach i w wadach realni, w przeciwieństwie do bohaterów Ajschylosa, który ich przedstawiał w cnotach, namiętnościach i czynach jako nad-ludzi, herosów na miarę bogów — lub Sofoklesa, który swoje postacie w tytanicznej a tragicznej akcji idealizował. Dlatego Trzciński zrozumiał i uznał za jedynie słuszne, że gra dzisiejsza aktora w Eurypidesowych rolach winna być wypadkową dwuch kierunków: realizmu i gestu o nieskazitelnem pięknie klasycznem, gestu dalekiego jednak od patosu. I po tej linji poprowadził grę Jadwigi Zaklickiej (Ifigenja), Jadwigi Żmijewskiej (Klitajmestra) i Wacława Nowakowskiego (Agamemnon). Ten umiar artystyczny, pozwalający w teatrze doby obecnej rozwijać role wielkiego tragika Hellady w sposób żywy, naturalistyczny, a zarazem klasycznie spokojny i dostojny, przy tem zdala od koturnowej sztuczności — to naprawdę pomysł szczęśliwy, bo nowy i głęboki, to zadanie trudne dla reżysera i aktora, ale też i dla obu zasłużony triumf.

Najmniej wdzięcznym dla inscenizatora był „Egmont" Goethego. Teatr Słowackiego wystawił w setną rocznicę śmierci największego poety Niemiec — „Egmonta", według jego pierwotnego, oryginalnego tekstu, w układzie scenicznym i reżyserji Trzcińskiego. Powiedziałem: według pierwotnego, oryginalnego tekstu, gdyż długie lata pokutował „Egmont" w przeróbce Schillera na scenach niemieckich. Dopiero od roku 1810 przywrócono (w wiedeńskim Burgteater) pierwotny, oryginalny tekst (w tym roku zastosowano też po raz pierwszy do tej tragedji ilustrację muzyczną Beethovena), a sam Goethe nazywa tę schillerowską adaptację — okropną.[1]) Na krakowskiej scenie układ sceniczny pokrywał się w zupełności z tekstem, a skróty dały się zauważyć tylko w dialogach wstrzymujących bieg akcji. Jedynie w akcie V dwie rozdzielone sceny w więzieniu złączył Trzciński w jedną. W ten sposób pięcioaktowa tragedja zamknęła się w 12 odsłonach syntetycznych i zwartych. Trzciński wyreżyserował „Egmonta" — którego to przedsta-

[1]) *Ueber das deutsche Theater* 1815.

wienie należy właściwie uważać za premjerę, bo t. zw. prapremjera odbyła się przed czterdziestukilku laty w Starym Teatrze, a z ówczesnych wykonawców jeden chyba Ludwik Solski mógłby o niej coś powiedzieć — z wielkim pietyzmem, dając tej realizacji scenicznej (podobnie jak w „Ifigenji") dwie piękne oprawy: muzyczną, opartą na motywach Beethovena, poprzedzającą każdą odsłonę, i malarską, którą w dekoracjach uzewnętrznił p. Różański stylowo, ale realistycznie.

Ostatnią ciekawą inscenizacją Trzcińskiego w ubiegłym sezonie była — „Królowa przedmieścia" Konstantego Krumłowskiego.

Jakże się to stało, że pisaną z myślą o scenach ludowych „Królowę przedmieścia" wystawił teatr miejski — dlaczego wystawiono ją właśnie na wielkiej scenie imienia Słowackiego?

Byłem swojego czasu, kiedy to likwidowano w Krakowie Teatr Ludowy, jednym (a bodajże czy nie jedynym) wśród tych, którzy bronili zaciekle tej placówki kultury ludu — dzwoniłem na alarm, że po zburzeniu takiego przedniego okopu, padnie wielka twierdza ducha. Teatr Ludowy przecież lat tyle nietylko bawił pospólstwo, ale też popularyzował sztukę, uczył te szerokie masy (a więc i młodzież!) kochać sztukę, poznawać sztukę — słowem: wychowywał i przygotowywał publiczność, aby kiedyś mogła się stać godną i pełną widownią w obliczu wielkiej sceny. Dziś oto żywemi oczyma oglądamy fatalny skutek zamknięcia Teatru Ludowego w Krakowie. Stacja doświadczalna scenicznego eksperymentu — Teatr Miejski, gdzie ludzie chodzą tłumnie tylko na to, co jest muzyką i na to, co ich w formie najprostszej bawi: na operę i na wodewil. Fakt: ludzie lubią teatr — trzeba im tylko dać wychowanie, trzeba im wskazać kierunek. Wniosek: otworzyć w Krakowie Teatr Ludowy — choćby to miało się stać (poza innemi spektaklami) w gmachu Teatru im. Słowackiego. Czas nareszcie zacząć wychowywać publiczność dla wielkiego teatru — dla wielkiego repertuaru!

Pokazać Krakowowi drogę wychowania publiczności teatralnej, pokazać mu braki, jakie on na tem polu dziś ma —

oto myśl i racja Teofila Trzcińskiego w okresie inscenizacji i wystawienia „Królowej Przedmieścia".

Poza tą racją widzę jeszcze inny logiczny pomost, rzucony między sztuką ludową Krumłowskiego, a wielką sceną krakowską. Krumłowski pisał swoją zabawną „Królową przedmieścia" w czasie, kiedy Kraków stary, ten o typie i charakterze końca XIX wieku, już właśnie zamierał, kiedy zwłaszcza podmiejskie sylwety wydawały się albo unikatami, albo karykaturami — a w każdym razie zacierały się coraz bardziej i bladły nam w oczach. Ale za to w samem mieście — koło teatru, Muzeum Narodowego, akademji sztuk pięknych i... kawiarni Michalika prężyła się do lotu młodość: artyści i poeci. „Młoda Polska" w poezji i impresjonizm w malarstwie wzięły na niepodzielną własność wszystko to, co było zawsze, jest i pozostanie istotą podwawelskiego grodu: czar starego Krakowa, czar jego zwyczajów, czar piosenki i czar jego okolic i jego ludzi. Ten właśnie czar wyzyskał Krumłowski w formie prostej, najprostszej i bezpretensjonalnej, ale też niemniej barwnej, śpiewnej i zabawnej — a więc w formie dla ludu jaknajprzystępniejszej, a dla reżyserów (Trzciński — w Krakowie, a Schiller — w Warszawie i Lwowie) zawsze bardzo ponętnej i wdzięcznej, bo posiadającej pewną rozciągliwość i pojemność sceniczną. I w tym właśnie, a nie innym czasie Młodej Polski i impresjonizmu dojrzewał artystycznie w Krakowie — Teofil Trzciński. Musi być zatem jakaś myśl, jakaś pointa łącząca nieistniejący już dzisiaj typ starego Krakowa ze znakomitym inscenizatorem i zasłużonym reżyserem sceny krakowskiej. Sądzę, że może być tylko jedna: gorąca miłość krakowianina dla czcigodnych murów krakowskich, dla czaru i efektu podwawelskiego grodu, a twórczego inscenizatora i reżysera — dla wdzięcznej pod tym względem sztuki. I naprawdę — doskonale się stało, że Trzciński wpadł na pomysł wystawienia „Królowej przedmieścia": pokazał widowni szlachetny Teatr Ludowy i — własne oblicze... rasowego człowieka teatru.

Pomysł swój oparł Trzciński na dwóch podstawach: wewnętrznej — t. j. w ten sposób podanym tekście, że na pierwszy plan wysunęły się elementy muzyczne sztuki i tańce,

oraz — zewnętrznej, t. j. na dekoracjach starego Krakowa i na wszystkiem tem, co koloryt starego Krakowa oczom widowni nasuwa. Zwłaszcza ten drugi pierwiastek podkreślił Trzciński bardzo silnie. Najefektowniej wypadło to w ostatnich obrazach z dorożkarzem i z kołyszącemi się w takt muzyki Sukiennicami i Ratuszem...

Tym, którzy pamiętają dzieje „Zielonego Balonika" w Krakowie i udział w nim Teofila Trzcińskiego — ten pomysł reżyserski wydał się jasnym i szczerym.

Trzciński, jako reżyser, zaznacza — w mniejszym, coprawda, ale w równie ważnym stopniu — swą indywidualność w szeregu komedyj zagranicznych. Wspomnę tylko o dwuch najcharakterystyczniejszych: o „Kręgu interesów" Jacinta Benavente i o „Dziewczynie i hipopotamie" Mary Lucy. Trzciński reżyserując „Krąg interesów", szczęśliwie rozmieścił osoby działające w niej na trzech płaszczyznach. Na pierwszej musiał się znaleźć Krispin, jako spiritus movens, oraz siła górująca ponad wszystkimi i ponad wszystkiem, co w tej satyrze widzimy i słyszymy: myśl i refleksja. Drugą płaszczyznę wypełnia tłum osób, które z natury swej są właściwie osobami wziętemi z życia dnia dzisiejszego — załamują się jednak w krzywem zwierciedle satyry i tak przerysowane stają się groteską i karykaturą. A trzecia płaszczyzna — to zakochana para: Sylvia i Leandro. Stanowią oni szlachetny kontrast kłamstwa, chciwości i obłudy i uwypuklają plastyczniej obraz życia. Istota komedji wydała się dopiero w takiem teatralnem przedstawieniu Trzcińskiego.

Dobrym przykładem zrozumienia typu komedji angielskiej jest znowu „Dziewczyna i hipopotam" Mary Lucy. Trzciński zaakcentował w niej dwa zasadnicze motywy sztuki: pogodę i spokój — niejako dwa charakterystyczne rysy maski angielskiej. One to pokrywają, a raczej zdobią komizm treści, dowcip — i rozśmieszają widownię. Trzciński umiał swą sztuką reżyserowania wzmocnić tę odwieczną, a dziś już publiczną tajemnicę artystycznego ekspresyjnego wyrażania siły komizmu. Angielscy pisarze ekspresję tę wzbogacają jeszcze trzecią wartością formalną: wyrazem powagi — i to sprawia, że nawet groteska, która wyszła z pod

pióra angielskiego autora, łudzi pozorami komedji serjo, a w rzeczy samej nie jest niczem więcej, jak tylko dowcipną i zręczną zabawą. Wprawdzie sytuacje w komedji Mary Lucy rażą nienaturalnością i nie pozwalają wierzyć w prawdopodobieństwo zbliżające sztukę do życia — jednak nie zmniejsza to bynajmniej zabawności komedji, bo typy są prawdopodobne i żywe. Te istotne rysy „Dziewczyny i hipopotama" — jako komedji angielskiej — Trzciński zrozumiał i zaakcentował w swej reżyserji.

Tak zatem wyglądają dwie pierwsze podstawy teatru Teofila Trzcińskiego: repertuar i jego inscenizacja sztuk w połączeniu z reżyserją. Trzecią podstawą jego teatru są — aktorzy.

Z licznego zespołu artystów którzy solidarnie — z umiłowaniem swego zawodu — celebrowali na rzecz sztuki w teatrze Trzcińskiego, zaledwie tylko kilka nazwisk można podkreślić, które znaczyły w ubiegłym sezonie jego szkołę aktorską.

Jadwiga Zaklicka przypomniała Krakowowi najświetniejsze tradycje sceny im. Słowackiego — w roli harfiarki w „Wyzwoleniu". Poszczególne frazy wypowiedziała z głębokiem uczuciem i śpiewnością. Liryzm jej czarował, a postawa i linja gestów rysowały wizję, jaką z pewnością widywały oczy poety. Młoda artystka była zupełnie inna w typie jako urocza Minnie w „Dziewczynie i hipopotamie". P. Zaklicka z prostotą i naturalnością wygrała w tej roli dwa zasadnicze momenty: pierwszy — to świetne w ruchach i w głosie udawanie dziewczyny z ulicy, a drugi — to psychiczna gra, świat tęsknot i marzeń dziewietnastoletniego dziewczęcia. Na wyżyny wielkiej sztuki aktorskiej wzniosła się p. Zaklicka w roli Ifigenji („Ifigenja w Aulis" Eurypidesa). Znowu dominantą jej gry była prostota, z jaką artystka zagrała córkę królewską. Szlachetny liryzm i silna ekspresja dramatyczna stanowiły zasadnicze akordy jej gry — jednak w każdym ruchu, geście i słowie zachowała spokój i piękno posągu greckiego.

Pani Jadwiga Żmijewska talent swój zaznaczyła w ubiegłym sezonie zaledwie i jedynie jako Klitejmestra w „Ifigenji w Aulis".

Za to p. Zofja Jaroszewska miała wiele pola do popisu w zeszłym sezonie: wspomnę tylko jej kreację w „Wyzwoleniu" (Hestja), w „Mistigri" (śpiewaczka Nell), w „Tragedji bez bohatera" (pogłębiona psychicznie rola Bianki Spino), w „Dzikiej pszczole" (Olga) i wreszcie w „U mety" (Luda).

Uczniami Trzcińskiego — oczywiście jeszcze z ubiegłych lat — którzy w roku 1931/32 świadczyli jaknajpochlebniej o jego szkole — są: Józef Leliwa i Alfred Szymański. Pierwszy z nich — komik, doskonały interpretator ról charakterystycznych, a drugi — amant, lew salonowy i równocześnie pierwszorzędny aktor w rolach wielkiego repertuaru (Czarny Myśliwy w „Dziadach", hrabia Egmont w „Egmoncie" Goethego).

Wymienione powyżej nazwiska — to artyści, których Trzciński wprowadził na scenę — którzy w ubiegłym sezonie mogli świadczyć o jego szkole. Obok nich scena teatru Trzcińskiego żyła pierwszorzędnemi kreacjami Józefa Karbowskiego (Krispin w „Kręgu interesów", błazen w „Ten, którego biją po twarzy" Andrejewa, Lucyfer w „Makrynie", inżynier Renn w „Poprostu truteń" i Till w „Fortepianie"), Wacława Nowakowskiego (Mindowe w „Mindowem", Gustaw-Konrad w „Dziadach", Agamemnon w „Ifigenji w Aulis", hrabia Pahlen w „Pawle I" Mereżkowskiego i szereg ról odmiennych w typie: w komedjach i farsach), Jerzego Szyndlera, Kazimierza Fabisiaka, Tadeusza Burnatowicza, Władysława Staszewskiego, St. Michalaka, St. Turskiego, R. Hierowskiego, R. Wrońskiego — a z pań: Ewy Kuniny (rolę Makryny Mieczysławskiej w „Makrynie" zagrała z siłą dramatyczną) B. Ludwiżanki, A. Klońskiej-Sauerowej, Z. Kosteckiej (Wróżka w „Wyzwoleniu"), J. Eichlerówny, Z. Marcinowskiej, Z. Zalewskiej, A. Kosmowskiej.

Wysiłkom artystycznym Trzcińskiego odpowiadały zawsze jego ambicje w doborze tematycznym sztuk. I tak podkreślić trzeba w pierwszym rzędzie dramaty z wielkiego repertuaru, dramaty narodowe i wreszcie te — polskie i zagraniczne — których wartości literackie oparte są na problemach etycznych. Pod tym względem teatr Trzcińskiego dalekim był — jak dotąd — zawsze od eksperymentów nie-

bezpiecznych i rażących, a nawet obrażających uczucia religijne i narodowe, a także poczucie moralności — eksperymentów, które obciążają bilans innych polskich teatrów...

Wykazał to na przedstawieniach „Mindowego", „Ifigenji", „Wyzwolenia" — wykazał to nawet na polskich i obcych sztukach współczesnych — dramatach i komedjach — które wiązały się zawsze jakimś aktualnym problemem z dniem dzisiejszym. Wszystkie jednak problemy były ujęte granicami, które oznaczają: etyka i moralność chrześcijańska. I dla tych właśnie przyczyn musi się zauważyć, podkreślić i uznać charakter teatru Trzcińskiego jako wybitnie narodowy — polski — aryjski.

Do tej szlachetnej wyżyny, na jaką Trzciński wzniósł w ostatnim roku teatr krakowski — podchodzi obecnie nowy włodarz sceny imienia Słowackiego, równie wielki inscenizator, jak reżyser i aktor: Juljusz Osterwa.

Teatr krakowski nawiązuje zatem znowu — i to szczęśliwie — do świetnej tradycji z lat przedwojennych.

Antoni Waśkowski.

Sprawy duchowieństwa na sejmie warszawskim 1578 roku.[1])

W czwartek dnia 16 stycznia 1578 r. nastąpiło uroczyste otwarcie sejmu warszawskiego mszą św. i kazaniem ks. bpa kujawskiego Stan. Karnkowskiego w kolegjacie św. Jana.[2]) Niewielu było jeszcze natenczas posłów i senatorów w Warszawie. W najbliższych dopiero dniach wzrosła dość silnie liczba posłów, mniej liczba senatorów. Przy takim to liczebnym stanie obu izb rozpoczęły się czynności sejmu w poniedziałek 20 stycznia.

W propozycji od tronu, odczytanej przez Jana Zamoyskiego, przedstawiono sejmowi sprawę wypowiedzenia wojny Moskwie i ustanowienia w Koronie najwyższego bezapelacyjnego sądu, czyli trybunału.[3]) Senatorowie oświadczyli się za wojną, której konieczność uznawano powszechnie w Polsce, zwłaszcza od czasu powrotu z niepomyślną odpowiedzią z Moskwy poselstwa polskiego, wysłanego tam przez Batorego z Torunia w r. 1577. Posłowie nie sprzeciwiali się również układom w tej sprawie, domagali się tylko, aby zajęto się wpierw ustanowieniem najwyższego sądu, gdyż naprzód myśleć należy o pokoju wewnątrz kraju, a potem o wojnie. Naleganiom i kategorycznym żądaniom posłów uległ król w obawie, aby nie odmówiono mu podatków na wojnę w razie niezałatwienia tej sprawy.[4]) Postawiono zatem na pierw-

---

[1]) Rozdział z drukującej się pracy p. t. *Sprawy dziesięcin w Trybunale Koronnym w latach 1578—1589.* Karta z walki szlachty z duchowieństwem za Stefana Batorego i pierwszych lat Zygmunta III Wazy.

[2]) Wierzbowski Theod. *Vincent Laureo et ses dépêches*, Warszawa 1888, s. 637.

[3]) Tamże, por. list Karnkowskiego do papieża z 11. III. 1578 r. Theiner Aug., *Annales ecclesiastici* II, Romae 1856, p. 395 sq.

[4]) Wierzbowski, j. w. s. 639 n.

szem miejscu sprawę najwyższego sądownictwa. Nuncjusz, obawiając się sporów szlachty z duchowieństwem, nakłaniał biskupów, aby we wszystkiem w jedności i zgodnie działali. Przedewszystkiem wpływał na biskupa krakowskiego, Piotra Myszkowskiego i kujawskiego, Stanisława Karnkowskiego, od których, zdaniem jego [1]) zależeli inni: płocki, łucki, przemyski, żmudzki i biskup nominat chełmski. [2]) „Dotąd — pisze — trzymają się razem biskupi i delegaci kapituł, co jest ważnem, bo obóz przeciwny jest zgodny i potężny". Zastanawiał się też nuncjusz z biskupami nad tem, gdzieby odbywać narady dla uzgodnienia opinij co do różnych kwestyj podnoszonych na sejmie. Biskup kujawski był za obradami w domu nuncjusza, któryby potem przedstawiał stanowisko duchowieństwa królowi. Biskup krakowski i nuncjusz sądzili jednak, że nie byłoby wskazanem, aby ten ostatni osobiście we wszystkich sprawach jako przedstawiciel Stolicy Apostolskiej występował, gdyż wzniecałoby to wśród szlachty nienawiść i utrudniało pertraktacje. Gdy zatem posłowie wnieśli na sejmie projekt najwyższego sądu, a w senacie wybrano biskupa kujawskiego i czterech senatorów katolickich dla przygotowania odpowiedzi, odbywały się narady prałatów u Karnkowskiego, a nucjusz pośredniczył w miarę potrzeby cicho i bez rozgłosu między nimi a królem. Jeszcze przed 26 stycznia był nuncjusz również na audjencji u króla, gdzie omówił sądownictwo duchownych i sprawę jurysdykcji. Król oświadczył nucjuszowi, że nie pozwoli na jakikolwiek uszczerbek praw Kościoła. [3])

Pertraktacje o formę nowego, najwyższego sądu, napotykały na przeszkody. Wprost nieprzezwyciężoną trudność przedstawiała sprawa dziesięcin i jurysdykcji duchownej z powodu oporu posłów heretyckich, którzy to wszelkiemi sposobami zwalczali. Spory zdawały się beznadziejne. Dla uzgodnienia się co do dziesięcin i jurysdykcji duchownej, powstała w dniu 28 czy 29 stycznia, [4]) z inicjatywy zapewne króla, komisja mieszana, złożona

[1]) Wierzbowski, j. w., s. 638—642.

[2]) Piotr Dunin-Wolski. Wiktoryn Wierzbicki, Wojciech Staroźrzebski-Sobiejuski, Melchjor Giedroić, Adam Pilchowski.

[3]) Wierzbowski, j. w., s. 639.

[4]) Komisja ta nie powstała przed 28. I, bo nuncjusz w liście z tegoż dnia (nr. 177) nic o tem nie wspomina; nie mogła być wybraną po 29. I, gdyż inaczej byłby o jej rozbiciu pisał w listach z dnia 31 stycznia (s. 643) i z 1 lutego (s. 649).

z ośmiu senatorów i tyluż posłów, w czem było dziesięciu katolików wraz z dwoma biskupami i sześciu protestantów. [1])

Wszyscy zgadzali się, że należy płacić dziesięciny duchownym, lecz posłowie żądali, aby część nie oddaną darowano szlachcie. Na przyszłość zaś mieli je duchowni na podstawie edyktu publicznego pobierać w całości. Nadto pragnęli posłowie, aby sprawy sporne o dobra kościelne sądzono nadal w zwykły sposób i żeby apelacje od nich szły w ostatniej instancji do króla. [2]) Żądali także ustalenia pewnej stałej kwoty pieniężnej zamiast dziesięciny, gdyż dotąd wzamian za dziesięciny w naturze pobierano, zależnie od urodzajności gleby: trzy, dziesięć, piętnaście aż do osiemnastu złotych z łanu. Kwotę tę chciano zredukować do dwunastu groszy, co jak oblicza nuncjusz, nie równało się nawet dziesiątej części dotychczasowej wartości dziesięcin. W kwestji sądownictwa żądali posłowie, by król zgodnie z przysięgą, złożoną przy koronacji, ustanowił dwa najwyższe sądy, jeden w Wielkopolsce, a drugi w Małopolsce, w którychby bezapelacyjnie rozsądzano wszystkie spory, wnoszone dotąd do króla. [3])

„Dążeniem przeciwników — pisze nuncjusz — jest zredukowanie dziesięcin i poddanie duchownych nowym sądom, któreby zczasem pozbawiły ich wszystkich dochodów i doprowadziły do zupełnego ubóstwa. Wyniknęłaby stąd ruina kleru, bo biskupi biedni i bezsilni zostaliby wkońcu wykluczeni z senatu, a duchowni niżsi byliby zmuszeni dla ubóstwa opuścić kościoły. Nie znalazłby się też nikt z szlachty, ktoby się w podobnych warunkach chciał poświęcić stanowi duchownemu. Takie są cele wrogów. Wytęża się więc wszystkie siły, aby do czegoś podobnego nie doszło, a gdyby

---

[1]) Wierzbowski, j. w., s. 649 (nr. 179) i 643. Skład komisji według listu nuncjusza z 31 stycznia 1578 r. był następujący: bp. krakowski (Piotr Myszkowski), bp. nominat chełmski (Adam Pilchowski), wojewoda krakowski (Piotr Zborowski) „heretyk", wojewoda podolski (Mik. Mielecki) katolik, wojewoda łęczycki (Jan Sierakowski) katolik, wojewoda bełzki (Andrzej Tęczyński) katolik, kasztelan sandomierski (Jan Sieniński) „heretyk", kasztelan biecki (Mik. Firlej) katolik, czterech posłów katolików i czterech posłów „heretyków". — Stanisław Karnkowski, wybrany zrazu z biskupem krakowskim do komisji, nie przyjął wyboru; (Wierzbowski, j. w., s. 649, nr. 178).

[2]) Konstytucja z r. 1543, *Vol. leg.* I, 579.

[3]) Wierzbowski, j. w., s. 643.

król naglony koniecznością wojny, nie mógł obronić praw duchownych, byłoby mniejszem złem rozjechać się bez załatwienia sprawy, jak było w Toruniu. [1])

Za radą biskupów błagał też nuncjusz osobiście króla, aby robił od siebie dla duchownych, co się tylko da. Król tymczasem okazywał lęk, że o ile nie ustąpi naleganiom posłów, odmówią mu podatku koniecznego na wojnę. [2]) Biskupów znów nakłaniał nuncjusz do ustępstwa i ofiary na rzecz króla w celu uwolnienia ich wreszcie od krzywdy, doznawanej już piętnaście lat w tem, że rok rocznie pobierano od szlachty podatek z dziesięcin należnych duchownym. [3]) Suma ta wynosić miała w całości ponad 100.000 złotych. Duchowieństwo więc, sądził nuncjusz, mogłoby ofiarować królowi 400.000 złotych i tak znieść podatek od dziesięcin na przyszłość, tem bardziej, że w podatku, który ma uchwalić sejm jużby było 100.000 złotych z dziesięcin kościelnych. Biskupi odpowiedzieli na to, że nie widzą wogóle celu tak wielkiej ofiary ze swej strony, skoro szlachta przeważnie po zapłaceniu wspomnianego podatku nie daje należnych dziesięcin duchownym, ani ich najprawdopodobniej dawać nie będzie, nawet wbrew woli króla. Rezygnując tedy ze swej myśli, starał się nuncjusz pomimo trudności robić dla duchownych, co tylko było możliwe. [4])

Dnia 31 stycznia zaprzestała komisja mieszana dalszych prac z powodu nieustępliwości duchownych. [5]) Jeszcze tego dnia był nuncjusz u króla, który znów nie szczędził obietnic i zapewnień życzliwości dla duchownych. [6]) Tymczasem toczyły się w sejmie dyskusje nad najwyższym sądem, trybunałem i jego kompetencją. Obrady były burzliwe i prawie beznadziejne, bo posłowie mazowieccy i płoccy stawali w obronie duchownych a inni, przeważnie dysydenci, byli im przeciwni. [7]) Wobec tego, że kwestję najpilniejszą, czyli podatki, ciągle odkładano na plan

---

[1]) Wierzbowski j. w. s. 644; cfr. Theiner, o. c. II, p. 395.

[2]) Tamże, s. 644.

[3]) Tamże, konstytucja pierwsza o wspomnianym podatku z r. 1564, *Vol. leg.* II, 662.

[4]) Wierzbowski, j. w. s. 644 n.

[5]) Tamże, s. 649 (nr. 179).

[6]) Tamże, s. 650.

[7]) Tamże, s. 652.

dalszy, zamyślał nawet król wysunąć ją naprzód, a sprawę sądownictwa odłożyć na sejm następny. Wreszcie mianował 10 lutego komisję złożoną z sześciu senatorów katolickich celem przyśpieszenia pertraktacyj co do trybunału.[1] Kazał też odczytać posłom list generała starosty ruskiego, Mikołaja Herburta, donoszącego, że Tatarzy weszli w liczbie dwóch szwadronów na Ruś i że wojna z Moskwą wisi na włosku.[2] Mimo to burzliwość obrad co do sądów trwała nadal. Wytężona jednak praca komisji szła stale naprzód i to, jak przypuszczać należy z pewnych danych, dzięki działalności podkanclerzego Jana Zamoyskiego i poparciu króla. Już na kilka dni po jej powstaniu, zdawało się najprawdopodobniejszem, że w kwestji dziesięcin nie dojdzie do kompozycji na tym sejmie. Duże trudności przedstawiały też przezyski, na które byli skazani duchowni w sądach ostatniej instancji z r. 1574. Mówił o tem nuncjusz z królem na audjencji dnia 16 lutego. Król zapewniał w niej duchownych, że o ile trzeba będzie rzeczywiście odłożyć kompozycję do następnego sejmu, to będą w każdym razie dziesięciny uiszczane w całości w dobrach królewskich; dalej mogą je duchowni pobierać od tych, którzy je dotąd dawali; od wszelkich zaś przezysków, nawet na przyszłość, zostaną duchowni zgóry zwolnieni.[3]

Gdy do wiadomości posłów doszedł zamiar króla wszczęła się jeszcze większa wrzawa w sejmie, w czasie której, grożąc odmową podatków, zmusili posłowie króla do obietnicy, że w konstytucji obecnego sejmu będzie tylko wzmianka o odłożeniu dalszych układów w sprawie dziesięcin do sejmu następnego, a król nie wyda żadnej deklaracji, aby w królewszczyznach płacono dziesięciny w całości. Wobec tego przyrzekł król duchownym co do dziesięcin z królewszczyzn, że spełni swą obietnicę przez dekret, wydany poza sejmem.[4] Pomimo to wydawało się du-

[1]) Do komisji należeli: bp. krakowski (Piotr Myszkowski), bp. włocławski (Stan. Karnkowski), wojewoda łęczycki (Jan Sierakowski), kasztelan płocki (Jan Wojciech Wilkanowski), kasztelan biecki, (Mikołaj Firlej) i podkanclerzy (Jan Zamoyski); ob. Wierzbowski j. w., s. 652. — O działalności bpa Piotra Myszkowskiego w tej komisji, por. list jego do papieża Grzegorza XIII z 18 paźdz. 1854 r.; cfr. Theiner, o. c. III, p. 559 (nr. 64).

[2]) Wierzbowski, j. w., s. 652.

[3]) Tamże, s. 655 nn.

[4]) Tamże, s. 659 n.

chownym ustępstwo króla bardzo niebezpieczne. „Dlatego domagali się posłowie — pisze nuncjusz — by nie robić na sejmie wspomnianej deklaracji, bo przez to poniosłaby szkodę nietylko szlachta, która posiada większość dziesięcin, będąc zmuszoną do dawania ich w całości, lecz nadto mogłoby to być prejudykatem i podstawą do ugody, która ma być zawarta co do dziesięcin w dobrach szlacheckich na przyszłym sejmie". [1]) Wobec grozy prawnego zawieszenia płacenia dziesięcin do sejmu następnego, błagali biskupi i delegaci kapituły ze łzami nuncjusza o pomoc, zapewniając go, że tylko on sam jeszcze jest w stanie zapobiec zgubnym skutkom, mogącym stąd wyniknąć dla duchownych. [2]) Wobec tego poruszył nuncjusz tę sprawę na audjencji u króla, dnia 23 lutego, wyrażając żal swój z powodu ustępstw, przyrzeczonych przezeń posłom. Król obiecał w takim razie, że do słów konstytucji: *uf decimae eodem statu sint atque antea, usque ad futura comitia,* doda: *in bonis nobilium tantum.* Co do przezysków w sądach ostatniej instancji z r. 1574 postanowiono w ten sposób sprawę załatwić, że król wyda w procesie o nie wyrok na korzyść arcybiskupa, który miał być następnie dla tych i podobnych spraw prejudykatem. [3])

Burzliwe narady sejmu przeciągnęły się aż do pierwszych dni marca, w którym to czasie posunęła komisja senatorska, przy poparciu króla, sprawę trybunału znacznie naprzód. Ułożono już prawie całą ordynację jego, określono miejsce sądów poszczególnych województw i wyznaczono liczbę sędziów. Postanowiono również, prawdopodobnie dzięki zabiegom Jana Zamoyskiego, mianowanego w tym czasie (1. III) kanclerzem, [4]) że osobny sąd w trybunale, złożony z sześciu duchownych i tyluż świeckich deputatów, ma sądzić sprawy duchownych. Ustalono również kompetencję tego sądu; [5]) według nuncjusza miał sądzić wszelkie spory, dotyczące dóbr kościelnych, [6]) a zdaniem biskupa Stanisława Karnkowskiego wszystkie sprawy duchownych, które

---

[1]) Wierzbowski, j. w. s. 659 n.
[2]) Tamże, s. 660.
[3]) Tamże, s. 559 n.
[4]) Metr. kor. 118, f. 165 v — 166.
[5]) Wierzbowski, j. w., s. 660.
[6]) Tamże, s. 660 n.

przedtem sądziły sądy świeckie. [1]) W razie równości głosów miano wnosić apelację do króla na sejm. [2])

Do tego czasu zapewne należy odnieść fakt, o którym donosi biskup Karnkowski papieżowi, że w czasie dyskusji w sprawie zatwierdzenia prawa dalszego wstrzymywania dziesięcin tam, gdzie ich dotąd nie składano, aż do kompozycji, Mikołaj Kosobucki i inni posłowie województwa płockiego uprosili króla, na co się już ten ostatni przedtem zgodził, aby dziesięciny w całości przynajmniej w królewszczyznach kazał płacić, a prawo rozpatrywania sporów o nie sobie zastrzegł. [3])

Co do dziesięcin uchwalono konstytucję z dodaniem słów, które król na audjencji przyrzekł nuncjuszowi dodać. [4]) Pozostała (4. III) jeszcze do załatwienia kwestja przezysków. [5])

Z radością donosi nuncjusz o konstytucji dziesięcin w liście z 4 marca do Rzymu, że przez dodanie wspomnianych słów stało się dosyć żądaniom duchownych, dlatego, że dziesięciny w królewszczyznach miały być na przyszłość składane. „Wszyscy także duchowni sądzą, że od wielu lat nie było załatwienie tej kwestji tak dobre, bo większość dziesięcin pochodzi z królewszczyzn, a spodziewają się, że na tej podstawie będą już mogli zawrzeć ugodę co do dziesięcin w dobrach szlacheckich". Nuncjusz radził biskupom, jak pisze w tymże liście, aby aż do ostatecznego załatwienia sprawy nie ustępowali protestantom i nie dali się nakłonić do ogólnej kompozycji. Narazie bowiem, mówił, mogą duchowni w poszczególnych parafjach układać się prywatnie co do dziesięcin. [6])

Sądy, na które zgodzili się pod silną presją duchowni, pomimo nawet możności apelacji do króla w razie równości głosów, nie zadawalały ich w całości. W warunkach wszakże obecnych, pisze do Rzymu nuncjusz, jest to stosunkowo pomyślnem załatwieniem rzeczy. [7]) Biskup Stanisław Karnkowski widział jednak

[1]) Theiner, o. c. II, p. 395.

[2]) Ibidem; por. Wierzbowski, j. w., s. 660 n.

[3]) Theiner, o. c. II, p. 396.

[4]) Wierzbowski, j. w., s. 660.

[5]) Tamże, s. 661.

[6]) Tamże, s. 660.

[7]) Tamże, s. 661; Bielski (*Kronika polska* IX. Warsz. 1833, s. 69) tak opisuje uzyskanie zgody duchowieństwa na trybunał koronny: „Na to tedy (t. j. przezyski w sądach ostatniej instancji z r. 1574) pamiętając

w możności apelacji do króla, obok sądzenia przezeń procesów o dziesięciny z królewszczyzn, podstawę do odzyskania zczasem w całej pełni dawnych przywilejów duchowieństwa. [1])

W dniach następnych załatwiono też pomyślnie dla duchownych kwestję przezysków w sądach z r. 1574. Zgodnie z obietnicą wydał król w procesie między szlachcicem N. Palęckim a arcybiskupem Jakóbem Uchańskim wyrok na korzyść arcybiskupa. [2]) Orzeczenie to, zdaniem nuncjusza, miało przynieść dużą korzyść i poważanie stanowi duchownemu. [3]) Nadto wydano konstytucję, zakazującą starostom egzekwować przezyski tych sądów na duchownych, przed potwierdzeniem ich przez króla na sejmie. [4])

Konstytucja o dziesięcinach, owoc największych wysiłków nuncjusza i biskupów brzmi w tekście łacińskim: *uf decimae eodem statu sint atque antea, usque ad futura comitia, in bonis nobilium tantum.* W sformułowanem tłumaczeniu polskiem nie oddawała konstytucja wiernie treści łacińskiej i była w wysokim stopniu niejasna, dając podkład do różnych tłumaczeń; stąd też rozmaicie ją już na sejmie rozumiano, a w sądach ziemskich i w trybunale stała się przedmiotem długich i ostrych sporów. W tłumaczeniu polskiem przedstawia się konstytucja jak następuje: „Dziesięciny po imionach szlacheckich *in eodem statu*, jako teraz są, nikogo nie wzruszając, do kompozycji, która ma być na sejmie, odkładamy". [5])

Po załatwieniu sprawy wojny i podatków zakończył się sejm dnia 10 marca. [6])

---

duchowni, sarkali barzo na ten trybunał, aż im ten środek podał Jan Zamojski, kanclerz koronny, żeby w sprawach duchownych, sześć duchownych osób siadało, a sześć świeckich, a przy więtszej części conclusia zostawała; toż dopiero i to ledwie zezwolili".

[1]) Theiner. o. c. II, p. 396.

[2]) Cfr. Protestatio contra nova iudicia facta in eadem Congregatione, rkp. Czart. 403, p. 266 i w Archiwum katedr. włocł. rkp. 18, f. 32.

[3]) Wierzbowski, j. w., s. 666 (nr. 183).

[4]) *Vol. leg.* II, 964.

[5]) Ibidem.

[6]) Wierzbowski, j. w., s. 666 (nr. 183).

Ks. Dr. Fr. Śmidoda.

Polacy w teatrze rumuńskim.

I. Na marginesie wyprawy mołdawskiej Sobieskiego w r. 1686.

Czytając świeżo wyszłą z druku doskonałą i ciekawą pracę p. Czesława Chowańca, kustosza Bibljoteki Polskiej w Paryżu, [1]) *Wyprawa Sobieskiego do Mołdawji w r. 1686*, gdzie autor daje między innemi interesującemi szczegółami odkryty przez niego dziennik królewicza Jakóba Sobieskiego, notujący dzień po dniu każdy wypadek i każdy niemal krok armji polskiej, pomyślałam, że jednak Rumuni i Polacy, za wyjątkiem paru uczonych, jak prof. Wędkiewicz w Polsce, a prof. Jorga w Rumunji, mało bardzo wiedzą o sobie. Rumuni mają naogół — muszę to skonstatować z żalem — więcej pojęcia o Polsce niż Polacy o Rumunji, co jest tem dziwniejszem, że wzajemny wpływ jednego narodu na drugi nie ulega żadnej wątpliwości. Nie mówiąc już o bliskiem sąsiedztwie naszem, iluż panów i rycerzy polskich żeniło się z Mołdawiankami lub z Wołoszkami za dawnych czasów, gdy dwa te księstwa jeszcze nie tworzyły jednego nierozdzielnego państwa. I *vice versa* ile Polek wychodziło za Rumunów, zwłaszcza w prowincjach pogranicznych... Nikt z naszych krytyków literackich nie zajął się np. elementem mołdawskim w charakterze księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, choćby nawet takiego, jakim maluje go Sienkiewicz. Gdy Jeremi mówi do swych żołnierzy, mających karać zbuntowanych i rozszalałych w swym buncie Kozaków: „Mordujcie ich tak, aby czuli, że umierają", to mówi nie tyle książę polski, ile syn Mohilanki, wnuk mądrej i dzielnej Elżbiety Mohila, która jednak, gdy pop otruł w Komunji

[1]) Cz. Chowaniec, *Wyprawa Sobieskiego do Mołdawji w 1686 r. Przegl. Historyczno-Wojskowy*, T. IV, 1932.

ojca Jeremiego, księcia Michała Wiśniowieckiego, kazała go posadzić na rozpalonem do czerwoności krześle żelaznem. Z pewnością czuł wtedy także, że umierał. Tak samo zamiłowanie Jeremiego do realizowania swoich planów bez zwłoki, bez namysłów i marzeń, wprost przeciwne owej *improductivité slawe* à la Płoszowski, ma wiele rumuńskiego. Rumun przy całej swej skłonności do marzycielstwa, lubi działać. Źle czy dobrze, udatnie czy nieudatnie, ale działać.

Myślałam o tem wszystkiem, czytając pracę p. Chowańca, w której stara się on oświetlić dokładnie i samą wyprawę i charakter króla Jana III, broniąc go szczególnie przed zarzutem podpalenia Jass, gdyż podpalenie to najwięcej zaszkodzić mogło Polakom i samemu królowi. Zarzut ten sformułował zresztą najpierw Dymitr Kantemir, syn hospodara, przeciw któremu walczył właśnie Sobieski, historyk, lecz nie bezstronny, gdyż sam w całej tej sprawie *pars magna fuit.*

Jest rzeczą ciekawą, że o ile Polacy zachowali bardzo złe wspomnienie o wyprawie króla Olbrachta, o tyle pozostało im raczej sympatyczne wspomnienie o wyprawie króla Jana, i że o ile w Rumunji, wspomina się co najmniej z niechęcią króla Olbrachta, Sobieski ma ładną kartę w tradycjach i wspomnieniach rumuńskich. Może dlatego, że Olbracht postępował z Rumunami nieszczerze i tem samem wywołał zdradę z ich strony, a nikt nie lubi złych wspomnień. Sobieski swą otwartością żołnierską, odwagą i wspaniałomyślnością nakazywał szacunek dla siebie i dla swego narodu. Wyrażenie Kornela Makuszyńskiego: „Na piękno jestem chory, jak mój naród" nigdzie chyba lepiej zastosowanem być nie może jak do Sobieskiego. Ale była to mimo wszystko błogosławiona choroba, bo ktokolwiek sieje piękno moralne, może być pewny, że ten siew wzejdzie, czy w dwa lata, czy w sto lat, ale wzejdzie bezwątpienia.

Toteż aureola, otaczająca postać Sobieskiego, nie rozwiała się, lecz jakby nawet urosła z latami. Z ram wspomnień, starych pieśni i podań, a potem i powieści i sztuk teatralnych, wychodzi zawsze jednaka dumna i szlachetna sylwetka potężnego wojownika. Zawsze, nawet w najstarszych tradycjach rumuńskich, Polak figuruje z przydomkiem „dumny" — *Polonez mândru* (czyt. *myndru*). Ale choć i Sobieski jest *mândru* i nawet chętnie używa tego słowa,

przemawiając w sztukach i podaniach rumuńskich, jest jeszcze czemś więcej, jest bohaterem.

Ze sztuk teatralnych poświęconych Sobieskiemu w Rumunji, najstarsza jest *Cetatea Neamcului, sau Sobieski si Românii* (Fortecs Niamcului, albo Sobieski i Rumuni) przez znanego poetę rumuńskiego Vassili Alecsandri.[1]) Osnowy dostarczył jej fakt, który autor „Wyprawy Sobieskiego do Mołdawji w 1686 r." odnosi do 1691 r., Rumuni zaś do 1686, fakt może sam nieznaczący, lecz szczególnie drogi tradycji rumuńskiej. Chodzi mianowicie o wzięcie przez Polaków niewielkiej forteczki Neamt (czyt. Niamc), której broniło tylko 18 Rumunów przeciwko przeważnym siłom polskim, i o podziw Sobieskiego dla tej garści odważnych obrońców. P. Chowaniec zaznacza w swej pracy, że możliwe, iż pokuszono się o nią, ale samego króla tam w każdym razie nie było, przyczem podaje datę w sierpniu — około 17 - 20 — podczas gdy Negruzzi w swem opowiadaniu podaje wrzesień, co byłoby zresztą nieprawdopodobnem. Nie chodzi jednak nam w danej chwili o ścisłość dat, ani o porównywanie ich, lecz jedynie o charakter sztuk rumuńskich o królu Janie.

Sztuka Alecsandri zaczyna się świętem rumuńskiem, które jednak wkrótce zakłóci przybycie Farkasza, narzeczonego pięknej Tudory, córki komendanta fortecy, starego Szojmana. Nowoprzybyły zwiastuje „najazd" polski i mówi o zajęciu przez wojska Sobieskiego Jass. Wszyscy przygotowują się do walki na śmierć i na życie, a raczej do śmierci. Przybywa Sobieski wraz z Jabłonowskim i Potockim. Jabłonowski w tradycji rumuńskiej występuje niewiadomo dlaczego, jako zbiór wszystkich cnót rycerskich, Potocki jest dzielny i trochę dworak. Najciekawszy i najbardziej skomplikowany jest sam Sobieski. Wprawdzie jest jeszcze bardziej dumny — mândru — niż ogół Polaków, nie może znieść myśli, aby mu się ktoś mógł oprzeć, ma charakter porywczy i gwałtowny, ale pełen wspaniałości iście monarszej. Ma też gest. Patrząc na Sobieskiego, pojętego przez Rumunów, znowu mimowoli przypomina się wyżej cytowany wiersz Makuszyńskiego:

I umiem pyszne budować na lodzie
W swoistym stylu podniebne pałace,
I umiem marzyć nawet w wielkim głodzie,

[1]) V. Alecsandri (1819—1890) poeta, pisarz, dramaturg.

I ponad gwiazdy rymów ciskać race,
I umiem kochać djabłów sto tysięcy
I gest mieć piękny. Nic nie umiem więcej.

Myśli się trochę o Cyrano de Bergerac, który zaniesie swój pióropusz rycerski czysty i nieskalany przed Boga. Nie można inaczej powiedzieć: postać to dosyć polska, wyrazista i piękna. Ma swoje „wady", lecz nie są one ani antypatyczne, ani poniżające. Okrucieństwa w nim ani na jotę: w pierwszej chwili gotów karać srogo, ale po paru minutach już przebacza. Coprawda mógł mieć w tem wprawę, bo każdy król polski musiał posiadać niewyczerpane skarby pobłażliwości.

Zaczyna się tedy oblężenie fortecy. Stary Szojman i przyszły jego zięć Farkae (czyt. Farkas) dokazują cudów odwagi i wytrwałości. Lecz widzą wkrótce, że wysiłki ich są daremne i że przyjdzie im albo zginąć, lub poddać się. Przysięgają więc w bardzo romantycznej scenie, że umrą za ojczyznę. Na scenę tę wchodzi Tudora:

Przysięgacie umrzeć, woła z wyrzutem, i nie przywołaliście mnie. Kto wam pozwolił zapomnieć o Tudorze, gdy oddajecie się w ofierze za kraj?

Szojman: Moje dziecko!

Tudora: Czy wy tylko znacie swoje obowiązki? czy tylko wy kochacie ojczyznę? czyż ja nie mam takiej duszy jak wy? czy nie płynie we mnie krew rumuńska?

Farkasz: Tudoro!

Tudora: Chociaż jestem tylko biedną dziewczyną, lecz od pięciu dni, odkąd żyję wśród was, urosło mi w piersi serce męskie. Tu w naszej cerkiewce, sama, bez żadnej pomocy, zamknęłam oczy ośmiu chrześcijanom rannym w boju, słyszałam ich ostatnie westchnienia, ich ostatnie słowa i nauczyłam się śmierci patrzeć prosto w twarz. Jeżeli nie strach jej wam, i ja jej się nie boję. I jeżeli wy chcecie oddać życie wasze za Mołdawję, to i ja chcę je oddać.

Szojman: Ty, moja córko?... ty, w kwiecie młodości?...

Tudora: Śmierć nie wybiera... gdy przychodzi, powala i silnych i słabych.

Poczem piękna Tudora (rumuńskie Teodora), której zapewne marzy się trochę Judyta, a autorowi może marzyła się i Charlotte Corday — oświadcza, że miała wieszcze widzenie, iż ma zabić Sobieskiego. Ojciec i narzeczony naturalnie gotowi są protestować, ale z drugiej strony wierzą w cud. My jednak zgóry o nim powątpiewamy, gdyż Tudora, gdy wszyscy się zgodzili, zaczyna opłakiwać swą młodość bardzo po kobiecemu i ładnie,

lecz wcale nie po męsku. Potem uspokoiwszy się, prosi ojca o błogosławieństwo i żegna się ze wszystkimi. Przebrana w mundur polski, idzie do obozu polskiego.

W obozie polskim żołnierze wypoczywają i bawią się, chcą nawet, aby jeńcy rumuńscy wzięli udział w ich zabawie, lecz ci skarżą się na swój los i, bardzo logicznie, nie mają bynajmniej ochoty się weselić. Tudora w przebraniu dostaje się aż do kwatery króla, ale okazuje się niezbyt niebezpiecznym spiskowcem, bo tak się spieszy z wykonaniem swego zamachu, że, nie znając Sobieskiego, bierze za niego Potockiego i rani go bardzo lekko. Poczem obezwładniona przez polskich żołnierzy woła: Możecie mnie teraz zabić. Pomściłam mój kraj. Zabiłam Sobieskiego.

Na to jednak wchodzi sam król i przystaje zdziwiony: Kto tu mówi, że zabił Sobieskiego? pyta.

Tudora: Ja!

Żołnierze: Kłamstwo! Kłamstwo! nasz król żyje!

Tudora: Kto? On? Ty? Ah! (chce się napróżno wyrwać żołnierzom)

Sobieski: Gdzież jest ten biedak, który padł ofiarą za mnie?

Przychodzi Potocki i okazuje się, że rana zadana ręką kobiety nie jest straszna. Tudora oznajmia Sobieskiemu, że jego a nie Potockiego chciała zabić i tego tylko żałuje, że się omyliła (nawiasem mówiąc i wtedy Sobieski nie odniósłby wielkiego szwanku). Dodaje też, że czeka teraz na śmierć. Sobieski obiecuje jej karę śmierci, ale nie nakazuje jej wykonać, tymczasem wchodzi Jabłonowski i oznajmia, że oblężeni poddają się, żądając tylko, aby mogli odejść spokojnie, pokłoniwszy się przedtem królowi, a że dali wiele dowodów męstwa, więc stary wódz sądzi, że król zechce ich uczcić. Sobieski nakazuje oddanie wszelkich honorów wojskowych i sam czeka na wychodzących z fortecy. Lecz jakież jest zdziwienie króla i Polaków, gdy z fortecy wychodzi zaledwie ośmiu ludzi. W pierwszej chwili chwyta go gniew, potem zwykła mu wspaniałomyślność bierze górę. Serdecznemi słowami przemawia do Rumunów i ściska starego Szojmana, wywołując tem entuzjazm i Polaków i Rumunów i nawet jeńców rumuńskich.

Sobieski: Szojmanie! W obliczu wszystkich mych rycerzy oświadczam, ja, Sobieski, Król polski, iż jestem dumny, że walczyłem z tobą... Powiedz mi, czego chcesz?

Szojman: Jeśli chcesz mi uczynić łaskę, Miłościwy Panie, to zlituj się nad jeńcami, a ja się uraduję w godzinę śmierci ich radością!

Sobieski: Oswobodzić ich wszystkich! (daje znak).

Szojman: Niech Bóg ci da potęgę i panowanie!

Sobieski: I nic więcej już nie pragniesz, Szojmanie?

Szojman: Teraz już tylko śmierci... abym odnalazł na tamtym świecie moją biedną córkę Tudorę...

Sobieski: No, jeżeli tak, to nie masz po co umierać. Żyj i bądź szczęśliwy, rycerzu (przyprowadza mu za rękę Tudorę). Oto masz twą córkę!

Szojman: Tudora!

Tudora: Ojcze!

Sobieski: A ty, dzieciaku, która chciałaś zabić Sobieskiego, aby oswobodzić twój kraj, masz tu na pamiątkę odemnie ten pierścień na twoje wesele.

Tudora: Miłościwy panie.. (bierze pierścień), pozwól mi go włożyć na palec małżonkowi mojemu Farkaszowi.

Sobieski: Farkasz!.. Ah, to tyś wymknął się z rąk moich żołnierzy?

Farkasz: Ja, Miłościwy Panie. Wymknąłem się wtedy, abym Ci mógł teraz zawdzięczać przebaczenie.

Sobieski (wesoło): Niech i tak będzie.

Sztuka kończy się zgodnemi okrzykami Rumunów i Polaków na cześć Sobieskiego. I trzeba przyznać, że gest jest piękny i prawdziwie królewski.

Druga sztuka, dotycząca wyprawy mołdawskiej króla Jana, jest o wiele bardziej nowoczesna, grano ją bowiem po raz pierwszy w tym roku, a autorem jej jest były premier rumuński, słynny historyk, profesor Jorga, który lubi od czasu tworzyć sztuki teatralne.

Sztuka ta nosi tytuł „Cantemir Batrânul" (czyt. Kantemir Batrynul, czyli Stary Kantemir). Tu Sobieski i jego wyprawa nie zajmują pierwszego miejsca, chodzi i o wymordowanie rodziny Kostynów, Mirona i Velicico, i o intrygi bojarów mołdawskich, zawsze gotowych połączyć się z silniejszym, i wogóle o całe panowanie Kantemira, kończące się jego śmiercią, nader ponurą z powodu wyrzutów sumienia.

W sztuce tej widzimy jednak Sobieskiego w Jassach, gdzie go entuzjastycznie przyjmują niezadowoleni z Kantemira bojarzy rumuńscy. Bierze w tem udział żywy i płeć piękna, której zresztą Sobieski nie szczędzi komplementów. Wogóle jest dworski, uprzejmy i wspaniały. Odbija jakoś pańsko od rumuńskich bo-

jarów i książąt. Ten rys pańskości i dumy u Polaków w przeciwieństwie do pewnej prostoty i naiwności u Rumunów, zauważymy również w dwóch następnych sztukach. Rumuni nawet chętnie nazywają Polaka „pan" i w nazwie tej kryje się coś z uszanowania, czasem trochę drwiącego, a trochę zaciekawionego. Jest w tem coś symbolicznego zarazem. Bardzo inteligentny, bez różnicy klas — nie zdarzyło mi się spotkać głupiego chłopa w Rumunji — bardzo subtelny, czasem nawet nieświadomie, Rumun ma instynktowne uszanowanie czy kult dla rozumu, wykształcenia i ogłady towarzyskiej. Szlachta polska imponowała mu długo, a kultura polska pociąga go i dzisiaj, z czego zresztą Polacy skorzystać nie umieją, bo jest podobnie jak ich własna, łacińsko-słowiańska, z tą różnicą, że Polaków zlatynizował katolicyzm, a Rumunów, naród pochodzenia łacińskiego, zbizantynizowało i wykoleiło z ich drogi dziejowej prawosławie.

Kantemir profesora Jorgi lawiruje pomiędzy Scyllą a Charybdą, czyli pomiędzy Polakami a Turkami, chciałby być dobrze i z tymi i z tamtymi, ale to mu się oczywiście nie udaje i jako rezultat nikt mu nie wierzy, ani on nikomu. Zaufanie swe umieści wreszcie w bojarze-Greku, który popchnie go do wymordowania rodziny Kostynów zupełnie niewinnie. Potem wprawdzie Kantemir umiera prześladowany ciągle przez widmo tej zbrodni, ale nie budzi żadnego współczucia.

I w tej sztuce mamy stosownie do tradycji piękny „gest" Sobieskiego. Podczas uczty w Jassach, gdzie bojarzy i damy rumuńskie schlebiają kornie, zbyt po wschodniemu, nawet Sobieskiemu, król polski pragnie usłyszeć prawdziwego mołdawskiego „lautar'a", t. j. śpiewaka popularnego, zwanego także „barbu lautarul". Rumuni cenili ich i lubili bardzo tych „lautari", gdy bojar rozochocił się, gotów był oddać im wszystko, co miał pod ręką. Dziś jeszcze istnieje prześliczna tęskna piosenka ludowa o takim „lautarul", który zna wszystkie „pieśni przeszłych czasów" i któremu słuchacz obiecuje pieniądze, wino i nawet własną odzież. Przychodzi „lautarul", którym jest nie kto inny, jak sam stary Kantemir w przebraniu wędrownego śpiewaka. Rzecz dość nieprawdopodobna, bo Kantemir, jako były polski oficer, a z pochodzenia pono Tatar, nie mógł tak dobrze znać starych rumuńskich pieśni, ale mniejsza o to. Sztuka teatralna to nie rozprawa ściśle historyczna. Otóż Kantemir śpiewa śmiało o wojnie i o nie-

szczęściach Mołdawji z powodu „najazdu" polskiego. Oburzeni bojarzy, przyzwyczajeni do pochlebstw i do bezwzględnych kar, chcą zabić śpiewaka, ale Sobieski sprzeciwia się temu stanowczo. Oto żądał od tego starca wolnej pieśni, niczem nieprzymuszonej i prawdziwie mołdawskiej. Nie może mu mieć za złe, że spełnił jego żądanie. Niech odejdzie wolno, a nawet i z nagrodą.

Po uczcie i po odejściu śpiewaka, Sobieski patrzy chwilę w gwiazdy, pytając je o własne losy i jest to jedna z najładniejszych, jeżeli nie najładniejsza, z chwil w sztuce.

I dziwna rzecz, że i Kantemir i bojarzy i wszystko, co stanowi przecież właściwą treść sztuki, zdaje się jedynie tłem, mającem za zadanie uwypuklenie rycerskiej i świetnej postaci króla polskiego.

II. Parę typów polskich rycerzy w sztukach rumuńskich.

Przypatrzmy się zkolei dwom sztukom, jednej nieco starszej, drugiej zupełnie nowoczesnej, zawierającym również postacie polskich rycerzy. Autor pierwszej z nich był trochę Polakiem z pochodzenia i choć uważał się przez całe życie za Rumuna, przecież szczycił się do pewnego stopnia tem polskiem pochodzeniem. Znał też polski język i czytywał polskich poetów, miał pewien kult dla Mickiewicza, Rumuni słusznie, czy niesłusznie przypisują jego mistycyzm jego polskiemu pochodzeniu. Bohdan Petreczejko Hasdeu, albo podług starego nazwiska jego polskich przodków, Hyżdeu, szlachcic polski herbowy [1]), był znanym uczonym i autorem rumuńskim. Nas narazie obchodzi tylko jedna jego sztuka teatralna, gdzie występują polscy rycerze, a mianowicie „poemat dramatyczny w pięciu pieśniach, zatytułowany „Rasvan i Vidra". Rzecz dzieje się w XVI-tym wieku, ostatni akt rozgrywa się za panowania Arona-Vody, jednego z hospodarów mołdawskich. Bohaterem sztuki jest Cygan rumuński Rasvan. Wiadomo, że Cyganie byli dla Rumunów czemś nakształt niewolników, wyzwolono ich dopiero w XIX-tym wieku, lecz do dziś dnia patrzy się na nich, jak na ludzi niższej, gorszej kategorji. Małżeństwo z Cyganem lub z Cyganką wydaje się czemś

[1]) Zob. *Szkice polsko-rumuńskie,* dr. M. Kasterska, str. 42—76, Lwów 1931, wyd. Wschód.

poniżającem. Nawet w sferach inteligentnych i wolnych od przesądów kastowych pozostało coś z tego. A cóż dopiero w XVI-tym wieku!

W akcie pierwszym widzimy młodego Cygana, Rasvana rozmawiającego ze starym żołnierzem Tanase, typem uosabiającym zdrowy prosty rozsądek chłopa rumuńskiego, przed cerkwią w Jassach. Bogaty bojar, Sbierea, (czyt. Sbiria) odmawia jałmużny biednemu Tanase, ale gubi swą sakiewkę. Znajduje ją Rasvan i chce dać jałmużnę Tanase, ale ten dumnie odmawia zkolei przyjęcia. Nie może wziąć jałmużny od Cygana. Naprożno Rasvan tłumaczy mu, że matka jego była Rumunką, a on jest chrześcijaninem i został oswobodzony przez metropolitę, do którego należał, że umie — rzecz niesłychana dla Cygana — czytać i pisać. Tanase powtarza wciąż swoje „jaka szkoda, żeś Cygan", bo ocenia swym prostym, ale bystrym umysłem niezwykły charakter Rasvana. Wreszcie jednak widząc smutek Rasvana i słysząc go, jak wspomina zmarłą swą matkę, bierze jeden, jedyny pieniądz złoty, mówiąc, że więcej mu nie potrzeba, a biednych jest wielu w Mołdawji. Rasvan ułożył i wywiesił piosenkę niezbyt pochlebną dla bojarów. Lud wychodzi z cerkwi po skończonem nabożeństwie i jakiś wpół-diak, wpół-nauczyciel zaczyna czytać dość pracowicie ową piosenkę. Ale tu nadchodzi inny bojar, Basota, i oburzony zuchwalstwem prostactwa, chce zrazu ukarać czytającego, potem Rasvana, gdy ten przyznał się do winy. Przybiega i Sbierea w poszukiwaniu drogocennej sakiewki. Rasvan oddaje mu ją, ale oko skąpca spostrzega natychmiast brak jednego złotego pieniążka. Żąda zatem zapłaty, a ponieważ Rasvan nie ma pana, któryby mógł zapłacić za niego, więc powinien mu być oddany za niewolnika, zgodnie z prawem ówczesnem. Basota radby dać złoty pieniądz i zabrać sobie „uczonego" Cygana, ale Sbierea nie głupi: i jemu taki Cygan się bardzo przyda. Tymczasem Cygan nie chce być niczyim niewolnikiem i prosi, aby go raczej powieszono. Naturalnie, nikt go nie słucha i wyprowadzają go pod strażą, jako niewolnika.

Akt drugi rozgrywa się w lesie Orheiul, w Bessarabji. Rasvan zdążył już oswobodzić się od swych pęt i jest dowódcą hajduków, a jako taki postrachem wszystkich krzywdzicieli i niesprawiedliwych bojarów. Hajducy uważali się wogóle nietylko za ludzi absolutnie wolnych, ale i za mścicieli krzywd wszystkich

słabych i uciśnionych. Często rabując i obdzierając bogatych bojarów, wspomagali biedotę. Rasvan jest już sławny w całym kraju i pewnego dnia przychodzi do niego bojar Ganea (czyt. Gania), błagając go o pomoc. Oto zakochał się w pięknej, mądrej, dumnej Vidrze, synowicy możnego bojara z wielkiego rodu Motoc (czyt. Mocok), ale stryj, aby nie dawać jej posagu, chce ją gwałtem osadzić w klasztorze. Więc Ganea przychodzi prosić o pomoc Rasvana. Uratują młodą dziewczynę od zamknięcia, a Ganea chętnie zapłaci pewną sumę hajdukom. Rasvan zrazu nie ma wielkiej ochoty mieszać się do tej sprawy, ale potem wysyła kilku hajduków, którzy bez trudu odbijają i przyprowadzają pannę. Jednocześnie hajducy złapali skąpca Sbierea. Ten pewny śmierci, zwłaszcza, że poznał Rasvana, drży ze strachu i wzywa na pomoc wszystkich świętych, obiecując im złote i srebrne ikony. Ale Rasvan, opowiedziawszy wszystkim historję złotego pieniążka — między zebranymi dokoła niego hajdukami jest i Tanasse, który również uciekł do lasu — puszcza wolno bojara, choć hajducy oburzeni chcą go zabić. Wtedy piękna i dumna Vidra, synowica potężnego bojara Motoc, uniesiona zachwytem, prosi Rasvana, żeby podał jej rękę. Rasvan jest zdumiony, i, co gorsza, przerażony jest młody bojar, pretendent do jej ręki. Wyrzuca Vidrze, że przecież to tylko Cygan i bandyta. Rasvan gotów bić się z nim, lecz rozdzieli ich Vidra. Nie pójdzie za bojarem, zostanie z Cyganem na zawsze. Na tem kończy się akt drugi.

Widząc o pogardzie dla Cyganów, patrzymy na Vidrę, jak na pewien rodzaj bohaterki moralnej i nabieramy szacunku dla jej siły charakteru. Niestety, Vidra załamuje się właściwie po tym odważnym czynie i odtąd każe jedynie Rasvanowi pokutować za to, że dobrowolnie poszła za nim.

W akcie trzecim widzimy obóz polski podczas wojny moskiewskiej prawdopodobnie za Stefana Batorego. Dwaj przybyli z Rasvanem ex-hajducy, dobroduszny Vulpoiu i drobny szlachcic — razes, czyt. razesz po rumuńsku — żałują, że porzucili las zielony i Mołdawję. Obco im i pusto. Ale dowiadujemy się: Vidrze nie podobały się obyczaje hajduków. Jest i ona z Rasvanem i przebrana po męsku dzieli z nim trudy i niebezpieczeństwa. Dwaj polscy rycerze, Miński i Piotrowski, rozmawiają też o Rasvanie i o jego towarzyszce. Miński to typ szla-

chetki bardzo w sobie zadufanego, a w gruncie rzeczy tchórzliwego i intryganta. Lubi się przechwalać, ale unika narażania się na niebezpieczeństwo. Rasvan wydaje mu się podejrzaną osobistością, kto wie, czy to szlachcic, a Vidra zawsze czarno ubrana i uchodząca za siostrę Rasvana, to nie kobieta, lecz zły duch, któremu Rasvan sprzedał duszę i który mu wzamian za to pomaga. Jeżeli przypomnieć sobie, jak wierzono w czary i przęsądy w XVII-m wieku, to w słowach Mińskiego niema znów tak wielkiej przesady, jest on dość prawdopodobny.

Piotrowski, młodszy i bardziej inteligentny, ma jednak kulturę w gruncie rzeczy niezbyt głęboką. Nie powie jednego zdania bez jakiejś cytaty łacińskiej, co daje wysokie pojęcie jego współczesnym o jego wykształceniu. Zamiast widzieć w Vidrze złego ducha, widzi w niej bardzo piękną kobietę, której nie szczędzi łacińskich ocen pochlebnych:

Widziałem ją... Jest piękna! Virgo facie concina,
Perdecora, pervenusta...

A ponieważ uważa ją za siostrę Rasvana, chętnieby ją nawet zaślubił, o czem zresztą Mińskiemu nie wspomni.

Do Rasvana, który dokazuje cudów waleczności, przychodzi, wysłany od cara moskiewskiego, pop i szpieg. Nic podlejszego i bardziej płaskiego nie można sobie wyobrazić, jak ten pop rosyjski. Hasdeu wogóle nie cierpiał Rosjan, a znał ich dobrze. Pop poprostu czołga się po ziemi przed Rasvanem, przeklinając Polaków, Papieża i ich heretycką religję. Rasvana wita z przesadnym entuzjazmem:

Tyś jest, wydaje mi się,
Najpotężniejszy z wojowników w chrześcijaństwie?
Jako szabla Archanioła, jako berło Arona,
Proca Dawida proroka, buzdygan Samsona...

Na co Rasvan, zdziwiony i niechętny odpowiada krótko:

Jestem Rasvan.

Pop odpowiada, że ma mu powiedzieć coś ważnego, lecz żąda przysięgi na tajemnicę. Ale zwyczajna przysięga mu nie wystarcza, niech Rasvan przysięga:

na krzyż chwalebny,
Na dwunastu apostołów i na Matkę Najświętszą,
Na siedem cerkwi i na czterdziestu świętych,
Na sobór w Nicei z trzystu ojcami,
Na sto pięćdziesiąt psalmów...

„Czy ty nie jesteś Lach?" pyta go znudzony i zdziwiony Rasvan. Na to pop czyni znak krzyża. On miałby być Lachem? papieżnikiem? Nie, nigdy. „Ah, już wiem, woła wtedy Rasvan. Jesteś Moskal, bo oni tylko umieją wzywać tylu świętych, krzyżów i ewangelij, żeby się łatwiej przecisnąć pod ich osłoną".

Ale tymczasem nadchodzi Vidra, zaniepokojona tą rozmową. Na widok jej pop przestaje mówić, bo „kobieta, to nie mężczyzna, jak powiedział błogosławiony Chryzostom". Rasvan każe mu mówić lub odejść. Pop proponuje mu wtedy przejść na stronę cara, który „lepiej płaci niż Lach". Rasvan wybucha oburzeniem, lecz pop znalazł niespodziewanego sprzymierzeńca w Vidrze, która za wszelką cenę pragnie wywyższenia Rasvana. Zdumienie prostej, lecz do głębi uczciwej duszy Cygana wyraża się tylko w okrzyku: „I ty, Vidro!". Pop tłumaczy mu, że car zrobi go kapitanem, da mu trzy wsie koło Kazania i że po śmierci czeka go miejsce w prawosławnym raju. Rasvan odpowiada na te argumenty krótko: „Przysiągłem". Wcale to nie przeraża popa:

Ależ przysięga dana heretykom
Może być rozwiązana przez naszego metropolitę,
Sądząc podług soborów, jeżeli wasza miłość czyta,
Najpierw pisze o tem w świętym Nomokanonie,
Przeczytaj rozdział piętnasty soboru w Chalkedonie,
Rozdział trzydziesty trzeci soboru w Laodikii,
Oraz rozdział drugi soboru w Antiochii...

Tu już Rasvan nie może powstrzymać swego oburzenia:

Idź do djabła, popie bez wiary,
Uciekaj i powiedz psu, który cię przysłał,
Że Rasvan nie chce próbować waszych moskiewskich praw.

Daremnie perswaduje Vidra i pop, Rasvan nie chce słuchać o niczem. Na to nadbiega Vulpoiu, jeden z byłych hajduków Rasvana i oznajmia, że nadchodzi tu sam hetman polski z całem rycerstwem. Wszyscy niepokoją się z wyjątkiem Rasvana, pop zmyka. Hetman odrazu przemawia niezwykle silnie i majestatycznie. Uosabia on tu Najjaśniejszą Rzeczpospolitą i zna swoje prawo hetmańskie i swe obowiązki. To jeden z tych idealnych hetmanów, o których mówią stare kroniki, śpiewają pieśni lirnicy, piszą poematy poeci. O kim myślał Hasdeu, tworząc tę piękną postać rycerską, jak ze stali? Postać godną Żółkiewskich i Tarnowskich. Chyba o Janie Zamoyskim, bo rzecz powinnaby dziać

się za Batorego, ale może ów hetman to raczej wcielenie prawdziwego ducha rycerskiego Polski. W każdym razie to pewna, że nawet w literaturze polskiej jest mało tak pięknych i wspaniałych postaci rycerskich, jak ten hetman polski, który urodził się w wyobraźni Bohdana Hasdeu. I wartoby ją przyswoić literaturze polskiej.

Niektórzy oficerowie polscy namawiają hetmana, aby nie przeceniał zasług Rasvana: wszak to obcy i nie szlachcic, nie *possessionatus* i nie *bene natus*. Na to hetman odpowiada krótko: „Kto za nas walczy, nie obcy jest, lecz z tej ziemi". I z całą uroczystością mianuje Rasvana wobec całego wojska kapitanem i przyrzeka mu, że na przyszłym sejmie uzyska dlań indygenat. Wszyscy zawistni winszują gorąco Rasvanowi, który, jak sam mówi, nie ma słów, aby podziękować hetmanowi. Naiwnie sądzi, że oto marzenia Vidry spełnione i to uczciwie, bez żadnej zdrady. Hetman daruje mu też mołdawskiego bojara, którego znaleziono w moskiewskim taborze, poczem wszyscy odchodzą. Rasvan uszczęśliwiony urządza wraz ze swemi dwoma Mołdawianami małą pijatykę. Ale na to wbiega oburzona Vidra. Co? taka radość z powodu niczego? Iluż jest kapitanów w wojsku hetmańskiem? Szlachectwo polskie? to już trochę lepiej, ale też niewielka rzecz. Rasvan powinien pójść dalej. Czy zapomniał kim ona jest i z jakiego rodu pochodzi? On musi dla niej ukochać chęć władzy i zaszczytów, jak Sbierea, ów bojar skąpiec, ukochał pieniądz. Właśnie zaś Sbierea jest owym bojarem mołdawskim, którego hetman podarował Rasvanowi. Sbierea dostał się najpierw do niewoli tatarskiej, „ogarnięty" przez Tatarów. Od Tatarów odebrali go Moskale, ale i jedni i drudzy chcieli wykupu. A on wolał czekać, niż płacić. I teraz Polacy odebrali go Móskalom i hetman dał go Rasvanowi, który puszcza go wolno bez okupu. Czy nie miał racji, że czekał? Tego zatem Sbierea Vidra daje za przykład Rasvanowi. Albo on pójdzie coraz wyżej, albo ona go porzuci.

W czwartym akcie dowiadujemy się, że Rasvan już jest pułkownikiem i szlachcicem, ale stoi wobec strasznego problematu. Ma być wojna z Mołdawją, on gotów bić się z każdym wrogiem Polski, ale nie ze swemi braćmi, choć ci bracia nieszczególnie się z nim obeszli. Wówczas przychodzi do niego hetman. Mówi mu, że chce go zachować przy sobie, że przyszłość

jego jest w Polsce, że z siostrą jego, Vidrą, chce ożenić się kasztelan Piotrowski, a jemu samemu, Rasvanowi, on, hetman, gotów jest dać swą własną córkę za żonę. Wielkoduszność hetmana wywiera głębokie wrażenie na Rasvana. „Hetmanie, pyta, czy wiesz, czem ja byłem niegdyś w Mołdawji? Rozbójnikiem". Hetman zrywa się z miejsca, lecz po chwili odpowiada mu: „Przeszłość mnie nie obchodzi. Znam cię od lat, jako wielkiego i zacnego rycerza, odkupiłeś winy, gotów jestem dać ci córkę mą za żonę".

Do głębi duszy poruszony Rasvan, choć go do tego nic nie zmusza, wyznaje całą prawdę hetmanowi. Opowiada mu swe życie i swą mękę. Mówi mu, że tylko dwoje ludzi spotkał na świecie, którzy popatrzyli nań ludzkiemi oczyma: jego, hetmana i Vidrę, która go pokochała. Hetman słucha poważnie, bez gniewu i bez zdziwienia, ale z pewnym smutkiem. Gdy widzi, że wszelkie perswazje byłyby próżne, żegna Rasvana, mówiąc: „Jako Polak i jako hetman zrobiłem wszystko, co było w mej mocy, aby zachować mej ojczyźnie mego ulubionego rycerza. Zostańmy przyjaciółmi, daj mi rękę. Powiem ci tylko, że z radością miałbym mimo wszystko za zięcia Rasvana". A gdy wchodzi przysłany od hospodara Arona-Vody, bojar Basota, hetman zwraca się doń nieco pogardliwie, mówiąc mu, że nie może być dobrze w kraju, gdzie, jak w Mołdawji, nie umieją cenić ludzi i podobnie Rzymianom, znajdować u pługa nawet Cincinnatów.

Po wyjściu hetmana Basota oznajmia Rasvanowi, że Aron-Voda zaprasza go do Mołdawji i ofiaruje mu szarżę hetmana i miejsce w swym senacie. Rasvan olśniony przyjmuje, ale gdy po wyjściu Basoty zwiastuje nowinę Vidrze, nienasycona niewiasta, woła doń: „teraz pozostał ci tylko jeden krok". „Do czego jeszcze?" pyta zdumiony Rasvan. „Do tronu" odpowiada Vidra.

Jakoż w ostatnim akcie, Rasvan podniósł chorągiew buntu przeciw Aronowi-Vodzie. Wierni przyjaciele idą za nim, ale panuje ledwie kilka dni i ginie. Vidra, dręczona przeczuciami, oczekująca wkrótce dziecięcia, pozostaje sama i zrozpaczona, a towarzysze zmarłego wyrzucają jej — zresztą dosyć słusznie — że to ona go zabiła.

O wiele nowszą, bo graną pierwszy raz w zimie 1931 r., w sezonie 1931—32, jest sztuka autorki-kobiety, Lukrecji Petrescu,

Syn Wilczy, lub jeśli kto woli *Wilcze szczenie*. Tu Polak gra może mniej piękną rolę, niż np. hetman w ostatniej sztuce, lecz nie jest bynajmniej godzien potępienia. W każdym razie postać tego Polaka dość prawdopodobna i dość polska. Co do dumy polskiej, to ma on jej tyle, jeżeli nie więcej, ile wszyscy bohaterowie poprzednio wymienionych sztuk razem wzięci.

W pierwszym akcie widzimy bardzo ładną izbę paradną w domu możnego bojara, który sam pociągnął na boje z Lachami. (Rzecz dzieje się za panowania króla Olbrachta, ale są tu pewne niedokładności w datach). Jego żona, Smaranda, jeszcze piękna i młoda, choć matka dorosłych dzieci, jego ciotka, stara, pogodna optymistka i opowiadaczka bajek, jak przystało starej damie owej epoki, oraz jego córka, najpiękniejsza dziewczyna w Mołdawji, Paunica, która, jak wszystkie szanujące się bohaterki rumuńskie, jest złotą blondynką, prawdopodobnie dlatego, że Rumunki mają naogół piękny typ brunetki. Oczekujemy zatem nieobecnych, lecz Paunica (czyt. Paunika) musi iść spać na rozkaz matki. Tymczasem alarm: jakieś wojska zbliżają się do zamku. Energiczna ciotka już zrywa ze ściany obrazy i każe wyganiać bydło i pakować wozy, aby uciec w lasy przed nieprzyjacielem. Paunici i jej brata narazie nie budzą, ani oni sami się nie budzą, mimo piekielnego hałasu panującego na scenie.

Jednak okazuje się, że to swoi: powraca pan domu z wojskiem. Radość, powitania i uczta. Rycerze mołdawscy opowiadają, jak się bili pod Kołomyją, gdzie wzięli w niewolę ciężko rannego, po bohaterskim oporze młodego Polaka, Władysława Lubomirskiego, którego oni nazwali „Pan Vlasco" (czyt. Vlasko). Przynoszą też wkrótce rannego, wówczas piękna Paunica, która obudziła się nareszcie, przybiega i woła zachwycona do matki: „O mamo, jakże piękni są Lachy!"

Po tym wykrzykniku, na którym kończy się akt pierwszy, jesteśmy zdania starego wuja, męża starej ciotki-optymistki, i naturalnie pesymisty, że z wstąpienia Polaka do domu bojara nic dobrego nie wypadnie.

W drugim akcie „pan Vlasco", mający za sługę starego polskiego szaraczkowego szlachcica, noszącego niewiadomo dlaczego rosyjskie imię Jegora, jest już zdrów i przyjeżdża często do bojara, gdzie go wszyscy lubią i podziwiają, jako coś wyższego. Sam on zaś spaceruje po scenie z takim wyrazem, jakby

i bojar mołdawski i cała jego rodzina byli przynajmniej jego cyganami - niewolnikami. Tylko ma zbyt dworskie obyczaje, aby dać im to odczuć. Wyjątek robi naturalnie dla jednej Paunici, ale i ta uwielbia go i drży na myśl o jego możliwym powrocie do Polski. Matka dziewczyny obawia się tego uczucia, lecz stara ciotka tłumaczy jej, że łzy młodej dziewczyny nie mają żadnego znaczenia w życiu kobiety. Zato wuj - pesymista przepowiada wszystkie możliwe nieszczęścia, w czem mu sekunduje czarny i ponury pop.

Atmosfera jest bardzo napięta, gdyż przybywa dwóch młodych bojarów mołdawskich, proszących o rękę Paunici. Wtedy i młody Polak, zmuszony albo wyrzec się ukochanej, albo ją poślubić, prosi o jej rękę. Ojciec w gruncie rzeczy bardzo z tego kontent, pozostawia wybór córce, która oczywiście nie waha się ani chwili i wybiera „Lacha".

Wszystko zatem byłoby dobrze, gdyby... nie wojna z Polakami, która znowu rozgorzała. Bojar idzie na wojnę z synem, Lacha zostawia jako przyszłego zięcia i zakładnika pod opieką starego wuja, szlachetnego inwalidy - oficera, zakochanego w Paunice, i kobiet. Zrozumiała rzecz, że młody człowiek jest w rozpaczy. Daremnie zaklina go narzeczona, daremnie tłumaczy mu stary wuj i młody oficer, ani oni jego, ani on ich nie może już zrozumieć. Patrjotyzm polski i duma szlachecka wybuchają w nim, a gdy odmawiają mu przyjęcia i nakarmienia w zamku oddziałku umierających z głodu i pragnienia zbłąkanych w obcym kraju Polaków, nie liczy się już z niczem i staje na czele rodaków, atakując zamek bojara. Wtedy zrozpaczona Paunica, która nie zdołała go zatrzymać, wyznaje matce, że jest jego kochanką i zaklina ich, aby ocalili jej „męża". Zarówno stary wuj, jak matka uznają konieczność ślubu i oficer - inwalida poświęca się dla Paunici i idzie szukać rannego już i konającego „pana Vlasco" na polu bitwy. Przynoszą go do wieży, gdzie zrazu napróżno chcą go namówić do ślubu z Paunicą. Dopiero gdy pop przemówił do jego dumy lackiej, aby przyszły jego potomek nie tułał się po świecie bez imienia, ranny zgadza się. Ponura ceremonja nie jest jeszcze skończona, gdy Lach umiera. Świece płoną nad umarłym i nad panną młodą, wijącą się z bólu i rozpaczy, a za sceną słychać odgłosy bitwy.

Widzimy z tych kilku sztuk rumuńskich, że sądząc z roli, jaką odgrywają przeszło od $^3/_4$ wieku Polacy w teatrze rumuńskim, nie są oni tam traktowani wrogo, ale jako ludzie innych obyczajów i innej, choć pokrewnej, kultury. Duma i miłość dla „pięknego gestu" oto ich główne rysy zasadnicze. Są naogół „chorzy na piękno", jak „ich naród".

Dr. M. Kasterska.

Przegląd piśmiennictwa.

Z literatury ekonomicznej.

Wydawnictwa Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie. Tomy: 50. Rudolf Frommer: O poprawie rentowności gospodarstw leśnych; 51. Stanisław Lauterbach: Finansowanie przez Skarb życia prywatno-gospodarczego; 52. Stefan Żurowski: Finanse Francji w latach 1913—1928; 53. A. Weiss: Waluta indeksowa; 54. Maksymiljan Józef Ziomek: Czem grozi Europie handel zagraniczny z Z. S. R. R.?; 55. Zdzisław Grabski: Polityka handlowa Polskiego Monopolu Tytoniowego; 56. Ludwik Starowieyski: Europa na rozdrożu. 57. Adam Krzyżanowski: Demograficzne oblicze kryzysu.

Wszystkie te wydawnictwa ukazały się w ciągu bieżącego roku, co świadczy pochlebnie o żywotności Tow. Ekonom. w Krakowie. Ponieważ są to książki tanie (w cenie 1—3 zł), a poruszające ważne, przeważnie aktualne zagadnienia, przeto cieszą się dużą wziętością. Autor rozprawy o leśnictwie, Frommer, jest doktorem leśnictwa i znanym przemysłowcem leśnym, łącząc przeto znajomość teorji i praktyki daje obraz finansowania gospodarstw leśnych drogą zaprowadzenia funduszu rezerwowego w leśnictwie. Celem tegoż będzie rozbudowa systemu drogowego i transportowego gospodarstwa, podniesienie urządzeń technicznych, zalesianie nieużytków, popieranie szkolnictwa leśnego i t. p.

P. Lauterbach, będąc kierownikiem biura, założonego przez banki łódzkie dla opinjowania zdolności kredytowej przemysłu i handlu, miał sposobność przypatrzeć się sprawie finansowania przez Skarb państwa życia prywatnego. Na tej podstawie opowiada się przeciw ratowanie przez skarb instytucyj prywatnych, gdyż udzielanie pożyczek nietylko nie ratuje danych przedsiębiorstw, ale przeciwnie powoduje ich upadek. Zdaniem jego „stosunek państwa do upadającej wielkiej firmy przemysłowej powiwinien wyrażać się w tem, że firmę tę należy pozostawić własnemu jej losowi".

Dr. Żurowski zapoznaje czytelników ze stanem finansów Francji w okresie 15 lat 1913—1928 i ze sposobmi stabilizacji waluty oraz zrównoważenia budżetu tego kraju. Praca ciekawie napisana oddaje cenną usługę badaczowi historji gospodarczej.

Autor „Waluty indeksowej", Weiss, nie wierzy w możność powrotu do liberalnego ustroju gospodarczego i do waluty złotej, poszukuje przeto nowych sposobów ustalenia wartości pieniądza. Emitowane środki pieniężne miałyby mieć pokrycie nie w złocie, lecz „pokrycie gospodarcze", t. zn., że każda „emitowana jednostka monetarna równałaby się pewnej, indeksowo z możliwie jak największej skali odpowiednio dobranej ilości krajowych dóbr i świadczeń realnych". Jest to myśl, którą w r. 1922 rozwijał na łamach *Przegl. Powszechnego* Feliks Sobolewski.

Tom 54 wydawnictw Tow. Fkonom. zawiera odbitkę artykułu „Europa kręci sznur... (Handel zagraniczny Socjal. Republik Radzieckich)", jaki ukazał się w Nr. 583 naszego pisma.

Na tle dyskusji o sztywnych cenach artykułów monopolowych i kartelowych bardzo na czasie jest interesująca rozprawa Z. Grabskiego, wyższego urzędnika P. Monop. Tyton. Znamienną a pocieszającą zarazem jest rzeczą, iż autor mimo zajmowanego stanowiska urzędowego opowiada się za liberalną polityką monopolu, przeciwstawia się dalszym zamierzeniom monopolizującym (monopol gilz, hurtownie i t. p.).

„Europą na rozdrożu" jest Europa obecna. Musi się ona, według L. Starowieyskiego, zdecydować na obranie drogi nacjonalizmu politycznego lub też polityki zgodnej i pokojowej współpracy na podstawie dobra ogólnego. „Po zinternacjonalizowaniu komunikacji, handlu, przemysłu, finansów, niemal cywilizacji i kultury, nie może polityka zostać nacjonalistyczną, gdy ma ludziom służyć". Główną przyczynę w obecnem położeniu Europy, a niemal całego świata także, widzi autor w problemie niemieckim, sprawie — jak się wyraża — „dyktatu wersalskiego", reparacyj i t. p., wyjście widzi w stworzeniu z Europy środkowej łącznie z Niemcami wielkiego organizmu gospodarczego, przeciwstawiającego się tworom potężnym, jakie stanowią: Ameryka, Imperjum angielskie, ogromne państwo kolonjalne francuskie, Rosja sowiecka oraz formujące się potęgi japońska i włoska.

Prof. Krzyżanowski rozważa wpływ przesilenia gospodarczego na naturalny ruch ludności. Dochodzi do wniosku, że kryzys nie jest jeszcze tak silny, by zatamować obniżanie się śmiertelności. Natomiast bardzo silnie wpłynął na mniejszą cyfrę małżeństw w Europie, głównie zaś w Niemczech i w Polsce. Wedle tego kryterjum oba te kraje należałoby uznać za najsilniej dotknięte przesileniem gospodarczem. Urodziny spadają, a w państwach południowych i wschodnich Europy zaczną dopiero spadać w tempie przyspieszonem.

Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie. Tomy: 22. Kornel Paygert: Powojenny kryzys rolniczy; 23. Ferenczi Imre: Polityka w międzynarodowych zagadnieniach migracyjnych; 24. Włodzimierz Mochnacki: Rola gal. Kasy Oszczędności w życiu gospodarczem naszej dzielnicy; 25. Edwin Hauswald: Racjonalizacja, jej działy, metody i następstwa; 26. Stefan Studniarski: Widmo przyszłego kryzysu leśnego; 27. Stefan Inglot: Prof. dr. Franciszek Bujak; 28. Leopold Caro: Drogi ku poprawie naszego położenia gospodarczego; 29. Leon Halban: Katolickie tendencje społeczno-gospodarcze; 30. Henryk Korowicz: Międzynarodowa konferencja gospodarcza w Berlinie; 31. Leopold Caro: Prawdziwa i fałszywa nauka; 32. Witold Minkiewicz: Zagadnienie taniego budownictwa mieszkaniowego w Polsce; 33. Stanisław Schätzel: Nowa organizacja przemysłu naftowego; 34. Kaz. Zakrzewski: Społeczno-gospodarcze przesłanki syndykalizmu.

Po Towarzystwie Ekonomicznem krakowskiem najżywotniej działa pokrewne nazwą Polskie Towarzystwo Ekonomiczne we Lwowie. Wydaje ono, w miejsce dawnych „Rozpraw i sprawozdań" z odczytów w niem wygłaszanych, obecnie „Przegląd Ekonomiczny", zawierający w każdym zeszycie po kilka prac gospodarczych, kronikę, recenzje i sprawozdania z działalności Towarzystwa. Przytoczone powyżej tytuły dotyczą prac, zamieszczonych w tegorocznych dwóch zeszytach „Przeglądu Ekonomicznego". Są to przeważnie rozprawy z polityki gospodarczej, a częściowo z ekonomji opisowej.

Wydawnictwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego: Władysław Landau: Izby pracy; Bronisław Białobłocki: Szkice literackie; Halina Krahelska: Praca kobiet w przemyśle współczesnym; Alfred Krieger: Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce; Życie i praca pisarza polskiego.

P. Landau podaje zadania Izb pracy na tle budowy samorządu gospodarczego w Polsce i w zestawieniu z Izbami pracy zapranicą. Rozprawiając się z zastrzeżeniami, wysuwanemi przeciw szybkiemu utworzeniu Izb pracy w Polsce, szkicuje organizację przyszłych Izb pracy w Polsce oraz ich projektowaną działalność.

Szkice literackie Bronisława Białobłockiego nic mają żadnego związku z nauką gospodarczą, a wydane zostały przez Instytut Gospodarstwa Społecznego — jak pisze w przedmowie Prof. L. Krzywicki — w celu spełnienia obowiązku wydobycia z zapomnienia polskich publicystów i pisarzy socjalistycznych.

Znana działaczka na niwie opieki społecznej nad kobietą i małoletnimi, H. Krahelska, wydała niezwykle ciekawe studjum o pracy kobiet w przemyśle współczesnym. Przedstawia w niem udział kobiet w produkcji fabrycznej, wyjaśnia przyczyny rozrostu tej pracy, wskazuje na ujemne strony tego rozrostu

oraz wypowiada się za ochroną pracy kobiet, posługując się bogatym materjałem porównawczym z niemal wszystkich cywilizowanych państw świata. Rozprawa ilustrowana wieloma rysunkami, przedstawiającemi zgubny wpływ pracy zawodowej dla kobiety, zawiera wiele niezwykle ciekawego i wprost przerażająco rewelacyjnego materjału odnośnie do położenia kobiet w przemyśle.

Historją wprowadzenia ubezpieczenia na wypadek choroby w Polsce zajął się p. Alfred K r i e g e r. Przedstawił on rozwój walki o to ubezpieczenie podczas okupacji niemieckiej w latach 1917 i 1918. Na podstawie urzędowych materjałów omawia dzieje projektu urzędowych władz polskich i samorządów, usiłowania instytucyj społecznych oraz lekarzy, wreszcie współdziałanie opinji publicznej. Rozdział ostatni przedstawia ustosunkowanie się okupantów do tych zamierzeń. Praca zawiera wiele materjału historycznego, mało dotychczas znanego, jest ciekawym przyczynkiem do zbadania tej doniosłej sprawy.

Związek zawodowy literatów polskich w Warszawie rozpisał w 1929 r. ankietę do literatów w sprawie warunków materjalnych i moralnych, w jakich żyje i pracuje współczesny pisarz polski. Materjał ten opracował obecnie Instytut Gospodarstwa Społecznego głównie w osobach p. Wł. Landaua i p. W. Korczakowej. Na podstawie 198 odpowiedzi, a w poszczególnych sprawach nawet na podstawie 40 odpowiedzi, zobrazowano stan osobisty pisarzy (t. zn. ich miejsce urodzenia, wiek, wykształcenie, znajomość języków obcych i t. p.), położenie materjalne, stosunki z wydawcami, źródła ubocznych dochodów (tłumaczenia, libretta, odczyty i t. p.), subwencje, nagrody, ubezpieczenia i t. p., tryb życia, warunki pracy, jej wydajność oraz organizacje literackie. Znamiennem jest, że metodę statystyczną z inicjatywy samych pisarzy zastosowano do tego zawodu, który stale odżegnywał się od podciągania ich pod jeden strychulec tablic statystycznych, wymawiając się różnolitością poszczególnych indywidualności literackich. Oczywiście dokładniejsze mogło być ujęcie warunków materjalnych aniżeli moralnych pisarza. Warunki zaś materjalne, przedstawione w ankiecie, obecnie uważać należy za zbyt pomyślne, gdyż dotyczące lat 1928 i 1929, a więc okresu ogólnej dobrej konjunktury, odbijającej się pomyślnie na ruchu wydawniczym i wynagrodzenia autorów. Jednak nawet w tym dobrym okresie przeciętny zarobek pisarza wynosił niespełna 300 zł. miesięcznie. Toteż zaledwie co trzeci literat utrzymywał się z zarobku pisarskiego. Inni dla chleba trudnili się wszelkiemi możliwemi zajęciami. Zarówno Związek zawodowy literatów jak i Instytut Gospod. Społ. mają dużą zasługę w tem, że po raz pierwszy w Polce przyczynili się do zbadania bezstronnego warunków życia autorów, a więc pośrednio do poznania warunków powstawania ich utworów.

Prace Instytutu Badania konjunktur gospodarczych i cen: M. Kalecki: Wskaźniki spożycia i ich analiza; tenże i L. Landau, Szacunek ruchu inwestycyjnego w Polsce i wskaźnik kwartalny inwestycyj; B. Łączkowski: Ruch cen świń w Polsce; J. Poniatowski: Statystyka ruchu zapasów zbóż; J. Wiśniewski: Wskaźnik cen hurtowych artykułów nabywanych przez rolników; J. Zagórski: Spożycie naczyń stołowych w Polsce; L. Landau: Wydatki budżetowe na administrację państwową w przeciągu cyklu konjunkturalnego 1926—1931; L. Landau: Łagodzenie wahań konjunkturalnych przy pomocy zamówień publicznych; J. Wiśniewski: Wahania sezonowe produkcji przemysłowej i możliwości ich ograniczenia; J. Zagórski: Ruch likwidacyjny przedsiębiorstw w świetle liczb upadłości; M. I. Drybiński: Międzynarodowe obroty w latach 1926 do 1931; B. Winawerówna: Wywóz wyrobów przemysłowych w latach 1930 i 1931; W. Skrzywan: Handel obuwiem w Polsce.

Istniejący w Warszawie Instytut badania konjunktur gospodarczych i cen rozwija coraz to silniejszą działalność wydawniczą. Oprócz kwartalnika „Konjunktura gospodarcza" ogłasza serjami „Prace" oraz „Sprawozdania i przyczynki naukowe". „Prace" obejmują rozprawki drobniejsze, przedstawiając rozwój pewnych drobnych odcinków życia gospodarczego. Natomiast „Sprawozdania" zawierają obszerniejsze monografje stosunków gospodarczych pewnej szerszej dziedziny oraz badania metodologji gospodarczej. Z powyższych rozpraw ostatnia należy do „sprawozdań", a wszystkie poprzednie do „prac". Działalność Instytutu bardzo przyczynia się do rozwoju opisowej nauki gospodarstwa w Polsce, traktowanej niesłusznie z lekceważeniem przez ekonomistów-teoretyków.

Wydawnictwa Towarzystwa Lniarskiego w Wilnie: Lucjan Żeligowski: Myśli żołnierza-rolnika o naszem gospodarstwie; Stosław Zembrzuski: Sprawa lniarska we Francji; Janusz Jagmin: Siejcie len!; Leon Niewiarowicz: Wartość siewna ziarna w zależności od miejsca jego zbioru.

Gorąca jest w Polsce wymiana zdań na temat używalności surowców krajowych w przemyśle naszym. Zawołaniem bojowem tej dyskusji jest pytanie „bawełna czy len?" Przemysł broni taniego przywozu bawełny jako tego surowca zagranicznego, który nie jest możliwy do uprawy w naszym klimacie, a jest niezbędny dla silnie rozwiniętego przemysłu bawełnianego w Polsce oraz dla ogromnych rzesz spożywców jako wytwór tani. Rolnictwo natomiast pragnie polepszyć dochodowość swoich warsztatów rolnych przez uprawę lnu, który dzięki protekcjonizmowi rządu miałby się stać artykułem rentownym. Ze względów na samowystarczalność w czasie wojny akcja rolnictwa spotyka się z poparciem wojskowości. Kampanja na rzecz lnu skupia się w Wilnie, a trybuną jej są wydawnictwa tamtejszego Towarzystwa Lniarskiego. Powyżej przytoczyliśmy tegoroczne jego publikacje.

Kaz. Wład. Kumaniecki: Stosunki robotnicze w czasie wojny, Warszawa, Tow. Badania zagadnień międzynarodowych.

Znakomity uczony polski, profesor statystyki i administracji na U. J. w Krakowie oraz b. minister WR i OP, ogłosił ostatnio rozprawę o powyższym tytule w wydawnictwie zbiorowem Fundacji pokojowej Carnegiego „Polska w czasie Wielkiej Wojny". Autor na podstawie źródeł, dotychczas nieogłaszanych, przedstawił usiłowania władz okupacyjnych austrjackich i niemieckich o zdobycie sił robotniczych do pracy niezbędnych dla wojsk okupacyjnych na terenie b. Królestwa Kongresowego. Dzięki zwięzłemu naszkicowaniu polskiego wychodźtwa czasowego przed wojną, zagadnienie występuje jaśniej dla czytelnika. Cenną tę rozprawę uzupełniają załączniki, podające w oryginalnem brzmieniu szereg ważnych dokumentów, listów i t. p.

Księga pamiątkowa półwiekowej działalności Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Krakowie 1882—1932.

Jedna z najstarszych na terenie kas oszczędności obchodziła tegoroczny jubileusz swój m. i. wydaniem osobnej księgi. Złożyły się na nią prace: wstęp pióra dr. Stefana Uhmy, prezesa Związku polskich kas oszczędn. we Lwowie, dr. K. Grzybowskiego „Historja i organizacja Komun. Kasy O. Pow. Krak.", dyr. M. J. Ziomka „Rozwój i działalność K. K. O. P. K." oraz S. Kochanowskiego „Zadłużenie włościaństwa powiatu krakowskiego w K. K. O. P. K.". Ponadto księga zawiera spis wszystkich byłych dyrektorów i urzędników Kasy, ostatnie zamknięcie rachunkowe, a przyozdobiona jest licznemi fotografjami dawnych i obecnych gmachów Kasy oraz jej pracowników. Dzięki zgrupowaniu obfitego materjału źródłowego Księga jest cennym przyczynkiem do poznania historji gospodarczej b. Galicji w okresie ostatnich 50 lat.

Wacław Fabierkiewicz: Nauka o pieniądzu. Warszawa, Koło Prawników Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Literatura teoretyczna polska wzbogaciła się o rozprawę prof. W. Wszechn. Polskiej w Warszawie W. Fabierkiewicza. Zawiera ona wykłady nauki o pieniądzu dla słuchaczy WSP. Nowością w niej jest układ materjału, przekładanie wykładów teorji z tłumaczeniem rozwoju historycznego. Autor opowiada się przeciw teorji kwantytatywnej, przypisując jej wpływ daleko większy, niźli istotnie wywarła, wpływ — zdaniem p. Fabierkiewicza — zgubny. Jego zdaniem wielkość siły nabywczej nie jest wynikiem zmian ilościowych pieniądza, lecz „wynikiem zsumowanych dyspozycyj ludzkich, dokonywanych w granicach osiąganych dochodów, których rozmiar znajduje się w ścisłym związku ze stanem produkcji i jej obrotów, określanych zkolei stanem konjunktury

gospodarczej". Te zmiany konjunkturalne rozstrzygają o poziomie cen i określają również cenę złota jako towaru.

Aleksander Raczyński: Zagraniczne ustawy kryzysowe. Lwów, Księgarnia Polska Bernard Połoniecki.

Wiosną tego roku na Walnem zgromadzeniu Związku ziemian we Lwowie wygłosił dr Raczyński referat o kierunku ustaw, spowodowanych obecnym kryzysem światowym. Referat ten ukazał się w „Rolnictwie" a następnie jako odbitka pod przytoczonym tytułem. Autor przytacza opinję jednego z niemieckich profesorów, że jest aż 325 przyczyn kryzysu. Co do przyczyn zatem niema zgody. Natomiast istnieje już ona odnośnie do jego zwalczania drogą ustaw. Jedne z nich noszą charakter defensywny, broniący wytwórczość, inne wprost przechodzą do ofensywy, mając zapobiec nietylko objawom przesilenia, lecz jemu samemu. Ich treść i zadania objaśnia autor na przykładach ustaw zagranicznych, głównie niemieckich.

Antoni Leparski: Kryzys gospodarczy a ludzie pracy, Warszawa, nakładem autora.

Znane są głosy, opowiadające się przeciw wszechwładzy złota w obecnym ustroju gospodarczo-walutowym. Dołączył się do nich ostatnio dr Leparski, opowiadając się w swojej broszurze przeciw stawianiu na pierwszem miejscu złota a nie człowieka i jego potrzeby. Wzywa przeto do „zbiorowej akcji samopomocowej pracującego społeczeństwa", by zmienić obecny ustrój gospodarczy, żeby człowiek i jego potrzeby znalazły się na pierwszem miejscu.

Dr. M. J. Ziomek.

Ks. Dr. Antoni Roszkowski: Korporacjonizm katolicki, Poznań, Skład Główny: Księgarnia św. Wojciecha, 1932, str. 303.

Autor postawił za cel swej pracy „zbadać ideologję korporacjonizmu katolickiego z punktu widzenia ekonomji poto, by orzec, „czy istotnie ustrój korporacyjny odpowie tym nadziejom, jakie w nim pokłada szkoła katolicka, oraz ci wszyscy, którzy tę ideę propagują". Zadanie nęcące, bo leżące odłogiem, albowiem, jak stwierdza autor, katolicy społeczni „zgoła kwestję układu sił i funkcjonowania mechanizmu ekonomicznego w ustroju korporacyjnym" pomijają w swych pracach, podobnie zresztą, jak przedstawiciele korporacjonizmu socjologicznego (np. Schaefle, O. Spann, Longert i i.), co tłumaczy się traktowaniem zagadnienia ustroju korporacyjnego jedynie z punktu widzenia społecznego. Z drugiej strony zadanie o tyle trudne, lub, jak kto chce, łatwe, że katolicy społeczni nie określają bliżej zakresu działania korporacyj w dziedzinie czysto gospodarczej wskutek (czego)

i zależność gospodarcza jednostki nie jest w tej dziedzinie określona, ale może być większa".

Wprowadzeniem do tego głównego przedmiotu pracy jest szereg rozdziałów, w których autor nakreśla, dla ułatwienia poglądu na całość idei korporacjonizmu, najpierw historyczny rozwój szkoły katolików społecznych, jej ideologję, jej założenia metodologiczne, jako stanowiące podstawę ideologji programu korporacjonizmu katolickiego; porównuje ją z metodologją szkoły ekonomiki ścisłej, historycznej i narodowej, poczem przechodzi do przedstawienia rozwoju idei korporacjonizmu w katolicyzmie społecznym, przedstawia jego istotę i ustosunkowanie do ogólnej ideologji korporacionizmu i, doszedłszy do głównego przedmiotu swej pracy, zamyka go w jednym rozdziale (XI), poczem dodaje dwa rozdziały końcowe, z których przedostatni poświęca rozpatrzeniu istniejących ustrojów korporacyjnych, stwierdzając w wyniku, że mają one przedewszystkiem na celu współpracę warstw i pokój społeczny, a dopiero w dalszym rozwoju cele przebudowy ogólno społecznej, przyczem w zakresie życia gospodarczego stawiają pierwsze kroki; dlatego zapewne prawie nie analizuje ich ekonomicznych rezultatów. Mimo stosunkowo szczupłych rozmiarów głównego rozdziału, należy mu poświęcić najwięcej miejsca w sprawozdaniu, nietylko jako głównemu i najoryginalniejszemu w całej pracy, ale i ze względu na wyniki, do których w nim autor dochodzi.

Autor wychodzi ze założenia, że w ustroju korporacyjnym, wobec podporządkowania działalności gospodarczej jednostki gospodarującej celom jej korporacji zawodowej, działalności korporacji zaś każdej celom ogólno-gospodarczym, reprezentowanym przez najwyższy organ w hierarchji tego ustroju, organ, który autor nazywa Naczelną Izbą Gospodarczą. Izba ta będzie swą polityką decydowała o układzie stosunków gospodarczych innych niższych stopni hierarchji. Dlatego, ustaliwszy możliwości kierunku polityki ekonomicznej tej Izby, ma się punkt wyjścia dla określenia granic działalności korporacyj i jednostki gospodarującej.

Autor przyjmuje trzy możliwe kierunki polityki Naczelnej Izby: 1. liberalny, utrzymujący i wzmacniający wolną konkurencję; 2. pozwalający na „orderly marketing", zatem na powstawanie w łonie korporacyj organizacyj kartelowyrh, i 3. idący drogą planowej gospodarki społecznej z zaprowadzeniem przymusowej organizaji produkcji we wszystkich korporacjach, ku czemu — podkreśla autor — istnieje zresztą w ustroju korporacyjnym zasadnicza tendencja w następstwie związania w nim gospodarstwa w dziedzinie podziału dochodu społecznego (umowy zbiorowe, ustalające warunki pracy i płacy). W danych ramach polityki gospodarczej bada oddzielnie dziedzinę produkcji i wymiany od dziedziny podziału dochodu społecznego, albowiem w tej ostatniej „zgodnie z programem katolików społecznych zasady kształ-

towania się stosunków mają być zawsze takie same, oparte na interwencjonizmie. W wyniku analizy dochodzi do zapatrywania, że wskutek wprowadzenia ustroju korporacyjnego nastąpiłaby w stosunkach zmiana raczej natury politycznej: sprawy gospodarcze przeszłyby do instytucji samorządu gospodarczego z ograniczeniem interwencji państwa do ostatniej potrzeby, która zresztą byłaby dość często wedle autora zjawiskiem, bo Izba, jako ciało zbiorowe, działające na prawach parlamentarnych, nie byłaby ani dość sprawną ani dość władną w warowaniu interesów ogólno społecznych w gospodarstwie. Z punktu widzenia zaś gospodarczego nie byłby to — stwierdza autor — żaden nowy ustrój. Zależnie od kierunku polityki Naczelnej Izby, byłby to bądź ustrój liberalny, z interwencją państwa w obronie wolnej konkurencji, bądź liberalny jeszcze, ale pozwalający na kapitalizm związany, bądź ustrój planowego gospodarstwa, niewiele odbiegający od kapitalizmu państwowego, zbliżony do kolektywizmu i do niego w ostatecznej konsekwencji swych założeń prowadzący. Katolicy społeczni spodziewają się, że w dziedzinie podziału dochodu społecznego ustrój korporacyjny podniesie, dzięki umowom zbiorowym, udział pracy w tym dochodzie. Autor nie podziela bezwzględnie tych nadziei. Funkcjonowanie mechanizmu ekonomicznego tego nie sprawi. Ponad granicę płacy naturalnej (t. j. odpowiadającej, zdaje się, cenie rynkowej kapitału i pracy — autor bliżej nie określa tego wyrażenia) związek zawodowy nie będzie mógł, bez większej szkody dla pracy (ograniczenie zatrudnienia), podnieść udziału pracy w tym dochodzie. Może tylko przyspieszać realizację naturalnej płacy. „Działalność związków zawodowych w ustroju korporacyjnym byłaby więc zamknięta w tych tylko granicach". Korzyści więc ekonomiczne tego ustroju zawierają się w tem, że umowy zbiorowe stwarzałyby odpowiednie warunki dla współdziałania kapitału i pracy i zapewniałyby względną stałość stosunków. Wzajemne porozumienie przyczyniałoby się do wzrostu wydajności pracy i ogólnego dochodu społecznego, przez co też udział każdego czynnika mógłby również wzrastać. Robotnikom zaś dawałby możność przyspieszenia realizacji ich naturalnej płacy. Autor stwierdza, że mogłyby w umowach zbiorowych znaleźć wyraz praktyczny konsekwencje, płynące z zasad chrześcijańskich o godności człowieka, braterstwie ludzkiem, wzajemnej miłości, co wszystko mogłoby prowadzić do powstawania odpowiednich urządzeń socjalnych, do czego same motywy gospodarcze już nie wystarczą. Ale dodaje, że „jeżeli jednak zwrócimy uwagę na istniejący układ stosunków w dziedzinie podziału dochodu społecznego w ustroju kapitalizmu związanego, to między nim a tem, coby w tej dziedzinie istniało w ustroju korporacyjnym znaleźlibyśmy drobne tylko zmiany" (s. 254). Narzuca się wniosek, że dla poprawy położenia świata pracy ustrój korporacyjny byłby zbędny. Autor tak daleko nie

idzie, tak jednak ostatecznie formułuje swój sąd o wartości dążeń reformistycznych katolików społecznych ku temu ustrojowi: „Ustrój korporacjonizmu wolnego, czy też nawet związanego, mógłby być bardziej celowy, niż ustrój obecny, zarówno w dziedzinie ekonomicznej jak i społecznej, o ile jednocześnie nastąpiłoby podniesienie się poziomu moralnego w społeczeństwie, a naczelna organizacja i państwo mogły też należycie spełniać swe zadania. Wtedy program reformistyczny katolików społecznych, t. j. przeprowadzenie reform zewnętrznych oraz urobienie duchowe człowieka, posiadałby realną wartość. Wskutek tego przy reformie, podejmowanej w celu jego realizowania w konkretnym ustroju społeczno-gospodarczym, należy zawsze pamiętać, by praca nad uspołecznieniem człowieka i jego urobieniem duchowem była co najmniej równolegle prowadzona z przemianami zewnętrznemi i z reguły pierwsza powinna drugą poprzedzać". Prawdę tę udowodnił autor w sposób przekonywujący analizą ekonomiki ustroju korporacyjnego. Być może, że do potrzeb tego dowodu przykroił rozmiary rozdziału o niej i tem się tłumaczy, czemu pewne w nim ustępy robią wrażenie skrótu. Może przy nowej sposobności autor zechciałby rozwinąć tezy, tu tylko rzucone. Naprz. w sprawie podziału dochodu społecznego w korporacjonizmie gospodarczo i korporacjonizmie administracyjnie związanym. Wydaje się to luką, tak samo jak brak omówienia roli korporacji finansującej (kredytowej czy bankowej), która zdaje się w miarę postępu związania gospodarstwa będzie też w ustroju korporacyjnym urastać w znaczenie, a wobec tego nie tak, jak autor przypuszcza w korporacjonizmie administracyjnie związanym, korporacje najbardziej zbliżone do gotowego produktu będą miały najmniejsze zyski, ale może te, które będą najdalej od finansownaej bezpośrednio przez nią. Mogą to być równie dobrze korporacje surowcowe, jak i korporacje gotowego produktu.

Mimo pewnych niedociągnięć, rozdział o ekonomice ustroju korporacyjnego jest cennym dorobkiem myśli korporacjonistycznej naszej i nietylko naszej, cała zaś praca przez bogactwo materjału informacyjnego zaleca się dla wszystkich, którzy chcą się wielostronnie zapoznać z ideą korporacjonizmu.

Dr. Jan Mikułowski.

Ks. dr. Józef Pastuszka: Kryzys kultury a religja. Szkice filozoficzno-religijne. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1932. Str. 156.

Rzadko kiedy można spotkać książkę, któraby zagadnienia metafizyczno-religijne w związku z prądami kulturalnemi, przebiegającemi daną epokę, ujmowała syntetycznie i zrozumiale nawet dla laików, którzy nie mają czasu zagłębiać się w cały chaos systemów i systemików, wstrząsających myślą ludzką. Do takiego syntetycznego ujęcia prawd religijnych i obrony ich przed

najazdem przejściowych prądów filozoficznych zdążały „Myśli" Pascala, takiem ujęciem i obroną ogólną cieszy się również powyższa książka ks. dr. Józefa Pastuszki.

Autor ujął najnowsze zagadnienia religji i nowożytnej kultury w sześć tematów: 1) wpływ prądów naturalistycznych na współczesną umysłowość; 2) antagonizm między religją a współczesną kulturą; 3) twórczość kulturalna a religja; 4) stosunek chrześcijaństwa do kultury; 5) kryzys kultury; 6) rola religji w życiu człowieka współczesnego. Gwóźdź zagadnienia tkwi w tem, czy możliwe jest współdziałanie kultury z religją, czy przeciwnie musi nastąpić między temi dwiema potęgami, wkraczającemi głęboko w życie ludzkie, podział, jaki rzeczywiście dokonał się w Europie w ostatnich stuleciach.

Było to pytanie zasadnicze wszystkich. Początkowo chrześcijaństwo poszło po linji pogodzenia. Kościół katolicki zaopiekował się sztuką i naukami i przekazał je następnym wiekom, jako dorobek kulturalny starożytności. Kultura średniowieczna przepojona była pierwiastkami religijnemi. Od czasu jednak Odrodzenia ta harmonja zaczyna się psuć, drogi religji i kultury zaczynają się coraz bardziej rozchodzić, a dziś mówi się już wprost o „tragicznem" powiązaniu obu tych potęg, które w rezultacie musiało doprowadzić do osłabienia jednej i drugiej strony. Stąd wyłonił się dziś wpływowy kierunek protestancki t. zw. teologja kryzysu, który to kierunek uważa, że religja i kultura to dwie dziedziny sobie wrogie, pogodzić się nie dające, gdyż religja wywodząca się ze świata tajemniczego i niezrozumiałego, przeciwstawiać się musi rzeczywistości doczesnej, a więc kulturze. Ks. prof. Józef Pastuszka, stając na stanowisku filozofji katolickiej, wykazuje, że przepaści między religją a kulturą niema, istnieje natomiast między niemi szereg punktów stycznych; rozdział, jaki między temi dziedzinami dziś obserwujemy, wynikł z czynników przygodnych i z przekroczenia uprawnień, jakie kulturze przysługują; uzasadnienie i zharmonizowanie tych dwóch dziedzin prowadzi do sanacji więdnącej kultury europejskiej według powiedzenia Goethego, że tylko te epoki, w których kwitnąca jest wiara, bez względu na to w jakiej formie występuje, są okresem świetnym, podniosłym i płodnym w twórcze skutki dla następnych pokoleń.

Książka powyższa może służyć jako doskonały substrat do bardzo interesujących, aktualnych odczytów.

Ks. J. Godaczewski.

Paweł de Kruif: Łowcy mikrobów. Przełożył z angielskiego St. Miklaszewski. 18 ilustr. Bibljoteka Wiedzy t. IV. Trzaska, Evert i Michalski. Warszawa. Str. 308 in 8°.

Jeszcze przed stu laty najtęższi nawet fachowcy byli bezsilni wobec całego szeregu chorób, które przy większem nasile-

niu szerzyły spustoszenie wśród zwierząt domowych a dziesiątkowały ludzi. Afrykańska „nagana", amerykańska „gorączka Teksasu", czy europejski „wąglik" doprowadzał do rozpaczy hodowców bydła; cholera, tyfus, śpiączka, dyfterja, kiła, malarja, żółta febra... były postrachem i tragedją dla ludzi. Nie wiedziano skąd biorą się te choroby, nie znano, co ważniejsza, lekarstwa na te prawdziwe plagi ludzkości. Dzisiaj nietylko lekarz specjalista, ale i zwyczajny laik wie mniej lub więcej o drobnoustrojach, o bakterjach, które z jednej strony tak olbrzymie oddają usługi w pewnych działach przemysłu, z drugiej zaś są najgroźniejszym wrogiem życia. Dziś bakterjologja zna dokładnie cały szereg chorobotwórczych bakteryj, w specjalnych laboratorjach odkrywa się, hoduje i unieszkodliwia rozmaite paciorkowce, pałeczki, laseczniki, świdrowce, krętki i t. d., cała gałąź przemysłu pracuje nad masowym wyrobem rozmaitych szczepionek, antytoksyn, preparatów chemicznych..., które skutecznie ratują zagrożone życie... Wprost trudno uwierzyć, jak olbrzymi przewrót spowodowała w dziejach medycyny bakterjologja, tem większy podziw wzbudza fakt, iż rozkwit tej nauki ma za sobą zaledwie pół wieku.

Wprawdzie Holender, prosty odźwierny Antoni Leeuwenhoek, przez swe dyletanckie a tak namiętne badania już w połowie XVII-ego wieku odkrył istnienie bakteryj i za to odkrycie został ów „nieuk" nawet członkiem Angielskiego Towarzystwa Królewskiego, wprawdzie ks. Lazzaro Spallanzani niemniej namiętny badacz w połowie następnego wieku wykazał, iż mikroby nie powstają drogą samorództwa, podpatrzył nawet proces rozmnażania się bakteryj przez podział, ale dopiero Louis Pasteur położył prawdziwe podwaliny pod rozwój nowoczesnej bakterjologji. Z Pasteurem na czele kroczy odtąd nieustraszony zastęp łowców oraz pogromców bakteryj. Pasteur, który jako dziewięcioletni chłopiec patrzył z przerażeniem w swej rodzinnej wiosce na ofiarę wścieklizny, której rozpalonem do białości żelazem przypiekano w kuźni niebezpieczną ranę — stanie się właśnie zwycięskim pogromcą bakterji wodowstrętu. Jego preparat z mózgu chorego na wściekliznę psa ratować będzie życie ludzkie. Przez unieszkodliwienie zarazy „wąglika" i tajemniczej choroby jedwabników stał się Pasteur dobroczyńcą swej ojczyzny. Cóż to za niesłychanie interesująca galerja ludzi-bohaterów, którzy odtąd, często z narażeniem własnego życia, walczyć będą z śmiercionośnemi bakterjami. Wiejski lekarz Robert Koch, wsławiony swemi badaniami nad gruźlicą i cholerą,.. Emil Roux i Emil Behring, łowcy i pogromcy bakterji dyfterytu,.. rosyjski żyd Eljasz Miecznikow, entuzjastyczny odkrywca dzielnych fagocytów..., Theobald Smith i Dawid Bruce, jeden zwycięzca „gorączki Teksasu„ a wróg kleszczów, drugi badacz afrykańskiej śpiączki i fanatyczny nieprzyjaciel muchy tse-tse,.. R. Ross i B. Grassi, pogromcy ma

larji,.. Walter Reed, zwycięzca żółtej febry, ryzykownie eksperymentujący na ludzkim materjale,.. wreszcie niemiecki żyd Paweł Ehrlich, twórca słynnego preperatu 606, dobroczyńca syfilityków, — oto ludzie, z których życiem i działalnością zaznajamia nas książka de Kruif'a.

Nie jest to bynajmniej suchy szkic historyczny, skazany na bibljoteki fachowców, przeciwnie to życiem tętniąca powieść, która przed wyobraźnią czytelnika stawia żywe osoby, każe patrzeć na ich żmudne, nieraz tak tragiczne doświadczenia, smucić się ich rozczarowaniem i cieszyć końcowym triumfem. Książka nawskróś popularna i przystępna, która jednak nie lekceważy naukowej ścisłości. Prawdziwy wzór jak pisać tego rodzaju prace, przeznaczone dla szerszych sfer czytelników. Jeden mam żal do autora, iż wypaczył trochę psychiczną sylwetkę największego bakterjologa: Pasteur'a. Czyżby wpływ rasowej niechęci, czy może wyznaniowe uprzedzenie do tego żarliwego katolika? Nie wiem. W każdym razie cierpi na tem historyczna prawda. Pasteur był niewątpliwie nietylko wielkim uczonym ale naprawdę i wielkim człowiekiem. Pominięcie wielu jego zalet przy jednostronnem nagromadzeniu i tendencyjnem naświetleniu jego wad uważam właśnie za naukową nieścisłość.

Ks. E. Kosibowicz.

Upton Sinclair: Mokra parada. Służba państwowa. Przekład Antoniny Sokolicz. Warszawa, Wydawnictwo „Rój".

Książka komunistycznego pisarza, autora apologji Sacco i Vanzetti'ego, zawodowego oskarżyciela kapitalizmu i burżuazji („Nafta", „Trzęsawisko" i t. d.) w przekładzie polskiej komunistki jest tym razem gwałtowną obroną prohibicji.

Prohibicja w Stanach Zjednoczonych i państwowy monopol spirytusowy w Rosji wydały jednakowe owoce: straszliwe pijaństwo. W Stanach Zjednoczonych zapijają się ludzie bogaci, których stać na poniesienie ryzykownych kosztów przemytu i potajemnego gorzelnictwa; w Rosji piją nawet dzieci i jedną z „postępowych" instytucyj, stworzonych przez komunizm, jest lecznica dla alkoholików i narkomanów.

Komunizujący Sinclair broni prohibicji. Ciekawem jest, jak ludzie, wzdychający do nowego lepszego ustroju, nie wymyślili w swym rzekomym humanitaryźmie żadnych nowych metod. Buntując się przeciwko przymusowi ustroju obecnego, nie mają innej broni, prócz tegoż przymusu, tylko stosowanego do innej części społeczeństwa. Nieskończona, uproszczona naiwność tkwi w mniemaniu, że można przepisem policyjnym zmusić człowieka do postępowania moralnego, nie pracując nad jego duszami. Dlatego katolicy, mający tysiąclecia pracy nad niemi za sobą, są w Stanach Zjednoczonych przeciwnikami prohibicji, zaś komuniści są

za nią może nie tyle z powodów moralnych, co na złość kapitalistom, a także dlatego, że wierzą w skuteczność zakazów.

Sinclair w pierwszym tomie opisuje okropne skutki pijaństwa i tragedje rodzin pijaków, w drugim — apoteozuje ofiarną służbę urzędników urzędu prohibicyjnego. Specyficznie amerykański jest obraz straszliwego przekupstwa, owijającego się dokoła potajemnej sprzedaży i produkcji alkoholu. Sinclair ujawnia wszystkie niekonsekwencje, wszystkie absurdy tej ustawy, ale zrzuca je na nieuczciwe stosowanie tejże, na intrygi zainteresowanych w łamaniu ustawy, nie zaś na jej mylność w samem założeniu.

Oprócz walki przy pomocy przymusu i kary, otoczonej całym aparatem szpiegów i prowokatorów, rozpijających się i wkońcu ulegających przekupstwu, jest jeszcze walka przy pomocy propagandy. I tu ujawnia się gruboskórność „ludzi przyszłości". Bohaterka Sinclair'a, Maggie May Tarleton, agituje za wstrzemięźliwością, opowiadając publicznie potworną historję własnego ojca. Za odczyty te bierze pieniądze, co wygląda jeszcze okropniej. Ale może to są z naszej strony tylko drażliwości „burżuazyjne"...

Życie bogatych Amerykanów pod piórem Sinclair'a nabiera kształtów karykaturalnych, oczywiście przesadzonych, gdyż każdy autor zawsze może zgęszczać barwy dowolnie. Ale pewna część rzeczywistości uchwycona jest wiernie i pozwala zastanowić się, skąd katastrofy żywiołowe, niedole i kryzysy współczesności. Czyż współczesne Babilony, szalejące w zbytkach najbezmyślniejszych, gdy obok giną bezrobotni i toną w grzechu ciemni, oddawna nie zasłużyły na deszcz ognia i siarki? Tylko na wydźwignięcie ludzi z odmętu nałogu, zezwierzęcenia, upadku moralnego nie pomogą ani prohibicje, ani ekshibicje własnych przeżyć w dziesiątkach różnych „kościołów", w które tak obfituje Ameryka. Pomoże na to jedynie długotrwałe, dobroczynne oddziaływanie j e d y n e g o prawdziwego Kościoła, który rozumie mądrością nadprzyrodzoną, że zło można zaatakować i zwalczyć tylko w siedzibie jego — w sercu człowieka.

A. Zahorska.

Maciej Loret: I t a l j a w s p ó ł c z e s n a. Rzym 1932, str. 260.

Włochy faszystowskie są już dzisiaj dosyć znane w innych krajach, by mogły budzić to zainteresowanie, jakie budziły w pierwszych latach rządów Mussoliniego. Mimo to książka Loreta zasługuje na przeczytanie ze względu na to, że obraz polityczny Włoch daje w systematycznem przedstawieniu, a dla lepszego zrozumienia genezy faszyzmu i jego znaczenia dla narodu włoskiego przywołuje historję czasów przedwojennych, lat wojny i bezpośrednio po niej wynikłego chaosu. Autor, oddawna stale mieszkający w Rzymie, z zawodu historyk, miał wszelkie

dane po temu, by faszyzm zbadać dobrze. Zaznajamia też polskiego czytelnika z ustrojem państwa faszystowskiego, jego polityką zagraniczną, gospodarczą, stosunkiem do Kościoła, wychowaniem publicznem i prądami, panującemi w najnowszej literaturze włoskiej. Autor do faszyzmu odnosi się nader życzliwie, krytyczne uwagi wypowiadając rzadko a nieśmiało; pewne strony, jak wartość nacjonalizmu w faszyźmie może zbyt przecenia, kierując się zapewne osobistemi sympatjami do nacjonalizmu wogóle. Może przysłania wewnętrzne braki systemu, pozwalające wątpić o jego trwałości po śmierci Mussoliniego. Dobrze natomiast robi, zaznaczając te ofiary, jakie faszyzm poniósł w ludziach zanim doszedł do władzy, obcy bowiem ludzie przywykli sądzić, że faszyści brutalnie i krwawo zgnębili swoich przeciwników, podczas gdy ci przeciwnicy byli łagodnymi barankami. Używania siły nauczyli się oni u swoich socjalistycznych nauczycieli. Ciekawe szczegóły przedstawia rozdział o fizycznem wychowaniu młodzieży, o organizacji opieki nad pracującymi poza godzinami pracy i t. d. Naogół książka ciekawa i pożyteczna.

Ks. J. Urban.

Księgi radzieckie kazimierskie 1369—1381 i 1385—1402. Wydał Adam Chmiel. Kraków 1932, str. VII+671.

Ze względu na niezwykle doniosłą rolę kulturalną, jaką miasta odegrały pod koniec wieków średnich, nauka historyczna zwróciła już oddawna baczną uwagę na bogate materjały, znajdujące się w archiwach miejskich i starała się udostępnić ogółowi badaczy drogą publikacyj najstarsze i najcenniejsze partje tych zasobów źródłowych. Za przykładem zagranicy zaczęto również w Polsce wydawać najstarsze miejskie materjały źródłowe; zasłużyli się w tym kierunku w Poznaniu Warszauer i Kaczmarczyk, we Lwowie Czołowski, w Warszawie Ehrenkreutz, w Wrocławiu Markgraf i t. d. Kraków, jako dawna stolica Polski, posiadał z natury rzeczy najcenniejsze materjały, toteż zajęła się niemi naprzód Akademja Umiejętności, wydając dwutomowy Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa (zbiór dokumentów, wilkierzy i t. d.), następnie ukazały się w opracowaniu Piekosińskiego i Szujskiego najstarsze księgi krakowskie ławnicze i radzieckie oraz najdawniejsze rachunki miejskie. Tę akcję wydawniczą prowadziło dalej Archiwum m. Krakowa, publikując resztę ksiąg ławniczych z XIV w. oraz księgi przyjęć do prawa miejskiego po r. 1506. Powyższa serja wydawnictw źródeł miejskich krakowskich powiększyła się świeżo o jedną cenną i pokaźną pozycję, obejmującą cztery najstarsze księgi miasta Kazimierza, który wówczas stanowił osobną gminę miejską, dziś zaś tworzy jedną z dzielnic Krakowa. Księgi te nie mają tytułu, mimo to wydawca słusznie nazwał je radzieckiemi, ponieważ zawartość ich w ogromnej

większości odnosi się do działalności rady miejskiej. Stosownie do tego treść wydanych ksiąg wykazuje dużą rozmaitość. Mamy tu spisy nowych obywateli, przyjętych do prawa miejskiego, szczegółowe wykazy różnych wydatków i dochodów miejskich, dalej rachunki budowy kościoła parafjalnego Bożego Ciała, nad którą radni czuwali jako opiekunowie kościoła i t. p. Pomiędzy temi zapiskami natury administracyjnej i gospodarczej spotykamy rozsiane pojedynczo lub grupami zapiski sądowe, odnoszące się bądźto do jurysdykcji rady miejskiej, bądźto właściwego sądu miejskiego t. j. wójta z gronem ławników. Dzięki tej wszechstronnej treści publikowanych ksiąg możemy wniknąć wcale głęboko w wewnętrzne życie miasta, poznajemy jego mieszkańców mieszanej narodowości, częściowo polskiej, częściowo niemieckiej, zaznajamiamy się z ich kulturą, obyczajami, z topografją miasta, jego urządzeniami, ustrojem i t. d. Nazwisko wydawcy, wybitnego znawcy stosunków miejskich, szczególnie krakowskich, ręczy za wysoki poziom naukowy wydawnictwa. Ułatwi ono badaczom studja nad najstarszemi dziejami Krakowa, który obecnie dzięki niemu posiada publikowany cały materjał źródłowy aż po koniec XIV wieku.

M. N.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków.

Marja Dłuska: Rytm spółgłoskowy polskich grup akcentowych. Str. 78.

Jan Otrębski: Wschodnio-litewskie narzecze Swereckie. Cz. III. Str. 115.

Janusz Pajewski: Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku. Str. 242.

Ananjasz Zajączkowski: Sufiksy imienne i czasownikowe w języku zachodnio-karaimskim. Str. 195.

Stefan Inglot: Koloni w średniowiecznej Alzacji. Str. 106.

Apologeticus to jest obrona konfederacyj. Wydał i wstępem zaopatrzył Edmund Bursche, prof. uniw. warsz. Str. LIX+94.

Kodeks dyplomatyczny katedry i diecezji wileńskiej. Wydali Ks. Jan Fijałek i Wład. Semkowicz. Tom I zeszyt I (1387—1468). Str. 288.

January Kołodziejczyk: Ks. Krzysztof Kluk. Dzieła i twórczość. Str. 168.

Bulletin International. Classe de Philologie, Classe d'Histoire et de Philosophie. Juillet - décembre 1931. Str. 241.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń. Zeszyty: luty, marzec, kwiecień, maj 1932.

Nakładem różnych.

Albinus Jaroszewicz: L. A. Senecae philosophi et S. Thomae Aquinatis „De moralitate atque educatione affectuum" doctrina exposita et critice comparata. Vilnae 1932, libraria S. Adalberti. Str. 153.

Ks. Zdzisław Obertyński: Wyobrażenie Trójcy Św. w t. zw. mod litewniku Warneńczyka. Lwów, nakł. Towarzystwa Naukowego, 1932. Str. 17.

Jan Swierzowicz: I. M. K. Sarbiewski, Próba wizerunku psychologicznego. II. O „Żywych Kamieniach" Berenta. Trzemeszno 1932, str. 33.

Irena Gałęzowska: Ferment snobizmu. Studjum krytyczne. Wyd. L. Fiszera, Warszawa - Łódź - Katowice. Str. 101.

Ks. Teodor Czaputa: Niezłomny Rycerz Chrystusowy. Życie i śmierć męczeńska błog. Jana Sarkandra. Cieszyn 1932, str. 58.

Ks. Mateusz Jeż: Męka i śmierć P. Jezusa w pieśni. Kraków 1932, str. 91, 3 nadl.

Pismo Święte. Nakł. Księgarni Św. Wojciecha. Nowy Testament, tom pierwszy (zawiera cztery Ewangelje i Dzieje Ap.) w opracowaniu ks. prof. W. Szczepańskiego i ks. prof. W. Prokulskiego. Poznań 1932, str. XII i 666, 2 mapy.

Ks. Dr M. Sieniatycki: Apologetyka czyli Dogmatyka fundamentalna. Kraków 1932, nakł. autora, str. XVI+379.

Ks. Dr Leon Puciata: Grzech pierworodny w teologji św. Anzelma. Wilno, grono profesorów Wydz. teol. Uniw. S. B. 1932. str. 240.

Ks. Józef Zdanowicz: Sarbiewski na tle kontrowersyj teologicznych swojego wieku. Wilno, wydanie jak wyżej, 1932, str. 95, 3 tabl.

Antoni Waśkowski: Rapsody. Poezyj tom piąty. Miejsce Piastowe. Wyd. Tow. św. Michała Archanioła, 1932, str. 133.

Leon Halban: Encyklika z dnia 15 maja 1931 o sprawach społecznych. Lwów, 1932, nakł. Tow. im. Piotra Skargi, str. 29.

Rafał Blüth: Konstantynopolitańska katastrofa (O końcu życia i śmierci A. Mickiewicza). Odb. z *Drogi*. Warszawa 1932, str. 15.

Ludwik Łakomy: Ślązacy w Ziemi Świętej. Katowice 1932, str. 57.

Ks. Franciszek Sroka: Inteligent. Nowy Targ, nakł. autora, str. 352.

Zofja Kowerska: Pani Anielska. Legenda. Warszawa, 1933, str. 32.

Księga pamiątkowa Polskiego Tow. Filozoficznego we Lwowie (1904—1929). Lwów 1932, str. VIII+483.

Nasza walka o szkołę polską (1901—1917). Opracowania, wspomnienia, dokumenty, zebrała Komisja historyczna pod przew. prof. B. Nawroczyńskiego. Warszawa 1931, tom I, str. XII+487.

Documenta ecclesiastice christianae perfectionis studium spectantia. Collegit Josephus de Guibert S. I. Romae, Universitas Gregoriana, 1931, str. XV+562.

Jadwiga Piotrowiczowa: Michał Czajkowski jako powieściopisarz. Wilno, nakł. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 1932, str. 249.

Ks. Dr. Remigjusz Dąbrowski: Tradycja według nauki prawosławnych teologów rosyjskich. Warszawa 1932, str. 144.

Tenże: Rozwój dogmatów według prawosławnych teologów rosyjskich. Odbitka z *Ateneum Kapłańskiego*. Włocławek 1932. str. 32.

Stefan Górzyński: Przywilej Władysława Łęczycko-dobrzyńskiego z 1332 r., w którym zachowała się pierwsza wzmianka o Łodzi. Warszawa, wyd. „Świat Współczesny", 1932, str. 26.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zaostrzenie prześladowania w Meksyku. — Odezwa Kardynała Prymasa na święto młodzieży. — Wciąż jeszcze o akcji unijnej.

O ile mi wiadomo, niema takiego kraju, w którym konstytucja, jeśli mówi coś o religji, nie głosiłaby zasady wolności religijnej. Przecież nawet w Rosji bolszewickiej zasadę tę wypisano, chociaż jednocześnie prowadzono walkę na całym froncie z wszelkiemi wierzeniami religijnemi, jako „trucizną ludu". Frazes „wolności wierzenia w co się podoba" przyozdabiał wszakże wielką kartę wolności komunistycznej.

Wolność religijną *expressis verbis* zapewnia obywatelom konstytucja Stanów Zjednoczonych Meksyku. Z „małemi" tylko zastrzeżeniami. Nie zna naprz. i nie uznaje organizacji hierarchicznej Kościoła katolickiego, tak iż wobec państwa nie istnieje papież, nie istnieją biskupi i ich władza nad klerem i wiernymi. Kościół nie jest i być nie może podmiotem posiadania żadnych dóbr ani budynków, nawet jako związek prywatny; zatem cały majątek Kościoła został skonfiskowany, same świątynie ogłoszone jako własność państwa, które może je przeznaczyć do jakiegokolwiek użytku. Cześć Boża, wykonywanie obrzędów religijnych dozwolone jest tylko tym duchownym, którzy zarejestrowawszy się u władz cywilnych, dostaną od nich upoważnienie do spełniania tych funkcyj; nie stają się jednak oni przez to honorowanymi urzędnikami państwa, owszem zostają pozbawieni wielu obywatelskich praw, naprz. praw wyborczych. Nie wolno im także pokazywać się publicznie w szatach duchownych, by nie razili wzroku niewierzących i nie gwałcili tym sposobem i c h wolności religijnej. Zapewne z obawy zbytniej przewagi kleru w społeczeństwie

konstytucja meksykańska pozostawia poszczególnym Stanom prawo określania maksymalnej liczby kapłanów i z tego swego prawa Stany korzystają, ustanawiając jednego kapłana na 33, na 45, na 60, nawet na 100 tysięcy wiernych. Tylko taka liczba księży, jaka odpowiada tym normom, może się zarejestrować i otrzymać pozwolenie na obsługiwanie wskazanych sobie kościołów. Jeśliby to prawo uzurpowali sobie inni, nadliczbowi kapłani, mają być ścigani jako przestępcy. Nauczanie religji jest usunięte ze szkół zupełnie, a Kościołowi nie wolno utrzymywać szkół prywatnych. Te ograniczenia uważa się w sferach rządzących krajem za coś zupełnie naturalnego, czego w tak oświeconym wieku jak dwudziesty, i w tak cywilizowanym i postępowym kraju, jak Meksyk, nie można w żaden sposób kwestjonować; to też ustawy zabraniają wszelkiej publicznej krytyki postanowień konstytucji pod tym względem. Obywatel, który słuszność tych ograniczeń uzna, będzie się czuł całkowicie swobodnym w swoich wierzeniach i będzie umiał ocenić dobrodziejstwo zasady wolności religijnej, wypisanej złotemi zgłoskami w konstytucji, natomiast sarkający na owe zarządzenia, protestujący przeciwko nim nie godzien cieszyć się przywilejem wolności jako buntownik przeciwko ustawom i „racji stanu" swojej ojczyzny.

Już nieraz streszczaliśmy na tem miejscu ustawy meksykańskie, dotyczące religji i Kościoła, trzeba je było wszakże raz jeszcze przypomnieć, by pomóc czytelnikowi w zrozumieniu encykliki Ojca św. *Acerba animi anxitudo* z dn. 29 września r. b. i faktów zaostrzenia prześladowania religijnego, jakie po tej encyklice nastąpiły. Prawodawstwo religijne Meksyku jest bowiem tak horendalne, że ledwie z trudem może europejski czytelnik uwierzyć, by ono było możliwe, i po pewnym czasie znowu ulega jakiemuś optymizmowi, że „jakoś tam jednak idzie".

Encyklika papieska przypomina przebieg wypadków w życiu kościelnem od czasu wprowadzenia w życie streszczonych powyżej przepisów konstytucji i opartych na niej ustaw. W r. 1926 episkopat meksykański uznał za niemożliwe kontynuowanie w takich warunkach publicznego kultu i świątynie uległy zamknięciu. Biskupi przeważnie znaleźli się na wygnaniu. Cześć Boża i sprawowanie sakramentów uszły w katakumby. Nastąpiło ściganie „łamiących ustawy" kapłanów; napełniały się więzienia; polała się męczeńska krew. Lud wierny wytrwał mimo to w przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej i próby stworzenia schizmy narodowej nie powiodły się. W r. 1929 rząd centralny Związku Stanów zrobił gest jakby pojednawczy w kierunku biskupów. Doszło do wymiany zdań, przyczem już sam fakt konferowania

z dwoma przedstawicielami episkopatu, z których jeden był delegatem Stolicy św., można było uważać za milczące uznanie przez rząd hierarchicznej organizacji Kościoła. Rząd ustaw antykościelnych nie cofał, zapewniał wszakże, że będą one łagodzone w praktyce. Ta obietnica, w której szczerość wolno było wątpić, została przez Kościół przyjęta jako podstawa do zmiany zajętego stanowiska. Kult publiczny został przywrócony, aczkolwiek wielu świątyń już nie zwrócono. Rząd wszakże, zwłaszcza niektóre Stany, nie dotrzymały danej przez prezydenta obietnicy i niegodziwe ustawy zaczęto przeprowadzać w całej ich rozciągłości. Określono, jak wyżej przytoczyliśmy, liczbę księży i zażądano ich rejestracji, nie oglądając się na ich zależność od biskupów. Można było odnieść wrażenie, iż rząd dlatego tylko zawarł *modus vivendi* w r. 1929, by stworzyć pozór uznania przez episkopat ustaw antykościelnych i zgodzenia się na nie.

W tym stanie rzeczy, wielu katolików, świeckich i duchownych, było tego zdania, że lepiej byłoby powtórzyć protest w postaci z r. 1926, t. j. zawiesić nanowo wszelki kult publiczny. Poczynione jednak doświadczenia przemawiały przeciwko takiemu zarządzeniu. Epoka katakumb bezwątpienia wydała męczenników i bohaterów, ale także niezliczone rzesze wiernych pozbawiła możności korzystania z pociech religji. Przeto po głębokiej rozwadze i porozumieniu się z Rzymem zgodzono się ulec przemocy prawnej i zarejestrować określoną przez Stany liczbę kapłanów, by przynajmniej tej małej ich garstce dać możność wykonywania obowiązków pasterskich. Rygorystów, którzy upatrywali w tem współdziałanie z niegodziwemi ustawami, uspokoiła w styczniu r. b. sama Stolica św. pouczając, że co innego jest współdziałanie pozytywne z ustawą złą, a co innego poddanie się jej dla uniknięcia większego zła, połączone przytem z protestem, iż przez to poddanie się nie aprobuje się samej ustawy. W encyklice Ojciec św. jeszcze raz udziela biskupom, duchowieństwu i wiernym praktycznych wskazówek jak się mają zachować wobec wrogiego prawodawstwa, poleca jednak, o ile to tylko będzie możliwem, utrzymać publiczne nabożeństwa w kościołach. Wobec złej wiary rządzących w Meksyku, niedotrzymania przez nich *modus vivendi* z r. 1929 i świeżych aktów gwałtu nad Kościołem i sumieniami, wobec ujawnionej propagandy bezbożności zapomocą szkoły publicznej, papież zakłada uroczysty protest przed całym światem, porównując stosunki religijne w Meksyku do prześladowania wiary w Rosji bolszewickiej.

Jak widzimy, encyklika przy ostrych tonach protestu przeciwko prawodawstwu tak wrogiemu dla Kościoła, nie nawoływa bynajmniej do czynnego oporu przeciwko pań-

stwu, owszem upoważniła do poddania się wrogim paragrafom dla uniknięcia większego zła. Czy można żądać od Kościoła większej ustępliwości? Rządząca jednak w Meksyku klika poczuła się obrażoną wystąpieniem papieża. Wilka w bajce gniewa to, że owca żali się w jego zębach. Zasługuje na to, by ją prędzej schrupać. Prezydent Stanów meksykańskich, Rodriguez, nazajutrz po encyklice papieskiej oświadczył głośno, że wolność religijna zostanie cofnięta, świątynie będą zamknięte i będą obrócone na kina i magazyny, jeśli Kościół będzie tak się zapatrywał na ustawy meksykańskie, jak papież. Za groźbą poszły nowe gwałty: z dwóch dygnitarzy, z któremi zawierano przed trzema laty porozumienie, jeden, arcybiskup Ruiz y Flores, delegat apostolski, został porwany i samolotem wywieziony poza granice kraju, drugi, arcybiskup Diaz, aresztowany i pociągnięty do odpowiedzialności za odprawianie mszy świętej nie należąc do liczby zarejestrowanych księży... Jak tam dalej rozwija się stosowanie zasady „wolności religijnej" *à la mexicaine* — zapewne dowiemy się z dużem opóźnieniem wobec absolutnego zakneblowania prasy katolickiej w kraju i niewytłumaczonego „sprzysiężenia milczenia" wielkiej prasy światowej, dla której sprawy ducha, religji, są jakby nie były. Katolicy polscy, modląc się o wytrwanie w prześladowaniu dla swoich dalekich braci, niechaj z przykładu meksykańskiego uczą się, jak rozmaicie można interpretować zasadę wolności religijnej. Kto wie, czy kiedyś te doświadczenia nie przydadzą się w naszym kraju. Czuwajmy!

J. Em. ks. kardynał A. Hlond, prymas Polski, ogłosił pod dn. 10 października r. b. następując odezwę:

O duszę młodzieży ubiegają się i walczą na szerokim świecie kierunki ideowe, które chcą uniknąć zagłady w chaotycznem tworzeniu się nowych czasów. Młodzież biorą w swą służbę grupy polityczne, nie chcące się zrzec udziału w kształtowaniu przyszłych stosunków politycznych. Za przykładem Sowietów dąży do zmonopolizowania dla siebie całej młodzieży niejedna frakcja polityczna, będąca u władzy. Wiadomo ile w tej dziedzinie zachodzi błędów, grzechów i zbrodni, chociaż przyznać trzeba, że nie brak również przykładów szlachetnie i umiejętnie pojmowanego przysposabiania młodzieży do olbrzymich zadań zagadkowego jutra.

Któż z katolików nie otoczy w takiej chwili czułą troskliwością tych młodych szeregów, które w życiu Narodu i Państwa polskiego pragną realizować myśl Bożą, służąc prawdzie objawionej, wiecznemu prawu moralnemu, polskiej tężyźnie i potędze? Jako taką służbę Bożą pojmują swe posłannictwo Stowarzyszenia Młodziezy Polskiej. Stojąc poza sporami partyjnemi, z ni-

kim nie walcząc, a wszystkich kochając, służą bezpośrednio Narodowi i Państwu, pracując z Kościołem nad odbudową ich duchowej i moralnej siły. Nie chcą materjalnych zysków, nie pragną przywilejów, nie sprzedawają się na targowiskach politycznych. Nie znają konspiracyj. Jasny i przejrzysty jest ich program. Etyczny jest ich sposób pracy. Nigdy nie staną się bojówką. Nigdy nie ubliżą władzy. Normą ich stosunku do Państwa jest prawo Boże. Toteż zarówno w ogólnych założeniach działalności Kościoła w kraju, jak w programach diecezjalnych i szczegółowem rozwoju życia religijnego w parafjach Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej są ostoją i zabezpieczeniem zdrowego ducha ojczystego, jako „przednia straż Akcji katolickiej".

W świetle tych zadań niech Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej godnie przeżyją uroczyste nastroje i obchody nadchodzącego „Święta Młodzieży". Niech w głębokiem skupieniu przystąpią do Stołu Pańskiego, który jest źródłem i tajemnicą ich mocy. Niech prostą a żarliwą modlitwą na wspólnych nabożeństwach wypraszają idealne zwycięstwo swym orlim sztandarom. Niech się duma i radość z Chrystusowej służby porywnie wypowie na akademjach i zebraniach. Bijąca z żywych oczu wiara młoda i niestrwożna niech się całemu społeczeństwu udzieli. Z pokoleniem, które nowy czyn polski wywodzi z głębi nadprzyrodzonego życia, ślubujmy wszyscy na nowo wierność Chrystusowi i Polsce.

Woleliśmy przytoczyć orędzie prymasowskie dosłownie, niż wysilać się na jego komentowanie. Żaden komentarz bowiem nic nie doda siły tym krótkim, jędrnym słowom. Pozwolimy sobie tylko na ujęcie ich treści w trzy punkty. 1. Orędzie jest p r o g r a m e m Stowarzyszeń Młodzieży polskiej: wyrabia się ona do służby Bogu, Kościołowi, ojczyźnie, państwu, lecz nie żadnej partji politycznej. 2. Jest w e z w a n i e m do społeczeństwa katolickiego, by tak sposobiącej się do życia młodzieży udzieliło poparcia, opieki, w razie potrzeby obrony. 3. Jest r ę k o j m i ą wobec władz państwowych zupełnej lojalności tych Stowarzyszeń względem istotnego dobra państwa.

Książka H. Łubieńskiego „Droga na wschód Rzymu", o której pisaliśmy na tem miejscu miesiąc temu, wywołała znowu żywe wypowiedzenia się różnych publicystów w sprawie akcji unijnej na kresach wschodnich. Książka Łubieńskiego była oceniana przychylnie w wielu dziennikach, uważających się za katolickie, a oto J. Em. ks. kardynał Kakowski, arcybiskup warszawski, w którego diecezji się ukazała, ogłosił dekret z dn. 3. X. r. b. potępiający ją. Potępia ją za to, że „występuje ostro przeciwko obrządkowi wschodniosłowiańskiemu", „w sposób lekceważący wyraża się o meto-

dach działalności Kościoła katolickiego w sprawie przywrócenia jedności kościelnej", „wygłasza zdania obrażające uczucia katolickie, uwłaczające powadze kościelnej, a w szczególności powadze Stolicy Apostolskiej". Przeciwko dekretowi Ks. Kardynała wystąpił natychmiast na łamach dzienników p. senator Jan Stecki, domagając się wolności publicznego omawiania akcji unijnej w interesie Polski a nawet Kościoła. Zdaniem p. Steckiego, akcja ta należy do domeny „doczesnej polityki Kościoła", co do której nie wolno nam zrzec się własnego sądu. „Kościół, nieomylny w rzeczach wiary, może błądzić w taktyce" pisze p. senator, dlatego dekret, potępiający książkę, która tę taktykę poddawała krytyce, p. senator przeczytał „z niepokojem, z przykrością z bólem" i sądzi, że tak przyjęli dekret „wszyscy katolicy". Równo w dwa tygodnie po opublikowaniu tego listu, 21 października, Katolicka Agencja Prasowa doniosła, że Ojciec św. Pius XI nadesłał J. Em. ks. kardynałowi Kakowskiemu specjalne błogosławieństwo, wyrazy swego uznania i gorące podziękowanie za opatrznościowe wystąpienie *(per suo provvidenziale gesto)* przeciwko książce „Droga na wschód Rzymu".

Zanotowaliśmy fakty. Wnioski z nich same się narzucają. Po pierwsze: *Roma locuta,* a zatem p. Stecki i ci, którzy z nim mają teraz do czynienia nie z krytykami książki Łubieńskiego, nie z kardynałem, ale z Stolicą Apostolską. Czy i słowa Piusa XI przyjmą tylko „z niepokojem, z przykrością, z bólem"? Niechaj jednak wyzbędą się złudzenia, że z nimi solidaryzują się „wszyscy katolicy" polscy. My zbyt ufamy katolickiemu instynktowi większości naszego narodu, byśmy mogli podzielać zdanie p. Steckiego. Nam się zdaje, że dla większości katolików, w sprawie tak kościelnej, jak akcja misyjna i jej metody, bardziej miarodajnemi będą wskazówki Stolicy Św., niż obawy polityków i publicystów.

Drugi narzucający się wniosek jest ten: Polemika, jaką rozpętano naokoło akcji unijnej, usiłuje wprowadzić rozprzężenie do Kościoła. Uznał to już obecnie p. B. K. w *Kurjerze Warszawskim,* który, jeśli nas pamięć nie myli, sam występował poprzednio przeciwko akcji unijnej. „Cóżby znaczyła — pisze on — zasada hierarchiczna w Kościele, gdyby były dopuszczane swobodne interpretowania jego rozkazów według poglądów miejscowych? Czy nie wkradłaby się anarchja tam, gdzie słusznie podziwiamy doskonałą jedność myśli i czynów?" Jeszcze nie na wszystkie rady p. B. K. się zgadzamy, ale słowa przytoczone radzimy wziąć pod uwagę tym przedewszystkiem, którzy akcję unijną zwalczają, jak im się zdaje, ze stanowiska interesów Kościoła katolickiego.

Głosi się o „jednolitości opinji naszego społeczeństwa w sprawie unijnej", jak to świeżo zaznaczyło *Słowo* wileń-

skie. Pozwalamy sobie wartość tej „jednolitości" zakwestjonować. Wiemy jak sztucznie się ją tworzy. Najpierw nie zalicza się widać do „społeczeństwa naszego" nietylko kapłanów misjonarzy (ci są podsądnymi!), ale i biskupów, którzy ich pracą kierują i jej bronią (list ks. biskupa Przeździeckiego). Co do innych księży, to jeśli milczą, imputuje się im, że są jednomyślni z krytykami akcji unijnej, jeśli w odpowiedzi na ankietę *Słowa* wypowiadają się w obronie akcji unijnej, odkłada się ich głosy na bok jako „dość niewyraźne", ze znaczącym dodatkiem: „rozumiemy dobrze ich drażliwą sytuację". W rezultacie głos w tej sprawie mogą mieć tylko świeccy, albo tacy z księży, którzy wyraźnie wystąpią przeciwko akcji Rzymu. Głosów takich od świeckich ludzi *Słowo* otrzymało niemało, ale niechaj zapyta siebie, czy nie są one tylko echem uprawianej od szeregu lat na łamach samegoż *Słowa* agitacji? Wszak słyszy się w nich te same zarzuty i te same dowodzenia, z któremi się już nieraz rozprawialiśmy: rzekomą rusyfikację wschodniego obrządku, optymizm co do nawracania prawosławnych na obrządek łaciński, kompletne nierozumienie czem jest unja kościelna. Znalazły one odparcie w liście ks. biskupa Przeździeckiego, lecz czy *Słowo* było na tyle bezstronne, by ten list podać do wiadomości swoim czytelnikom? (Nie poinformowało także ich o podziękowaniu Ojca św. kardynałowi Kakowskiemu za potępienie książki Łubieńskiego).

W ankiecie *Słowa* spotykamy i takie zwroty: „Jakiem prawem powoduje się Watykan?" „Jakiem prawem Watykan rusyfikuje naszych włościan... usposabia wrogo do wszystkiego, co polskie?" „Czemu Ministerjum Spraw Zagranicznych odrazu na początku całej tej akcji nie postawiło swego veto?" Misjonarzy wysłać do Rosji, niech tam zyskują korony męczeńskie. To ostatnie wołanie jest tylko powtórzeniem takiejże rady samego Redaktora *Słowa,* wypowiedzionej przed dwoma laty. Obecnie p. *Cat* zastrzega się tylko przeciwko t o n o w i tej i niektórych innych odpowiedzi, solidaryzując się z ich treścią. I sądzi, że takie odpowiedzi są dowodami „głębokiego, najgłębszego stosunku do katolicyzmu". Czy jednak posiada p. Redaktor dostateczne kwalifikacje po temu, by wyrokować co jest katolicyzmem „głębokim", a co „powierzchownym"? Czy nie jest katolicyzmem powierzchownym, albo z niemiecka mówiąc — żadnym, wołać pod adresem „Watykanu": „jakiem prawem nawracacie prawosławnych na unję, a nie na katolicyzm?", albo wzywać władze państwowe, by temu przeszkodziły? P. *Cat* wypowiedział się niejednokrotnie jako przeciwnik bizantynizmu. Otóż bizantynizmem czystej wody jest to podporządkowanie spraw kościelnych względom politycznym i świeckim; bizan-

tynizmem autentycznym jest kontrola państwa nad boską misją Kościoła; bizantynizmem typowym jest utożsamianie wiary i obrządku do tego stopnia, że się „unję" przeciwstawia „katolicyzmowi"; bizantynizmem wreszcie niewątpliwym, chociaż w zachodniej szacie, jest upatrywanie katolicyzmu w wielkiej ilości świec w kościele polskim, w polskiej pieśni do Matki Boskiej, a nie spostrzeganie go tam, gdzie się on wypowiada w formach, w których chwalili Boga wielcy wschodni Ojcowie i Doktorowie Kościoła. Takiego bizantynizmu widzimy bardzo wiele w odpowiedziach na ankietę *Słowa,* za to katolicyzmu prawdziwego, powiedzmy katolicyzmu r z y m s k i e g o, nie znajdujemy w nich. Już ktoś przy innej okazji mocno doradzał redaktorom *Słowa,* aby przestudjowali katechizm katolicki, — my tę radę ponawiamy, może to wpłynie na poziom katolickiego uświadomienia czytelników *Słowa.*

Powtórzymy, co pisaliśmy miesiąc temu: zaiste usłosunkowanie się do akcji unijnej u nas urasta na kryterjum tego, co się nazywa *sentire cum Ecclesia.* Pewnemu b. szanownemu publicyście nie podobała się ta formuła. Zwracamy jednak uwagę, że ona jest tylko przetłumaczeniem na język św. Ignacego Loyoli słów Piusa XI, wyrzeczonych do ks. biskupa Przeździeckiego: „nie są katolikami ci, którzy, etc."

Ks. Jan Urban T. J.

Nowe odkrycia i pojęcia w przedhistorji.

Na jakie 2500 lat przed Narodzeniem Pańskiem — tak piszą historycy z przed lat dziesięciu (np. H e l m h o l t, *Weltgeschichte* I, 370), — przyciśnięty niedostatkiem stepowy lud arjów, praprzodków szczepu naszego, poprzez przełęcze niebotycznych łańcuchów gór Hindukuszu i Pamiru stoczył się, niby lawina, w bogate i piękne, jak raj, doliny Pięciorzecza hinduskiego, i olśniony obfitością wód, niewidywaną dotąd bujnością i rozmaitością zieleni, żyznością gleby i wiecznem, ciepłem nie spoczął, aż te rozkoszne krainy stały się jego dziedzictwem.

Czy były one pustkowiem, zamieszkanem jedynie przez dzikie zwierzęta, czekającem dopiero na objęcie przez króla stworzenia? Nie, krainy indyjskie nigdy chyba nie były pustkowiem. Arjowie zastali tam lud, z którym walczyć musieli i ziemię mu odbierać, lud z pogardą nazwany w świętych pieśniach hinduskich ludem ciemnym, i „miasta ich nędzne" gęsto rozsiane zdobywać musieli. Kto to był ten lud tajemniczy, starszy od naszych najstarszych praprzodków, arjów, a jednak bynajmniej nie „dziki". Po dziś dzień po zakątkach Hindustanu, w górach, siedzą

plemiona niearyjskie, o ciemnej skórze, takie jak weddowie, toala, toda, munda, zostające na niskim poziomie życia — tajemnicze szczątki jakiejś ludzkości pierwotnej. Ci jednak nie dają odpowiedzi na pytanie nasze.

Dopiero w roku 1923 stara, napół rozpadła buddyjska stupa (wieżyczkowaty pomnik, pagoda) w obrębie Sindu Larkana, nadspodziewanie odkryła nam tajemnicę odległych tysiącleci w sposób całkiem nieoczekiwany. Co było niegdyś w dolinie Indu, nim przyszli z północy arjowie, kryły to w sobie warstwy ziemi, pod fundamentami stupy, jak pod przyciskiem leżące.

Oto 200 akrów gleby pokrywa obszar zapomnianych od wieków przedhistorycznych grodów. Masywne budynki publiczne, wygodne domy z palonej cegły, ulice i place starannie wytknięte, najwyraźniej według pewnych przepisów prawnych, z uwzględnieniem warunków sanitarnych — wprawiły w podziw pierwszego odkrywcę, dyrektora Indyjskiego Wydziału Archeologicznego, Johna Marshalla. Odtąd odkrycie zasłynęło pod nazwą szczątków przedaryjskiej cywilizacji w Mohendżo-Daro i Harappa, w dolinie Indu. Okazało się i tutaj, podobnie jak w Troi, jak w Babilonji, że to nie jedno miasto, lecz szczątki pięciu miast, jednego nad drugiem, im głębsze, to starsze; pierwszemu z nich przypisują jakie 3000 lat przed Chrystusem Panem, koniec ostatniego obliczają na 2700. Po wieku dwudziestym siódmym miasto opustoszało: snać wody wielkiej rzeki zalały je i mułem pokryły. Zagłady nie można przypisać nieprzyjaciołom, niema bowiem śladu najazdów i burzenia; w ciągu istnienia swego miasto obywało się nawet bez murów i obwałowań, i ściany domów nie noszą znamion obronnych, a i broni znaleziono w niem niewiele — nieco grotów, siekier, maczug, kul kamiennych do procy. Ostatnie miasto budowano już nie tak starannie, jak dawniejsze i widać gród tracił na znaczeniu, aż wreszcie porzucono go zupełnie.

Największy z budynków był gmachem publicznym, a stał na zagłębionych w ziemię jeszcze starszych świątyniach i pałacach. Budowano je z gładkich, dobrze do siebie dopasowanych cegieł. Z nich to w parę tysięcy lat później ludność hinduska wystawiła ową dziś zrujnowaną stupę.

Rozpoznać można dalej wielki zbiornik murowany; do czego mógł służyć? prawdopodobnie miał związek z kultem religijnym, może służył do obmywań, a kto wie, czy nie hodowano w nim jakich świętych ryb albo krokodyli.

Każdy szczegół w tych ruinach ujawnia wysoko posuniętą kulturę przedhistorycznego ludu. Każdy dom posiada łazienkę. Bokami szerszych ulic biegną cegłami wykładane kryte kanały, które szczególnie rozszerzają się koło wielkiego zbiornika; a więc jest tu cały system kanalizacyjny, dobrze obmyślony. W trzech miejscach znaleziono dreny niezwykłych rozmiarów, człowiek bowiem, pochyliwszy się, może przejść niemi. A wszędzie sklepie-

nia koszowe, nie łukowe. W jakiś nieznany nam sposób — może zapomocą koła czerpiącego, jak w Persji — przez te kanały napełniano i opróżniano wielki zbiornik.

Wiele ciekawych szczegółów z życia tych ludzi z przed 4 tysięcy lat kryje się utrwalone w tych gruzach. Drzwi domów ich nie otwierały się ku ulicy, lecz na podwórze, i zwykle wisiały w nich zasłony bawełniane (stwierdzono przez mikroskop). Gotowali na ceglanych podkładkach, w garnkach z gliny i miedzi. Mełli ziarno w żarnach, a także używali powszechnie moździerzy i tłuczków — gdyż mnóstwo ich znaleziono; posługiwali się talerzykami z przegródkami — może na sól, ocet i t. p.; łyżki ich były z muszli, noże z krzemienia i bronzu. Ziarno, czy inne zapasy, przechowywali w wielkich naczyniach glinianych (jak te, w które chował się Ali-Baba), wpuszczanych stożkowatem dnem w ziemię.

Strój męski mieszkańców — sądząc z rzeźb — stanowiły spódniczka i szal, przez lewe ramię przerzucony. Zdobili się w naszyjniki z paciorków, złota, srebra, miedzi, szkliwa, rzadszych kamieni; nosili kolczyki, bransolety, pierścienie, i zdaje się, ...kołki ozdobne w nozdrzach. Znaleziono setkami małe słoiczki z przykryciem — widać naczyńka do kosmetyków, szminek. Zabawek dziecięcych wyrabiali niemało, bo jakież znaczenie mieć mogły owe, licznie wygrzebane, zwierzątka kiwające łebkami, piłki, słoniki gliniane, gwizdawki, wózki w woły zaprzężone. Widocznie miłować musieli swe dzieci. Ale niemniej namiętnie traktowali gry hazardowe, skoro niemało zostało po nich kostek i pionków z muszli, kamienia i kości słoniowej. Jak na wytwory sztuki, wszystkie te drobiazgi za mało starannie są wykonane.

Szczególnie znamienne są ich pieczęcie, ze steatytu białego, szarego i czarnego, przedziurawione — widać noszono je na sznurku i służyły za podpis; figurują na nich zwierzęta, lub półludzie półzwierzęta: woły zwykłe i zebu garbate, lwy, skorpjony demony, często słoń i nosorożec, których w tym kraju oddawna już niema; było wówczas widać wilgotniej i roślinność bujna. Te pieczęcie mówią dużo: podobne bowiem znaleziono w krainie Sumer, w Babilonji, w Elamie; podobne na nich postacie zwierząt, podobne pismo piktograficzne; niewiele różnią się od nich pieczęcie i figurki ze świątyni Sargonowej. Widzimy w tem dowód, że między ówczesnymi ludami, przy tak pierwotnych środkach lokomocji, szeroko jednak rozpostarte były stosunki handlowe: Mezopotamja oddawna komunikowała się z doliną Indu. Pieczęcie rozpowszechnione były zwłaszcza wśród kupców.

Sądząc ze stylu naczyń, z motywów, z budownictwa, późniejsze warstwy Mohendżo-Daro są praktycznie współczesne wcześniejszym poziomom Ur i Kisz w Mezopotamji. Odnoszą je do lat przed-sargonicznych — powyżej 2750 (Mackay). Najciekawsza pieczęć nadindyjskiego pochodzenia znaleziona została

w Ur nad Eufratem, snać jakiś przedsiębiorczy kupiec z miasta nad Indem, sądząc, że wszyscy klijenci jego nie umieją odczytać jego nazwiska, kazał je odtworzyć pismem klinowem, w stylu wieku 30-go przed Chrystusem P. Nie odczytano dotąd pisma z nad Indu, znaleziono tylko, że składa się z 300 przeszło znaków w użyciu. Język ludu tego, jak widać, nie musiał być nie alfabetyczny lecz aglutynatywny.

Ludność miast nadindyjskich nie odznaczała się jednak bynajmniej duchem artystycznym i nie otaczała się przedmiotami o wybitnem pięknie. Tu i ówdzie na murach Mohendżo odkrywamy ślady tynku, a na nim zaledwie pasy barwne, zgruba przeciągnięte. Zgrubą też wykonano postacie ludzkie, rzeźbione w kamieniu i bronzie. Jest między niemi wiele figurek bogini-matki; zbyt staranne bowiem jest ich wykonanie, żeby je uważać można poprostu za rodzaj zabawek. Do tego działu należą przedmioty kultu religijnego: na jednej z pieczęci figuruje postać ludzka o czterech twarzach, z nogami skrzyżowanemi, jak u jogów indyjskich, otoczona czterema bestjami — wół, słoń, bawół i nosorożec stoją dokoła; całość ta przypomina późniejszego Siwę, czczonego dziś jeszcze jako pana zwierząt. To tylko domysł. Być może, iż wogóle pod postacią zwierzęcia czczono tu bóstwo.

Gdyby można było polegać na typie rzeźbionych głów w Mohendżo znalezionych, należałoby ludność tamtejszą zaliczyć do taurydów, rasy przednioazjatyckiej, tej samej, której szczątki znaleziono w Kisz chaldejskiem. Szkieletów ludzkich dotąd w miastach nad Indem nie wykryto.

Wcześnie i doszczętnie zginęła cała ta, tak wysoko rozwinięta kultura, a sprawcą zagłady był chyba nikt inny, tylko ów Ind, ta rzeka błogosławiona, która utrzymywała przy życiu całą krainę, zapewniając jej bogate urodzaje, jak świadczą resztki zwęglonego ziarna, odkryte w ruinach (D. Mackay, *Asia* 1932, III; — Dr. H. Th. B., *Atlantis,* 1932, VII).

Że doniosłe znaczenie w dochodzeniu dziejowej prawdy mają odkrycia dokonane w dolinie Indu same w sobie, każdy chyba rozumie. Ale, gdy je zestawimy z innemi odkryciami archeologji, antropologji i nauk przyrodniczych, to okazały obraz pierwotnych dziejów ludzkości zarysuje się przed nami.

Sięgnijmy do najdawniejszych początków, do jakich tylko nauka doświadczalna dotarła.

Odkąd człowiek istnieje na ziemi? Czy może żył już w geologicznym okresie trzeciorzędowym? Tego domagają się teorje transformistyczne. Ale w rzeczy samej jest inaczej. Przedewszystkiem wiedzieć należy, że pominąwszy długi szereg opartych na obfitym materjale rozważań (np. Vialleton, *L'illusion transformiste* 1929), prawo Dollos'a brzmiące: „raz powstała w pewnym kierunku specjalizacja organizmów nie wraca nigdy wstecz", nie

pozwala na wyprowadzenie człowieka od żadnego korzenia zwierzęcego. Prawie powszechnie dziś odrzuca się myśl, jakoby człowiek mógł powstać w różnych miejscach ziemi (nb. ze zwierząt), czyli poligenizm i przyjmuje się ogólnie monogenizm (O. Menghin, *Weltgeschichte der Steinzeit,* Wien 1931).

Na rubieży czwartorzędu i trzeciorzędu, między warstwami pliocenowemi czy plejstocenowemi znalezione czaszka (sklepienie) i piszczel (w Trinil, na Jawie), okrzyczane przez transformistów jako szczątki „małpoluda" (Pithecanthropus), zaczynają już znajdywać wyjaśnienie. One same są wciąż jeszcze zagadką, ale z tych samych czasów przybyły nam jeszcze: czaszka z Pilt Dawn (Anglja 1912) i czaszka ze szczękami z pod Pekinu (Dżu-Gu-Tien 1929). Wszystkie mają wielkie między sobą podobieństwo, ale „człowiek pekiński" miał przy swych szczątkach krzemienne ostrza i ślady ognia. Więc to była istota rozumna (*Anthropos* 1932, zesz. 1).

Przez długi przeciąg epoki lodowcowej — może nawet przez całą — biedował na tym prawdziwym padole płaczu człowiek-myśliwy i rybak, zbrojny w narzędzia z kości i kamienia, znany ze znalezisk w Mauer (Heidelberg 1907), Chelles, St. Acheul, Crayford, Montières, Lavallois, Moustier, Przedmest, Aurignac, Solutré i wielu innych. Przed dojściem do użycia kamienia posługiwał się kośćmi — na Syberji i Dalekim Wschodzie do wieku 24-go przed Chrystusem Panem, w Brazylji do naszych czasów — przed kośćmi drzewem; po zbadaniu kultury azjatyckich negrytów, którzy nie doszli nawet do wieku kamienia, liczy się dziś poważnie archeologja z wiekiem drewnianym, jako starszym od kamiennego.

Gdzie i kiedy doszedł człowiek do tego dorobku, który można nazwać cywilizacją? Ocenić wiek bezwzględny, czyli określić na lata dzieje przedhistoryczne jest rzeczą bardzo trudną; czyni się to zaledwie w przybliżeniu, i różni znawcy różne podają cyfry. Lecz co zasługuje na uwagę, to, że Egipt, uważany dotąd za najstarszy cywilizacją, ustępuje dziś pierwszeństwa Azji południowo-zachodniej. Przytem z biegiem badań i postępem odkryć, koła znawców stopniowo zmniejszają cyfry najstarszych lat dziejów. Początki pierwszej dynastji egipskiej wyznaczał Flinders i Petrie na lat 5510, Maspero na 5000, Breasted i Steindorf na 3400, Mayer na 3315 (O. Szczepański, *Egipt* 1922). O. Menghin dochodzi do przekonania, że pierwszemu królowi Egiptu, Menesowi, niema powodu dawać więcej nad lat 3000, a cały przedhistoryczny okres egipski zmieści się w obrębie pięciu wieków, a więc początki wypadną na wiek 35-y. Tenże uczony umniejsza cyfry Mohendżo-Daro: według niego nie można mu przypisywać więcej niż lat 2000. Przy takiej ocenie cywilizacja egipska co najmniej zrównywa się z zachodnio-azjatycką. Środkowo-mezopotamska bowiem grupa kultury miastowej (Suza w Elamie, Eridu, Ur, Larsa, Uruk, Lagasz, Suruppak, Adab, Nippur) sięgają roku 3500-go a choćby tylko 3000-go. Pisemne źródła sumeryjskie

dają możność ustalić dla tej kultury wiek 30-ty przed Chrystusem Panem.

Stąd wypada, że cywilizacja egipska nie jest starszą, ale przynajmniej równoczesną sumeryjskiej, czyli babilońskiej (chaldejskiej). Egipt został lepiej poznany, ponieważ tam dawniej rozpoczęto badania i prowadzono w pomyślniejszych warunkach, bo ani klimat nie jest tam niezdrowy, ani ludność nie przeszkadza napadami, ani rząd miejscowy nie wynajduje dla badań trudności, jak w Babilonji. To jednak jeszcze nie wszystko. Wielu badaczów dochodzi do przekonania, że do Egiptu kultura szła z północy, od sumerów mianowicie. Sztuka pisania powstała w dolnym Egipcie, w delcie, snać przyszła z Azji. Pierwotną ludność Egiptu wyprowadza się z Libji; byli to, jak się okazuje, pasterze, lecz nie bydła, tylko owiec i kóz, a te dostały się tu z Azji zachodniej, z gór syryjskich, Afryka bowiem zwierząt tych w dzikim stanie nie posiada. I kult bóstwa pasterskiego, Anzeti, z Syrji pochodzi. Dwa rodzaje drzewa, do obrzędów używane: jałowiec i „sd" (jakieś inne iglaste), również syryjskiego były pochodzenia, jako też styl wyrobów z drzewa. Niejedna kultura wcześniejsza złożyła się na wytworzenie kultury egipskiej, tak, że to nie jest wytworem jedynie miejscowym. Do tych przekonań można było dojść wcześniej, gdyby nie zbyt pospieszne wnioski Elliota Smitha co do pierwszeństwa Egiptu. Kultura sumeryjska w Ur i jego okolicach była już podówczas zadziwiająco wszechstronna: prawa były już uporządkowane, w szkołach przy świątyniach uczono astronomji, kartografji, rachunków, pisania, gramatyki i medycyny. A sztuka sumerów może jeszcze bardziej zadziwić; wielkie wrażenie wywierają wieże ich świątyń, na ich ziemi po raz pierwszy, zdaje się, powstałe. (Newberry Percy, *Ägypten als Feld für anthropologische Forschung,* tłumaczenie, Lipsk 1927. — Wooley L., *The Sumerians,* Oxford 1928. — L. A. Waddel, *Egyptian Civilisation,* Its Sumerian Origin. Tegoż autora: *Makers of civilisation in race and history.* Aryans or Sumerians. — Cywilizacja ich powstała około roku 3380 i rozciągnęła się na Egipt i Kretę. — Tegoż: O sumeryjskich i fenickich napisach w Brytanji).

Ciekawe jest, że miejscowość Anau, pod Merw w zachodnim Turkiestanie, również dostarczyła dowodów bytności tam człowieka już w pierwszej połowie czwartego tysiąclecia. Musiał tam człowiek przedhistoryczny mieszkać bardzo długo, osiedla jego bowiem wytworzyły warstwy ze szczątkami nadzwyczaj grube na 15, 45 i nawet 60 stóp. Z najgłębszego pokładu wnioskujemy, że wówczas nie udomowił ani jednego zwierzęcia, ponieważ brak tam zupełnie ich kości.

Znaleziska w Azji południowo-zachodniej sprawiają wrażenie, jakoby tam było główne ognisko cywilizacji i wogóle ludzkości, gdzieś na przestrzeni między jeziorami Kaspijskiem i Aralskiem a zatoką Perską.

Gdy patrzymy na sporządzone przez prof. Menghina, według najnowszych danych, chronologiczne tablice pierwotnych kultur, spostrzegamy, że najgłębiej w przeszłość sięga człowiek z kulturą kamienną w Egipcie i Syrji (3900), nieco mniej w Afryce północnej i środkowej (3800), gdy tymczasem w Europie środkowej nie przekracza daty 3100, wyjąwszy Jugosławję (3600), a także Kretę i Tesalję (do 3400). Poza datę 4000 lat przed narodzeniem Chrystusowem wogóle kultura ludzka nie sięga!

W niedawnej przeszłości w imię nauki zaprzeczano rzeczywistości potopu. Prace archeologiczne w Mezopotamji, zwłaszcza z odkryciem słynnej bibljoteki króla asyryjskiego Asurbanipala (Sardanapala), w połowie zeszłego wieku wykazały naukowo, że opowiadanie o potopie to nie pomysł Mojżesza, gdyż ludy Mezopotamji ten sam fakt głosiły w epopei Gilgamesza. (G. Smith, *The Chaldean Account of Genesis*, London 1876). Dziś wiemy, że o potopie wspominają liczne ludy po świecie, nawet syberyjskie i amerykańskie. Co więcej, stwierdzono, że w Ur babilońskiem pod najgłębszym pokładem z przedmiotami wyższej kultury spoczywa na 3 przeszło metry gruba warstwa mułów, a pod nią starsze szczątki kultury z ceramiką malowaną, ocenianą na lat przeszło 3000. Wobec tego myśl o potopie sama się każdemu nasunie.

W tem wszystkiem, szczególnie w datach, wiele jest jeszcze hipotetyczności, jednakże osiągnięte dotąd dane pozwalają nam lekkiemi rysami nakreślić prawdopodobny przebieg pierwotnych dziejów ludzkości: z jakiegoś punktu w Azji południowo-zachodniej człowiek rozchodzi się we wszystkich wokół kierunkach. Żyzne doliny rzek, — Eufratu i Tygru, Nilu, Indu — przyciągają go najpierw i dają możność szybko rozwinąć wrodzoną mu pomysłowość, sztukę i naukę. Tam powstają miasta i państwa, podczas gdy na kresach ziemi — w pozostałych częściach Afryki, w Europie, w Azji, potem w Australji i Ameryce — na długo, w wielu miejscach do dziś pozostaje on na stopie kultury pierwotnej. Kultura rozwija się szybko. W miarę jej rozwoju traci jednak człowiek pod względem religijnym zmaterjalizowane, zawiłe, spotworniałe pojęcia o bóstwie u ludów o wysokich kulturach rażąco odbijają od prostych, ubogich ale czystych idei do dziś w pierwotnym stanie utrzymujących się karłów-semangów.

Ks. Robert Wierzejski.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 października 1932.

Reforma
czy przewrót w szkolnictwie wyższem?

Sprawa, która od dłuższego czasu w formie pogłosek niepokoiła oświeconą opinję publiczną, sprawa zamierzonej reformy szkół akademickich, wyjaśniła się ostatecznie i nabrała kształtów realnych. P. Minister w. r. i o. p. rozesłał obecnie projekt tej reformy, „uzgodniwszy" go wpierw z różnemi czynnikami pozauniwersyteckiemi, senatom szkół akademickich do — nieobowiązującego oczywiście — zaopinjowania. Projekt ten stał się też podstawą ożywionej dyskusji po dziennikach i czasopismach.

Z dotychczasowego przebiegu dyskusji widać, że spotyka się on z szeregiem zastrzeżeń i zarzutów daleko idących i mocno uzasadnianych. W jednym z wywiadów wspomniał p. Minister, że „niektórzy profesorowie boją się" tej reformy. Jak widać z dyskusji, „boją się" rzeczywiście. Ale niekoniecznie „niektórzy" tylko i niekoniecznie temu stwierdzeniu trzeba nadawać odcień złośliwy. Wśród „bojących się" widzimy nestorów nauki, uczonych najwyższej rangi i zasługi, którzy o s i e b i e bać się już nie potrzebują, boją się zaś najwyraźniej o sprawy wyższe niż własny los, boją się o naukę i o losy jej warsztatów. Przeciwko projektowi, jak dziś już wiadomo, opowiedziały się jednomyślnie senaty wszystkich szkół akademickich, najwidoczniej również zatrwożone perspektywami, jakie dla nauki i nauczania wyższego otwiera na przyszłość wspomniany projekt ustawy.

Jakoż wejrzenie bliższe w szczegóły jego usprawiedliwić może słusznie owe obawy. Pierwsze wrażenie, jakie się narzuca przy lekturze projektu, jest, że to co on przynosi,

to nie reforma, ale raczej rewolucja, zupełny przewrót obowiązujących dotąd, utrwalonych oddawna, zasad ustroju szkół akademickich, i to zarówno w fundamentach ich samorządu jak i w stosunkach do młodzieży. Potrzeba zaś tego przewrotu nie wydaje się dostatecznie uzasadniona, a skutkom jego nie można, jako żywo, rokować pożytku ogólnego.

Dotychczasową podstawę prawną życiu naszego szkolnictwa akademickiego daje ustawa z r. 1920. Powstała ona jako rezultat zbiorowych, przez departament szkół wyższych w ministerstwie w. r. i o. p. zorganizowanych narad, w których brali udział starsi profesorowie, b. rektorzy, ludzie doświadczeni w życiu samorządowem uniwersyteckiem. Ustawa ta naogół nienajgorzej pełni swe zadanie. Niektóre usterki, wytknięte przez fachową krytykę i wykazane przez praktykę, usunięto nowelą, projekt dalszej nowelizacji opracowano na jednym ze zjazdów rektorskich. Ustawa unormowała życie wewnętrzne szkół akademickich nietylko starych, rządzących się wyrobionym zasobem tradycyj, ale i nowych, w których naturalnie ani harmonja kolegjów profesorskich, ani wogóle normatywna siła obyczaju akademickiego, czy choćby powszedni tryb porządku administracyjnego, nie były wyrobione. Niemniej ustawa pozwoliła rychło ułożyć wszędzie należyty porządek, zadanie swe pełni więc naogół niezgorzej.

Ustawa ta przyznała szkołom akademickim samorząd w tym mniej więcej stopniu, w jakim go miały poprzednio uniwersytety krakowski i lwowski. Samorząd to bynajmniej nie nadmierny. Władzę zwierzchnią nad szkołami akademickiemi ma według tego minister w. r. i o. p. On przedstawia wyżej (lub odmawia przedstawienia) wnioski nominacyjne, on przedłuża (lub nie) prawo wykładania profesorom, którzy przekroczyli granicę wieku i t. d. Ministerstwo reguluje i kontroluje gospodarkę finansową szkół, zużycie sum budżetowych i pozabudżetowych, także administrację fundacyj i t. p. Z praw autonomji jednakowoż wynika, że szkoły akademickie mają własne władze samorządowe: wybieranych rektorów i senaty (w niektórych ponadto ogólne zebrania profesorów), rady wydziałowe i dziekanów; dalej, że kolegjum profesorów może się uzupełniać tylko na pod-

stawie wniosków poszczególnych rad wydziałowych, i naodwrót, że profesorów raz mianowanych usuwać można tylko z powodu wieku lub w konsekwencji postępowania dyscyplinarnego; następnie, że szkoły te mogą nadawać stopnie naukowe, nostryfikować dyplomy obce, przeprowadzać habilitacje, wreszcie, że mają własną jurysdykcję nad młodzieżą.

W nowym projekcie ustawy wszystko to ulega daleko idącym ograniczeniom, a w znacznej mierze odpada zupełnie. Rektor ma być zatwierdzany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, a minister może go do zatwierdzenia nie przedstawić, a nawet samorzutnie wystąpić z wnioskiem o cofnięcie zatwierdzenia raz udzielonego. W sytuacji, jaka potem powstanie, minister będzie mógł przedstawić do mianowania rektorem kandydata, który nie ma za sobą zaufania większości grona profesorskiego. Niedość tego, także na normalny wybór rektora uzyskuje minister pośrednio wpływ, on bowiem „ustala sposób wyznaczania delegatów" wydziałowych, którzy są elektorami rektora (nb. nie powiedziano, żeby elektorami mieli być, jak dotychczas, także dziekani i prodziekani, t. zn. członkowie senatu, z którym rektor ma współpracować).

Projekt ustawy zmierza do podniesienia nietyle autorytetu ile władzy rektora, ale w sposób osobliwy. Mianowicie tylko tam, gdzie rektor ma zapewnione poparcie ministra. W razie np. konfliktu między rektorem a senatem, sprawa nie rozstrzyga się, jak dotąd, na płaszczyźnie zaufania, ale podpada pod rozstrzygnięcie ministra; nie jest więc wyłączona i taka sytuacja, że rektor, mąż zaufania ministra, rektorować będzie wbrew woli senatu czy kolegjum profesorskiego. Czynić zaś tak może przez trzy lata. Nie będzie to już chyba władza samorządowa w ścisłym sensie.

Równocześnie atoli władza rektorska ma ulec silnemu ograniczeniu. Projekt przewiduje przebudowę aparatu administracyjnego szkół wyższych, tworzy inaczej niż dotąd zorganizowany sekretarjat, z „kierownikiem sekretarjatu", faktycznym rektorem administracyjnym, a organizację sekretarjatu wyjmuje z pod kompetencji szkoły i przekazuje znów ministerstwu. Że kryje się za tem istotne ograniczenie władzy

i autorytetu rektorskiego, a zarazem źródło wewnętrznych kolizyj w zarządzie szkołą, — to chyba dostatecznie jasne. Pomysł takiego kierownika administracyjnego przewijał się już oddawna w ministerjalnych planach reformatorskich, bywał przedmiotem obrad na zjazdach rektorów. Na szczęście dotąd w tej sprawie ważyły racje a nie *sic volo,* to też pomysł został zarzucony. Teraz wraca wbrew racjom.

W mocy ministra ma być następnie przenoszenie lub zwijanie katedr obsadzonych. I ten pomysł podważa bardzo zasadniczo dotychczasowy ustrój autonomiczny szkół wyższych. Do istotnych warunków celowej *ratio studiorum* należy możność dobierania potrzebnych katedr, tworzenia zakładów etc. Oczywiście, nie działo się to dotąd bez zgody ministra, boć sprawa ma konsekwencje budżetowe i personalne, zależne właśnie od rządu. Było jednak przynajmniej tyle, że stanu posiadania raz uzyskanego nie można było zmienić bez wniosku odpowiedniej rady wydziałowej. Obecnie i ta zasada znika. Minister będzie mógł jużto odbierać już też dodawać katedry (obsadzone) poza, a nawet wbrew zgodzie zainteresowanych ciał naukowych. Trudno zaś chyba wyobrazić sobie taki wypadek kolizji poglądów, w którym minister miałby za sobą względy naukowe, a rada wydziałowa — pozanaukowe. Normalny będzie wypadek właśnie przeciwny. W ten sposób poderwana zostanie faktycznie zasada wolności nauczania, wolności celowego organizowania nauki, zasada mająca być rzekomo podwaliną nowej także ustawy. Związek profesora z katedrą zależeć bowiem może już nie — jak dotąd — wyłącznie od instancyj naukowych, ale od woli władzy administracyjnej i politycznej. A czemżeż będzie wolność nauki bez nieusuwalności (wolności) uczonego i nauczającego?

Podobnież w trybie powoływania nowych profesorów istna rewolucja. Dosyć powiedzieć, że projekt przewiduje możność uzupełniania gron profesorskich także poza wnioskiem rad wydziałowych, przyczem oczywiście znowu nie jest do pomyślenia sytuacja, w której dla stanowiska ministra decydujące byłyby kryterja naukowe, dla rady wydziałowej inne, np. polityczne.

Proponowane w projekcie zmiany sięgają równie głę-

boko w dotychczasowe kompetencje szkół wyższych w stosunku do studentów. Nadzór i opiekę nad stowarzyszeniami akademickiemi dzielić mają odtąd szkoły z ministerstwem. Zresztą podział to bardzo nierówny. Warunki i tryb zakładania (i rozwiązywania) stowarzyszeń akademickich, sposób nadzoru i opieki, nawet typ statutów ustalone zostaną bynajmniej nie przez senat, nawet nie na wniosek senatu, ale w odległej ciszy gabinetu ministerjalnego. W postępowaniu dyscyplinarnem wobec studentów punkt ciężkości również przesuwa się na ministra; on wyznaczać będzie sąd dyscyplinarny wyższy, odwoławczy (instancją taką był dotąd właściwie senat), on też będzie według własnego uznania łagodzić lub darowywać kary, prawomocnie nałożone. Jedno z kardynalnych starych praw uniwersyteckich, prawo autonomji sądowniczej wobec własnych studentów, ma zostać także przekreślone.

Po tym krótkim przeglądzie projektowanych zmian w ustawie o szkołach akademickich, po zorjentowaniu się w ich charakterze, bez trudu zgodzić się przyjdzie, że projektowana reforma będzie rzeczywiście raczej przewrotem, bardzo radykalnym i sięgającym bardzo głęboko w dotychczasowy, od dawiendawna ustalony i wypróbowany stan rzeczy.

Po takiem stwierdzeniu nasuwa się uporczywie pytanie: poco ten przewrót, co go spowodowało i co go uzasadnia?

P. Minister, przesyłając senatom projekt do zaopinjowania, nie podał uzasadnienia proponowanej przebudowy ustroju. Stawiając sobie zatem takie pytanie, zdani jesteśmy tylko na dedukcję z samego projektu, poza tem zaś chyba tylko na pogłoski i domysły. Szukając odpowiedzi, zdani więc jesteśmy na metodę — by tak rzec — strącania.

Że nie dobro nauki, mówimy ostrożniej: nietylko i nie przedewszystkiem dobro nauki wchodziło w grę przy ustalaniu projektu, to możnaby przypuścić bynajmniej nie bezzasadnie. Cóż ma wspólnego z dobrem nauki tak zawzięte, jak tam przewidziano, usuwanie od prawa wykładania profesorów i docentów, którzy przekroczyli granicę wieku? Według projektu profesor, przechodząc w 65 roku w stan

spoczynku, choćby chciał i choćby tego chciał wydział, nie może (bezinteresownie!) prowadzić wykładów i ćwiczeń bez zezwolenia ministra. Dotychczasowy statut Uniwersytetu Jagiel. dopuszcza to, i najsłuszniej. Dla jakichś względów rzecz się okazała niepożądana. Dla jakich? By pokazać, czem to grozi w praktyce, nie trzebaby daleko szukać przykładów; możemy je brać z najbliższego otoczenia i to niejeden. Czyżbyśmy zaś mieli taki nadmiar uczonych, żeby z ich (powtarzam: bezinteresownej) pracy nauczycielskiej rezygnować z lekkiem sercem? Granicę wieku oznaczono w naszej ustawie zbyt nisko (65 lat), niżej niż w troskliwych przecież o naukę Niemczech (68 lat); uzyskanie zaś przedłużenia połączone jest u nas z tyloma przykrościami (ustalił się, niewiadomo dlaczego, zwyczaj w ministerstwie, że udziela się przedłużeń tylko z roku na rok, choć ustawa zezwala odrazu na przeciąg lat 5), że poważni uczeni nie kwapią się siadać na corocznem cenzurowanem i nie godzą się, by wydział o to przedłużenie dla nich występował. W ten sposób uniwersytety tracą współpracę starszych profesorów, nierzadko pierwszorzędnych uczonych i doświadczonych pedagogów, odchodzących w pełni władz twórczych. W poszczególnych wypadkach dla miłych ministrowi uczonych można wprawdzie uzyskać tytuł profesora honorowego, a więc i możność dalszego wykładania. Cóż, kiedy uczyniono wszystko, żeby i tę godność poderwać w znaczeniu. Dotychczas profesor honorowy ma prawo zasiadania także w radzie wydziałowej, ma czynne i bierne prawo wyborcze, może zostać rektorem. W projekcie wszystko to zostaje mu odjęte. Autor projektu przyznał profesorowi honorowemu jeden tylko jedyny przywilej: „uczestniczenia w uroczystościach akademickich". Jak za pracę niełatwą a bezinteresowną — to dość skąpo. — A zatem, jak widzimy, troska o dobro nauki, duch opieki nad nauczaniem, nie zawsze przewiewa przez proponowane paragrafy projektu.

Z jakichżeż więc wyrósł on racyj? — Z pewnych szczegółów projektu wnosićby można, że w powstaniu jego odgrywał rolę wzgląd oszczędności. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wzgląd ten wypłynie jako argument w sejmie, gdzie nietyle racje fachowe, ile względy społeczno-

gospodarcze „reformy" brane będą przedewszystkiem pod uwagę. Projekt daje ministrowi wolną rękę w zwijaniu katedr, zakładów, całych wydziałów, a zatem umożliwia czynienie oszczędności. Czynienia ich wbrew zainteresowanym czynnikom uniwersyteckim, które w swym zrozumiałym może egoizmie, ale w egoizmie, bronić się chcą przed koniecznemi redukcjami. Argument jak na ciężkie nasze czasy wymowny i uwodzicielski. Tylko czy rzetelny? Mamy już pod tym względem pewne doświadczenia. Wiemy, że analogiczne reformy w innych dziedzinach naszej państwowości wpłynęły znakomicie na ilość młodych emerytów, t. zn. w rezultacie na wydatne obciążenie skarbu.

Nie zapędzajmy się jednak w pesymizm. Podobnoś chodzi tu przedewszystkiem o racjonalną komasację dyscyplin i zakładów uniwersyteckich, jeżeli zaś o zniesienie katedry w jednej uczelni, to po to, żeby ją tem suciej zaopatrzyć w drugiej. Takie ujęcie rzeczy byłoby racjonalniejsze, tylko że znowu nie zapowiada ono jakichś nadmiernych oszczędności.

Rzeczywiście nikt trzeźwy nie zaprzeczy, że uniwersytety nasze młodsze powstawały znagła i bez gotowego jeszcze planu, obejmującego całość szkolnictwa wyższego; niema więc co taić, że wiele w nich improwizacji i doraźności. I niema dwóch zdań, że planowa gospodarka jest tu potrzebna. Chodzi tylko o drobnostkę. Dlaczegóż to gospodarka ta ma się odbywać poza wiedzą i wolą samych szkół akademickich? Czy że są niekompetentne, czy też że tępo uparte w zbiorowem sobkostwie, niedostępne dla wymagań życia? Gdzież dowód, cień dowodu, że tak jest?

Jużcić, bronią się szkoły wyższe, jak całe wogóle szkolnictwo, przed mechaniczną i nadmierną oszczędnością; są zdania, że państwo, które oszczędza na oświacie, jest podobne szaleńcowi, który dla oszczędzenia krwi podwiązywałby sobie arterje. Wiadomo np., że w Niemczech, gdzie kryzys dobrze dał się we znaki, nie przychodzi nikomu na myśl oszczędzać na etatach ani na dotacjach naukowych. W państwie o tak gęstej „sieci uniwersyteckiej" nie zwinięto po wojnie ani jednej katedry. Owszem, zwłaszcza katedry „luksusowe", gdzie profesor, egzotyczny specjalista,

ma zaledwie 2 czy 3 uczniów, dotuje się tam nadal wydatnie, by podtrzymać zakład wybitnego uczonego i by umożliwić w nim owocną pracę owym 3 studentom... znęconym sławą profesora z odległych krajów. Niemniej nasze szkoły wyższe nie będą zapewne stawać okoniem przeciwko uzasadnionej i racjonalnej oszczędności. Mamy przecież przykłady, że kasowano już całe zakłady (np. oddział architektury w wydziale sztuki U. S. B.), a uniwersytet, acz z ciężkiem sercem, na to się godził. Rzecz cała w tem, że te redukcje, obcięcia, zwijania, dokonywać się mają w przyszłości bez wniosków, a nawet wbrew zgodzie uczelni. I tu właśnie stajemy przed zagadką. Pocóż to odepchnięcie czynnika właściwego, instytucyj, które się najbliżej i najgłębiej orjentują w potrzebach lokalnych, powiedzmy: regjonalnych?

Potrzeba, czy konieczność obcięć, zniesień etc. tak rozmaicie się przedstawia z obu stron widzenia: miejscowej i stołecznej. I nie zawsze z tej drugiej strony widać lepiej. Słyszę, — żeby mówić o sprawach bliżej mi znanych, — że np. wśród wydziałów czy studjów skazanych na zakładę mają być w uniwersytecie wileńskim: wydział sztuki i studjum rolnicze. Zdając sobie sprawę z braków i słabych stron tych embrjonalnych jeszcze tworów organizacyjnych, sądzę jednak, że kwestja ich zbędności wymagałaby gruntownej jeszcze dyskusji. Ze studjum rolniczem miałem dużo i bezpośrednio do czynienia w okresie, gdy (za ministerstwa p. Dobruckiego) los jego bardzo się chwiał, gdy właśnie w ministerstwie wiele nam mówiono o konieczności czy to zwinięcia go, czy też przekształcenia na zakład średni. I pamiętam też, z jaką gorliwością i wytrwałością społeczeństwo miejscowe, sfery ziemiańskie zwłaszcza, szły naówczas ręka w rękę z uniwersytetem w obronie tej zawiązującej się zaledwie placówki wyższej wiedzy rolniczej. Na szczęście dobre racje przemogły wtenczas i przed wileńskiem studjum rolniczem otwarły się jaśniejsze perspektywy.

Miałyżby dzisiaj te dobre racje stracić swój walor, okazać się niepotrzebne? Podobnież na rolę i celowość zagrożonego dziś znów wydziału sztuki U. S. B. poglądy były rozmaite. Nie zawadzi, być może, gdy się tu przypomni zdanie p. Marszałka J. Piłsudskiego, który jako wskrzesiciel

uniwersytetu, patrzył na sprawę od tamtej strony. „Dumny zawsze jestem, — pisał, — że Wilno ma taki wydział, jakiego niema gdzieindziej; a tak się boję, że zimne podmuchy poziomości głupiego rozumku zdmuchnąć mogą i ten ledwie tlejący płomyk piękna w życiu, że chciałbym choćby trochę protestu z mej strony złożyć". Podobnież w niejednym z innych, mających tu wejść w rachubę, wypadków komasowania, cięcia, zwijania etc. katedr, zakładów czy wydziałów, jest poza centralistyczną racją władzy zwierzchniej — racja tej drugiej także strony zainteresowanej. Dalibóg niesposób zrozumieć dlaczegożby ona — w imię szerszego dobra sprawy — nie miała dojść do głosu, do pierwszego głosu?

A może — pomyśli ktoś — chodzi tutaj o usprawnienie wewnętrznego życia szkół akademickich przez większe ich scentralizowanie, przez pomnożenie władzy rektorów. Już poprzednio była mowa, że pomnożenie to w myśl projektu byłoby bardzo a bardzo względne. Ale gdyby nawet nie, to zdumiewaćby się przyszło: skąd ten pomysł? Czy stan dotychczasowy, wypróbowany oddawna, okazał się zły? Czy zaszły jakie wypadki, gdzie dobro szkoły czy dobro ogólne ucierpiało wskutek scysji rektora z senatem, wskutek sejmowładztwa senatu? Nie sądzę, żeby można przytoczyć wypadków dostatecznie wiele i ważnych. Zresztą i z tym przyszłym „wzmożonym" autorytetem rektora nie będzie bynajmniej tak wspaniale. Wobec jasno postawionej kwestji jego usuwalności przed upływem kadencji nie będzie on miał oparcia dla swego autorytetu nawet we własnem samopoczuciu. Obawiać się należy, by o stosunkach, jakie powstaną dla rektorów po „reformie", nie napisał w przyszłości jaki historyk tego, co znakomity znawca wewnętrznych dziejów uniwersytetu wileńskiego, ks. prof. Br. Żongołłowicz, pisał o stanowisku kuratora w dawnym okręgu naukowym wileńskim: „Wobec ministra ma głos doradczy, wobec uniwersytetu pośrednikiem jest w stosunkach wszechnicy z ministrem. Jeżeli carem owładnie, będzie wszystkiem; będzie czemś, jeżeli podbije tylko ministra; niczem zgoła, jeżeli car mu nieprzychylny lub minister wrogi". Obecnie także rektor będzie niczem, t. zn. nawet nie rektorem.

Bo też nie łudźmy się. Nie o to wszystko chodzi w pro-

jekcie, cośmy tu wyżej wysuwali. Duch jego i stylizacja nie zostawiają wątpliwości, że celem głównym projektowanej „reformy" jest umożliwić idącą jak najdalej i najszerzej ingerencję władzy zwierzchniej ministra w życie uniwersytetów, ograniczyć samorząd szkół akademickich do minimum. To jest tam najważniejsze, wszystko zaś inne na drugim planie.

Mieliśmy tu już przykłady wkraczania ministra w dotychczasowe kompetencje władz akademickich; cytowaćby ich można listę długą. Minister więc np. zatwierdza statut przyjęty przez ogólne zebranie profesorów, ale i z własnej inicjatywy może — po nieobowiązującem wysłuchaniu opinji — zarządzić jego zmianę. Podobnież zatwierdza regulaminy senatu, rad wydziałowych, komitetu administracyjnego przy rektorze. On rozstrzyga na wypadek różnicy zdań między rektorem a senatem, między dziekanem a radą wydziałową. On ustala obowiązki i uprawnienia dyrektora bibljoteki uniwersyteckiej, jakoteż skład i kompetencje komisyj bibljotecznych. To w zakresie porządku administracyjnego szkoły. Ingerencja ministra będzie również wkraczać w dziedzinę kompetencyj ściśle naukowych. Na przyszłość minister, zapewne zaś raczej jego personel urzędniczy, ustalać będzie warunki i tryb nostryfikowania zagranicznych dyplomów naukowych (art. 41), określi sposób postępowania habilitacyjnego (art. 29), wyznaczy skład i sposób postępowania komisyj wydziałowych, mających opracowywać wnioski nominacyjne o profesorach nadzwyczajnych (art. 34); innemi słowy: nadawanie stopni naukowych, tryb uzyskiwania docentury, kwalifikowanie dorobku naukowego profesorów — w znacznej mierze poddane zostaną zarządzeniom ministerstwa. Wspomniano już także, jak głęboko wkraczać ma ingerencja ministra w stosunek władz akademickich do młodzieży. Jak widać, mamy tu na całej linji do czynienia z dążnością do daleko idącej penetracji władzy zwierzchniej administracyjnej w organizacyjne i naukowe życie szkół akademickich.

Że taka penetracja, w tym stopniu mało mająca przykładów w Europie, nie została wywołana potrzebą życia, ale płynie z apriorycznych założeń programowych, — o tem

była już również mowa. Czy będzie ona korzystna dla nauki? Pod tym względem zachodzi uderzająca różnica zdań między p. Ministrem a senatami wszystkich szkół akademickich, a długim szeregiem uczonych, którzy dotąd zdołali się wypowiedzieć, wśród których zaś nie brak takich, co stanowią chlubę nauki polskiej. Zdaniem tego areopagu, projekt „reformy", gdyby miał wejść w życie, pociągnie za sobą skutki zdecydowanie ujemne. Spowoduje rozbicie w życiu kolegjalnem szkół akademickich i przy kwalifikowaniu sił naukowych wprowadzi kryterja pozanaukowe, co w konsekwencji wywoła wnet zdecydowane obniżenie się poziomu naukowego gron profesorskich, w stosunki osobiste profesorów zasieje niepokój, skutkiem tego odstraszy od „karjery" naukowej, tak w dzisiejszych stosunkach niewdzięcznej, szereg młodych adeptów;[1]) w administrację szkoły akademickiej wprowadzi rozdwojenie; nad życiem ideowem młodzieży akademickiej zawiesi przykrą, drażniącą, a w ostatecznym rezultacie wręcz szkodliwą atmosferę nacisku.

Wszystko to każe nam patrzeć z głęboką troską na dalsze koleje omawianego projektu, na zapowiedź zbliżającego się przewrotu w naszych szkołach akademickich.

---

[1]) Inicjatorzy projektu powołują się na przykład Włoch, gdzie faszyzm ujął uniwersytety w ostre kluby. Przykład niezbyt zachęcający. Jak słychać, w roku bieżącym jest w uniwersytetach włoskich około 300 katedr nieobsadzonych. Brakło kandydatów.

Stanisław Pigoń.

Poznawalne i nieskończone.

W wielu dziedzinach i wielu przypadkach mamy przed sobą taki obraz: część środkowa wydaje się nam zrozumiałą, a dalszy ciąg odchodzi w nieskończoność. Naprz. linja prosta. To co zwykliśmy sobie wyobrazić, jest tylko pewną częścią środkową, a dalsze ciągi idą w nieskończoność. Weźmy przestrzeń. To, co rozumiemy pod tym wyrazem, jest tylko pewna część, a całość znika z naszego zrozumienia, znika w nieskończoności. Albo czas. W czasie nie mamy ani początku ani końca, a to, co nazywamy czasem, jest tylko jego nikłą częścią. Weźmy szereg liczb względnych. I on się zaczyna w $-\infty$ i odchodzi w $+\infty$, a te liczby, któremi operujemy, są drobnym ułamkiem całkowitego zbioru.

Żyjemy i poznajemy tylko w pewnych średnich wielkościach fizycznych. Istnieje bowiem nieskończona ilość wielkości mniejszych od najmniejszej cząsteczki dostępnej dla poznania i nieskończona ilość wielkości większych od całokształtu naszego systemu słonecznego. I jedna i druga nieskończoność od mikro do makrokosmosu są dla naszego umysłu niedoścignione... Weźmy wreszcie życie nasze. Człowiek przychodzi z niewiadomego i odchodzi w niewiadome... A to, co nazywamy życiem, być może, jest tylko cząsteczką dostępną naszemu rozumowi, nieskończonej całości wiecznego życia.

Nie wdając się jednak w metafizykę, chciałabym mówić o prawach czyli zasadach naukowych i dowieść, że i one są przykładem tej samej kategorji.

W jaki sposób powstają teorje i prawa w nauce? Nasze poznanie przyrody posuwa się stopniowo i przy każdem

nowem odkryciu zwykle nie dostrzegamy wielu rzeczy, które pozostają zupełnie niezrozumiałemi. I tylko następni badacze widzą to niezrozumiałe i wskazują na nie, nie widząc swoją drogą dalszego niezrozumiałego. Nowi badacze, głębiej patrzący, znów niezadowoleni, stawiają nowe pytania, gdyż nie rozumieją wielu rzeczy. I tak bez końca... Naprz., kiedy Newton podał prawo powszechnego ciążenia, tem prawem zaczęli tłumaczyć dużo zjawisk. Doświadczenia Cawendich'a, spadanie ciał, zjawiska adhezji i kohezji, napięcie powierzchniowe w cieczach i inne zjawiska wydawały się zrozumiałemi dlatego, że fakt przyciągania pomiędzy atomami i pomiędzy ciałami wydawał się być zrozumiałym. Dalej tego tłumaczenia wielu uczonych nie poszło. Kwestja stanęła na tem, jakgdyby każdy dobrze zrozumiał, co to znaczy przyciąganie pomiędzy cząsteczkami i na czem polega istota owego działania na odległość. Wyraz „przyciąganie" stał się murem zbawiennym, wydawał się kresem zrozumienia... Tymczasem jednak dotąd nie wiemy, dlaczego cząsteczki i ciała przyciągają się wzajemnie i w czem się kryje istota siły grawitacyjnej. Czy w działaniu elektrycznem? Lecz co to jest elektryczność? Co to jest elektron? Co to jest materja? I tak dalej, i tak dalej... Rzućmy okiem na zjawisko światła. Dla dziecka będzie zadawalającą odpowiedź: „Jest widno, bo świeci słońce", Gimnazistę zadowolni odpowiedź: „To promienie wychodzą ze źródła światła i trafiają w nasze oko". Studenta zadowolni odpowiedź: „To fale elektromagnetyczne". Uczony fizyk powie: „To kwanty energji, to fotony". A filozof powie: „Nie, istoty światła my nie znamy". I im bardziej głęboki, bardziej precyzyjny umysł, tem więcej zauważy wszędzie „niezrozumiałego".

Czy zrozumiemy kiedykolwiek wszystko do dna?

W odpowiedzi na to pytanie są możliwe, zdaje, mi się dwa poglądy. 1) Człowiek, podnosząc stopniowo zasłonę z niewiadomego, posuwając się coraz dalej w dziedzinie poznawania, — wreszcie zrozumie wszystko.

2) Człowiek, o ile pozostanie człowiekiem, będzie poznawał świat zewnętrzny i siebie tylko w dostępnych mu granicach, poza któremi leżą niedoścignione dla jego „ludz-

kiego" rozumu i wrażliwości bezbrzeżne oceany niepoznawalne.

Z tytułu tego szkicu „poznawalne i nieskończone" już można wywnioskować, iż osobiście podzielam drugi z powyżej wymienionych poglądów.

Myślę, że człowiek żyje w pewnych „środkowych" wymiarach i że wszechświat nie może się zmieścić w nasz, że tak powiem, „środkowy" rozum. Powiem więcej: nawet to, co dostępne naszej wiedzy, jest tak bezgraniczne, że wątpliwem jest, czy kiedykolwiek nauka będzie wiedzieć wszystko i czy zakończy swój twórczy żywot?

Pogląd ten jest znany oddawna. Był on podzielany przez filozofów i przez przedstawicieli nauk ścisłych. Jeszcze mędrzec grecki Sokrates mówił: „Wiem to, że nic nie wiem". Znakomity filozof i matematyk Poincaré tak się wyraził w swem dziele *Nauka i hipoteza*: „To, co dla nas dostępne, nie jest istotą rzeczy, a tylko stosunkiem pomiędzy rzeczami; pomimo tych stosunków dla nas nie istnieje nic poznawalnego". Podobne myśli wypowiedzieli filozofowie Karpenter, Kant, matematycy i fizycy Mach, Hertz, Lorentz, Einstein, Minkowski. Prawa i zasady nauki, jako rezultat poznawania, nie są absolutną realnością. Prawa i zasady nauki są tylko przybliżone, względne prawdopodobieństwa.

Weźmy naprz. prawo inercji Newtona. Oto co mówi o tem Poincaré: Prawo inercji nie jest prawdą *a priori*, nie jest faktem doświadczalnym. Proponuję ogólniejsze prawo:

Przyspieszenie ciała zależy tylko od jego położenia i położeń i prędkości ciał pobliskich. Matematycznie: ruch wszelkich cząsteczek oznacza się równaniami różniczkowemi 2-go rzędu". Prawa Keplera, głoszące o ruchach planet dokoła ich słońc, okazały się niedokładne z chwilą wykrycia perturbacyj. Przytoczę jeszcze słowa E. Macha z jego mechaniki:

„Proste na pierwszy rzut oka zasady mechaniki są bardzo skomplikowane; one są osnute na niesprawdzonych i nawet niedostępnych pełnemu sprawdzeniu danych doświadczalnych".

O prawach mechaniki istnieje tak wielka liczba różnych krytyk i uogólnień, że faktem tym jeszcze raz można

podkreślić myśl — iż nawet prawa mechaniki, najbardziej ścisłej z nauk, nie mają kształtu skończonych prawd, a znajdują się w stadjum ewolucji. Przytoczę naprz. następujące artykuły krytyczne:

K. Pearson, *Grammar of Science,* 1892 r.; W. i J. Friedländer, *Absolute und relative Bewegung*, 1896; Johannesson, *Das Beharrungsgesetz,* 1896 r.; P. Mansion, *Podstawowe zasady geometrji, mechaniki i astronomji*; Tomson, Tet, Lange, Lowe, Hofman, Nejman i inni.

W podobny sposób można wypowiedzieć się i o prawach termodynamiki. Gdybym przytoczyła jeszcze inne prawa fizyki, stałabym się nudną od powtarzania.

A teraz zobaczmy, jakie są najnowsze teorje i poglądy w dziedzinie fizyki? Czy są bardziej mocne i ugruntowane, niż stare?

Dla ilustracji przytoczę parę zdań prof. C. Białobrzeskiego z jego artykułu: „Indeterminizm we współczesnej fizyce" (*Wszechświat* Nr. 6, 1930 r.) — „Gdy mechanika Newtona była uważana za niewzruszoną podstawę fizyki, pewność determinizmu nie wzbudzała wątpliwości. Sens tego pojęcia można streścić w zdaniu: jeśli stan przyrody w danej chwili jest dokładnie znany, możemy zeń wyprowadzić bieg zjawisk w przyszłości. Wiara w determinizm... w świecie atomów została zachwiana przez teorję kwantów. Od r. 1926 datuje się rozwój mechaniki kwantowej, w której... występuje wyraźnie indeterminizm i traktowanie procesów atomowych z punktu widzenia prawdopodobieństwa i statystyki".

„De Broglie zapoczątkował wielki ruch myśli naukowej, występując z postulatem, że dwoista natura, korpuskularna i falowa, przynależy nietylko fotonom, lecz i cząstkom materji — elektronom i protonom". M. Born wypowiedział zdanie, że fala, związana z materją, nie jest realnym procesem fizycznym, lecz „falą prawdopodobieństwa". Autorem śmiałej i niezwykłej koncepcji, zwanej „stosunkiem niepewności", jest Heisenberg. „Punktem wyjścia rozważań Heisenberga było przenikliwe spostrzeżenie, dotyczące zasadniczej niepewności, jaką są obarczone nasze pomiary wielkości fizycznych.. Wykonywując jakikolwiek pomiar, oddziaływamy na dany układ za pośrednictwem instrumentów, służących do

pomiaru. Z każdem zaś oddziaływaniem łączy się nieuniknione zakłócenie zjawiska, które badamy. „Stosunek niepewności" ma moc dla każdej pary wielkości przestrzenno-czasowych z jednej strony, dynamicznych — z drugiej". Chcąc osiągnąć jak największą dokładność pomiaru jednej wielkości, jednocześnie stwierdzamy, że pomiar drugiej wielkości staje się coraz mniej dokładny. Jeżeli oznaczymy przez X długość, wyrażającą niepewność pomiaru współrzędnej X, przez p_x — odpowiednią niepewność składowej pędu na osi X-ów, to według Heisenberga, $X.p_x = h$, gdzie $h =$ stała Plancka ($h = 6,55.10^{-27}$ c. g. s.). „Ażeby ruch cząstki materjalnej był określony, winne być dane początkowe położenie i pęd. Zasada niepewności Heisenberga poucza, że te warunki początkowe są zawsze częściowo nieokreślone, skutkiem czego o stanie ruchu cząstki można wypowiadać wnioski mniej lub więcej prawdopodobne, n i g d y pewne. Wywierając jakiekolwiek działanie cząstka materjalna czyni niejako wybór między rozmaitemi możliwościami. Wobec tego Dirac nie waha się mówić o swobodzie woli w przyrodzie".

„Bohr wywnioskował, że zjawiska przyrody w skali mikroskopowej nie mogą być całkowicie zrozumiane w ramach wyobrażeń przestrzenno-czasowych".

A więc „mechanika kwantowa zastępuje prawa przyczynowe prawami prawdopodobieństwa, cząstki zaś materjalne klasycznej fizyki... są w niej zastąpione przez istoty fizyczne, które mogą być tylko połowicznie opisane i nie dają się zmieścić w przestrzeni i czasie".

Na zjeździe przyrodników i lekarzy w Pradze 1930 roku istniała specjalna sekcja, poświęcona zagadnieniom podstaw nauk ścisłych. W tej sekcji Heisenberg wygłosił, że nie można obecnie podawać ścisłych sformułowań zjawisk natury.

Z tych krótkich streszczeń już widzimy, że fizyka współczesna ma charakter mniej mocny i ugruntowany od fizyki klasycznej. I tak, zasady nauki są to prawdy względne i rozwojowe.

Proces poznawania można przedstawić schematycznie w sposób następujący. Dla poznania świata zewnętrznego

mamy pięć zmysłów: wzrok, słuch, dotyk, powonienie i smak. Każdy z tych zmysłów jest zadziwiająco niedoskonały. Naprz. reaguje na fale o długości tylko okrągło od 0·4 do 0·8 mikrona; ucho słyszy tylko od 16 do 40000 drgań na 1 sek. Ileż to jest fal niewidzialnych i niesłyszalnych! Fale elektromagnetyczne długości dziesiątek i setek metrów, któremi posługujemy się w radjo, fale długości tysięcznych ułamków mikrona, które nazywamy promieniami Röntgena, fale długości ułamków A [1 A = 10^{-8} cm.], które nazywamy promieniami gamma, fale długości 10^{-4} — 10^{-5} A, dopiero co ochrzczone promieniami kosmicznemi, wszystko to są fale niewidzialne. Jednem słowem, widzimy kroplę w morzu istniejącego... To samo możemy powiedzieć i o innych zmysłach. Postęp nauki posuwa się w miarę znalezienia nowych metod badania i nowych przyrządów do badania. I tak, kropelka za kropelką, będziemy iść długo na zdobycie owego morza istniejącego. Podkreślam, iż mówię tu tylko o dziedzinach, poznawalnych przez nasze zmysły. Całokształt tych dziedzin zamierzam nazwać „morzem poznawalnego".

Ludzkość, jako tułacz na morzu poznawalnego, dopiero zaczyna swoją wędrówkę i daleko jej jeszcze do celu poznania wszystkiego, co jest poznawalne. Znajdując się wśród olbrzymiego „morza poznawalnego", wiemy o niem tylko pewną cząstkę. Nazwijmy tę cząstkę „polem wiedzy". Pole wiedzy zajmuje w morzu poznawalnem miejsce środkowe, a to dlatego, że jednakowo mało wiemy jak w kierunku zmniejszających się, tak i w kierunku powiększających się wielkości, — jak w stronę mikro, tak i w stronę makrokosmosu.

Pole wiedzy jest wielkością zmienną, zależną od postępu. Morze poznawalnego jest wielkością stałą, zanim nie mamy szóstego zmysłu. A to, co się znajduje po obu stronach morza poznawalnego, jest olbrzymi, bezgraniczny „ocean niepoznawalnego". Oto taki jest schemat naszego poznania!

Zobrazuję to na rysunku, w postaci pierścieni pomiędzy koncentrycznemi kołami. Pierścień jasny — pole wiedzy. Dwa szare pierścienie dokoła — morze poznawalnego.

Miejsce czarne wewnątrz i nazewnątrz — ocean niepoznawalnego.

Jeżeli przyjmiemy, że pole wiedzy jest pewną środkową częścią w morzu poznawalnego, to wypowiedziane przedtem zdanie: „człowiek żyje w pewnych środkowych wymiarach", być może, będzie lepiej zrozumiałe. „Złoty środek" gra dominującą rolę w życiu człowieka nietylko dla jego intelektu, lecz i w uczuciach i w życiu codziennem. Silne cierpienia tak samo jak silne radości, powodują złe skutki. W życiu codziennem jesteśmy ograniczeni do śmieszności z obu stron i postawieni w ramki środkowości, za któremi zaczyna się nienormalność, szkodliwość. „Wszystko w miarę" — mądre powiedzenie. Naprz.

Jedna krańcowość.	Złoty środek.	Druga krańcowość.
nie jeść	jeść w miarę	przejadać się
nie spać	spać w miarę	przesypiać się
nie pracować	pracować w miarę	przemęczać się

Krańcowości prowadzą do stanu chorobliwego i śmierci. Oto są słowa Arystotelesa: „Charakterystyczną cechą cnót jest to, że stoją we właściwym środku między dwoma przeciwnemi wadami, z których jedna oznacza zbytek, a druga brak". Nawet zewnętrzne warunki również winny być „średnie": my jednakowo nie znosimy jak zbyt wysokiej tak i zbyt niskiej temperatury, najmilszym jest dla nas klimat umiarkowany, normalne ciśnienie atmosferyczne i średnia wilgotność.

Odbiegłam od swego tematu... Zrobiłam to celowo, by wyraźniej podkreślić, iż „środkowe wymiary" — to nie zwykłe zjawisko, to cały problemat życia, to niezbędny warunek życia. Skoro „pole wiedzy" zajmuje pewne środkowe miejsce, to nic dziwnego, że cała nauka ze wszystkiemi jej prawami i zasadami jest tylko zbiorem faktów i wymiarów tego samego poziomu, do którego jesteśmy stworzeni, i nie może być absolutną realnością. Prawa, zdobyte nauką, spełniają się przy naszych „środkowych wymiarach". Lecz gdy do tych praw wstawiono liczby, odbiegające poza obręb zwykłej środkowości, co się okazało? Okazało się, że wszystkie prawa są fałszywe... Powstała nowa teorja, zwana „teorją względności". Ta nowa teorja podkopała fundamenta „ścisłych nauk" i dała nam nowe wzory, sprawiedliwe dla większej ilości zjawisk. A więc teorja względności poszerzyła pole wiedzy. Równania ruchu mechaniki Newtona zostały zastąpione nowemi równaniami:

$$\frac{d}{dt}\left[\frac{m\,dx}{\beta\,dt}\right]=F_x;\quad \frac{d}{dt}\left[\frac{m\,dy}{\beta\,dt}\right]=F_y;\quad \frac{d}{dt}\left[\frac{m\,dz}{\beta\,dt}\right]=F_z,$$

gdzie F (F_x, F_y, F_z) wektorjalne składowe działającej siły, $\beta=\sqrt{1-\frac{v^2}{c^2}}$, v prędkość punktu materjalnego, c prędkość światła. Nowe równania Einsteina różnią się od równań Newtona czynnikiem β, który gra dużą rolę w równaniach nowej fizyki. Ów czynnik β jest właśnie krokiem naprzód po polu wiedzy. Dlaczego wcześniej nie zauważono tego czynnika? Dlatego, że prędkość v ciał fizycznych, z któremi się spotykano przy doświadczeniu, o tyle były mniejsze od prędkości światła c, że ułamek $\frac{v^2}{c^2}$ zamieniał się w praktycznie nieznaczącą wielkość, a cały czynnik $\beta=\sqrt{1-\frac{v^2}{c^2}}$, zamieniał się przez to w jedność. Równania Newtona wydają się sprawiedliwe dla naszego „środkowego" rozumu i dlatego są przydatne do celów praktycznych.

Zwykły wzór na energję kinetyczną $E=\frac{1}{2}mv^2$ w teorji względności jest zastąpiony przez $E=\frac{1}{2}mv^2\left[1+\frac{3v^2}{4c^2}+\ldots\right]$. Stary wzór jest znów tylko przybliżeniem: w miarę powiększenia prędkości V wzór ten staje się coraz mniej dokładny, a przy $V=C$ będzie zupełnie fałszywy.

Zwrócę uwagę jeszcze tylko na jeden nadzwyczajny

wzór „teorji względności", mianowicie $E = Mc^2$, t. j. energja ciała równa się iloczynowi jego masy przez kwadrat prędkości światła. Z tego wzoru wynika, że jeśli ciało pochłania lub oddaje energję, jego masa odpowiednio zmienia się. Czyli, że prawo zachowania mas przy reakcjach chemicznych nie jest ścisłe. Nieruchoma masa równoważną jest z kolosalnym zapasem energji, która w temperaturze absolutnego zera prawie całkowicie pozostaje w danem ciele. Planck nazwał tę energję „skrytą energją". W porównaniu z energją skrytą energja widoczna, którą ciało posiada przy różnych stanach fizycznych, jest znikomo małą. Planck obliczył, że masa 1 gramu radu zmniejsza się w ciągu roku o 0·012 miligrama, które przetwarzają się w energję. A więc zasada zachowania mas sprawdza się tylko dla tych ciał, których energja pozostaje stałą. Jeżeli obejdziemy całą teorję względności, to wszędzie ujrzymy to same sprecyzowanie, rozszerzenie i pogłębienie starych wzorów i zasad.

Powstanie pytanie: dlaczego nowe teorje wydają się nam wprost paradoksalne, dziwne, — a przecież są tylko nadbudową do starych teoryj? Odpowiedź na to pytanie wynika również z „problematu środkowości". Jesteśmy tak przyzwyczajeni do środkowości naszych pojęć, wyobrażeń, uczuć i nawet chęci, że z chwilą, gdy śmiała myśl przestąpiła przez progi tej środkowości, nam się wydało, iż dzieje się coś nieprawdopodobnego. I wielu sceptyków nie uwierzyło w prawdę nowych zórz...

A jednak podobne dzieje już bywały w historji nauki, każde większe odkrycie spotykało się z niedowierzaniem i ostrą krytyką, a ich genjalni twórcy byli prześladowani czasem aż do skazania na śmierć.

Teorja względności wywołała silne poruszenie, gdyż tyczyła się całej fizyki, części astronomji i geometrji.

Teorja względności naprz. głosi, że żaden absolutny czas nie istnieje, a każdy poruszający się system ma swój czas, który służy jako czwarty wymiar; energja może istnieć samodzielnie, niezależnie od materji; poruszające się ciała stają się krótsze w kierunku ruchu, wobec czego rozróżnia się kształt geometryczny ciała od kształtu kinetycznego, i t. d.

Śmiałe myśli, w które obfituje teorja względności, sięgnęły tak daleko, że za niemi nie podąża dokładne zrozumienie i wyobrażenie. Istotnie czy my rozumiemy, jak istnieje energja bez materji, jak zmienia się czas zależnie od ruchu, jakto przestrzeń nie może istnieć bez czasu i t. d. Podobne spóźnianie się zrozumienia i wyobrażenia przed myślą wydaje się być w porządku rzeczy. My nie rozumiemy naprz. odległości słońca od ziemi, lecz znamy ją; nie wyobrażamy sobie 20 tryljonów (2.10^{19}) drobin gazu w objętości 1 cm^3, choć myśl tam sięga; nie wyobrażamy prędkości fal elektromagnetycznych 300.000 km. na sek.), choć potrafimy ją obliczyć i t. d.

Nastręcza się taki obraz, ilustrujący „pole wiedzy". Naprzód idą intuicje, przeczucia i domysły, za nimi myśl twórcza, dalej na końcu idzie zrozumienie i dokładne wyobrażenie. Pochód ten, to jakgdyby piasek, kamienie i granitowe skały, które posuwają się naprzód, zmniejszają i zwalczają „morze poznawalnego". Gdy w ten sposób morze zamieni się na ląd, t. zn. poznamy wszystko, co jest poznawalne, — czy wtenczas poznamy wszystko? Oczywiście, nie! Pozostanie jeszcze ni mniej ni więcej jak cały „ocean niepoznawalnego"... Jeżeli na chwilę przypuścimy, iż poznamy nawet i „ocean niepoznawalnego", — czy wówczas poznamy wszechświat? O, nie! Bo nie możemy być przekonani, że cały wszechświat jest koniecznie jednorodny. Oto są słowa O. Chwolsona z jego artykułu: „Czy możemy stosować prawo fizyki do wszechświata?" „Możliwe, że wszechświat leży poza wiecznemi granicami ludzkiego zrozumienia i że na zawsze pozostanie *ignorabimus*".

Przypomnę jeszcze raz, że schemat poznawania dzieliłam na trzy zasadnicze części: pole wiedzy, morze poznawalnego i ocean niepoznawalnego. Dotąd mówiłam o polu wiedzy i otaczającem go ponętnem morzu poznawalnego. Teraz, oczywiście, muszę przejść do trzeciej i ostatniej części — do oceanu niepoznawalnego. Zadanie to brzmi, być może, fantastycznie. Istotnie, co można mówić o niepoznawalnem?

Idea o niepoznawalnem powstała w filozofji dawno.

Kant (1724—1804) twierdził, że „rzecz w sobie jest niepoznawalną". Przy każdem wrażeniu, jakie nam daje świat zewnętrzny, poznajemy tylko formę, a nie treść zjawiska. Wszelkie nauki przyrodnicze, wraz z fizyką i fizjologją, badają przebieg zjawiska, a nigdy jego treści. Skąd jednak wiemy o istnieniu niepoznawalnego, skoro o nim samym nic nie wiemy?

W odpowiedzi na to pytanie weźmy przykład z teorji elektryczności. Skąd powstała myśl o istnieniu elektryczności, skoro o jego istocie nic nie wiemy? Oczywiście, ta myśl jest logicznym wnioskiem z doświadczenia: obserwując różne zjawiska elektryczne, przekonywujemy się o istnieniu przyczyny tych zjawisk, o istnieniu jakiejś nieznanej siły elektrycznej, jako źródła tych zjawisk. Tak samo możemy powiedzieć o niepoznawalnem wogóle.

Obserwujemy różnorodne zjawiska, obserwujemy jakby formę czegoś i stąd wnioskujemy: musi istnieć istota tych zjawisk, musi istnieć treść tej formy. Istoty zjawisk dawno już ochrzczone są słowami w rodzaju: energja, siła, przyciąganie się, inercja i t. p.

Mówię tylko o istocie zjawisk fizycznych, materjalnych. Jeżeli więc istota zjawisk materjalnych jest niepoznawalna, to cóż dopiero powiemy o rzeczach niematerjalnych?...

Na kwestję o istnieniu niepoznawalnego możemy spojrzeć jeszcze z punktu widzenia teorji prawdopodobieństwa. Oznaczmy przez ∞ istniejącą we wszechświecie mnogość, to jakąż inną liczbą możemy ją oznaczyć? Oznaczmy przez k_1, k_2, k_3, k_4, k_5 ilość zjawisk, poznawalnych przez odpowiednie 5 zmysłów. W takim razie prawdopodobieństwo tego, że zjawisko istniejące akurat trafi do naszego poznania, będzie się równało $\frac{k_1 + k_2 + k_3 + k_4 + k_5}{\infty}$, czyli będzie wielkością niewymiernie małą. Odwrotnie, prawdopodobieństwo tego, że zjawisko istniejące nie trafi do poznania, będzie się równało $1 - \frac{k_1 + k_2 + k_3 + k_4 + k_5}{\infty}$, czyli będzie to liczba duża. A więc za morzem poznawalnego istnieje bezgraniczny ocean niepoznawalnego. O tym oceanie wiemy tylko to, że on istnieje.

Zatrzymajmy się na chwilę na pograniczu pomiędzy morzem poznawalnego, a oceanem niepoznawalnego. Jeżeli przypomnimy sobie podany wyżej rysunek, to zauważymy, iż linij granicznych właściwie mamy dwie; jedna graniczy z mikrokosmosem, a druga z makrokosmosem. Nieomal każde pojęcie i każdy wymiar najbardziej precyzyjny wreszcie przy dalszem zmniejszaniu lub powiększaniu trafia do oceanu niepoznawalnego. Albowiem wszelka bezgranicznie mała liczba, jak i wszelka bezgranicznie duża liczba już są dla nas niepoznawalne. Nasze pojęcia jak i możliwe światopoznanie jest ograniczone liczbą: w morzu poznawalnego znajduje się wszystko s k o ń c z o n e. Owe skończone, będąc pomniejszone lub powiększone nieskończenie, będzie już niepoznawalne. Możliwość analizy naukowej znajduje się gdzieś pomiędzy ujemną i dodatnią nieskończonością.

Przystępując do „oceanu niepoznawalnego" odrazu na początku napotykamy na takie niepoznawalne pojęcia, jak nieskończenie mała lub nieskończenie duża wielkość. Oba te pojęcia będę krótko nazywała nieskończonością. Ciekawym jest fakt, jak dużo rozmaitych określeń było podane przez rozmaitych myślicieli dla wyrazu nieskończoność. Naprz. Spinoza podaje następujące określenie nieskończoności: „Tylko to jest nieskończone, co niezdolne do dalszego powiększania się". Jednak w matematyce doskonale powiększają nieskończoności dodawaniem do nich nowych nieskończoności, lub mnożąc jedną nieskończoność przez drugą... Bardzo rozpowszechnionem jest takie określenie: „Nieskończonem jest to co nie ma końca". Lecz koło i inne zamknięte linje krzywe i powierzchnie nie mają końca, a jednak uważamy je za skończone. Matematycy zwykle określają nieskończoność w sposób następujący: wielkość, większą od dowolnej liczby tych, które są przyjęte za jednostkę, nazywamy nieskończenie dużą wielkością; wielkość tak małą, że wszelka jej wielokrotność jest mniejszą od jedności, nazywamy nieskończenie małą wielkością. To określenie matematyków nie zadawalnia niektórych filozofów, jak Hegla i jego zwolenników. Oni uważają taką nieskończoność za „marną" i sądzą, iż prawdziwa nieskończoność jest jakościową, co znajdują tylko w Bogu i wogóle w absolucie.

Hegel, Erdman i inni uważają „matematyczną nieskończoność" za taką wielkość, która zmienia się i nie ma granic w swem powiększaniu lub pomniejszaniu się. Na to oponuje B. Bolcano *(Paradoksy nieskończoności)*: „Taka wielkość tylko bezgranicznie zwiększa się lub zmniejsza się, lecz nigdy nie staje się nieskończonością".

Bolcano uważa, że prawdziwa nieskończoność nie powinna być zmienną. Oto jego określenie: „Nieskończoną ilością nazywam ilość większą od każdej ilości skończonej; jest to ilość tego rodzaju, że każda skończona mnogość jest tylko jej częścią".

Często spotyka się i takie określenie: „Nieskończenie wielkiem jest to, co jest większe od wszelkiej danej wielkości". W związku z tem Fries (Naturphilosophie § 47) pojmuje nieskończoność jako coś nierealnego i nieziszczalnego (większe od możliwego), w przeciwieństwie do rzeczy skończonych, realnych. Tymczasem Bolcano na pytanie o istnieniu nieskończoności powiada: „Śmiało z całą stanowczością twierdzę, że nieskończoność istnieje", — i dalej podaje dowód swej myśli (*Paradoksy nieskończoności*, str. 17). Słynny matematyk P. Dedekind poucza: „Mnogość S nazywamy nieskończoną, jeśli ona jest podobną do jakiejkolwiek prawidłowej swej części; w przeciwnym razie mnogość S będzie skończoną". Przytem dodaje: „Wszelkie inne znane mi próby określenia różnicy pomiędzy nieskończonem a skończonem wydają mi się tak mało udatne, że nie będę je krytykował" (Dedekind: *Co to są liczby i do czego one służą?*"). Dedekind między innemi udowadnia takie twierdzenie: „Istnieją nieskończone mnogości". Niektórzy matematycy, za przykładem Ejlera, używali określenia, że wielkości nieskończenie małe, to zwykłe zera, a wielkości nieskończenie duże, to ilorazy od podzielenia liczby skończonej przez zero. Oczywiście, takie określenie podlegało ostrej krytyce, gdyż dzielić „przez zero" wogóle nie wolno w rachunkach matematycznych. Wreszcie przytoczę jeszcze jedno określenie z podręcznika prof. B. Kojałowicza p. tyt. *Rachunek różniczkowy*: „Nieskończenie małą nazywamy taką zmienną wielkość, która ma granicę równą zeru; jej wartość liczbowa może się stać i pozostać mniejszą od wszel-

kiej danej wielkości. Nieskończenie dużą nazywamy taką zmienną wielkość, której wartość liczbowa może się stać i pozostać większą od wszelkiej danej wielkości. Należy pamiętać, iż tylko wielkości zmienne mogą być nieskończenie małemi lub nieskończenie dużemi".

„W przeciwieństwie do nieskończenie dużych wielkości nazywamy skończonemi te, które są stałe i te zmienne, których wartość liczebna nie przewyższa pewnej stałej liczby". Podobne określenie nieskończoności podał znakomity matematyk Couchy w swoim *Cours d'analyse*. Couchy uważał, że „granicą bezgranicznego powiększania się musi być nieskończenie duża wielkość".

W przytoczonych wyżej określeniach nieskończoności występują wyraźnie dwie zasadnicze cechy: 1. Czy nieskończoność jest czemś realnem lub nierealnem, 2. Czy nieskończoność jest wielkością stałą lub zmienną. Jeżeli dyskusja prowadzi się o tak zasadnicze cechy, to jest to najlepszym dowodem, że nauka nie dała nam ścisłego określenia i pojęcia o nieskończoności.

Dodam nawet: nauka n i e m o ż e dać ścisłego określenia nieskończoności. Nie może dlatego, że pojęcie o nieskończoności znajduje się poza granicami „morza poznawalnego", znajduje się w „oceanie niepoznawalnego". Skoro o nieskończoności nie wiemy i wiedzieć nie możemy, więc nie powinniśmy obchodzić się z nieskończonością, jako z czemś znanem i zrozumiałem. A pod tym względem nauka bardzo i bardzo grzeszy... Owe grzechy zaczynają się w elementarnej algebrze, geometrji, trygonometrji i powtarzają się w wyższej matematyce. Naprz. iloraz $\frac{A}{\infty}$ często uważa się za równy zeru. Z tego stosunku korzystają na wielką skalę w teorji granic, lecz z punktu widzenia bezwzględnej dokładności to nie jest ścisłe. Dowieść nieścisłości możemy logicznie i matematycznie. Logicznie rozumujemy w ten sposób: jakkolwiek długo dzielilibyśmy wielkość A, w rezultacie otrzymamy dowolnie małą część A i nigdy nie otrzymamy zera, co oznaczałoby przecież nieistnienia żadnej części A. Matematycznie rozumujemy w ten sposób: jeżeli $\frac{A}{\infty} = 0$, to $\infty . 0 = A$, a stąd $A = 0$, jako iloczyn

dwu liczb, z których jedna równa się zeru. Ten niedorzeczny wniosek jest spowodowany fałszywem założeniem, że $\frac{A}{\infty} = 0$. To ostatnie wyrażenie możemy napisać jeszcze inaczej: $\frac{A}{0} = \infty$. Czyli każda liczba dzielona przez zero równa się nieskończoności, a to jest także absurdem. W matematyce wogóle nie wolno dzielić przez zero, ale z tych samych powodów nie należałoby dzielić i przez nieskończoność, gdyż oba te dzielenia $\frac{A}{\infty} = 0$ i $\frac{A}{0} = \infty$ różnią się tylko przestawieniem wyrazów i są równoznaczne co do treści.

Weźmy jeszcze przykład z trygonometrji. Ogólnie przyjęto, że tangens i sekans kąta prostego i wszystkich kątów kształtu $\frac{\pi}{2} \pm n\pi$ równa się nieskończoności. Twierdzę, że tangens i sekans są to funkcje zmienne, lecz nie ciągłe, i że dla kątów $\frac{\pi}{2} \pm n\pi$ wogóle n i e i s t n i e j ą. Istotnie, w tym wypadku promień wodzący i styczna są równoległe do siebie, t. j. nigdy się nie przecinają, a więc nie istnieją odcinki, których stosunek do promienia nazywamy tangensem lub sekansem. Gdybyśmy nawet przyjęli, że w tym wypadku styczna przecina się na nieskończoności z promieniem wodzącym, to i przy tem przypuszczeniu tangens i sekans nie mogą równać się nieskończoności. Niema chyba dwu zdań, że odcinka nie można uważać za nieskończoność, gdyż jest on ograniczony z obu stron. A tg. i sek. są właśnie ograniczonemi odcinkami. Podobnie możemy wykazać, że kotangens i kosekans dla wszystkich kątów $0 + n\pi$ również nie istnieją.

Cała wyższa matematyka jest osnuta na rachunku nieskończenie małych liczb, na rachunku różniczkowym i całkowym. Jak to możliwe? W jaki sposób operowanie z czemś niezrozumiałem daje w rezultacie dokładne wyniki? Otóż dzieje się tak dlatego, że dla matematyków forma ma znaczenie większe od treści. Dla matematyków obojętnem jest, czy oni mają do czynienia z symbolami dostępnemi dla zrozumienia, czy symbolami niepoznawalnemi, lub wreszcie symbolami wcale nieistniejącemi. Dlatego liczby t. zw. urojone ($\sqrt{-1}$), różniczki $\left(dx, \frac{dy}{dx}, \frac{d^2y}{dx^2} \ldots\right)$, liczby nieskończenie duże liczby nieskończenie małe są dla matematyka równowarto-

ściowe z liczbami wymiernemi i realnie istniejącemi. Chodzi o to tylko, „by każdy raz, gdy zamiast bezprzedmiotowych symbolów otrzymamy symbole o treści konkretnej, obie strony równania byłyby rzeczywiście równe sobie". (Bolcano: *Paradoksy nieskończoności*, str. 67). Wyższa matematyka zaczyna grzeszyć tylko wtedy, gdy nieistniejące przyjmuje za realne, niepoznawalne uważa za zrozumiałe, nieścisłe za ścisłe. Goniąc właśnie za ścisłością, możnaby polecić nieco zmienić zwykłą terminologję. Mianowicie, zamiast „nieskończenie mała" używać wyrazu „dowolnie mała"; zamiast „nieskończenie duża" mówić „dowolnie duża". A to wszystko z tego powodu, że określenia dawane przez matematyków dla liczb „nieskończenie małych" i liczb „nieskończenie dużych", — są to właściwie określenia dla liczb „dowolnie małych" i liczb „dowolnie dużych" i zawsze zmiennych. Należy przeprowadzić wyraźną granicę pomiędzy określeniami matematycznych symboli z jednej strony, a określeniami nieskończoności z drugiej strony. Naprz. cecha zmienności, obowiązkowa dla pierwszych, — wcale nie obowiązuje dla drugich. Wprost przeciwnie: stałe nieskończoności wydają się być łatwiejsze do przyjęcia przez nasz umysł, niż zmienne, chociażby naprz. stała nieskończoność przestrzeni. Przy takiem rozgraniczeniu określeń, być może, posuniemy się chociaż o krok naprzód w „polu wiedzy"... A więc, pojęcia o nieskończoności wogóle nie możemy dokładnie określić, gdyż jest to niepoznawalne... Kto z nas pojmie chociażby ten fakt, że ilość punktów przestrzeni pomiędzy dwoma dowolnemi punktami, lub ilość momentów czasu pomiędzy dwoma dowolnemi momentami, jest nieskończonością, jakby blisko te dwa punkty lub dwa momenty nie leżały od siebie? Kto pojmie, że suma bezgranicznego szeregu składników, w którym każdy następny składnik jest połową poprzedniego, że ta suma zawsze jest mniejszą od podwojonego pierwszego składnika? Naprz. suma $S = 1 + \frac{1}{2} + \frac{1}{4} + \frac{1}{8} + \dots$ jest mniejszą od 2-ch i zawsze przy najdalszym nawet składniku będzie do 2-ch brakowało tyle, ile wynosi ostatni składnik.

Nieprawdaż, ile bezmiernej tajemnicy zawiera w sobie każdy milimetr przestrzeni, każda sekunda czasu, każda

najprostsza liczba! Zdumiewającym jest fakt, że człowiek właściwie nie jest w stanie poznać swej istoty, swej duszy. Psychofizyka zapomocą swych przyrządów może badać tylko stronę fizyczną zjawisk psychicznych, a nigdy bezpośrednio ich treści. Aparaty mierzą stopień reagowania nerwów na podrażnienie, ale nie mierzą świadomości, która jest absolutną tajemnicą danego indywiduum, niepoznawalną dla innych i dla niego samego. Oto dlaczego psychofizyka i psychofizjologja, wzbudzające zachwyt pozytywistów dokładnością swych metod, nie wzbogaciły jednak naszej wiedzy o istocie psychiki ludzkiej. Podobnie jak mierząc natężenie i napięcie prądu elektrycznego niczego się nie dowiemy o istocie siły elektrycznej, tak samo mierząc skurcz mięśni konstatujemy tylko zjawisko widzialne, a nie poznajemy istoty duszy. A tymczasem w istnieniu duszy — nasze życie!

Być może, że istnieje rodzaj indukcji psychicznej, to znaczy oddziaływanie na odległość jednego ducha na drugi. Kto z nas naprz. nie zgadywał niewypowiedzianych myśli i uczuć innych osób, kto nie zgadywał wrażenia, jakie wywiera na innych? Może istnieją jakgdyby fale psychiczne, których źródłem jest każdy człowiek? Może istnieje rodzaj rezonansu psychicznego, który powoduje, że inni ludzie, odpowiednio nastrojeni, te fale odbierają, na te fale rezenują? A może, każdy z nas jest jednocześnie i stacją nadawczą i odbiorczą owych fal psychicznych...? Może, nasze samopoczucie i nastrój jest zależny od miljonów fal psychicznych, docierających każdej chwili do nas? Być może, że owe oddziaływanie psychiczne, z biegiem czasu poznamy dokładniej, ale to jeszcze nie będzie poznanie istoty ducha ludzkiego.

Marta Lubieniecka.

O życie nienarodzonych.

(Dokończenie).

Wskazania lekarskie, społeczne i eugeniczne.

Dotychczasowy rozwój poglądów i praktyki w dziedzinie przerywania ciąży idzie więc wyraźnie w kierunku ograniczania tego zabiegu, a w dalszej perspektywie do zupełnego wyrugowania go. Wpływają na to mnożące się dowody szkodliwości wszelkich poronień sztucznych, nawet dokonanych w najlepszych warunkach, i równoczesny szybki postęp wiedzy i sztuki położniczej, umożliwiający ratowanie matki i dziecka w wypadkach, dawniej uważanych za zrozpaczone. „Im sumienniej i troskliwiej bada lekarz poszczególne przypadki i odważa niebezpieczeństwa dla matki i dziecka, tem rzadziej będzie widział w przerywaniu ciąży dla wskazań lekarskich jedyne wyjście z trudnego położenia" — powiada dr. Albert Niedermeyer (Görlitz). [1])

Same jednak dane medycyny nie wyczerpują jeszcze całości zagadnienia i nie wystarczają do rozstrzygnięcia go, nawet ze stanowiska lekarskiego. Przerwanie ciąży łączy się przecież zawsze z zabiciem płodu, z unicestwieniem życia, lekarz, wykonujący je, rozporządza więc życiem — a taka funkcja wychodzi już poza zakres medycyny i musi szukać usprawiedliwienia przed forum etyki i prawa.

Posłuchajmy, co mówi w tej sprawie dr. G. Clément, ginekolog i chirurg szpitala we Fryburgu (Szwajc.): „Jakkolwiek byłyby w rzeczywistości nieliczne — powiedzmy raczej

[1]) Dr. med., phil. et iur. A. Niedermeyer: Sexualethik und Medizin, Wissenschaft und Weltanschauung. Hildesheim (1931). Str. 36.

wyjątkowe — wypadki, w których mamy do czynienia ze smutną alternatywą zachowania życia dziecięcia albo matki, chociażby nawet taki wypadek jeden tylko kiedykolwiek się zdarzył, trzebaby sprecyzować, czego w takim razie wymaga porządek moralny. Wogóle, ale w tej dziedzinie w zupełnie specjalny sposób, profesorowie sztuki położniczej, którzy analizują i zestawiają z sobą warunki materjalne i organiczne, różne ewentualności normalnej albo patologicznej ewolucji, rozliczne środki terapeutyki i odnośne widoki powodzenia, powinni z konieczności — ażeby ocenić „dozwoloność" pewnych praktyk, zwłaszcza w materji tak ważnej — trzymać się, choćby nieświadomie, jakiejś koncepcji moralnej człowieka i świata, oraz postawić sobie pewne zasady w kwestji dobra i zła moralnego". [1])

Stanowisko dr. Clément nie jest odosobnionem — podzielają je prawie wszyscy lekarze, a różnią się tylko w konkretnem określeniu i umotywowaniu zajmowanego tu stanowiska. Sam fakt, że istnieje specjalna „etyka lekarska", jest żywych dowodem, jak głęboko tkwi w zawodzie lekarskim świadomość powagi jego obowiązków i konieczności oparcia się o zasady moralne, choćby najogólniej sformułowane, tak aby mogły stać się własnością wszystkich lekarzy bez względu na różnice ich przekonań. W obliczu potrzeby zdecydowania się na przerwanie ciąży i tem samem na zgładzenie kiełkującego życia, to poczucie odpowiedzialności potęguje się jeszcze i w dalszym ciągu zobaczymy, jak mozolnie starają się niektórzy lekarze usprawiedliwić słuszność tego zabiegu, aby mogli być „spokojni w sumieniu". Zdają oni sobie sprawę, że medycyna pozwala im zorjentować się w danym wypadku i ewentualnej możliwości użycia przerwania ciąży, ale nie do niej należy odpowiedź na pytanie: czy wolno wykonać ten zabieg? W kwestji, do kogo należy tu decyzja, „do moralisty, czy do lekarza?" — odpowiada dr. Lavrand, prof. med. na uniwersytecie w Lille: do moralisty. [2])

[1]) Dr. G. Clément: Le Droit de l'Enfant à Naître. 2 éd. Bruges. Str. 33—34.

[2]) Dr. Lavrand: Le Médecin Chrétien. Leçons pratiques de déontologie médicale. Paris. 181—82.

Znaleźli się wprawdzie lekarze, którzy chcieli kwestję przerywania ciąży wyłączyć ze sfery etyki i uczynić zagadnieniem czysto naukowem. Lecz próby te nie wytrzymały krytyki. Jak słusznie mówi dr. Lavrand, „zdobycze naukowe w przedmiocie przerywania ciąży lub zabijania płodu nie dotykają zupełnie jądra kwestji. Wojna nie staje się przez to sprawiedliwą, że używa się w niej udoskonalonej broni; podobnie, jakkolwiek udoskonalone byłyby metody przerywania ciąży i inne sposoby pozbycia się płodu, nie usprawiedliwiają one wcale tego zabiegu, jeśli moralność go zabrania". [1]) To pomieszanie wskazań naukowych i etycznych — zauważa prof. Sorbony, Edouard Jordan — „wypływa z bardzo częstej iluzji: wystawiają sobie ludzie, że wiedza daje nam prawidła postępowania. Tymczasem nic fałszywszego: ona daje nam tylko pewną sumę wiadomości i nic więcej... Wiedza niczego nie przepisuje, nie nakazuje jednym bardziej chęci życia, a drugim samobójstwa; jest obojętną na nasze czyny". [2])

Ogół lekarzy, uznających dozwoloność przerywania ciąży dla wskazań lekarskich, nie zadawala się też powyższą teorją i stara się znaleźć jakieś etyczne uzasadnienie dla swego poglądu, choćby w tej najbardziej prymitywnej formie, że kodeks deontologji (etyki) lekarskiej nie wymienia tego zabiegu w rzędzie niedozwolonych.

Zasadnicza trudność, jaka zachodzi tu ze stanowiska moralnego — unicestwianie życia — zmalałaby nieporównanie, gdyby płód był tylko „żywą" integralną częścią organizmu matki; możnaby wówczas dla ocalenia jej życia czy zdrowia usunąć go podobnie, jak amputuje się nogę lub rękę. I faktycznie do takiego sposobu ujęcia zagadnienia przerywania ciąży uciekano się nieraz także w kołach naukowych, a wśród szerokich sfer kobiet szerzy się dziś jeszcze pogląd, że w tej sprawie „wolno im rozporządzać sobą". Przypomina się tu bojownica o to prawo kobiety we Francji, Madeleine Pelletier, która przed 20 laty w broszurze *L'Emancipation sexuelle de la femme* (Paris 1912) pi-

[1]) *Le Médecin Chrétien*, j. w. Str. 182.

[2]) Edouard Jordan: Eugénisme et Morale. Paris 1931. Str. 1—2.

sała: płód, będący w łonie matki „stanowi część jej ciała" i ma ona „takie samo prawo pozbyć się go, jak obciąć włosy lub paznokcie".

Lecz zdanie to, już wówczas przestarzałe, nie da się absolutnie utrzymać wobec dzisiejszego stanu nauk przyrodniczych, które wykazują, że płód jest od pierwszej chwili istnienia odrębną i w pewnem znaczeniu samodzielną istotą. Już komórka zarodkowa nie jest bynajmniej jakąś cząstką matki, gdyż łączy w sobie dziedzictwo po ojcu i matce, i choć zawisła od organizmu tej ostatniej (zależnością zresztą wzajemną), prowadzi od samego początku życie niemal samodzielne. Już w pierwszem stadjum swego rozwoju, zanim jeszcze zdołały się uformować jakiekolwiek organy, płód stwarza sobie własny system krążenia, posiada własną krew, niezależną bezpośrednio od krwi matki, tak co do składu chemicznego jak rytmu krążenia. Tkanki jego stanowią odrębną zamkniętą całość i rozwijają się w określonym kierunku, tak że oczywistem jest, iż całym jego rozwojem kieruje osobny pierwiastek życiowy, o którego istnieniu i samodzielności świadczy między innemi fakt, że płód potrafi żyć nawet po zgonie matki i może się utrzymać przy życiu choć przedwcześnie opuści jej łono.

Że tym pierwiastkiem życiowym jest od pierwszej chwili dusza ludzka, przyjmują dziś wszyscy, którzy wyznają światopogląd spirytualistyczny. Na przesuwanie na później terminu połączenia duszy z ciałem niema żadnej przekonywującej racji, a jeśli Heraklit i stoicy umieszczali go w okresie dojrzałości płciowej, Platon w chwili urodzenia, a Arystoteles i za nim św. Tomasz w 40-ym względnie w 80-ym dniu od poczęcia, nie należy zapominać, iż poglądy ich opierały się na abstrakcyjnych rozumowaniach i przesłankach, płynących z założeń ich systemów filozoficznych.[1]) Płód ludzki jest od pierwszej chwili nietylko pewną całością w sobie, jednostką, istotą odrębną — jak wykazują nauki przyrodnicze — ale jest istotą ludzką, osobą, człowiekiem, choć niedoskonałym i rozwijającym się dopiero.

[1]) Już w r. 1620 lekarz Fienus, prof. w Lowanjum, postawił tezę, że dusza łączy się z ciałem w pierwszych dniach po poczęciu.

Tego faktu nie zmieni ani zależność czasowa płodu od organizmu matki, gdyż zawisłość ta jest wzajemna i trwa również po urodzeniu, ani brak świadomości swego istnienia, ponieważ tej nie posiada dziecko i po urodzeniu przez jakiś czas i nie mają jej niektórzy umysłowo chorzy, którym jednak nikt nie odmawia dlatego osobowości ludzkiej.

Ten stan rzeczy pociąga jednak za sobą poważne konsekwencje.

„Przedewszystkiem — powiada dr. Alfred Grotjahn, b. prof. uniw. w Berlinie — płód nie może być w żaden sposób uważany jako narząd matki; przeciwnie jest on z fizjologicznego punktu widzenia raczej samodzielny co do postaci i zachowania się, tak że stąd chyba prawo samorozporządzalności matki nie może być wyprowadzane". [1]) Pogląd taki, który chce uważać płód za część matki i na tej podstawie dać jej prawo rozporządzania nim, nazywa dr. A. Mayer, dyr. uniw. kliniki w Tübingen, „ze stanowiska nauk przyrodniczych... nonsensem", gdyż płód ten jest „od samego początku i przez cały okres ciąży samoistną jednostką". [2])

Powtóre, skoro płód jest istotą ludzką, staje się tem samem p o d m i o t e m p r a w a, a zgładzenie go będzie zabiciem człowieka niewinnego, z a b ó j s t w e m, zbrodnią.

„Skoro płód — pisze dr. G. Clément — nie jest już jakimkolwiek płodem, lecz „ludzkim", indywidualność tej nowej istoty czerpie z tej okoliczności specjalny charakter, który tę indywidualność podkreśla: to nie jest tylko „indywiduum", ale to już jest „osoba", a więc konsekwentnie jest podmiotem praw". [3]) Ma prawo do życia, niezależne od nikogo z ludzi, oparte na prawie natury, a państwo ma obowiązek bronić tego prawa, obowiązek tem cięższy, że

[1]) Dr. A. Grotjahn: H i g j e n a l u d z k i e g o r o z r o d u. Warszawa 1930. Str. 279.

[2]) Toteż z niemałem zdumieniem czyta się, że prof. Wolnej Wszechnicy w Warszawie, Michał Orzęcki, powołuje się w kwestji przerywania ciąży na „prawo matki do swego ciała" (B o y: *Piekło kobiet*. Warszawa 1930, str. 61), a prof, uniw. warszawskiego, dr. Wiktor Grzywo-Dąbrowski pisze: „kobiecie według nas winno przysługiwać prawo do rozporządzania swą ciążą" (*Lekarz Polski*, Warszawa 1932 zesz. 1 str. 8).

[3]) *Le Droit de l'Enfant*, j. w., str. 17.

chodzi o istotę słabą i bezbronną. „Tak więc — ciągnie dalej dr. Clément — poczynając już od życia w łonie matki, i owszem od samych ciemnych początków tego życia, ta istota tak maleńka, mimo swej maleńkości jest już wielką rzeczą, zupełnie nieproporcjonalną do przestrzeni, jaką zajmuje. Jest ona o s o b ą, która ma swój cel własny i swą niezależność, i która nie może, jakby jakiś przedmiot materjalny lub jak niewolnik w duchu starożytnego prawa, być użytym za narzędzie lub środek dla dobra, korzyści, ani nawet dla ocalenia kogoś drugiego". [1])

Stanowisko, jakie w sprawie przerywania ciąży powinien zająć lekarz, zarysowuje się więc dostatecznie jasno. Nie ma on tu do czynienia z jakimś członkiem czy częścią organizmu matki, któryby można poświęcić w potrzebie dla dobra całości, tem mniej z jakimś nowotworem (tumorem), lecz z istotą ludzką, jakkolwiek narazie bardzo jeszcze niedoskonałą i zawisłą od matki. Nietylko spędzenie płodu, ale i przerwanie ciąży będzie więc zabiciem człowieka niewinnego — a do tego nie ma prawa ani państwo, ani żadna jednostka. Popełnienie zaś tego czynu przez lekarza razi tem bardziej, że zadaniem jego jest leczyć i ratować, a nie zabijać, że od niego szczególnie żąda się poszanowania „majestatu życia".

Zasada powyższa obowiązuje zatem bez ograniczenia i chroni życie płodu od pierwszej chwili jego istnienia. Nie można dlatego robić rozróżnienia na wzór owych lekarzy i prawników, którzy chcieliby pozwolić na przerywanie ciąży w pierwszych jej trzech miesiącach, a zabronić w następnym okresie. Dr. Georg Surbled pyta ich słusznie: „czy sądzą, że życie dziecka nie jest równoważne z życiem człowieka i że ciężkość takiej zbrodni, jak zabójstwo, jest uwarunkowana wiekiem nieszczęśliwej ofiary?" [2])

Choćby nawet danemu lekarzowi racje za uznaniem płodu za istotę ludzką nie wydawały się przekonywującemi, powinien pamiętać, że zdanie to ma za sobą autorytet ludzi nauki, a na tezę przeciwną nie znajdzie również żad-

[1]) *Le Droit de l'Enfant*, str. 23—24.

[2]) Dr. med. Georges Surbled: L a M o r a l e d a n s s e s r a p p o r t s avec la Médecine et l'Hygiène. Paris 1922, wyd. II, tom 2, str. 195.

nych dowodów; wobec tak poważnej wątpliwości powinien więc, skoro chodzi o życie, przechylić się w konkretnym wypadku na stronę płodu i nie dopuścić do zgładzenia go. Zarówno z punktu moralnego jak biologicznego jest bowiem faktem — powiada dr. A. Niedermeyer — że przerwanie ciąży „jest i pozostanie z a b i c i e m ludzkiej żywej istoty!.. a nie pozostaje nam nic innego, jak uznać ów płód „żywy" za „połączony z duszą rozumną", pomimo tego że mamy tu jeszcze do czynienia z nieświadomemi formami życia duchowego". [1]) Zresztą, zauważa dr. Clément, nawet w przypuszczeniu, że płód w pierwszych początkach swego istnienia nie byłby jeszcze połączony z duszą ludzką, to jednak samo przeznaczenie, że ma on się stać człowiekiem, „okrywa go osobliwą godnością i szczególniejszym blaskiem, które czynnemu zgładzeniu go nadają charakter antycypowanego zabójstwa". [2])

Wnioski powyższe, oparte na wynikach nauk biologicznych i płynące jasno z zasad moralnych, nie mogą nie przemówić do przekonania, i szereg wybitnych nauką i doświadczeniem lekarzy idzie bezwzględnie za niemi. Jedni, jak widzieliśmy w poprzednim artykule, stwierdzają to w praktyce przez wykluczenie z niej przerywania ciąży mimo dziesiątków tysięcy wypadków położniczych, [3]) inni nie wahają się nazwać otwarcie po imieniu tego zabiegu, tak jak on na to zasługuje. Pomijając, że już stary Hippokrates zaliczył wykonywanie go do występków, jakich lekarzowi nie wolno się dopuszczać, nazywają nietylko spędzenie płodu ale i przerwanie ciąży, dokonane przez lekarza fachowca na podstawie wskazań lekarskich — z b r o d n i ą, z a b ó j s t w e m.

Pomimo tego, że zabieg ten wykonuje się w ważnych

[1]) *Sexualethik u. Medizin*, j. w., str. 33.

[2]) *Le Droit de l'Enfant*, j. w., str. 21.

[3]) I to nietylko katolicy. Tak naprz. prof. Menge, przytoczony przez nas w pierwszej części artykułu (str. 175), jest protestantem. Podobnie sławny ginekolog, prof. Pinard, o którym dr. G. Clément mówi (*Le Droit de l'Enfant*, str. 35), że nikt go nie będzie posądzał o oglądanie się na zdanie teologów, pisał: „Ani ojciec, ani matka, ani lekarz nie mają prawa, i to w żadnej okoliczności, zgładzenia życia dziecka, znajdującego się w łonie matki".

wypadkach i po dojrzałym namyśle, jest on zawsze „zbrodnią", mówi dr. Surbled; „poświęca on świadomie drogocenne istnienie, ze zlekceważeniem wszystkich praw, popełnia zło pewne, żeby uniknąć zła mniej pewnego i stąd nie może ujść przed surowym wyrokiem moralności". [1]) Lekarz, mówi prof. dr. Eugène Hubert (Lowanjum), który dla ratowania matki zabija dziecko w jej łonie, popełnia dzieciobójstwo „niezgodne z prawem natury, z moralnością i sprawiedliwością, a dziś mogę dodać... niezgodne z sztuką czy wiedzą lekarską". [2])

Po tem wszystkiem, co powiedzieliśmy dotychczas — możemy powtórzyć za dr. Fr. Frank'em — trzeba uznać za prawdziwie „smutną zdobycz", że medycyna włączyła przerwanie ciąży w zakres swej wiedzy i sztuki. — Czem jednak wytłumaczyć, że większość lekarzy uznaje ten zabieg mimo całej jego nieetyczności?

Dużo na to składa się przyczyn i nie myślimy ich tu zestawiać ani szczegółowo analizować. Działają tu różnice światopoglądów, zapoznanie natury i przeznaczenia człowieka, tak widoczne zresztą w licznych dziś pomysłach „reformowania" wszelkich dziedzin życia, indywidualnego i społecznego; dużą wreszcie rolę odgrywa niedostateczna znajomość praw moralnych i błędne ich stosowanie, o jakie nietrudno w rzeczy tak subtelnej i skomplikowanej, gdzie schodzą się interesy i kolidują obowiązki różnych stron, gdzie subjektywizm i sentyment biorą łatwo górę nad przedmiotową prawdą i zasadami. W takich warunkach oraz przy ogromnej rozbieżności i zmienności poglądów, jakie nawet ze stanowiska czysto lekarskiego panują na tem polu, nie może narazie być mowy o jednolitym froncie przeciw przerywaniu ciąży. Nikt wprawdzie z lekarzy nie odważa się go zachwalać, wszyscy uznają nieodpowiedniość, a wielu niegodziwość tego zabiegu, ale przynajmniej w formie „smutnej, przejściowej konieczności" zatrzymują go jeszcze i starają wszelkiemi

---

[1]) *La Morale dans ses rapports*, j. w.. str. 196.

[2]) Dr. Eugène Hubert: Le Devoir du Médecin. Bruges (1926). Str. 64.

możliwemi sposobami usprawiedliwić jego dozwoloność, choćby przyszło gwałtem naciągać zasady do praktyki.

Racją najczęściej wysuwaną w obronie przerywania ciąży jest konieczność ratowania matki, jako osoby w porównaniu z płodem więcej wartościowej. Posłuchajmy jak tę rzecz tłumaczy prof. uniw. warszawskiego, dr. Witold Orłowski: „Jakkolwiek przerwanie ciąży równa się unicestwieniu nowego życia, to jednak, w razie potrzeby wyboru, oddajemy pierwszeństwo temu ustrojowi, który żyje już jako jednostka samodzielna i wykształcona, i która sama może przyczynić się do powstania nowego życia. Powstaje w ten sposób zagadnienie legalnego przerywania ciąży w zależności od choroby ciężarnej". [1])

Słowa powyższe są dostatecznie jasne. Mając do wyboru z jednej strony matkę, istotę już samodzielną, działającą i mogącą jeszcze więcej uczynić dla społeczeństwa, a z drugiej strony płód, nierozwinięty i nie mówiący nic o przyszłości, lekarz ma dać pierwszeństwo matce, jako wartościowo cenniejszej i dla ocalenia jej poświęcić życie dziecka.

Czy stanowisko to jest poprawne? — Przedewszystkiem przypominamy, że już z punktu widzenia czysto lekarskiego nie można prawie nigdy mieć absolutnej pewności, czy stoimy przed nieuchronną alternatywą: matka albo dziecko — owszem otwartą pozostaje zawsze możliwość uratowania obojga.

Powtóre — zasadnicza kwestja — rozstrzygając w ten sposób sprawę, lekarz robi się sędzią, decydującym o życiu i śmierci drugiego, a jako położnik nadto wykonawcą wyroku. Skąd jednak i jakiem prawem? — Prawo odebrania życia posiada tylko jego Dawca, a z pośród ludzi (pomijamy wojnę) wyłącznie władza publiczna i to w bardzo określonych wypadkach, o ile chodzi o przestępców, których zgładzenia wymaga dobro publiczne (dziś nawet tę możność chcą jej odebrać). Żadnej innej społeczności ani prywatnej osobie nie przysługuje ono nigdy, poza wypadkiem koniecznej obrony przed napastnikiem. Nie po-

[1]) *Ginekologja Polska*, r. 1927, str. 1105.

siada go więc i lekarz, nie może odbierać nikomu życia, matce ani dziecku. Obowiązkiem jego zawodu jest tylko leczyć i ratować. Musi on pamiętać, jak podnosi dr. G. Clément, że „kiedy powstaje konflikt między prawami matki a prawami dziecka, mamy do czynienia ze zderzeniem się praw dwóch „osób" i kiedy prawo, o które chodzi, jest prawem do istnienia, a więc prawem z całą pewnością pierwotnem i będącem podstawą wszystkich innych, to wynika stąd, że życie żadnej z tych dwóch istot nie może być podporządkowane jako środek życiu drugiej i poświęcone dla jej interesów lub nawet jej zachowania". Stąd nie można pozwolić na rozmyślne zabicie w jakikolwiek sposób dziecka w łonie matki, choćby nawet w celu jej ocalenia, „podobnie jak naodwrót byłoby postępowaniem zbrodniczem, wprost i świadomie, choćby o kilka godzin skrócić życie matki w celu zapewnienia istnienia jej dziecku — chociażby to dziecko było niecierpliwie oczekiwanym dziedzicem wielkiego państwa". [1])

Niektórzy próbowali wprawdzie wybrnąć z tej trudności przez zastosowanie zasady „prawa miecza" czyli obrony przed napastnikiem, *iniustus aggressor*, w tem znaczeniu, że płód „nastaje na życie matki", ta więc ma prawo do obrony przez zgładzenie go drogą przerwania ciąży. Lecz sofizmat to zbyt oczywisty. „Wszelkie nastawanie na życie — odpowiada dr. Lavrand — suponuje pozytywny akt osoby napadającej", a tego nie można powiedzieć o płodzie, którego co najwyżej obecność może być groźna dla życia matki; owszem, dodaje tenże autor, argument powyższy można odwrócić i powiedzieć, z większą jeszcze słusznością, że to matka przez swe braki czy choroby nastaje na życie dziecka.[2])

Inną racją, która wielu lekarzom i prawnikom wydaje się przekonywującą, jest t. zw. „prawo bezwzględnej konieczności" w wypadkach, w których podług orzeczenia lekarskiego i matka i dziecko muszą zginąć, jeśli nie zastosuje się przerwania ciąży. Jeżeli mają oboje zginąć, czy nie lepiej ofiarować jedno życie dla ocalenia drugiego, zwłaszcza

[1]) *Le Droit de l'Enfant*, j. w., str. 24, 34.

[2]) *Le Médecin Chrétien*, j. w., str. 203—205. Podobnie Clément: *Le Droit de l'Enfant*, j. w., str. 39.

jeżeli matka jest potrzebną dla pozostałych dzieci? Będzie to w każdym razie „mniejsze zło".

Teorja ta nie da się jednak obronić wobec etyki. Dziecka nie traktuje się tu wprawdzie jako „napastnika", tylko ofiaruje się je dla ocalenia matki, lecz racja ta, mająca za sobą pozory słuszności, opiera się na dwuznaczności słowa „ofiarować", które nie kończy się tu na samym wyborze mniejszego zła, ale posuwa się do czynnego wykonania go. „Poświęca się" płód w tem znaczeniu, że się go wprost zabija, a więc przez zabójstwo niewinnej ludzkiej istoty zdąża się do osiągnięcia dobra drugiej osoby.[1]) Takiej etyki chyba nikt nie zechce bronić! Jest to najoczywistsze stosowanie zasady „cel uświęca środki" i to w rzeczy, gdzie chodzi o najcenniejsze z dóbr przyrodzonych człowieka — o życie.

Ta właśnie okoliczność — że przy przerwaniu ciąży nie wybiera się, lecz popełnia zło, i to zło, będące targnięciem się na życie niewinnego — sprawia, że czyn ten staje się nie mniejszem lecz „większem" złem niż dopuszczenie śmierci, która nastąpiłaby z przyczyny przez lekarza niezawinionej. Zachodzi bowiem — powiada na to dr. Alb. Niedermeyer — „nieprzebyta przepaść pomiędzy zabójstwem a śmiercią, między czynnem wkroczeniem, jakie niesie z sobą zabójstwo, a dobrowolnem przyjęciem śmierci". Stąd „jeśliby bez wkroczenia lekarskiego życie matki musiało zginąć razem z życiem dziecka, to dla uratowania życia matki wolnoby tylko to uczynić, co bezpośrednio jest zabiegiem terapeutycznym; ale nawet w ostateczności nie może być uznane za moralnie dozwolone, żeby bezpośrednio zabijać płód".[2])

Dla tej samej przyczyny nie można też przyjąć tłumaczenia, że w powyższym wypadku śmierć dziecka jest pewna, lekarz nie wydaje więc wyroku śmierci, tylko „przyśpiesza"

---

[1]) Por. Ks. Albert Schmitt, prof. uniw. w Innsbruck: Um das Leben der Ungeborenen. *Theologisch-praktische Quartalschrift*, Linz. R. 1931 str. 548. — Tem bardziej niewystarczającą jest inna przez lekarzy wysuwana racja, że jeśli oni nie przerwą ciąży kobiecie żądającej go, ta pójdzie do fuszera i poniesie wtedy większą szkodę na zdrowiu.

[2]) *Sexualethik u. Medizin*, j. w., str. 39.

ją i przez to ratuje matkę. — Przyśpieszenie to polega bowiem na bezpośredniem, czynnem zabiciu płodu, co dla racyj przytoczonych jest niedopuszczalnem. Pomijając zresztą niedozwoloność takiego postępowania ze stanowiska etyki, pomyślmy, do czegoby doszło, gdyby się raz przyjęło, że lekarz może pozbawić życia istotę słabszą i niewinną dla korzyści drugiego? Dlaczegoż nie możnaby również dla dobra otoczenia „przyśpieszyć" zgonu nieuleczalnie chorych? Z taką „barbarzyńską etyką", powiada dr. Lavrand, możnaby usprawiedliwić wszelkie nadużycia. Byłoby więc niegodnem stanu lekarskiego, który powinien być przejęty szczególną czcią dla „świętości życia", bez względu na jakość osoby, żeby powagą swą przyczyniał się do usankcjonowania takiego stanu rzeczy. I dlatego „jakkolwiek bolesną i smutną byłaby śmierć matki, należałoby raczej zgodzić się na nią, niż uznać zabicie płodu. Czyż to jest zresztą jedyny wypadek, gdzie wyższe względy moralne żądają od człowieka bardzo bolesnych ofiar?" [1])

Przytoczone dotychczas dowody są wystarczającą odpowiedzią na wspomnianą powyżej i w obronie przerywania ciąży często wysuwaną rację, którą prof. W. Grzywo-Dąbrowski streszcza w słowach, że przez zabieg ów „kosztem jednego życia ratuje się inne, więcej wartościowe". [2]) Na uwagę zasługuje dowolność tego twierdzenia. Skąd bowiem zwolennicy jego mogą wiedzieć, że właśnie egzystencja matki a nie dziecka przedstawia na przyszłość większą wartość dla społeczeństwa? Jeśli pomyślimy o tylu wielkich i dla ludzkości zasłużonych osobach, musimy chyba przyznać, że życie ich już w łonie matki było „cenniejsze" od jej życia. Ileż nadto razy chodzić będzie o matkę, która pod względem zdrowia nie przedstawia już społecznej wartości, naprz. jeśli ma gruźlicę daleko posuniętą, podczas gdy jej dziecko przyjdzie na świat zdrowe i może się stać bardzo pożyteczne dla drugich.

Żadna z wysuwanych przez lekarzy i prawników racyj nie usprawiedliwia więc przerywania ciąży. Owszem fakt,

---

[1]) *Le Médecin Chrétien*, j. w., str. 199—201.

[2]) *Lekarz Polski*, Warszawa. R. 1932, zesz. 1, str. 6.

że korzysta się tu z prawa silniejszego i zabija istotę słabą i bezbronną, jest dla tego zabiegu okolicznością etycznie silnie obciążającą, choć równocześnie psychologicznie tłumaczącą do pewnego stopnia łatwość, z jaką lekarze godzą się na jego dokonanie. Gdyby dla uratowania matki trzeba było zgładzić czy poćwiartować dziecko już zrodzone, żaden z nich zapewne nie przyłożyłby ręki do tego czynu, przed którym wzdryga się natura ludzka. Ale że to samo dziecko spoczywa jeszcze w łonie matki, ukryte i dla oka niewidzialne, a stąd nie mogące wzbudzić litości i współczucia, lekarz nie waha się go zabić i pokawałkować. Jeśli w praktyce — powiada dr. G. Clément o lekarzach — tak łatwo decyduje się na poświęcenie dziecka w łonie matki, to z pewnością dlatego, że „operuje się w ciemności".[1])

Toteż nawiązując do powyższych słów, możemy tu powtórzyć za wybitnym ginekologiem, prof. Prenant, że jeśli przerwanie ciąży można nazwać „małem morderstwem ze względu na drobność ofiary, która jest najpierw prostą komórką, a potem mikroskopijnym zbiorem komórek — to jednak jest to może wielkie morderstwo ze względu na premedytację i podstępność, morderstwo bardziej wstrętne niż jakiekolwiek inne, ponieważ w ofiarę godzi się tu w ciemności, a nie może się ona zdobyć nawet na jeden krzyk, na jeden jęk, aby bronić swego prawa do egzystencji".[2])

Faktem pozostaje więc, że w kolizji pomiędzy życiem matki i dziecka w jej łonie przegrywa stale dziecko, a przegrywa właściwie dlatego, że jest słabsze i nie może się samo bronić, a opuszczają je ci wszyscy, których obowiązkiem jest udzielić mu tej obrony — matka, lekarz, społeczeństwo, państwo. „Dziecko — podnosi wspomniany powyżej prof. ks. A. Schmitt (Innsbruck) — któremu usiłowanoby odebrać życie, posiada właściwie prawo obrony go i mogłoby zgładzić napastnika, ponieważ jednak z powodu swej bezsilności nie potrafi samo zrobić użytku z tego prawa, przeto powinno to uczynić w jego imieniu państwo i społeczeń-

---

[1]) *Le Droit de l'Enfant*, j. w., str. 38—39.

[2]) *Questions de Sociologie Médicale.* Nancy 1905; cyt. w *„L'Eglise et Eugénisme"*. Paris 1930 str. 51.

stwo".[1]) I jest to czarną plamą dla obowiązanych do tego czynników, że nietylko odmawiają pomocy słabszemu, ale jeszcze przykładają rękę do uśmiercenia go i usiłują nadać temu czynowi charakter legalności!

Z dotychczasowych rozważań wynika zatem, że lekarzowi nie wolno w żadnym wypadku zabijać płodu dla ocalenia życia matki. Nie znaczy to jednak, że nie ma on wobec chorej spełnić swego obowiązku i ratować jej do ostatka — choćby nawet ubocznem i niezamierzonem tego następstwem była śmierć płodu lub poronienie. Uwaga ta jest bardzo ważna i jest odpowiedzią na zarzut, że wymagania etyki nie pozwalają lekarzowi spełnić jego bezwzględnego obowiązku wobec zagrożonej poważnie matki. Nie jest więc zabronionem stosowanie dla ratowania jej tych niezbędnych środków leczniczych, wewnętrznych czy operacyjnych, które przy niepomyślnym zbiegu okoliczności mogą wprawdzie przyczynić się do poronienia lub śmierci płodu, lecz które ani same z siebie nie mają nic wspólnego z przerywaniem ciąży, ani do tego celu nie są skierowane, i które stosowanoby w danej chorobie także niezależnie od ciąży.

Różnica pomiędzy taką interwencją lekarską, choćby nawet niezamierzonem jej następstwem było poronienie, a właściwem przerwaniem ciąży jest istotna. Przy przerywaniu ciąży lekarz świadomie i pozytywnie zmierza bezpośrednio do zabicia, względnie usunięcia płodu, by pośrednio tą drogą ratować matkę. Natomiast w pierwszym wypadku lekarz tego zamiaru nie ma, owszem pozytywnie go wyklucza, a stosuje zabiegi dozwolone i skierowane bezpośrednio przeciw samej chorobie, choć pośredniem ich następstwem może być i bywa nieraz poronienie czy śmierć płodu. Lekarz nie „rozporządza" tu więc życiem i jeśli ono ginie, dzieje się to bez lub raczej wbrew jego zamierzeniom — jest to t. zw. *occisio indirecta*, a poronienie, tak spowodowane, nosi nazwę „pośredniego", *abortus indirectus*. W tem znaczeniu mówi się też, że etyka katolicka pozwala na „pośrednie przerwanie ciąży".

---

[1]) *Theol.-prakt. Quartalschrift*, Linz. R. 1931 str. 546.

Interwencja powyższa daje więc lekarzowi szeroką możność ratowania matki w razie grożącego niebezpieczeństwa. Niemniej w praktyce wymaga ona dobrej orjentacji i dużej sumienności; bywają bowiem wypadki, w których granica pomiędzy dozwolonem a niedozwolonem jest tak subtelna, że może zostać łatwo przeoczona. Przykładem tego jest znany nam z pierwszej części artykułu prof. med. Ernest Pestalozza (Rzym), który szczerze podkreślał zgodność nauki Kościoła katolickiego z wiedzą lekarską, a jednak *aborto indirecto* tłumaczył za swobodnie i poglądy jego, wypowiedziane w *L'Osservatore Romano* (r. 1931 nr. 17), musiały zostać potem nieco sprostowane przez O. Aug. Gemelli O. F. M., rektora uniwersytetu katolickiego w Medjolanie (tamże nr. 22). Etyka katolicka określa też bliżej warunki, w jakich „pośrednie przerwanie ciąży" może być dozwolone: 1) Choroba matki musi być śmiertelną; 2) zabiegi użyte przez lekarza, mają mieć za wyłączny cel wyleczenie z choroby; 3) środków, mogących pośrednio spowodować poronienie, względnie śmierć płodu, wolno użyć, jeśli niema innych bezpieczniejszych; 4) należy możliwie zabezpieczyć chrzest płodu.

Jeśli przerwanie ciąży — jako zabicie niewinnej i bezbronnej istoty ludzkiej — musi ze stanowiska moralnego być bezwzględnie potępionem nawet wtedy, gdy chodzi o ocalenie życia matki, tem bardziej trzeba to powiedzieć o wypadkach, w których chodzi tylko o zabezpieczenie przed pogorszeniem istniejącej już choroby lub wystawienie na jej niebezpieczeństwo. Przypomnienie to jest konieczne, bo niestety większość lekarzy uważa tego rodzaju przypadki za dostateczną rację do podjęcia zabiegu. Tak naprz. prof. dr. W. Grzywo-Dąbrowski rozumie pod pojęciem wskazań lekarskich do przerwania ciąży: „istnienie u ciężarnej tego rodzaju chorób, które powodują uzasadnioną obawę, że dalsze trwanie ciąży, względnie poród, a najczęściej okres poporodowy spowodują groźne obostrzenie istniejącej choroby". [1])

[1]) *Lekarz Polski*, r. 1932 zesz. 1, str. 8.

Odpowiedź na tak rozszerzone pojęcie wskazań lekarskich — bo pierwotnie ograniczano je tylko do ocalenia życia — pozostawmy innemu lekarzowi. „Prawo do zgładzenia dziecka w łonie matki — powiada dr. G. Surbled — było początkowo ściśle ograniczone do kilku określonych wypadków, ale praktycy mało skrupulatni nieustannie rozszerzają stosowanie tej operacji, z lekceważeniem wszelkich praw. Nie da się pomyśleć, żeby lekarz chrześcijanin — powiedzmy poprostu, lekarz uczciwy człowiek — dopuścił się sztucznego poronienia nie, jak uczono, dla o c a l e n i a matki, lecz tylko dla z a b e z p i e c z e n i a jej od możliwego wypadku, od choroby, od słabości, a jeśli jest dotknięta chorobą nieuleczalną, śmiertelną, dla przedłużenia jej mizernego życia o kilka tygodni lub kilka miesięcy. A jednak koledzy po fachu co pewien czas popełniają tego rodzaju nieroztropność, tego rodzaju błędy, które trzebaby raczej nazwać zbrodniami; i owszem, jeszcze są dumni z powodzenia, chlubią się ze zręczności w swej „uczonej" praktyce". [1])

Niestety wyłom, raz uczyniony w nienaruszalnych zasadach, mści się wszędzie — i na lekarzach. Gdy raz weszli na pochyłą drogę lekceważenia życia ludzkiego, trudno im było się zatrzymać i kiedy z innych stron zaczęto nalegać na nich, by wskazania do przerywania ciąży rozciągnęli także na inne, nielekarskie wypadki, nie potrafili się skutecznie przeciwstawić, owszem wielu z nich wzięło czynny udział w tym ruchu. Ruch ten ujęto już w pewne formy i stworzono kilka nowych „wskazań", a silnie wśród szerokich sfer prowadzona agitacja domaga się uznania ich przez prawo i tem samem legalizacji przerywania ciąży w wypadkach, w których zachodzą:

1) W s k a z a n i a g o s p o d a r c z e — jeśli rodzice nie posiadają dostatecznych środków materjalnych do wychowania więcej dzieci, a w każdym razie do utrzymania się na odpowiedniej do swego stanu stopie życiowej.

2) W s k a z a n i a s p o ł e c z n e — (do jakich niektórzy zaliczają również gospodarcze) mają służyć kobiecie pracu-

[1]) *La morale dans ses rapports*, j. w., str. 199—200.

jącej zawodowo, a przedewszystkiem matce nieślubnego dziecka, by uwolnić ją i dziecko od przykrych następstw, związanych z nieślubnem macierzyństwem.

3) Wskazania eugeniczne — winny służyć dobru rasy w wypadkach, w których podług wszelkich przewidywań matka mogłaby dać życie dziecku dziedzicznie silnie obciążonemu i mogącemu ujemne te cechy przekazać później następnym pokoleniom.

4) Wskazania prawne — mają uwolnić kobietę od płodu, który istnienie swe zawdzięcza przestępstwu, skierowanemu przeciw wolności osobistej (gwałt, zniewolenie do nierządu), albo przeciw dobru gatunku (kazirodztwo) czy rodziny (dwużeństwo).

Po tem, co powiedzieliśmy poprzednio o moralnej stronie przerywania ciąży dla ocalenia życia matki, zbytecznem jest, udowadniać niedozwoloność tego zabiegu w przypadkach tu wymienionych. Zatrzymamy się jednak nad niemi dla wyjaśnienia pewnych szczegółów i stanowiska, jakie wobec nich zajmuje dziś świat lekarski. Stanowisko to jest u bardzo znacznej liczby lekarzy odporne, jakkolwiek motywy tej niechęci są różnorodne i najczęściej nie zasadnicze. Największa zgodność poglądów, panuje w odrzucaniu wskazań eugenicznych, a to dla braku dostatecznych dla nich podstaw. „Nauka o dziedziczności tkwi jeszcze w powijakach" (dr. Menge), nie wiemy, jakie czynniki decydują o przekazywaniu cech, nie potrafimy w konkretnych wypadkach przewidzieć nic pewnego, „nie możemy postawić diagnozy, jakie możliwości rozwoju kryją się w tem, co jeszcze się nie narodziło" (dr. Eymer). Także dr. Leon Wernic, prezes Polskiego Towarzystwa Eugenicznego, odrzuca w całości praktykę przerywania ciąży z jakichkolwiek powodów i żąda stosowania innych środków dla celów eugeniki.

Bardziej podzielone są zdania co do pozostałych trzech wskazań, przez niektórych autorów, ujmowanych zbiorowo pod nazwą „społecznych". Najwięcej może obrońców mają wskazania prawne, zwłaszcza w wypadku zniewolenia. Żywa natomiast dyskusja toczy się dokoła wskazań gospodarczych i społecznych. Dla ilustracji, jak pojmują je ich zwolennicy, przytoczymy tu wnioski, jakie w r. 1927 przedłożyła w War-

szawskiem T-stwie Ginekologicznem dr. Zofja Garlicka (Warszawa) w referacie p. t. „Wskazania społeczne przerwania ciąży". Zdaniem jej: 1) bezwzględnem wskazaniem do przerwania ciąży jest zgwałcenie, stwierdzone wyrokiem sądowym. 2) Do wskazań względnych, które ustalić winny Komisje w Instytucjach Opieki nad Matką i Dzieckiem lub Stacje opieki i Poradnie dla ciężarnych — pod przewodnictwem sędziego, należą: *a)* Ciąża nieślubna, jeśli zawarcie małżeństwa jest niemożliwe, i ani ojciec dziecka nieślubnego, ani rodzona matka lub osoby trzecie, ani intytucje społeczne nie mogą zapewnić matce w czasie ciąży i po urodzeniu dziecka normalnej pod względem moralnym i materjalnym egzystencji; *b)* ciąża u kobiety pracującej, jeśli kobieta albo sama utrzymuje rodzinę, albo wobec licznej rodziny zarobek jej jest niezbędny do egzystencji tej rodziny.[1])

Stanowiska dr. Z. Garlickiej — podtrzymywanego u nas również przez prof. W. Grzywo-Dąbrowskiego, który żąda „rozszerzenia uprawnień do poronień na wskazania ekonomiczne i społeczne"[2]) — nie podzielają inni z naszych lekarzy. Dr. Wład. Dering, którego pamiętamy z nieprzychylnego stanowiska wobec wskazań lekarskich do przerywania ciąży, tem silniej podkreśla je względem wskazań społecznych, które „jako oparte na wywiadach... nigdy nie mogą być miarodajne".[3]) Obok przytoczonego już dra L. Wernica (Warszawa), który ze stanowiska eugeniki odrzuca wszelkie wskazania, oświadczył także prof. dr. Kazimierz Bocheński (Lwów), że „uznawanie wskazań społecznych do przerwania ciąży jest w interesie dobra ogólnego niedopuszczalne".[4])

W pismach i dyskusjach lekarzy zagranicą spotykamy się z częściej i jeszcze silniej podkreślanem negatywnem stanowiskiem wobec wskazań społecznych. Podnoszą oni przedewszystkiem nieokreśloność owych „społecznych" motywów, które mając uzasadnić przerwanie ciąży, otwierają

---

[1]) *Ginekologja Polska,* r. 1927 zesz. 10—12 str. 1175.

[2]) Tamże, str. 1213; *Lekarz Polski,* r. 1932 zesz. 1 str. 6.

[3]) *Ginekologja Polska,* r. 1930 zesz. 4—6 str. 343. — Zauważyć należy, że ujemne następstwa przerwania ciąży występują tu silniej, ponieważ zabieg wykonuje się na kobiecie zdrowej.

[4]) *Zdrowie,* organ warsz. T-stwa Higjen, r. 1924 zesz. 3—4 str. 109.

faktycznie pole do wszelkiego rodzaju nadużyć. Motywy te — pisał prof. ginek., dr. Mayer (Tübingen) — są zawsze względne i nikt nie zdoła wykazać, gdzie kończy się ich granica, a gdzie zaczyna nadużycie, wszystko bowiem zawisło od tego, czego pragnie dany osobnik i jak rzecz przedstawi. Toteż prof. A. Grotjahn (Berlin) uważa wskazania społeczne i prywatno-gospodarcze za „niedopuszczalne; jako niezwykle rozciągliwe, mogące być dostosowane do każdego wypadku pojęcie niepomyślnych stosunków gospodarczych, nie może służyć do ograniczenia wskazań, natomiast może pokryć każde nadużycie". [1]) Jakże lekarz może tu wyrobić sobie pewne zdanie, pyta dr. Eymer, kiedy „wskazania społeczne przechodzą jego kompetencję i wogóle jego możność osądu, otwierając naoścież bramę wszelkim nadużyciom?" Uznać w takim stanie rzeczy wskazania społeczne byłoby więc równoznaczne w praktyce z przyjęciem zupełnej swobody wykonywania przerywania ciąży — oświadczył w czasop. *Deutsches Ärzteblatt* z dn. 21 maja 1930 r. przedstawiciel Niemieckiego Związku Lekarzy.

Wskazania społeczne i gospodarcze zawierają nadto w sobie inny moment, który szczególnie przykro dotyka lekarza i poniża jego godność. O wskazaniach tych decydują bowiem wskazania nielekarskie, a sam lekarz schodzi do roli wykonawcy i to niosącego nie ratunek i zdrowie, ale śmierć. Czy nie jest to jednak rola kata? — pytają niektórzy lekarze. Skąd przychodzi lekarz do tego, żeby być egzekutorem w wypadkach, które pozostają poza zakresem jego zawodu? Co mają do czynienia kwestje społeczne i gospodarcze z zawodem, którego zadaniem jest leczyć chorych? Zabieg operacyjny nie może się stać narzędziem opieki społecznej! Nie możemy i nie wolno nam nigdy, dla racyj wyłącznie gospodarczej, społecznej lub eugenicznej natury, przykładać ręki do niszczenia życia! Jakim sposobem mogą ci, których obowiązkiem jest głęboki szacunek dla życia i ratowanie go wszelkiemi możliwemi środkami, zabijać je dla względów, które do lekarza wcale nie na-

---

[1]) *Higjena ludzkiego rozrodu*, j. w., str. 281.

leżą i które powinny być załatwione przez społeczeństwo innemi drogami?[1])

Jakie drogi są do tego celu wskazane? — „Nędza — odpowiada prof. A. Grotjahn — musi być usunięta indywidualnemi środkami, m. inn. środkami natury gospodarczej w postaci pomocy ze strony państwa, gminy i ubezpieczeń. Jeżeli opieka nad matką i dzieckiem jest jeszcze obecnie niewystarczająca, to właśnie jest najwyższy czas, ażeby w przyszłości ukształtować ją dostatecznie, natomiast zupełnie nie jest słuszne wyrównanie dotychczasowych zaniedbań masowemi przerywaniami ciąży".[2]) I jest to rzeczywiście niesłychanie smutnem świadectwem dla naszej epoki, zauważa dr. Stemmer (Stuttgart), „że dla usunięcia niedomagań społecznych nie widzi innej drogi, tylko tak krwawą".

W krwawej tej metodzie nikt nie bierze tak bezpośredniego udziału jak lekarze i oni najgłębiej powinni odczuć jej niewłaściwość i dążyć do zlikwidowania. „Doczekaliśmy się — pisze dr. A. Niedermeyer — że przez udoskonalenie cesarskiego cięcia stała się zbyteczną kranjotomja. Miejmy nadzieję, iż doczekamy się jeszcze, że i przerywanie ciąży stanie się zabiegiem, który będzie należał do przeszłości. Obecne rozmiary tego rodzaju zamachów na życie wydadzą się dalszemu pokoleniu zapewne zboczeniem lekarskiej myśli. Bo niema nic tak w swej istocie nie-lekarskiego, jak zabijanie płodu łona ludzkiego".[3])

Nie poruszaliśmy w artykule niniejszym szeregu innych doniosłych zagadnień teoretycznych i praktycznych, pozo-

---

[1]) Słuszność tych głosów lekarzy odczuwa widocznie prof. W. Grzywo-Dąbrowski i dlatego stara się ingerencję lekarza w wypadkach wskazań społecznych i gospodarczych uzasadnić tem, że — chociaż „niema wskazań lekarskich", lekarz powinien się tą sprawą zająć jako „obywatel" i jako ten, który się częściej z niemi styka (*Lekarz polski*, r. 1932 zesz. 1 str. 6—7). — Zdaje nam się, że gdyby te racje wystarczały do zabijania życia, stan lekarski byłby unikatem pośród wszystkich w pojmowaniu służby „obywatelskiej" i pracy dla dobra społecznego.

[2]) *Higjena ludzkiego rozrodu*, j. w., str. 281. — Memorjał tej samej treści przesłało w r. 1930 liczne grono lekarzy niemieckich do Komisji sejmu Rzeszy, opracowującej nowy Kodeks karny.

[3]) *Sexualethik u. Medizin*, j. w., str. 45.

stających w bliskim związku z praktyką sztucznych poronień, zwłaszcza w tych rozmiarach, do jakich rozrosła się obecnie. Ograniczyliśmy się do rozpatrzenia sprawy ze stanowiska lekarskiego, jako szczególnie tu interesowanego, a dało nam to możność stwierdzenia, zgodnie z dr. A. Niedermeyer'em, że „etyka naturalna pokrywa się w całości ze stanowiskiem biologji" w potępieniu przerywania ciąży. [1])

O ile chodzi o dowody biologiczne i lekarskie, odwołaliśmy się do zdania i doświadczenia kompetentnych osób Co do moralnej strony, decydującej w tym wypadku, oparliśmy się nie na autorytetach, bo te są zmienne, lecz na zasadach; zdania lekarzy przytaczaliśmy dla ilustracji, ażeby otworzyć oczy tym, którzy zdani tylko na płytką i hałaśliwą propagandę za swobodą przerywania ciąży, nie wiedzą, z jak głębokiem zrozumieniem spotykają się zasady także wśród przedstawicieli świata lekarskiego.

Do lekarzy należy wyciągnąć praktyczne wnioski z tych przesłanek. Zgadzamy się na to, że wielu zwolenników przerywania ciąży działa w dobrej wierze, lecz tym, którym wiedza i stanowisko pozwala głębiej wniknąć w istotę rzeczy, nie może być tajnem to, czego drobną zaledwie cząstkę podaliśmy powyżej. Jeśli inni lekarze mieli dziesiątki tysięcy wypadków położniczych i potrafili obejść się bez przerywania ciąży, to najwidoczniej jest to możliwe. Jeżeli na podstawie danych z biologji płód jest od początku swego istnienia samodzielną istotą ludzką, a etyka zabrania bezwzględnie zabijać niewinnego i czynić zabójstwo „środkiem do celu", to jedynem moralnie dopuszczalnem wyjściem jest zarzucenie sztucznych poronień. Usprawiedliwianie tej praktyki jakąś „wyższą koniecznością, przymusem obowiązującym lekarza do ratowania osoby znajdującej się w niebezpieczeństwie", jest nie na miejscu; nie można ratować jednego, zabijając z rozmysłem w tym celu drugiego niewinnego. A już na gorzką ironję zakrawa powoływanie się w tym wypadku na „ludzkość"; taki sentymentalizm i pseudohumanitaryzm, który odwołuje się do uczucia, a z zimną

[1]) *Sexualethik u. Medizin*, j. w., str. 32.

krwią wydaje i wykonuje wyrok śmierci dlatego, że „operuje w ciemności", jest niegodnym człowieka nauki i zasad.

Do wszystkich wspomnianych pobudek, które skłaniają lekarza do zajęcia odmownego stanowiska wobec przerywania ciąży, dołącza się w stosunku do ludności katolickiej, a więc u nas ogromnej większości, doniosły motyw poszanowania i pielęgnowania jej religijnych przekonań i obowiązków. Katolicka etyka nie pozwala w żadnym absolutnie wypadku na podjęcie sztucznego poronienia i traktuje je jako zabójstwo. To też w każdym wypadku świadomie w tym celu i ze skutkiem wywołanego zabiegu, zarówno spędzenia płodu jak przerwania ciąży, Kościół karze karą ekskomuniki (klątwy) zastrzeżonej biskupowi miejscowemu, wszystkie te osoby, które, fizycznie czy moralnie, pozytywnie przyczyniły się do dokonania tego czynu: matkę, lekarza czy innego wykonawcę i pozostałych winnych (*Codex Iur. Can.*, can. 2350 § 1). Te same osoby (mężczyźni tylko) oraz wszystkie inne, które w jakikolwiek sposób współdziałały z niemi, popadają nadto w specjalną karę t. zw. niezdolności, *(irregularitas)* do przyjęcia święceń i pełnienia funkcyj duchownych (Tamże can. 985 § 4).

Prof. dr. W. Grzywo-Dąbrowski nazwał stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie przerywania ciąży „skrajnem" i dodał, że „na szczęście nie podzielają (go) lekarze, wychodząc z założenia, że przy wyborze między ratowaniem życia istoty dorosłej i rozwiniętej, a życiem płodu, należy wybierać oczywiście to pierwsze".[1]) O wartości tego rodzaju dowodów mówiliśmy już przedtem, nie zaszkodzi jednak przytoczyć, co o tej samej rzeczy myśli protestant, prof. dr. Menge (Heidelberg). „Co do mnie — pisał w *Zentralblatt f. Gynäkologie* (r. 1920 zesz. 6 str. 151—2) — stoję w sprawie wskazań do przerywania ciąży prawie na gruncie Kościoła katolickiego, którego bezwzględność w trzymaniu się jego zasady pastoralno-lekarskiej podziwiałem jako lekarz protestant zawsze". Wspomnieć tu możemy również liczne i gorące wyrazy uznania, jakie po ogłoszeniu Encykliki „O małżeństwie chrześcijańskiem" napłynęły do papieża

[1]) *Lekarz Polski*, r. 1932, zesz. 1 str. 6.

Piusa XI ze strony wielu niekatolickich lekarzy całego świata.

Dr. A. Niedermeyer, który cytuje powyższe słowa dra Menge, dodaje zaraz potem od siebie: „Zarzut, jakoby Kościół kat. nie zadał sobie najmniejszego trudu, ażeby się rozprawić ze zdobyczami nowoczesnej wiedzy lekarskiej, jest zupełnie nieuzasadniony. Musimy mu (Kościołowi) podziękować, że przez trzymanie się zasadniczej nienaruszalności życia chroni kulturę i społeczeństwo ludzkie od rozkładu i zgnilizny. Jedno jedyne ustępstwo w tym punkcie pociąga za sobą nieuniknione wykolejenie. Jest to dostatecznie widocznem z kierunku, jaki w ostatnich latach przybrały rozprawy nad dopuszczalnością przerywania ciąży". [1])

Z uznaniem podnosimy, że wielu naszych lekarzy, nawet zdecydowanych zwolenników przerywania ciąży, w zrozumieniu ujemnych stron tego zabiegu każe przestrzegać i odwodzić od niego kobiety. Jest to wszakże za mało, a w praktyce kończy się na tem, że lekarz ustępuje, albo kobieta interesowana udaje się do innego, który bez żadnej trudności spełnia jej życzenie. I to właśnie — że znajdą się zawsze lekarze, którzy „zbyt hojnie szafują wskazaniami", owszem nawet tacy, którzy specjalnie się tą gałęzią praktyki zajmują i dzięki którym „nadużycia lekarzy są na porządku dziennym" — utrudnia niezmiernie naprawę sytuacji. Zastrzegamy się oczywiście przed uogólnianiem tego zarzutu; zanadto cenimy stan lekarski, by z powodu nadużyć pewnych jego członków rzucać choćby cień na ogół. Zarzut powyższy, w słowach czasem niezwykle ostrych, podnoszą u nas i zagranicą sami lekarze przeciw swym niegodnym kolegom, a fakt ten może być tylko chlubnem świadectwem dla świata lekarskiego, że potępia ów proceder i wyrzeka się go publicznie.

Inna rzecz, że na cały stan lekarski spada pewna część odpowiedzialności, co przyznają niektórzy lekarze, dlatego że nie stanął twardo na gruncie zasad. I dopóki tego nie uczyni, póki otwarcie nie uzna niedozwoloności przerywania ciąży, protesty powyższe nie pomogą, a nadużycia róść

[1]) *Sexualethik u. Medizin*, j. w., str. 39.

będą w dalszym ciągu. Na taki stanowczy krok czekamy też, zwłaszcza ze strony lekarzy katolickich i tych, którzy w zawodzie swym zajmują najbardziej odpowiedzialne stanowiska, w których ręku spoczywa szkolenie przyszłych pokoleń.

Nie mają zresztą czego bronić. Wobec wyroku etyki i zgodnie z rozwojem wiedzy i postępem sztuki lekarskiej, o ileż słuszniej byłoby podpisać tezę, którą dr. E. Hubert głosił na uniwersytecie w Lowanjum: „Zabicie płodu — t. zw. lekarskie, a nazwane tak zapewne przez paradoks — nie należy już do dziedziny sztuki leczenia; ale jest to egzekucja, a do roli kata czujemy niezwyciężony wstręt. Zostańmy lekarzami". [1])

[1]) *Le Devoir du Médecin,* j. w., str. 66.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Nad głębiami „Wesela“

(Tragedja rzeczywistości polskiej).

(Dokończenie).

10. Władza i Wiara.

Wesele jest najbardziej politycznem dziełem Wyspiańskiego. Więcej też, niźli inne utwory, dostarcza materjału dla rekonstrukcji tego ustroju państwa czy porządku życia narodowego, który wielki artysta w duszy jako swój ideał piastował. Niewątpliwie też poczytywał go za jedynie zdolny do podjęcia wielkich zadań dziejowych i zapewnienia narodowi rozkwitu.

Ideał ten został wysnuty z duszy i natury chłopskiej, pojętej jako praźródło żywiołowej mocy życia w narodzie. Dusza chłopska rysowała się w oczach Wyspiańskiego nietylko jako rzeczywistość dnia dzisiejszego, lecz przedewszystkiem jako „echo prawieku“. Objawia ona współczesnym prawdę i moc twórczą tego średniowiecznego piastowego królowania, co Polskę zrodziło do historycznego bytu.

Dusza chłopska nieskażona, taka jak Czepca w *Weselu*, ma swoje pewne podstawowe właściwości, oprócz samej chęci i mocy życia. Jest gwałtowna, namiętna, mściwa, jak piastowski prototyp szlachty złotego wieku. Prototyp, który jeszcze nie zwyrodniał, który mści się i nienawidzi za swoją krzywdę, ale nie pragnie ani przywileju, ani nawet równości, lecz tylko sprawiedliwości. Chłop-Czepiec ma bardzo silne poczucie hierarchji społecznej i swojego w niej miejsca nie lekceważy. Jest świadom i dumny ze swojej mocy, wie, że to podstawa narodowego bytu. Jednak zara-

zem wie i uznaje, że ponad nim musi i powinna działać hierarchja sprawująca władzę. Potrzebę istnienia tej hierarchji żywo odczuwa. Chce i pożąda mądrej władzy, któraby go prowadziła i wskazywała mu zadania.

Władzy zaś chłop Czepiec, jak niczego wogóle, nie rozumie połowicznie. Dla niego władza to nie parlamentarny premjer, albo szlachecki król elekcyjny, bardziej zależni od rządzonych, niźli rządzeni od nich. Dla chłopa - Czepca, władza, co „mu się do duszy nada", co mu w duszę niezapomniana zapadła, to ta właśnie, co ręką twardą, nieugiętą, niekiedy nieubłaganą aż do okrucieństwa, wbrew woli plemieńców wykuwała nowe polskie królestwo z bezkształtnych złomów przedpaństwowego prabytu.

Jeżeli w pojęciu chłopskiem o władzy państwowej są także jeszcze pewne tony inne, uczuciowo głębsze i łagodniejsze, to w każdym bądź razie nie sięgają one ku zwyrodnieniom tego pojęcia z okresu Rzplitej szlacheckiej. Według bowiem teorji, którą wysnuć można lub wyczuć w utworach Wyspiańskiego, okres szlachecki, chociaż szeregiem wielkich czynów dziejowych długotrwały narodowi rozkwit zapewnił, zarazem jednak skaził duchowo warstwę rządzącą, w porównaniu z piastowem praźródłem kmiecem, z którego ona wyszła. Wyszła z wolnych rodów kmiecych, służbą rycerską i nadaniami przewłodyczanych, ale i odeszła od nich: pychą powodzenia duchowo pchnięta ku krzywdzie wobec braci chłopskiej, ku nieposłuszeństwu i nieposzanowaniu wobec władzy królewskiej. Od tego zatem fatalnego zwichnięcia moralnego w wybujałym na szczyty dziejów narodzie, Wyspiański, poprzez duszę chłopską, powraca do zdrowej podstawy piastowskiego pnia. Tam, od Bolesławów twardej ręki aż po Łokietka i Kazimierza, powstaje i wyrabia się zwolna ów ideał średniowiecznego chrześcijańskiego władcy, który się streszcza w tytułach: *dominus et haeres Poloniae*, oraz Pana Miłościwego.

Pan i dziedzic Polski dzierży swą nad nią i jej ludem władzę nie z woli i upoważnienia jakiej bądź istoty ziemskiej (boć i niewiadomo co za moc ziemska Piastów na tronie polskim osadziła), ale z przyrodzonego swego prawa i przedewszystkiem z Bożej Łaski. Łaska na Pomazańca spływa

w specjalnym „ósmym sakramencie" (koronacyjnym) władzy. Moc tego „sakramentu" jest w duchu tak wielka, że chylą się przed nią wszystkie głowy w kraju, niezależnie od materjalnych środków, jakiemi władca rozporządza. Może on się znaleźć bezbronny gdziekolwiek pośród swoich poddanych, więcej nawet, ścigany od wrogów, może się zgłosić o ratunek i obronę, a jeśli tylko da poznać, że jest Pomazańcem sakramentu władzy, „panem i dziedzicem" Królestwa, to wszystkie serca znajdzie otwarte, wszystkie ramiona sprężą się do walki, wszystkie głowy gotowe będą polec w prochu bitew w obronie Majestatu, w obronie Świętości Władzy. Władza z Bożej Łaski może ograniczyć tylko sama siebie w nadanych przywilejach. Dopóki tego nie uczyniła i tam, gdzie nie uczyniła, każde jej Słowo-Rozkaz ma taką moc, której każdy poddany królestwa obowiązany jest „słuchać ślepo, wierzyć święcie!"

Władza z Bożej Łaski, władza uświęcona, musi być odbiciem ziemskiem zasadniczych właściwości Boskich Trójcy Świętej. Chłop tedy polski, jako głośnik, „ech prawieku", chce nad sobą władzy potężnej, mądrej, sprawiedliwej, miłościwej... Sądzi, że sprawowanie nad nim takiej władzy jest nietylko prawem, ale i obowiązkiem wyższych szczebli hierarchji społecznej. Wcieleniem władcy dla chłopa-Czepca jest mocarz, co „bary miał, jak chlebny piec", tak głęboko mądry, jak tylko „w setne laty" nim mógł zostać, a tak miłościwy, że „złote podkowy" szczęścia ludzkiego rozsiewa naokół. Takiego władcy, któregoby się bał, któregoby słuchać musiał, a kochać miał za co, chłop pragnie, o takim marzy, do takiego dąży. Ponieważ szlachta polska od takiej postawy wobec chłopa daleko odbiegła, a króla uczyniła marjonetką, przeto zgubiła kraj, utraciła miłość ludu i poniosła z jego ręki pomstę, posuniętą aż do zbrodni (Szela).

Tego rodzaju stosunek państwowej władzy absolutnej do poddanych mógł być do pomyślenia (i zbliżał się niekiedy do rzeczywistości w średniowieczu) jedynie dzięki szczególnej potędze ducha religijnego: ducha wiary, zaufania, miłości synowsko-ojcowskiej między stanami a władcą, braterskiej zaś między samemi stanami. Skażoną, późną postać tych uczuć w życiu państwowem polskiem ujawnia za-

wołanie „bracia szlachta"; starodawny (dopiero ku końcowi Rzplitej szlacheckiej przez *serenissimusa* - najjaśniejszego rugowany) tytuł Miłościwego Pana i Pani; a także obrzęd całowania ręki królewskiej przez wszystkich senatorów i posłów przy otwieraniu sejmów; oraz inne jeszcze znamienne rysy i właściwości staropolskiego publicznego obyczaju.

Wiara — to integralna część duszy chłopskiej, tak od niej nieodłączna, tak z nią zrośnięta, tak z samego rdzenia jej wynikająca, jak wszystkie inne tej duszy przepotężne instynkty. Tylko, że wiara duszę chłopską odrywa od ziemi i chleba i zwraca ją ku samej racji istnienia, ku samej Istocie Najwyższej. W łączności z tą Istotą dopiero wyzwala całą pełnię mocy piastowskiej przy wykonywaniu wielkiego państwowego czynu. A jak przesiąknięta jest tą wiarą chłopska podstawa społeczna życia, tak też tem bardziej ogarnięte nią być muszą szczyty społeczne z władcą na czele. Toteż w średniowieczu często, również w Polsce, widujemy świętych na tronach. Wernyhora jest Niebios obywatelem, od ich Królowej manifesty do narodu odbiera, z Archaniołem szyki bojowe sprawia. Choć jednak ziemskiej władzy Boży Pomazaniec, a nieba wysłaniec, Wernyhora z Gospodarzem chaty weselnej tak miłościwie rozmawia, że w tej cudownej rozmowie wyraża i osobisty swój majestat i szacunek dla młodszego we władztwie brata i uznanie dlań za to, iż na weselu rzekomo ponownie nawiązał nić braterstwa stanów, zerwaną przez dzieje... Naradza się Wernyhora przyjaźnie z wodzem żyjącego pokolenia, wyjaśnia, tłumaczy, daje wskazówki, wreszcie wzywa i rozkazuje — jak władca, ale i ojciec miłujący.

Jeśli tak się przedstawia Wyspiańskiego ideał państwowo-społeczny w jego statystycznem, nieruchomem przecięciu, to pełnego wyrazu dosięga on dopiero w chwili przeprowadzania wielkiego dziejowego czynu. Czyn taki poczynać się musi naprzód długo w skupieniu ziemskiej mądrości stanu pod „błękitną łuną" Bożego natchnienia. Potem musi być jako królewskie Słowo-Rozkaz, podany do wiadomości narodu, musi jego serce przeniknąć i poruszyć wolę. Musi zostać podjęty wszystkiemi siłami narodowego pospo-

litego ruszenia mózgów, ramion i serc w wielkim powszechnym porywie wiary i posłuszeństwa, prowadzonym przez królewskiego ducha-orła. Wtedy taki duch-orzeł „z chorągwią i hufcem sprawy, z ryngrafem Bogarodzicy" zwołuje „sejmowe stany" i „na sejmie się pojawi Sam w stolicy". Wtedy uderza w Złoty Róg czynu, nim powołuje bratni zbór a naród tak poprowadzony „pochwyci kopije" i poprzez każdą potęgę wrogą przejdzie.

W Polsce aż po Wiedeń króla Jana cały olbrzymi rozmach dziejotwórczy narodu wyładowuje się i wypełnia w wielkich czynach tego typu, rozżarzonych od wnętrza dusz świętym płomieniem Wiary, prowadzonych docześnie przez królewskie duchy-orły. Dopiero od XVIII wieku dziać się poczyna inaczej. Panujący stan, porwany pychą i samolubstwem, siebie wyniósł ponad wszystkich i ponad samo państwo. Lud pogrążył w niewoli, miasta odarł na dobro dostaw zagranicy i zastąpił żydami. Koronę wyzuł z wszelkiej władzy, jej zaś symbol święty po trzykroć sponiewierał: sprzedając raz w niegodne ręce pierwszego Sasa, nie broniąc przed gwałtem ze strony drugiego, osadziwszy wreszcie, po raz ostatni, na pudrowanej peruce przyjaciela carycy. Zarazem zniszczył sam sejm suwerenny; uprzednio weń wtłoczywszy istotę państwa, a ponad byt jego przenosząc swój przywilej stanowy. Toteż ostatni wielki czyn Polski szlacheckiej, Konstytucja 3-ego maja, nosi już odmienny od wszystkich poprzednich charakter. To nie skojarzenie organiczne sprawy narodowej ze sprawą Bożą, które cechowało wszystkie poprzednie wielkie czyny dziejowe Polski. To tylko (umożliwiony i utorowany przez długotrwałą rosyjską protekcję Rady Nieustającej) potężny i piękny odruch zbiorowego instynktu samozachowawczego. To wybuch czysto ziemskiej siły witalistycznej, niewiele mniej świecki i materjalistyczny, niźli współczesna rewolucja we Francji. Nie zmienia tej postaci rzeczy wotum kościoła Opatrzności, bo trzeba było czegoś więcej, czegoś, co nie było do pomyślenia w owym czasie, co przerastało ówczesne siły duchowe narodu. Trzeba było wielkiej, świadomej, narodowej pokuty za przeniewierstwo wobec olbrzymich zadań dziejowych, za zbrodnię stanu, który sam siebie z najszczytniej-

szych szlaków bohaterstwa i duchowej wielkości strącił w nizinę saskiego „jedz, pij i popuszczaj pasa"; a państwo zepchnął na poziom „karczmy zajezdnej", co nierządem stała... Nie dorósł przeto wielki czyn narodowy 3-go maja do poziomu, którego wymagała chwila dziejowa. Nie starczyło wiary, nie starczyło bohaterstwa, nie starczyło nadewszystko orlego serca i orlego lotu myśli królewskiej, by wygrać kampanję roku 1792. Jak nie starczyło później odwagi na pogrom Moskwy w r. 1831.

Nie przyjęła przeto Opatrzność narodowego *votum*... Nastał straszny wiek wielkiej pokuty... Długim sznurem powiozły kibitki szlacheckich synów złotej wolności do mroźnych tajg, do taczek i pod baty.

11. Skarb duszy chłopskiej.

Wyspiański przeczuwał, że straszliwy wiek wielkiej pokuty już się ma ku końcowi, że noc niewoli i materjalizmu przemija, że czas jest przedświtowy. Więc pragnął, aby naród, przez pokutę oczyszczon, wstał z martwych o świtaniu, od grzechu dziejowego wolny. Pragnął, ażeby się naród odrodził od swego piastowego pnia, ażeby się wyrzekł błędu, ażeby w braterstwie rodziny narodowej połączył znów szlachcica i kmiecia. Pragnął, ażeby z tego pnia odrosła twórcza moc i mądrość uświęconej władzy piastowskiej; ale zarazem wątpił, by szlachcic - inteligent taką władzę godnie i uczciwie sprawować jeszcze zdołał. Czy te idee absolutyzmu lub półabsolutyzmu (stanowe sejmy średniowieczne), przeniknięte wiarą, miłością i nadzieją, a mające stanowić trzon duchowy państwowej organizacji narodu, były utopją? Nie były nią w średniowieczu, natomiast wtedy, gdy pisał Wyspiański *Wesele*, były nią o tyle, że świat znajdował się pod duchowem jarzmem materjalizmu, biurokratyzmu, lub demagogji demokratyczno - parlamentarnej. Ale utopją zdawała się wtedy i sama odbudowa państwa polskiego. Dziś natomiast nastawienie umysłów, odziedziczone po wieku XIX, okazuje się, nietylko w Polsce, bezwzględnie niedorosłem do zadań chwili dziejowej. Zarysowała się potężna dążność do likwidacji ustrojów wolnościowych na rzecz absolutyzmu, sięgającego głębiej niż kiedykolwiek w materjalne podstawy

bytu zbiorowego, bo w życie gospodarcze. Miażdżący dla rządzonych i dla rządzących ciężar duchowy takiej wszechwładzy cóż może uczynić znośnym i dobroczynnym, jak nie współpraca wiary i uczuć religijnych w życiu publicznem, jak nie ponowna, głęboka chrystjanizacja władzy i państwa? Nie sądzę, ażeby odrodzeńczy ruch religijny przypadkowo i bez logiki psychologicznej towarzyszył współczesnemu kryzysowi ustrojów wolnościowych. Ponoć wkraczamy przecie w nowe średniowiecze. Poprzednie było epoką nietylko żelaznej prawicy rycerskiej, ale i absolutyzmu ducha. Odrodzić się on może z piastowego skarbu duszy chłopskiej... Może strącić fałszywe bóstwa komunizmu i hitleryzmu — nietylko w Polsce...

12. Wizja i rzeczywistość.

Wyspiański dał sobie i narodowi w *Weselu* odpowiedź na pytanie, jak zachowałoby się współczesne mu pokolenie polskie w obliczu świtu niepodległości? Czy dorosłoby duchowo do podjęcia zadań, które świt taki narodowi narzucić może? Odpowiedź wypadła tragicznie. Ani inteligencja, ani lud z r. 1900 do zadań tych nie dorastały. Dusze ich są, jak ów „róży krzak", niepozbawione potężnej jeszcze, nieświadomej, żywiołowej mocy życia, ale spowite w chochoł słomiany dążeń odśrodkowo-egoistycznych. To „zaklęte słomiane straszydło", w którem krzak róży tętni wprawdzie żywą krwią serdeczną, ale i broczy tą krwią, wprowadzić ma wyzwolony, a wciąż jeszcze niewolny, naród we świt wolności. Ono go zaczaruje przyziemną muzyczką wegetacji, miast złotym dźwiękiem rogów z pod Grunwaldu, Pskowa i Kłuszyna znów wynieść na wirchy dziejów. Jedyna nadzieja, że sen nie przejdzie w Noc i Śmierć, to żywy (choć zarazem półmartwy w chochołowym uścisku) „róży krzak". Z niego może coś jeszcze wielkiego odkwitnie — na drugą wiosnę...

Tak mrocznie przedstawiała się przyszłość narodowego wyzwolenia Wyspiańskiemu na podstawie fizjognomji duchowej weselników z r. 1900. Dziś, po latach trzydziestu, czas odpowiedzieć na pytanie (na które wówczas sam Wyspiański odpowiedzieć by nie mógł): czy rzeczywistość histo-

ryczna, zapoczątkowana w 14 lat później, przewidywaniom i przeczuciom Wyspiańskiego odpowiedziała? Czy zwłaszcza w odbudowie państwa polskiego, oraz jego dalszym rozwoju, pierwsze miejsce zajął dźwięk Złotego Rogu zmartwychwstania w duchu do wielkiej i świętej misji dziejowej? Lub też przeciwnie, w procesie tym główną ma zasługę podświadoma moc witalistyczna krzaka róży, skrępowana szpetnym chochołem starych grzechów, nierówno pulsującą w takt jego niezdarnych, a tak potężnie czarujących skrzypek?

Omylił się Wyspiański o tyle, że pokolenie, na które patrzał i które potępiał, weszło w krwawy przedświt wolności, z tą samą wprawdzie rdzenną budową psychiki, ale z pewną odmianą doraźnej postawy duchowej. Szereg silnych wstrząśnień, jak wojna japońska i rewolucja rosyjska, następnie zaś naprężenia międzynarodowe i wojny, niemal nieustanne od r. 1907 i zwłaszcza 1909 roku, sprawiły, że inteligencja polska nieco odwróciła się od dekadenckiej literatury. Natomiast żywszą poczęła zwracać uwagę na coraz bardziej interesującą rzeczywistość. Toteż w r. 1914 inteligencja polska zachowała się inteligentniej, niźli to *Wesele* przedstawia w akcie trzecim. Owszem, poczęła się nawet krzątać żywo po chacie, uprzątając i przygotowując to i owo, na prawo i na lewo, na przyjęcie, — coprawda nie Wernyhory, bo w niego z całego pozytywistycznego serca nie wierzyła, — ale przynajmniej tego „jutra — wielkiej tajemnicy", które zdawało się budzić nadzieję. Inna rzecz, że tym przygotowaniom (raczej gospodyni, niźli gospodarza) daleko było do skali duchowej już nie Wiednia, ale choćby tylko Racławic. Dość, że inteligencja wstała i wyszła na spotkanie krwawego przedświtu, jak mogła i umiała, świadomie i z dobrą wolą, przygotowana po swojemu do podtrzymania pulsu życia w „krzaku róży" podczas wichrów wielkiej wojny. Wzorem i odbiciem zachodniego nacjonalizmu, oraz klasowości, nastąpił przytem podział na dwie grupy, dwa łożyska „ideowe", a zczasem — dwie „orjentacje". Odpowiadały one nietylko dwom subjektywnie jednostronnym nastawieniom umysłów, ale wręcz wrodzonym skłonnościom dwóch odmian psychicznej rasy polskiej.

Odmiana „aktywistyczna", romantyczna, rewolucyjna,

rzutka, wybuchowa, zawzięta, niecierpliwa, nieprzezorna, odważna za siebie i za innych, atawistycznie stanowa, wolnościowa i równościowa, w nowych zaś warunkach równie łatwo klasowa, — odmiana ta przyjęła „orjentację" ludową, niepodległościową, przeciwdespotyczną, zachodnią i przeciwmoskiewską. Ta odmiana psychiki polskiej, dziedziczka porywistości staro-szlacheckiej z powstaniami włącznie, rzuciła na szalę krwawego przedświtu zapał, impet, wiarę w Polskę i wiarę w wodza, oraz niepohamowany w namiętności swej, odważny aż do straceństwa, od rachub politycznych raczej daleki, lub traktujący je subjektywnie — orężny czyn. Zrzekała się, w pierwszej godzinie krwawego przedświtu, zachodniej połowy kraju, za rozkosz bicia Moskali pod hasłem: „by choć jednego z zaborców zwalczać!" Wydała z tego swojego fanatycznego czynu szereg pięknych pereł ułańskiej lub lisowczykowej fantazji, jak szarżę rokicką, Lisa-Kulę i Bułak-Bałachowicza. Aktywistyczna grupa inteligencji polskiej natychmiast przerzuciła się z orjentacji zachodniej w wielkopolską, gdy tylko kontur przyszłości na tyle wynurzył się z przedświtu, że można było rozróżnić już pobitą Moskwę od jeszcze niepobitych Niemiec. Za tę „zmianę frontu" powędrowała bez wahania ta grupa do Szczypiorna, Marmaroszu, Magdeburga.

Pasywistyczna i pozytywistyczna psychiczno-rasowa odmiana inteligencji polskiej, praktyczna, konsekwentna, cierpliwa, wytrwała, chłodna, trafnie umiejąca ocenić swój oraz cudzy interes, racjonalistyczna w skłonnościach umysłowych, od wojaczki wprawdzie się nie usuwała, ale też bynajmniej nie paliła się do niej. Temperament spokojniejszy i przewaga refleksji nad uczuciowością posunęły „pasywistów" w kierunku orjentacji „narodowej", *de facto* ochronnej dla klas posiadających, orjentacji zjednoczeniowej, wschodniej, przeciwniemieckiej.

Ta grupa inteligencji polskiej, duchowo spokrewniona z mieszczańskim racjonalistycznym patrjotyzmem 3 maja, rezygnowała f a k t y c z n i e nietylko z Litwy i Rusi, lecz nawet ze Lwowa, dla ideału „zjednoczonej z dostępem do morza" oraz dla zasady: „niepomagania żadnemu z zaborców". Natychmiast wszakże, gdy tylko kontur przyszłości

na tyle wynurzył się z krwawego przedświtu, że można było rozróżnić słabnięcie Moskwy, akt zaś 5-go listopada wprowadził sprawę polską na grunt rzeczywistości, grupa pasywistyczna wszczęła wytężone zabiegi dyplomatyczne na zachodzie o charakterze już niedwuznacznie wielkopolskim.

Owe dwie grupy inteligencji polskiej odpowiadały w pewnej mierze zachodniemu podziałowi na nacjonalistów i klasowców. Wszakże, o ile chodzi o „orjentacje" wobec krwawego przedświtu, zostały powołane do życia logiką konieczności witalistycznej, działającej w danych warunkach. Orjentacja integralnie jednostronna była naturalna, możliwa i użyteczna dla Czechów. Dla Polski natomiast, rozdartej pomiędzy strony walczące, których zwycięstwa niepodobna było przewidzieć, z początku byłaby ryzykowna, następnie zaś nawet szkodliwa. Zabrakłoby bowiem presji na mocarstwa zachodnie, w postaci obaw o pobór polskiego rekruta na rzecz Niemiec. Aktywistyczny impet i pasywistyczna rozwaga, miecz i dyplomacja, uzupełniły się przeto i wzajemnie wsparły, wytwarzając podświadomą witalistyczną harmonję. Nawet fakt, że liczebna większość narodu zachowała się według recepty pasywistycznej, wcale między tymi czynnikami równowagi nie narusza; gdyż po pierwsze do bierności zawsze łatwiej jest masy nakłonić niż do wysiłku, a powtóre, taki właśnie rozkład liczebny był nieodzowny dla należytego dynamicznego zharmonizowania współpracy obu prądów życia w łodydze „krzaka róży".

O ile zaś o trafność przewidywań chodzi, to historja im obu zarówno przyznała rację, tem samem jednak przewyższając oczekiwania każdego z nich. Prąd pasywistyczny „stawiał" na Rosję przeciwko Niemcom, poświęcając f a k t y c z n i e nawet Lwów dla dostępu do morza; jednak dzięki klęsce Rosji dało się dla Polski odzyskać i dostęp do morza i Lwów. Prąd aktywistyczny „stawiał" na Niemcy, rezygnując z dzielnicy pruskiej dla szerokich widnokręgów ukraińnych; jednak dzięki klęsce Niemiec dało się odzyskać dla Polski równocześnie i Pomorze i Wilno i Wołyń. Tajemnica świtu wolności polskiej zawarta została w równoległości pogromu obu zarówno czarnych orłów, które rozszarpały Rzplitę szlachecką, przy równoczesnem zestrzeleniu orła trzeciego.

13. Trzeci szturm.

Jeżeli jednak taka podświadoma witalistyczna harmonja, pomiędzy prądami życia w łonie inteligencji polskiej, wystarczała jeszcze na przedświcie, to zawiodła i poczęła na kraj broczyć krwią z rozdarcia partyjnego, natychmiast po wzejściu słońca wolności. Obie bowiem inteligenckie odmiany psychiczne rasy polskiej, temperamentowo i usposobieniowo wzajemnie się nieznoszące, obie grupy współzawodniczących interesów, o świcie wolności skoczyły sobie do oczu z taką zajadłością, jakiej nie przewidział Wyspiański w *Weselu*. Zły duch fakcji siłą opętania przerósł tu czartoryszczyków i braniczczyków XVIII stulecia, a nie ustąpił im wiele potęgą rozkładową. Natomiast w dziejowej rzeczywistości zabrakło zupełnie miejsca dla kosynierów racławickich Czepca, zastąpionych przez inteligenckie legjony.

Nastąpiło jednak wkrótce prowizoryczne zawieszenie broni, podział łupu władzy pomiędzy naczelnikiem a premjerem, pierwszego — „na baczność", drugiego — „pokłon w pas" oraz dwustronna apelacja obojga inteligencyj, prawej i lewej, do „suwerennego", który miał przyjść.

Jakoż przyszedł wkrótce, ale przekazanym mu w owej chwili złotym rogiem, na którym inteligencja nie umiała zaintonować zgodnego hymnu zmartwychwstania, — nie zainteresował się wcale. Przedsięwziął co wiedział i umiał. Jednym głosem „większości" ustroił się we wiechę z pawich piór reformy rolnej. Boć jeśli Chochoł z pomiędzy obojga inteligencyj wzywał suwerennego, a już tymczasem dojrzałego Jaśka:

Tańcuj, tańczy cała szopka
a cyś to ty za parobka?

toć nie mógł on inaczej odpowiedzieć jak tylko:

Przeciem druzba, przeciem druzba
a druzbie to w copce służba.

Dobrze jednak uczynił Jaśko, trafnym instynktem wiedziony, strojąc się w te pawie pióra. Owa „reformatorska" uchwała stanowiła witalistyczny odpowiednik hymnu:

Juz świtanie, juz świtanie, —
tu trza bydłu pasze nieść,
urznąć sieczki, warzyć jeść!...

Jedynie tylko z zaspokojenia trojakiej żądzy pierwotnej: ciała, żeru (jak w *Weselu*), oraz ziemi (jak w rzeczywistości 1919 r.) mogła zracjonalizowana latorośl Czepcowego pnia zaczerpnąć tę żywiołową moc, na której wsparła się i ocalała powstająca z grobu Umarła.

Narazie jakby znieruchomiała z przestrachu, gdy pośród walk zbrojnych na kresach i nieustalonych granic, miasto zewu miłości ku powracającej, rozległ się chrapliwy poryk wiecowy o „gronta" z odszkodowaniem lub bez, o „upaństwowienie lasów", o fornalskie „umowy zbiorowe", o „zdobycze socjalne". A odpowiedziały mu niemniej zajadłe filipiki sejmowe w obronie najzrozumialszej w tem środowisku „świętości" — stanu posiadania. To był Pierwszy Czar.

Wtem od rozstaju na wschodzie zadął gwałtowny wicher i zatargał czapką z pawich piór. Tu wizja Wyspiańskiego stała się znów o tyle niedokładna, że nie przeczuł on wojny 1920 r., lecz tylko jakąś przerwę i wstrząs o świtaniu, dzielące od siebie dwa chochołowe czary, jeden bardziej, drugi mniej śmiertelny. Rzeczywistość można, według symboliki *Wesela*, sparafrazować tak, że pośród wichru i łuny od wschodu na podwórzec dziejowy wpadł Wicek z Wierzchosławic, bez złotego rogu i bez krawata, ale z uchwaloną już „reformistyczną" wiechą z pawich piór. Zgodnie zaś z naturą położenia nie zaintonował ponownie znanego hymnu „Juz świtanie", lecz stanął na czele rządu obrony narodowej i odparł czerwony szturm na Warszawę, trzeci z pośród przepowiedzianych przez Wernyhorę na okres rozbiorowy.

Obok samego wznowienia niepodległości polskiej jest to jedyny wielki czyn ogólno-światowej doniosłości, dokonany przez nową Polskę. Z natury sytuacji, oraz stanów psychiki narodowej wynika, że mógł to być jedynie witalistyczny akt samoobrony czynnej. Brakowało mu głębokiego porywu religijnego, jaki cechował naprz. obronę Częstochowy w czasie szwedzkiego potopu. Śliczny i wzniosły epizod księdza Skorupki jest zbyt minjaturowy, by mógł Jasną Górę ks. Kordeckiego zastąpić. Akt samoobrony czynnej 1920 r. rozwinął się w następstwie myśli kierowniczej ki-

jowskiej, której szerokiego polotu odmówić nie można, której natomiast chochołowa rzeczywistość „rośmiała się w nos", z powodu błędnej kalkulacji.

Pomiędzy tym pierwszym i dotąd jedynym wielkim czynem dziejowym nowej Polski, odparciem trzeciego szturmu na Warszawę, a ostatnim wielkim czynem majowym Rzplitej szlacheckiej zachodzi pewna odwrotna analogja ich duchowej ułomności. Niedostawało im obu żaru wewnętrznego, wiary serc religijnej, co góry przenosi, bo płynie z bezpośredniego kontaktu dusz z Źródłem Bytu... Przysługiwała im przeważnie tylko świecka miłość ziemi ojczystej i wiara świecka w światłość rozumu ludzkiego. Oba te dzieła nosiły charakter przeważająco zbiorowy, jako akty instynktu samozachowawczego narodu, a mało noszą na sobie piętna i piękna indywidualnego kierownictwa. Po konstytucji 3-go maja zawiodło pogotowie i zdolność bojowa narodu w wojnie z Moskwą. W roku zaś 1920 nie zawiodło kierownictwo wojskowe, natomiast zawiodła zdolność polityczna zarówno wobec zadań międzynarodowych, jak później również wewnętrznych.

14. Drugi Czar.

Nie mogło też inaczej być, bowiem wszystkie żywe siły i ośrodki świadomości politycznej w narodzie, zarówno obie inteligencje, pasywistyczna i aktywistyczna, jak potężne liczbą zastępy Jaśka od pawich piór (nie mówiąc już o klasowcach szkoły Marksa), wyobrażały sobie państwo przedewszystkiem jako niezwykle dojną krowę, oraz ogromną „malowaną skrzynię", pełną złotych podków do wzięcia. Władzy państwowej nie wyobrażały sobie inaczej, jak tylko demokratycznie i wolnościowo, ludowo i narodowo, albowiem w ten sposób najłatwiej mogła ona przypaść zainteresowanym i wyjmować lub ochraniać ich złote podkowy. Wszystko zatem, co politycznie w państwie żyło, to padało na twarz przed liczebną potęgą ciemnej masy, przed wiecem wyborczym, od wewnątrz opanowanym przez agitatorów, a na zewnątrz ujawniającym swoją duchową zawartość i wartość w okrzykach: „Precz, hańba, niech żyje!"

Jest to ten właśnie piedestał majestatu państwa i oj-

czyzny, do którego swój stosunek określa Czepiec w *Weselu* w następującym ustępie:

A to było przy wyborze,
w sali w tym sokolskim dworze: —
po co sie bestyjo darła
a to tak z całygo garła: —
było, jak go hukne w pysk,
myślołem juz, ze sie stocył,
on sie ino krwiom zamrocył,
a nie upod, bo był ścisk.

Niestety! O rzeczywistem świtaniu wolności nad polską chatą weselną nie było w niej już wcale starego Czepca z kosynierami. Był tylko podstarzały tymczasem Jaśko. Więc (niemal jak za Sasów) w nowo powstającem państwie polskiem władza nietylko przestała (lub nie zaczęła) być świętością, lecz tarzała się w pyle ulicznym jak piłka nożna, podrzucana władczemi kopnięciami hyjen wyborczych, czy piekarsko - fornalskich możnowładców. Nie dziw, że ten Drugi Czar, który zapanował nad Polską po r. 1920, cały wypełniony został rytmem aż nadto swojskim, aż nadto nierównym, aż nadto usypiającym duszę, krwawiącym, jak rana świeża: „rytmem" czy zgiełkiem gromady rozżartej między sobą o postaw czerwonego sukna, który pomiędzy nią spadł nagle, a zdawał się nadspodziewanie okazały, wielki.

Tak dalece odbywało się to wszystko pod złowieszczym czarem podświadomości, tak dalece nikt w kraju nie był w stanie pomyśleć nawet, iż ten koszmarny taniec egoizmów nie jest stanem etycznie uprawnionym i życiowo normalnym, że gdy nareszcie znalazł się ktoś od innych mocniejszy, kto śmiał i umiał władzę z ulicznego prochu podjąć i zabrać sobie, to i on jednak nie śmiał i nie umiał wyciągnąć stąd konsekwencji: nie przebudował form ustrojowych państwa podług nowego umiejscowienia jego władczej osi.

Mocnym jest „róży kwiat" polskiego życia, jeśli pomimo tak zabójczego skrępowania, nietylko przetrwał długi rok taneczny Chochoła, lecz przez szereg lat zdawał się rozwijać i krzepnąć. Wszystko jednak ma swój kres naturalny. Okazało się wkońcu, że nieustanne dreptanie w obrębie partyjnych, koteryjnych, osobistych podwórek,

interesów, że powszechne, rozpaczliwe, beznadziejnie uparte, wszechstronne załganie w demagogji nie zastąpią ani międzywarstwowej solidarności społecznej, ani solidarności społeczeństwa z państwem, ani uświadomienia społeczeństwa o sprawach państwa, ani śmiałego, mocnego, twórczego czynu władzy. I podobnie też nie zastąpi ciasna trzeźwość pozytywistyczna wiary, nadziei i miłości, poświęcenia, posłuszeństwa i karności — wobec Boga, narodu i państwa.

Atmosfera walki wszystkich przeciwko wszystkim nie stanowi wprawdzie *privilegium odiosum* Polski. Nieinaczej jest w wewnętrznem i międzynarodowem życiu mocarstw zachodnich, silniejszych, zasobniejszych, bezpieczniejszych niźli Polska. Jeśli objawy te występują u nas w sposób szczególnie jaskrawy i niebezpieczny, to głównie w znaczeniu stosunkowem, wobec słabości i ubóstwa, stawiającego pierwsze kroki w nowem życiu, państwa. W większości krajów wciąż jeszcze zmaterjalizowana, zalękniona, bezwładna inteligencja pokornie służy suwerennej woli potężnej ilościowym ciężarem masy. *Dix millions d'ignorances, qui ne font pas un savoir* — wyznaczają szlaki dziejowe z głębi swej wszechwładnej ciemnoty. Zmaterjalizowany intelekt techniczno-finansowy, rakietami ku gwiazdom się wyrywający, na ziemi u własnych stóp grzęźnie w trzęsawisku zagadek, od których zależy bezpośrednio kwestja bytu człowieczeństwa i cywilizacji, ale o których wie tyleż szewc, co i profesor, stający razem u urny wyborczej.

Tęgo gram, tęgo gram:
będą tańczyć cały rok!...

Ten długi rok dziesięcioletni zdaje się już jednak zbliżać ku końcowi; szarzeje, chłodnieje i wkracza w nowe listopady. Dziesięcioletni dzień wolności, spędzony w chochołowem spowiciu, pod takt dusze usypiającej muzyczki, poczyna jakby zamieniać się w nowy zmierzch. Ponad wszelką wątpliwość okazuje się w Polsce, jak i we świecie, że sama tylko moc witalistyczna krzaka róży, przez całe lata wydręczonego w chochole, nie strzyma, nie wystarczy dla zapewnienia wiosennego rozkwitu. Przeciwnie, oto poczyna dusić się, zamierać. A z rynku spraw publicznych, z łamów dru-

kowanego słowa, z weselnej izby życia polskiego i nie polskiego wciąż jeszcze nie przestaje dolatywać śmiertelnie monotonny tupot sztywno wodzących się pomiędzy sobą, w śnie zakłamania i strachu kół i kółeczek społecznych.

To ich Lęk i Strach tak wzion,
posłyszeli Ducha głos:
rozpion sie nad nimi Los.

15. Zakończenie.

Gospodarzu Jaśku! „Bez tom wieche z pawich piór", oraz przez nieudolność władczą tych, coby lud prowadzić winni, odebraliście już cięgi srogie z karzącej ręki Boskiej i odbieracie je nieustannie. Ale wiecha z pawich piór od jednego dopiero pokolenia wytrąciła z twardych rąk chłopskich kosy państwowego czynu, postrzepywała ze skałek proch. Jeszcze nie zarósł głęboko trawą skarb piastowy duszy chłopskiej. Odrzućcie pawie pióra, odgrzebcie, odkopcie, odnajdźcie skarb szczerozłoty, powróćcie go waszej i naszej zmartwychpowstałej Matce... Pomóżcie rozwiązać róży krzak!... Pomóżcie odszukać złoty róg i wydrzeć go Chochołowi!... Pomóżcie odbudować mocarne, mądre, miłościwe, miłowane i od Boga uświęcone piastowe władztwo w Polsce... Oto bowiem zbliża się ponowna noc ponurych wichrów łkań. Po niej niewiadomo, czy nowy świt nastanie... Więc trzeba, ażeby to była biała noc bezmroczna, ażeby zmierzch przeszedł odrazu w nową zorzę, ażeby ponownie Matka Boża w koronie raczyła zstąpić na Wawelski Dwór i wskrzesić do historycznego życia nietylko ciało, ale i Ducha Narodu!...

Na Bogarodzicę - Dziewicę, polskiej korony Jasnogórską Królowę, — pomóżcie, gospodarzu Jaśku!..

To wszystko, co mam dziś do powiedzenia, jako tłumacz nieprzespanego snu urocznej polskiej nocy weselnej... I ja tam byłem, miód i wino piłem, a com widział i słyszał, w opis umieściłem... Dotąd mi w uszach dźwięczą groźne, karzące, ale i wskazujące słowa: „Miałeś chamie, złoty róg!" To jednak nie były słowa ostatnie, jakiem dosłyszał. Z głębin minionej rzeczywistości wiatr letni doniósł do moich uszu cichy szept Wiary Świętej w Miłosierdzie Boże. Szept ten brzmiał:

„A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli“.

„I przeszło już dni dwa: jeden dzień zaszedł z pierwszem wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugiem wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnijdzie, ale nie zajdzie“.

„A jako za zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na całej ziemi ofiary krwawe, tak za zmartwychwstaniem narodu polskiego ustaną w chrześcijaństwie wojny“.

Stanisław Szczutowski.

Adam Mickiewicz jako krytyk pseudo-klasyczny.[1])

III.

Wątpliwości i przełom romantyczny.

W Kownie czekały na Mickiewicza zajęcia nowe i odmienne. Rozpoczął żmudną pracę nauczycielską, o której zczasem się wyraził:

Kto akadema szczery, hołdownik Minerwie,
Żmudzkich głów obuczaniem rychło pierś oberwie.[2])

Nie ograniczając się do wypełniania obowiązków trudnych i codziennych, rzucił się także niebawem w wir studjów przeróżnych, najczęściej z obecnym zawodem swym związanych. Zwłaszcza umiłowana estetyka i nauki klasyczne grały w tem dużą rolę. Nie wolno było mu zapomnieć o uzupełnieniu egzaminu na stopień magistra, więc myślał o napisaniu rozprawy *De criticae usu atque praestantia*. Nie odrzucił współpracownictwa w wydaniu encyklopedji pisarzy łacińskich, do którego zaprosił go Jeżowski. Pisał „seksterna", których do wykładów potrzebował, powziął nawet plan napisania książki elementarnej.

Tymczasem w kółku jego przyjaciół, z którymi utrzymywał nadal bliskie stosunki, nowe prądy literackie poczęły już nurtować. Nie mogła przecież ujść ich uwagi rozprawa Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności*, ogłoszona w drugiej połowie 1818 r., ani artykuł z tego samego roku w *Dzienniku Wileńskim*, w których Lach Szyrma zachęcał do zbierania starożytnych zabytków, baśni gminnych, wróżb i śpiewów.

---

[1]) Zob. *Przegl. Powsz.* maj i czerwiec 1932.

[2]) *Wiersz do matarza.*

Jeżowski wytrwale trzymał się filologji, Kowalewski przekładał historję Heroda, ale Czeczot, choć chodził na „Tuskulana“ [1]) i żalił się, że po grecku umieć nie będzie, napisał również balladę *Arjon*, [2]) pierwszą o której pozostała wzmianka w korespondencji Filomatów, a Malewski, choć niemal w każdym liście używał zwrotów i cytatów z łacińskich poetów, czytywał także książki angielskie, *Monthly Rewiew*, a nawet zamierzył przełożyć coś z Schillera.

Na Mickiewicza nie miało to jeszcze wielkiego wpływu. Jako przyszły poeta romantyczny wybierze na bohaterów poematów rycerską Grażynę i Wallenroda, teraz nęciła go myśl napisania tragedji o klasycznym Demostenesie. Choć miał już w ręku *Bibliothèque Britannique*, [3]) leksykonu greckiego nie porzucał. Wertował *nocturna et diurna manu* Wergiljusza i Owidjusza, [4]) przekładał jednego i drugiego, a zamierzając poważnie współpracować z Jeżowskim, czytał między innemi „tłumaczenia Horacjusza, Petrycego, wiele naśladowań Kochowskiego, Kochanowskiego, Twardowskiego etc.“, przejrzał „pyszną edycję londyńską z notami Baxtera, w Wilnie jeszcze Wandenburga“. [5]) Ponieważ wykładał historję literatury łacińskiej w klasie piątej, literatury greckiej w klasie szóstej i uczył o iloczasie oraz metrach, musiał więc przeglądać jeszcze inne dzieła. Obowiązki szkolne pojmował bardzo sumiennie, początkowo bardzo się do nich zapalił, skoro wyraził w listach radość, że „metry znał na palcach“, a nawet obiecywał Jeżowskiemu napisać krótką rozprawkę o metryce łacińskiej, zwłaszcza Horacjuszowej. [6])

Niedosyć tego. Gdy szedł na lekcję historji, przygotowywał się czytaniem dzieł Strojnowskiego, Smita, Lelewela. Nic więc dziwnego, iż „od początku swego życia literackiego tyle pracy nigdy nie miał“. Zczasem wspominać będzie nie bez skargi senność w szkole, brak talentów, ubóstwo w powiecie i małe z nauczania korzyści. Zbyt surowo swój trud oceniał. Gdy wizytator szkolny Jan Budziłowicz odwiedził Kowno w maju 1820 r., zadzi-

[1]) Arch. Fil. Koresp. 1815—1823, t. I, str. 160, 161.
[2]) j. w. str. 142.
[3]) j. w. str. 110 i 165.
[4]) j. w. str. 121.
[5]) j. w. str. 195—197.
[6]) j. w. str. 121.

wił się postępami uczniów, którzy odpowiadali samodzielnie, nie trzymając się książki. Było to skutkiem zmian, wprowadzonych przez Mickiewicza. Pochwalił go i „słuchał ciekawie, nic nigdzie nie zganił". [1])

Co jednak musiało być największą troską nauczyciela Filomaty? Oczywiście nauka polskiego piśmiennictwa. Nabrał przekonania, że żaden z dotychczasowych podręczników nie nadawał się do szkolnego użytku. Nie on pierwszy wyraził tę opinję. Już niedawno zmarły Euzebjusz Słowacki przygotowywał materjały do napisania historji literatury polskiej, będącej czemś innem niż dzieło Bentkowskiego. Zachęcał także Stan. Potocki do opracowania takiej książki, podającej zasady każdego rodzaju literackiego, krytyczny rozbiór dzieł znakomitych i zapewniającej językowi wzory. „Ukształcili się" na niej „nauczyciele, których dziś znaleźć prawie niepodobna". [2])

Narazie w 1819 r. Mickiewicz pisał „seksterna", do których używał Grodka, Euz. Słowackiego, Bentkowskiego i innych, lecz planu napisania własnej „książki elementarnej" nigdy nie urzeczywistnił. Nie liczył się z nawałem zajęć, wyczerpaniem fizycznem i brakiem czasu. W marcu 1822 r. posiadał zaledwie „zarys programatu, ledwie od kilku dni zaczęty". [3])

Dlaczego nie skończył także nigdy tragedji *Demostenes*? Na wybór jej bohatera wpłynęły zapewne zarówno cześć dla wielkiego mówcy, jako obrońcy wolności, jak i retoryki pseudo-klasycznej. Wszakże nie było jednej z nich, by nie wspominała twórcy *Filippik*, nie dawała z niego przykładu i nie poświęcała mu jednego lub więcej rozdziałów. Czynili tak Piramowicz, Golański, Potocki, Euz. Słowacki. Pisano o nim poetycznie, iż „dla mocy, szybkości i gwałtowności, burzącej i zabierającej wszystko, porównać go można do nawałnicy i piorunu", [4]) oraz iż „w wolnych tylko narodach Demostenowie i Ciceronowie powstali". [5]) Całe jedno stulecie krasomówstwa zwano jego imieniem, szukano za starożytnymi przyczyn jego gwałtownej śmierci, wspominano

---

[1]) Przytoczył J. Kallenbach, *Mick. w Kownie*, Bibl. Warszawska 1911, t. I, str. 106.

[2]) St. Potocki, *Pochwały, mowy i rozprawy*, t. II, str. 501—502.

[3]) Prośba do Czartoryskiego z 22 marca 1822 r.

[4]) Piramowicz, *Wymowa i poezja*, str. 294.

[5]) Golański: *O wymowie i poezji*, str. 8.

walkę w obronie wolności. Stanowił postać wielką, tak pożądaną do tragedji, żył na tle wielkich zdarzeń i dawał sposobność do roztoczenia sprawy, zdolnej „wzbudzić namiętności, a szczególniej politowanie i przestrach". Można „go było uczynić" ofiarą nieuchronnego przeznaczenia, „niewinnością i cnotą", które stały się pastwą „prześladowania i zbrodni" lub „człowiekiem, kochającym cnotę, w trudnem położeniu między obowiązkiem i skłonnością swoją", [1]) a tragedja pseudo-klasyczna mogłaby być gotowa.

Młody poeta doszedł w tej pracy dość daleko, opracował pierwsze akty, pisał potem już czwarty, lecz żalił się na niedostatek „entuzjazmu tragicznego". [2]) Niezawodnie nietylko brak czasu był tego przyczyną. Ochłódł z pierwotnego zapału. Zwątpił w wynik pomyślny. Nie zdziwimy się, gdy sobie uświadomimy, że znajdował się w najniebezpieczniejszym okresie twórczości. W żądzy doskonalenia się wpadł w sztuczność języka i formy, co zwróciło nawet uwagę jego przyjaciół. Przeładowane były najdziwniejszemi porównaniami *Zima miejska* i *Kartofla*, pisał też Czeczot z powodu otrzymanego od niego przekładu ody Horacego. „Nie bardzo podoba mi się: dosyć pełna erudycji, trudna do prędkiego zrozumienia i myślami oderwanemi zapełniona, kunszt raczej, niźli talent łatwy pokazująca". Dostrzegł to i sam poeta. „Wiele jednak nad tym punktem dumam... Moje wiersze dotychczasowe, jeśli miały jaką zaletę, winny ją były po większej części językowi... nad którym starannie pracowałem... Tragedja nie dopuszcza tych ozdób... Boję się, żebym nie był prozaicznym, dlatego w niepewnościach waham się często".

Rozmyślania te nie były bez znaczenia w rozwoju pojęć estetyczno-krytycznych Mickiewicza. Wraz z naciskiem, jaki kładł wówczas na „wydanie" czyli „język", świadczyły, jak żywo przejął się zapatrywaniami współczesnych, interesujących się niezmiernie zagadnieniem języka w wymowie i poezji.

Sam autor *Uwag nad Jagiellonidą* podkreślał często i oddawna wyrażenia „zmysłowe". Sierociński stwierdzał w mowie w gimnazjum krzemienieckiem, iż cofnięcie się naszej oświaty nastąpiło skutkiem „zapomnienia języka krajowego". Najdobitniej

---

[1]) Euz. Słowacki: *Dzieła*, t. II, str. 135.
[2]) Arch. Fil. Kor. t. I, str. 180.

napisał Stan. Potocki, iż „język jest nietylko każdego Narodu pojętności i genjuszu tłumaczem, ale i miarą. Bo doskonałość myśli doskonałości wysłowienia ich wymaga, której, jeśli mowa nie dozwala, poniża je, odejmuje im jasności, piękności lub mocy, słowem uderza je niedołężnością swoją i słabą ich nader wydaje miarę"...[1])

Zbliżone zagadnienie poruszył Mickiewicz już i poprzednio, wymieniając list Czeczota w sprawie przekładów. I tą sprawą zajmowano się współcześnie niemało. Wiemy jak wiele tłumaczyli Filomaci. Dlaczego to czynili? Słyszeli przecież, iż „niczem tak języka się nie wzbogaca", gdyż „tłumacz, znając ducha swego języka, przelewa weń piękności obcych, nie każąc jego natury". [2])

Lecz co do sposobu ich wykonywania można było dyskutować. Karpiński, który podobnie, jak Stan. Potocki, [3]) „idąc za przepisem Cicerona" uległ złudzeniu, że w prozie i wierszu „jedna wymowa jest", a poezja różni się tylko „liczbą pewną sylab, spadkiem jednakim wierszów albo wolniejszem użyciem fikcji", nie widział przeszkody, by dzieł rymowanych nie tłumaczyć czystą prozą. Spolszczył wobec tego *Ogrody* Delilla częściowo prozą, a częściowo wierszem, nie tworząc jednolitej całości artystycznej. Miał też do wyboru metodę jeszcze inną, snać dosyć uznawaną, skoro przyznawał, że „radzono" mu ją, lecz „nie zdało" mu się ją naśladować. [4]) Chodziło tu o „przystosowanie" poematu do narodu naszego, a zatem do stworzenia dzieła, które w tym stosunku pozostawałoby do swego wzoru, jak *Syn marnotrawny* Trembeckiego do *Le fils prodigue* Woltera. Za tym przykładem, niewątpliwie najświetniejszym, poszedł w pewnym okresie i twórca *Mieszka, Pani Anieli* oraz *Darczanki*, obchodząc się z oryginałem mniej lub więcej swobodnie.

Metodę tę zdawał się potępiać Euz. Słowacki, który sposobom tłumaczenia poświęcił całą rozprawę, odczytaną na posiedzeniu uniwersytetu wileńskiego w r. 1813, „nie mogąc" przytem „przemilczeć błędu", który „odbiera wzorowemu dziełu jego

---

[1]) *Pochwały, mowy i rozprawy*, t. II.

[2]) Euz. Słowacki, *Dzieła*, t. II, str. 208,

[3]) Karpiński, *Dzieła*, wyd. z r. 1830, str. 310 i St. Potocki, *O wymowie i stylu*, t, IV, str. 1.

[4]) Karpiński, *Dzieła*, str. 189.

ojczystą postać". [1]) Zaznaczył wprawdzie, iż myśli jedynie o „tłumaczach osobliwie dawniejszych, którzy w przekładaniu nazwisk krajów i urzędów stosują się do czasu i obyczajów teraźniejszych", lecz ponieważ przy innej sposobności nazwał *Syna marnotrawnego* dziełem „dobrem" tylko, więc snać za znakomite go nie uważał.

Sprawa ta zajmowała wiele umysłów, a stanowiła jakby częściowy odblask i u nas tego potężnego ruchu przekładowego, jaki obudził się wówczas zagranicą, zwłaszcza w Niemczech. Poświęcił jej oczywiście uwagę i Osiński, w którego pismach, stanowiących plon jego wykładów od kwietnia 1818 r. do czasu powstania listopadowego, znajdujemy również artykuł na ten temat oraz wykład publiczny z 1824 r. p. t. „O potrzebie, ważności w literaturze i warunkach przekładów". Unarodawianie sztuk obcych potępił także w rozprawie o krytyce i Kaz. Brodziński. Doskonałą, a najprostszą radę dał Stan. Potocki, by przejąć się duchem orginału i naśladować styl, jak najwierniej, tak jednak, by „tok obcy stał się polskim". [2])

Czeczot, niewiele dbając o te teorje, wpadł na pomysł zupełnie przeciwny i żądał niezmiernie skrupulatnie, by „ile możności bez uszkodzenia tylko sposobów mówienia wszystkie wyrazy oryginału w tłumaczeniu pomieścić". [3]) Mickiewicz, odpowiadając mu, stwierdził, iż „fałszem jest, by tłumacz zbliżał się, jak mogąc, w wyrazach nawet do wzoru, gdyż „często wyrażenie", tłumaczone co do słowa staje się po polsku prozaicznem, albo łacinnikom dziwnie nowe, w polszczyźnie będzie pospolite. Dobrze mówi Delil: „Tłumacz pożycza piękności; powinien je oddać w tejże ilości, choć różną zupełnie monetą". [4]) Zasada była trafna, choć przytoczenie Delilla dowodziło jeszcze całej siły wpływów pseudoklasycznych.

Filomaci uważali Mickiewicza przedewszystkiem za poetę i za przeznaczonego do wyższych celów, więc nawał zajęć przy jego słabem zdrowiu poważnie ich zatroskał. Wszak sam bronił się wobec Czeczota przed jego przekonaniem o swojej jakowejś wyższości [5]), a Malewski pisał doń w okresie

---

[1]) Euz. Słowacki, *Dzieła*, t. III, str. 463.
[2]) *O wymowie i stylu*, t. IV, str. 226—228.
[3]) Arch. Fil. Kor. t. I, str. 166.
[4]) j. w. t. I, str. 215.
[5]) j. w. str. 352.

przedświątecznym: „Czekamy ciebie... Przywieź nam tylko na podnietę cokolwiek wierszy swoich, będziesz i jesteś naszym Tyrteuszem. Piosnka twoja wiele działa, nie zapominaj o tem". [1]) Zwrócił mu uwagę, iż przesadza w nauczycielskiej gorliwości. Pochwalał projekt napisania książki elementarnej, gdyż widział w niej stopień do tak pożytecznego dlań „wojażu". Załatwiał mu też, jak mógł, przesyłki książek potrzebnych. Posyłał mu kolejno: Wagi Historję Książąt i Królów polskich, Gérarda, [2]) Becka, Condillac'a, Ernestiego, [3]) Lelewela, Schadego [4]) i „skrócenie Storcha". [5]) On to także w październiku jeszcze zachęcał go, by „choćby z ujmą greckiego, francuskiego wziął się do niemczyzny", przyczem „wszystkie dzieła angielskie mógłby czytać w dobrych tłumaczeniach", a zczasem poznać się z samym językiem angielskim. [6])

Rady jego nie pozostały bezowocnemi, gdyż młody nauczyciel kowieński już w pięć tygodni później w niemczyźnie znacznie postąpił, a grecczyzna „leżała odłogiem". [7]) Malewski także miał podniecić ponownie zainteresowanie się poety literaturą angielską wykrzyknikiem „Byron napisał poema Mazepę!" [8])

Lecz okrzyk ten rozległ się wśród Filomatów dopiero w styczniu 1820 roku. W dniu 29 grudnia odczytano jeszcze na posiedzeniu Wydziału I-go ostatnią dochowaną recenzję Mickiewicza z tej epoki, sprawozdanie z operetki Czeczota w jednym akcie p. t. *Małgorzata z Zębocina.*

Nie zmienił w niem młody krytyk metody, której używał do owej pory w recenzjach i rozprawach. Rozpoczął od zastanowienia się nad rodzajem utworu. Do swego poprzedniego określenia „dumy" dodał obecnie określenie „opery". Uznał ją

---

[1]) Arch. Fil. t. I, str. 359.

[2]) prawdopodobnie; *Essai sur le goût* p. Czubek w Arch. Fil. Kor. I. t. I. str. 368.

[3]) *Initia doctrinae solidioris* (?) j. w. list Malewskiego do Mickiewicza 11. 23. I. 1820 r.

[4]) *Grammaire allemande de poche* lub *Nouvelle grammaire allemande,* Lipsk 1797, j. w. t. I, str. 403

[5]) Eschenbourg; *Principes généraux des belles-lettres,* traduis de l'all par Storch 1789, j. w. t. I, str. 444.

[6]) Arch. Fil. t. I, str. 174, 175.

[7]) List Mickiewicza do Jeżowskiego t. I, str. 291.

[8]) Arch. Fil. t. I, str. 389.

za rodzaj bardziej nowożytny od wielu innych, drugorzędny jednak w porównaniu z „epopeją" i „odą", „naczelnemi dziełami imaginacji i uczucia". Umotywował to tem, iż sztuka dramatyczna „zrazu prosta, później w rozliczne, coraz bardziej powikłane rozrodziła się gatunki". Im bardziej są powikłane, tem dla twórcy są łatwiejsze. Wymagają bowiem kilku talentów, ale w niższym stopniu.

Mimo to zażądał wielu zalet od autora: głębokiej serca ludzkiego znajomości, wielkiej nauki, często lirycznego zapału, a prawie zawsze naturalności i prostoty, obeznania się z muzyką, której poezja towarzyszy tylko, oraz bezwzględnego unikania „epigramatycznych inwersyj" i „rozprawiań rozumowych", gdyż te „w sobie nic namiętnego, a stąd i nic muzycznego nie mają".

Wyłożone tak przez siebie żądania stwierdzał następnie na treści i pojedyńczych ustępach utworu przyjaciela. Dał poznać, iż rozumie różnicę między książką a teatrem, gdyż przestrzegał, iż osoba na scenie, naprzód dość mocno działająca, nie może następnie zostać, jak w operze Czeczota — w milczeniu i w stanie komparsa. Błąd taki, w czytaniu niedostrzegalny i przez autora zapomniany, na scenie „złe i często śmieszne sprawuje wrażenie". Mamy tu więc także ślad rozmyślania nad dramatem, który pozwala nam przypuszczać, że i do *Demostenesa* nie zabrał się Mickiewicz bez poprzedniego estetycznego przygotowania. W *Uwagach nad Jagiellonidą* pisał dawniej przecież: „inni rycerze litewscy i polscy momentalnie występują na scenę i nikną, nie jak aktorowie dramatu, ale raczej jak cienie czarnoksięskiej latarki, chwilowe sprawujący wrażenie"... Co więcej z mowy Malewskiego, wygłoszonej 1-go stycznia 1818 roku wnosić można, iż młody autor już wówczas w sztuce dramatycznej sił swych próbował. [1])

W myśl wymagania „serca ludzkiego znajomości" wytknął teraz Czeczotowi szereg poważnych błędów natury psychologicznej. Zarzucił więc, iż w scenie zbiorowej, straszna wieść o zamordowaniu rodziców nie przeszkodziła bohaterce w wylewaniu dalej czułości ku mężowi, a inni obecni, zamiast spieszyć na ra-

[1]) Tretiak, *Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł.* Kraków 1917, str. 27.

tunek, przekomarzali się żartobliwie. Oceniając scenę, w której skruszony Szczepan przyznawał się do winy, choć nie usprawiedliwiał tego tok wydarzeń, przytoczył doskonalszy wzór głośnej *Alzyry*. W *Alzyrze* Woltera okrutny Guzman staje się wspaniałym, ale trzeba pamiętać, iż staje się nim w chwili najstraszniejszej, to jest w chwili zgonu. I tutaj można szukać dalszej wskazówki wzorów do *Demosfenesa*, gdyż pozostaje niezawsze szczegółem charakterystycznym, iż tłumacz *Gertrude ou l'éducation d'un fille, l'Education d'un prince* i *Pucelle* jeszcze w epoce pisania swego pierwszego dramatu stawiał Czeczotowi za przykład tragedję Woltera. W roku 1828 przy podobnej sposobności ukaże Odyńcowi wzór w dziełach Szekspira, Goethego i Schillera.[1])

Lecz Mickiewicz, w myśl głoszonych przez siebie teoryj o stosowaniu się twórcy do narodu i epoki, wychodził już także i poza Woltera i czynił uwagę o historyczności. Czeczot pisał:

> Gdziem miała niecnych miarkę dopełnić swych zbrodni,
> Trafiłam na blask cnoty najczystszej pochodni,
> Rozjaśnił umysł gruby, poznałam swe błędy...

Recenzent przestrzegał: Trochę to dla epoki za wysoko. Trzeba mocno pamiętać na owe Horacjusza *Davusne loquatur an heros*. Samą „materję", z dziejów polskich wziętą, uważał za „piękną i interesującą", choć osądzał, iż intrygę można było „interesowniej" ułożyć. Przy tej sposobności wspomniał już i sam także balladę, tłumaczoną z niemieckiego, którą wyczytał w *Pamiętniku Lwowskim*. Była nią ballada Ratschky'ego, w wolnym przekładzie W. Ch(łędowskiego) p. t. *Wyrok Bolesława*.[2]) Choć uznał ją za „mierną", to uważał jednak, iż warto, by „rodacy ten piękny czyn do nieśmiertelności podali", a tak ona, jak i *Małgorzata* zwróciły niechybnie jego uwagę na czas i wypadki, na tle których osnuł później *Lilje*.

Przy recenzji *Małgorzaty z Zębocina* należy zwrócić uwagę jeszcze jedną. Krytyk przez cały czas stosował do niej wymagania „opery". Z tego powodu podał kilka określeń, zbliżonych do ustępu encyklopedji i Sulzera, który przetłumaczył, niezbyt zresztą

---

[1]) Petersburg 28 kwietnia 1828, list do Ant. Edw. Odyńca.

[2]) Podał J. Kallenbach, *Ad. Mickiewicza, Pisma*. Nakł. F. Westa 1911. t. I, str. 99. Wyrok Bolesława zamieszczony był w *Pam. Lwowskim*, grudzień 1818.

dosłownie powtórzonych, z wyjątkiem myśli: „opera nie powinna mieć tyle zawikłania, ile mają dramatyczne sztuki". Były one dość wiernem echem poglądu niemieckiego uczonego. Godził się z nim dalej w żądaniu usunięcia zimnego, dydaktycznego tonu. Znajdował w jego dziele nazwy „recitivo", „arji", „duo", „trio" (u Sulzera duety, tercety), kwartetów, chórów, śpiewek (prawdopodobnie *Gesang* lub *ein Lied.*[1]) Może być, iż w krytycznej uwadze, że kiedy dwie osoby śpiewają, każda to śpiewa, co czuje i każdej śpiew musi zupełną myśl zawierać, nie może zaś czekać, ażeby ktoś drugi to, co zaczęła dokończył... znalazła odbicie odpowiednia przestroga z pierwowzoru. Pochwała, iż „materja, wybrana przez Czeczota, jest piękna i interesująca" i warto ażeby rodacy ten piękny czyn do nieśmiertelności podali, „mogła nawet przypomnieć żądanie, by opera była złączona z narodowem zainteresowaniem całego ludu"[2]) Godziło się z sobą wspólne domaganie... „lirycznego zapału" i uczucia. O tem, że tekst powinien stosować się do muzyki, pisał nietylko Mickiewicz i Sulzer, ale i Golański[3]) oraz Euzebjusz Słowacki, który znał także podział na „serio" i „buffo" i domagał się przechodzenia przez różne namiętności stopnie,[4]) w przeciwieństwie do Golańskiego, dopatrującego się celu opery w „słodkiem omamieniu".

Ale wszystko to, o czem piszemy, dotyczyło „opery" a przecież utwór Czeczota był operetką! Można było wówczas nie zwrócić na to uwagi, znając tylko ogólnikowe określenie: „opera buffo n i e r ó ż n i się tylko mniejszą ważnością rzeczy. Jest to malowidło przypadku, jakiego z pospolitego życia albo obyczajów wiejskich". Nie było natomiast miejsca na wymaganie „głębokiej serca ludzkiego znajomości, wielkiej nauki" oraz pochwalanie tematu godnego podania do nieśmiertelności, jeśliby znało się artykuł Sulzera o operetce, obfitujący w przykłady, żądający tylko tematu jak do komedji zaczerpniętego z przyjemnych lub uciesznych wydarzeń zwyczajnego życia,[5]) i nie było także miejsca na potępienie w utworze Czeczota „spadków od arji do prozy", gdy niemiecki uczony dozwalał, by w operetce dialog był pisany prozą, a tylko

[1]) S u l z e r, *All. Theorie der schönen Künste,* t. III, str. 359 i t. III str. 352.
[2]) j w. t. III. str. 351.
[3]) *O wymowie i poezji.* str. 446.
[4]) *Dzieła,* t. II. str. 138.
[5]) *Allg. Theorie,* t. III. str. 359.

przeplatany pieśniami i arjami.[1]) Jeden stąd wniosek, iż Mickiewicz nie znał wogóle wymienionego artykułu Sulzera, co stanowi dalsze zachwianie w możliwość jego nań wpływu w tych rozmiarach, jak próbowano to udowodnić.

Wraz z oceną *Małgorzaty* Czeczota zamyka się przed nami ten dział Archiwum Filomatów, w którym zdołano zachować recenzje koleżeńskie młodego poety. Była ona z nich ostatnią. Owiewało ją jeszcze tchnienie „estetyki", rodzajów, tak potężnej w okresie pseudo-klasycyzmu, ale autor jej w twórczości swej już wszedł w nowe szranki, gdyż na dwa dni przed nią, 27 grudnia, odczytano wśród Filomatów w układzie pierwotnym jego: *To lubię.*

Wcześniej jeszcze, w końcu października, napisał prostą, programową pieśń: *Hej radością oczy błysną*, a w styczniu r. 1820 zajął się sprawozdaniami z niemieckiego czasopisma: *Hermes*,[2]) które od października zeszłego roku prenumerowali Filomaci.[3]) Niemczyzną więc zastępował powoli francuszczyznę, lecz zmieniając kierunek poetycki, nie zmienił jeszcze zasad krytycznych. Ułatwiło mu to przekonanie, wypowiedziane już w *Uwagach nad dumą*, że wolno tworzyć nowe r o d z a j e, które następnie krytyka określa. Wtedy też dopiero, gdy swoje ballady poprze rozprawą o poezji romantycznej, rozwój jego i przejście radykalne do drugiego obozu będziemy mogli uważać za całkowite i dokonane.

Wśród gniewu i nudy, które z początkiem roku 1820-tego ogarniały go w Kownie z powodu zajęć nauczycielskich, niesforności lub tępości uczniów, gdy „rzucał się na łóżko i leżał z parę godzin nic nie myśląc, tylko z ł u j ą c i kwasząc się", wymyślał z pogardliwym wybuchem na pociechę z podziwianych do niedawna Plutarcha, Montaigne'a i Seneki, których dzieła — jak wyobrażał sobie — mogliby mu przysłać przyjaciele. Rzeczywistość mówiła mu, iż „najlepiej nie czuć, ale nie można", a wtedy musiał oczywiście zapragnąć innej filozofji, niż mogliby mu ją dać twórca *Les essays* lub filozofowie klasyczni. Pietraszkiewicz w odpowiedzi na jego listy odparł mu hasłem filomackiem, by „splinów wyobraźnią podsycanych" użył na dobro współrodaków, kończył *Demosfenesa* i *Darczankę*, gdyż „to są dwa koła, na któ-

[1]) *All. Theorie*, t. III, str. 359.

[2]) Arch. Fil. Kor. t. I, str. 388.

[3]) j. w. list Malewskiego do Ad. Mickiewicza 26. X. (7. XI) 1819 r.

rych można dojechać do Niemiec", a owe „ach, niestety i nieszczęście" przywoływał tylko wtedy, kiedy będzie mógł ich użyć w „balladach". [1]) W ten sposób nastrój Mickiewicza, wybuch jego wzburzonego uczucia, określił sam jako „balladowy" choć mylił się, sądząc, że koić go będzie można tłumaczeniem *Pucelle*.

I tak jednak minęło jeszcze pięć miesięcy, zanim znalazł Mickiewicz „jedyną i najmilszą lekturę" w dziełach Schillera, choć znał go już w lutym, kiedy pisał do Czeczota: „Huta" ostygła, romansowe ognie zwietrzały, miałem uciąć Szyllerowską *Balladę*.

Narazie jeszcze niezupełnie zrywał z dawną twórczością. 13 lutego 1820 odczytali Filomaci, dobytą ze skryptów 1817 r. przepisaną teraz piątą pieśń *Darczanki*, czy jak ją tłumacz nazywał, także *Orleanki*. Forma tłumaczenia doskonała, rytm pełny i wpadający w ucho, pozwalający nam przypuścić, że przepisując tę pieśń, jeszcze ją wówczas poprawiał. Nie czas już też był na zajmowanie się Wolterem, którego osądzi w przyszłości tak surowo. „Romansowe ognie" miały się budzić coraz częściej. A jednak, że z dawnemi pojęciami niezupełnie zerwał jeszcze i że zostawał dalej pod urokiem filologji klasycznej, świadczyły odczytane na posiedzeniu naukowem dnia 26 marca r. 1820 „Uwagi" jego „tyczące się założenia pisma perjodycznego". [2])

Uwagi te związane były z przedstawionym w tytule zamiarem Filomatów wydawania własnego czasopisma. Co młody krytyk polecał i co doradzał? Zawsze to, co służyć mogło szerzeniu wiedzy i korzyści społeczeństwa. Za pożądane uznał jak najrychlejsze ogłaszanie nowych prawd i wynalazków i pisanie o sprawach politycznych. Nie sprzeciwiał się zamieszczaniu pewnych wiadomości z zakresu filozofji, ponieważ jednak zamierzone pismo miało dążyć ku szerokim warstwom czytelników, radził więc raczej przedstawiać w niem w krótkości systematy sławnych filozofów, niż wyjątki z dzieł Arystotelesa, Dekarta, Mallebranche'a i Kanta (jeśli wierzymy zdaniom cudzym, gdyż sam w tej mierze z niczem odezwać się nie mogę). Za wzór stawiał jeszcze pisma Encyklopedystów francuskich „tudzież podobno u Niemców teraz ogłaszane pisma". Polecał członkom, by starali się za-

[1]) Arch. Fil. Kor. t. I, str. 412.
[2]) *Nieznane pisma*, str. 63 - 67.

poznać z prawem przyrodzonem i politycznem, a zwłaszcza by wzbogaciły pismo „prawdy całą ludzkość obchodzące, krótko, zręcznie i dobitnie wystawione".

W reszcie, całej prawie połowie artykułów, filologowie znajdą piękny przykład, jak Mickiewicz oceniał w owym okresie korzyści, płynące z czytania autorów klasycznych. Poważne studja, pod kierunkiem Grodka prowadzone, nie budziły jeszcze w przyszłym romantyku wątpliwości. „Nie tu miejsce — pisał — rozprawiać o pożytkach starożytnej literatury i nikt im, jak się zdaje, zaprzeczyć nie śmie". Uważał, iż mało osób wie o niej dosyć i dlatego niedość wysokie przyznaje jej znaczenie.

Wykład zmienił jednak niespodzianie w pochwałę twórczości greckiej, choć bez potępienia narazie rzymskiej. Błysnął w nim, jakby przedświtem tego poglądu, który wypowiedzieć miał za dwa lata w rozprawie o poezji romantycznej. Polemizował z opinją, którą słyszał „ileż razy", że nie warto uczyć się języka greckiego dla zrozumienia kilku dzieł pozostałych, „takim dosyć jest tablice dzieł pozostałych wystawić". Wyjaśniał kolegom, iż dochowało się „podług ścisłej rachuby 1800 oryginalnych dzieł starożytnych, licząc wszakże za jedno dzieło wszystkie naprzykład mowy Demostenesa, wszystkie dzieła Platona etc.", a w liczbie tej zabytki literatury łacińskiej od czasów Livima Andronika do Aureljana mają się do greckich jak „1 do 4", natomiast greckie pozostałe do zatraconych, jak jeden do dziewiętnastu. Gdyby wiedziano o tem — osądza z zapałem — nauczonoby się „cenić dopiero starożytność!" [1])

„Teorję sztuk pięknych, tudzież same dzieła tych sztuk, poezję i wymowę" pominął obecnie, wymieniając je zaledwie z nazwiska, lecz odkładał je zapewne do następnego referatu, gdyż i filozofją obiecał się zająć później obszerniej. Wiemy natomiast, iż estetyką zajmował się również w „seksternach".

O tem, że pisze je dalej, donosi Malewskiemu (5/17 maja 1820 r.) oraz Czeczotowi i Zanowi (10/22 maja t. r.). W tym ostatnim liście zaliczył je do „prac nudnych", jakoteż zapał jego do nich wkrótce miał ostygnąć. Nie dochowały się do dzisiaj, pozostały jednak notatki, które brak tamtych mogą nam w czę-

---

[1]) *Nieznane pisma,* str. 66.

ści zastąpić.[1]) Zawierają wykłady o historji literatury polskiej w klasie IV-tej, kurs wymowy w kl. V-tej oraz początki dziejów piśmiennictwa greckiego z klasy V-tej i VI-tej.

W przeważnej części skrypta te, które obejmują jedynie małą część wykładanych przezeń przedmiotów, dyktowane były wprost z dzieł obcych, przyczem wprowadzały drobne tylko zmiany lub skrócenia, wskazane ze względów pedagogicznych. Zaciekawiają więc dziś nas wobec tego głównie przez źródła, z których Mickiewicz korzystał. Dzieje literatury greckiej wykładał z dzieła nauczyciela swego Grodka p. t. *Initia historiae Graecorum litterariae.* Wilno 1811.[2]) Wykłady o piśmiennictwie polskiem pozostały dosłownym wyciągiem z *Historji literatury polskiej* Bentkowskiego (1814)[3]), przyczem jednak opuszczał niejedno, zmieniał wyrażenia lub objaśniał je, poprawiał język, ale co ważniejsze zaprowadził w układzie zmianę bardzo ważną. Oto zerwał już z systemem działów, który jeszcze był w podręczniku, a natomiast pomniki języka polskiego od *Boga Rodzicy* do Kochanowskiego przedstawił w porządku dziejowym. W ten sposób wprowadzał punkt widzenia historyczny, przyjęty od Lelewela, na co nie mógł pozostać bez wpływu ów pogląd estetyczny, który przeszedł na niego od Herdera przez Borowskiego i Euzebjusza Słowackiego, iż poeta powinien stosować się do czasu i obyczaju.

Ów pogląd nowożytny zaznaczył już, jak widzieliśmy to przy *Uwagach nad Jagiellonidą*, poszedł za nim konsekwentnie zczasem w rozprawie o Goethem i Byronie, a w wykładach swoich mógł go zastosować tem śmielej, że już Brodziński, świeżą rozprawę o klasyczności i romantyczności ugrupował historycznie. W każdym razie ta świadoma zmiana posiada także znaczenie w rozwoju naszej historji literatury.

Z kursem wymowy jednak wchodzimy dopiero w zakres właściwych planów poety napisania książki elementarnej, obejmującej retorykę, poetykę i początki estetyki. Książki tej,

[1]) Spisane przez ucznia Bernarda Kiejstut Gedymina, przesłane redakcji *Muzeum* przez Władysława Mickiewicza, ogłoszone tam w r. 1898 str. 507—573. W tem ustęp historyczno-krytyczny str. 507—513.

[2]) St. Schneider, *Mickiewicz jako filolog. Muzeum* 1898, str. 410.

[3]) *Muzeum,* 1898, str. 509.

jak wiemy, nie napisał nigdy, a i same seksterna w październiku 1820 musiał już nieco zaniedbać, skoro wspominał o nich zagadkowo do Czeczota i Zana: „Dziękuję Jaroszowi za przysłane niepotrzebne szpargały, ale czy nie znajdziecie pięciu arkuszy seksternów i sinej notatki z Asta i Fülleborna? [1])

W „kursie wymowy" było w stosunku do źródeł zmian najwięcej. I ten „kurs" w części polegał na dyktacie wprost z Euzebjusza Słowackiego (*Dzieła*, Wilno 1824, t. I), natomiast w ustępach o „rodzajach mowy krasomowskich" odbiegał tak od tego ostatniego, jak i okazywał samodzielność w stosunku do wspomnianej w korespondencji Piramowicza *Wymowy i poezji dla szkół narodowych,* [2]) jak i skrócenia Retoryki (z Domerona): *Retoryka czyli sztuka krasomówcza, napisana łatwym i prostym sposobem dla użytku uczącej się młodzi w szkołach i w domu.* [3]) Samodzielność nauczyciela polegała na wykładzie jaśniejszym i rozwinięciu rodzajów bardziej obszernem, co mogło być wstępem do wyrażonego, po przeczytaniu Domerona, Potockiego i Cicerona, zamiaru napisania systematycznej polskiej retoryki.

Drugie obowiązkowe zajęcie Mickiewicza stanowiła wówczas łacińska rozprawa magistrowska o krytyce. Tak zamiar napisania podręcznika do poezji i wymowy, jak i ta rozprawa skłaniały młodego twórcę w tej epoce do ciągłych coraz dalszych studjów. Dopełnienie jednak ostatniego egzaminu szło mu powoli. Zaraz po objęciu stanowiska w Kownie otrzymał przyjacielski list od Malewskiego, który przypominał mu rozprawę i upominał, by robił ją dobrze i jak należy, gdyż „nie chciałby widziać żadnej jego pracy niedbalstwem trącącej. [4]) W sześć miesięcy później, po powrocie do Kowna, w chwili skończenia *Rękawiczki* i pisania *Tukaja* czuł się na siłach, iż rychło się jej „z karku zbędzie". Przypominali mu obowiązek Filomaci, [5]) wzywali go, by przysyłał rękopis, bo Zielone Święta blisko. Wobec tego postanowił wogóle nie przyjeżdżać do Wilna, gdyż rozprawę ledwo przed kilku

---

[1]) Arch. Filomatów, I Kor. t. II, str. 362.

[2]) Wyd. z 1792 roku.

[3]) Życzyński podaje, iż w wykładach było wiele definicyj, tłumaczonych z dzieła Marmontela. Por. Ad. Mick., *Pisma estetyczno-krytyczne*, przedmowa str. VI.

[4]) 28 września 1819. Arch. Fil. Kor. t. I, str. 130.

[5]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 33 i 37.

dniami wziął do rąk i tak prędko skończyć jej nie potrafi. [1]) Nie przeszkadzało to temu, iż zaniedbując ją, w tym samym liście, z widocznym zapałem doniósł, iż siedzi nad niemczyzną i „męczy srodze Szadego" (słownik niemiecki).

Minął też cały rok 1820, a Mickiewicz, zajęty ciągle, nie przesyłał jeszcze rozprawy magistrowskiej. Wołał o nią w grudniu t. r. Malewski. Kiedy wreszcie przyszła „Grodek bronić (jej) nie pozwolił, najwięcej dlatego, że były pomyłki ortograficzne!" Malewski rozmawiał o niej z Borowskim, który polecił ją odebrać, gdyż Mickiewicz wziął rzecz za ogólnie. Miał dać „takoż tema, jakie było naznaczone", lecz Malewski odparł, iż nie liczy za skutek po tylu przeciwnościach". [2]) Nie można się temu dziwić. *Uwagi nad Jagiellonidą* spotkały się z surowym sądem uniwersytetu, opinja o rozprawie z 1820 roku musiała wypaść jeszcze ostrzej. Stanowiska ucznia i nauczycieli tem bardziej stawały się rozbieżne, im dalej szedł w nowym kierunku.

Kiedy w Kownie w roku 1819 zajmował się Mickiewicz bardzo żywo filologją, „metra" znał na palcach, zamierzył napisać rozprawkę o metryce łacińskiej, krytykował komentarze Jeżowskiego, podniósł wreszcie jeszcze w marcu 1820 r. widocznie pod wpływem żywej wówczas lektury wielką obfitość i znaczenie dzieł starożytnych, to na wiosnę 1820 roku, w epoce pisania „nudnych" seksternów, z postępem widocznym w niemczyźnie, zagłębił się z zapałem w Schillerze, którego ballady wspominał już z początkiem tego roku, a z dzieł jego w kwietniu przełożył *Rękawiczkę*, [3]) w miesiącach późniejszych *Licht und Wärme*, [4]) a zamierzał także przetłumaczyć *Resignation*. Poezje jego były dlań objawieniem nowej sztuki. W czerwcu, przesyłając Jeżowskiemu *Światło i ciepło*, donosił: „Dziś rano, leżąc w łóżku, tłumaczyłem Schillera wierszyk i tu załączam. N. B. Schiller jest oddawna jedyną i najmilszą lekturą. O tragedji *Räuber* nie umiem pisać. Żadna ani zrobiła ani zrobi na mnie tyle wrażenia. Trzeba tam ciągle być to w niebie, to w piekle

---

[1]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 75.

[2]) Ad. Mickiewicz, *Dzieła wszystkie*. Nakład St. Altenberga, T. X. Listy i przemówienia. Obj. Marjan Reiter, str. 105.

[3]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 18.

[4]) j. w. t. II, str. 149.

nie masz środka. A szczególnie obrazy, myśli, sposób tłumaczenia się. Już boję się wspomnieć o Demostenie". [1])

Tak przy pierwszej czytanej tragedji romantycznej bladł obraz klasycznego niewątpliwie utworu. Bladł, ale nie pierzchał zupełnie, skoro w pięć miesięcy później Mickiewicz jednak myślał go zakończyć. [2])

Malewski, który wierzył bardzo w niezwykły talent Mickiewicza i nieraz wyraz temu dawał, skorzystał tylko ze sposobności, by go do dalszego czytania wielkiego romantyka zachęcić. „I Schillera młodość była podobną do twojej! Ta myśl mocno mię uderzyła i może Kowno będzie tem dla ciebie, czem dla Schillera ucisk i nędza w żołnierskiej szkole". Przeciwdziałał temu zapalony filolog Jeżowski, który w kwietniu 1820 r. zachęcał jeszcze Mickiewicza, by kiedy skończy drugą księgę ód Horacego, wziął się do komentarza Wergiljusza. Mogło to było — jego zdaniem — „przyczynić mu zasiłku do wędrówki".

Lecz poeta spędzał ranki na pisaniu seksternów, ćwiczeniu się w niemczyźnie, niekiedy „balladkach", a wkrótce obok Schillera zajął się z wielkim zapałem nowszą estetyką. Język niemiecki pozwalał mu już czytać łatwo autorów bardziej nowożytnych od znanych sobie do tej pory. Nowe piękno, z którem spotykał się, zachęcało go do badań i rozmyślań nad teorją piękności. Zapał jego charakteryzował wysłany w sierpniu 1820 r. ze Szczors list Malewskiego do Jeżowskiego. „Wyjechał wreszcie Adam, niezmiernie romansowy, n a c z y t a w s z y s i ę d u ż o e s t e t y c z n o ś c i, sprawdzać dalej i nowemi wzbogacać przykładami swoją teorję sztuk pięknych... Trochę tylko z a e s t e t y c z n y. Deklamował mi swoje *Lilje* i nad podziw mu się dobrze udały".

W październiku Mickiewicz tak „dręczył estetyki", że Malewski lękał się o szkodę jego *divitis venae.* [3]) W listopadzie pisał znów: „Przewróciłem kilka estetyk i niemało w nich postąpiłem". [4]) Co czytał? Wiemy o tem mniej wiecej z Archiwum Filomatów. Niewątpliwie wówczas rozpoczął już ów okres swej duchowej pracy, gdy wychodząc z pojęć utartych i szkolnych poczynał być śmiałym twórcą nowych poglądów na piękno i sztukę.

[1]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 149.
[2]) j. w. t. III, list z 1. (13) XI 1820 r.
[3]) j. w. str. 349.
[4]) j. w. t. III, str. 2.

Archiwum poparło przypuszczenie Chmielowskiego,[1]) że Mickiewicz znał dzieła Eschenburga *Entwurf einer Theorie und Litteratur der schönen Wissenschaften,* 1783, z czasem 1805.[2]) W Eschenburgu znajdował również definicję poezji romantycznej, która mogła wywrzeć wpływ na określenie jej w „Przedmowie" do pierwszego tomu poezji. Nie znajdujemy w korespondencji wzmianki o dziełach Bouterwecka i Eberharda, których wpływ w tej przedmowie również się pojawił. Należy nam jednak zauważyć tutaj za Chmielowskim, że żaden ze wspomnianych estetyków nie był burzliwym nowatorem, a to pozwoli nam zrozumieć, że Mickiewicz, gdy doniósł Pietraszkiewiczowi, że przewrócił kilkanaście estetyk i niemało w nich postąpił, równocześnie jednak spodziewał się na święta jechać doń z *Demosfenesem.*

Lektura Mickiewicza była też równostronną. W jesieni, więc już po owem „naczytaniu sią dużo estetyczności", prosił Jeżowskiego o obiecaną „jakąś" psychologję oraz o objaśnienie do Kanta, gdyż wieleby posłużyło do zrozumienia estetyków jego szkoły. Czytał też Drevesa *Resultaten,* które uznał za niezmiernie ciekawe i ważne", a nawet „w entuzjazm wprawiły go" wyciągi kilkuwierszowe z pierwszej części Helwecjusza *de l'Esprit* (Paris 1758. Bern 1791). Sądził, iż teraz dopiero poznał „metody", jak się nad estetyką zastanawiać oraz „zobaczył w czystem świetle cały swój systemat rozpoczęty w pierwszej rozmowie o piękności".

Otóż Helwetius (1715—1771) był typowym przedstawicielem oświeconego wieku i jego filozofji prawa naturalnego, polegającej na tem, iż probierzem etyki jest jedynie dobro społeczeństwa. Jak Wolter w swoim poemacie o prawie naturalnem, i on namiętności uważał za bodźce korzystne i polecał jedynie ująć je w prawidła. Poszedł jeszcze dalej, ponieważ postawił „teorję egoizmu", kazał nim kierować się przedewszystkiem, nie zapominając jedynie o dobru ogółu, był zatem antytezą tak ducha panującego wśród Filomatów, jak i romantyzmu.

Jeżowski ostudził zaraz zapał Mickiewicza i autora *de l'Esprit*

[1]) *Estetyka Mickiewicza,* str. 56.

[2]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 142. Autora tego doradzał mu w czerwcu 1820 Jeżowski, pisząc, że można zeń łatwo wybrać tytuły książek przydatnych, a skrócenie Esch. w języku francuskim przez Storcha posłał mu już w marcu z Wilna Malewski.

przedstawił we właściwem świetle. Nie spodziewał się, by Adam tak wiele w Helwecjuszu znalazł dla siebie. Jest empirykiem i zanadto fizycznym. „Przyjaźń i miłość jedno mają u niego źródło z uczuciem rodzącem się z zaspokojenia głodu i pragnienia. Dzieło jego nie jest systematycznem, dlatego pod względem nauki mniej ważne aniżeli pod względem jej szczegółów. [1])

Słowa Jeżowskiego posiadały znaczenie. Wszak wśród Filomatów pospolicie nazywano go „filozofem". [2]) Ocena jego niewątpliwie mogła podziałać ostudzająco na młodego estetyka, gdyby stwierdzone przez Tretiaka [3]) reminiscencje Helwecjusza w *Odzie do młodości* nie wykazały nam, co poeta znalazł i zaczerpnął u francuskiego filozofa. Oto pozostawiając na uboczu tło jego książki, uświadomił sobie na nim własną naturę bohaterską, a poecie, zwracającemu się już instynktowo jeszcze więcej ku romantyzmowi, zaimponowały słowa Helwecjusza o wielkiej mocy uczucia w rozdziałach „O potędze namiętności" i „O wyższości ludzi namiętnych nad ludźmi rozsądnymi". Nie krótkie więc wyciągi zawarte w książeczce Drevesa, owe wspomnienie osobistej lektury, lub wyciągów z niego, z których skorzystał indywidualnie, stały się zapewne przyczyną entuzjazmu wyrażonego w liście do Malewskiego.

Jeżowski, który przestrzegał przed czytaniem dzieła autora: *De l'esprit* nie zapomniał jednak o podręcznikach dla kowieńskiego nauczyciela i w tydzień później posłał mu do Kowna *Erläuterungen* do *Kritik der Vernunft* Kanta oraz zamiast psychologji antropologję Pölitza. [4]) Mickiewicz nie estetyzował już tylko jednak! Przeżywał tragicznie współcześnie pierwszy wielki dramat życiowy, rozstanie z Marylą i jej zaręczyny ze szczęśliwszym od niego Putkamerem. Poprzednio czytywał z nią Roussea'a i Chateaubrianda, [5]) ową lekturę ówczesnych kochanków, teraz koił

[1]) Arch. Fil. t. II, str. 315.

[2]) j. w. n. p. t. II, str. 330.

[3]) Tretiak, *A. M. w świetle nowych źródeł*, str. 238—243 i str. 189—194 Kallenbach w nowem wydaniu monografji Ad. Mickiewicza, Poznań 1918, t. II. Uzupełnienia str. III odrzuca wogóle możliwość wpływu *de l'Esprit* na *Odę do młodości*, analogje podane przez Tretiaka, są jednak przekonywujące, można poczynić jedynie zastrzeżenia co do charakteru i rozmiaru wpływów.

[4]) Arch. Fil. Koresp. t. II. str. 339.

[5]) Józ. Kallenbach, *Ad. Mickiewicz*. Kraków 1897, t. I. str. 60.

się romantycznym czarem „najmilszego Schillera. „Schiller, Schiller, jeden tylko jest, z którym kiedy poczne gadać, myśleć, zapominam o tobie i o całym świecie.[1]) Gdy Zan przychodził czytać z nim razem, ginęła mu „cała z niego rozkosz", gdyż „Schiller jest poetą, prawdziwym poetą tylko dla samotnika".

Nie trzeba podkreślać, jaki potężny wpływ musiało wywrzeć to upodobanie na rozwój jego pojęć estetycznych. Malewski nie lękał się też tego nowego zajęcia tak, jak poprzednich. Zachęcał Adama do tłumaczenia *Don Karlosa*, zwracał jego uwagę na przekład *Dziewicy Orleańskiej* pióra Andrzeja Brodzińskiego, zamieszczony w *Pamiętniku Warszawskim*, entuzjazmował się „najokropniejszą tragedją" *Braut von Messina*. A Mickiewicz w styczniu jeszcze 1821 r., gdy opisywał z Kowna stan swojej duszy po śmierci matki i po ślubie Maryli, choć dawno już przeczytał ostatni tom twórcy *Räuber*, donosił jeszcze: „Rozkołysana imaginacja odczytywaniem Schillera rozrywa mię nieco. Napisałem kilkanaście wierszy *Romantyczność*. Teraz nie mogę przepisać".

Z *Romantycznością*, którą poprzedziły w listopadzie *Kurhanek Maryli*, a w grudniu *Hymn do młodości*, przesłał równocześnie przekład części *Olimpji* Pindara, a do reszty potrzebował Tierscha komentacji. Był to narazie w poezji ostatni już odblask jego filologicznych studjów, rok temu tak żywych jeszcze. W estetyce skorzysta z nich jeszcze w *Komentarzu* do *Zofjówki* Trembeckiego. Choć niedawny plan skończenia *Demostenesa* i obecne tłumaczenie świadczyły o starych skłonnościach, to jednak po czytaniu Schillera miał przejść do Goethego, a potem zająć się i zapalić lekturą Byrona.

Tak początek roku 1820 zeszedł mu na pisaniu seksternów, przepisaniu pieśni 5 *Darczanki*, hymnie, wyśpiewanym na cześć pożytków z literatury starożytnej, a obok tego w kwietniu na *Rękawiczce* i *Tukaju*; lato wypełnił mu Schiller i estetyzowanie bardzo energiczne, rok zamknął rozprawą magistrowską i *Odą do młodości*, a nowy rozpoczął balladą *Romantyczność*.

Oba te wiersze, a raczej główne ich myśli można zestawić z poglądami Mickiewicza nawet w estetyce, by spostrzec, jak bardzo w poezji dawnym zapatrywaniom się przeciwstawi.

---

[1]) Arch. Fil. Kor. t. II, str. 355, list Mick. do Jeżowskiego.

Weźmy najpierw *Odę do młodości*. Przypomnijmy sobie, co pisał w roku 1817 z powodu *Dumań* Onufrego Pietraszkiewicza, iż „rodzaj poezji, w którym autor pracował, jest przytrudny i wymaga wprawnego pisarza... Cała zatem sztuka zależy na uważaniu ze strony najpiękniejszej i na biegłym ich (obrazów) malowaniu, czego poecie młodemu dokazać trudno, a nawet niepodobna". Łatwo wytłumaczyć nam te słowa jako nieufność do intuicji młodości, której talenty dopiero poparte wprawą i ćwiczeniem mogły porywać się na pokonywanie trudności. Zapatrywanie to zgodne było z pojęciami współczesnych. Pod koniec września 1818 roku, w mowie na pierwszem posiedzeniu naukowem Wydziału I już radził wprawdzie dla doskonalenia swoich sądów zasięgać ich u współbraci, którzy nie zapomnieli jeszcze drogi na trudną skałę doskonałości, ale widział też błędy, popełnione przez pracujących, z winy...entuzjazmu i prędkości", a które następnie krytycyzm usunąć może. W „wiadomości o Wydziale I" [1]) przestrzegał przed „gwałtownem i częstem powstawaniem przeciwko przyjętym opinjom", czem okazywał szacunek dla nich, niewątpliwie z przyczyny kryjącego się w nich doświadczenia, a dozwalając na pielęgnowanie „liberalności", był zatem za rozwojem pewnym, gdyż spokojnym. *Oda do młodości*, choć była w głównych zarysach rozwinięciem wiersza *Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna*, to jednak różniła się od niego subjektywizmem, śmiałością formy i uwielbieniem dla twórczej mocy młodości. Gdy tam poeta wyrażał się jeszcze: „Wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło...", gdy głosił, iż „każdy trud zwalczony jest szczeblem do sławy, wszyscy chciejmy dokonać, dokona kto może" teraz bez zastrzeżeń wołał śmiało:

Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Nie drogę żmudną i powolną widział już przed sobą, nie rozwinięcie tego tylko, co było do tej pory:

Gwałt niech się gwałtem odciska.
Młodości! Ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

[1]) 15 listopada.

Przed *Romantycznością* też przeciwstawił się tu doświadczeniu, nabytemu długiem życiem i żmudną pracą:

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Nie sąd postronnych również miał poprawiać błędy „entuzjazmu i prędkości":

Młodości podaj mi skrzydła,
A nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy z a p a ł tworzy c u d y...

I dalej:

Łam, czego r o z u m nie złamie.

Nie dziwmy się, że ten wiersz wywołał pewne zamieszanie nawet wśród Filomatów. Nie wszyscy zdołali go ocenić, jak Malewski. Właśnie w tem zaskoczeniu przyjacielskiego kółka leżał dowód, że *„Hymn"* przyniósł rzeczy nowe, nie objęte dotychczasową metodą myślenia, więc nie odrazu zrozumiałe, że był poniekąd niespodzianką nawet u autora, który nie pracy długiej, zmierzającej wolno ku doskonałości, jak żądała tego estetyka pseudoklasyczna, ale zapałowi dał prawo stwarzania cudów.

Nie potrzeba tu podkreślać innych wartości, zwłaszcza narodowych i społecznych, oraz potępienia, zgodnie z filomackim duchem samolubów, by dostrzec, jak nieznacznie na Mickiewicza oddziałał, wpływ chwalonego poprzednio Helwecjusza. Zaznaczyliśmy w „Hymnie" to jedynie, co choć było hasłem życiowem przedewszystkiem, stało się jednak także wyrazem krańcowej przemiany w poglądach jej autora.

Romantyczność mimo balladowej treści więcej była związana z samą estetyką. Przedewszystkiem była odpowiedzią na artykuł Jana Sniadeckiego *O pismach klasycznych i romantycznych*, ogłoszony w styczniu 1819 r. Fakt ten, na który zwrócono uwagę już poprzednio, nabrał teraz pewności dzięki własnoręcznemu przypiskowi Mickiewicza w liście do Zana: „Obacz rozprawę w *Dzienniku Wileńskim*". Rzeczywistość potwierdziła więc raz jeszcze trafność hipotezy naukowej.

Hymn do młodości i *Romantyczność*, choć różne treścią,

pokrewne były ideowo. Oba utwory zrywały zasadniczo z racjonalizmem oświeconego wieku, przeciwstawiając mu w jednym natchnienie, zapał, energję, w drugim wiarę i uczucie. Śniadecki pisał szorstko i dobitnie: „Czary, gusła i upiory nie są naturą, ale płodem s p o d l o n e g o niewiadomością i zabobonem umysłu..“ oraz dalej: Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im d u b y, znieśmy prawa n a u k i i r o z s ą d k u, żeby nie było prawidła do sądzenia nas“. Młody autor słowa te, niewiele tylko zmienione, włożył do swej ballady:

Słuchaj dzieweczko! — krzyknie wśród zgiełku
Starzec i na lud zawoła:
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.

Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa warzone kuźni;
Dziewczyna d u b y smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni...[1])

Sprzeciwił się tej opinji twórca *Romantyczności*, wolał słuchać opowiadania prostej dzieweczki, wierzącej w pojawienie się duszy zmarłego przy tej, którą „kochał za żywota“, i mówił:

I ja tak słyszę i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze...

oraz kończył wreszcie:

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

Kaz. Brodziński w rozprawie z 1818 r. pisał o pieśniach ludowych, uznając je za najpiękniejsze źródło poezji. Mickiewicz poszedł dalej, gdyż rozumowi przeciwstawił prostotę i stanął już po stronie samych „w i e r z e ń“ ludowych.

Nie sądźmy, by odrazu przeistoczył całą twórczość i wszystkie poglądy. Razem z R o m a n t y c z n o ś c i ą posłał jeszcze do Wilna przekład klasycznego Pindara, a to, co zaczął wyrażać już

---

[1]) Pisał Śniadecki: „Wprowadzają dziś na scenę schadzki czarownic, ich gusła i wieszczby, duchów chodzących i upiorów... Cóż w tem nowego i dowcipnego! Wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach...: „Por. K a l l e n b a c h: *A. Mickiewicz*, 1897, t. I, str. 84.

w poezji, w szczegółowo obmyślonej teorji estetycznej przedstawił dopiero w 1822 r. Jest to dowodem, jednym z licznych, iż w praktyce poetyckiej wyprzedzał własną teorję, a zatem mylnem jest zdanie, iż przeciwnie całą jego poezję należy oprzeć na jego rozważaniach i studjach estetycznych. Nie zarzucił też ieszcze zupełnie dawnych estetyków, skoro w cztery miesiące później pytał go Malewski, czy potrzebuje Laharpa w części lub w całości, a w następnym liście donosił: Bler, Laharpe zostaną do twego przybycia.[1]) Czyż może się wydawać coś bardziej napozór dziwne, jak to, iż autor *Romantyczności* studjował równocześnie Laharpa?

Szedł już jednak światem nowy dreszcz, więc z początkiem 1821 r. poezja bujnie zakwitła i wśród kolegów Mickiewicza. U Zana zebrało się trzydziestu filareckich przyjaciół, deklamowali swe utwory Orlicki, Chodźko, Budrewicz, Staniewicz, Kozakiewicz, Piasecki, Chodorowicz i Frejend. Nie wszystko to zapewne były dzieła w duchu romantycznym, skoro nawet Czeczot, który już pisał ballady, przesłał Mickiewiczowi w pewien czas potem swe anakreontyki, a autor *Romantyczności* życzliwie je ocenił. Trzy z nich pod sentymentalnemi tytułami *Gołąbki, Rybki* i *Chłopczę w lesie* omówił w liście, dawał rady, jak je poprawić nie ze stanowiska pewnego literackiego kierunku, lecz wprost wyższego swego talentu, a co najważniejsze, jak sam przyznawał, „podobał sobie" jeszcze „także w wierszykach, ostatnią razą w *Pamiętniku Literackim* umieszczonych, rodzaju anakreontycznego".[2]) A przytem równocześnie pisał: „Szkoda, że nie czytasz Goethego; jest tam jeden słodziuchny anakreontyk, przednie wymyślony: Przedaż ptaków miłości".

W dziełach twórcy *Götza von Berlichingen* rozczytywał się z zapałem Mickiewicz już w lutym 1821 r. Dziwił się temu trochę Malewski, który Goethego nie znał, pisał więc: „Wierzę... w jego gracją, tak, jak w Trójcę świętą, ale trochę tknięty jestem, że cię tak zachwycił". „Choć ci Goethe tak bardzo się podobał, nie należy go tak długo trzymać; Bürgera nie będę mógł ci ina-

[1]) Arch. Fil. Kor. t. III, str. 325.

[2]) Zapewne wiersz p. t. *Pustoła Amorka,* przypuszczenie Czubka, p. Arch. Fil. Kor. t. III, str. 268.

czej dostać". [1]) W kilkanaście dni później przesłał mu jednak VII tom Goethego i Fausta. [2])

Ale też nieoceniony Malewski, któremu należy przypisać główny wpływ na lekturę Adama, już kierował go ku nowym, dalszym jeszcze widnokręgom. W kwietniu zachęcał go, by skoro poznał „niemieckie" *Leben, Geist i Welt* poznał także angielskie *comfort, blessing* i *grief.* [3]) W maju ofiarował się mu z przysłaniem dykcjonarza angielskiego, a z nim do nauki języka „Home'a lub coś podobnego". [4]) Dopiero jednak z początkiem następnego roku doniósł mu Mickiewicz, iż po germanomanji wpadł w brytanomanję, że z dykcjonarzem w ręku cisnął się przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny przez ucho igielne, za to Byron idzie mu już daleko łatwiej, chociaż ten może największy poeta nie wypędzi z kieszeni Schillera. [5]) A dopiero pod koniec tegoż 1822 r. napisał: „Byrona tylko czytam, książkę, gdzie w innym duchu pisaną, rzucam, bo kłamstwa nie lubię". [6]) Było to w związku z opisanym przezeń stanem duchowym.

Rok 1821, z którego połowę spędził Mickiewicz na urlopie ze szkoły kowieńskiej, zeszedł mu na lekturze, pisaniu ballad, nauce języka angielskiego i przygotowywaniu tomu pierwszego do druku. Nie „estetyzował" już, jak w roku poprzednim, ale „poetyzował" zawzięcie. Dopiero w początkach następnego roku miał napisać ciekawy pod wielu względami i obszerny komentarz do *Zofjówki* umiłowanego Trembeckiego.

---

[1]) Arch. Fil. Kor. t. III, str. 155.

[2]) j. w. str. 163 (wśród listów z r. 1821 wskutek błędu drukarskiego oznaczony tam, jako pochodzący z r. 1820).

[3]) j. w. str. 251

[4]) j. w. str. 286.

[5]) Ad. Mickiewicz: *Dzieła wszystkie*, Altenberg, Lwów, t. X, koresp. str. 119.

[6]) j. w. str. 143.

Mieczysław Smolarski.

Przegląd piśmiennictwa.

Benedictus Henricus Merkelbach O. P.: Summa Theologiae moralis. Paris, Desclée de Brouver & C-ie. 2 tomy str. 756 i 994.

Teologja moralna O. Merkelbacha, profesora rzymskiego kolegjum „Angelicum", przyniesie teologom moralistom i spowiednikom napewno niemało zadowolenia i pożytku. Dotąd okazały się dwa tomy w objętości łącznie 1750 stron zbitego druku, w przygotowaniu jest jeszcze trzeci tom, o sakramentach św. Dzieło to powstało z wykładów uniwersyteckich, jakie miał autor na Uniwersytecie katolickim w Lowanium. Cały wykład oparty jest ściśle na nauce księcia teologów św. Tomasza i na przepisach nowego Kodeksu prawa kanonicznego. Oprócz tego szerokie uwzględnienie w wykładzie znalazły świeckie przepisy prawne świeckich większości państw europejskich, a nawet i niektórych republik amerykańskich.

W układzie treści praca O. Merkelbacha różni się znacznie od wielu znanych i będących dotąd w powszechnem użyciu podręczników teologji moralnej. Zwyczajnie poza częścią ogólną, w której omawia się ogólne podstawy moralności, w części szczegółowej za podstawę podziału służą przykazania, przyczem ma się na względzie szczegółowe omówienie poszczególnych rodzajów i postaci grzechów. Tego rodzaju wykład ma wielkie zalety dla praktyki konfesjonałowej, nie daje jednak całokształtu nauki moralnej, bo albo zupełnie pomija albo tylko pobieżnie traktuje stronę pozytywną moralności — cnoty chrześcijańskie. Więcej naukowy i bardziej wyczerpujący jest podział części szczegółowej, który opiera się na układzie św. Tomasza w jego Summie teologicznej. Ten też podział przyjął autor omawianego dzieła. W części więc ogólnej omawia ogólne podstawy moralności, jak cel ostateczny, czyny ludzkie pod względem psychologicznym i moralnym, kwestję sumienia, jako najbliższej normy moralności i kwestję prawa, jako normy praktycznej, tudzież cnoty i grzechy w ogólności. W części tej na szczególne wyróżnienie zasługują, jako szeroko i gruntownie opracowane traktaty

o prawie i o cnotach. Część szczegółową podzielił autor na 7 traktatów: pierwsze trzy odnoszą się do trzech cnót teologicznych, następne cztery poświęcone są cnotom kardynalnym i cnotom z kardynalnemi złączonym. W każdym traktacie omawia autor najpierw samą cnotę i jej akty, dalej grzechy i występki danej cnocie przeciwne, potem tej cnocie odpowiadające dary Ducha Św., wreszcie przykazania nakazujące i zakazujące, które do tej cnoty się odnoszą. Ponadto dodane są dwa dodatki: w tomie I. dodatek dający szczegółowy i krytyczny przegląd różnych poglądów filozoficznych na podstawę i normę moralności, w II. tomie dodatek o t. zw. „moralnych systemach", dotyczących formowania sumienia w wypadku wątpliwości.

Wielką zaletą wykładu jest jego jasność, przejrzystość i ścisłość, przyczem podkreślić należy, że autor energicznie zaznacza łączność teologji moralnej z dogmatyczną i pierwszej od drugiej ścisłą zależność. Inną zaletą omawianego dzieła jest okoliczność, że autor obok argumentacji teologicznej, każdą kwestję, do tego się nadającą, ujmuje też filozoficznie i filozoficznie uzasadnia. Że jednak przy układzie dzieła miał autor na myśli i praktykę, świadczą o tem doskonałe i liczne „animadversiones" uwagi pastoralne, które uwzględniają nietylko praktyczne wskazówki dla spowiedników, ale i najnowsze problemy i zagadnienia moralności chrześcijańskiej czasów obecnych.

Jeszcze jedno podkreślić tu należy: w kwestji tak ongiś pasjonującej teologów, t. j. t. zw. „systemu moralnego", autor zajmuje stanowisko zupełnie spokojne i rzeczowe, i sam też stoi raczej na stanowisku probabilizmu.

Jak każde dzieło ludzkie, tak i omawiana praca nie jest wolna od pewnych usterek i niejeden pogląd autora może być przedmiotem jeszcze dyskusji; kwestje te jednak lepiej się nadają do pism ściśle teologicznych, jako właściwego pola do dyskusji między specjalistami. To wszystko jednak nie przeszkadza, aby dzieło autora uznać za prawdziwie magistralne, za które należy mu się szczere uznanie i życzenie, aby wraz ze spodziewanym trzecim tomem jak najwięcej się rozszerzało.

Ks. Dr. E. Chomrański.

Jos. de Guibert S. J. professor in Univers. Gregoriana: Documenta ecclesiastica christianae perfectionis studium spectantia. Romae 1931, 8⁰ str. XV+562.

Jest to książka napozór sucha i nudna, bo przecież jest tylko zbiorem dokumentów historycznych z pewnego odcinka życia religijnego — w rzeczywistości mamy w niej dzieło nietylko wysoce wartościowe, ale i ogromnie interesujące, jak interesującem jest wyrywanie się człowieka ku doskonałości, do pogłębienia i uświęcenia swego życia wartościami religijno-moralnemi.

Uświęcenie dusz, czyli doskonałość chrześcijańska, będąca właściwym celem całej olbrzymiej działalności Kościoła, jest przebogata w swoich objawach, nie jest bynajmniej zakrzepła i zmartwiała, jak sobie to nieraz wyobrażają ludzie stojący zdala lub uprzedzeni do religijnego życia katolickiego. By się o tem przekonać, wystarczy przestudjować 4 tomową książkę Pourrata: *La Spiritualité chrétienne*, lub kapitalną, wielotomową: *Histoire littéraire du sentiment réligieux en France*, napisaną niezmiernie interesująco przez H. Bremond'a. Każdy, kto tylko dobrej woli, może się już z tych dwu dzieł przekonać, jaką żywotnością, różnorodnością, chciałoby się powiedzieć wielobarwnością tryska owa *perfectio christiana*, tak często utożsamiana z zabójczą monotonją.

Mimo swego bogactwa i różnorodności nie wolno jej opuszczać gruntu prawdy objawionej i to pod grozą wypaczenia i zdziwaczenia — nieraz śmiesznego, jak to obserwujemy u pewnych sekt prawosławnych lub amerykańskich, — to znów wstrętnego, na co patrzyliśmy z obrzydzeniem w marjawityźmie z jego „mistycznemi" małżeństwami. A zaczęło się i tutaj od pobożności i szukania wyższej doskonałości, a skończyło się na pseudomistycznej lubieżności, bo grunt prawdy objawionej został odepchnięty.

Otóż nauczycielski i pasterski urząd Kościoła katolickiego czuwał bardzo troskliwie od samego początku, by pobożność chrześcijańska rozwijała się w zdrowym kierunku i zawsze na podłożu dogmatycznem. Ilekroć zachodziła potrzeba, tylekroć niebezpieczne czy fałszywe tendencje w życiu ascetycznem i mistycznem zwalczał i potępiał. W ten sposób przestrzegał wyznawców swoich przed bezdrożami. Natomiast wiele instytucyj, jak zgromadzenia zakonne, wiele praktyk i zwyczajów, mających na celu doskonałość chrześcijańską pozytywnie zatwierdzał.

Otóż te autorytatywne wypowiedzenia się Nauczycielskiego Urzędu, mające ogromną doniosłość dla życia wewnętrznego, O. Guibert troskliwie zebrał i dał nam zbiór dokumentów oficjalnych Kościoła katolickiego na temat doskonałości chrześcijańskiej. Ugrupował je w 4 wielkie okresy: 1) *Documenta ex aetate Patrum* aż do reguły św. Benedykta włącznie; 2) *Documenta ex medio aevo*, rozpoczynające się dekretami z wieku 8. i 9. nawołującemi do częstszej komunji św., a kończące się potępieniem Braci Czeskich na Morawie w r. 1498; 3) *Documenta ex aetate moderna* od czasów Lutra aż do połowy 19 wieku. Znajdują się tu dokumenta potwierdzające nowe formy życia zakonnego np. Jezuitów, potępienia szeregu zboczeń w życiu ascetyczno-mistycznem, a więc kwietyzmu i semikwietyzmu, jansenizmu, zalecenie Ćwiczeń duch. św. Ignacego i t. d.; Wreszcie 4) *Documenta ex aetate recentiori*, wśród których znajdujemy potępienie amerykanizmu, marjawitów, nieśmiertelnej pamięci dekret Piusa X o częstej komunji św., wyjątki z Prawa kanonicznego dotyczące świę-

tości kleru i świeckich katolików, wreszcie zalecenie „drogi dziecięctwa duchownego" św. Teresy od Dz. Jezus.

Wśród tego mnóstwa dokumentów pragnęlibyśmy w następnem wydaniu ujrzeć nieco więcej dokumentów pozytywnych, tyczących się nabożeństwa do Najśw. Serca, do Matki Bożej, do św. Józefa, jakoteż niektórych praktyk pobożnościowych np. szkaplerzy. Bardzo instruktywne są dwa Dodatki. Pierwszy zawiera zdania władzy kościelnej o pewnych faktach nadzwyczajnych, jak stygmaty św. Franciszka z Assyżu, objawienia w Lourdes, jak stygmaty O. Piusa da Petralcina... Drugi podaje w porządku chronologicznym listę dzieł ascetyczno-mistycznych, będących aktualnie na Indeksie, listę ustaloną przez *Index Tridentinus* i listę publikacyj usuniętych z Indeksu. Jest tu obfity materjał do interesujących spostrzeżeń.

Na szczególne podkreślenie zasługuje ogromna staranność, z jaką autor podaje dokumenta; są one zaczerpnięte nietylko z najkrytyczniejszych wydań, ale w razie potrzeby kolacjonowane z rękopisami. Powtóre wielką usługę oddają czytelnikowi krótkie ale dokładne przypisy, umieszczane na początku każdego dokumentu, przypominające historyczne okoliczności, z powodu których dany dokument został ogłoszony. Dzieło O. Guiberta będzie ważną i praktyczną pozycją w zakresie nauki o doskonałości chrześcijańskiej.

Ks. J. Andrasz.

Ks. Dr. Leon Puciata: Grzech pierworodny w teologji św. Anzelma. Wilno, 1932; Studja Teologiczne, zeszyt 1. Str. 240.

Autor postawił sobie za zadanie przedstawić św. Anzelma, jako „twórcę teologji grzechu pierworodnego" i oczyścić go z zarzutu jakoby miał poglądy zbliżone do bajanizmu i jansenizmu, stawianego mu przez niektórych autorów współczesnych. I trzeba przyznać, że się z niego bardzo dobrze wywiązał. Już sam rozkład materjału i rozdziałów poszczególnych wykazuje logiczną konsekwencję w rozumowaniu i wszechstronne opanowanie przedmiotu. Treść zaś sama ujęta jest językiem poprawnym i mimo abstrakcyjności tematu przystępnym i łatwym. W 10-ciu rozdziałach przedstawia najpierw szkicowo naukę katolicką o grzechu pierworodnym (R. I), potem w kilku krótkich a treściwych rysach historję rozwoju tego dogmatu (R. II); w czterech następnych rozdziałach rozwija już obszernie naukę św. Anzelma o grzechu pierworodnym, analizując z całym aparatem naukowym traktat: *De conceptu virginali,* z uwzględnieniem paralel tegoż św. Doktora z innych jego dzieł, a w 7-mym rozdziale, który stanowi niejako punkt kulminacyjny całej pracy, odpiera pozytywnie zarzuty czynione św. Anzelmowi, wykazując, 1-o że doktór magnificus wyraźnie odróżniał porządek nadprzyrodzony od przyrodzonego, 2-o że niemniej wyraźnie odróżniał łaskę, przez którą każda istota rozumna

posiada sprawiedliwość, od łaski aktu twórczego. Następują jeszcze trzy rozdziały (8—10) o wielkości „grzechu, przez który rodzaj ludzki został potępiony", o smutnem „dziedzictwie grzechu" i o „spuściznie chłosty", które uzupełniają plastycznie całość nauki św. Anzelma o grzechu pierworodnym.

Ogólnym rysem dodatnim, który cechuje całą tę pracę, to spokojne umiarkowanie i trzeźwa przedmiotowość, przebijające w poszczególnych dowodach i dochodzeniach. Wylicza tylko zdania, omawiające związek między darami sprawiedliwości pierworodnej a łaską, zostawiając jej rozstrzygnięcie studjum zwyczajnemu, nie odrzuca żadnej z teorji przyjętych i głoszonych przez autorów katolickich, co do losu i stanu dzieci umarłych bez chrztu, nawet w rozdziale, w którym przeprowadza swoją tezę i dwom skrajnym kierunkom się przeciwstawia, przedkłada tylko racje i dowody przedmiotowe.

Jeżeli zaś wolno zwrócić uwagę na jedno, to zdaje nam się że należałoby uwypuklić jeszcze w argumencie położonym na pierwszem miejscu w R. VII i wykazać pełniej, że odróżnienie porządku cudownego od porządku naturalnego i woli przez św. Anzelma, równa się odróżnieniu porządku nadprzyrodzonego od przyrodzonego. Naszem zdaniem św. Anzelm i każdy inny autor mógłby był postawić rozróżnienie tych trzech porządków nawet w hipotezie niemożliwości porządku ściśle nadprzyrodzonego. Wiadomo bowiem, że cuda byłyby możliwe i wtenczas, gdyby nas Bóg nie był wywyższył i przeznaczył do porządku i celu nadprzyrodzonego. Z tego więc, że św. Anzelm przyjmuje „bieg rzeczy", czyli porządek „cudowny", nie wynika — przynajmniej nie wprost — że przyjmuje także „bieg rzeczy", czyli porządek „nadprzyrodzony" w znaczeniu ścisłem. Porządek bowiem ściśle nadprzyrodzony wyższym jest rodzajowo od porządku tylko cudownego. On nie jest cudem tylko, lecz czemś, co przewyższa wszystkie cuda, bo sublimacją natury.

Niemniej jednak argumenty dalsze w kontekście swoim i rozpatrzone na tle całokształtu doktryny św. Anzelma przekonywują i stwierdzają jasno, że św. Anzelm znał porządek ściśle nadprzyrodzony i że przypisywanie mu poglądów bajusowskich, czy jansenistycznych jest co najmniej nieprzedmiotowe.

W.

Ks. Dr. Józef Lubelski: Dogmatyka katolicka. Podręcznik szkolny. Kraków 1932. Nakł. autora. Str. 168.

Trudność ułożenia dobrego podręcznika do nauczania dogmatyki katolickiej w szkole średniej ten tylko należycie zrozumie i oceni, kto z jednej strony nietylko zna i normy ustanowione przez urzędowy program nauczania religji katolickiej dla gimnazjum i szczupłość czasu, jakim katecheta w szkole rozporządza (co najwyżej 63—65 godzin trzykwadransowych przez cały rok

szkolny), ale i sam miał możność praktycznego przeprowadzania tego programu w szkole w konkretnych warunkach. W myśl wspomnianego programu zadaniem nauczania dogmatyki w szkole średniej jest systematyczne podanie młodzieży zasad wiary już na podstawie filozoficznej, i dlatego obejmuje ono całokształt nietylko nauki dogmatycznej Kościoła, ale też apologetykę i niektóre przynajmniej działy filozofji chrześcijańskiej, choćby np. całą naukę o duszy nieśmiertelnej, tudzież o istocie i czynnościach rozumu i woli. Dlatego to istnieje duże niebezpieczeństwo, że podręcznik szkolny dogmatyki katolickiej łatwo stać się może tylko polskim skrótem wykładów przeznaczonych dla teologów, dobrym może do powtórek przedegzaminowych, ale nie podręcznikiem dla młodzieży szkolnej.

Tego niebezpieczeństwa uniknął w wysokim stopniu znany chlubnie autor omawianej książki, i to jest jedną z niemałych zalet tego podręcznika. Do innych należy wielka zwięzłość i jasność wykładu; cały materjał potrafił autor ująć na 168 stronach druku. Jest to już duży postęp w stosunku do istniejących innych tego rodzaju podręczników. Obok tego należy pochwalić i zewnętrzny wygląd książki, która drukowana jest na dobrym, białym papierze, drukiem czystym i wyraźnym, i w tekście urozmaicona dobrze dobranemi ilustracjami z arcydzieł sztuki religijnej. Od wielu innych tego rodzaju podręczników wyróżnia się książka ks. Lubelskiego i tem jeszcze, że zaznacza ona wartość życiową i praktyczną dogmatów wiary, a oprócz tego niekiedy dorzuca doskonałe pytania „do rozważania", jak np. czy spełniam przyrzeczenia dane Bogu przy chrzcie; mój stosunek do Jezusa i t. p. Tego rodzaju pytań przydałoby się nawet więcej.

Oczywiście że, jak w każdem dziele ludzkiem, są i w podręczniku ks. Lubelskiego pewne braki i usterki, których omówienie nadaje się raczej do czasopism teologicznych, wszakże one zupełnie nie umniejszają wartości omawianej książki. W każdym razie należy uznać ją za obecnie najbardziej odpowiadającą praktycznym wymaganiom nauczania w szkole średniej.

Ks. Dr. E. Chomrański.

Ks. Józef Kaczmarczyk: Męka Jezusa Chrystusa podług czterech ewangelij. Kraków. Księgarnia Krakowska. 1932. Str. X i 210 in 8° z jedną ilustracją i jednym planem.

Miłośnikom rozważania Męki Pańskiej oddał ks. prof. Kaczmarczyk w tej książce wielką usługę, tem cenniejszą, że oryginalnych prac polskich uczonych na ten temat było niewiele, a żadna tak dokładna jak niniejsza. Na podstawie rozległej literatury zbiera Autor z prawdziwym pietyzmem całe mnóstwo mało znanych szczegółów, które na sens słów Zbawiciela, począwszy

od ostatniej wieczerzy i na poszczególne sceny Jego męki jaśniejsze rzucają światło. Rzecz odda kaznodziejom pasyjnym i nauczycielom religji pierwszorzędne usługi. Jeżeli zaś tej dobrej, pożytecznej pracy możnaby coś wytknąć, to chyba nie dość zdecydowany *genre* literacki. Tak w tekście, jak w przypiskach nie wie się nieraz czy się ma do czynienia z dziełem naukowo-popularnem, czy przeznaczonem głównie do podniecania pobożności, na co zdawałoby się wskazywać i słowo wstępne. Nadto w niejednem miejscu zbyt wiele wagi przykłada się do czystych hipotez lub domysłów. Dadzą się też zauważyć pewne usterki językowe. Co do rzeczy zewnętrznych, pomijając już nie dość staranną korektę, trzeba było koniecznie w tytulikach poszczególnych ustępów zastosować większy stopień czcionek a teksty ewangeliczne drukować kursywą. Praca byłaby przez to dużo zyskała na przejrzystości i estetycznym wyglądzie.

Ks. J. Rostworowski.

Ks. Mateusz Jeż: Egzorty dla młodzieży szkolnej. Rocznik III. Kraków, Nakładem Autora, 1932. 417.

Egzorty ks. Mateusza Jeża mają swoją specyficzną woń i swoisty posmak. Nie są ani przeładowane literaturą ani cytatami z Pisma św. Naogół skąpo rozsiane są w nich przykłady; styl raczej prostoty niż wykwintny; zastosowania do życia uczniowskiego jakby właśnie chciało się przywołać do porządku jakiegoś niesfornego chłopaka; jest to typ egzort, że się tak wyrazić można, nie pisanych celem ich publikacji, ale mówionych, po ich zaś przeczytaniu odnosi się wrażenie, że się co dopiero wyszło z kaplicy szkolnej czy klasy, gdzie poważny, cieszący się wielkim autorytetem ks. katecheta wygłosił egzortę prostą, ale ogrzaną wielkiego serca miłością, stąd wrażenie jej musi być niezatarte. Można je z książki znów żywcem przenieść na ambonę, ale tylko przez tego, który cieszy się wśród uczniów wielką powagą i wielkiemi zaletami osobistemi.

Zbiór egzort jest przebogaty. Są naprzód egzorty na wszystkie niedziele roku; potem idą okolicznościowe (17); potem nauki w cyklach: o korzyściach z religji katolickiej, o nieśmiertelności duszy, o wierze, o przyczynach niedowiarstwa; nakoniec są trzy serje szkiców rekolekcyjnych. Rekolekcje dla uczniów należą bodaj że do najtrudniejszych. Wymagają przykucia uwagi, porwania i zapalenia.

Z ciekawością zabrałem się do przeglądnięcia szkiców ks. Jeża. Po przeczytaniu ich jedna uwaga nasunęła mi się przed oczy: szkoda, że to tylko szkice. Taki doskonały obserwator życia uczniowskiego i długoletni pedagog niezmierniebyś się przysłużył szkole, gdyby był wydał pełny zbiór nauk rekolekcyjnych, rozprowadzonych do ostatnich szczegółów. Ci, którzy muszą dawać

uczniom rekolekcje, a nie mają bliższego z nimi zetknięcia, znaleźliby bogaty repertuar do praktycznych uwag i wskazówek. Miejmy nadzieję, że to jeszcze nastąpi.

Ks. J. Godaczewski T. J.

Ks. Józef Bielicki: Przemówienia okolicznościowe. Nakładem Autora, Brodnica n. Drwęcą (Pomorze), 1932.

Jest to zbiór kazań naprawdę okolicznościowych. Nie są to tylko przemówienia familijno-kościelne, np. z powodu ślubów, rocznic i t. p., ale wchodzą w zbiorek takie przemówienia jak: z okazji Tygodnia L. O. P. P., po Mszy św. dziękczynnej, odprawionej w intencji urzędnika, przechodzącego w stan spoczynku, z okazji poświęcenia młyna, poświęcenia sztandaru Tow. Cyklistów, poświęcenia domu „Kasy Chorych", na Święto Pułkowe i t. d. Księża, którzy nieraz muszą się biedzić, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, by na prośbę coś przecie powiedzieć, mogą w tym zbiorku znaleźć i wzór i niejedną myśl zbawienną czy jakiś aforyzm, który da się składnie rozwinąć.

Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz w tym zbiorku, mianowicie przygotowanie parafjan na mające się odbyć misje. Jest to także nielada dla ks. prob. kłopot, jak przygotować ludzi i zachęcić ich do wzięcia udziału w misjach. Wskazówki pod tym względem można znaleźć w dodatku do przemówień okolicznościowych, przedrukowanym z „Wiadomości kościelnych", gdzie ks. prob. z Brodnicy z wielkim sprytem rozwinął całą swoją działalność kolportażu misyjnego.

Ks. J. G.

Nasza walka o szkołę polską 1901—1917. Opracowania, wspomnienia, dokumenty — zebrała Komisja Historyczna pod przewodnictwem prof. Dra Bogdana Nawroczyńskiego. Nakładem Komitetu obchodu 25-lecia walki o szkołę polską. Warszawa 1932, t. I, str. XII + 487.

Ze wzruszeniem bierze się do ręki ten potężny tom materjałów do historji walki o szkołę polską. Walkę o polskość szkoły podejmowała z zaborcami sama młodzież, podczas gdy starsze pokolenie społeczeństwa, znużone, ostrożne, często bez wiary w możność zwycięstwa, albo tej walce się przeciwstawiało, albo dopiero do niej się przyłączało, dając się pociągnąć swoim dzieciom. Ci młodzi właśnie, którzy ową walkę podjęli i prowadzili, dziś stojąc na najwybitniejszych stanowiskach w Rzeczypospolitej święcą jej jubileusz i wyciągają z przygasłej pamięci i z archiwów dokumenty i wspomnienia swojej młodzieńczej epopei, nazywając ją z dumą: „nasza walka".

Tom pierwszy, który świeżo wyszedł z druku, odtwarza walkę o pacierz polski i religię po polsku pod zaborem pruskim

(Września!), podobnąż walkę w zaborze rosyjskim w gimnazjach na Podlasiu i Polesiu, wreszcie najważniejszą walkę o polskość szkoły w Kongresówce w ostatnich 10 latach jej niewoli pod caratem. Otrzymujemy tutaj z pod pióra kilkudziesięciu autorów historję legalnych i konspiracyjnych organizacyj młodzieży, które walkę o szkołę polską organizowały i przeprowadzały, — potem obrazki z poszczególnych zakładów naukowych, na których terenie walka ta — w postaci strejku a potem bojkotu — była prowadzona.

Jak łatwo zrozumieć, taka zbiorowa praca nie może być całkowicie jednolitą. W opracowaniach poszczególnych autorów występują ich polityczno-partyjne różnice i sympatje, — forma przedstawienia jest także rozmaita. Komisja redakcyjna wszakże usiłowała wygładzić nieco te kanty. Niektóre artykuły (zwłaszcza odnosi się to do artykułu B. Lutomskiego) słownictwem i frazeologją przypominają ton odezw młodocianych bojowników z r. 1905, nie na miejscu jednak w historycznem opracowaniu, po 25 latach i po zapadnięciu się w nicość ówczesnego wroga. Można także kwestjonować pewne metody, jakich w walce z rusyfikacją używano, są między niemi i takie środki, które trudno usprawiedliwić nawet tak wzniosłym celem, o jaki walczono. Naogół wszakże walka o polską szkołę stanowi ważny odcinek walki nieśmiertelnego ducha narodu przeciwko jego grabarzom. Książka niniejsza stawia pomnik bohaterom owej walki.

Ks. J. Urban.

W. Szary: Świetność i upadek Eldorada. Warszawa, Skład główny: Dom książki polskiej, 1932, str. 93.

Wiele się już pojawiło na półkach księgarskich książek, poświęconych współczesnemu kryzysowi gospodarczemu, a ujmujących go pod tym lub innym kątem widzenia. Niniejsza książka ujmuje to zjawisko z punktu widzenia satyry na istniejące stosunki gospodarcze, pozostawiając niejako na uboczu całą powagę i tragizm jego dla życia i całej cywilizacji współczesnej. Wychwytuje ona z rzeczywistości gospodarczej pewne fakta i obrazy, w których absurdalność obecnego stanu rzeczy ujawnia się najjaskrawiej, przedewszystkiem więc to absurdalne nieznane w poprzednich okresach historji zjawisko nędzy szerokich mas ludności wśród obfitości dóbr użytecznych. Bywały bowiem dawniej głody i nędze, większe nawet, niż w czasach obecnych, ale zawsze miały one swe podłoże w rzeczywistym braku środków do zaspokajania potrzeb ludzkich, w naszych czasach natomiast po raz pierwszy, może, w historji nędza szerokich mas ma swą zasadniczą podstawę w zbyt obfitej produkcji wszelkich dóbr użytecznych.

Autor wyświetla nam tę paradoksalność współczesnego życia

w obrazie szczęśliwej wyspy Eldorado, dobrobyt której ma swe wyłączne źródło w tem, że mieszkańcy jej nic nie produkują, wykorzystując tylko ku własnej korzyści obecny anormalny stan stosunków gospodarczych w świecie; dobrobyt ich natomiast załamuje się wówczas, gdy stosunki te normalnieją, to znaczy zostaje ponownie restytuowana wartość pracy. Następnie kilka innych obrazów satyrycznych rzuca nam jaskrawe światło na zasadniczy brak wszelkich skrupułów i etyki wśród bardzo wielu kierowników obecnego życia gospodarczego. We wszystkich tych obrazach nie brak bardzo trafnych uwag ekonomicznych, nie brak również dowcipu i humoru.

Jeżeli rola satyry polega na tem, by wszelkie zboczenia i skrzywienia życia dojrzały siebie w odpowiedniem zwierciadle, to książka niniejsza spełnia swe zadanie bardzo trafnie.

Inż. A. Kliszewicz.

Stanislas Łukasik: La France et la Pologne a travers les siècles, jusquà la grande révolution. Paris, Gebethner et Wolff. 1933, str. 108.

Posiadamy w języku polskim szereg dzieł omawiających różne wycinki stosunków polsko-francuskich, zato odczuwamy ciągle brak podobnych dzieł w języku francuskim, dostępnych dla naszych sprzymierzeńców. Tem większa więc zasługa autora, że w dziele swym wydanym w języku francuskim, więc dostępnym dla zagranicy, podjął się przedstawienia nie jednego wycinku, ale niemal całokształtu stosunków polsko-francuskich, tak na terenie politycznym, jak i kulturalnym, aż po wielką rewolucję.

Wyczerpać zagadnienie na stu ośmiu stronnicach było naturalnie niemożliwem, jest więc książka raczej zarysem, niemniej jednak zarysem opartym na rozległem oczytaniu, tu i ówdzie na samodzielnych studjach. Nie brak więc w niej wśród rzeczy znanych, wiadomości nowych. Że wymienimy tylko nowe oświetlenie stosunku Ronsarda do Polski.

Autor zamyśla zczasem opracować ten temat w szerszych rozmiarach, naprawi więc przy tej sposobności zapewne drobne usterki, które jak w każdej innej książce można i w jego dziele zauważyć. Z naszej strony zauważyliśmy jedynie pewne luki w bibljografji i kilka drobnych przeoczeń. Tak np. mówiąc o sądach Francuzów o Polakach wartoby uwzględnić i wykształconego sekretarza posła francuskiego w 1653 r. d'Oycér'a i bystrego dyplomatę, A. de Lumbres, którego relacje, ujęte w formę niemal pamiętników, zostały nie tak dawno wydrukowane. Koniecznem okaże się też w przyszłej redakcji pewne pogłębienie pierwszego rozdziału, mówiącego o stosunkach politycznych między Polską a Francją.

Dr. W. Cz.

Giovanni Papini: G o g. Kraków, Wydawn. literacko - naukowe.

Gdy ukazał się we Włoszech „Gog" Papiniego, rozeszła się po Polsce niewiadomo gdzie powstała wersja, że Papini ze świeżego konwertyty zmienił się w apostatę. Wersja ta znalazła tem chętniejszy posłuch, że wielu ludzi było zgorszonych i urażonych „Życiem Chrystusa", napisanem przez niego wkrótce po nawróceniu. Że żywot ten mógł niejednego urazić, nie dziwię się: jest on napisany tak śmiało, że prawie zuchwale, tak realistycznie, że prawie brutalnie. Ale w tej brutalności, w skrajnym realiźmie, z jakim zawsze pisze Papini, niema nic obrażającego religję. Mogą być tony, rażące ucho nieprzyzwyczajonych do „doux parler" czytelników. Jego fanatyczna, gwałtowna i ponura umysłowość może niektórym nie odpowiadać, ale niema powodu na skutek tej jego specjalnej mentalności podawać w wątpliwość szczerości jego nawrócenia (bo i ten zarzut często się słyszało). Nawrócenie Papiniego zmieniło jego światopogląd, ufajmy że złagodziło jego charakter, ale nie zmieniło i nie mogło zmienić jego sposobu widzenia, rodzaju umysłowości i specyficznych strun jego artystycznej wrażliwości. Piszę to dla niechętnych Papiniemu, bo dla mnie i „Żywot Jezusa", pisany ogniem i żarem, płonący nie łagodną i miękką, ale pożerającą miłością, tak samo jak i genjalny psychologicznie, krwią własnego serca pisany „Żywot św. Augustyna" — to wspaniałe i głęboko wstrząsające książki religijne, książki które nie pieszczą, nie koją, nie pocieszają, ale palą duszę mieczem bezkompromisowej prawdy, które ją rozdzierają bolesnym i tragicznym rachunkiem sumienia.

Te wszystkie cechy tragizmu, realizmu, namiętności może jeszcze w wyższym stopniu posiada sławny „Gog", świeżo na polskie przetłumaczony. Trzeba przyznać, że jest to książka dziwaczna, ponura, jeśli kto chce okropna, ale i jakżeż wielka, jakżeż głęboko mądra w swej często do absurdu doprowadzanej paradoksalności, jakżeż piękna w swej nieokiełznanej fantastyczności. Rodzaj jej trudny jest do określenia. Autor mówi w pierwszym rozdziale, że w domu warjatów poznał się z pewnym człowiekiem imieniem Gog. Zewnętrzność tego człowieka jest odrażająca. Jest to Amerykanin, który dorobił się olbrzymiego miljardowego majątku. Majątku tego użył, aby poznać i zrozumieć wszystko, co na świecie rzadkie, osobliwe, ciekawe. Tenże Gog daje autorowi kartki swego luźnego pamiętnika i cała książka, to właśnie te rzekome kartki, czy notatki, w których przemawia już nie autor, ale Gog.

Przedstawiając czytelnikowi Goga, autor przemawia jasno i niedwuznacznie: „Zbytecznem byłoby, jak sądzę, zaznaczenie, że w żaden sposób nie podzielam uczuć i myśli Goga, oraz jego interlokutorów. Całe moje jestestwo — które zresztą odrodziło się całkowicie po powrocie do Prawdy — potrafi tylko brzydzić się wszystkiem, w co Gog wierzy, co mówi, co czyni..."

„W Gogu widziałem jeno rodzaj symbolu fałszywej i bestjalskiej według mnie cywilizacji kosmopolitycznej". „Gog jest potworem i dlatego właśnie jest jakby karykaturalnem odzwierciedleniem pewnych tendencyj nowoczesnych"... uwypuklają się bowiem lepiej w tem groteskowem powiększeniu choroby sekretne (duchowe), na które cierpi obecna kultura".

Po tym wstępie następuje cały szereg rozdziałów luźnych, jedynie ideowo ze sobą powiązanych, w których głos ma Gog. Są to rozmowy Goga z różnemi wybitnemi osobistościami współczesnemi: Leninem, Gandhim, Maeterlinkiem, Einsteinem, Freudem i t. d., rozmowy, w których interlokutorzy doprowadzają swoje teorje i poglądy do absurdów. Są to opisy podróży Goga po całym kontynencie świata, jego obserwacje i spostrzeżenia. Są to jego sny, jego marzenia, jego fantastyczne wizje, jego doświadczenia spirytystyczne, przeżycia artystyczne, rozmyślania o różnych sprawach życia: kapitaliźmie, polityce, sprawiedliwości, kwestji żydowskiej i t. d. Obrazy to najczęściej ponure, czasem potworne, zawsze skrajnie karykaturalne, przepełnione żrącą, jadowitą ironją, smagające krwawym sarkazmem różne nonsensa, zboczenia, zarozumiałość i bezmyślność współczesnej umysłowości. A ponieważ Papini jest przedewszystkiem artystą, więc nawet kwestje filozoficzne jawią się przed nim w kształcie często dziwacznych, często zawiłych wizyj - symbolów. Ale trzeba też przyznać, że najczęściej obrazy te są wspaniałe, porywające potęgą imaginacji, czarujące plastycznością oddania. Nie prędko zapomni oszołomiony tem bogactwem czytelnik snu o złotych domach, podziemnych i wiszących miastach, historji rodzących się i umierających gwiazd, wizji ziemskiego globu, który Gog urządza na swój użytek, czyniąc sobie z Afryki teren myśliwski, z Europy willę wypoczynkową, z Ameryki biuro i kantor, a z Sahary terasę do słonecznych kąpieli... Obrazy te zdumiewające śmiałością i różnorodnością, zdają się bić jak z niewyczerpanego źródła, zdają się buchać jak ognista lawa potężnego wulkanu w erupcji.

Gdy Gog dzięki swym miljardom przerzucił całe życie karta za kartą, gdy wyszedł ze złotej kąpieli, gdy zwiedził cały świat, gdy zaznał rozkoszy władzy i sławy, gdy dzięki spirytystycznym doświadczeniom starał się zedrzeć zasłonę ze świata niewidzialnego — stanął wobec życia bardziej znudzony i zniechęcony, niż kiedykolwiek. Za swoje miljardy kupił wszystko oprócz prawdy i szczęścia. Iście apokaliptyczna wizja świata, rządzonego przez „bestję", wzbudziła w jego sercu złość i nienawiść. Znudzony i zniechęcony, przebiera się za żebraka i błądzi po toskańskich pagórkach. Mała włoska dziewczynka, wzruszona litością, daje mu kromkę czarnego chleba. I gdy głodny i zmęczony je ten z prawdziwej litości otrzymany chleb, słodycz i radość zalewają mu serce. Może zdala od pychy i chciwości, znajdzie szczęście, wśród niezgangrenowanych cywilizacją serc, biorąc z ziemi tylko

jej największy i najprostszy dar: chleb. Tym jedynym w całej książce łagodnym, rzewnym i lirycznym tonem zamyka Papini swe wielkie dzieło.

Papini jest skrajnym radykalistą. Nie zna półcieni i półśrodków, nie uznaje kompromisów, i przez wszystkie jego dzieła przewija się idea, że cały świat dzisiejszy, cała jego kultura, cywilizacja i umysłowość odeszła od Chrystusowego ideału, albo co w jego pojęciu jest jeszcze gorsze, mieniąc się chrześcijańską, zawarła z nauką Ewangelji kompromis. Zwłaszcza, gdy ten kompromis dotyczy rzeczy, którą Papini najbardziej nienawidzi: bogactwa, złota, mamony — oburza go on do głębi. Nauka Chrystusowa w jego pojęciu idzie zasadniczo wbrew instynktom ludzkim, więc człowiek (jak Gog) albo ją odrzuca, albo wynajduje sobie z nią swoisty „modus vivendi": powtarza ustami: „błogosławieni cisi, ubodzy, pokój czyniący", a uznaje tylko przemoc i gwałt, czci pychę, pożąda i uwielbia bogactwo. I czyż można mu odmówić słuszności? Te to bóstwa czci świat usymbolizowany w karykaturze Goga, a cała książka, to śmiałe i namiętne oskarżenie świata, który nie przebudował swej duszy wedle najszczytniejszej, jedynie prawdziwej, bo Boskiej, ale zarazem i najradykalniejszej nauki, jaka była mu dana, wedle nauki kazania na Górze.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Franciszek Mauriac: K ł ę b o w i s k o ż m i j. Warszawa, Nakł. Gebethnera i Wolffa.

K ł ę b o w i s k o ż m i j — to serce Ludwika, skąpca, dziwaka, tyrana i okrutnika. Ten Ludwik, starzec 68 letni opowiada w formie dziennika całe swoje życie. Niepodobna streścić tej strasznej, tragicznej historji starca, żyjącego wśród swej rodziny jak znienawidzony i nienawidzący wróg, starca coprawda złego i okrutnego, ale jakżeż straszliwie nieszczęśliwego, właśnie przez to zło, które w sercu swem pielęgnuje. Wszyscy myślą, a i on sam w to wkońcu wierzy, że jedyną jego namiętnością i umiłowaniem jest pieniądz; ale dla niego pieniądz jest raczej symbolem i środkiem władzy nad ludźmi, których miłości zdobyć nie umie. Pozbawiony wszelkiego wdzięku, zimny, sztywny, jest w głębi duszy spragniony miłości, ale przez swą podejrzliwość i nieufność odpycha od siebie wszystkich. Człowiek niewierzący, pełen i do religji nienawiści, żyje otoczony rodziną płasko i konwencjonalnie religijną — to go od wiary tem bardziej odpycha, bo jak wielu ludzi niewierzących, ma on o religji i jej roli w życiu trafne a wysokie pojęcie. Chwilami ma odczucie świata nadprzyrodzonego, wieczności, nieśmiertelności duszy, ale błyski te tłumi w nim nienawiść, jaką odczuwa i jaką wzbudza. Sam cierpi najwięcej na tej nienawiści, która wypełnia jego serce, cierpi nad

złem, które go opanowało i które rządzi jego życiem. Dlaczego się z niego nie otrząsnął? Dowiadujemy się o tem pod koniec książki, gdy złamany i nad grobem stojący starzec pisze w swym dzienniku te znamienne słowa: „wątpię czy nawet w młodości mógłbym rozerwać to zaczarowane koło (zła). Trzebaby na to siły, powiadam sobie. Ale jakiej siły? Trzebaby tu kogoś. Tak kogoś, w którym się możemy całkowicie zatopić, ktoby poręczył moje wewnętrzne zwycięstwo". I już teraz wie Ludwik, że całe jego życie było porażką dla braku w niem tego elementu nadprzyrodzonego, bez którego człowiek jest bezsilny, — bo „nawet najlepsi nie mogą nauczyć się kochać o własnych siłach: aby przechodzić spokojnie nad śmiesznością, wadami, a zwłaszcza nad głupotą ludzi, trzeba być w posiadaniu tajemnicy miłości, tajemnicy, której świat już dziś nie zna. Dopóki tej tajemnicy nie odnajdzie, daremnie będziecie usiłowali zmienić warunki życia ludzkiego". „Tkwiło też we mnie poczucie, przeczuwana pewność, że na nic się nie zda zburzyć powierzchnię świata; trzeba świat uderzyć w samo serce. Szukam tego, który jedynie mógłby odnieść to zwycięstwo; on sam musiałby być Sercem serc, ogniskiem pałającem miłości".

W tych pięknych, głębokich słowach streszcza się cała wielka katolicka idea twórczości Mauriaca: jeden jest tylko dobry Bóg, a poza Bogiem niema dobra. Bez światła prawdy objawionej, bez podmuchu nadprzyrodzoności niema dobra, niema cnoty, a nawet niema pokoju i szczęścia. Bez tej pomocy zło jest zawsze zwycięskie. Uczucia i instynkty skażonej natury ludzkiej, pozostawione ich ziemskiemu biegowi, doprowadzają człowieka poprostu do zbrodni i zezwierzęcenia. (Cała galerja Mauriacowskich typów!) Mauriac nie jest ani moralistą ani polemistą. W swych książkach nie stawia nam wzorów do naśladowania, nie przedstawia nagrodzonej cnoty, ani ukaranego występku, nie unika silnych wyrażeń, wszystkie realności życia bierze w rachubę i nazywa je po imieniu (toteż nawiasem mówiąc książki jego nie są lekturą dla panienek), nie waha się przedstawiać (jak np. właśnie w „Kłębowisku żmij") katolików płytkich i bezdusznych w jak najczarniejszych barwach — toteż jego powieści odbiegają daleko od pojęcia, jakie sobie o szablonie powieści, t. zw. katolickiej, może wytworzyć przeciętny czytelnik. Jego powieści są artystyczną transpozycją tego najsilniej w Ewangelji występującego żądania Chrystusowego, żądania wiary w jego Bóstwo, ewangelicznego „Wiara twoja ciebie uzdrowiła". Na silnej wierze w realność tego porządku nadprzyrodzonego, na przeciwstawieniu go porządkowi przyrodzonemu, polega głębokość, tragizm a przedewszystkiem niewątpliwa i wielka „katolickość" całego dzieła Mauriaca.

Ocena i analiza artystycznych walorów „Kłębowiska żmij" mogłaby wypełnić całe studjum. Słusznie powitała krytyka fran-

cuska tę książkę jako arcydzieło. Jest to powieść wykuta z jednego bloku marmuru, wykuta jakby dłutem Michała Anioła, tak postacie jej są przesadzone ponad wielkość naturalną, a tak jednak prawdziwe w swych doskonale ludzkich proporcjach. Czasem słyszy się zarzuty, że bohaterowie „Kłębowiska żmij" są przesadzeni, że takich ludzi niema. Może rzeczywiście niema takich ludzi, ale takiem właśnie jest ludzkie serce w swej nagiej i ohydnej prawdzie. Zdumiewające skarby psychologicznej mądrości i głębi rozsnuł tu autor przed nami, a cała książka pulsuje tylko Mauriacowi właściwą namiętnością, żarem, intensywnością przeżyć; jej napięcie dramatyczne nie słabnie ani na chwilę. Tragedja starości, tragedja wzgardzonej miłości, tragedja całożyciowego nieporozumienia między dwojgiem w gruncie rzeczy kochających się ludzi wydobyta jest jak najbardziej siebie świadomymi i dojrzałymi środkami artystycznemi. Formy pamiętnika używa Muriac z niezrównaną maestrją dla stworzenia całości doskonale zbudowanej. Forma ta pozwala mu przeplatać klasyczne opisy epickie wylewami lirycznemi i refleksjami psychologicznemi, ona też przyczynia się do wywołania w czytelniku poczucia jakiejś przedziwnej i przykuwającej bezpośredniości. Powtarzam, że opisać ani zanalizować się nie da potęgi, siły i grozy tej wspaniałej książki, tego jedynego w swoim rodzaju czaru, który bije z jej krótkich jakby zadyszanych zdań, ze spalonych słońcem wrzosowisk, z omdlewających w żarze winnic, z tej spieczonej gleby ziemi i gleby serc, na których szare zgliszcza padają orzeźwiające smugi zaziemskich świateł. Temperatura krajobrazu Mauriaca i temperatura dusz jego bohaterów jest zawsze zbliżona do temperatury wrzenia.

Przekład p. Skiwskiego jest dobry. Ale tu i tam mamy pewne wątpliwości: „nie mogli się zwyknąć z moimi łzami", „kasowałem się na przyjemność". Czy takie i tem podobne wyrażenia są poprawne? Chyba że zaszły tu błędy korekty, lub pośpiechem spowodowane przeoczenia tłumacza. I jeszcze jedno. Dlaczego p. Skiwski używa jak wielu zresztą polskich tłumaczy, wyrażenia „śniadał"? Jest to wyrażenie typowo chłopskie i byłoby na miejscu w opisie środowiska chłopskiego, dlaczego, mówiąc o środowisku inteligencji (jak w tym wypadku), nie użyć tego najprostszego i najpowszechniej używanego zwrotu: Jadł śniadanie. Już w „Forsytach" drażniący byli ci lordowie, co „śniadali" w łóżku. A teraz ten zwrot u tak doskonałego pisarza jak p. Skiwski jest poprostu rażący. Ale może nie należy szykanować o słowa przekładu, który osiągnął rzecz najważniejszą: oddał doskonale temperaturę książki i wydobył z niej wszystkie walory artystyczne w sposób iście mistrzowski.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Leopold Staff: Wysokie drzewa. Warszawa, Wydawnictwo Mortkowicza „Pod znakiem poetów".

Gdy po przerzuceniu tak licznie się dziś pojawiających tomików wierszy współczesnych weźmiemy ostatni tom wierszy Leopolda Staffa p. t. „Wysokie drzewa", mamy wrażenie, że drobne hałasy miasta, nad jego turkoty, gwary, cienkie melodyjki dzwonów — wzbił się potężny, rozkołysany, pełny i silny głos Zygmunta. I już nie słyszymy tego całego przyziemnego jarmarku; dokoła nas robi się cisza wielkiej sztuki. I w tej ciszy jesteśmy na szczycie Poezji. Istnieją dla nas tylko sprawy najwyższe: Bóg, piękno ziemi, nasza wielka potężna małość. Jesteśmy na wieży czasu, z której patrzymy w blask gwiazd, w złoto zachodu, w przemijanie naszego wiecznością utrwalonego życia. Słuchamy wielkiej ciszy, tej ciszy, która potrzebna jest, aby usłyszeć głos Boży, najgłębsze drgnienia naszej duszy i przedziwną muzykę świata.

Ta przedziwna cisza jest jakby muzycznym „leitmotiwem" całego tomiku. Tę ciszę świata umieli słyszeć tylko najwięksi poeci. Słyszał ją w Soplicowie Mickiewicz, słyszał ją Kasprowicz wśród tatrzańskich wierchów. Teraz usłyszał ją Staff. Słyszał ją

gdy z łąk koniki polne w sierpniowem gorącu
Tysiącem srebrnych nożyc szybko strzygą ciszę.

Słyszał ją w bezksiężycowej nocy na nowiu, gdy chwytał uchem „śpiew zgłuchły" „w dzwoniącem milczeniu". Słyszy ją wieczorem nad brzegiem obrosłej drzewami wody, gdy

Ciszą jest tafla jeziora,
Tafla jeziora jest ciszą.

Rozkłada nam tę ciszę na tony:

Nawet drgnienia listka
Ucho nie posłyszy,
Brzęczy tylko mucha,
Główna struna ciszy.

Podziwia ciszę,

...co najczystszy ton wzięła w koncercie.

Człowiek, tak zasłuchany w wielką ciszę świata, słyszy w niej rzecz największą i najważniejszą — głos Boży. Bo tak jak ciszy, tak i Boga pełne są te wiersze, sławiące piękno ziemi. Poeta zapatrzony w blask świata, w płonące miedzią zachody, schylający się w zadumie nad porzuconemi w polu łachmanami, dostrzegający u stóp florenckiej katedry cienie Danta i Buonarottiego, podziwia i kocha wszystko,

myśl, pieśni, ludzi i zwierzęta,
Gwiazdy i kwiaty, ciszę pól i lasów.

Ale mimo to wie i rozumie, że

Czar prawdziwy życia jest ukryty
Po tamtej stronie gór czasu.

Toteż, gdy patrzy w niebo, gwiazdy są mu abecadłem, z którego czyta wielkość Boga, który jest „tłoczony na niebie" majuskułami „Gwiazdozbiorów". Gdy w poszukiwaniu znaku prawdy spuszcza wzrok na ziemię, cień jego ramion pada nań krzyżem. A gdy olśniony bogactwem ziemskich plonów siada w słońcu „jak przed Ojca progiem", to widzi

...jak w ciszy rozrodczej się plemi
Wino i zboże, krew i ciało ziemi,
Dwie tajemnice, co nas łączą z Bogiem.

Bo to połączenie Boga i człowieka, ziemi i nieba jest wielkiem zadaniem poezji, Jakóbową drabiną modlitwy:

Trzymam się lewą ręką ziemi,
Trzymam się prawą nieba,
Kurczę obie ręce ku piersi,
Bo mi na sercu złączyć je potrzeba.

I połączenie to udaje się upokorzonemu przed Bogiem a rozmiłowanemu w życiu poecie w sposób przedziwny. Bo miłością i zachwytem kreślone są obrazy przyrody, obrazy morza, Włoch, ale przedewszystkiem obrazy polskiej wsi. Wątpię czy od czasów „Pana Tadeusza" wyczarował kto słowem taki obraz wsi, wsi prawdziwej, nie poetyzowanej, wielkiej jedynie swą prostotą, wsi cichej, zadumanej, lekko falującej wzgórzami, oblanej słońcem, skąpanej księżycem, pulsującej życiem wsi proszowskiej. Bo większość tych wierszy „wiejskich" pisał Staff chodząc po lepkich od życiodajnego mułu ścieżkach proszowskiej ziemi, wsłuchując się w mowę prastarych drzew parkowych, które stały: „W bronzie zachodu kute wieczornym promieniem", słuchając milknącej pieśni żniwiarzy, patrząc na kwitnące w grzędach kwietnika balsaminy i nasturcje, stojąc w zadumie przed kamienną Madonną, przed którą

W ustronnej samotności, przez wszystkie miesiące,
W kwietniu, czerwcu czy wrześniu sławiąc Jej panieństwo
Co wieczór się majowe święci nabożeństwo.

I zdawaćby się mogło, że wielkie, proste a czarujące piękno, bijące jak kadzielne dymy z wilgotnych pól i łąk tej najrdzenniej i najrzewniej polskiej wsi proszowskiej, weszło żywe, pachnące i odurzające w równie jak ono wielkie i proste strofy Staffa.

I gdy się tak rozczytujemy w nieprzebranych skarbach myśli i piękna, zawartych w tym tomiku, musimy uznać, że tu doszedł Staff do szczytowego punktu swej wielkiej dotychczasowej twórczości poetyckiej. Tak doskonałego dzieła nie dał nam dotąd. To owoc dojrzały, pełen najbogatszych soków, to rozkwit pełni i sił. To słoneczne, potężne, bujne lato jego poezji, to czerwiec jego twórczości. Czerwiec pełen zapachów nie zakończonej jeszcze wilgotnej i rozpachnionej wiosny, a już rozkwitły całą krasą w słońcu dochodzącego żniwa.

Toteż, gdy poeta pyta:

Któż wie, co warte me siewy,
Które ciskałem na grudę,
O pieśni moje, o śpiewy,
Żniwo me skąpe i chude!

odpowiedzieć mu śmiało możemy: My wiemy. Wiemy, że uczą nas czytać Boga wypisanego na niebie czcionkami zodjaków, że napełniają nam życie pięknem, świat czynią nam większym a Boga bliższym. My wiemy, że te wiersze, które są rozświetlone Bogiem, rozpachnione całą krasą ziemi i rozśpiewane najpiękniejszą melodją polskiej mowy, to największe i najbogatsze żniwo, jakie poeta ludziom dać może.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Stanisław Wyspiański: D z i e ł a. Pierwsze wydanie zbiorowe. Tomy VI—VIII w opracowaniu Leona Płoszewskiego. Tom VI. Fragmenty dramatyczne. Warszawa. (1931). Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska". 8⁰. str. LXXIX, 348.

Ciąg dalszy zbiorowego wydania Dzieł Wyspiańskiego, prowadzonego dotychczas przez Adama Chmiela i Tadeusza Sinkę, objął warszawski historyk literatury, pracowity i ruchliwy, Leon Płoszewski. Tom VI przynosi fragmenty dramatyczne, w większej części „pośmiertne", drukowane dotychczas po różnych czasopismach, zebrane tylko w części przez Wilhelma Feldmana w r. 1910. Rewelacją swego rodzaju jest dramat, a właściwie „sceny dramatyczne" p. t. *Zygmunt August*. P. Płoszewski zebrał po raz pierwszy w całość fragmenty, ogłoszone częściowo w różnych czasach, tworząc rzecz zwartą, niemal wykończoną, pozwalającą zdać sobie sprawę z lirycznego piękna tego ostatniego przed śmiercią dzieła poety. Doceniając znaczenie tej pracy wydawca ogłosił *Zygmunta Augusta* jeszcze w roku 1930, jako odbitkę z omawianego tomu „Dzieł" zbiorowych. Prócz *Zygmunta Augusta* tom VI przynosi następujące fragmenty: *Juljusz II, Piastowicze, Wejmar 1829, Rudera, Feakowie, Okręt, Ajas, Mąż, Śmierć Ofelji* (scena, będąca zamkniętą całością, może niesłusznie zaliczona do fragmentów), *Król Kazimierz Jagiellończyk, Jadwiga-Hedvigis, Samuel Zborowski.* Wszystkie te utwory pisał poeta w ostatnich latach życia, szczególnie płodnych w pomysły dramatyczne. Wartość fragmentów nie jest równa. Obok rzeczy zapowiadających się pierwszorzędnie, jak „Juljusz II", jak „Feakowie", jak „Król Kazimierz Jagiellończyk", są inne, które zdradzają obniżenie talentu, bądź też niezmiernie dalekie są od wykończenia. Szczególnie ciekawe są te fragmenty przez różnorodność stylu i ujęcia, daleką nieraz od powszechnie znanej twórczości poety. Szczególnie zaś fragmenty dramatów z czasów „złotego wieku" Polski zdawały się zapowiadać, jak podnosi słusznie wydawca, nowy

i błogosławiony zwrot w twórczości Wyspiańskiego. W każdym razie wszystkie świadczą o niestrudzonej sile twórczej poety, czynnej zawsze, bez względu na smutek okoliczności życia. Dla miłośników wielkiego twórcy jest tom ten źródłem podniosłych wzruszeń.

Wydawca spełnia swą rolę bardzo sumiennie. Opiera się naturalnie na rękopisach, względnie drukach, dokonanych przez samego poetę. Jak to było potrzebnem, dowodzi konfrontacja obecnego wydania z wydaniami poprzedniemi, wykazująca nieraz dość daleko idące różnice w tekstach. Uderza to szczególnie odnośnie do niemieckiego dramatu p. t. *Wejmar 1829*, w którym poprzedni wydawca starał się, jak się zdaje, poprawiać błędy językowe poety. Oprócz starannych not krytycznych, wydawca zaopatrzył tom we wstęp, w którym stara się wprowadzić czytelnika zarówno w genezę, jak i warunki tworzenia poszczególnych dzieł, a także przygotować go do zrozumienia niejasnych szczegółów. Bardzo sumienne i pracowite są zestawienia źródeł historycznych, z których poeta czerpał i omówienie jego stosunku do tych źródeł, świadczące o powadze, z jaką Wyspiański traktował zawsze swój przedmiot. Wydawca odnosi się lojalnie do swych poprzedników i przeważnie zgadza się z wynikami dawniejszych prac o Wyspiańskim. Niekiedy jednak zajmuje stanowisko wyraźnie rewizjonistyczne, jak np. gdy przesuwa czas napisania *Męża* z roku 1902 na 1905, albo gdy wprowadza nowy układ wydanych tekstów. Wychodząc bowiem z ustalonych założeń, p. Płoszewski dodaje wiele od siebie, posuwając badania nad twórczością Wyspiańskiego naprzód. (Należą tu np. cenne spostrzeżenia na temat właśnie dialogu „Mąż") Bardzo cennem uzupełnieniem tych badań jest też dodatek do omawianego tomu, w którym zostały zebrane drukowane i ustne relacje współczesnych poety o różnych pomysłach dramatycznych i utworach zniszczonych, znanych nam obecnie niestety tylko z tytułów. Zestawienie ich z zachowanemi fragmentami każe tem bardziej podziwiać twórczą wyobraźnię największego poety dramatycznego nowej Polski.

Dr. Z. Ciechanowska.

Władysław Orkan: W roztokach. Powieść. Tom I, i II. Kraków 1932. 8. str. 233, 252. (Władysław Orkan. Dzieła. Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wydał Wojciech Meisels. 1932).

Po udanej próbie wydania dzieł Kasprowicza następuje próba zbiorowego wydania Orkana. Zaczęto słusznie od powieści, w której ideologja autora wyraziła się najwyraźniej. Ideologja to gorzka, pesymistyczna, ukazująca daremność wysiłków, dążących do poprawy niedoli ludzkiej, która sprawia, że świat wiejski, malowany bardzo realistycznie, choć nie bez stylizacji, wymalo-

wany jest zbyt jednostronnie, zbyt czarno. Brak jakichkolwiek podpór etyczno-moralnych w duszy bohatera, dających widoki duchowego okrzepnięcia w przyszłości, sprawia, że powieść pozostawia wrażenie beznadziejności. Wrażenia tego nie może poprawić naiwny i nierealny plan kolektywu, obmyślony przez bohatera, a może i przez młodego autora, jako jedyne lekarstwo na społeczne bolączki. Powieść nierealności pomysłu nie przedstawia; wprost przeciwnie, czytelnik odnosi wrażenie, że powodem niewejścia go w życie jest jedynie egoizm „czynników miarodajnych" w opisywanej wsi. Czytelnik nie mający wyrobionego poglądu na sprawy społeczne, nie nauczy się go z powieści Orkana: grozi ona wprowadzeniem zamętu ideowego, a pośrednio może pogłębić pesymizm i niweczyć chęć czynnego rozwiązania społecznych trudności.

Mimo tych zastrzeżeń posiada powieść wartość społeczną i dzisiaj, a na to znaczenie jej społeczne przedewszystkiem, a na artystyczne w drugim rzędzie zwracał uwagę jej autor. Kreśląc stosunki już częściowo przebrzmiałe, posiada jednak wartość społeczną i dziś, bo otwiera oczy na różne nienormalności życia społecznego wsi, spotykane jeszcze i obecnie, bo uczy poglądu szerszego, nietylko zasklepiania w rodzinnem podwórku. Z tego powodu jest Orkan nauczycielem wsi jeszcze i dzisiaj.

A jako artysta wniósł do literatury polskiej pierwszy realny — po epicku zakreślony — obraz środowiska, z którego pochodził, obraz nietylko zaobserwowany trochę na zimno, jak u Reymonta, ale odczuty do głębi kochającem namiętnie sercem. Obraz ten nie utracił barw: rzucony na tło żywej i żywo odczutej przyrody górskiej, płonie i dziś charakterystycznem pięknem, złączonem z bardzo bystrą obserwacją, zwłaszcza w zakresie psychologji grupy.

Dobrze więc stało się, że rzecz piękna i głęboko idealistyczna powróciła w druku. Szkoda tylko, że spotykane błędy druku zniekształcają niekiedy przepyszną gwarę poety podhalańskiego.

Książkę zamyka „posłowie" pióra prof. Stanisława Pigonia. Wytrawne to pióro wprowadza znakomicie w charakterystykę utworu, jako punktu przełomowego w twórczości autora, a zarazem podkreśla jego znaczenie w literaturze polskiej. Może niezupełnie trafnie sugeruje związek powieści Orkana z wielką literaturą romantyczną polską, a pomija inne, niewątpliwie bliższe i ideowe związki. Znakomite natomiast, niezmiernie trafne, jest ujęcie, w paru słowach, różnicy między epopeją wsi Reymonta i Orkana.

Dr. Z. Ciechanowska.

Humpert (Paweł) O. M. N.: Droga śmierci. Dramat w 4 aktach na role męskie na tle stosunków w Rosji bolszewickiej. Poznań 1932. Wydawnictwo OO. Oblatów M. N. (Bibljoteka teatralna OO. Oblatów, I). 8. str. 70.

Niezbyt zasobny repertuar sztuk ludowych, opartych na tle stosunków współczesnych, wzbogaca wymieniona w tytule sztuczka w sposób wydatny. Tematem utworu jest próba wprowadzenia kolektywu w polskiej wsi koło Żytomierza, napotykająca na opór miejscowej ludności, dalej represje władzy bolszewickiej, zbiorowa ucieczka gospodarzy polskich i ich rodzin ku granicy polskiej, zakończona tragicznie ujęciem emigrantów przez oddział żołnierzy bolszewickich i śmiercią przywódców gromadki polskiej. Na tem tle rozwija się dramat rodziny chłopskiej — konflikt między ojcem, wrośniętym całą siłą duszy w ziemię i tradycję, a synami, z których jeden okazuje się nikczemnikiem, a drugi, ideowy komunista, przeżywa tragedję utraty wiary w ideę, której ślepo hołdował. Wartość literacka utworu polega na dobrem opracowaniu i starannem przemyśleniu zarówno całości, jak szczegółów. Autor operuje umiejętnie kontrastem; umie zręcznie scharakteryzować psychologję grupy. Mimo braku szczególnego talentu, potrafił rzecz swą uczynić zajmującą od początku do końca. Z dużym umiarem artystycznym pominął sceny okrucieństwa, o co było tak łatwo przy obranym temacie. Dzięki temu tem silniejsze wrażenie sprawia martyrologja pochodu emigrantów i śmierć głównych bohaterów w ostatnim akcie. Przeróbka polska, chociaż dokonana językiem może trochę bezbarwnym jest bardzo dobra, lokalizacja stosunków przeprowadzona zręcznie i przekonywująco. Ideologja utworu zarysowuje się jasno. W samem przeprowadzeniu akcji zarysowuje się dobitnie cała nierealność praktyczna komunizmu, a w szczególności wszystkie ujemne cechy rządów bolszewickich w Rosji. Przez objektywne traktowanie obu stron walczących: z jednej strony chłopa, przywiązanego do roli i tradycji, z drugiej przedstawicieli komunizmu, teza jest bardziej przekonywująca, widz nie może posądzać autora o tendencyjność. Ponad obozy walczące stara się autor wynieść ideologję wyższą, chrześcijańską, ponad materjalistyczne pojmowanie życia, czy to tradycjonalistyczne, czy rewolucyjne, stawia ideał ponadziemski. Opracowanie tematu wydaje się prawdopodobne, oparte na wiarygodnych relacjach.

Szczególnie godna polecenia jest przedmowa tłumacza. W sposób zwięzły, jasny, przystępny i prawdziwy kreśli obraz stosunków, panujących w Rosji sowieckiej w odniesieniu do wsi i kończy przestrogą „przed kłamliwą i zdradziecką propagandą komunistów u nas". Zamykać oczy na tę propagandę i jej niebezpieczeństwa, byłoby myśleć nierealnie. Dlatego sądzę, że rzeczą godną podkreślenia jest ta bezpretensjonalna sztuka dramatyczna, która, zrywając z wiecznie powtarzanemi na scenach lu-

dowych sztukami „historycznemi" lub „obyczajowemi", śmiało porusza aktualne problemy społeczne, problemy nietylko żywotne, ale wprost palące.

Dr. Z. C.

Herman Hesse: S i d d h a r t a. Powieść. Warszawa. Wyd. „Rój".

Książka Hesse'go może zainteresować polskiego czytelnika ze względu na przedmowę jednego z najinteligentniejszych krytyków polskich — Kazimierza Błeszyńskiego. Tragiczny i zastygły agnostycyzm Błeszyńskiego lepszy jest jednak od tępego żerowania z wyłączeniem wszelkich tęsknot metafizycznych. Błeszyński mówi „o odwiecznych i wiecznie daremnych ludzkich poszukiwaniach prawdy". Należy on do „umysłów, które los niepojęty skazał na silniejsze od innych odczuwanie bolesnej i tragicznej zagadkowości bytu". Tak określając bohatera książki Siddharta, określa zarazem siebie.

Z przedmowy Błeszyńskiego wieje na nas cierpiętnictwo metafizyczne i głód Boga (nienazwany), który najsilniejszy wyraz liryczny znalazł w okresie między parnasem a symbolizmem w Jules Laforgué'u.

Błeszyński uważa indywidualne poszukiwanie prawdy przez Siddhartę poza narodem i jakimkolwiek kościołem za najwyższy prawzór swobody duchowej! Wolność jest szczęściem. Czemuż t a k a wolność napełnia filozofa tragicznym smutkiem i nieukojem? Czy nie dlatego, że jedyną prawdziwą wolnością jest stopienie własnej woli z przejasnym oceanem woli Bożej, a przez to wzmocnienie jej, zwielokrotnienie, rozśpiewanie wieczną białą muzyką sfer?

Błeszyński podkreśla prawo indywidualne odsunięcia się od wszelkiej gromady i zamknięcia w myśli swojej. Jakiemże ubóstwem i ograniczeniem jest taka postawa życiowa, gdy najmniejszy czyn w imię miłości, gdy najmniejsza modlitwa w uniesieniu prawdziwej adoracji rozszerza duszę ludzką, zalewa radością!

Smutek napełnia wobec dobrowolnego zubożenia myślicieli w rodzaju Błeszyńskich, łudzących się, że w nich właśnie jest bogactwo i pełnia duchowa i wobec wszelkiego rodzaju Siddhartów.

Co do książki Hesse'go, widać, że liznął trochę hinduizmu, ale niewiele. Wszakże Siddharta — to imię samego Buddy, który występuje w tem opowiadaniu, imię jego świeckie, gdy jako szukający pustelnik „samana" nazywał się Gotamą, Budda zaś oznacza wyzwolonego. Imię to znającym buddyzm narzuca przypuszczenie, że bohaterem książki jest sam Budda, gdy jest nim pustelnik - indywidualista, imieniem Siddharta.

Miejscami jednak styl Hesse'go wpada w ton hinduskich ksiąg świętych, z ich powtarzaniami, pleonazmami, z coraz to

innem formułowaniem tej samej myśli, np.: „Od siebie samego naukę chcę pobierać, swoim własnym być uczniem, siebie samego poznać, tajemnicę Siddharty przeniknąć i odkryć".

A oto próbka stylu hinduskiego, podobnego w swej konstrukcji w Upaniszadach bramańskich i Sutta-Pitakach buddyjskich, podobnego w sanskrycie i ludowem narzeczu pali: „O cierpieniu zaś, mnichy, taką wam obwieszczam prawdę świętą: urodzenie jest cierpieniem, starość cierpieniem, choroba cierpieniem, zawód w pragnieniach cierpieniem, krótko mówiąc wszystkie żywioły, składające byt ludzki, są cierpieniem".

Uroczysty, potoczysty, hieratyczny — patos wysłowienia hinduskiego czasem jest podchwycony przez Hesse'go. Ale poza tem książka zupełnie jest pozbawiona realistycznego tła prawdziwych Indyj.

Ostateczną prawdą Siddharty, zdobytą po długich walkach wewnętrznych i doświadczeniach jest wartość zwykłego, codziennego, ludzkiego życia i ciepłego przywiązania, wypływającego z prawdziwych poruszeń serca. „Nie w mowach, nie w myślach widzę wielkość jego, jeno w czynach, w życiu", mówi o Buddzie Siddharta.

Są to znane wywody wolnomyślicielskie, które biorą wszelką etykę utylitarnie, sądzą tylko ze skutków i postępowania swego żadnej dyscyplinie nie poddają, mówią piłatowemi słowami: cóż jest prawda? Że prawość czynów zależy od tych czy innych tablic prawa, które człowiek zawiesza nad sobą, że spokojna dobrotliwość nie jest wszystkiem i może źle skierowana, nieopisane szkody wyrządzić człowiekowi, np. gdy się objawia w tolerancji nadmiernej i pobłażaniu słabościom, o tem ta kategorja agnostyków nic nie wie.

Pożytek z tej chłodnej i antychrześcijańskiej książki jest taki, że dowodzi, ile nabłąkać się musi człowiek, który, zaufawszy indywidualnemu sądowi, idzie długo, zawile błądzi, zboczywszy z bitej drogi, utorowanej przez wieki. I to poto tylko, by nabłąkawszy się i zmarnowawszy coniemiara sił duchowych, wrócić na tę samą bitą, odwieczną drogę, drogę najwyższego przykazania miłości.

A. Zahorska.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Wydawnictwa Kasy im. Mianowskiego, Warszawa.

Skarby przyrody i ich ochrona. Wydawnictwo zbiorowe pod red. Wł. Szafera, Str. VIII+363, bogato ilustrowane.

Themis polska. Pismo nauce prawa poświęcone. Tom VII, 1932 r. str. 190.

Bohdan Wasiutyński: Ludność żydowska w Polsce w wiekach XIX i XX. Str. 224.

Zofja Szmydtowa: O misterjach Cyprjana Norwida. 1932. str. 194.
Antoni Biliński: Szlachta Ziemi Dobrzyńskiej za ostatnich Jagiellonów. Str. 231.
Szczep. Szczeniowski i Stan. Ziemecki: Promieniowanie i materja. 1932, str. VIII+261.

Nakładem różnych.

Stefan Kaczorowski: Na tle współczesnego kryzysu gospodarczego. Warszawa, nakł. Chrześcijańskiego Uniw. Robotniczego, 1932, str. 27.
Zygmunt Nowakowski: Start Edmunda Sulimy, Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. str. 233.
Ks. Dr. Alfred Wróblewski: „Boża Pieśniarka", św. Terenia od Boskiego Dzieciątka. Rzym, 1932, str. 152.
Kardinal Faulhaber: Zeitrufe-Gottesrufe. Gesammelte Predigten. Freiburg in Br., wyd. Herder et Co, 1932, str. XXV+470.
Andrzej Strug: Żółty Krzyż. Tajemnica Renu. Powieść. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1933, str. 384.
Walka z pornografją. Cykl rozpraw. Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji katolickiej. Poznań 1932, str. 38.
Ks. Bronisław Müller: Triumf Chrystusa Króla. Kazanie na uroczystość poświęcenia pomnika N. S. P. Jezusa w Poznaniu. Str. 8.
Dr Józef Ekielski: Fundacja Pelagji Russanowskiej. Miejsce Piastowe, wyd. Tow. św. Michała Arch. 1931, str. 135.
Ks. R. Jałbrzykowski, arcyb. wileński: „Bóg jest miłością". Przewodnia myśl w życiu duchownem. Skład główny: Księgarnia Św. Wojciecha, 1933, str. 283.
Pierre Coste, prêtre de la Mission: Monsieur Vincent. Le grand Saint du grand siècle. — Wyd. Desclée de Brouwer et Co. Paris 1932. 3 tomy, str. 541+741+637.
Sprawozdanie Sodalicji Marjańskiej inteligencji męskiej w Warszawie za czas od 1. VII. 1931 do 30. VI. 1932, str. 36.
Zofja Bodowicz-Iwanicka: Zgaszony błękit. Powieść. Nakł. Tow. Wydawn. „Kronika Rodzinna" 1933, str. 188.
Bolesław Koreywo: Życie na bakier. Powieść. Tom I, str. 112, nakł. *Dziennika Poznańskiego.*
Ks. Józef Chrząszcz: Ks. Piotr Halak. Wspomnienie pośmiertne. Tarnów, nakł. Unji Apostolskiej, 1932, str. 40.
Ks. Dr. Edward Górski i Sędzia Zygmunt Wolski: Anarchistyczne tendencje Badaczy Pisma świętego. Sandomierz 1932, str. 58.
Czesław Gutry: Odbitki, nadbitki i przedruki w Urzędowym Wykazie Druków za I półr. 1932, Warszawa 1932, str. 16.
Ks. Dr. Henryk Hlebowicz: Jedność Kościoła Chrystusowego według św. Jana Chryzostoma. Wilno 1932, str. 203.
Szkolny Atlas historyczny. Cz. II. Dzieje średniowieczne i nowożytne. Mapki do dziejów Polski opr. Wł. Semkowicz, do dziejów powsz. oprac. Cz. Nanke. „Książnica-Atlas" Lwów-Warszawa 1932.
Salezjańskiego Zakładu wychowawczego w Przemyślu 25 letnie dzieje. Str. 24 in fol. z ilustracjami.
Annales Missiologicae. Roczniki Misjologiczne. Czasopismo roczne poświęcone zagadnieniom misjowiedzy. Rok 5, 1932—33, Poznań, str. XII+398.
Dictionnaire de Spiritualité. Ascetique et Mystique. Doctrinè et Histoire, Publié sous la direction de M. Viller S. I. etc. Gabr. Beanchetne, Paris, fasc. I (Aa—Allemande). Kol. 320.

Józef Piłsudski: Pisma wybrane. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył K. Kosiński. Wydawn. kwartalnika *Zrąb*, Warszawa 1932, str. 271+VIII.

Pamätnica III Kongresu Slovanskych katolickych Akademikov a seniorov v Bratislave 1931. Str. 218, ilustr.

Ks. Dr. Antoni Słomkowski: Pierwotny stan człowieka według nauki św. Augustyna. Lwów 1933, Skład Główny w Księg. św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 179.

Prof. Dr. Leopold Caro: Czy i kiedy mamy oszczędzać? Odbitka z *Przeglądu Ekonom.* Lwów 1932, str. 14.

Marceli Handelsman: Mickiewicz w latach 1853—1855. Warszawa 1933, nakł. Księg. F. Hoesicka, str. 84.

Wawda Buehrig: Myśli przy gospodarstwie domowem. Warszawa 1933, skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, str. 72.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Stulecie Goethego w Polsce.

Plon naukowy.

Setna rocznica śmierci Goethego wywołała we wszystkich krajach kulturalnych żywe echo, niekiedy, jak podobno we Francji, nawet żywsze niż w samej ojczyźnie wielkiego twórcy. Znany jest stosunek do Goethego hitlerowców i głośna ich enuncjacja na ten temat. Tomasz Mann wyraził się, że Niemcy dzisiejsze nie dorastają do ducha poety, a tu i ówdzie podniosły się głosy charakteryzujące stosunek Niemców do uroczystości jubileuszowych, jako oficjalny i chłodny. Przyczyną jest może to, że Goethe, jak żaden inny może z wielkich literatury, był kosmopolitą, że jego stosunek do własnej ojczyzny budził zastrzeżenia patrjotów już w jego czasach. Z drugiej strony narody obce, czcząc Goethego, czczą w jego osobie przedewszystkiem przedstawiciela tego potężnego porywu duchowego, jakim był romantyzm, wywołujący olbrzymi przewrót w duszach współczesnego pokolenia i drgający w duszach pokoleń następnych nieomal aż do dziś dnia. Bo w każdym razie Goethe, który uważał siebie za klasyka czystej krwi i odżegnywał się od romantycznej szkoły niemieckiej, może być nazwany ojcem romantyzmu europejskiego — i za takiego też był uważany już przed stu laty we Francji, we Włoszech, w Anglji, w krajach słowiańskich. Jednomyślny więc niemal hołd, składany Goethemu w sto lat po jego śmierci, jest hołdem nie tyle dla Goethego-człowieka, co dla Goethego-symbolu.

W Polsce hołd ten nie był tak głęboki, jak w wielu krajach sąsiednich. W porównaniu np. z Czechami, gdzie wyszło zbiorowe wydanie dzieł poety i księga pamiątkowa z pracami czeskich germanistów, echo stulecia u nas wydaje się dość słabe. Niemniej jednak, jak słusznie zauważył A. Mágr w *Slavische Rundschau* (1932, nr. 3), uczczono Goethego tak, jak żadnego

z poetów obcych. Mágr we wspomnianym artykule naliczył około 100 artykułów dziennikarskich, poświęconych Goethemu, a drukowanych w czasie od 20 do 23 marca (t. j. w dniach rocznicy) i w numerach wielkanocnych. Od czasu sprawozdania w *Slavische Rundschau* plon dziennikarski nie powiększył się. Inaczej jest odnośnie do czasopism. Już po 22 marca wydrukowano szereg artykułów i rozpraw, a, o ile wiem, mają pojawić się jeszcze dalsze w przyszłości. Z teatrów uczcił Goethego właściwie tylko teatr krakowski, wystawiając z wielkim pietyzmem „Egmonta". Różne towarzystwa naukowe, jak Towarzystwo Neofilologiczne i Towarzystwo Lekarskie w Krakowie, jak Związek Zawodowy Literatów Polskich i Towarzystwo Filologiczne we Lwowie, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych w Warszawie, Koło Polonistów w Lublinie i t. d. poświęciły uroczyste posiedzenia pamięci Goethego. Również i najwyższe polskie zrzeszenie naukowe, Polska Akademja Umiejętności, uważała za stosowne uczynić tematem odczytu na uroczystem dorocznem swem posiedzeniu twórczość tego, kogo przed stu laty powołało w grono swych członków honorowych ówczesne najwyższe zrzeszenie naukowe w Polsce — Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Pomijając setki frazesów i wiadomości dziennikarskich, przeważnie niezbyt dokładnych, pomijając krytyczne głosy, których także nie brakło, scharakteryzuję krótko te artykuły w czasopismach, które posiadają bądź trwalszą wartość, bądź przynoszą mniej lub więcej oryginalne, czy samodzielne ujęcia.

Profesor germanistyki w Warszawie, znany i poza granicami Polski teoretyk historji literatury, Zygmunt Łempicki, ogłosił szereg artykułów; sprawiają one wrażenie, jakgdyby rozdziałów przyszłej monografji o Goethem, która, jak słychać, ma ujrzeć światło dzienne w warsztacie uczonego. W *Ruchu Literackim* (R. VII, nr. 3) ogłosił rozprawę „Goethe i prądy duchowe jego epoki". Jest to studjum z dziejów kultury duchowej, stanowiące zarazem zwięzłą analizę wszystkiego tego, co mogło oddziaływać na kształtowanie się ducha poety, przyczem autor oddziela ostro pierwiastki rodzime niemieckie od pierwiastków, mających charakter międzynarodowy. Ostatecznym wnioskiem jest stwierdzenie, „że nie było w dziedzinie ówczesnych prądów duchowych i umysłowych takiego, wobec którego Goethe zachowałby się biernie. Olbrzymią była siła skupiająca jego duchowej soczewki, z której wychodziły zawsze promienie pełne, czyste i jasne, jako wyraz takiejże samej indywidualności i osobowości".

Wielkim kunsztem pisarskim odznaczają się dalsze artykuły Łempickiego na temat Goethego, w których autor rozpatruje jego twórczość z różnych punktów widzenia. „Goethe, czyli o kształcie" (*Świat*, R. XXVII, nr. 12) jest zwróceniem uwagi na umiejętność i na wolę kształtowania jako na centralny motyw zarówno twórczości, jak życia poety. Zawsze i wszędzie Goethe nastawiony był

morfologicznie. Jego odczucie wewnętrznego kształtu dzieła sztuki zasługuje na szczególne podkreślenie w naszych czasach, które odznaczają się świadomym amorfizmem zarówno w sposobie myślenia, jak w metodach twórczości. Artykuł p. t. „Goethe i poczucie odpowiedzialności literackiej" (*Wiadomości Literackie,* R. IX, nr. 13) jest pogłębieniem tej samej myśli o świadomem kształtowaniu dzieła sztuki, opartem na szerokiej podstawie psychologicznej. Za najgłębszą tajemnicę duszy genialnego twórcy niemieckiego uważa autor owe niezwykłe i jedyne w swym rodzaju połączenie podświadomej wewnętrznej konieczności tworzenia z pełnią świadomości zamierzeń twórczych. Opierając się na różnych wypowiedzeniach się Goethego, a zwłaszcza na jego korespondencji z Schillerem, autor podkreśla w szczególności jego usilne dążenie do zachowania stylu w życiu i w poezji. Teorja niemieckiego klasycyzmu, wypracowana wspólnie z Schillerem, jest nietylko teoretyzowaniem, tak znamiennem dla ducha niemieckiego: jest czemś znacznie ważniejszem, jest głosem sumienia artystycznego. Zupełnie inną stronę twórczości Goethego omawia Łempicki w artykule „Goethe i mit" (*Kultura,* R. II, nr. 13). Dążenie do mitu, zdolność tworzenia mitów jest, według autora, jedną z najbardziej zasadniczych sił w dynamice twórczej poety. Od głębokiego przeżycia mitologji klasycznej przechodzi linja rozwojowa do tworzenia mitów, pełnych życia z takich pojęć oderwanych, jak „Teraźniejszość", jej córa „Okazja", jak Niedostatek, Wina, Troska i Nędza. Pełen głębi mit, którym są tajemnicze „Matki" w drugiej części Fausta, symbol i nowe ukształtowanie zarazem platońskiej nauki o ideach, splata się w nierozerwalną całość z dionizyjskiemi tonami tajemnic boskich i tajemnic bytu. Z ust uosobionych symboli „mitologji" chrześcijańskiej w końcowej scenie *Fausta* płynie ostateczna mądrość życiowa Goethego, w której element mityczny łączy się z niezachwianem poczuciem nieskończoności.

Wszystkie artykuły Łempickiego wychodzą z jednego założenia, co nadaje im bardzo jednolity charakter; wszystkie osnute są dokoła spraw psychologji twórczej, wszystkie posługują się metodami badań estetycznych.

Inne jest nastawienie Romana Dyboskiego, profesora anglistyki w Krakowie, jednego z najgłębszych mówców, znanego i u nas i w anglosaskim świecie. Znamienne są dla niego zainteresowania społeczne i pedagogiczne w najlepszem tego słowa znaczeniu. Odczyt prof. Dyboskiego p. t. „W stulecie śmierci Goethego" (*Przegląd Współczesny,* R. XI, nr. 119) omawia przedewszystkiem te trwałe wartości, które promieniują z osobistości Goethego i mogą być drogowskazem w naszych czasach, tak podobnych do epoki z przed lat stu, tak nastawionych na działanie masy, nie jednostki. Czuje się w tonie artykułu, że autor jego rozmyślał wiele nad życiem i myślą Goethego. W pięknie zbu-

dowanym swym wykładzie wywodzi, jak fala myśli Goethego, poprzez bolesne wahanie między realizmem i idealizmem, między „powagą przyjaciela" i „bystrem spojrzeniem człowieka czynu", popłynęła od walki o pełnię indywidualności do społecznego czynu. Ten czyn, usymbolizowany w sposób najwyższy w drugiej części *Fausta*, nie bez przyczyny odziany jest w religijne symbole: jest to bowiem symbol dobrowolnego wprzęgnięcia się jednostki w jarzmo wyższego porządku kosmicznego, symbol owego współdziałania jednostki twórczej z duchem bożym, które było religją Goethego. W tem współdziałaniu wieczna walka przemienia się w harmonijne ukojenie.

Piękny artykuł M. R. Frenkla p.t. „Myśli laika polskiego o Goethem" (*Wiadomości Literackie*, R. IX, nr. 18), nie będąc syntezą, jest szeregiem syntetycznych uwag na marginesie lektury dzieł Goethego i lektury dzieł o nim. Bowiem dyletantyzm autora jest w tym wypadku tylko kokietowaniem czytelnika. Obok dojrzałości sądu, nie brak autorowi bezpośredniości spojrzenia, a świadczą o niej najlepiej te ustępy, które podkreślają ciągłą jeszcze aktualność, a nawet nowoczesność metod twórczych wielkiego Wajmarczyka.

Zacięcie syntetyczne ma też artykuł Jarosława Iwaszkiewicza (j. w.), który w swej własnej poezji idzie niekiedy w tropy Goethego. W artykule, zatytułowanym „Goethe i akt wajmarski" (t. j. spotkanie Mickiewicza z Goethem) najbardziej zasługuje na uwagę paradoksem zatracające spostrzeżenie, że jasność i przejrzystość poezji Goethego jest wyrazem niedoścignionego ideału duszy niemieckiej, duszy ekscentrycznej i pełnej chaosu. Natomiast upatrywanie w „akcie wajmarskim" symbolu wejścia Polski w krąg zachodnio-europejskiej kultury „faustycznej" wydaje się przesadą.

Nieco paradoksalnie brzmi również tytuł artykułu Zofji Ciechanowskiej „Goethe, poeta nastroju" (*Przegląd Powszechny*, R. XLIX, nr. 581). Impresja pod tym tytułem zawiera kilka rozważań na temat „nocy", jak wyrażali się romantycy, w słonecznej poezji Goethego i sposobów jej wyrażania. Za szczyt nastrojowości i sztuki wywoływania nastroju w twórczości Goethego uważa autorka scenę z „Matkami" w *Fauście*.

Podobnie jak Łempicki ogłosił kilka artykułów o Goethem również Juljusz Kleiner, może najbardziej filozoficznie wyszkolony z polskich historyków literatury. Kto wie, czy i ten uczony, który w dotychczasowych swych pracach zdradza wyraźne zainteresowanie się twórczością Goethego, nie przygotowuje również monografji o autorze *Fausta*? W syntetycznym wykładzie p. t. „Poeta bezkresności i umiaru" (*Droga*, R. XI, nr. 7/8) podkreśla, podobnie jak Dyboski, polaryzację w osobistych przeżyciach tego genjalnego „homo universale", „człowieka wszechstronnego", ostatniego w szeregu, ciągnącym się od czasów Odrodzenia, a na-

stępnie wypowiada życzenie, aby w mniemaniu kulturalnego ogółu mit o Goethem-Olimpijczyku, ustąpił miejsca postaci młodego Goethego, który w szumie „Burzy i zapędu" tak bardzo przewyższa ogniem i siłą kamiennego starca. Bardziej specjalny charakter nosi interesujące studjum Kleinera p. t. „Etyczne wyznanie wiary Goethego" (*Przegląd Współczesny,* R. XI, nr. 121). Jest to świetna analiza powieści *Die Wahlverwandschaften,* zresztą nie bez związku z książką Kühnemanna, pełna niespodziewanych błysków spostrzeżeń. Autor skupia całe światło na miękkiej postaci Ottylji, wyrażającej najwyższy sens tej tragedji losu. Ale los-natura nie włada bezwzględnie. Jego złowieszcza moc może i powinna być zwalczona. Jest to bowiem zgodne z naturą, aby zwalczyć naturę. Goethe-mędrzec, w pełni doświadczeń i przemyśleń, stwierdza, że dla człowieka dostępną jest nietylko pełnia człowieczeństwa. Stoi on na progu nadczłowieczeństwa, na progu świętości. W ten sposób z realistycznego, przyrodniczego poglądu na świat, wyrasta pogląd wyższy, idealistyczny, w którym splatają się pierwiastki mistyczne, a nawet religijne. Takie to studjum jest wyrazem bardzo wysokiego nastroju etycznego autora.

„Osobistość i wartości ponadosobiste w Fauście Goethego" był to tytuł wykładu Kleinera na wspomnianem posiedzeniu Akademji Umiejętności. Kleiner uważa problem Fausta za problem osobistości, omawiając go na szerokiej podstawie historyczno-literackiej. Pierwsza część *Fausta* — to dramat osobistości, która posiada pozornie wartość absolutną. W drugiej części w miejsce utraconej wartości absolutnej, co stoi w związku z goethowską ideą wyrzeczenia, zyskuje osobistość człowieka wartość dla świata nadludzkiego, zyskuje wartość transcendentalną. I w tem wyraża się religijny pogląd wielkiego pisarza.

Głęboką analizę filozofji Goethego, wyrażonej w *Fauście,* dał ks. Konstanty Michalski, naówczas rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z najlepszych znawców i przedstawicieli filozofji chrześcijańskiej. W cyklu artykułów, zatytułowanym „Faust Goethego. Glossa wielkanocna" (*Czas,* R. LXXXIV, nr. 71, 76, 83) przemawia jako filozof i jako teolog. Na szerokiem tle porównawczem rozważa ideę metafizycznego *dajmonion* u Goethego, poczem zestawia filozofję *Fausta* z filozofją Kanta, bo obie dążyły do rozwiązania, choć odmiennego, współczesnych problemów metafizycznych. Nawiązanie do Plotina i do Spinozy, do uwag Schillera o walce między Mefistem, jako uosobieniem rozsądku (Verstand), a Faustem, uosobieniem ducha (Vernunft) uzupełnia bardzo interesujący bieg myśli. Jako teolog zajmuje się ks. Michalski przedewszystkiem zagadnieniem zbawienia Fausta. Poprzez rozważania psychologiczno-etyczne, poprzez przeciwstawienie platońskiego *Erosa* chrześcijańskiej *Caritas,* dochodzi do wniosku, że w duszy Goethego rysuje się nietylko antynomja dwóch zakonów, jak u św. Pawła, ale antynomja dwóch światopoglądów. Wyrazem

pierwszego jest panteizm witalistyczny w monologu Fausta, wyrazem drugiego wiara religijna w osobowego Boga i nieśmiertelność duszy ludzkiej w Prologu i w scenie końcowej arcypoematu.

Również inny znakomity uczony polski zajął się *Faustem*, a mianowicie Tadeusz Zieliński, odznaczony świeżo medalem im. Goethego. Powtórzę tu sąd p. Mágr o jego artykułach na ten temat, jako nadzwyczaj trafny: „Znanem jest zamiłowanie Zielińskiego do budowania uniwersalnych syntez, które może nie zawsze budzą przekonanie, ale zawsze są uderzające i zajmujące. Redakcja *Ruchu Literackiego* wezwała go do odpowiedzi na pytanie „Co zawdzięczam Goethemu?" (R. VII, nr. 3). Otóż odpowiedź brzmi, ni mniej, ni więcej, tylko, że zawdzięcza mu potwierdzenie zasad całej swej filozofji kultury. W *Fauście* znajduje on pierwiastek ludowy, starożytność i chrześcijaństwo, jako symbole trzech podstaw kultury europejskiej. Bliżej wywodzi to autor w *Wiadomościach Literackich* (R. IX, nr. 13 p. t. „Małgosia-Helena-Mater Gloriosa"). Małgosia symbolizuje ludowość, Helena — starożytność, Mater Gloriosa — chrześcijaństwo. Zdumiewająca prostotą budowy myśli przybrana jest w formę artykułu, pisanego z wielkim talentem, który czyta się z wielką przyjemnością".

Próbę wykładu *Fausta* daje również Stanisław Zabierowski w *Tygodniku Ilustrowanym* (R. 73, nr. 14). W artykule, pisanym dość zawile, rzuca szereg filozoficznych uwag raczej na marginesie genjalnego dzieła. Najważniejszem, co autor chce powiedzieć, jest, jak się zdaje, twierdzenie, że problem Fausta jest zbyt obszerny i bogaty, by mógł być zamkniętym w formie średniowiecznego misterjum i prostolinijnej, jasno zarysowanej filozofji życiowej. Dlatego uważa autor „Prolog w niebie" za zwichnięcie sensu życia Goethego.

Widzimy więc, że „Faust" w myślach kulturalnego ogółu w Polsce, podobnie zresztą, jak gdzieindziej, niemal zlał się w jedno z osobą Goethego i że zainteresowanie się tem wspaniałem dziełem, obudzone u nas przed przeszło stu laty i zawsze bardzo żywe, przetrwało do dziś.

O innych dziełach Goethego pisano w roku jubileuszowym mało. Zygmunt Falkowski, wileński poeta i krytyk, ogłosił w *Przeglądzie Powszechnym* studjum, pod tytułem, zapożyczonym z *Dziadów* „Ogień i łzy Wertera". Piękna ta analiza, może niezawsze bez zarzutu, zawiera m. i. cenne spostrzeżenie, że powieść ta jest dziełem świadomie stylizowanem.

Jeden z najbardziej oryginalnych krytyków w Polsce, Stefan Kołaczkowski, rzucił wiele interesujących uwag na marginesie *Wilhelma Meistra* („Aktualność Goethego" w *Tyg. Ilustrowanym*, R. 73, nr. 19). Dzieło to, zdaniem autora, pełne jest jeszcze życia, mimo, że nieraz przychodzi w niem przedzierać się przez pustynie nudy. Zawarte w niem uwagi i aforyzmy, zwłaszcza z zakresu sztuki, nie straciły nic na aktualności, a sztuka życiowa

Goethego nie zestarzeje się nigdy. Uczy on sięgać najdalej, uczy, że należy kształcić swą indywidualność przez asymilację do tego i syntezę z tem, co znajduje się na przeciwległym biegunie naszego ja. Bardzo ciekawe są uwagi na temat związku uwag o Hamlecie w powieści Goethego, a tem, co pisał na ten temat, tak genjalnie, Wyspiański.

Obok historyków literatury, poetów, krytyków, pisał też o Goethem polityk. Leon Piniński zwrócił się do Goethego-starca, starając się wyłuskać ze sławnych rozmów z Eckermannem, jego poglądy eschatologiczne, które zestawia z mądrością starożytnych. Krytykując religijne poglądy Goethego, wypowiada Piniński własne poglądy na religję. Ujmowanie jej jednak wyłącznie pod kątem widzenia użyteczności publicznej, jako narzędzia utrzymania lojalności ludu, razi anachronizmem, jeśli już nie — naiwnością (*Przegląd Współczesny,* R. XI, nr. 118).

Z przyczynków biograficznych właściwie nic prawie ciekawego nie ogłoszono. Najważniejszą pozycję stanowi wydana w r. 1931 książka Ferdynanda Hoesicka p. t. *Goethe i najpiękniejsze dni w jego życiu,* która zajmuje się stosunkiem niemłodego już poety do Marjanny Willemer, muzy i współtwórczyni wspaniałego cyklu liryków wschodnich *West-östlicher Diwan.* Książka Hoesicka spotkała się z życzliwem przyjęciem, jako oświetlająca szczegółowo, nawet drobiazgowo, mniej opracowany okres życia Goethego. Autor nie jest uczonym historykiem: jego liczne studja biograficzne stoją na pograniczu rodzaju, zwanego „vie romancée", a to tem bardziej, że zainteresowania autora ograniczają się niemal wyłącznie do spraw erotycznych. W każdym razie praca o „najpiękniejszych dniach" w życiu Goethego, pisana starannie i zajmująco, stanowi jedną z lepszych pozycyj w dorobku pisarskim autora. Można jednak zarzucić przedewszystkiem zbyt pochopne traktowanie twórczości literackiej poety, jako autentycznego dokumentu życiowego.

Serję artykułów p. t. „Kobiety w życiu Goethego" ogłosiła Karolina Bielańska w *Bluszczu* (R. LXV, nr. 2—36). Rzecz ta, oparta na opracowaniach niemieckich, pisana jest z dużym talentem, lekko i z prawdziwie kobiecym wdziękiem, a zarazem z kobiecą wnikliwością psychologiczną. Jednakże należało może spojrzeć bardziej krytycznie na ludzi i stosunki, których przedstawienie przez autorkę zdradza tendencję do idealizowania spraw dość pospolitych.

Sugestywnie i z talentem pisze N. Kleinowa o „Goethem i Napoleonie" (*Droga,* R. XI, nr. 7/8), ujmując rzecz z historycznego punktu widzenia. Wśród wielu ciekawych, może niezawsze oryginalnych, spostrzeżeń i uwag do najciekawszych należy stwierdzenie, że Goethe w swym kulcie Napoleona uległ podświadomie sugestji romantyzmu, od którego przecież tak się zawzięcie odżegnywał, jak również przypuszczenie, już mniej przekonywujące,

że właśnie entuzjazm Goethego, niezachwiany nawet upadkiem cesarza, stworzył jedną z najpiękniejszych legend romantyzmu. Sądzę, że entuzjazm ten jednak nie wyraził się dostatecznie w dziełach mistrza tak, by mógł istotnie wywrzeć wpływ. Legendę stworzył kto inny: stara gwardja, współtowarzysze bojów.

Specjalny problem porusza dwóch autorów. Juljusz Twardowski ujmuje stosunek Goethego do muzyki w krótkim artykule, pełnym treści, chociaż mającym charakter sprawozdawczy (*Muzyka*, R. IX, nr. 3/4), szereg zaś fachowych artykułów p. t. „Od pierwszej do ostatniej muzyki Fausta" ogłosił prof. Zdzisław Jachimecki w *Głosie Narodu* (R. 32, nr. 85—88). W tem bardzo interesującem studjum autor omawia najobszerniej pierwszą kompozycję księcia Antoniego Radziwiłła, oraz ostatnią Ferruccia Busoniego. Dodajmy nawiasem, że jedną z najciekawszych i najbardziej stylowych uroczystości ku czci Goethego było wykonanie kompozycji Radziwiłła w starym pałacu krakowskim u jego prawnuczki p. Franciszkowej Potockiej, połączone ze wspomnianym wyżej odczytem ks. rektora Michalskiego.

O helleniźmie Goethego poinformował w sposób sumienny i gruntowny prof. Zdzisław Żygulski w czasopiśmie dla uczniów p. t. *Filomata* (Lwów 1932, nr. 42). Stosunek Goethego do judaizmu został omówiony przez kilku żydów polskich. Samuel Stendig ogłosił w sprawozdaniu Gimnazjum żydowskiego w Krakowie rozprawkę p. t. „Motywy biblijne w twórczości Goethego". Jest to rzecz sprawozdawcza, oparta na źródłach obcych, przedewszystkiem pracy Deutschländera, zawiera jednak cenne zestawienie literatury przedmiotu. Jak się to nieraz zdarza w pracach tego rodzaju, wpływ Biblji jest przeceniony, a Biblja traktowana wyłącznie, jako zabytek literatury żydowskiej. O tem, że do Biblji dochodzi autor chrześcijański przedewszystkiem przez chrystjanizm, autorowie żydowscy zwykle zapominają, a łączenie stosunku pisarzy-chrześcijan do Biblji ze stosunkiem do żydostwa, jest nieporozumieniem. Wiele samodzielniejszy i bardziej krytyczny jest Michał Brandstätter, który omawia stosunek Goethego do żydów w sposób syntetyczny, z dużym talentem literackim (*Miesięcznik żydowski*, R. II, nr. 3).

Do tematu naszego należy też częściowo wajmarski wykład prof. Spirydjona Wukadinowića, naówczas profesora germanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, ogłoszony p. t. „Goethe und die slavische Welt" w *Jahrbuch der Goethe-Gesellschaft*, Bd. 18. Najbardziej interesujący nas stosunek Goethego do literatury polskiej został omówiony bardzo pobieżnie i bez podania literatury przedmiotu, przeciwnie, jak przy innych literaturach słowiańskich, ale naogół trafnie. Natomiast uczuciowe nastawienie autora, profesora polskiego uniwersytetu, względem polskości nie jest, niestety, bez uprzedzeń!

Rzecz jasna, że temat „Goethe a Polska" omawiany był

wielokrotnie. Artykuły dziennikarskie na ten temat były przeważnie bałamutne i niedokładne. Przybyło jednak kilka przyczynków naukowych. Drobne szczegóły, dotyczące stosunków z Goethem Mickiewicza i Szymanowskiej, przyniósł artykuł J. Mirskiego p. t. „Polskie Weimariana w Paryżu" (*Przegląd Współczesny,* R. XI, nr. 120). Ogłoszone dokumenty są drugo- lub trzeciorzędne, w dodatku część ich tylko była rzeczywiście nieznana.

Ciekawsze jest zagadnienie odwrotne: nie jaki był stosunek Goethego do Polaków, ale jak zareagowała literatura polska na tak niezwykłe zjawisko, jak twórczość Goethego? Nie posiadamy jeszcze na ten temat wyczerpującej monografji w rodzaju znakomitej pracy F. Baldenspergera *Goethe en France.* Z przyczynków naukowych, ogłoszonych w ostatnim roku, wymieniam następujące: Początki znajomości Goethego w Polsce aż do Mickiewicza włącznie omawia Z. Ciechanowska w praskiem czasopiśmie naukowem *Germanoslavica* („Die Anfänge der Goethe-Kenntnis in Polen", Jg. I, H. 3, Jg. II, H. 1), przyczem zwraca uwagę nietylko na znajomość Goethego, ale na znajomość literatury niemieckiej w Polsce wogóle. Ta sama autorka zamierza ogłosić syntetyczny szkic, dotyczący całości tematu w jednem czasopiśmie angielskiem, i w jednem polskiem. Bardzo użyteczne luźne notatki ogłosił prof. Bronisław Gubrynowicz („Kilka notatek o Goethem w Polsce", *Ruch Literacki,* R. VII, nr. 3). Nie wszystko jednak jest całkiem nieznane. I tak np. przy wiadomości o rękopisie przekładu *Ifigenji* przez ks. A. Ciesielskiego należałoby dodać, że był on już drukowany w r. 1883, wraz z tłumaczeniem *Tassa,* przez tegoż samego tłumacza. Również i drugą wiadomość o rękopisach przekładów Goethego należy uzupełnić w tym sensie, że rękopis Baworowskiego zawiera więcej przekładów, niż wymienione w artykule Gubrynowicza.

Ogłoszono rownież cenne przyczynki do poszczególnych rozdziałów zagadnienia. I tak Z. Ciechanowska omawia stosunek literatury polskiej do *Fausta* (*Czas,* R. LXXXIV, nr. 76), opierając się na źródłowych własnych badaniach. Z. Falkowski we wspomnianym artykule o „Werterze" porusza sprawę wpływu tego romansu na literaturę polską i daje bardzo ciekawe zestawienie Wertera z „ostatnim polskim Werterem, Płoszowskim, traktując obu, jako objaw dekadentyzmu. Możnaby zarzucić jednak autorowi brak dokładnej znajomości literatury przedmiotu. Znakomita jest też impresjonistyczna paralella Falkowskiego „o Elegjach rzymskich i Sonetach krymskich" (odbitka z *Księgi Pam. Koła Polonistów,* Wilno 1932). O wpływie niema tu prawie mowy. Toteż autor nie szuka go; zajmując stanowisko psychologiczne, widzi analogję w położeniu życiowem obu poetów, i wyprowadza stąd wniosek o analogji w odczuwaniu i malowaniu rzeczywistości. Ciekawem jest wogóle zestawianie twórczości Goe-

thego z twórczością Mickiewicza, bardzo u nas częste. Nie brak i tym razem prac na ten ulubiony temat. Prof. W. Bruchnalski, analityk pierwszej klasy, zestawia styl *Pana Tadeusza* i *Hermana i Doroty* (w *Kurjerze Lwowskim*). Kilka uwag o sonetach Goethego i Mickiewicza ogłosił J. Pogonowski (*Ruch Literacki*, R. VII, nr. 1), może on jednak w swej paraleli mówić tylko o różnicach. *Faust* i *Dziady*, jako wyraz dwóch różnych indywidualności poetykich interesują kilku autorów. Prof. St. Pigoń, najlepszy dziś znawca Mickiewicza w artykule pod sugestywnym tytułem „Obiit — 1832 — Natus est" dochodzi do wniosku, że Mickiewicz w *Dziadach* nietylko okazał się indywidualnością twórczą biegunowo różną od indywidualności Goethego, ale co więcej, *Dziady* stały się dlań jedną ze sposobności uświadomienia sobie i podkreślenia swego nastawienia antifaustowskiego (*Gazeta Literacka*, R. III, nr. 6). Ostre przeciwstawienie obu poematów, niezawsze przekonywujące, zawiera artykuł L. Rygiera w *Gazecie Polskiej* (R. VI, nr. 82). Nie był mi niestety dostępny artykuł Waltera Kühne „Goethes Faust und Mickiewicz Totenfeier als Spiegelbild der deutschen und polnischen Geistesgestaltung" *Geisteskultur*, Jg. 41, H. 5/6). Ciekawy, ale nie dość przemyślany jest artykuł o stosunku Wyspiańskiego i Goethego do święta Wielkiejnocy, podpisany „Emka" w *Głosie Narodu* (R. 39, nr. 85).

Polskie kompozycje do poezyj Goethego zestawia F. Starczewski w czasopiśmie *Muzyka* (R. IX, nr. 5/6). Liczba 10 kompozytorów wydaje się jednak może zbyt szczupła.

Z przekładów przychodzi zanotować dwa nowe tłumaczenia *Fausta*, narazie niestety znów tylko pierwszej części, chociaż obaj tłumacze obiecują dać wkrótce i część drugą. Przekład Wachholca (Warszawa 1931) jest wprawdzie drugiem wydaniem pracy z przed lat kilku, ale opracowanem zupełnie niemal na nowo. Zmiana na korzyć jest widoczna: rytmika została zachowana wiernie, język stał się piękniejszym, styl swobodniejszym, chociaż nie brak i teraz pewnej sztuczności. Przekład poprzedza dobry popularny wstęp Ottona Germana. Drugi przekład, a z rzędu czternasty polski przekład *Fausta* z pod pióra Zygmunta Reisa (Lwów 1932) nie jest niestety także jeszcze tem, czego tak dawno oczekujemy. Bardzo wierny, znacznie naturalniejszy i płynniejszy od poprzedniego, nie jest jednak dziełem kongenialnem, nie może też być nazwany dziełem poety, choć niepozbawiony jest iskry poezji. Poprzedzają go trzy doskonałe wstępy, dotyczące kilku zagadnień, związanych z Faustem: J. Sandla, A. Lewickiego i R(yszarda) G(a ń s z y ń c a).

Z innych przekładów zasługują na uwagę dwa nowe przekłady *Prometeusza*. Pierwszy z pod pióra L. Staffa w *Kulturze* (R. II, nr. 13), bardzo wierny, ale cokolwiek bezbarwny, drugi J. Feldhorna w *Nowym Dzienniku* (R. XV, nr. 74) silny, pełen wyrazu i temperamentu, oddający nastrój poematu doskonale,

choć niekiedy odstępujący od tekstu. A. Spaet ogłosił pierwszy bodaj w Polsce przekład *Achilleis* ze wstępem Żygulskiego, o helleniźmie Goethego (Lwów 1932). Przekład jest mało poetycki, w dodatku nie dość precyzyjny. Feldhorn ogłosił też scenę purimową z groteski „Jahrmaktsfest zu Plundersweilern" (*Nowy Dziennik*, nr. 79) ze względu na aluzje filosemickie.

Nie brak było przekładów liryków, jak np. Staffa piękne, wierne przekłady w *Kulturze*, jak bardzo poetyczne, choć swobodne przekłady Sztaudyngera w *Tęczy*, jak Profanusa w *Tygodniku Ilustrowanym*, anonima i Schrödera w *Czasie*, jak gładki przekład fragmentów z „Trilogie der Leidenschaft" T. Bilińskiego w jego artykule o M. Szymanowskiej w *Il. Kuryerze Codziennym*. Nie brak było i fragmentów z dzieł prozą, z „Dichtung und Wahrheit", z rozmów z Eckermannem, jako ilustracji do różnych artykułów o Goethem w dziennikach.

Zdaje się jednak, że bilans roku jubileuszowego jeszcze nie jest zamknięty. Podobno jeszcze ukaże się niejedno i to rzeczy bardziej ważkie. To, co wydrukowano dotychczas, w wielkiej części miało charakter przygodny. Zadaniem naszem było tylko zreferowanie wyników, bez zestawiania ich z dawniejszemi badaniami na temat Goethego. Zapewne znalazłaby się niejedna analogja. Większość jednak z rzeczy ogłoszonych była oryginalna, a niejedno stanowi interesujący wyraz stosunku do twórczości genjalnego poety najlepszych przedstawicieli współczesnej umysłowości polskiej.

Dr. Zofja Ciechanowska.

W trosce o postawę lekarza.

Parę niżej załączonych uwag nadesłano nam ze sfer lekarskich z okazji artykułu „O życie nienarodzonych". Są one wyrazem budzącego się u nas, a zagranicą coraz żywiej rozwijającego się ruchu wśród lekarzy katolickich.

Redakcja.

Napewno każdy świadomy inteligentny pracownik katolicki potrafi zrobić dużo dobra społecznego, każdy obojętny religijnie lub też wrogi religji — dużo zła i to tem więcej im dalej sięga jego wpływ osobisty.

Widzi się to wyraźnie na tle pracy zawodowej. Chcę mówić o lekarzach. Przez swój bezpośredni kontakt z ludźmi lekarz staje się jednostką mogącą oddziaływać dość silnie. Wpływ jego na chorego nie ogranicza się do zakresu wskazań higjenicznych, ale w bardzo wielu wypadkach sięga w życie daleko głębiej. W znacznej mierze lekarz szpitalny, sanatoryjny czy lekarz praktyk przez dłuższy kontakt z chorym staje się jego wychowawcą.

Wpływ sączy się czasem bezwiednie, a wyraziście. Jeśli się znajdzie pewna grupa lekarzy myślących jednolicie, wpływ taki potęguje się, bo silniej zawsze oddziaływuje członek zbiorowości czujący za sobą tę zbiorowość — niż pojedyncza jednostka, współcześnie zaś kręgi oddziaływania zataczają się szerzej.

Czy nie od pewnych zbiorowości lekarskich pochodzą lansowane dzisiaj teorje neomaltuzjańskie i im podobne? — Wydaje mi się, że tak. Teorje głoszone przez coraz liczniejszych zwolenników zyskują posłuch i zrozumienie. Ogół lekarzy w stosunku do zagadnień religijnych usposobiony jest obojętnie, nakazy etyki katolickiej zastępuje nakazami specjalnej etyki lekarskiej, w wielu punktach owianej duchem szlachetności, w wielu jednak, zupełnie niezgodnej z katolickiem spojrzeniem na świat. Te różnice pokrywają się z punktami wypełnionemi ustawodastwem lekarskiem omawiającem postępowanie lekarza w pewnych poszczególnych wypadkach. Nawet przy wielkiej uczciwości i sumienności lekarz może odbiec daleko od drogi wytyczonej przez Kościół, w daleko większym stopniu dzieje się to, gdy chodzi o lekarzy traktujących swój zawód jedynie handlowo.

Starałam się zaobserwować stopień wiadomości lekarzy w sprawach omówionych w „Encyklice o małżeństwie chrześcijańskiem". Świadomość to jest bardzo mała, nawet u lekarzy wykonywujących minimum obowiązków nakazanych przez Kościół — stąd to reakcje często bardzo odmienne od nakazywanych przez Kościół. Są to, może czyny niezawinione, ale wiele jest wyraźnie zawinionych.

Młody lekarz, uświadomiony po katolicku, zetknąwszy się w pracy z grupą kolegów lekarzy przygląda się ich spojrzeniu na świat. Nie zgadzając się pod względem wielu ujęć z większością lekarzy, których spotyka, pragnąc się zdobyć na własne, katolickie reakcje przechodzi przez istne cięgi, wreszcie nie wiedząc jak wybrnąć z wielu sytuacyj życiowych, wpada w zamęt myślowy, a potem zapytuje się siebie czy istotnie nakazy Kościoła nie są czemś zbyt oderwanem od życia, czy dadzą się w życiu zastosować. Ponieważ odpowiedź taka nie przychodzi łatwo następuje „odcień" tolerancji w stosunku do tego, co się dzieje. I w społeczeństwo wszczepia się równie obce duchowi Kościoła tendencje, uprawnia się je w życiu. Z biegiem czasu czyny w pojęciu Kościoła niemoralne stają się w pojęciu społeczeństwa moralnemi dla czasów współczesnych.

To jest krótkie stwierdzenie faktów, może ogólnie znanych. Chodzi o zaradzenie złu płynącemu z wyłamania się z pod nakazów Kościoła grupy zawodowej ludzi mającej bezpośredni i do pewnego stopnia „wiążący" kontakt z dużą ilością członków społeczeństwa katolickiego. Trzeba lekarzom pokazać Boga, doprowadzić ich do zrozumienia życia nadprzyrodzonego, uświadomić

ich po katolicku, trzeba ochronić jednostki czujące z Kościołem przed zalewem myślowym czynników inaczej ujmujących życie.

Widzę następujące drogi prowadzące do celu:

1) Utworzenie organizacji lekarzy katolików, która będzie miała na celu podtrzymać w walce życiowej lekarzy myślących po katolicku *a)* przez sam fakt istnienia zespołu ludzi myślących podobnie, *b)* przez prostowanie poglądów drogą perjodycznych zjazdów i zebrań dyskusyjnych, *c)* przez swój organ specjalny o możliwie najwyższym poziomie naukowym.

2) Dążenie do zrzeszenia w organizacjach katolickich młodzieży studjującej medycynę.

3) Coroczne wygłaszanie wykładów z zakresu działu etyki dotyczącej wykonywania zawodu lekarskiego dla szerokich warstw młodzieży studjującej medycynę.

4) Solidne i rzeczowe wydawnictwa opracowywane wspólnie przez księży i lekarzy, a omawiające zagadnienia trudne do rozstrzygnięcia przy wykonywaniu zawodu.

5) Zorganizowanie dobrze postawionego Wydziału Lekarskiego w katolickim Uniwersytecie w Lublinie.

Dr. med. Jadwiga Zienkiewiczówna.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 listopada 1932.

Spis rzeczy tomu 196.

Artykuły.

Str.

S. M.: Adolf Hitler i jego program 3
A. van Dyle: Hitleryzm a religja 31
S. Szczutowski: Nad głębiami „Wesela“ 48, 177, 325
S. A. Kobyłecki: Logika a logika tradycyjna i logika matematyczna (Dok.) 76
A. Zahorska: Sygryda Undset na tle literatury Norwegji . 95
Dr. L. Łakomy: Udział Duchowieństwa katolickiego w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce (Dok.) 108
Dr. L. Caro: Nowoczesny kapitalizm 145
Ks. St. Podoleński T. J.: O życie nienarodzonych . 161, 301
A. Waśkowski: Teatr Teofila Trzcińskiego w Krakowie . . 193
Ks. Dr. Fr. Śmidoda: Sprawy duchowieństwa na sejmie warszawskim 1578 roku 217
Dr. M. Kasterska: Polacy w teatrze rumuńskim 225
Stanisław Pigoń: Reforma czy przewrót w szkolnictwie wyższem 273
Marta Lubieniecka: Poznawalne i nieskończone 284
Mieczysław Smolarski: Adam Mickiewicz jako krytyk pseudo-klasyczny 342

Przegląd piśmiennictwa.

Powieści. Zygm. Nowakowski: Kucharz doskonały. — Michał Rusinek: Burza nad brukiem. — Henryk Glass: Na szlaku chudego wilka. — Jerzy Braun: Cień Parakleta. — Elżbieta Szemplińska: Narodziny człowieka. — Marza Ostrawicka: Uśmiech Tatr. — Miecz. Guranowski: Kobiety biblijne. — Miecz. Smolarski: Przygoda jednej nocy. — Artur Schroeder: Światła na wodzie. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 116
Podziemna dyktatura (Z. Starowieyska-Morstinowa) 125
Dr. Ant. Peretiatkowicz: Wstęp do nauk prawnych (Ks. J. U.) 127

Str.

Marjan Zdziechowski: Chateaubriand i Napoleon (Ks. Jan Urban) 127
Otto Forst de Battaglia: Das Geheimnis des Blutes (Ks. Stanisław Podoleński) 128
Ks. Dr. Karol Milik: Życie żołnierza (S.) 129
Z literatury ekonomicznej: Wydawnictwa Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie. — Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie. — Wydawnictwa Gospodarstwa Społecznego. — Prace Instytutu Badania konjunktur gospodarczych i cen. — Wydawnictwa Towarzystwa Lniarskiego w Wilnie. — Kaz. Wład. Kumaniecki: Stosunki robotnicze w czasie wojny. — Księga pamiątkowa półwiekowej działalności Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Krakowie 1882—1932. — Wacław Fabierkiewicz: Nauka o pieniądzu. — Aleks. Raczyński: Zagraniczne ustawy kryzysowe. — Antoni Leparski: Kryzys gospodarczy a ludzie pracy (Dr. J. M. Ziomek) 242
Ks. Dr. Antoni Roszkowski: Korporacjonizm katolicki (Dr. J. Mikułowski) 238
Ks. Dr. Józef Pastuszka: Kryzys kultury a religja (Ks. Józef Godaczewski) 251
Paweł de Kruif: Łowcy mikrobów. (Ks. E. Kosibowicz) . 252
Upton Sinclair: Mokra parada. Służba państwowa (Anna Zahorska) 254
Maciej Loret: Italja współczesna (Ks. J. Urban) 255
Księgi radzieckie kazimierskie 1369—1381 i 1385—1402 (M. N.) 256
B. H. Merkelbach O. P.: Summa Theologiae moralis (Ks. Dr. E. Chomrański) 367
Jos. de Guibert S. I.: Documenta ecclesiastica christianae perfectionis studium spectantia (Ks. J. Andrasz) 368
Ks. Dr. L. Puciata: Grzech pierworodny w teologji św. Anzelma (W.) 370
Ks. Dr. Józef Lubelski: Dogmatyka katolicka (Ks. Dr. E. Chomrański) 371
Ks. Józef Kaczmarczyk: Męka Jezusa Chrystusa podług czterech ewangelij (Ks. J. Rostworowski) 372
Ks. Mateusz Jeż: Egzorty dla młodzieży szkolnej (Ks. J. Godaczewski) 373
Ks. Józef Bielicki: Przemówienia okolicznościowe (Ks. J. G.) . 374
Nasza walka o szkołę polską 1901—1917 (Ks. J. Urban) . . 374
W. Szary: Świetność i upadek Eldorada. (A. Kliszewicz) . 375
Stanislas Łukasik: La France et la Pologne a travers les siècles, jusquà la grande révolution (Dr. W. Cz.) 376
Giovanni Papini: Gog (Z. Starowieyska-Morstinowa) 377
Franciszek Mauriac: Kłębowisko żmij (Z. Starowieyska-Morstinowa) 379

Str.

Leopold Staff: Wysokie drzewa (Z. Starowieyska-Morstinowa) 382
St. Wyspiański: Dzieła (Dr. Z. Ciechanowska) 384
Wład. Orkan: W roztokach (Dr. Z. Ciechaowska) . . . 585
Humpert (Paweł) O. M. N.: Droga śmierci (Dr. Z. C.) . . . 387
Herman Hesse: Siddharta (A. Zahorska) 388
Nadesłane 130, 257, 389

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Rozbudowa Uniwersytetu Gregorjańskiego w Rzymie. — Nowe ataki na akcję unijną i Najwyższa jej obrona. — Trzecia Konferencja pińska (Ks. J. Urban) 131
Listopad: Zaostrzenie prześladowania w Meksyku. — Odezwa Kardynała Prymasa na święto młodzieży. — Wciąż jeszcze o akcji unijnej (Ks. J. Urban) 259
„Politique Familiale" Francji (Ks. St. Podoleński) . . . 138
Nowe odkrycia i pojęcia w przedhistorji (Ks. R. Wierzejski 266
Stulecie Goethego w Polsce (Dr. Z. Ciechanowska) . . 392
W trosce o postawę lekarza. (Dr. J. Zienkiewiczówna) 402